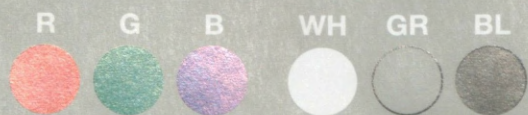


Part Code
ST1316

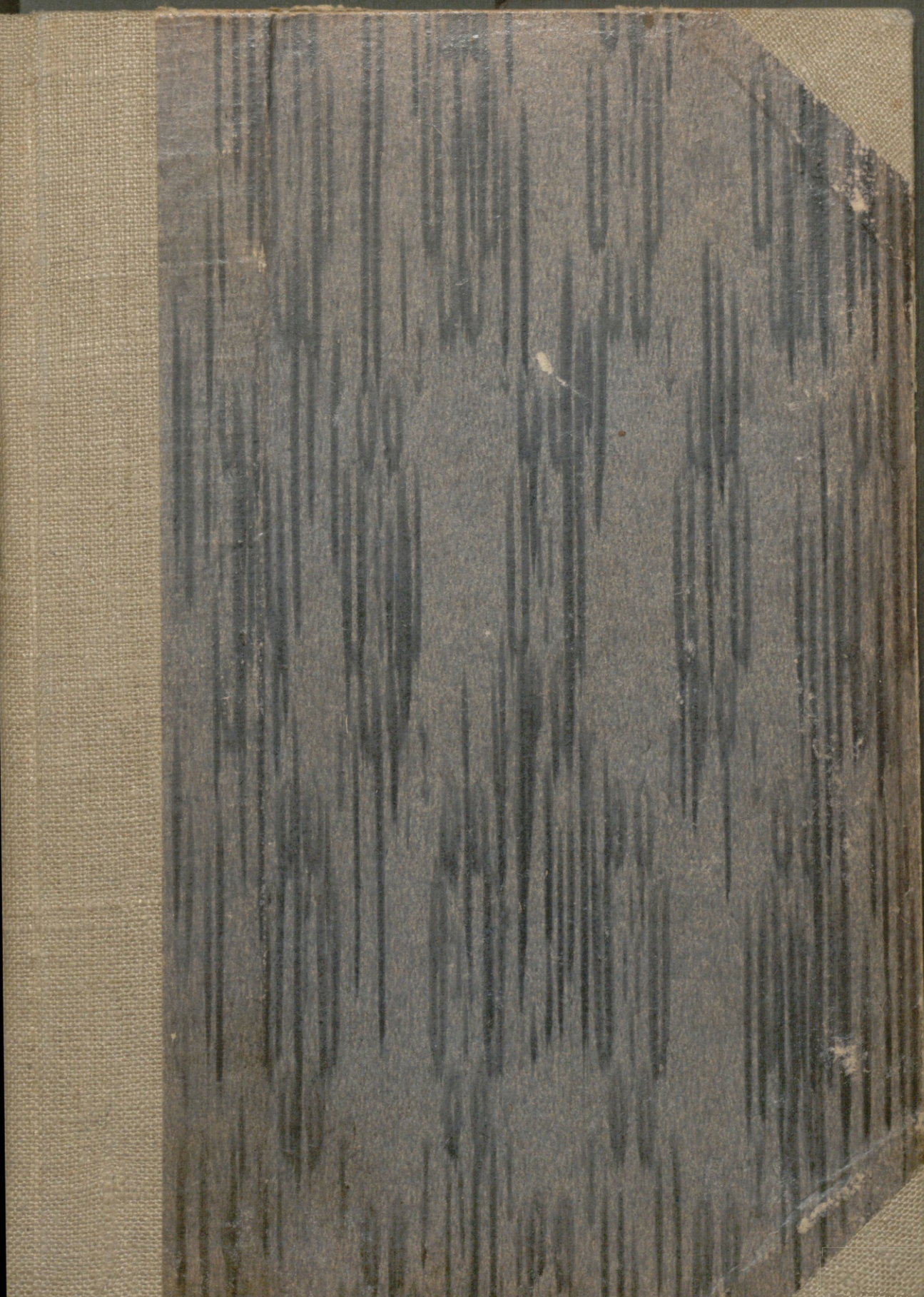
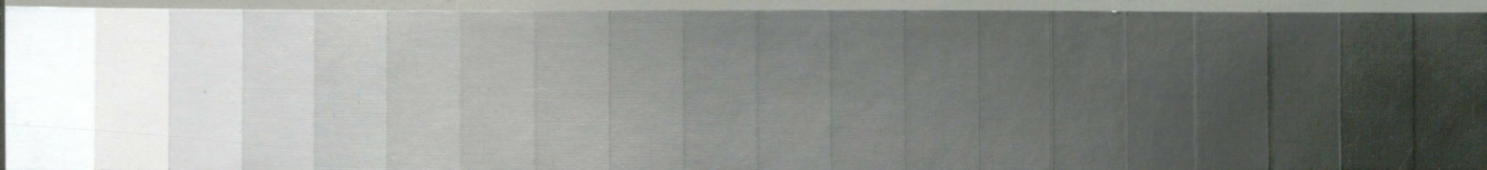


Grey Scale #13



DANES
-PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





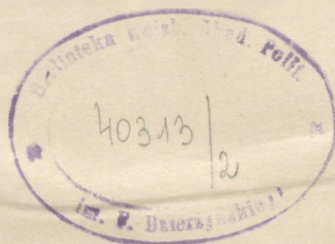
MOJE WSPOMNIENIA

JÓZEF DOWBOR MUŚNICKI

MOJE WSPOMNIENIA

W A R S Z A W A — 1 9 3 5

93(438)12 : 355.91(438)2





P. Emilio Muñoz M.



*STEFANJI z Hr. BROEL-PLATERÓW
LEONOWEJ WAŃKOWICZOWEJ:*

*Pracowniczo w sprawie Polski
i niezawodny przyjacielu
wyraziłaś życzenie —*

napisałem.

AUTOR

SKRÓTY I OBJAŚNIENIE

D. G. — Dowództwo Główne.

D. M. — Dowbor Muśnicki.

Stawka — Sztab Naczelnego Dowództwa Armji Rosyjskiej.

N. D. — Naczelne Dowództwo.

Naczpól. — Naczelny Polski Komitet Wojskowy.

I. P. K. — I-szy Polski Korpus.

N. R. L. — Naczelna Rada Ludowa.

K. N. R. L. — Komisarjat Naczelnej Rady Ludowej.

K. — Komisarz lub Komisarjat.

Nar. Dem. — Narodowa Demokracja.

N. P. R. — Narodowa Partja Robotnicza.

P. P. S. — Polska Partja Socjalistyczna.

W tekście są odsyłacze do dokumentów. Dokumenty te, oznaczone liczbami porządkowymi, umieszczone są jako załączniki w oddzielnym zeszycie.

W S T Ę P

Zbliża się kres mojej ziemskiej tułaczki. Pragnę zostawić nieco niekoloryzowanych wspomnień, z których czytelnik wyczuje, jak wielkiem nieszczęściem była dla nas utrata wolności i jak dużych trzeba było wysiłków by zdyscyplinować wolę, uniknąć przeciętności, zachować własną narodowość i wiarę w sprawiedliwość dziejową. Rad byłbym, aby pamiętnik mój stał się przestrogą dla następnych pokoleń...

Życie płynęło mi rozmaicie. Byłem nietylko widzem, lecz często i wykonawcą dziejowych rozstrzygnięć.

Większą część życia spędziłem poza granicami etnograficznej Polski. Choć zbiegiem okoliczności pracowałem we wrogiem nam państwie, to jednak przeznaczenie tak pokierowało wypadkami, że Polska na tem nic nie straciła, a mnie zaś los pozwolił wybić się ponad przeciętność. Po upadku caratu wysunięto moją kandydaturę na najbardziej odpowiedzialne stanowisko w hierarchji władzy. Zrezygnowałem z zapowiadającej się świetnej kariery u obcych (1917), wyczułem bowiem, że nadchodzi zmartwychwstanie Ojczyzny, dla której moja wiedza i doświadczenie przydać się mogą. W 49-ym roku życia wstąpiłem do szeregów jawnych bojowników o Polskę, organizując I Polski Korpus i tworząc Armię Wielkopolską. Obie te jednostki wojskowe decydująco zaważyły na losach powstającej Polski. Na dalsze tworzenie Wojska Polskiego i umacnianie budującej się Polski nie pozwolono mi.

Skład osobowy Korpusu (około 30 tys. ludzi), przeżywszy swą gehennę, przyczynił się do powstrzymania fali bolszewizmu, mającej zalać ziemie polskie. Wojska Wielkopolskie stały się wzorem dla innych i wywarły decydujący wpływ na zwycięstwo pod Warszawą.

Bieg dziejowych wypadków sprawił, że dla Polski zrobiłem stosunkowo mało, choć potrafiłbym uczynić więcej. Piszę ten pamiętnik, nie dlatego by przypomnieć, że istniał jakiś generał, ale pragnę tylko udowodnić, że należę do tych ludzi, którzy raz przyjąwszy na siebie obowiązek, starają się i potrafią sumiennie go spełnić.

Nazwisko moje zapewne prędko poszłoby w zapomnienie, gdyby go od początku niepodległości, jeszcze tam na obszarach Rosji bolszewickiej, nie zohydzano w prasie. Podawano o mnie mylne lub świadomie fałszywe wiadomości, pochodzące rzekomo od wia-

rygodnych świadków. O formacjach wielkopolskich i mojej działalności w Wielkopolsce zamilczano, bo przyłączenie Wielkopolski do Macierzy jest faktem nieco żenującym. Sprostowań moich przeważnie nie drukowano, ja zaś nie miałem ani czasu, ani środków na wydawanie publikacyj lub wpływanie na prasę. Byłem i jestem pod każdym względem bezbronny, widocznie jednak jestem niebezpiecznym przeciwnikiem, jeśli dla zwalczania mnie bez litości używa się podłych środków i sposobów. Niewykwalifikowanemu, a wygadnemu, stanowisko referenta imponuje, dla mnie zaś obowiązki dowodzącego generała nie są oszalamiającą nowością.

W roku 1920 nareszcie przyjęto moją dymisję, t. j., w polskim języku urzędowym, przeniesiono w stan spoczynku. Miałem nadzieję, że wreszcie dadzą mi spokój. Niestety! Moją skromną osobą zajmowano się w dalszym ciągu skwapliwie, bagatelizując i poniewierając moją działalność. O I Polskim Korpusie traktuje kilka rzekomo historycznych prac, które są oparte na publikacjach i wspomnieniach ludzi sprzedajnych, lub łazików, powyrzucanych przeze mnie z szeregów. Ci świadomem wprowadzaniem w błąd mas, a nawet decydujących czynników, siłą się usprawiedliwić swoją szkodliwą, nieetyczną a tchórzliwą działalność tam poza „frontem rosyjskim“. Płacę za to pogardą.

W owych przeciw mnie zaczepkach przodują pp. radykali wszelkiego autoramentu, obecnie przeważnie przemalowani z „czerwonego“ na „różowo“ lub „fioletowo“. To dobrane towarzystwo obecnie już się pogryzło. Miejmy nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy zgina marnie w ogólnej niepamięci.

Wskrzeszenie Polski było faktem tak doniosłym, nieoczekiwanym, olśniewającym, ogromnym i nieomal cudownym, że dopiero po kilku latach oszołomienia zaczęto dociekać, jak to się faktycznie stało. Najruchliwsi zrozumieli, że na odrodzeniu Ojczyzny można zrobić karierę. Posypały się pamiątniki, w pismach drukowano wspomnienia, wypuszczono broszurki o quasi przeżyciach, aby tylko stać się głośnym. Wielu, bardzo wielu, bez jakichkolwiek skrupułów, w fackie odrodzenia Polski przypisywało sobie pierwszorzędną rolę, gdy rzeczywistość dziejowa stwierdza, że jeżeli Polska jest, taką jaką jest, zawdzięczać należy jedynie IGNACEMU PADEREWSKIEMU.

Z przeżyć swoich podaję tylko aktualniejsze momenty. O sprawach wojskowych nie teoretyzuję, bo jest to dziedzina dla ogółu nieciekawa. Wspomnienia moje są niejako uzupełnieniem wydanej przezemnie książki „Szkic do historii I Polskiego Korpusu“,

która obecnie jest już wyczerpaną. Zaznaczam, że pisałem swoje wspomnienia na podstawie posiadanych przeze mnie dokumentów.

Czytelnik zechce mi wybaczyć braki literackie. Z opisu mego życia przekona się, że języka ojczystego, ani nawet bezstronnej historii Polski w szkołach się nie uczyłem. Podając przeżycia, nie zamierzam konkurować z luminarzami naszego piśmiennictwa. Jedno wiem, że błędów logicznych nie popełniam — to wystarcza.

AUTOR

Batorowo, wrzesień 1932 r.

THE
JOURNAL OF THE
ROYAL ANTHROPOLOGICAL INSTITUTE
OF GREAT BRITAIN AND IRELAND
VOLUME 34
PART 1
1904

Lecz nie przestańmy czić świętości swoje,
I przechowywać ideałów czystość,
Od nas zależy dać im moc i zbroje,
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość.

Asnyk.

I

LATA DZIECINNE

Urodziłem się 25 października 1867 r. w majątku rodzinnym Garbów¹⁾, ziemi Sandomierskiej, z ojca Romana i matki Antoniny z Wierzbickich. Byłem najmłodszym z sześciorga rodzeństwa. Datę urodzenia podaję z dokumentu rosyjskiego, który przypadkowo pozostał w mych rękach. Metryka chrztu znajduje się w parafji Góry Wysokie, lub w archiwum Kurji Biskupiej w Sandomierzu; odpis jej, wraz z innymi papierami przepadł w Woroneżu w 1918 r., jako konsekwencja walk, wszczętych przeciw bolszewikom.

*

Zastanawiał mnie w metryce urodzenia jeden szczegół: świadkami przy spisywaniu aktu mego urodzenia byli dwaj kmiotkowie, gospodarze garbowscy, choć w okolicy o świadków — szlachtę — nie było trudno. Jest to dowód, że dwór nie stronił od wsi, z którą był związany wspólnymi przeżyciami, niedawno zdławionego powstania. Żył się po Bożemu, spokojnie i zgodnie. Atmosfera nieufności chłopu do dworu zrodziła się później z niezdrowej austriackiej polityki, oraz tendencyjnego postępowania państwa rosyjskiego. Podniecali ją później skwapliwie radykałowie i socjaliści. Będąc jeszcze malcem, słyszałem oświadczenie urzędnika t. zw. komisarza do spraw włościańskich, że „wszystko, co jest pańskie, będzie chłopskie“. Zatem, już ongi, głupi „czynownicy“ przygotowywali grunt pod bolszewizm.

W obecnych czasach najgłośniejszy przewodca chłopski, gospodarz z pod austriackiego zaboru (poseł na sejm i nawet premier), powiedział w sejmie, że „widok dworu drażni chłopu“. Niema na świecie głupstwa, któreby nie znalazło podatnego gruntu, szczególnie gdy jest propagowane przez ludzi niesumiennej, lub politycznych macherów, obficie wypływających na powierzchnię podczas przełomów dziejowych. Znajdą się zawsze tacy, co w nie uwierzą. Gdyby tak było, jak to p. poseł powiedział, to twier-

¹⁾ A nie Garków, jak podaje encyklopedia Trzaski.

dżę, że podobne dzikie uczucie powstać mogło tylko na tle zazdrości. W duszy chłopca nie mogło się ono zrodzić inaczej, jak pod wpływem celowej propagandy rosyjskiego czynownika lub politykującego niedouka. Zresztą chciwość ziemi, a raczej żądza posiadania ziemi, cechowała zawsze nasz naród; nie znikła ona i w odrodzonej Polsce z tą tylko różnicą, że ongiś zdobywano ją orężem na kresach, lub zabiegano przy dworze królewskim, gdy obecnie zdarzały się próby nabycia ziemi z kłonicą w rękę.

*

Rodzina moja należała do wybitniejszej szlachty, pochodzącej z Litwy, była spokrewnioną i skoligaconą z wielu dobrze zasłużonymi rodami. Pradkowie moi po mieczu garnęli się do szeregów; byli między nimi i politycy (Piotr D. M. w XVI w.). Dziad mój po kądzieli — Antoni Wierzbicki — zdobył rozgłos, jako oficer konnej artylerji w czasie wojen napoleońskich. Trzech D. M. było w Wielkiej Armji, z których jeden poległ w bitwie pod Lipskiem.

*

Wspomniałem o swych antenatach bynajmniej nie w zamiarze dowodzenia przewagi stanu szlacheckiego, a tylko w celu podkreślenia, iż pewne cechy charakteru, skłonności i zdolności zazwyczaj bywają dziedziczne, potwierdzając maksymę: „rodzaj zajęcia wpływa na ukształtowanie pojęć i cechuje charakter stosunków“.

Dzięki niemądrej propagandzie t. zw. „łyków“, przyznanie się obecnie do pochodzenia szlacheckiego wywołuje wśród przedstawicieli nowoczesnej demokracji gorsze wrażenie, niż udowodnienie zbrodni. Wybrańcy narodu, którzy decydowali o ustroju Odrodzonej Polski doszli w tem do śmieszności: — konstytucja nasza nie uznaje tytułów rodowych! Trudno zrozumieć komu i w czym one przeszkadzały, że trzeba było o tem aż w konstytucji wspominać. Czyż nie logiczniej byłoby je znieść? Widocznie ustawodawcom zabrakło śmiałości. Przypuszczać należy, że odpowiedni paragraf konstytucji został uchwalony, by nikogo nie krępować skrupułami, które wiążą ludzi, dbających o swoje pochodzenie i rodowe tradycje. Chybiło to celu! Osobiście stwierdziłem, że po uchwaleniu naszej konstytucji, grawerzy byli zasypani zamówieniami na sygnety dla różnych „Żołzikiewiczów“, wybierających sobie „signa“ z herbarzy lub za radą grawerów.

Sejm Ustawodawczy przeprowadził też ustawę o prawie zmiany nazwisk. W prędkim też czasie Sikora stał się Skrzetuskim, zaś Sruł Hozenduft przemienił się w Stanisława Jagiełło. Wielu szubrawców w ten sposób zatuszowało swą przeszłość.

*

Matka moja była córką wojskowego z epoki napoleońskiej, a później Królestwa Kongresowego, bardzo starannie wychowaną i wszechstronnie wykształconą. Była prawdopodobnie przez swego ojca surowo wychowana, wskutek czego i dla nas ogromnie wymagająca, od lat najmłodszych stosując nieomal wojskowy rygor. Rozkazy rodziców musiały być spełniane bezapelacyjnie. Matka nieraz mówiła nam: „urwisujcie się, zabijajcie się nawet, ale nie przysparzajcie rodzicom kłopotu“. Czuliśmy jednak aż nadto dobrze, jak bardzo jesteśmy kochani i rozumieliśmy również, iż najgorętszym pragnieniem matki było wychowanie nas na ludzi nieprzeciętnych. Będąc w młodości pod jej opieką, później korespondując z nią, pamiętam, iż zawsze przypominała mi, że jestem Polakiem i o ciężących z tego powodu obowiązkach, jak również o konieczności utrzymania nieskazitelnej tradycji naszego rodu. Ponadto wpajała we mnie wiarę w odrodzenie Polski, a w stosunku do kobiet rycerskość. Mimo wyrozumiałości na wszelkie ludzkie słabostki, nie szczędziła nam nauk moralnych. Jej to w dużej mierze zawdzięczam również, że wszelkie wysiłki rusyfikatorów, oraz podszepty propagatorów socjalistycznych nie zdołały zmienić moich poglądów na stosunki społeczne i życiowe.

Nie zostałem nigdy przez matkę uderzony, a jednak zawsze byłem posłuszny jej woli bez zastrzeżeń, gdyż umiała tak postępować, że każde jej niezadowolnienie lub uwaga były dla mnie najcięższą karą. Od ojca obrywałem dość często, lecz nie mogę stwierdzić, by różgi przyczyniały się do jakiegokolwiek zmiany. Odwrotnie, lzy matki, wywołane nprz. złem świadectwem ze sprawowania, sprawiały na mnie wstrząsające wrażenie i przyczyniały się do poprawy. Złe świadectwo wystawił mi właściciel stacji. Znienawidziłem go bardziej, niż pedagogów — Moskali, gdyż, oskarżając mnie, wymusił na ojcu przywilej dawania mi w skórę, z którego, niestety, nieraz korzystał.

Ojciec mój, po ukończeniu szkoły Marymonckiej, osiadł w rodzinnym majątku. Odziedziczywszy znaczną fortunę, przywykł do życia na szeroką skalę, lecz był niepraktyczny. Gdy wybuchło powstanie 63-go roku, powstańcy niejednokrotnie przyłapywali rosyjską pocztę pieniężną na trakcie między Sandomierzem, Opatowem i Ostrowcem, przy których leżały posiadłości ojca; Rosjanie zaś zmuszali okoliczne obywatelstwo do zwrotu zaginionych sum. Gotówki nie było; pożyczano ją na wysokie procenty u żydów, co silnie nadźsarpnęło ojcowską fortunę; musiał nawet sprzedać jeden majątek ziemski.

Po powstaniu ogólny stan ekonomiczny Kongresówki znacznie się pogorszył, szczególnie zaś po zniesieniu pańszczyzny. Część obywatelstwa potrafiła zastąpić pracę ludzką maszynami i zaczęła stosować sztuczne nawozy w celu podniesienia kultury i dochodowości ziemi, ale ojciec mój był człowiekiem starych poglądów: wierzył tylko w „Kasę — motor“ i „Wojtka — maszynę“. Nie potrafił zaradzić trudnościom nowych ekonomicznych warunków, co wkrótce musiało nas doprowadzić do zupełnej ruiny. Obie siostry moje

zdołano jeszcze jako tako wyposażyć. Ja, jako najmłodszy z rodzeństwa, dostałem w spadku zaledwie 800 rubli.

Jak to było w zwyczaju w domach szlacheckich, pani — matka dzieci nie karmiła. Wykarmiła mnie niejaka Marja Kwapiszówna, prosta wieśniaczka garbowska. Posiadane zalety i wady oczywiście przejąłem w znacznej mierze także od niej; ponieważ pochodziła z ludu, nabyłem też wiele jego cech. Twierdzenie niektórych, że jestem luźnie z polskością związany, dlatego, że długo przebywałem w środowisku obcem polskości i służyłem w armji zaborczej, jest płytkiem, wiecowem rozumowaniem. Rosjanie wielokrotnie mnie i moim braciom polskość wytykali.

Mamkę swoją pamiętam doskonale, bo byłem bardzo do niej przywiązany. Pod jej opieką pozostawałem do lat siedmiu; ona wtajemniczała mnie w różne sprawy, zaszczepiała obowiązek posłuszeństwa dla starszych, tej podstawy wszystkich wielkich poczynąń, oraz w dużej mierze przyczyniła się do tego, iż jestem człowiekiem wierzącym.

Gdy przyszedł czas oddania mnie do gimnazjum, Marysia zrobiła rodzicom scenę, twierdząc, że wysyłając w świat, skazują mnie na „zatracenie“. Interwencja jej nie pomogła, a czy uniknąłem „zatracenia“, niech łaskawy czytelnik sam osądzi.

Na wsi, gdzie przebywałem do lat 10, chwile wolne od nauki, zresztą bardzo skąpo wydzielane mi do osobistego rozporządzenia, spędzałem w towarzystwie rówieśników — wiejskich chłopców. Przeżycia owych chwil ograniczały się do biegania po wertepach w pogoni za ptakami, wiewiórkami i t. p. Niejednokrotnie też obrywałem ciągi, gdy to urwisowanie się przekraczało ściśle określony czas, lub wychodziło poza granice dopuszczalne, nawet jak na wiejską swobodę. Sprawiedliwość wymaga zadokumentowania, że gdy „paniczowi“ sypano w skórę we dworze, wtórowały temu wrzaski rówieśników ze wsi, którym ojcowie pasami także wszczepiali zasady życiowej mądrości.

W tym też okresie dobrze poznałem zalety i, niestety, liczne wady ludu, tej podstawy naszego narodu.

*

Tyle się nasłuchiwałem w dzieciństwie opowiadań o naszych bohaterach, iż nie wątpiłem, że Polacy są stworzeni tylko do czynów wyjątkowych, dodatnich. Życie, niestety, wiarę w to bardzo osłabiło. Gdym już nabrał doświadczenia, a przez naukę zdobyłem wiedzę, szczególnie po objęciu dowództwa nad I Polskim Korpusem, przyszedłem do przekonania, iż najtrudniejszym narodem do kierowania jest nasz naród, jednakowo czy chodzi o ludzi z wykształceniem, czy bez.

Rodakami w zwartej masie kierowałem od 1917 r. i niejednokrotnie przeżywałem z tego powodu przykre chwile.

Niemcy czy Rosjanie podporządkowują się bez zastrzeżeń obranym lub wyznaczonym kierownikom, jest to powszechnie znane. Taki naprz. Bismarck był i pozostał bożyszczem¹⁾. Kutuzow omal jeszcze za życia był uświęcony²⁾. My natomiast uznajemy autorytety dopiero po długich latach, po przejściu ich do historii. Każdy z nas ma się za coś lepszego, za mądrzejszego od innych; chce koniecznie kierować i uczyć wszystkich, uważając się za predystynowanego do objęcia najwyższych stanowisk. Byłe wypędek z gimnazjum sięga z lekkim sercem po tekę ministerjalną, rachmistrz po posadę dyrektora banku, pisarz gminny po posadę wojewody; rolnik mędrkuje nad kwestjami dotyczącymi inżyniera, lekarz nad sprawami wojskowemi i t. d.; jeden ród wynosi się nad drugim, bo o 50 lat wcześniej otrzymał indygenat. Krytyka wszystkich nad wszystkim góruje, przyczem nie brak powierzchownego traktowania rzeczy. Słowa „zdrajca“ używa się często bez zastanowienia się nad jego znaczeniem.

Lubimy twierdzić, że jesteśmy indywidualistami. W rzeczywistości tak nie jest. Często i chętnie w przeciętnym blagierze (byłe powtarzał sakramentalne słowa: „demokracja“, „lud“, „socjalizm“, „równość“, „sprawa społeczna“) widzimy „człowieka opatrnościowego“. A choć takich mieliśmy już kilkunastu, nie mogłem niestety dopatrzeć się w nich indywidualności!...

Pewien wybitny Rosjanin tak scharakteryzował Polaków: „nie znosicie wędzideł i stale jesteście gotowi do buntów“. Definicja ta wydaje mi się słuszną. Opinia o wiecznej gotowości naszej do awantur utrwaliła się dość mocno z naszej historii (ustaliło się nawet wyrażenie — „bigosować“), oraz z literatury cudzoziemskiej. Nie było rewolucji na świecie, w którejby Polacy nie brali udziału. Polskie pochodzenie przypisywano nawet rosyjskim anarchistom³⁾.

Skromność nie jest naszą zaletą, a dyscyplinę tylko z trudem udaje się zašczepić masom. Ujemne cechy, pokutujące w naszym narodzie, tłumacząc brakiem zdolności do głębszej analizy. Wielu spotykałem ludzi, którzy pienili się ma samo wspomnienie o naszych królach lub szlachcie, zapominając, że tylko dzięki nim nazywamy się Polakami. Rzadkie mamy też przykłady szczerego i bezinteresownego przywiązania. Takie typy jak Sienkiewiczowski Soroka lub Luśnia są wyjątkami.

Za to gotowość do wystąpień, graniczących z szaleństwem, jest zjawiskiem prawie powszechnem. Taki czyn, jak atak pod Samosierrą, nie jest wyjątkiem. Kroniki armij byłych państw zaborczych wspominają o wielu podobnych zda-

¹⁾ Niema w Niemczech znaczniejszego miasteczka, gdzieby nie było pomnika Bismarcka.

²⁾ Patrz Puszkina wiersz: „Przed świętym grobowcem...“

³⁾ Patrz powieść Turgieniewa: „Ojcowie i dzieci“.



rzeniach, że tu wskażę Polaka, niejakiego Lubowickiego, który doszedł do wysokich stanowisk w armji rosyjskiej. Podczas wojny 1854 r. (Krymska kampanja) tenże Lubowicki, będąc jeszcze młodym oficerem, wyrzucił z prochowni bombę, która tam wpadła i nie zdążyła jeszcze wybuchnąć. Było to coś podobnego do wypadku podczas obrony Częstochowy (postać powieściowa). Mógłbym przytoczyć z pamięci takich wypadków kilka.

Liczne czyny bohaterskie naszych przodków nie uchroniły Polski od rozbiorów, a nawet wywołały przykre określenia, przypisywane cesarzowi Mikołajowi I: „jeden Polak to bohater, dwóch to konspiracja, trzech — jeden jest zawsze denuncjatorem“. Słowem, „rezolutow“ nie brak...

Podobno jesteśmy patriotami. Nie można temu zaprzeczyć. Ale czy niema tu więcej uczucia, niż świadomości? Niewola, wpływy zaborców, szczególnie robota pp. od międzynarodówki zaszczyliły nam pierwiastek materjalizmu; patriotyzm znika. Na skutek zdarzeń doszedłem do przekonania, że robotnik nie rzadko za złotówkę zapaskudzi własne łóżko, chłop za morgę gruntu zamorduje ojca, inteligent zaś częste za posadę zrzeknie się swych przekonań. Na usunięcie tego materjalizmu trzeba skierować wysiłki całego naszego Narodu.



Jako dziecko, uczyłem się pod kierunkiem guwernantki, panny Emilji Stano; języka rosyjskiego, niezbędnego przy wstąpieniu do gimnazjum, udzielał mi niejaki p. Dąbrowski, nauczyciel ludowy ze wsi Góry Wysockie. Jeździłem na lekcje konno lub chodziłem pieszo, robiąc ze cztery kilometry w jedną stronę, co wszak dla dziecka było niemało.

P. Stano nie żałowała mi cięgów, nietylko za złą naukę, ile za psoty. Nie mam do niej pretensji. Była to już osoba starsza, bardzo dbająca o moją moralność. Szybko zorjentowałem się w jej słabostkach i robiłem rozmaite psikusy, nietylko z własnej inicjatywy, ile pod wpływem starszej siostry. Pamiętam, że kiedyś namówiła mnie i brata, żebyśmy przy wejściu nauczycielki do klasy krzyknęli „kofjel“. Co znaczyło to słowo, do dziś nie wiem, ale za tę demonstrację oberwaliśmy rzetelnie.

Od siódmego roku życia przebywałem w samotności; starsze rodzeństwo widziało we mnie berbecia, a rówieśnicy wiejscy byli już zajęci pracą przy gospodarstwie. Na wspólne baraszkowanie czasu nie było. Wychowywałem się samotnie; przyczyniło się to do wyrobienia odwagi, zmysłu spostrzegawczego i krytycznego. Matka ze swej strony dokładała starań, aby wyrobić we mnie samodzielność. W tym celu dawała mi różne zlecenia, posyłając na kucu do sąsiedniego miasteczka Zawichosta po pocztę, po lekarstwa lub drobne zakupy, jak również z listami do sąsiadów.

Podczas takich wycieczek bywałem nieraz w niebezpieczeństwie i musiałem sam sobie radzić. Raz np., wracając z Zawichosta, trafiłem na burzę

z ulewą; strumyk, przez który trzeba było przejechać zaraz za miasteczkiem, wzbierał gwałtownie i o mało w nim nie utonąłem. Wróciłem okrężną drogą, nadrabiając ze 20 kilometrów, późnym wieczorem; w domu mieli mnie za zaginionego. Innym razem pojechałem zobaczyć, jak rozlała rzeczka Opatówka. Było to w końcu lutego i lód dopiero spłynął. Gapiąc się na wodę, wypuściłem lejce; kucowi nagle przyszła fantazja przepłynąć na drugą stronę. Wrócić na piechotę do domu, znaczyło napewno oberwać, przedostałem się przeto wpływ przez rzekę. Uniknąłem skórobicia, ale dotychczas nie mogę zrozumieć, w jaki sposób kąpiel ta uszła mi bezkarnie.

Jako résumé moich pierwszych 10 lat życia stwierdzić mogę, iż trzymano mnie krótko i obchodzono się ze mną surowo, nie wychowując mnie na lalusia. Mimo, że byłem dzieckiem zamożnych rodziców, pieniędzy wcale nie otrzymywałem; jedynie siostra matki, ciotka Zofja Horodyńska, obdarzała mnie od czasu od czasu guldenem. Zabawek też prawie nie miałem; były one w owe czasy drogie i rzadkie. Również książek było bardzo niewiele — prenumerowano tylko „L'ami des enfans“ i kupowano „M-me de Ségur“. Posiadałem pręty z leszczyny, które mi pierwotnie zastępowały konie, a później dostałem kuca. Szczytem moich marzeń była piszczałka — kogutek za jeden grosz, kupowana na odpuszcie parafjalnym. Tej masy łakoci, jakie teraz dzieci nasze dostają, na wsi nie było. Zdarzało się, że przywożono z Sandomierza twarde, jak kamień, karmelki, zato orzechów i miodu mieliśmy w dowolnej ilości.

*

W dzieciństwie mojem wywarła na mnie wielkie wrażenie mogiła powstańcza, znajdująca się przy szosie między Sandomierzem a Słupczą; był to kopiec obramowany kamieniami. Zauważyłem go przypadkowo, jadąc z matką i spytałem, co by to być mogło? Była to wspólna mogiła poległych z oddziału Czachowskiego, których Rosjanie zmasakrowali. Nieco dalej, na górze, widniał wysoki, wysmukły krzyż z krótkimi ramionami. Zapewne jakiś powstaniec, będąc wyczerpanym, odbił się od partji lub może, ratując się, zginął, doścignięty przez wroga; na jego grobie ktoś postawił krzyż z nieociosanego drzewa. Ten oto właśnie krzyż nasunął mi myśl w 1918 r. stworzenia na jego wzór odznaki I Polskiego Korpusu, przez co związałem czyny pierwszego wojska polskiego z czynami powstańców 63 roku, wśród których był też wuj mój, Tomasz Wierzbicki.

*

Gdy skończyłem 10 lat, zdecydowano, że jestem dostatecznie przygotowany do rozpoczęcia nauk w gimnazjum. Ojciec odwiózł mnie do Radomia. Na egzaminie okazało się, że mało umiem, dlatego też przyjęto mnie tylko do wstępnej klasy. Umieszczono na stancji u jakichś, rzekomo krewnych —

„dziesiąta woda po kisielu“. Zostałem tam już trzech uczniów. Ulokowano nas wszystkich w jednym pokoju, będącym jednocześnie wspólną jadalnią całej rodziny; karmiono przeważnie „prazuchą“. Pościel składała się z siennika, skórzanej poduszki, prześcieradła i koca, — wszystko to było znacznie gorsze, niż w dobie obecnej ma zwyczajny szeregowiec; jedynie insektów było bodaj tyleż. Oczywiście wpadłem, dzięki względem na pokrewieństwo.

Po roku oddano mnie na inną stancję, do niejakiego p. Idżkowskiego. Był to urzędniczy „gubernskawo prawlenia“ i zarazem spryciarz nielada. Utrzymywał liczną, rzekomo pierwszorzędną stancję, z „językami“. Karmiono tam nieźle, ale obdzierano jeszcze lepiej; uczniów lokowano systemem „kojców dla gęsi“, t. j. po 4—5 w jednym pokoju.

*

Z chwilą wstąpienia do gimnazjum rozpoczęła się we mnie wewnętrzna walka: między z jednej strony, wpojoną przez matkę koniecznością pilnej nauki, a z drugiej — ówczesnym rosyjskim systemem nauczania, oraz widoczną tendencją utrzymujących stancję do eksploataowania kieszeni naszych rodziców i paczenia cech naszego charakteru. System nauczania w latach sie-



J. D. M. — jako uczeń klasy wstępnej.

demdziesiątych, kiedy w b. Kongresówce na czele oświaty stał Apuchtin, jest powszechnie dobrze znany i szczegółowo opisany. Nauczycielami w gimnazjum w Radomiu byli zarówno Polacy, jak i Rosjanie; pierwsi, wykładając przeważnie języki i matematykę, mały wywierali wpływ na uczniów, ponieważ byli i zastraszeni i szpiegowani. Drudzy, przeważnie popowicze¹⁾ z pochodzenia, wykładali historję, geografję, oraz język rosyjski. Z pośród nich wyróżnił się niejaki Strietenski, który celował w wyłapywaniu uczniów, mówiących w szkole po polsku, oraz w ordynarnym sposobie bagatelizowania i wyśmiewania wszystkiego, co polskie; wpajał w nas przekonanie, że Polska wogóle nie istniała, a Polacy to tylko szczep słowiański, korzystający z dobrodziejstw i kultury rosyjskiej. O naszych naro-

¹⁾ O nich niżej. Rozdział III.

dowych bohaterach, względnie o historycznych faktach, opowiadanych nam przez matki od lat niemowlęcych i które przenikały do świadomości dziecięcych umysłów jako chluba Narodu, odzywał się lekceważąco.

Cóż mogły dzieci robić i jak na takie postępowanie reagować? Wszak to była szkoła, która pracowała nad deprawowaniem charakterów i zachwianiem wiary w odrodzenie Polski, tembardziej, iż widzieliśmy stale dowody potęgi Rosji: jej liczne wojsko (które tak niedawno stłumiło powstanie polskie i zwyciężyło Turków), policję, oraz tajemniczych żandarmów. W domu, oraz cichaczem na stancji, opowiadano nam o istniejącem kiedyś polskiem wojsku i o byłej potędze Polski. Już wówczas jako malcy przysięgaliśmy sobie, że pomścimy utratę wolności i doznawane upokorzenia. Jednakże sposób urzeczywistnienia tego ślubowania pozostał poza naszą świadomością. Zgnieść taką potęgę, jak chociażby garnizon Radomia (poza to miasto wyobraźnia nasza nie sięgała), przedstawiający masę żołnierzy i armat, można było tylko za pomocą broni, ta zaś w owe czasy była bardzo trudna do zdobycia! Nawet na myśliwską fuzję trzeba było mieć specjalne pozwolenie. (Na posiadaczy broni policja patrzyła bardzo podejrzliwie (przecież powstańcy byli uzbrojeni przeważnie w fuzje myśliwskie). Zbieraliśmy pokryjomu, co wpadło do rąk: jakieś powstańcze zardzewiałe pistolety i przedpotopowe sztylety. Rzeczywistość jednakże hamowała nasze porywy. Dorośli, którym zwierzałyśmy się z chęci i zamiarów, odpowiadali zachęcająco: „Jesteście smarkacze, ucicie się, a jak wyrosiecie sami zrozumiecie czy można podołać potędze zaborczej“ i konfiskowali naszą broń. Takie postępowanie wywoływało w nas różne uczucia, od poczucia bezsilności do rezygnacji.

Większość, utrzymujących stancje (jak nazywano wówczas konwikty) patrzyła na pochodzących ze wsi, jako na źródło polepszenia swego bytu. Ci panowie używali swoistych sposobów, by wyludzić jak największą zapłatę za utrzymanie. System ich postępowania polegał na tem, że wszelkie dziecinne, zupełnie zrozumiałe wybryki, wynosili niemal do rozmiarów zbrodni, straszając rodziców, iż uczeń zostanie wyrzucony ze szkoły z t. zw. „wilczym biletem“.

Gospodarcze warunki w kraju były wówczas nieszczególne. Ziemiaństwo z trudnością dostosowywało się do nowych warunków, wytworzonych przez zniesienie pańszczyzny i uwłaszczenie włościan. Wielu bankrutowało lub przenosiło się do miast. Kto ocalał, ten marzył o skierowaniu dzieci do t. zw. zawodów wyzwolonych, na doktorów, inżynierów i t. p. Wyrzucenie więc z gimnazjum groziło delikwentowi powrotem na rolę, do chwiejących się finansowo majątków. To też, gdy rodziców straszono perspektywą wydalenia dziecka ze szkoły, ci ratowali sytuację tem, że podnosili płacę za utrzymanie, prosząc właścicieli stancyj o protekcję i litość.

O mnie ustalono opinię, że jestem zdolny, ale uczę się niechętnie, a zach-

wuję się, o zgrozo, niemożliwie! Jak zaznaczyłem, trafiłem do gimnazjum w okresie rozkwitu systemu apuchtinowskiego, który miał na celu, za pomocą gnębienia młodzieży nauką języków starożytnych i przez fatalny dobór nauczycieli, przepuścić przez gimnazjum jak najmniejszą ilość uczniów. System nauczania był tak zły, że np. łatwego przedmiotu, jak geometria, dopóty zrozumieć nie mogłem, dopóki brat mój Konstanty nie wyjaśnił mi jej zasad. Inne nauki szły mi dobrze, z wyjątkiem greki. Ta była moim istotnym utrapieniem, gdyż zadawano ją w olbrzymich ilościach: „odtąd — dotąd“, bez objaśnień. Nie mogłem podolać robocie i szczerze życzyłem, by wszystkich Greków djabli wzięli. Do dziś dnia, gdy wspomnę gramatykę grecką, przechodzą mnie dreszcze. Z wiekiem nie nabyłem sympatii ani do tego języka, ani do narodu greckiego. Z własnego doświadczenia przekonałem się o prawdziwości przysłowia: „Cygan oszuka Żyda, ale Cygana tylko Grek“. Greka też stała się przyczyną porzucenia przeze mnie gimnazjum, tem samem zaś kraju i rodaków na przeciąg trzydziestu trzech lat.

Wracając do mego złego zachowania się w gimnazjum, to rzeczywiście, charakter mój, żywy i nieustępliwy, był przyczyną częstych bójek z kolegami. Czy było w tem jednak coś tak bardzo zdrożnego? Jednakże właściciel stancji pisywał do rodziców: „kiedybym nie wszedł do stancji, Józio zawsze kogoś grzmoci“!

Moi rówieśnicy i ja zorientowaliśmy się prędko co do wartości naszych pedagogów, to też urządzaliśmy im kocie muzyki i rozmaite figle. Skutki były znane: „kozy“, czyli areszty, polegające na zatrzymywaniu w klasie po ukończonych lekcjach na 1—2 godziny, co pociągało za sobą pozbawienie obiadu na stancji. Właściciele stancji wiedzieli, że uczeń jest zatrzymany, więc powiększali tym sposobem karę... Coprawda, z „kóz“ niewiele sobie robiłem. Uciekałem zwykle, wyskakując przez okno, raz nawet z drugiego piętra. Pedle byli przerażeni, nie zastając mnie po skończonej karze w „kozie“; groziła im przed „naczalstwem“ odpowiedzialność za ucieczkę ucznia, oraz przed rodzicami, w razie nieszczęśliwego wypadku, za złe pilnowanie ukaranych.

Mimo dużych trudności ukończyłem cztery klasy; skończyłbym oczywiście i osiem, ale cóż mogłem dalej robić? Wstąpić na uniwersytet? Do żadnego wolnego zawodu nie czułem powołania; pociągało mnie tylko wojsko. Matka namawiała mnie, żebym został inżynierem komunikacji; ta perspektywa uśmiechała mi się również, bo zawód ten pozwalał pracować poza miastem, którego nie lubię.

Po zasięgnięciu informacji wyjaśniło się, że, aby wstąpić do Instytutu Komunikacji, należy zdać konkursowy egzamin i znać gruntownie matematykę (którą w gimnazjum źle wykładano). Projekt zatem został zaniechany, ale nie zaniechano myśli wydostania mnie ze szkolnego apuchtinowskiego bagna.

Wiadomem było, że Polakom w głębi Rosji jest lepiej, niż w Kongresówce, w której byle policjant „objezdczyk“ robił, co mu się podobało, szczególnie zaś na wsi, gdzie bywał panem nieomal wszechwładnym. W każdym razie przedewszystkiem należało szkołę średnią ukończyć, bo bez tego nie było można się specjalizować. Oddawać do V klasy gimnazjum w Petersburgu z powodu greki było bezcelowem. Pozostawało więc tylko wypróbowanie szkoły wojskowej, gdzie zamiast „greki“ była — „dyscyplina“. Na podstawie orzeczenia moich wychowawców „należało wziąć mnie w karby“, gdyż, rzekomo bez tego, „nie można sobie było ze mną dać rady“. To zadecydowało. Postanowienie co do mojej przyszłości dowodzi, w jak trudnych warunkach kształciły się w owe czasy dzieci polskie, jak nisko stała pedagogja, oraz jak bardzo społeczeństwo polskie było wystraszone i zdeзорjentowane w atmosferze popowstaniowej, którą tylko ludzie niesumienni skwapliwie wykorzystywali.

*

Ludzie nieprzychylni stale mi wytykają, że mówię źle po polsku. Otwarcie się do tego przyznaję, mam jednak wiele na swoje usprawiedliwienie. Do 10 lat byłem w środowisku czysto polskim; w domu rodzicielskim nikt po rosyjsku nie umiał. Z urzędnikami czy policją rozmawiano przeważnie na migi; język polski, geografję i historję przechodziłem w zakresie dostępnym dla dzieci. Lata więc dziecinne były tylko początkiem znajomości języka ojczystego. Od jedenastego roku byłem w gimnazjum, mieszkalem na stacji polskiej i poza szkołą mówiłem po polsku; ale w szkole wykłady odbywały się po rosyjsku co już utrudniało wysławianie się w języku polskim. W niższych klasach uczono wprowadzić języka polskiego, ale, pożałuj Boże, jaka to była nauka! Gramatyki i literatury nie wykładano; robiliśmy jedynie tłumaczenia z rosyjskiego na polski, lub odwrotnie, czasami pisaliśmy dyktanda i, pamiętam doskonale, cała klasa robiła w nich mnóstwo błędów. Obecnie też mało kto zna dobrze polską pisownię, która nota bene dotąd nie jest jeszcze ustaloną.

Mając 14 lat, wstąpiłem do Korpusu Kadetów. Odtąd okazję do mówienia po polsku miewałem tylko w soboty, bywając w te dni w domach polskich. Podobnie działo się w czasie mego pobytu w szkole wojskowej. Po awansie na oficera i osiedleniu się w głębi Rosji, rzadko miałem sposobność mówienia w języku ojczystym; stan ten trwał z górą 30 lat, aż do powrotu do Polski. Stwierdzam, że ci rodacy, z którymi miałem wówczas możność rozmawiania, nie lepiej ode mnie władali polskim językiem, a jednak my wszyscy stale o Polsce myśleliśmy, kochaliśmy Ją napewno nie mniej od tych, którzy w Niej bez przerwy mieszkali. Jaskrawym przykładem tego jest jen. Iwaszkiewicz. Życie jego pod względem narodowościowym, przeszło w warunkach wyjątkowo trudnych: był synem wygnańca, urodzony i wychowany na Syberji. Jednak

jeden z pierwszych opuścił wojsko rosyjskie, by wstąpić do I Polskiego Korpusu. Dowodzi to, że błędy w wysławianiu się nie zawsze są dowodem wynarodowienia i nieraz zakaz uczenia się mowy ojczystej może wzbudzić większe przywiązanie do swego kraju, niż możliwość uczenia się języka ojczystego. W historii polskiej znajdujemy niemało przykładów, potwierdzających powyższą tezę; że tu wymienię ks. Józefa, zwanego „niemieckiem książątkiem“ oraz Henryka Dąbrowskiego, ożenionego z Niemką i mówiącego fatalnie po polsku, jak również i wielu Polaków na Ziemiach Wschodnich, którym patriotyzmu chyba odmówić nie można. Dlatego też, zdaniem mojem, źle postępują ci, którzy, nie znając warunków egzystencji Polaków w Rosji, krytykują ich. My zaś tych krytykujących, którzy niezależnie od siebie lepiej nasz język posiadają, mamy częstokroć prawo zapytać, czy więcej od nas dla Polski zrobili, lub czy cokolwiek dla niej poświęcili?

Ja osobiście, byłem w nieco lepszych warunkach, gdyż ciotka Czernicka, przysyłała mi „Biesiadę Literacką“. Pocztowe pismo krzepiło ducha w Narodzie, co miało, jak na owe czasy, duże znaczenie. W Petersburgu, dzięki kole-dze Polewomowi, synowi znanego liberała rosyjskiego, pożyczałem z redakcji polskie pisma i do 1886 r. miałem możliwość czytania po polsku.

II

KU POWOŁANIU WOJSKOWEMU

Po decyzji oddania mnie do szkoły wojskowej, zostałem wysłany do Petersburga z nadzieją, że świadectwo z ukończenia 4 klas gimnazjum klasycznego otworzy mi wstęp do V klasy korpusu kadetów. Okazało się jednak, że tamtejszy program nauk i poziom nauczania zasadniczo różnił się od radomskiego przez uwzględnienie w szerokim zakresie matematyki, nauk przyrodniczych i języka niemieckiego. Tego ostatniego w gimnazjum nie uczyłem się, bo był u nas w domu w pogardzie¹⁾. Oddano mnie więc do pensjonatu oficera — wychowawcy jednego z korpusów petersburskich, który obiecywał, że przygotuje mnie do VI klasy. Oficer ów żył po wielkopańsku. Abonował stałą lożę w operze włoskiej i trzymał konie wyjazdowe. Miał z czego czerpać, bo oprócz mnie przygotowywał jeszcze pięciu takich jak ja aspirantów, pobierając od każdego, od stu do trzystu rubli miesięcznie, wtedy, gdy jego urzędowa pensja wynosiła zaledwie 80 rubli i mieszkanie. Wychowywał nas po spartańsku: sypialiśmy w pokoju ogólnym, dostawaliśmy nader skromne jedzenie i musieliśmy uczyć się sami, bez pomocy.

Po rocznym pobycie w pensjonacie, przystąpiłem do egzaminu i ściałem się z języka rosyjskiego. Prócz słabej ortografji posiadałem szpetną wymowę. Dopiero po dwóch miesiącach, przy powtórnym egzaminie, powiodło mi się lepiej. Byłem z tego bardzo dumny. W przeciągu roku uzupełniłem nietylko to, czego się uprzednio nie uczyłem i przestudjowałem kurs V-klasy, ale co najważniejsze, opanowałem język rosyjski o tyle, że już mogłem swobodnie się wystawiać (choć jeszcze z brakami w akcencie).

Był to rok (1884/5) najtrudniejszy w mojem dzieciństwie. Oderwany od rodziny i kraju, przeniesiony do zupełnie obcego środowiska, czułem się osamotniony, a na dobitkę na każdym kroku wyczuwałem niechęć Rosjan do siebie. W społeczeństwie rosyjskiem dobrze jeszcze pamiętano powstanie 63 roku i trudności związane z jego likwidacją.

Owego pamiętnego roku prawie nigdzie nie bywałem. Nikogo też w Petersburgu nie znałem, oprócz rówieśnika z Wileńszczyzny, niejakiego Zawiszy, który u innego oficera czy urzędnika przygotowywał się także do szkoły wojskowej. Ponieważ mieszkaliśmy na tym samym korytarzu olbrzymiego gmachu I Korpusu Kadetów (przy ul. Spasskiej na Petersburskiej Stronie), od czasu do czasu chodziłem do niego na pogawędkę. Prócz niego

¹⁾ „Nie wiadomo, gdzie się kończy Niemiec, a zaczyna Żyd”. (Napoleon).

znałem i widywałem jeszcze dość często niejaką pannę Teresę Zakrzewską, wilniankę, która nam udzielała lekcji języka francuskiego. Może nabawiłbym się melancholji, gdyby nie owa zacna kobieta, która udzielała mi praktycznych rad i wskazówek, jak mam się zachowywać w obcym i wrogiem środowisku. Sama będąc patriotką, troskliwie zwracała mą uwagę na bardzo dobrze zamaskowane dążenia rasyfikatorskie rządu. Wychowawcy zalecali nam lekturę pisarzy, którzy tendencyjnie zohydzali wszystko, co polskie. Panna Zakrzewska, w sposób umiejętny, potrafiła zawsze przeciwstawić każdemu autorowi rosyjskiemu, któregoś z naszych pisarzy tak, iż podczas wszelkiego rodzaju pochwalnych wykładów o Rosji doskonale orjentowałem się, gdzie się kończy prawda, a gdzie zaczyna się kłamstwo. Za to w stosunku do p. Zakrzewskiej zachowałem najgłębszą wdzięczność i, przyznając szczerze, że gdyby nie ona, to kto wie, może mógłbym być się nawet wy narodowić.

Później, kiedy już zdołałem nabrać większej praktyki życiowej, doszedłem do przekonania, że wszelkie zakusy rasyfikatorskie i germanizatorskie rozbiły się o zasady, wpajane w nasze dusze i serca przez polską kobietę: nasze matki, siostry, nauczycielki. Polka okazała się silniejszą od Bismarcka i Pobiedonoscewa wraz z całym ich aparatem państwowym i olbrzymiami środkami wynaradawiania. Rola mężczyzn w tej walce do pewnego stopnia była drugorzędna. Byliśmy niejako jakby narzędziem w ręku kobiety, która moralną swą siłę czerpała z wiary w sprawiedliwość dziejową i z nauki Kościoła. Jeżeli znamy Orzęwskich, Paczeńskich i innych ludzi polskiego pochodzenia, ale nie przyznających się do swej narodowości, to tylko dlatego, że matki ich nie były Polkami.

*

Pozwalam sobie tu omówić pewną sprawę, dotyczącą matek poległych o Sprawę Polską.

Mamy tysiące mężczyzn i to w ostatnich czasach nie byle jakich, bo rzęsiście udekorowanych rozmaitymi krzyżami i medalami za czyny bohaterские. Muszą więc być bohaterami.

Weszło w zwyczaj nazywać bohaterami poległych na polach bitew, jak to się u nas mówi „na polu chwały“.

Za Polskę legły setki tysięcy. Im zawdzięczamy dzisiejszą wolność. Nie wiele jednak się tem przejmujemy.

Francja wzniosła mogiłę „Nieznanego Żołnierza“. Cały świat, w tej liczbie i my, poszliśmy za jej przykładem i na tem koniec! Bądź co bądź o poległych pomyślano! Mało jednak kto zastanawia się nad tem, że każdą ofiarę życia ktoś najbardziej przebolewał, opłakał, i wyczuł najdotkliwiej. Są to niewątpliwie matki poległych.

Cóż za to matki mają? Posiadają prawo do noszenia... żałoby.

Jeżeli żyjący bohater nosi na piersi odznaki za waleczność, to każda matka poległego na polu chwały winnaby posiadać prawo do noszenia jakiejś odznaki, któraby ją zaszczytnie wyróżniła wśród innych kobiet. Mogą mi oponować, że nie każdy poległy był bohaterem i że śmierć mogła nastąpić wypadkowo. Tak! ale ofiara dla ogółu pozostaje bez śladu, a tak być nie powinno.

Dlatego też w swoim czasie, jako wódz Armji Wielkopolskiej, przedłożyłem Komisarjatowi Naczelnej Rady Ludowej projekt odznaki dla matek poległych; znalazłem wtedy całkowite zrozumienie.

Miałem srebro, ofiarowane mi przez Wielkopolan, na potrzeby wojska. Były to przeważnie monety obiegowe państw zaborczych. Kazałem z nich porobić krzyże. Każdej matce poległego wydawano taki krzyż, razem z patentem. Rozeszło się ich przeszło półtora tysiąca. Oczywiście nie wszystkie matki otrzymały odznakę, lecz liczba krzyży choć w przybliżeniu wskazuje, ilu w latach 1919 i 1920 poległo Wielkopolan w walce o Wolność.

Deklaracja Komisarjatu brzmiała następująco:

„W walkach o oswobodzenie Wielkopolski wiele widzimy przykładów bohaterstwa u naszych żołnierzy. Idą w bój z radością i poświęcają życie swe za Ojczyznę.

Że mimo wiekowej niewoli i ucisku krzyżackiego miłość Ojczyzny i bohaterstwo Wielkopolan nie wygasły, jest to zasługa w największej mierze matek Polek, które wszczepiły w dzieci swe rycerskość, patriotyzm i ukochanie kraju.

Cześć więc matkom bohaterów!

Oceniając ich zasługi, które stały się podwaliną naszych sił zbrojnych polskich, a zarazem chcąc choć w małej mierze wynagrodzić im lzy i cierpienia po stracie synów, ustanawiamy znak pamiątkowy dla matek poległych w walkach o kresy polskie.

Statut znaku.

1) Znak pamiątkowy (według załączonego wzoru z napisem: „Wielkopolska matkom poległych“), otrzymuje każda matka, której syn poległ w walkach w czasie od 27 grudnia 1918 r.

2) Znak wydaje się wraz z patentem imiennym, podpisanym przez Głównodowodzącego i opatrzonym numerem kolejnym.

3) Osoby, nie posiadające patentu, znaku nosić nie mają prawa.

4) Znak nosi się na piersi po lewej stronie.

5) Po śmierci osoby, upoważnionej do noszenia znaku, przechodzi on do spadkobierców bez prawa noszenia, jedynie jako pamiątka rodzinna.

6) Wyrabianie i sprzedawanie znaku bez specjalnego pozwolenia Dowództwa Głównego jest surowo wzbronione.

Opis znaku.

Znak ma kształt krzyża „Virtuti Militari“, ze srebra z czarnymi obwódkami na ramionach, z czerwonym okrągłym polem pośrodku, na któ-

rem znajduje się Orzeł Biały. Krzyż położony jest na złotym wieńcu laurowym. Wielkość średnicy krzyża 33 milimetrów.

Załącznik: wzór krzyża.

Komisarjat Naczelnej Rady Ludowej:

Wacław Poszwiński, X. Adamski, Wł. Seyda.

Głównodowodzący: Dowbor Muśnicki, generał piechoty.

*

Sprzecznosci życiowe już od wczesnej młodości wyrobiły we mnie zmysł krytyczny, spotęgowały sceptycyzm i zmusiły do zamknięcia się w sobie. Nigdy nie miałem skłonności do wynurzeń! Nie zrodziło się też we mnie uczucie nienawiści lub odwrotnie bałwochwalstwa wobec wszystkiego, co jest rosyjskie lub niemieckie, ani zachwyt lub pobłażliwość dla wszystkiego, co polskie. Przekonałem się, że Polacy i Rosjanie skłonni są bardziej do popełniania nielogiczności we wzajemnych stosunkach, niż do dążenia do wzajemnego zrozumienia się.

Uwagę tę czynię mimochodem, aby postępowanie moje w przyszłości było łatwiej zrozumiałe dla czytelnika.

*

Przyjęto mnie do VI klasy Korpusu Kadetów imienia Mikołaja I w Petersburgu. Program nauki był tam ten sam, co i w innych korpusach. Różniliśmy się tylko umundurowaniem, na wzór kawalerji gwardji, obowiązkowymi lekcjami konnej jazdy i opłatą za naukę, trzykrotnie wyższą. Stypendjów było niewiele, kilka ufundowanych przez Polaków. Korpus mikołajewski nie cieszył się zbytnią sympatją ogółu, prawdopodobnie dlatego, że w innych korpusach (było ich 22) przeważał element demokratyczny, t. zw. „burboński“¹⁾, gdy w Mikołajewskim wychowywali się synowie zamożnej inteligencji. Z tego powodu przezywano nas ironiczne „mon cher‘ami“.

Gdy po raz pierwszy przekroczyłem próg korpusu, doznałem przykrego uczucia.

*

Zanim jednak o tem opowiem, opiszę wrażenie, jakie na sąsiadach-ziemiach wywarła decyzja rodziców umieszczenia mnie w szeregach armji rosyjskiej. Starszy mój brat Konstanty już od 1878 r. był oficerem gwardji, na co niechętnie patrzano. Ale gwardja rosyjska miała pewną aureolę oraz piękny mundur, zresztą bardzo podobny do munduru wojsk Królestwa Kongresowego, które jeszcze wtenczas wielu ludzi pamiętało. To też niejeden, pokręciwszy nosem, nie mógł oderwać oczu od niego. Ale ja byłem już drugim dzieckiem z tej samej rodziny, oddanem do służby w wojsku rosyjskiem, więc

¹⁾ Burbon znaczyło tyle, co cham. Patrz „R. 1848“ Jana Scherr’a.

zakrawało to, jakby na manję rusofilstwa. Oddanie mnie do rosyjskiej szkoły wojskowej uważano niemal za zdradę narodową; potępiano nie tylko rodziców ale i nas samych. Dlatego też stosunki sąsiedzkie z nami podtrzymywano wprawdzie, ale w sposób oziębły. Co prawda, mało to nas wzruszało. Ponieważ zaś niektórzy sąsiedzi nie powstrzymywali się od głośnego wypowiadania swych poglądów, na tem tle wynikały nieporozumienia. Zdziawiająca rzecz, krytykowano przeważnie tylko wojsko, mniej zaś cały aparat państwowy. Jedynie rodzina pp. Wincentowstwa Karskich (nasi najbliżsi sąsiedzi) nie zmieniła swego stosunku do nas.

Potępienie służby w wojsku rosyjskiem było nielogiczne. Rosja była jednym z państw zaborczych i do każdego zaborcy trzeba było stosować pod każdym względem jednakową miarę. Jednakże tak się nie działo. Bardzo wielu Polaków, i to z wybitniejszych rodzin, służyło w armji niemieckiej, szczególnie zaś w austriackiej; przecież w niej było aż czterech moich braci ciotecznych. Nikt im tego nie poczytywał za złe. A przecież Sybir nie był czemś gorszem od systemów gnębienia w Prusach (Września) czy Austrii (rzeź 1846 r.). Dlaczego więc inżynier, doktor i t. p. mógł zajmować w Rosji posadę rządową, mówić po rosyjsku i za to go nie potępiano, jedynie zaś służba w wojsku — również instytucji państwowej — była zohydzana?

Odbywanie służby wojskowej było obowiązkiem we wszystkich państwach; w razie wojny wszystkie zawody miały być zmobilizowane i musiały pełnić służbę albo w szeregach, albo w instytucjach pomocniczych, czyli mimowoli pomagać zaborcy. Prawda, osobiście słyszałem, podczas rozmów na ten temat, o projektach salwowania się (w razie wojny) ucieczką do Austrii. Skończyło się, jak wiadomo, na projektach: o zbiegach słyszało się mało, ci zaś, co w czasie wojny światowej zdołali uciec z szeregów armji rosyjskiej, wycierali etapy armji austriackiej, lub służyli w oddziałach pomocniczych, mimo, że wszystkie nadzieje na pomoc Austrii w sprawie Polski zawiodły (traktat brzeski).

Nie od rzeczy tu będzie przypomnieć zdanie Kraszewskiego, naszego światłego wodza ideowego w ówczesnej ciężkiej dla Polski epoce w końcu XIX wieku:

„Starając się zachować naszą wyższość duchową, umysłową i moralną, musimy spotęgować pracę rozumną..., a na każde targowisko rosyjskie dostarczać odbiorców“; a dalej: „...Apostolstwo oświaty i cywilizacji są też powołaniem naszym..., ani to walenrodzizm, ani polska intryga. Dopóki nas, do ostatniego, nie wytną w pień, nie wytrują i nie wyduszą, bronić się będziemy — i musimy“.

Pole dla tej obrony wybierał każdy Polak według swych zdolności i upodobań.

Istniały i inne wątpliwości. Już od chwili zakończenia wojny w 1870 r.,

nie było tajemnicą, że się zanoszą na zatarg zbrojny między Rosją a Austrią (względnie Niemcami), lub między Rosją a Niemcami i Austrią. Teatrem wojny musiały być ziemie rdzennie polskie. Czy mieliśmy rację przyglądać się tej walce obojętnie? Wojna osłabiała walczących, zaostrzała ich sprzeczności, tem samem wzmacniała nas. Dlatego też twierdzę, że rodzice nasi postąpili przewidująco i patriotycznie, postanawiając oddać nas do wojska. Zarówno ja, jak i dwaj moi bracia, którzy także służyli w armji rosyjskiej, zdradzaliśmy wybitne zamiłowanie do zawodu wojskowego. Oczywiście mogliśmy zostać również inżynierami, medykami, prawnikami i t. d., ale nie wróżyliśmy sobie wybicia się ponad poziom, gdy w zawodzie wojskowym wszyscy osiągnęliśmy wysokie stanowiska, co dla nas, jako Polaków, chyba łatwem nie było?

Służąc w obcych szeregach, nie zapominaliśmy jednak nigdy o tem, co nam rodzice wskazywali, a mianowicie to, iż Polska odrodzić się musi i potrzebować będzie ludzi odpowiednio i wszechstronnie wykształconych, a zatem i wojskowych.

Zdolności i zdobytą wiedzę los pozwolił mi wykorzystać (choć, niestety, tylko w małej części!) dla Polski. Podkreślam tu z naciskiem, że oddając swoją pracę i umiejętność dla Niej, przedtem już zdobyłem sobie imię i rozgłos. Nie wiem, co oddałoby większą usługę Polsce, praca wśród swoich, poza właściwem powołaniem, czy też, dobrze znane zaborcom, moje imię.

Fach wojskowy, prócz wiadomości teoretycznych, wymaga dużego doświadczenia, które drogo kosztuje. Polska za moje doświadczenie wojenne nic nie zapłaciła, a tylko z niego skorzystała, choć w zupełności nie wykorzystała. Stało się to dzięki wytworzonym stosunkom, które zmusiły mnie do przedwczesnego podania się do dymisji.

*

Był to czas, kiedy echa powstania w 63 roku jeszcze żywo brzmiały w pamięci Rosjan, z tego powodu uprzedzonych do wszystkiego co polskie. Nawet w koleżeńskich zatargach nazywano nas Polaków „buntowiszczkami“, często zaś i „biezmózgłymi polaczyszkami“ (polski półgłówek). Większość kolegów przez długi czas odnosiła się do mnie z rezerwą.

Niechęć ta i nawet nienawiść do nas, była stale podsycana. Miały one usprawiedliwienie w bezradności rosyjskiej polityki w stosunku do zagadnienia polskiego i katolickiego, a źródło swe w stałym jądreniu spraw polskich przez Katkowa i Mieńskiowa¹⁾. Na początku bytności w korpusie koledzy stale szykanowali mnie, szczególnie niejaki książę Szirinskij-Szichmatow, tatar z pochodzenia, syn pomocnika słynnego Murawjewa-wiesziatela.

¹⁾ Znani rosyjscy publicyści—polakożercy.

W korpusie było nas tylko trzech Polaków; ja byłem w starszych klasach. Większość przełożonych patrzała na mnie z nieufnością, mimo, że w naukach innym przodowałem. Wszystko ma jednak swój koniec, więc i prześladowania moje skończyły się, po rzetelnej bójce z kolegami, powstałej z tego powodu, że mnie któryś z nich nazwał „polaczyszką“. Po walce tej zdobyłem równouprawnienie, tem łatwiej, że mogłem być pomocnym w nauce mniej zdolnym kolegom, których była większość. W Rosji dzieci osób utytułowanych, w owe czasy, nie potrzebowały zaprządać sobie głowy takimi „głupstwami“, jak nauka.

Z moich przełożonych i nauczycieli, prócz matematyka, niejakiego Tomasa, nikt we mnie nie pozostawił po sobie uczucia wdzięczności. Muszę jednak przyznać, że moje postępy w naukach uzyskały sprawiedliwą ocenę, co dobrze świadczy o nauczycielach.

Przy przejściu do 7 klasy najlepsi uczniowie pod względem nauki i sprawowania się bywali awansowani: jeden na sierżanta i czterech na plutonowych. Mój bezpośredni przełożony, pułk. Rosset, proponował, by mnie awansowano na sierżanta. Jednakże większość członków konferencji nie zdecydowała się na przyznanie mi tej szarży, gdyż byłem Polakiem i katolikiem. Zrobiono mnie plutonowym I-go plutonu, co i tak już było dużym wyróżnieniem.

*

W roku 1886 skończyłem korpus z drugą lokatą i stopniem podoficerskim.

Pobyt w korpusie, wśród wrogiego naogół środowiska, był moją pierwszą walką życiową; tu się nauczyłem, jak należy z zaparciem się siebie, zdecydowanie dążyć do raz powziętego celu.

Choć ciężko mi było, korpus pozostawił jednak znacznie lepsze wspomnienie, niż gimnazjum w Radomiu. Mogłem się uczyć i rzeczywiście czegoś nauczyć, bo wykładano doskonale, karmiono obficie, nawet wykwintnie; porządek był idealny, na czystość i higienę zwracano należytą uwagę, ubierano przyzwoicie. Jedyne przykrą rzeczą było przymusowe uczęszczanie na nabożeństwa prawosławne. Wszyscy inowiercy (było ich kilkunastu: katolicy, protestanci, mahometanie) musieli brać udział w nużących, cerkiewnych ceremoniach.

Pisano wówczas dużo o kierunku, w jakim powinna iść polityka Rosji: czy łącznie z „wypróbowanym“ przyjacielem — Niemcami, czy też z Francją lub Austrią. Trzeźwiej myślący ostrzegali, że przyjaźń Rosji z Niemcami nie jest szczerą. Oburzała się na to prasa niemiecka, strasząc Rosję możliwościami narodu polskiego. Kontrahenci w rozbiorach umizgali się jednocześnie do nas, wychwalając na wyścigi, między wierszami, dobrodziejstwa z których rzekomo korzystamy pod ich panowaniem. Było to wskazówką, że termin rozgrywki między „przyjaciółmi“ zbliża się.

Nieraz dyskutowałem¹⁾ z bratem Konstantym o ewentualnych konsekwencjach zbliżającego się starcia i doszliśmy do zgodnego przekonania, że w razie wybuchu wojny między Rosją a Niemcami, państwa te napewno zwróca się z płomiennymi proklamacjami do Polaków. Tak też się i stało, a nawet więcej, bo w Austrii pozwolono tworzyć, drugorzędnego coprawda znaczenia, oddziały wojska z... nie podlegającego poborowi materiału ludzkiego!

Czy lepszą była dla Polski w obietnicach proklamacja cesarzy: niemieckiego i austriackiego, czy też odezwa Wielkiego Księcia Mikołaja, nie będą tego narazie roztrząsał.

Nie mogę natomiast pominąć milczeniem jednego faktu. W domu pp. Stan. Glezmerów²⁾ (z gościnności których podczas mego pobytu w Petersburgu stale korzystałem) pewnego razu doszło do dyskusji, czy „jeżeli my Polacy mamy zginąć, to czy nie lepiej rozplynać się w środowisku Rosjan czy Niemców?“.

Obecny przy tem ks. prałat, profesor petersburskiej Akademii duchownej³⁾, zdecydowanie występował przeciwko Rosjanom, twierdząc, że woli „czyste“ morze niemieckie; do mnie jednak te argumenty nie przemawiały. Lecz jakież wywody mógł przeciwstawić siedmioklasista profesorowi? Nikt jednak nie godził się z myślą, by naród nasz mogła spotkać klęska całkowitego zaniku. Temat tej dyskusji jest charakterystyczny, — już wówczas kielkowały „orientacje“.

*

Po ukończeniu korpusu kadetów, miałem wstąpić do szkoły jazdy, którą w tym samym roku ukończył brat mój Czesław. Jednakże stan materialny moich rodziców właśnie wtedy znaczenie się pogorszył, służba zaś w kawalerji wymagała dużych środków materialnych; więc volens nolens zmuszony byłem wstąpić do szkoły piechoty⁴⁾, t. zw. „Konstantynowskiej szkoły wojskowej“. Nie wymagano w niej posiadania dodatkowych środków, natomiast program nauk specjalnie wojskowych oraz nauk ogólnie kształcących, był bardzo obszerny. O ile korpus kadetów (Mikołajewski) miał cechy pewnej elegancji, o tyle Konstantynowską szkołę wojskową cechowała pewna gburowatość. Życie w niej mało różniło się od życia w oddziałach linjowych. Uczniów, zebranych ze wszystkich korpusów Rosji, pochodzących z rozmaitych środowisk, było 400. Wśród nich czułem się zupełnie odosobniony, a na dobitkę tu na nowo rozpoczęła się zaciekle walka narodowo-religijna, podobna do tej, którą toczyłem na początku pobytu w korpusie kadetów.

Wrogiem postępowaniem w stosunku do mnie najbardziej wyróżniali się niejacy: Gontariew i Czernopiatow. Doprowadzony do ostateczności, pewnego razu uderzyłem G. w twarz, za co, zgodnie z regulaminem, musieliśmy

¹⁾ Porównaj niżej.

²⁾ Członek Rady Państwa, wybitny inżynier-technolog. Zdobył szeroki rozgłos w Rosji.

³⁾ Nazwiska nie pamiętam.

⁴⁾ Szkoły tego typu w Austrii i Niemczech zwano „akademjami“.

obydwa być usunięci ze szkoły. Nikt jednak o tem zajściu władzom nie zameldował, a może władze, wiedząc o podłożu starcia, sprawę zatuszowały. Pozostaliśmy obaj.

Po tem zdarzeniu, stosunek kolegów do mnie znacznie się poprawił, jednak jeszcze nie zupełnie był dobry; dopiero kiedy po pewnym czasie porządnie zbiłem Czernopiatowa (oberwałem zresztą i ja), atmosfera zupełnie się oczyściła. G. z czasem został rejonowym policmajstrem w Warszawie, C. zaś zdegradowano i zesłano za kradzież na Sybir...

*

Przekonałem się później, że prawie każdy przedstawiciel administracji w Kraju nie miał przeszłości kryształowej. Wśród tego bukietu swoistych rosyjskich typów, tkwili „czynownicy“ pochodzenia niemieckiego, prawie zawsze wyznania prawosławnego. Ze środowiska tych „obrusitieli“ wyszedł również taki ananas, jakim był eks-naczelnny wódz „rewolucyjnej“ armji rosyjskiej — praporszczyk Krylenko!

*

Po opisanych zajściach porządniejsi koledzy zbliżyli się do mnie. Bezpośrednim moim zwierzchnikiem był niejaki sztabs kapitan Mackiewicz; nie wiem, jakiego był pochodzenia, ale odnosił się do mnie przychylnie. Wyższy zaś zwierzchnik, niejaki Wichiriew, stosował wszelkie środki, by mi pobyt w szkole obrzydzić. Był to typowy przedstawiciel „istinnio ruskich ludiej“¹⁾. Wymyślać mi od „polaczyшек“ nie śmiał, ale w każdym jego słowie wyczuwało się żywiołową nienawiść do polskości.

Rygor w szkole był okrutny; najmniejsze uchybienie surowo karano, trzeba było dużego wysiłku, by w tem piekle wytrzymać. Nosiłem się nawet z zamiarem porzucenia szkoły; powstrzymał mnie od tego wyżej wspomniany kpt. Mackiewicz.

Uczyłem się dobrze, nawet bardzo dobrze. Zwykle, po przejściu na drugi kurs (szkoła miała kurs dwuletni) naj-



J. D. M. — jako junkier Szkoły Konstantynowskiej.

¹⁾ Szowinista — nacjonalista.

oficerów; powinni byli i mnie awansować, ale dla władz byłem niewyraźnym Polakiem katolikiem. Umiałem bronić swego ja, trzymałem się na uboczu, nie szukałem kontaktu z władzami, a obowiązki spełniałem ściśle i akuratnie. Był to okres panowania haseł Aleksandra III: „prawosławje“, „jedinodierżawje“, „russkaja narodnost“ — okres wpływów Pobiedonoscewa. Więc z awansem moim zwlekano. Nareszcie awansowano i mnie przed samem zresztą ukończeniem szkoły. Dało mi to także i ten plus, że w liście starszeństwa otrzymałem 40-tą lokatę. Mogłem więc de jure wybrać odpowiedni oddział z pośród 250 przysłanych do podziału wakansów do piechoty, artylerji i wojsk technicznych. Niestety 80% z nich posiadało uwagę: „nie dla katolików“ — dla tych pozostały pułki, stojące w zapadłych kątach cesarstwa, poza granicami krajów: „Priwislinskago, Jugo i Siewierozapadnych“ (b. Królestwa Kongresowego i dzisiejszych Ziemi wschodnich).

Miałem dalekiego krewnego, starszego już człowieka, w linjowym pułku, stacjonowanym w Kostromie, o której pewien poeta rosyjski powiedział, nie bez ironji: „cudowne jest to nasze miasto gubernjalne; droga do niego prowadzi przez nieprzebyte bory, lotne piaski i bagna“.

I rzeczywiście. Za Kostromą kończył się wówczas (1888 r.) dostępny świat. Dalej, na północ, północny wschód i zachód, można było podróżować jedynie w „kibitkach“ (obowiązkowo w trzy konie w lejc), lub w ekwipażach, ciągniętych przez renifery lub psy. Ostatnia stacja tego miłego kraju znajdowała się już na brzegach oceanu Lodowatego!

W tej to Kostromie kwaterował 140 Zariajski pułk piechoty, do którego wstąpiłem.

*

Będąc w szkole Konstantynowskiej miałem dwukrotnie sposobność oglądać zbliżka cesarza Wilhelma, który przyjeżdżał wtedy w odwiedziny do cesarza rosyjskiego. Honorowali go hucznie. Podczas jednej z rewji, zapewne trafem, wzrok „wszechwładcy“ Niemiec spoczął na mnie dłużej, niż byłoby to potrzebne, a był on bardzo przenikliwy... Może podświadomie przeczuwał, że z czasem zrobię mu krzywdę, biorąc udział w oderwaniu od korony niemieckiej „urdeutsche Provinz — Posen und Bromberg?!“...

III

W ŚRODOWISKU ROSYJSKIEM

Po ukończeniu szkoły Konstantynowskiej zostałem awansowany na podporucznika. Od tej chwili wyszedłem z pod opieki rodziców i miałem rozpocząć życie niezależne. O ile głowa moja była dobrze naładowana wiadomościami teoretycznymi, o tyle brak mi było doświadczenia; życiowo byłem jeszcze dzieckiem.

Między 10 a 16 rokiem, niezbyt dbano o moje wychowanie. Właściciele stancyj uczniowskich, na których przebywałem, dążyli przede wszystkim do tego, żeby otrzymać możliwie jak najwięcej za moje utrzymanie i aby pieniądze wpływały regularnie. Wychowankom pozostawiali kucie i walkę z przeciwnościami życia. Przy podobnych metodach wychowawczych, w warunkach sprzyjających, młodzież wychodziła na właściwe drogi; gdy trafiała na zły wpływ — ginęła. Od 17 roku życia przebywałem w zakładzie zamkniętym, gdzie mówiono jedynie o obowiązkach i wpajano przekonanie, że za niespełnienie ich grozi nielitościwa kara. Jedynie w dzieciństwie, to jest zaledwie do 10 roku życia, wychowywałem się pod stałym kierownictwem rodziców.

Wyjechałem z kraju do Rosji w 15-tym roku życia, dobrze naszpikowany przestrogami, żebym był ostrożny, bo: „Moskale, to barbarzyńcy, ciemni, siepacze, złodzieje, katy, obrusители“. Jeszcze będąc w Radomiu mogłem poniekąd sprawdzić, czy powyższa charakterystyka jest obiektywną, czy wpływa jedynie z rozgoryczenia po stłumionem powstaniu. Przekonałem się niebawem, że w porównaniu do tej warstwy społeczeństwa, do której należałem, rosyjscy urzędnicy (ludności rosyjskiej nie było w Radomskim ani na lekarstwo), pod względem inteligencji i kultury stali o całe niebo niżej od „zawojowanej ludności“, którą mieli nie tylko rządzić, ale także przerobić na „lojalnych poddanych“. W 95% byli ludźmi bez ukończonego wykształcenia, nieociosani, z natury głupi, ale chytry i przebiegli. Przeważnie pochodzili z popowiczów, t. j. ciemnej i poniżonej klasy prawosławnego duchowieństwa, która się kształciła w specjalnie w tym celu założonych seminarjach z programem 6 klas gimnazjum. Co za stosunki panowały w tych „zakładach naukowych“ i jaki element je zapełniał, dowiedzieć się można z powieści Pomiałowskiego „Oczerki Bursy“.

Do zrusyfikowania ludności polskiej mogłyby wiele pomóc szkoły, gdyby były prowadzone racjonalnie; tymczasem profesorów z uniwersyteckiem wykształceniem brakło, sięgnięto więc po seminarzystów, których aż nadto wielu posiadano do dyspozycji.

W Imperjum wszystkie parafje prawosławne były obsadzone nierzadko 2 — 4 popami, więc potomkowie nadmiaru duchowieństwa, t. j. absolwenci seminarjów, z konieczności stawali się urzędnikami, nauczycielami, policjantami, oficerami. Przy nadzwyczajnej płodności duchowieństwa, jego potomstwo w krótkim przeciągu czasu pozajmowało wszelkie prawie posady¹⁾ w administracji, zdobywając niepochlebne miano „nasienia pokrzywy“. Po naszych powstaniach nadmiar ich zalał także Polskę, tworząc administrację w Kraju. Taka właśnie administracja zrażała polskie społeczeństwo do wszystkiego co rosyjskie i, oczywiście, oddalała realizację asymilacji, tego wymarzonego celu wszystkich sfer rządzących.

W majątku naszym zawsze wielkie poruszenie sprawiał przyjazd „objezczyka“, t. j. konnego policjanta. Niby to sprawdzał, czy wszystko jest w porządku i zawsze znajdował niedokładności: np. jakaś drabina strażacka była za krótka. Po otrzymaniu rubla i kieliszka wódki, znikał do następnej wizyty.

Rosja, pochłonięszy w XIX wieku olbrzymie obszary, nie mogła nadążyć w przygotowaniu kadr odpowiednio wykształconej i mądrej administracji. Obsadzała więc posady w „zawojowanych krajach“ byle kim, t. j. urzędnikami sprowadzanymi z głębi państwa, którzy się tam poprostu przekradli, ćwierć i półinteligentami, wypędkami i niedoukami z różnych zakładów naukowych i t. p. Baczono tylko na to, aby kandydat był „prawosławny“ albo „Niemiec“; starano się zaszczerpić w nim nienawiść do wszystkiego, co polskie i katolickie, co osiągano z łatwością. Takiego rodzaju zbieranina miała jeden tylko cel: utrzymać się na posadach i szybko pojęła, że najskuteczniejszym tego środkiem jest „donos“.

Rzecz charakterystyczna, że nikt z pośród tej bandy urzędniczej z Królestwa nie otrzymywał nominacji z powrotem do Rosji; zawsze działało się odwrotnie. Oczywiście, iż przedstawiciele wyższej administracji rosyjskiej, nie wyrzekając się marzeń i dążeń do zrusyfikowania Kongresówki, rozumieli, że, posiadając tak okropny aparat urzędniczy, niewiele mogą zdziałać. Bardzo możliwe, że chętnie poszliby na duże ustępstwa w kierunku osłabienia nacisku na polskość, ale sami czuli się bezsilni. Wszak w Kongresówce utrzymywały się i dobrze się czuły tysiące „czynowników“, nie mogących marzyć o posadach gdzieindziej i bacznie śledzących, żeby miejscowy satrapa nie wydał jakiegoś zarządzenia, któreby pozbawiło ich intrat. W razie podobnych usiłowań smarowali donosy do Petersburga i Moskwy.

Łapownictwo kwitło w sposób niebywały. Przy jego pomocy załatwiano się sprawy, związane z posiadaniem majątku ziemskiego, serwitutami i innemi kwestjami, dobrze obmyślanemi w celu zaszczerpienia nieufności chłopów

¹⁾ Analogicznie działało się i w Niemczech, gdzie „pastorowicze“ dobrze obsadzili aparat państwowy, chociaż, trzeba przyznać, byli oni przeważnie ludźmi wykształconymi.

do dworu. Władze, nie bez słuszności, twierdziły, że powstanie urządzili panowie, a nie chłopci, komentując ten fakt, że powstanie miało na celu ustabilizowanie pańszczyzny na wieczne czasy¹⁾. Starali się przez to przeciągnąć szary luddek na swoją stronę.

Po zajęciu Kongresówki w 1915 r. przez Niemców, zgraja czynowników była tak pewna swego powrotu, że pobierała pensje nadal po ewakuacji i „urzędowała” w różnych miastach Rosji.

*

Wyjeżdżając z domu, przypuszczałem, że wszystko, co słyszałem i wiedziałem ujemnego o Rosjanach, sprawdzi się, ba, nawet wystąpi w jaskrawszej formie. Wiele rzeczy jednak, w zastosowaniu do rdzennej Rosji, przesadzono, niektóre zaś niesympatyczne cechy, o których w Polsce nie wspomiano, były dla mnie niespodzianką. Zdumiała mnie niechęć do wszystkiego, co polskie i katolickie. Uśmiech zniknął, marszczyły się czoła, mina stawała się zafrasowaną, obejście zimne, gdy na zapytanie, skąd pochodzę, odpowiadałem, że jestem Polakiem...

W przeszło 20 lat po powstaniu 63 roku na piersiach wielu jeszcze oficerów rosyjskich widniały medale „za usmirenje polskawo miatieża”²⁾. Barwy wstęg tych medali, Jerzego i Aleksandra, najwięcej czczonych świętych, wskazywały, że to „usmirenje” niełatwo poszło i wiele kosztowało wysiłków. Rosja przyjęła tezę, że ziemie litewskie i ruskie są posiadłościami odwiecznie rosyjskimi, a więc muszą należeć do Kościoła Wschodniego. Rząd, w przeprowadzeniu tej tezy, napotkał opór duchowieństwa katolickiego i naszej inteligencji. Wywołało to niesnaski z Watykanem, oraz przekonanie w świecie, że Rosja w dalszym ciągu ma niezaleczone rany. Mocno drażniło to jej miłość własną. Przecież, mimo że powstanie było stłumione siłą, Kraj faktycznie się nie uspokoił. Tu też tkwił główny powód złe maskowanej niechęci i nawet nienawiści do nas.

Oczywiście powody takiego stanu rzeczy miały źródło nie w powstaniach, lecz szukać ich należy jeszcze w zaognionych stosunkach między Polską a Rosją już w końcu XVI wieku. Staralem się przekonać moich kolegów (kadetów i junkrów), że nie Rosjanie do nas, ale Polacy do Rosjan mogą mieć pretensje i żale: „wszak — tłumaczyłem, — idąc do was, mieliśmy wyższą kulturę i was nie wywłaszczaliśmy, ani gwałtem nie wynaradawialiśmy”. W XVII w., a szczególnie w XVIII, okoliczności się zmieniły. Gdyby po swem wewnętrznym okrzepnięciu, Rosja w imię idei wszechsłowiańskiej głosiła za-

¹⁾ Rzecz godna uwagi, że podobna orientacja w stosunku wsi do dworu pokutuje do dziś, o czym można się przekonać na wiecach „ludowych”.

²⁾ „Za stłumienie polskiego buntu”.

sadę współdziałania Rosji i Polski dla obrony przed coraz bardziej potężniejącymi Niemcami, to kto wie, jakby się ułożyły dalsze światowe stosunki.

Tymczasem najpierw wysunięto sprawę obrony wiary prawosławnej, która powinna była sama umieć się bronić, potem zaś osadzono na tronie dynastję niemiecką, która dała początek tak mało czującym po rosyjsku monarchom, jak Aleksander I i Mikołaj I. Dalej zawarto sojusz z państwem niemieckim, dając mu możność, kosztem Polski i na oczywistą niekorzyść Rosji, wzmacnić się i urosnąć w siłę. Wreszcie, wzorując się na Prusach, zaczęto eksperymenty z wynaradawianiem i wywłaszczaniem. W wyniku, za rozbiory Polski, konsekwencje spadły przedewszystkiem na Rosję, bo wśród państw zaborczych tylko ona miała szereg powstań. Jest to dowodem, że prowadzono politykę nieodpowiednią.

Inteligentniejsi koledzy szkolni zgadzali się ze mną. Prowadzić podobne dysputy np. z oficerami pułku 140-go było bezcelowe, a nawet niebezpieczne, bo może najwyżej 2% z nich czytało coś poza podręcznikami i regulaminami. W każdym słowie dopatrywano się, jeżeli nie zdrady, to „polskiej intrygi“. Jakiś idjota np. doniósł anonimowo, że sprofanowałem w cerkwi komunję. Z tego powodu wynikło wielkie poruszenie oraz dochodzenia. Skończyło się oczywiście na niczem, bo w cerkwi nie komunikowałem się. Miałem jednak z tego powodu niemało przykrości, bo byłem w roli tego anegdotycznego zająca, któremu dowodzono, że jest wielbłądem, czemu ten logicznie zaprzeczyć nie mógł.

Wysoce nieetyczną cechą Rosjan była skłonność do nadużywania alkoholu. Abstynenci byli białymi krukami, trzeźwość zaś poczytywano za rzecz podejrzaną. Upijano się z byle błahego powodu i tem częściej, im niżej stała kulturalnie dana warstwa społeczeństwa. Zwykle cichy i spokojny Rosjanin, będąc pijanym, obrażał ludzi sobie przychylnych, zaczął każdego i tłukł co mu wpadło pod rękę. Po otrzeźwieniu delikwent robił się potulnym, desperował, błagał o przebaczenie, poniżał się i t. d. Odstępowało to od zawierania z nimi bliższych stosunków towarzyskich.

Niejednokrotnie byłem świadkiem gorszących scen. Naprz., pop pułkowy (ojciec przeszło pół tuzina dzieci) upijał się do utraty przytomności i poniewierał się często w rymszokach; w czasie manewrów w 1889 r. dwóch oficerów mego pułku w przeciągu jednej nocy wypilo wiadro wódki, mając na przekąskę talerz kompotu z borówek, i t. d.

Przed zwierzchnikami płaśczone się w obrzydliwy sposób. Widziałem jak podchmielony dowódca pułku, płk. Lesz (później dowodzący armją podczas wojny światowej), prosząc o awans, całował po rękach dowódcę korpusu jen. Gerngrosa.

Niesympatyczną też cechą Rosjan był ich brak zrównoważenia i niestałość. To, co dziś chwalili, jutro ganili i odwrotnie. Przez długie wieki osoba cesarza była dla wszystkich czemś najwyższem, najświętszem. Najlejsza krytyka

lub najmniejsze nieuszanowanie osoby cesarza wywoływały ostrą reakcję; jednak naród rosyjski dopuścił do aresztowania, a później pod kierownictwem Żydów do bestjałskiego, bezkarnego wymordowania rodziny panującej. Nikt cesarza bronić nie chciał.

Niezrozumiałą też była jaskrawo występująca sympatja do Niemców i przyznawanie im absolutnej wyższości pod każdym względem. Więc i wojsko niezbyt pewnie szło wojować z nimi. Tą okolicznością należy objaśnić szereg niepowodzeń armji rosyjskiej. Mówiono: „Niemiec małpę stworzył, więc niema co z nim konkurować“. Tłumaczę to tylko tem, że od Piotra Wielkiego wszystkie caryce były Niemkami, z któremi do Rosji przyjeżdżali liżni przedstawiciele „Vaterlandu“. Pono mieli wpływać kulturalnie na podniesienie się poziomu miejscowej ludności, oddano im więc nawet pod kolonizację najlepsze ziemie nad Wołgą...

Supremacja niemiecka nie bardzo podobała się patryjotom rosyjskim, ale zaradzić temu nie mogli. Znanie jest powiedzenie wybitnego rosyjskiego generała Jermołowa, który w Głównej Kwaterze Aleksandra I zapytał: „czy przypadkiem jest tu ktoś, mówiący po rosyjsku“, za co popadł w niełaskę. Prawie cała świta cesarska składała się z Niemców i mówiono tam tylko po niemiecku. Charakterystyczny był też wstęp do poufnego podręcznika statystyki profesora, pułkownika Zołotariowa¹⁾: „prawie przez półtora wieku trwa przyjaźń rosyjsko-niemiecka, ale i ona może się skończyć“.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że chociaż Aleksander III słynął jako wróg wszystkiego co polskie, to jednak, po Piotrze W., był to jedyny cesarz, który postępował jak prawowity Rosjanin; za jego też panowania rozpoczął się ruch w kierunku odniemczenia Rosji.

Nie chcę być jednostronnym i nie chcę podkreślać tylko ujemnych stron Rosjan. O dodatnich mógłbym napisać wiele, byłby to jednak temat obecnie niewdzięczny. Oczywiście mówiłbym tylko o tych Rosjanach, którzy mieszkali w głębi państwa. Przeżywszy wśród nich całe 27 lat, przekonać się mogłem, że jest to naród o umyśle skłonnym do filozofowania, skory do czynów szlachetnych, nawet wzniosłych, obiektywnych. Żaden, że tak powiem, rdzenny Rosjanin nie wyrządził mi krzywdy, ani niesprawiedliwości. Niejednokrotnie doświadczyłem nawet wiele serdeczności i zrozumienia mojej ciężkiej sytuacji życiowej. Jeżeli zdarzały się przykre wypadki w stosunkach służbowych, nie były one winą narodu, lecz systemu państwowego, który przeniesiony z Niemiec, nie odpowiadał charakterowi Rosjan i poprostu ich ogłupiał. Dążność do wynaradawiania nas nie zrodziła się w umyśle rosyjskim, lecz przeszczepiona została z Niemiec.

Słyszałem twierdzenie, że wśród Rosjan niema patryjotów. Nie jest to prawdą. Oczywiście, że uczucie patryjotyzmu idzie w parze z rozwojem kul-

¹⁾ Należał do skrajnej prawicy, pochodził z ludu.

tury. Być może, że pewna warstwa ludu rosyjskiego nie była patryjotyczną, w szlachetnem zrozumieniu tego pojęcia. Pzekonałem się jednak na licznych przykładach, że i wśród Rosjan było pod tym względem wielu ludzi godnych naśladowania. Pomijam kwestję, że patryjotyzm rosyjski mógł być nieprzyjemny lub wrogi dla Polski i polskości, ale to nie zmienia istoty rzeczy. Jako przykład mogę wymienić czyny trzech braci Panajewych, oficerów niższej rangi 12 pułku huzarów. Wszyscy byli nagrodzeni w czasie wojny światowej krzyżami Jerzego, najwyższą i najcenniejszą nagrodą za wyjątkową waleczność, tak, iż przyznano ten order i matce ich, wdowie. Wszyscy trzech polegli na polu chwały. Panajewowie dokonali tak wybitnych czynów, że podziwiała ich cała armja rosyjska, a znała je również zagranica. Drugi przykład podaję dalej, przy opisie przeżyć w 14 pułku strzelców syberyjskich, mówiąc o hr. Szuwałowych.

Takich przykładów mógłbym wymienić więcej.

*

Długo mieszkając wśród Rosjan, starałem się pojąć, co skłania ich do posłuchu wobec władzy. Naturalnie, iż to pytanie zadawałem jedynie w stosunku do mieszkańców, ale nie do wojska i do urzędników. Dla ludności nie było sekretem, że gdzieś poza granicami państwa istnieją lepsze warunki pracy i dobrobytu. Rozmowy na ten temat kończyły się zwykle westchnieniem, później pijaństwem; lud krył jakieś tajemnice w duszy. Starając się dostać do niej, nie wykryłem nic, prócz widma policjanta, stojącego u drzwi cerkwi...

Wykpiwając i nawet zgoła lekceważąc własny kler, Rosjanie nie chcieli się dać przekonać o wyższości duchowieństwa katolickiego. Profesor Milukow nazwał kościół prawosławny „duchownym cyrkułem policyjnym“. Rzeczywiście, jedynie uzależnienie kościoła od władz świeckich i uznanie cesarza za głowę cerkwi, dawało rządowi możność trzymania w ryzach, przez parę stuleci, milionów ludzi. Od „wiernego poddanego“ żądano tylko uczęszczania do cerkwi i spełniania obowiązku spowiedzi. Duchowieństwo zaś, przy każdej okazji rozwijało tezę: „władza (cesarza i rządu) pochodzi od Boga“. Osiągnęło to wręcz odwrotny skutek. Rewolucjoniści przedewszystkiem zniszczyli policję; bez niej kler nie potrafił już położyć kresu destrukcji i upadkowi Rosji carskiej.

W cerkwi prawosławnej próżno byś szukał Sykstusa V albo Kordeckiego¹⁾). Prawosławie dlatego tak łatwo upadło, gdyż popi w istocie rzeczy byli *jedynie urzędnikami w szatach duchownych*²⁾). W zakresie dogmatyki trzy-

¹⁾ Prawda, byli wśród nich ludzie wybitni, jak Nił Sorski, Mitrofanjusz Woroneński i kilku innych.

²⁾ W środowisku popowiczów było najwięcej przedstawicieli t. zw. „istinnoruskich“, polakożerców i łapowników.

mali się zasad „dobrej musztry“. Logika życia i najwyraźniejsze dowody nie mogły obalić narzuconych przekonań. Przyparciu do muru, stale dawali utartą odpowiedź: — „prawosławie jest jednak najlepszą religiją“ — ale dlaczego — tego objaśnić już nie potrafili.

Wszakże i wśród prawosławnego kleru spotykało się ludzi światłych, rozumnych i porządných. Do liczby tych w pierwszym rzędzie zaliczam niejakiego Szawelskiego, protopresbitera (biskup połowy). Pod każdym względem imponował: ogładą, wykształceniem i wymową. Pewnego razu zdobył się nawet na takie powiedzenie w mowie do pułku: „Wiem, że między wami są ludzie rozmaitych narodowości i różnych wyznań. Ja jestem duchownym prawosławnym i duchownym zwierzchnikiem rosyjskiej armji. Trzymam się mocno moich przekonań. Wiercie mi jednak, że przegródki, które nas dzielą, postawili ludzie, ale one nie sięgają do Nieba i wszak wszyscy modlimy się do jednego Boga“. Podobne przemówienie graniczyło z herezją. Był to jednak wyjątkowo śmiały człowiek, gdyż popi byli naogół warstwą zahukaną, utrzymującą się tylko z tego, co zbierali w parafjach, wskutek czego często zdarzały się nadużycia. Duchowieństwo prawosławne było przeważnie obciążone licznymi rodzinami, zależne od swojej władzy cerkiewnej, ta zaś od nadprokuratora Synodu. Na czele cerkwi prawosławnej stała instytucja nazwana „Najświętobliwszym Synodem“¹⁾. Świecki urzędnik, mając wszechwładzę nad Soborem biskupów, kierował przez duchowieństwo polityką państwa. Ów najświętobliwszy Synod w całości ponosi odpowiedzialność za tak okropny upadek Rosji.

*

Rozwijając opisane fakty, chcę wypowiedzieć osobisty pogląd na to, dlaczego stosunki między nami a Rosjanami układały się tak fatalnie, że trzykroć musieliśmy chwycić za broń, kiedy, tymczasem, w innych krajach zaborczych działo się inaczej. Historia naogół nie podaje wielu przykładów perjodycznego powtarzania się powstań ujarzmionych narodów. Przodowali w tem Polacy zaboru rosyjskiego.

Nienawidziliśmy Rosjan, ale to uczucie datuje się dopiero od początku rozbiorów. Do tego czasu nie żywiliśmy do nich wielkiej miłości, ale też również i jaskrawej niechęci. Stosunki zaczęły się psuć dopiero w XVII wieku (Samozwaniec). Przyczyn należy szukać na innej płaszczyźnie. Chcieliśmy przyciągnąć Rosję ku naszej kulturze; czyniliśmy to niezręcznie, choć bez udziału innych. Inaczej już wygląda sprawa w XVIII wieku, kiedy Polska podupadła. Rosja, jako państwo słowiańskie, nie była zmuszona dzielić się z kimkolwiek „spadkiem polskim“, mogąc go całkowicie zagarnąć²⁾.

¹⁾ Wprowadził tę instytucję Piotr Wielki, ale późniejsi carowie spacyli zasadniczą myśl jej przeznaczenia, szczególnie za Aleksandra III i kierownictwa synodem przez wszechwładnego Pobiedonoscewa.

²⁾ Było to myślą cara Aleksego, później carowej Elżbiety. (Sołowjow).

Bodaj jeszcze gorsza była jej zgoda na podział z mocarstwami obcymi nam, tak pochodzeniem, jak i mową, z którymi toczyliśmy odwieczną walkę. Tego zapomnieć nie mogliśmy.

Jakie konsekwencje wynikły z tego dla Rosji? Przez oderwanie od nas Rusi, Rosja nie tylko nie wzmocniła swego stanowiska, ale wręcz je osłabiła. Wysuwając hasło „*ottorzennoje wozwratich*“¹⁾, to jest „jedna niepodzielna Rosja“, zmuszoną była rugować kulturę zachodnią, już tam zaszczeploną. Była to sprawa trudna i bodajże ponad siły. Z przyłączeniem zaś ziem rdzennie polskich, jeszcze się bardziej osłabiła. To przecież jest jedną z głównych przyczyn upadku Rosji carskiej.

Niewiadomo, jakby się sprawy były ułożyły, gdyby Rosja sama Polskę zagarnęła. Przecież Grunwald był konsekwencją unii polsko-litewskiej. Złączenie korony rosyjskiej i polskiej dałoby rezultaty znaczniejsze, — urzeczywistnienie idei wszechsłowiańszczyzny, niebezpiecznej dla Niemiec. Łatwowierni Rosjanie dali uspić się „*koronowanej niemieckiej latawicy*“²⁾ i zrezygnowali ze swego wielkiego projektu. Zapłacili za to drogo, koniecznością tłumienia wielu powstań i osłabieniem swego państwa. Nie wszyscy rozumieli, że udział w rozbiorach jest krokiem nie Rosji na zachód, lecz Niemców na wschód, gdyż tylko Polska stała temu na przeszkodzie.

*

Po rozbiorach, wysiłki nasze były skierowane ku odzyskaniu niepodległości, a gdy się to nie udało, ku zachowaniu naszej narodowej odrębności.

Nie wiadomo, gdzie podczas tej walki więcej Polaków się wynarodowiło; przypuszczam, że w Niemczech, bo mam na to pewne dowody. Np. podczas powstania Wielkopolskiego przyjechała do mnie matka wolontariusza — Niemca, który podczas akcji pod Zbąszyniem wpadł w niewolę. Ponieważ był mieszkańcem wsi po naszej stronie, a uciekł do Grenzschutz'u, miał być rozstrzelany. Matka błagała o ulaskawienie i, molestując, zapukała do moich uczuć narodowych, twierdząc, że w żyłach jej syna płynie krew polska: „w naszym zamku rodzinnym znajduje się wiele portretów przodków w polskich strojach, o czysto polskich nazwiskach“. Potwierdziła więc to, o czym wiedziałem z poufnych dokumentów, mianowicie, że ziemiaństwo śląskie (i nie tylko śląskie), ongiś Polacy, było najwierniejszymi poddanymi cesarzy niemieckich, a warstwy niższe, wyznawcy kościoła ewangelickiego, bardzo prędko się tam wynaradawiały. Sztorchowie, Majewsky, Obersky napewno kiedyś byli Bocianami, Majewskimi i t. d. Przeciwnie, daleko poza naszymi kresami wschodnimi spotykałem dwory i poszczególnych osadników, którzy

¹⁾ Zagarnięte odebrałem.

²⁾ Katarzyna II.

zachowali swoją narodowość polską i nazwiska. Tymczasem słyszę tylko stale utyskiwania na „obruszenie“.

Niewola jest doświadczeniem ciężkiem, ale niewola i rozbiory, gdy naród nie ma możliwości porozumienia się, jest śmiertelnem niebezpieczeństwem. Przecież tacy Węgrzy, mniej od nas liczni, też utracili wolność, jednak szybko odzyskali swoje znaczenie, bo nic im nie stało na przeszkodzie do wzajemnego porozumienia się. Dlatego powstanie Węgrów musiały tłumić aż dwie potęgi, kiedy z naszymi dali sobie radę sami Rosjanie.

Od ludzi poważnych w Poznańskim słyszałem, że gdyby Wojna Światowa była wybuchła o 50 lat później, to Polacy w zaborze pruskim byłiby zagrożeni niemal zagładą przez twarde sposoby pruskie wywłaszczania, wynaradawiania przymusem gospodarczym, zakazu mówienia po polsku i t. d. Daleko od tego było w zaborze rosyjskim.

Sądzę więc, że nie mamy żadnych podstaw, bardziej nienawidzić Rosję od Niemiec, czy Austrii, gdzie nas deprawowano. Wszystkie te państwa w zbrodni rozbiorów jednak brały udział. W tym samym celu gnębili nas Rosjanie, dusili Niemcy i różnili Austriacy (Szela). Dlaczego więc mamy czynić jakieś wyróżnienie dla poszczególnych zaborców i zatuszowywać ich nieetyczne względem nas czyny?

Dla polskości zginęło dużo naszych rodaków po powstaniach, Kościuszkowskim i z roku 1831. Powstańców i żołnierzy wcielano do pułków wyznaczonych dla podboju Kaukazu; oficerów zsyłano do Rosji Wschodniej. Z tymi ostatnimi nie robiono ceremonij — budować musieli wielki trakt syberyjski. Setki mogił polskich znaczy ten olbrzymi szlak; szczególnie dużo ich jest na odcinku koło jeziora Bajkał. Potomstwo tych, którzy poszli na wygnanie, prawie całe się wynarodowiło, ponieważ za Mikołaja I wprowadzono prawo, że dzieci mieszanych małżeństw musiały być prawosławne. Była to zemsta za niepowodzenia podczas powstań. Pracując na Syberji, w najbardziej ciężkich warunkach, nasi nieszczęśliwi powstańcy zdawali sobie sprawę, że winę za ich męczarnie ponosi rząd rosyjski w połowie z Niemców złożony.

Wśród kozactwa orenburskiego i zabajkalskiego często spotyka się nazwisko „Poljakow“. Staruszek kozak, mieszkaniec osady Borzia, pamiętający jeszcze powstanie z 1831 roku, wytłumaczył mi, że Poliakowie są przeważnie potomkami naszych powstańców.

IV

AKADEMJA SZTABU JENERALNEGO

Gdym, już jako oficer, w jesienne ponure popołudnie roku 1888, przejeżdżał przez Wołgę na promie do Kostromy, zdawało mi się, że wpadam w jakąś otchłań, z której nie wydostanę się nigdy. Rzeczywiście, prócz drewnianych szarych domków z dominującymi nad niemi kilkudziesięcioma wieżyczkami cerkwi, nic więcej w oko się nie rzucało. Na okrasę, tuż u wjazdu do miasta, kilka „kabaków“, t. j. karczem — i więcej nic...

Ale czyż jest miejsce, gdzieby ludzie mieszkać nie mogli?

Kostroma była kolebką rodu Romanowów i — miastem, do którego wysyłano księży katolickich za działalność „przeciwpapańską“. Poznałem tam jednego z wygnańców, o ile pamiętam, ks. Żuka, któremu zabroniono nawet odprawiać Mszę św. Z czego się ów biedak utrzymywał, było zagadką, gdyż wypłacano mu zaledwie po parę rubli miesięcznie.

Pułkiem, do którego wstąpiłem, dowodził od niedawna niejaki pułkownik Pol, Niemiec. Poprzednik, z pochodzenia też Niemiec, okradł pułk rzetelnie i chcąc uniknąć obowiązku zwrotu tego, co przywłaszczył, symulował pomieszanie zmysłów. W celu uniknięcia skandalu, zmuszono Pola do objęcia dowództwa bez uprzedniego sprawdzania inwentarzy, jak to przewidywało prawo, a to dlatego, że za dopuszczenie do nadużyć musiałby odpowiadać także bezpośredni zwierzchnik, dowódca dywizji, generał Daniłow. Ów zaś, był mlecznym bratem cesarza. Tak „grubą rybę“ trudno było pociągnąć do odpowiedzialności! Biedny Pol musiał pułk przyjąć, choć brakowało nietylko przedmiotów codziennego użytku, ale i zapasów mobilizacyjnych. Zamiast 3 mundurów na każdego żołnierza, był tylko jeden; ilość czapek nominalnie odpowiadała etatowi, ale były tak małe, że nadawały się chyba dla lalek i t. d.

Trzeba było wszystko uzupełniać drogą oszczędności i zabiegów, które graniczyły z nadużyciem, niejednokrotnie stawiając korpus oficerski wobec żołnierzy w przykrej sytuacji. Przy tej okazji „undersztab“¹⁾ kradł, ile mógł. Dopiero po pięciu latach pułk wybrnął z ciężkiej sytuacji.

Skład oficerów pod względem wykształcenia był niejednorodny. Tylko dwóch moich rówieśników i ja posiadaliśmy maturę i szkoły specjalne; reszta miała w dorobku 4 klasy gimnazjalne lub 6 klas seminarjum duchownego i szkołę junkierską, t. j. niższą kategorię zakładów naukowych. Byli i tacy, którzy nie posiadali żadnego wykształcenia, a stopnia oficerskiego dosłużyli się, jako

¹⁾ To jest funkcjonariusze gospodarczy.

wysłużeni podoficerowie. Ogółowi oficerów pod względem moralnym zarzucić nicby się nie dało, jedynie raział brak wychowania. Przeważali fanatycy religijno-narodowi, jak zresztą w większości pułków linjowych.

Na mnie patrzano podejrzliwie, jako na Polaka i oficera z wykształceniem, to też na tem tle powstawały próby różnych intryg, które cechowała bezgraniczna naiwność.

Wspominam o tych szczegółach w tym celu, by scharakteryzować stosunki, panujące w 80-ch latach ub. stulecia w armji rosyjskiej, to jest w okresie po wojnie krymskiej, słynnej z kolosalnych nadużyć, oraz po wojnie tureckiej 1877 r. Ta ostatnia niemało przyczyniła się do katastrofy w r. 1904—5, gdyż nic tak nie osłabia wartości wojska, jak wojna zwycięska a łatwa. Dopiero po wojnie japońskiej armja rosyjska potrafiła stanąć na odpowiedniej wysokości.

*

Służbę w pułku pełniłem starannie, pracowałem chętnie, przeto w stosunkowo krótkim czasie wyróżniłem się z pośród innych. Żołnierze polubili mnie i nazywali „porucznik Dobrow“. Zyskałem ich zaufanie, obcując z nimi poza musztrą. Po roku pobytu w pułku powierzono mi pracę w nowowprowadzonych w armji oddziałach wywiadowców, co było niemałym wyróżnieniem. Dało mi to możność przewertowania puszcz gubernji Kostromskiej, Jarosławskiej, i Wołogodzkiej oraz stepów gub. Rjazańskiej i Tulskiej. Ścisłe praktycznego znaczenia dla państwa wywiady te nie miały, jeżeli nie brać pod uwagę odnalezienia dwóch osiedli, nie oznaczonych na mapach. Osobiście skorzystałem bardzo wiele, gdyż wywiady rozwinęły we mnie zmysł orjentacyjny i siły fizyczne, a co najważniejsze, pozwoliły mi poznać lud, nie tknięty jeszcze kulturą. Wypróbowałem też, co można wydobyć z żołnierza; był on materialem doskonałym, bo pojętym, cierpliwym, wytrzymałym, wymagał jednak umiejętnego kierownictwa i dobrego przykładu.



J. D. M. — jako porucznik 11 pułku grenadierów.

Chociaż wyróżniałem się między oficerami pułku, jednak jasne było, że moja karjera będzie ograniczona z dwóch powodów. Po pierwsze, wykształcenie fachowe w armji polepszało się stale; oficerów niedouków wyrzucano z szeregów, a władze miały możność wybierać przy awansach najodpowiedniejszych. Po wtóre przy sprzyjających okolicznościach mogłem u schyłku lat dosłużyć się najwyższej rangi pułkownika, bo na wyższe stanowiska назначano oficerów z akademickiem¹⁾ wykształceniem lub posiadających protekcję. Takí stan rzeczy nie odpowiadał moim aspiracjom, zmierzającym do zdobycia wyższego wykształcenia, oraz osiągnięcia samodzielnego stanowiska. Sytuacja moja skomplikowała się jeszcze i dlatego, że dla katolików przy awansach przeznaczono tylko jeden procent, gdy ogólna liczba oficerów katolików sięgała blisko 10% ogólnego stanu. Chcąc czegoś się dobić, należało przedewszystkiem ukończyć wyższe studia wojskowe, t. j. akademię.

Akademij wojskowych w ósmym dziesiątku ub. stulecia było w Rosji pięć: sztabu jeneralnego, artylerji, inżynierji, prawa i marynarki. Specjalności jak artylerja lub inżynierja, mniej mnie zajmowały, jakkolwiek i nimi się interesowałem. Pociągała mnie wiedza ściśle wojskowa, którą stanowią: strategia i taktyka; wiedzę tę mogłem otrzymać tylko w akademji sztabu jeneralnego, do której też postanowiłem się dostać. Złożyłem raport, by pozwolono mi stanąć do egzaminu konkursowego. Otrzymałem odpowiedź, że Polacy, ściślej mówiąc, katolicy, urodzeni w Kongresówce, do tej akademji *chwilowo* dostępu nie mają. W praktyce zaś, w korpusie oficerów sztabu jeneralnego było kilku Polaków katolików oficerów w wyższych rangach; *stad zapewne to słowo „chwilowo“*. Dla innych wyznań, prócz judaizmu, tajne okólniki nie stawiały żadnych przeszkód. Rząd wyobrażał sobie, że tylko katolicyzm nie jest gwarancją przeciw zakusom zdrady, a Sztabowi Jeneralnemu powierza się przecież najważniejsze tajemnice.

Ze swojego zamiaru nie zrezygnowałem. Postanowiłem tę naiwność rządu wykorzystać i w roku 1890 złożyłem raport, by mnie od tej daty uważano za kalwina. Takie oświadczenie nie zobowiązywało mnie do niczego i w niczem nie wiązało.

Zrozumiały to oczywiście władze, które obowiązane były dbać o powiększenie liczby wyznawców kościoła prawosławnego. Więc po złożeniu mego oświadczenia, na wszystkich szczeblach wojskowej hierachji wszczął się alarm: dlaczego nie przyjął prawosławia? kryje się tu jakaś intryga, czy zdrada!

Trzeba trafu, że mój dowódca pułku Pol, dowódca dywizji Rittich i dowódca korpusu baron Bilderling byli wszyscy protestantami. Mogło paść podejrzenie, że to oni namówili mnie do takiego kroku. Niemcy ci byli Bogu ducha winni, a co do jen. Ritticha, to ten miał nawet „wielkie zasługi“ wobec prawosławia, gdy on, protestant - Niemiec, po powstaniu 63-go roku

1) T. j. z wyższem specjalnem wykształceniem.

budował cerkwie, oraz przerabiał na nie kościoły katolickie na Wileńszczyźnie. Ale wobec mojego kroku trzeba było ratować reputację, o którą Niemcy bardzo dbali. Więc dowódca pułku za brak wpływu na mnie dostał „wcieranie“, a Rittich uroczyście oświadczył, że do akademji mnie nie dopuści, co faktycznie zależało tylko od niego. I po tem oświadczeniu powziętego zamiaru ukończenia akademji nie wyrzekłem się. Zdecydowałem się przecze-kać, aż zmienią się nieprzychylnie warunki i nadarzy się odpowiednia chwila.

W roku 1896 przeniosłem się do 11 pułku grenadierów. Pułk ten miał zupełnie odmienne oblicze i był jednym z najlepszych pułków w armji. Żołnierzy dobierano z całego imperjum. Oficerowie poza służbą pracowali umysłowo; skład ich był jednolity pod względem pochodzenia i wykształcenia, wśród nich było wielu Polaków ze znanych rodzin z dowódcą pułku Polakiem, Maliszewskim, na czele. Pułk ten miał za szefa¹⁾ W. Ks. Dymitra Pawłowicza, który później brał udział w „usunięciu“ Rasputina. Uważając pułk za zupełnie pewny, władze chętnie używały go do celów reprezentacyjnych. W r. 1896 cesarz wyraził życzenie, aby ów pułk posłano dla pełnienia wart honorowych podczas Wszechrosyjskiej Wystawy w Niżnim Nowgorodzie.

Stałą kwaterę mieliśmy w dużym mieście gubernjalnem i uniwersyteckiem — Jarosławiu. Tu bliżej poznałem osławionego w ostatnich dniach caratu Borysa Stürmera i jego nietuzinkową małżonkę. Tam też mieszkał Polak wygna-niec ks. biskup Fijałkowski, który pięknie się zasłużył w historii walk Kościola na Rusi.

Życie w pułku było wielce urozmaicone i interesujące: na wiosnę wzmożona praca w szeregach, w lecie — obozowanie w namiotach, codzienne praktyczne strzelania, manewry; w jesieni — t. zw. „wolne roboty“, kiedy żołnierze wyruszali na zarobki, w celu polepszenia swego bytu, a oficerowie odpoczywali, lub rozjeżdżali się na urlopy; w zimie — odbywało się szkolenie w koszarach, wieczorami referaty, koncerty, bale w kasynie, klubie szlacheckim, u władz, lub w kółkach prywatnych. Posiadaliśmy wcale niezłą amatorską orkiestrę, w której i ja grywałem.

W Jarosławiu było sporo ładnych panien, wśród nich wyróżniała się panna P., w żyłach której płynęła krew polska, lecz była ona niestety, prawosławną. Wszyscy młodzi smalili do niej koperczaki, nie wyłączając i mnie. Zakochałem się tak, jak to potrafi tylko uczynić młody porucznik.

Skończyło się na oświadczeniach. Panna była mi wzajemną, więc konsekwencją musiało być małżeństwo. Ja jednak tej kwestji nie poruszałem, gdyż zdawałem sobie sprawę, że wolno mi się kochać, ale nie wolno żenić z prawosławną. Jakkolwiek w domu mej „flamy“ mówiono jeszcze trochę po polsku, to jednak moje nazwisko zginęłoby dla Polski. Panna P., wobec obowiązujących praw, zmienić religję nie mogła. Miłosne gruchanie trwało więc

¹⁾ Szefów naznaczano tylko pułkom o nieskazitelnej przeszłości bojowej.

przez całą zimę 1898 r. w nadziei z mej strony, że sprawę wyznania uda się z czasem jakoś obejść...

*

W dniu 6 stycznia 1899 r., na balu kadetów panna P. oświadczyła mi nieoczekiwanie: „Wyjdę za Ciebie, jeżeli skończysz akademię“, co zrozumiałem, jako powiedzenie między wierszami: „wyjdę za Ciebie, jeżeli zabezpieczysz mi odpowiednie stanowisko w świecie“. Nie trzeba było mnie do tego zachęcać, gdyż sam dążyłem do ukończenia wyższych studiów wojskowych. Wiedziałem co jestem wart i znałem swoje możliwości. Powiedzenie panny jedynie jeszcze mocniej zadrasnęło moją miłość własną no i.. wręcz zniechęciło do żeniaczki z nią. Zdawałem sobie sprawę, iż wtedy, prócz nieskazitelnego nazwiska, dobrej opinii i 50 rb. miesięcznej gaży, nic nie miałem i że po dojściu do 50 lat mogę osiągnąć najwyżej rangę pułkownika oraz... przeniesienie na emeryturę. Oto maximum, co mogłem pannie wtedy ofiarować! Jednak wiedziałem i to, że nie doszedłem jeszcze do szczytowego punktu mej życiowej kariery, podczas gdy panna, prócz urody, a w najlepszym wypadku 5.000 rb. posagu i nadmiernych aspiracji, nic nie posiadała. Przypuszczam, że narzucony mi „warunek“ był inspirowany przez domniemaną teściową, wcale niezły typ „heroda-baby“. A może też uśmiechała się pannie rola Katarzyny de Medicis, gdy w roli mej żony będzie decydowała o sprawach, pozostawiając mi wszelkie prerogatywy roboczego wołu oraz zewnętrzną reprezentację, jak to zresztą często działo się w Rosji w podobnych wypadkach.

Postanowiłem dać jej przeto nauczkę. Nie wtajemniczając panny w swoje zamiary, przyniosłem nazajutrz do swego mieszkania cały worek podręczników, z dziedziny 12 nauk, poczynając od arytmetyki, a kończąc na taktyce. Ułożywszy to wszystko, położyłem na biurku rewolwer, ślubując, że albo skończę akademię, albo palnę sobie w łeb. Odrazu wziąłem się do nauki i zdaje mi się, że nikt nigdy nie uczył się tak pilnie, jak ja. Jednocześnie złożyłem po raz wtóry raport o pozwolenie na zdawanie egzaminu.

Prawie co rok któryś z oficerów naszego pułku kandydował do którejś z akademii, więc i mój raport w tym wypadku nikogo nie zdziwił. Trzeba trafu, że dowódcą dywizji był wówczas Niemiec, który, znając mnie, jako dobrego oficera, udzielił mi pozwolenia i wydał też świetną opinię.

*

Egzamin trzeba było zdawać dwukrotnie. Do konkursu po raz pierwszy miałem stanąć w czerwcu, przy sztabie okręgu (co odpowiada u nas inspektoratowi armji), po raz drugi zaś we wrześniu już w akademji, czyli, że na przygotowanie się miałem zaledwie cztery i pół miesiący. Rozdzieliłem sobie dzień w sposób następujący: na jedzenie, spanie i odpoczynek 8 godzin, przez

6 godzin prowadziłem zwykle zajęcia w koszarach, a przez 10 godzin ślęczałem nad podręcznikami.

Książki szkolne zamknąłem w r. 1888; od tego czasu ani razu nie miałem ich w ręku. Co prawda, w ciągu tych 11 lat nie hulałem, w karty nie grałem i nie próżnowałem. Wolne chwile spędzałem przeważnie na czytaniu dzieł historycznych lub fachowo-wojskowych. Rozwinęło to oczywiście mój światopogląd, ale do egzaminów niewiele mogło pomóc. Ciężka więc była sprawa z odświeżeniem wiadomości szkolnych, tem bardziej, że w akademii przeważnie ścinano z matematyki, rosyjskiego i taktyki. Egzamin z rosyjskiego składał się z dyktanda i wypracowania, przyczem każdy błąd gramatyczny zmniejszał stopień o 2 punkty, omyłka zaś w znakach przystankowych — o 1 punkt. Pomyślny wynik egzaminów wymagał najmniej dziewiątki, przy dwunastkowym systemie oceny, czyli w pisowni można było dopuścić się najwyżej jednego błędu gramatycznego i jednego w znakowaniu. Wypracowanie na zadany temat nie mogło przekraczać dwóch stron zwykłego arkusza papieru. Trudności pisowni rosyjskiej są znane; nawet wśród Rosjan mało jest piszących zupełnie poprawnie. Z matematyki, prócz teorii, dawano zadania, rozwiązanie których decydowało o wyniku. Mnie np. z trygonometrii, (prócz innych trzech) dano zadanie: $\sin X = X$. Z taktyki przypadł mi temat „Walka o obiekty terenowe“, co w podręczniku zajmowało przeszło 60 str. druku.

Zdanie egzaminów przy sztabie okręgu i drugiego przy akademii, nie decydowało jeszcze o przyjęciu, gdyż egzaminy były konkursowe. W akademii, do której kołatałem, liczba słuchaczy nie mogła przekraczać 300.

Co rok ubiegających się było około 1000. Z tej liczby pierwsze egzaminy zdawało ze 300, drugie — około 170 oficerów. W zależności od tego, ilu słuchaczy było na drugim i trzecim kursie, przyjmowano na pierwszy kurs tylu, żeby ogólna ilość słuchaczy na wszystkich kursach nie przekraczała 300.

Próbować szczęścia wstąpienia do akademii można było tylko raz.

Normalnie, prawo do tytułu oficera Szt. Jen., t. j. jak u nas mówią „oficera dyplomowanego“, corocznie zdobywało od 35 do 45 oficerów. W czasie, kiedy zdawał egzamin, na pierwszy kurs przyjęto 150; z tych przy przejściu na drugi pozostało 98, na trzeci przedostało się tylko 63, ukończyło zaś z prawem do tytułu, zaledwie 42 na 900 ubiegających się.

Oficerów w armii rosyjskiej w czasie pokoju (r. 1899) było około 60.000, a uzyskiwało dyplomy rocznie mniej więcej 0,07%. Jest to cyfra bardzo nikła; dlatego też w armii rosyjskiej, nawet w czasie pokoju, stale brakowało oficerów dyplomowanych. Podczas wojny światowej dało się to odczuć w sposób zatrwajający i stało się jedną z przyczyn przegrania wojny.

Kandydatów przesiewano, stosując prawdziwie drakońskie sposoby. Wiedza, przy słabej woli, a nawet przy nieodpowiedniej powierzchowności i układzie słuchacza, nie dawała możliwości ukończenia akademii. Prawa zaś,

nabyte przez jej ukończenie, były duże, bo dawały możliwość zaspokojenia najbardziej wygórowanych ambicji. Oficerowie szt. jen. w Rosji, stanowili, podobnie jak w Niemczech, osobny korpus.

Każdy wartościowy i ambitny wojskowy marzył o karierze, jeśli nie Napoleona, to przynajmniej nieprzeciętnego generała, lecz droga do osiągnięcia tego celu w Rosji była ciernista; Akademia z tego powodu stawała się nieraz areną dramatów. Iluż to zawiedzionych, wskutek niezdanych egzaminów, kończyło samobójstwem! Iluż zginęło w tenże sposób dlatego, że przez lekomyślność popełniło jakiś czyn, za który wydalano z Akademii, albo że, po ukończeniu 3 kursów, nie zostali zaliczeni do Jeneralnego Sztabu.

Ci, którzy szczęśliwie wyszli z tego piekła, stanowili wartość realną. Nie chcę tem powiedzieć, że każdy, kto ukończył Akademię, był genialny, lecz twierdzę, że byli to w 99%, ludzie o wypróbowanych charakterach i zdolni do pracy. Takie stosunki panowały w szkoleniu oficerów Sztabu Jeneralnego w Rosji wtenczas, kiedy i ja kandydowałem.

W Akademii uczono nie tylko teorii ale i sposobów zastosowania jej w praktyce, zarówno na ćwiczeniach w murach Akademii, jak i w terenie. Kursy przedmiotów były nadzwyczaj obszerne. Np. historia rozwoju sztuki wojkowej obejmowała 5.000 stron druku. Co tydzień trzeba było wykonać zadanie z taktyki, geodezji, astronomii i topografii, co wymagało całych metrów papieru rysunkowego i dziesiątków arkuszy do pisania. Nie wszyscy mogli podołać tak wytężonej pracy. Wielu rezygnowało już na pierwszym kursie.

Przed rokiem 1899 system w Akademii był też surowy, ale wówczas zwracano większą uwagę na teorię, pomijając wyrobienie praktyczne; z tego powodu skarżono się na brak praktycznego doświadczenia oficerów-akademików. W owej epoce, Akademia wydała wielu wybitnych wojskowych myślicieli z Lehrem i Karcewym na czele; do tych zaliczyć należy także, mniej głębokiego, lecz bardzo realnego Michała Dragomirowa, o którym i w Polsce krąży dużo anegdot. Za moich już czasów wysunęli się na czoło niejaki Gołowin i Markow. Z przyjemnością i teraz czytuję artykuły Gołowina, z wiedzy którego korzysta obecnie nawet francuska „Ecole supérieure de Guerre“.

Być może, że zarzucą mi, iż się dużo rozpisuję o Akademii i może stwierdzą, że często gloryfikuję Rosjan, ale mimo to muszę przyznać, iż zawdzięczał Rosjanom nabytą wiedzę i uważam za swój obowiązek oddać należną cześć zasłużonym wojskowym rosyjskim, choć przeważnie byli to ludzie nieprzychylnie usposobieni dla Polski i Polaków, a tem samem też i wobec mnie.

*

Opisawszy warunki, stawiane oficerom, kandydatom do wstąpienia do Akademii, oraz system nauczania w niej, wracam do przeżyć osobistych.

W maju 1899 r. t. j. po 4-ch miesiącach bezlitościwego kucia, zawezwano

mnie do egzaminu. Zjechało się nas do Moskwy około 80 oficerów. Po dwu tygodniach egzaminy ukończono. Nie obyło się przytem bez komicznych scen. Na egzaminie jazdy (który był ostatni) kilku piechurów z konia spadło na finiszu czterowiorstowego galopu. Zaraz też po tym wypadku dwóch z nich wyrzekło się zaszczytu wstąpienia do Akademji. Egzamin z dodatnim wynikiem zdało 20-tu. Lecz władze oświadczyły, że ja jedynie mam szanse do wstąpienia.

W sierpniu zawezwano nas do Petersburga, na powtórne egzaminy, (przeznaczając na ten cel 20 dni). Rozdzielono wszystkich na partje i rozpoczęto od egzaminów z rosyjskiego języka, co było zrobione umyślnie, żeby przerzedzić szeregi kandydatów. Dwanaście przedmiotów zdałem celująco, albo bardzo dobrze, tak że wysunąłem się na pierwsze miejsce, ostatni egzamin wypadł mi z taktyki. Egzaminowało dwóch profesorów: niejaki płk. Baskakow, z pochodzenia kozak-starowier, słynący z nielitościwego ścinania, i płk. Kolubakin. Baskakow egzaminował z taktyki tak zw. elementarnej, Kolubakin z taktyki stosowanej. Po wezwaniu mnie do egzaminu w przeciągu 10 — 15 minut zrobiłem na tablicy potrzebne szkice i zacząłem odpowiedź. Mówiłem bez przerwy godzinę.

Recytując, zauważyłem, że sala zapelnia się oficerami i narazie nie mogłem odgadnąć przyczyny. Później okazało się, że odpowiedź aspiranta zajmuje zazwyczaj 10 — 15 minut, poczem profesor miał zwyczaj zadawać kilka pytań i na tem egzamin się kończył. Kiedy jednak po półtoragodzinnem zdawaniu Baskakow nie przerwał mi wątku, koledzy domyślili się, że zanosí się na jakąś niezwykłą awanturę. A gdy prawie zupełnie wyczerpany skończyłem, Baskakow zadał mi pytanie: „Czy to już wszystko?“ — odpowiedziałem, że mogę jeszcze więcej powiedzieć. Kiedy zaś wreszcie skończyłem, Baskakow rzekł: „Kwestji pan nie wyczerpał“, poczem zadał kilka pytań, których, będąc przemęczony, nie mogłem już nawet dokładnie zrozumieć.

Miałem przeświadczenie, że taktykę znam, a czepianie się do mnie wskazywało na to, że postanowiono mnie ściąć. Przypomniałem sobie moje ślubowanie strzelenia sobie w łeb, jeżeli na egzaminie przepadnę. I jak to zwykle bywa w chwilach stanowczych, z piorunującą szybkością przewinięło mi się przed oczyma duszy całe moje życie. Odruchowo zbadałem kieszeń, w której miałem rewolwer i z rezygnacją człowieka, który już nic nie ma do stracenia, powiedziałem: „nie rozumiem, czego pułkownik odemnie żąda!“. „Pan nie rozumie, to dziękuję“ i zobaczyłem, że w notatniku Baskakow zapisał grubą piątkę; wynikało z tego, że egzaminu nie zdałem, bo z taktyki nie można było mieć mniej niż siódemkę.

Od katastrofy uratował mnie następujący zwyczaj, panujący przy egzaminach do Akademji. Każdy profesor osobno stawiał stopień za swój przedmiot, lub za swój dział, sumę tych stopni dzielono przez liczbę egzaminujących, w danym wypadku przez 2.

Gdym skończył z Baskakowym, zaraz zaczął egzaminować mnie płk. Kolubakin. Odpowiadałem mu w stanie podświadomym, nie dłużej niż 2 minuty, poczem płk. Kolubakin zadał pytanie i na tem mój egzamin z taktyki stosowanej się zakończył. Nie wiedziałem jaki stopień postawił mi K.; od tego zależało, czy zostanę przyjęty do Akademji. Przez 4 godzin trwania egzaminu, chodziłem jak skazaniec. Tych kilka godzin oczekiwania rezultatu wywarło na mnie tak silne wrażenie, że gdy później, będąc na wyższych stanowiskach, musiałem nieraz zatwierdzać wyroki śmierci, kazałem zawsze wykonywać je niezwłocznie, bowiem sama śmierć nie jest tak straszna, jak oczekiwanie na nią, kiedy skazaniec toczy straszliwą walkę ze sobą, aby utrzymać swą godność i nie splamić się łzami słabości, albo prośbą o litość.

O godz. 3-ciej po poł. ogłoszono wyniki egzaminu; otrzymałem siódemkę, która wynikła z piątki Baskakowa i dziewiątki Kolubakina. Zawdzięczałem więc życie temu ostatniemu. Nie wiem, czy widział mój ruch szukający rewolweru, czy wyczytał w mej twarzy ostateczną rezygnację, gdyż nawet nie pamiętam mojej odpowiedzi na jego pytanie.

Po tygodniu ogłoszono ostatecznie wyniki egzaminów. Do Akademji dopuszczono około 150 oficerów. Ja, dzięki niepowodzeniu na ostatnim egzaminie, zjechałem z pierwszego miejsca na pięćdziesiąte, jednak do Akademji się dostałem.

Była to bardzo słaba pociecha! Wszak należało jeszcze tę Akademję ukończyć pomyślnie, zdobyć tytuł oficera Szt. Jen. — (nietylko oficera dyplomowanego, co uzyskiwali wszyscy ci, którzy przeszli 2 kursy akademji). — 150 kolegów stanowiło wielką konkurencję; o jakiegokolwiek przyjacielskiej pomocy w nauce mowy być nie mogło, skoro z tej liczby miało dopiąć celu zaledwie około 50.

*

Zaraz po wstąpieniu do Akademji, zawarłem bliższą znajomość z biblioteką pragnąc w ciągu roku nietylko przejść kurs, ale przeczytać względnie przejrzeć wszystkie dzieła, dotyczące wykładanych przedmiotów. Przypuszczając, że przy przejściu na drugi kurs, Baskakow, wykładowca nader trudnej historii sztuki wojskowej, zechce mnie znowu ściąć, postanowiłem dołożyć wszelkich starań, aby przystąpić do egzaminu z pełnią wiedzy. O teatrach, wizytach, rozrywkach wszelkich zapomniałem. Do Akademji wychodziłem o godz. 8-ej min. 30 rano. Wracałem z niej o 3-ciej po południu; po drodze wstępowałem do restauracji na obiad, poczem niezwłocznie zasiadałem do studjów.

System egzaminów w Akademji polegał nietylko na sprawdzeniu wiadomości, objętych przepisany programem, ale również na tem, czy absolwent czytał coś poza podręcznikiem. Taki system był dobry, gdyż wyrabiał wytrwałość — jako zasadniczą cechę charakteru oficera, uczył myśleć, zmusza-

jąc do przetrwania przeczytanej książki, kształcił charakter (w stolicy nie brakowało pokus i trzeba było umieć z nimi walczyć), przyzwyczajał do szybkiej pracy, na koniec — przyzwyczajał do utrzymywania uwagi w stałym napięciu.

Pierwszy rok studjów minął szybko. Czas zeszedł na wertowaniu książek. Nie było znaczniejszej bitwy, którejbym nie przestudjował. Profesorowie, chcąc przekonać się o stopniu opanowania przedmiotu przez słuchaczy, urządzali od czasu do czasu t. zw. repetycje, to jest małe egzaminy. Na jednym z nich dano nam, jako temat, bitwę pod Courtrai. Nie wszyscy nawet słyszeli o tej bitwie ¹⁾, a nikt nie znał jej detali. Ja ją znałem dlatego, że w jakiejś bardzo starej książce znalazłem opis, który mnie zainteresował zabawnymi epizodami. Moja analiza tej bitwy zwróciła uwagę ogółu słuchaczy.

*

Nadszedł wreszcie czas egzaminów przejściowych na kurs drugi. Na pierwszym przechodziliśmy aż 12 przedmiotów. Z historii sztuki wojskowej egzaminowało dwóch profesorów, — jeden z epoki starożytnej i doby Napoleońskiej (był to znany już czytelnikowi Baskakow), drugi z epoki średniowiecznej i nowożytnej. Modliłem się, żeby tylko nie trafić do Baskakowa. Niestety, wylosowałem bilet właśnie z jego działu, mianowicie z historii sztuki wojennej u narodów starożytnych i ilustrujące ją dwie bitwy: pod Leuktrami i pod Arbella. Treść biletu była tak obszerna, że w ciągu godziny, którą dawano na przygotowanie odpowiedzi, nie było możliwości przypomnienia sobie nie tylko szczegółów, ale nawet usystematyzowania głównych danych (temat obejmował około 250 stron druku). Byłem pewny, że mnie zetną i że znowu zbliża się moment spełnienia złożonego ślubowania. Nie zadawałem sobie trudu ogarnięcia całej odpowiedzi. Uprzytomniłem jedynie, od czego mam zacząć. Ponieważ technika w czasach starożytnych stała na niskim poziomie, więc ludziska w zabiegach o zabezpieczenie własnej skóry, wymyślali rozmaite wybiegi i tak np. Grecy mieli żołnierzy uzbrojonych w dzidy od 6 do 10 stóp długości. Postanowiłem zacząć od tych detali. Przedemną odpowiadał niejaki Grudziński na temat bitwy pod Ratysboną (Regensburg); byłem świadkiem, jak Baskakow uśmiercał tę ofiarę. Czułem się marnie. Nareszcie Grudzińskiego zlikwidowano i wzięto się do mnie. Mówiłem przez jakie pięć minut. Baskakow patrzył na mnie wzrokiem bazyliuszka i raptem przerwał, zadając dwa pytania: 1) dlaczego Grecy atakowali pod Granikiem prawem skrzydłem; 2) czy mogę scharakteryzować epokę przednapoleońską?

Na obydwa pytania odpowiedziałem zwięźle i wyczerpująco. Oczywiście, że odpowiedzi tych nie zaczerpnąłem z podręczników, lecz były one wynikiem żmudnych studjów bibliotecznych. Wtedy Baskakow wstał, uklonił mi się,

¹⁾ Podczas wojny światowej pod Courtrai toczyła się też decydująca walka.

i podziękował za odpowiedź. Egzamin ten trwał zaledwie dziesięć minut. Kula nie wylatuje tak prędko, jak ja szybko zeszedłem z podium i wybiegłem z sali. Postawiono mi 12. Był to triumf duży, bo od r. 1831, w którym założono Akademię, tylko trzech słuchaczy, w tej liczbie ja, otrzymało pełny stopień z historii rozwoju sztuki wojkowej.

Resztę egzaminów zdałem doskonale, prócz geologii. Był to przedmiot drugorzędny, dosyć ciekawy i nawet łatwy. Szczerze mówiąc, zlekceważyłem go, bo był to wprawdzie przedmiot, włączony do programu nauk ze względów na konieczność ogólnego wykształcenia, lecz tylko luźnie związany z topografią. Postawiono mi wprawdzie dziewiątkę, jednak, jak się później okazało, wpłynęło to ujemnie na ocenę późniejszych wyników, gdyż po ukończeniu Akademii, nie otrzymałem medalu, choć przeciętny stopień ze wszystkich przedmiotów wypadł mi „11“.

W wyniku tych pierwszych egzaminów, wysunąłem się na pierwsze miejsce wśród oficerów, którzy przeszli na drugi kurs. Drugim z rzędu był podporucznik pułku kawaleri gardów, niejaki hr. Ignatjew, którego nazwisko powinno być nam dobrze znane, ponieważ ojciec jego był generał-gubernatorem „jugo-zapadnego kraja“¹⁾, matka zaś z domu ks. Mieszczerska słynną była za czasów panowania Mikołaja II. Będąc drugim, hr. Ignatjew miał przeciętnie „10,5“. Zestawienie nas dwóch dawało dużo do myślenia i nie wróżyło dla mnie nic pomyślnego. Władze akademickie nie mogły przejść do porządku dziennego nad sprawą pierwszeństwa: „Czy ma nim być jakiś przybłęda z *Priwisliańskiego Kraju*, czy utytułowany, ustosunkowany i majątny — Rosjanin?“ Prócz kwestji czysto zasadniczej, tak jaskrawo ujętej przez Puszkina: „Kto ustoit w nierawnom sporie — kiczliwyj Lach, il wiernyj Ross?“²⁾, była tu jeszcze sprawa życiowa, — przekroczenie zakazu dopuszczania oficerów Polaków do Sztabu Jeneralnego.

Oświadczam jednak, że zespół profesorów zachował się w tej kwestji zupełnie obiektywnie, trzymając się zasady, iż obowiązkiem jego jest tylko kształcenie, niezależnie od sympatyj lub wymagań politycznych. Wszak narodowości swej nie ukrywałem, wyróżniałem się złym akcentem, którego nawet 14-letnie obcowanie wyłącznie z Rosjanami, nie mogło ostatecznie zatrzeć. O ile więc ze strony profesorów spotkałem się z bezstronnością, o tyle duże było zaniepokojenie decydujących władz administracyjnych: szefa oraz dyrektora kancelarii Akademii. Ci szukali okazji by mnie się pozbyć, co było zrozumiałe. Wszak Rosjanie byli u siebie, ja zaś w ich pojęciu byłem intruzem, aczkolwiek nosiłem miano „rosyjski poddany“. Akademia

¹⁾ Za panowania Aleksandra III.

²⁾ „Kto zwycięży w walce nierównej, — chępliwy Lach, czy wierny Rosjanin“. Por. Ignatjew był oficerem wyjątkowo zdolnym, ogładzonym, koleżeńskim, przystojnym i postawnym; posiadał więc wszystkie dane, by wyróżnić się.

nie była zwyczajnym zakładem naukowym. Była furką do najwyższych stanowisk. Rosjanie musieli dbać o zabezpieczenie obsady tych stanowisk przez ludzi zupełnie pewnych, ja zaś, sięgając po ten przywilej, nie mogłem nie wzbudzać w ich umysłach pewnej dozy nieufności.

Na drugim kursie nic nadzwyczajnego nie zaszło. W nauce żadnych trudności nie miałem, gdyż pozostało mi tylko 6 przedmiotów, które przestudjowałem już w pierwszym roku. Naogół uważano kurs ten za trudniejszy od pierwszego, jednakże w tym czasie, kiedy koledzy moi kuli, ja miałem dużo czasu do wertowania dzieł w bibliotece.

Egzaminy na 3-ci kurs zdałem pomyślnie, uzyskując pierwszeństwo, ale hr. Ignatjew miał już przeciętnie „11“ a ja, „11,3“. W ten sposób akademię wojskową, która faktycznie składała się z dwóch kursów, skończyłem jako pierwszy.

Ukończenie tych dwóch kursów, dawało już dyplom, prawo do noszenia odznaki i do awansu w linii.

Prawo do tytułu oficera jen. sztabu osiągało się po pomyślnem ukończeniu III-go kursu, t. j. po obronie 3-ch dysertacyj, co decydowało ostatecznie o prawie do tytułu.

Wiedziałem, że mój rywal uczy się pilnie, ale jemu było łatwiej niż mnie. Praca naukowa składała się nietylko z teorii, ale i z robót praktycznych, które należało ilustrować ogromną ilością rysunków, szematów i wyciągów. Musiałem jednocześnie uczyć się i rysować, podczas gdy zamożniejsi słuchacze oddawali rysunki do wykonania biedniejszym kolegom, albo specjalistom co, choć drogo kosztowało, dawało większą ilość czasu na studia. Postępowanie takie było wyraźnie zabronione, jednakże bardzo trudno było udowodnić, kto przedstawione szkice wykonał. Hr. Ignatjew oczywiście mnie doganiał. Z tego powodu, nietylko koledzy, ale i profesorowie czynili zakłady, kto z nas dwóch ukończy 3-ci kurs jako „primus“. To dawało prawo do wyjazdu zagranicę w celu kształcenia się na koszt specjalnego funduszu.

Na obronę drugiej dysertacji Ignatjewa i mojej, zjechali członkowie Rady Wojennej, co wskazywało, jak wielkie było zainteresowanie sprawą pierwszeństwa. Ostatecznie Ignatjew otrzymał o 0,02 stopnia więcej. Później dopiero dano mi do zrozumienia, że na konferencji rozstrzygnął jego tytuł, no — i moja narodowość. Przyznano mi jednak nagrodę za opracowanie dysertacji strategicznej.

W rezultacie więc, tak czy inaczej, celu dopiąłem. Akademię skończyłem. Awansowałem na kapitana. Stałem na początku nowej drogi służbowej z szerokimi widokami i nadziejami na przyszłość.

Nie odrazu jednak zostałem zaliczony (jak i wszyscy) w poczet oficerów Sztabu Jeneralnego, a to z tego powodu, że w 1902 r. wydano nową pragmatykę, która wymagała uprzednio dwuletniego dowodzenia kompanją (szwadronem). Była to ciężka próba: dobrze, jeżeli pułkiem dowodził oficer wy-

kształcony, ale jeśli to był „stupajka“, akademik doznawał zwykle wielu przykrości, bo taki dowódca, jakby mszcząc się za wyższe wykształcenie swego podkomendnego, szukał wszelkiej możliwej sposobności do szykanowania. Tak i ze mną było. Pułkiem dowodził niejaki płk. Chodniew, który prócz znajomości regulaminów, ściśle podług litery pojmowanych, nie wiele znał się na rzeczy, a wobec wyższych władz był do przesady униżony. Miałem z nim kilka przykrych zajęć, o których jednak tu nie warto wspominać.

*

Raz jeszcze pragnę podkreślić, że ukończenie Akademji nie było rzeczą łatwą. Osiągnąłem maximum tego, co mógł osiągnąć oficer bez protekcji, bez środków materialnych, oraz bez sprzyjających warunków; śmiało zatem powiedzieć mogę, że ukończenie jej z odznaczeniem jest moją wyłączną zasługą.

Zatrzymałem się tak długo na okresie przeżyć akademickich, bo one były nie tylko podłożem mojej dalszej kariery wojskowej, ale oddziaływały też na ostateczne ukształtowanie się mego charakteru.

Nauczyłem się sztuki poznawania ludzi i ich oceniania. Potrafiłem wiele od nich wymagać, ale także wiele przebaczać.

Moja akademicka epopeja jest przykładem, jak starannie w Rosji dobierano oficerów, pamiętając o ich znaczeniu i przeznaczeniu. Dlatego też Sztab Jeneralny był jednolity i, jako korpus, zwarty. Nie znał zdrady, jak się to w niektórych armjach zdarzało.

*

Czytelnik zapewne zapyta: A cóż się stało z p. P...? Zaraz po ogłoszeniu wyniku wstępnych egzaminów, zjawiła się w Petersburgu i oświadczyła, że gotowa jest już teraz wyjść za mnie. Odpowiedziałem, że nie mam na to czasu, gdyż nadszedł okres wytężonej pracy, a nauka, będąc rodzaju żeńskiego, jest zazdrosną i będzie nam przeszkadzała w miłości. Panna uwierzyła tej logice i powróciła do rodziców.

W 1902 r. po opublikowaniu w rozkazie do armji listy oficerów, którzy ukończyli Akademię, p. P... znowu zjawiła się w Petersburgu z powtórna propozycją zawarcia małżeństwa. Przyznaję, że oddała mi ona wielką przysługę w swoim czasie, podniecając moją ambicję, jednakże, pomimo iż nie byłem obojętny na jej wdzięki, nie mogłem zapomnieć przykrych i ciężkich przeżyć, wywołanych przez nią w tak brutalny sposób i zemściłem się, mówiąc, że z naszego projektowanego małżeństwa nic nie będzie.

Na tem skończyła się idylla, a zaczęła się praca nad kształceniem i wychowaniem tych mas, które miałem prowadzić w przyszłej, już wówczas przewidywanej, wojnie, oraz nad zbadaniem sił ewentualnych przeciwników, w pierwszym zaś rzędzie — ich sztabów jeneralnych.

WSPÓŁCZESNY SZTAB JENERALNY W NIEKTÓRYCH PAŃSTWACH

W organizacji i działalności Sztabów Jeneralnych Niemiec, Rosji, Austrii i Francji, szukać należy wyjaśnień wyników wojny światowej. O znaczeniu i przeznaczeniu Szt. Jen. napisałem, na prośbę dziennika „Rzeczpospolita“, (w czerwcu i lipcu 1920 r.) kilka artykułów. Wzbudziły one zainteresowanie¹⁾; nie będę ich tutaj powtarzał, mimo, że nie straciły na aktualności. Niestety „sfery“ t. zw. „belwederskie“ orzekły, że artykuły były skierowane przeciwko ówczesnemu Naczelnemu Wodzowi — więc, d. c. drukowania ich musiano zaprzestać. Piszac je, nie miałem bynajmniej na celu „malowania“, lub „krytykowania“ ówczesnego Naczelnego Wodza; traktowałem kwestję czysto teoretycznie, popularnie. Jeśli się zatem dopatrzoneo jakiejś intrygi, to podkreślono tem swoją ignorancję, oraz wyświadczone Piłsudskiemu niedźwiedzia usługę. Nie moja wina, że w artykułach tych odbiły się, jak w zwierciadle, ówczesne stosunki.

*

Dla ścisłości zaznaczyć należy na wstępie, że wszystkie Sztaby Jeneralne ważniejszych państw, w ostatnich 40—50 latach przed wojną światową, wzajemnie kontrolowały się i naśladowały. Każda nowa myśl z dziedziny wojskowości, znajdowała natychmiast oddźwięk u „sąsiadów“ i była mniej lub bardziej sprecyzowana, a nawet zastosowana. Przodował od czasów Moltke'go bezsprzecznie Sztab Jeneralny niemiecki. Jego prace odznaczały się precyzyjnym i zharmonizowanym wykończeniem, bo przed zaliczeniem do Sztabu Jeneralnego, każdy oficer kończył swoje wykształcenie pod osobistym kierownictwem szefa sztabu jeneralnego. Nie generałowie armji niemieckiej zwyciężali w ciągu 4-ch lat wojny światowej; zwyciężało ujednolicone wykształcenie i techniczne przygotowanie zespołu.

Przytoczę epizod walk pod Łodzią w r. 1914. Dwa niemieckie korpusy, okrążone przez przeważające siły rosyjskie, tak długo „kołatały“ w różne punkty, dopóki nie wydostały się (co prawda nie całe) z matni. Stało się to dzięki intelektowi tylko jednego oficera, który, znając ogólny plan operacji, zawczasu wyczuł jak będzie postępowało główne dowództwo, żeby wyjść

¹⁾ Potwierdzenie tego widać z listu, człowieka zupełnie bezstronnego (patrz załącznik nr. 1), oraz listu redaktora (załącznik nr. 2).

z zagmatwanej sytuacji. Odpowiednio kierując otoczonymi korpusami, przyczynił się do wygrania bitwy przez Niemców.

Francuzi są narodem zdolnym i wydają najwięcej genjuszów we wszelkich dziedzinach wiedzy. Ich myśliciele wojskowi, to ludzie głębokiego umysłu. Jednakże na ogół są oni improwizatorami — stąd też brak jednolitości ich oficerów Sztabu Jeneralnego.

Zarówno Francuzi jak i Niemcy czerpali wiedzę ze wzorów Napoleona, jednak pierwsi szukali natchnienia, które w potrzebie nie zawsze się zjawiało, podczas gdy drudzy, przyjąwszy pewną tezę, rozwijali ją logicznie, opracowywali w detalach i przeprowadzali z żelazną konsekwencją.

Wojna światowa potwierdza to mnóstwem faktów.

W 1914 r. Francji groziła zagłada pod naporem nawały pruskiej. Uratowali ją Niemcy, ludzie cywilni, podnosząc alarm z powodu spustoszenia, które wyrządziła, rzekomo, w Prusach Wschodnich armja Rennenkampfa. Nie rozumieli tego, że decydujące rozstrzygnięcie osiąga się na głównym teatrze wojny, którym była Francja, nie zaś Rosja. Władze wyższe wojskowe musiały uleść opinii „cywili“. Wycofanie z Francji, wbrew zdaniu Nacz. Wodza, paru korpusów i improwizacja kontr-ofensywy generała Joffre'a, uratowały Francję. Ale Joffre'a mogło zabraknąć, jak zabrakło Francuzom wodza w r. 1870.

Tajny wywiad prowadzić w Niemczech było trudno. Tylko drobne szczegóły udawało się tą drogą wydobyć. Wielki był triumf, gdy otrzymano instrukcję dla ochrony granic na wypadek mobilizacji i to nie dla wojsk linjowych, lecz dla staruszków z Landszturmu.

I oto zagadka: w Austrii narody rzekomo czuły się bardzo dobrze, nie gnębiono ich, nie wynaradawiano, nie wywłaszczano, a jednak zdrajców tam nie brakło. W Niemczech postępowano wręcz odwrotnie, zaś wypadki zdrady były wyjątkiem.

Zanim coś powiem o Sztabie Jeneralnym austriackim, podam kilka słów i spostrzeżeń dotyczących tej armji.

Przed wojną światową służyłem w kijowskim okręgu wojskowym. Opracowywano tam plan ewentualnej wojny z Austrią. Mając oficerów kuzynów w Galicji, przesiąknięty byłem od dziecka szacunkiem i wiarą w potęgę i niezwyciężalność armji austriackiej. Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka, przedstawiała się ona świetnie na zewnątrz, moi krewni twierdzili, że i stan wewnętrzny jest świetny. Byłem więc przekonany, że w razie wojny Rosja będzie z nią miała ciężki orzech do zgryzienia. Wszak nie można było porównać nieczgrabnego i ciemnego „Moskala“ z eleganckim, wygadany „Austriakiem“.

Już jednak w umyśle młodzieńczym powstawały wątpliwości, dlaczego „ka-

capi“ wyglądali zdrowo i mocno, podczas gdy żołnierze austriacy uderzali swym mizernym wyglądem. Następnie, studjując historję wojen, dziwiłem się, dlaczego tych (w mojem pojęciu) świetnych Austriaków stale zwyciężali Francuzi, Niemcy, Węgrzy i Turcy. Niebawem przekonałem się, że cała maszyna państwowa austriacka, jak również i armja, tylko pozornie świetnie wyglądały; w rzeczywistości był to obraz bardzo bliski nędzy i rozpacz: żołnierze bici i katowani tak, jak tego nie wyobrażali sobie pomawiani o okrucieństwo Moskale; jedzenie marne i niedostateczne, mundury eleganckie, ale bielizny brak i nietylko w początkach XIX wieku, (kiedy jej zupełnie nie było), ale również i w początkach XX-go. Austriackie życie koszarowe, cechował brud, co zauważyli wszyscy, zwiedzający Wawel przed r. 1914. (Stacjonował tam jakiś pułk).

W tej, tak z pozoru świetnej, armji austriackiej dezercja w czasie pokoju była ogromna. Z szeregów uciekali do Rosji, nietylko Rusini, na których mogły wpłynąć t. zw. „rubie podróżujące“¹⁾, ale i inni bracia Słowianie, a nawet i Węgrzy. Wszystko to przechodziło granicę i wędrowało od sztabu do sztabu, podczas badań wydając tajemnice swojej armji. Wiadomości te, co prawda, miały tylko względną wartość. W Rosji prędko się spostrzeżono, że brak spójni można wykorzystać lepiej. Kanceliści austriacy dawali się łatwo przepkupywać; za wiadomości np., które mogły być zapisane ołówkiem na przypinanym mankiecie, płacono się 5 rs. Nie brakło też szpiegów wśród oficerów c. k. armji, którzy, za względnie skromne sumy, sprzedawali informacje. Szczytem tego była sprzedaż, przez szefa Sztabu Korpusu, kwaterującego w Pradze, płk. Roedla, planów mobilizacyjnych.

Oczywiście centralne władze austriackie prędko wpadły na trop tych kombinacyj i z godną uwagi pomysłowością zarządziły kontrakcję. Droga obietnic szybszych awansów, względnie nagród pieniężnych, zastosowali kontrwywiad wśród własnych szeregów. Sposób ten oczywiście nie spoił armji, ale wręcz przeciwny osiągnął skutek. Intrygi²⁾, donosicielstwo i wzajemne kopanie dołów było zjawiskiem powszechnem.

Nie należy uważać, aby armja austriacka nie miała zdolnych jenerałów, ale wśród nich nie było ani jednego, któryby potrafił ją zreorganizować. Austrija nie posiadała swego Moltke'go; nie mogłem też znaleźć wśród nich nawet takiego, któryby zdolnościami dorównał chociażby jen. armji rosyjskiej Dragomirowowi. Przed wojną światową zwrócił na siebie uwagę jen. Conrad von Hoetzendorf. Zaczął reorganizację, napotkał jednak na opór wśród licznych austriackich eksceleńcyj i wszystko prawie zostało po dawnemu. Z tego powodu austriacki Szt. Jen., nie był instytucją godną uwagi. Nie było

¹⁾ Pewnego rodzaju przekupstwo ludności, stosowane przez Rosjan.

²⁾ Wśród oficerów tej armji — rodaków, dziwiło mnie stale, że za oczy jeden o drugim rzadko kiedy dodatnio się wyrażał.

w nim ani poczucia *solidarności koleżeńskej*, ani chociażby jedynie świadomości swego wielkiego przeznaczenia. Tylko w Austrii mogło zdarzyć się coś podobnego, że pewien oficer, nazwiskiem Hoffrichter, wykombinował, iż przyspieszenie awansu najłatwiej można uzyskać — trując własnych kolegów. W tym celu pod etykietą środków podniecających posyłał im cjanek potasu.

Podobne potworności nie zdarzały się w żadnej innej armji. Umiano bowiem dobierać elementy pewne, a *poczucie zawodowego koleżeństwa i solidarności* nawet na myśl nie nasunęło możliwości szukania zbrodniczych sposobów *do przyspieszania karjery* i awansu.

Przyznać jednakże muszę również i pewne dodatnie strony sztabu jeneralnego austriackiego. Np. to, co wymagało pracy ściśle naukowej, ponieważ kancelaryjnej, jak choćby opracowanie historii wojny 30-stoletniej, stało na bardzo wysokim poziomie.

Od r. 1906 zajmowałem się studjowaniem tajnych dokumentów, dostarczanych przez wiernych¹⁾ poddanych cesarza Austrii, w pierwszym rzędzie przez Rusinów, następnie przez Czechów, Żydów, częściowo zaś i przez Polaków. Przysyłany materiał wywiadowczy był opracowywany w Sztabie Okręgu, przez niejakiego płk. Ditrichsa, później zaś rozsyłany do innych Sztabów w celach orjentacyjnych. Między innemi otrzymano meldunek o stanie wywiadu austriackiego w Rosji. Treść tego dokumentu była najpierw poufnie sprawdzona, wreszcie pomogła do wyłapania agentów.

W Austrii można było kupić wszystko, czego tylko dusza zapragnęła, za większą lub mniejszą sumę. Studjując dostarczane nam stamtąd wiadomości, byłem przekonany, że ajenci okpiwają Rosjan, dostarczali bowiem materiały o pierwszorzędnem znaczeniu. Np. w 1912 r. przysłano plan na wypadek wojny z Rosją, który obejmował takie detale, iż poprostu myślałem, że rosyjski Sztab Jeneralny dał się grubo nabrać. Jednakże w 1914 r., zaraz po pierwszych walkach, sprawdziło się wszystko; uległy zmianie tylko pewne szczegóły. Rosjanie zawczasu wiedzieli zarówno o składzie każdej armji austriackiej, jak i o kierunku operacji.

Trudno zrozumieć, jak udało się przeprowadzić mobilizację w Austrii, gdyż dla jakichś względów, większość pułków nie miała wszystkich bataljonów i składów w jednym punkcie. Z chwilą wybuchu wojny zamiast dokompletowywać się na miejscu, co wymagałoby niewiele czasu, pułki podróżowały do składów, tam się uzupełniały i dopiero wtedy wyruszały do rejonów koncentracji. Rosjanie, mając przewagę kawalerji, mogli w mobilizacji przeszkodzić, lecz tego nie zrobili: — woleli spokojnie zakończyć swoją.

Stykając się podczas bitew z wojskiem austriackiem, zawsze dziwiłem się nieumiejętności zastosowania wiedzy w praktyce, oraz brakowi stanowczości

¹⁾ Jako wzór oświadczenie: „przy Tobie, Panie, stoimy i stać chcemy“.

w realizowaniu zamierzeń. Oczywiście nie było kierownictwa. Generał, pułkownik, major, kapitan, porucznik, każdy w swoim zakresie, wydawał rozkaz, oczekując meldunku (posłusznego) o zwycięstwie nad nieprzyjacielem. Walkę prowadzili sami żołnierze, którym dowcipu i energii wystarczyło zwykle do południa; Rosjanie byli tak niekulturalni, że na odpoczynek i posiłek nie pozwalali i przechodzili do energicznych działań. W rezultacie — stała porażka.

Po powrocie do kraju w 1918 r., mieszkając w Staszowie pod okupacją austriacką, mogłem naocznie przekonać się też, co warta jest Austrija, jako państwo i co to był za materiał „poddani Cesarsko - Królewskiej Mości”. U nas stale twierdzą, że Rosja — to kraj nadużyć i złodziejów. Tymczasem w Austrii było to samo. Gulden otwierał drogę wszędzie. Od czasu, kiedy pamiętam (1874 r.), można było przewieźć przez granicę każdy zakazany towar. Jeżdżąc po terenie okupacji (1918 r.), kupowałem benzynę w rządowych składach; komendanci tych składów udawali, że robi się to legalnie; kwitów na otrzymane pieniądze nie wydawali. Benzynę sprzedawali też szoferzy poszczególnych ciężarowych samochodów, wysyłani dla przewozu zarekwirowanej żywności. Za cały okres (lato i jesień 1918 r.) żadna władza nie zapytała się o moją legitymację, mimo, że nosiłem mundur I Polskiego Korpusu i często podróżowałem. Raz tylko koło Radomia zatrzymał mnie konny żandarm, żądając świadectwa na prawo jazdy samochodem. Pokazałem mu prawo jazdy, wydane przez sztab 10 niemieckiej armji. Żandarm zakwestjonował je, jako nieaustriackie. Zwymyślałem go za nieposzanowanie dokumentu wydanego przez „wiernego sojusznika Austrii” co, łącznie z paroma florenami, oraz pochwałą za dobre pełnienie służby, odniosło skutek; puścił mnie.

W okolicach Staszowa Austriacy eksploatowali las. Okoliczni włościanie za moją namową rozbroili to bractwo, które nie próbowało nawet stawiać oporu. Nic więc dziwnego, że już w 1914 r. austriacka armja rozleciała się i że — by choć zginęła na polu chwały! Większość zapełniła obozy jeńców.

*

O rosyjskim Sztabie Jeneralnym pisać mi nie wypada, bo należałem do jego składu. Do pewnego stopnia charakteryzują go moje przeżycia akademickie. Obiektywnie jednak wskazać mogę, że pośród nielicznych oficerów tego Sztabu ¹⁾ był znaczny odsetek ludzi wybitnych i jako siły fachowe, i jako ludzie z charakterem. Że tu wskażę na generałów Kornilowa, Denikina, Aleksiejewa, Iwanowa Mikołaja, Kaledina, Gołowina, Ditterychsa, oraz w ohyd-

¹⁾ Było ich około tysiąca. Z tych tylko jakie pięćset pracowało bezpośrednio nad przygotowaniem armji do wojny; reszta zajmowała posady poza szeregami.

ny sposób zamordowanego naczelnego wodza, mojego kolegę z akademii, Duchonina.

Słabą stroną Sztabu był brak pojęcia, czym on ma być: czy instytucją niezależną, jak w Niemczech, czy organem ministerjum wojny (mowa tu o tak zwanym „wielkim sztabie“ t. j. instytucji centralnej). Próbowano organizować go tak i tak; skończono na „zbawczym“ kompromisie. Jednak i z takim rozstrzygnięciem spóźniono się, co miało ten skutek, że Rosja nie posiadała definitywnie opracowanego planu wojny. Pomimo to, to co przygotowano, przedstawia się imponująco; trzeba wziąć pod uwagę, że Rosja musiała mieć osiem planów, odpowiednio opracowanych do ewentualnych starć, gdy np. Niemcy mieli ich tylko dwa. Wyłączną zasługą Sztabu było, że Rosja przez 3¹/₂ roku trzymała się, choć w porównaniu z Niemcami w czasie pokoju opracowała zaledwie trzecią część tego, co na wypadek wojny potrzebowała.

Rosja stanowczo posiadała za mało oficerów Sztabu Jeneralnego. Po wybuchu wojny armja z każdym dniem się zwiększała, a nie było kim obsadzać stanowisk; użyto więc oficerów, którzy nie skończyli pełnego kursu. Wkrótce zabrakło i tych. Stąd wniosek: nie trzeba skąpić środków na specjalne kształcenie oficerów. Im takich będzie więcej, tem pewniejsze jest doprowadzenie państwa do stanu, wymaganego przez wojnę. Ale tytułu oficera Sztabu Jeneralnego udzielać należy skąpo.

VI

ROSJA U ZMIERZCHU CARATU

Utarł się u nas zwyczaj pogardzania wszystkim, co rosyjskie i zohydzania, co niemieckie. Takie, a nie inne, postępowanie ma być dowodem patryjotyzmu. Wojskowy z rosyjskiej służby jest zwany „siepaczem“, lub „carskim generałem“. Stąd wniosek: porządnym człowiekiem może być lada ktoś, byle nie służył w armji zaborczej.

Po r. 1831 nie mieliśmy armji, a więc i generałów; nafbrykowano ich sporo dopiero po słynnej weryfikacji w 1920 r. Ci jeszcze egzaminu ze swego „zawodu“ nie zdali. Będziemy się za nich modlić, bo egzaminatorowie będą nieubłagani. Mniemam więc, że, podejmując się dodatniej charakterystyki niektórych Rosjan, wiele stracę w oczach ziomków.

Ale prawda i bezstronność są moją zasadą.

Generałowi Suchomlinowowi poświęcę osobny rozdział. Następne zaś — moim bezpośrednim przełożonym. Teraz chcę słów kilka poświęcić niektórym zwierzchnikom armji rosyjskiej, mianowicie generałowi Iwanowowi Mikołajowi, Aleksiejewowi i Korniłowowi.

*

Generał Iwanow był wszechstronnie wojskowo wykształcony, w obejściu pociągający, ujmujący, prostolinijny. Trzymał się systemu marszałka Kuroki, który, po wydaniu rozkazu, pozostawiał wykonanie go podwładnym, kontrolując tylko, czy nie odchylają się od wskazanego celu. Iluż jest zwierzchników, którzy albo trzymają przy podwładnych zamaskowanych kontrolerów (donosicieli), albo hamują inicjatywę podwładnych stałem wtrącając się. Pod tym względem poczęści grzeszyła armja rosyjska. W armji austriackiej panował nieco inny system.

Generał Iwanow, dowodząc korpusem podczas wojny 1904 r., wiele się nauczył od Japończyków, niemniej już wtedy dał dowody znajomości sztuki wojskowej i wyróżnił się z pośród swych współczesnych kolegów.

Niezmienne spokojny, zupełnie zrównoważony, znał naturę ludzką i umiał wskazać należne miejsce różnym pochlebcom, którzy tą drogą dążyli do kariery. Jego talentom Rosja zawdzięcza powodzenie w pierwszym okresie wojny światowej przy rozgromieniu Austrii. Nie dzielił podwładnych na Rosjan i cudzoziemców, na prawosławnych i inowierców, a oceniał każdego podług jego wartości. W czasach prześladowań nacjonalistyczno - wyznaniowych potrafił zawsze znaleźć sposób dla złagodzenia, lub nawet anulowania przykrych i głupich zarządzeń. Mimo to był oddanym tronowi rosyjskiemu i kochał swą ojczyznę. Gdy Rosja chwiać się zaczęła, niejednokrot-

nie wskazywał, jak wybrnąć z sytuacji, niestety bezskutecznie. Po niewczasie osławiony Kiereński posłał go w celu uwolnienia Petersburga od bolszewików.

Nie wiem, jaki spotkał go los ostateczny; słyszałem, że został zamordowany. Rosjanie mogą się Iwanowem szczycić, jako szlachetnym i dzielnym człowiekiem i wybitnym wojskowym. Ja osobiście jestem mu wdzięczny, bo pewnego razu, jeszcze przed wojną światową, wyświadczył mi więcej niż koleżeńską usługę, mimo iż między jego a mojem stanowiskiem istniała ogromna różnica.

*

Jenerał Aleksiejew pochodził ze skromnego środowiska. Posiadając wybitne zdolności, szybko wysunął się na czoło szeregów oficerskich. Został profesorem Akademii Sztabu Jeneralnego, jako znawca historii i strategii. Cechowała go skromność i delikatność w stosunkach z podwładnymi. Był miękki i uступliwy, co paraliżowało wszystkie jego dobrze przemyślane zamierzenia. Wypadł na niego przykry obowiązek aresztowania z polecenia Kiereńskiego naczelnego wodza jenerała Korniłowa. Jako żołnierz rozkaz spełnił wbrew swej intencji, przyspieszył rozpadnięcie się armji. Z obiektywnego punktu widzenia postąpił źle.

Gdy cesarz stanął na czele armji, jen. Aleksiejew był jego szefem sztabu, t. j. faktycznie szefem armji. Obu brakowało stanowczości, a rozum Aleksiejewa nie mógł już walącej się potęgi uratować.

*

Trzecią osobistością, która wpłynęła na bieg wojny światowej na froncie rosyjskim, był jen. Korniłow. Pochodził z kozackiej, syberyjskiej rodziny, skończył Akademię, przeszedł normalny „stage“ oficera sztabowego, wyróżnił się energją, rzutkością i stanowczem postępowaniem. Wojnę światową zaczął jako dowódca dywizji. Podczas słynnego ataku Makensena w r. 1915 dostał się do niewoli, z której jednak uciekł. Ponieważ bardzo umiejętnie i dzielnie walczył podczas tej strasznej klęski, zaofiarowano mu dowództwo nad korpusem, a wkrótce i nad armją. Wziął udział w ataku Brusilowa na Łuck. Po abdykacji cesarza, w poszukiwaniu naczelnego wodza, wybór padł na popularnego Korniłowa. Jedynie z pochodzenia odpowiadał on „demokratycznemu“ gustom ówczesnego rządu. Zawiedziono się jednak na nim, bo Korniłow był człowiekiem logicznym, a postępowanie „zbuntowanych niewolników“ z logiką nie szło w parze. Był urodzonym wojskowym, postępował zawsze szlachetnie; kochał Rosję i tak, jak jen. Iwanow, odnosił się do ludzi bezstronnie, nam zaś Polakom nie czynił żadnych wstrętów.

Stykałem się z Korniłowem często. Już po objęciu przez niego naczelnego dowództwa, w czasie rozmowy o tem, co się w armji dzieje, otworzył szufla-

dę biurka i, wskazując na leżący tam rewolwer, rzekł: „robię wysiłki, by naród mój uchronić od zdrady (lansowano wtedy konieczność zawarcia pokoju z Niemcami); jeżeli mi się to nie uda, puszczę sobie kulę w łeb z tego oto rewolweru“.

Za rzekome nieposłuszeństwo władzom państwowym (t. j. Kiereńskiemu) został aresztowany i miał być oddany pod sąd za zdradę „demokracji“. Deportowano go do Bychowa pod eskortą seciny Tekińców i jakiegoś tam rewolucyjnego bataljonu; osadzono w więzieniu za pięciu łańcuchami straży (nie anegdota).

W Bychowie kwaterował wówczas sztab I polskiej dywizji i I pułk polskich strzelców. Rząd, post factum, bardzo się zaniepokoił tą okolicznością i pod pretekstem, iż mogą wyniknąć rozruchy (z powodu aresztowania Korniłowa) kazał wyprowadzić z miasta moje oddziały. Zdawałem sobie sprawę, że aresztowanie naczelnego wodza (a więc wtedy i wodza wojsk polskich) za rzekome nieposłuszeństwo jakiejś przejściowej władzy, może jest pięknym „czynem“ rewolucyjnym, ale nie odpowiada pojęciu o armji. Na aresztowanie, a nawet tracięcie naczelnych wodzów mogli pozwalać sobie władcy absolutni, ale nie władze bez tradycji, autorytetu, rutyny, jak również nie dysponujące pewnymi organami siły wykonawczej. Aresztowanie Korniłowa było niemądrem i niebezpiecznym zarządzeniem, wskazującym na to, że kierownicy rewolucji bali się przedewszystkiem o całość własnej skóry. Ratowali, rzekomo, pozór dyscypliny, urywając armji głowę i nie zdając sobie sprawy, że armja po takiej operacji zginie.

Strzeżenie Korniłowa w więzieniu nie zostało mi polecane; zresztą nie podjąłbym się tego. Ale rząd „rewolucyjny“, wysuwając możność wybuchu rozruchów w Bychowie, podrażnił naszą ambicję, bo właśnie nam zależało na utrzymaniu porządku. Na propozycję opuszczenia miasta odpowiedziałem, że nietylko nie ustąpię, ale każę wyrzucić każdego, kto by tam wtargnął bez mojej aprobaty. Po tem oświadczeniu nikt w Bychowie się nie zjawił.

Aresztowanie Korniłowa jest związane z niezrozumiałem zarządzeniem, bo wyznaczono dla pilnowania jego Tekińców, półdzikich azjatów, nie mówiących po rosyjsku. Albo przypuszczano, że to jest najpewniejsza straż, albo też ktoś chciał ułatwić mu ucieczkę, ponieważ Korniłow kiedyś temi Tekińcami dowodził, znał ich język, a oni go bardzo lubili.

Pięknego poranku Korniłow wraz z innymi aresztowanymi generałami¹⁾ uciekł z więzienia, co stało się zaraz nam wiadomem. Za zbiegami nie wysłaliśmy pościgu, bo pilnowanie ich nie należało do naszych obowiązków, a jedynie utrzymanie w mieście porządku, który, dzięki jen. Ostapowiczowi, nie został naruszony.

¹⁾ Było ich kilku, w tej liczbie mój pomocnik z czasów szefostwa I-a armja — jen. Orłow, kaleka bez ręki, którą mu urwał granat niemiecki.

Jenerał Kornilow zginął, broniąc honoru swej ojczyzny.
Cześć jego pamięci!

*

Już od chwili wstąpienia na tron Aleksandra III sfery kierownicze poszukiwały sposobów wzmocnienia więzów Imperjum, które pod wpływem wywrotowej propagandy zaczęły się rozluźniać. Destrukcyjna robota szła nie tylko w kierunku zaprowadzenia w Rosji innego ustroju, ale nawet dążyła do oderwania od niej poszczególnych dzielnic; do odłączenia się od Moskwy parla nawet Syberja, kraj, który wśród ludności swojej posiadał 96% rodowitych Rosjan. Policja i żandarmi nie potrafili temu ruchowi zapobiec. Rząd chwycił się rozmaitych sposobów, aby choć rdzennie rosyjską ludność utrzymać w wierności dla tronu. Pomogłaby w tem oświata, ale odpowiedniemu ministerjum nie dowierzano, bo w niem nurtowały prądy liberalne. Trzeba było jednak coś zrobić.

Najprzód pod wpływem Pobiedonoscewa użyto kleru dla oświaty, oraz propagandy konieczności posłuszeństwa wobec tronu. Dało to pewne wyniki; liczba analfabetów zaczęła się zmniejszać. Lecz duchowieństwo nie było zdolne ująć w swoje ręce decydującego wpływu nie tylko na wykształcenie, ale nawet na wychowanie. Pozatem ono samo wydawało ze swego środowiska największą ilość wywrotowców tak, że reforma szkolnictwa oczekiwanych rezultatów nie dała.

Za Mikołaja II, Stołypin rozpoczął reformę rolną; nawiasem mówiąc było to dobre i mądre posunięcie, ale nie na rękę socjalistom, bo wyrzywało im grunt z pod nóg. To też Stołypina oni zamordowali.

Na tych dwóch próbach skończyły się przed wojną światową wszelkie kroki ku lepszemu urządzeniu państwa.

W międzyczasie „najświętobliwszy synod“ z Pobiedonoscewem, a później Sablerem na czele, zaproponował wznowienie kanonizacji świętobliwych mężów, zaniechanej na rozkaz Mikołaja I. Miało to rzekomo podnieść uczucie religijne mas. Bogobojnych nigdy w Rosji nie brakowało, więc o kandydatów do kanonizacji było nie trudno. W pierwszą kolejkę poszedł mnich Serafin.

*

W północno-wschodnim kącie gubernji Tambowskiej leży olbrzymia puszcza. Część jej, około 25 tys. ha, któryś z cesarzy ofiarował klasztorowi nazwanemu „Sarowskaja Pustyn“, czyli Sarowo. Najbliższa stacja kolejowa była oddalona od puszczy o 60 wiorst, a najbliższe miasteczko bodaj jeszcze dalej. Słowem był to punkt iście niedźwiedzi.

Tu rozpoczął swój ascetyczny żywot człowiek niewiadomego pochodzenia, któremu przy obrządku postrzyżyn zakonnych dano na imię Serafin. Wedle

zręcznie puszczanej legendy, kanonizacja tego mnicha miała wpłynąć na urodzenie się następcy tronu. Rzeczywiście w Rosji niepokojono się tem, że para cesarska wydawała na świat tylko córki. Przypuszczano, że z tego powodu po śmierci Mikołaja II zacznie się zamęt, przykłady czego zresztą historia podawała. Wszyscy, od ministra do ostatniego biedaka, winili o to cesarzową, która, rzekomo „nie chce urodzić chłopca“. Alisę Heską¹⁾ od czasu zaręczyn z cesarzem niezbyt serdecznie w Rosji przyjmowano. Tem się objaśnia wpierw niechęć, a później wrogi do cesarzowej stosunek szerszych warstw społeczeństwa rosyjskiego.

Na kanonizację, mającą się odbyć w lipcu 1903 r., zapowiedział swój przyjazd cesarz z małżonką. Przygotowania robiono z wielką starannością i nakładem pracy. W celu zabezpieczenia porządku, prócz licznej policji, wyznaczono jedenasty pułk grenadierów i trzy seciny kozaków pod dowództwem generała barona Kreuzenszterna, a w celu uzgadniania rozporządzeń władz cywilnych, duchownych i wojskowych, odkomenderowano mnie. Ogólne kierownictwo uroczystością polecono gubernatorowi z Tambowa von der Launitz, Niemcowi, któremu do pomocy dano policmajstra m. Tambowa — Stankiewicza.

Cesarz miał zamieszkać w murach klasztoru. Dla pątników wybudowano masę baraków, kuchni i studzien, ale dopiero na parę dni przed przyjazdem pary cesarskiej, przypomniano sobie, że klasztor nie ma dla nich żywności! Tu trzeba było podziwiać rozmach rosyjski: już na drugi dzień ściągnięto do klasztoru przeszło 300 centnarów chleba i niezliczoną ilość różnych wiktuałów.

Zrobiłem rekonesans okolic i ścieżek, prowadzących od klasztoru do różnych quasi cudownych miejsc, gdzie Serafin za życia spędzał czas na modlitwie i poście; ułożyłem plan rozlokowania wojska, by mogło prędko wystawiać warty i szpalery wzdłuż ewentualnych szlaków spacerowych pary cesarskiej.

Nie zgłębiałem kwestji, czy Serafin zasłużył na kanonizację — była to sprawa prawosławnego duchowieństwa. Sądząc z opowiadań i kronik klasztornych, był to mąż bardzo pobożny i łagodny tak, że podobno nawet niedźwiedzie jadały z jego rąk. Umarł na 50 czy 75 lat przed projektowaną uroczystością. Wydobyto z grobu jego kości, z małą ilością ciała i garstką zetlałej odzieży. Ekshumacji zwłok dokonano w wielkiej tajemnicy — wyłącznie przez duchowieństwo — w obecności ministra spraw wewnętrznych Sipia-gina.

★

¹⁾ Nazywano Alisę „muchą heską“, od nazwy owada, który robił wielkie szkody w zbożach w Rosji. Po urodzeniu się następcy tronu, rozpuszczono pogłoskę, że dom Romanowych zaczął się od Aleksego i skończył się na Aleksym.

Zespół mnichów tego klasztoru wymagał stanowczej sanacji, a porządek w klasztorze — doprowadzenia do znośnego stanu, choćby na czas pobytu cesarza. Dzwonnik naprz. okazał się więźniem, zbiegłym z Syberji. Mnisi o higienie mieli prymitywne pojęcie; nikt z nich pracować nie chciał, bo było to obowiązkiem pątników, pragnących „przypodobać się“ Panu Bogu. Trzeba było to całe bractwo mnisie „grzecznie“ prosić, by zrobiło jaki taki porządek.

Miałem arcytrudne zadanie, bo pątników zeszło się przeszło 300 tysięcy. Naporem samej tylko masy mogli łatwo zmiażdżyć nie tylko świętę ale i samą cesarską parę. Pewnego razu o mało nawet tak się nie zdarzyło. Przypuszczam, że tłumy, które się zbiegły do Sarowa ze wszelkich stron Rosji, a nawet ze wschodniej Syberji, nie tyle miały chęć brania udziału w kanonizacji, ile pragnęły popatrzeć na samego cesarza i być niejako świadkiem momentu poczęcia upragnionego następcy tronu.

Kilka dni przed przyjazdem cesarza wywiad dał znać, że do Sarowa ma przybyć incognito korespondent jakiejś amerykańskiej, anarchistycznej gazety. Zarządzono środki, by go przyłapać.

W oznaczonym dniu, na granicy posiadłości klasztornej, parę cesarską spotkały delegacje ludności z kwiatami i wiejskimi darami. Launitz uprzednio wyuczył delegacje, jakimi słowami mają przywitać parę cesarską, a mianowicie: „*zdrawstwuji batiuszka car, zdrawstwuji matuszka carica: zdrawia żelajem waszy imperatorskija wieliczestwa*“. Uwaga władz bezpieczeństwa była zwrócona na utrzymanie porządku, głównie, by nie było nikogo nieupoważnionego; rzeczywiście, prócz niewielkiej grupy przygodnych gapiów i delegacji, nikt niepożądany nie przybył.

Cesarz, wyszedłszy z powozu, przyjął nasamprzód raporty władz, potem zaś przeszedł wzdłuż delegacji. Jakież było przerażenie kierujących uroczystością, gdy tuż obok cesarza znalazł się ów poszukiwany korespondent — anarchista! Stankiewicz bardzo umiejętnie odsunął go, i następnie kazał aresztować „archaniołom“. Figurant ów posiadał tylko rewolwer; nie sprawdziłem, czy miał jakie względem cesarza stanowcze zamiary, czy też chciał tylko odpowiednio opisać Rosję z powodu kanonizacji.

Po skończeniu ceremonii przywitań, cesarz pojechał do klasztoru, poczem na widownię wystąpił... Rasputin. Wielce mi się ta figura nie spodobała: drab, z brodą rozwichrzoną, zachowywał się prowokacyjnie. Ni to mnich, ni to zwyczajny okpidusza; miał ogromną żelazną, cyzelowaną pałę. Zwróciłem na niego uwagę Stankiewicza. Ten, po wymianie kilku słów z jakimś dygnitarzem, odpowiedział, że Rasputin należy do „Ochrany“. Niebawem też wsiadł do jednego z dworskich powozów, jak do własnego. Więcej go w życiu nie spotkałem.

Uroczystości przeszły pomyślnie, jeżeli nie brać pod uwagę, że raz cesarza o mało nie stratował tłum.

Dziwnym trafem, w dziewięć miesięcy po kanonizacji Serafina, urodził się następca tronu. Może stałoby się lepiej, gdyby dziecko to wogóle nie przybyło na świat. Uniknęłoby ohydneho mordu, dokonanego nad nim w Jekaterynburgu. Na taki mord mógł zdobyć się tylko przedstawiciel socjalistycznej międzynarodówki.

*

Antagoniści Rosji carskiej wyśmiewali uroczystości w Sarowie. Ja nie orjentuję się czy, w urzędzeniu kanonizacji, pobudki Najświętobliwszego Synodu pochodziły z czystego źródła wiary, czy też były politycznem szachrajstwem. W pierwszym wypadku niema powodów do kpin, bo wiara jest czemś większem, niż przekonania. W drugim niema powodu żałować, że tragiczny los spotkał przedstawicieli tej najbardziej wpływowej instytucji państwa rosyjskiego.

W czasie uroczystości rzekomo miało się zdarzyć kilka cudów. Nie miałem czasu tego sprawdzić. Byłem świadkiem tylko, jak jakieś podobno głuchonieme dziecko, stojąc pod dzwonnica, gdy uderzono w dzwony, pokazało palcem do góry i wymówiło „bum, bum, bum“. Czy to był cud, nie wiem. W każdym razie rodzice jego mówili, że dotąd nie słyszało nigdy.

*

O Rosji carskiej dowodzono, że rząd utrzymywał lud w ciemności, że przymierał on głodem, że krępowano jego inicjatywę, że go dręczono... Czy istotnie jednak było tak źle?

Trudno zaprzeczać, że lud rosyjski był ciemny, ale nikt twierdzić nie może, by mu broniono oświaty. Zakłady naukowe były liczne, różnorodne, a nauka stała w nich wysoko. Kto był zdolny i mógł — miał możność się kształcić. Rząd nie był obowiązany uprzystępniać wszystkim uniwersyteckie lub choćby gimnazjalne wykształcenie, a o to właśnie dąbiano się, oczywiście nie dla samej wiedzy, ale by jaknajprędzej ulokować się przy żłobie państwowym.

Rząd nie miał też obowiązku tolerowania awantur na tle politycznem, nic więc dziwnego, że awanturników ze szkół wyrzucano. Tak winno postępować każde państwo, pragnące się utrzymać. Ale właśnie z tego powodu okrzyczano Rosję, że trzyma lud w ciemnocie.

Władze zabroniły poruszać kwestję zmiany ustroju, rozumiejąc, że tego na poczekaniu nie da się zrobić, a tylko przez ewolucję tem wolniejszą, im ludność jest mniej do reform przygotowaną. Sądzę, iż uczciwsi z liczby tych, którzy domagali się gwałtownie reform, widząc, co się obecnie w Rosji dzieje, przyznać muszą, iż rząd miał rację, hamując nowatorskie zapędy.

Wolno, ale konsekwentnie, Rosja przecież zdążała ku postępowi. Oczywiście mogła dużo prędzej to robić, ale temu świadomie przeszkadzały, znane powszechnie, siły ukryte, no i głupota, oraz niesumienność poszczególnych ludzi wpływowych.

Stanowczo przeczę też bajkom o rzekomem głodowaniu w Rosji. W latach dziewiędziesiątych ubiegłego stulecia, jako dowódca wywiadowców pułku, wydeptałem tereny północnej i centralnej Rosji¹⁾ w czasie oficjalnie ogłoszonego głodu. Zaliczano wtedy gubernje Riazańską i Tulsą do zupełnie nieurodzajnych; inne też, rzekomo, nie mogły się same wyżywić. Tymczasem nigdzie głodujących nie widziałem, choć się o nich dopytywałem. Najgorsze wrażenie robiła gubernja Riazańska. Gleba tam była o wiele lepsza, niż u nas naprz. w Siedleckiem, ale biedniejszej ludności nigdzie nie spotkałem. W zimie, jednego, rzekomo, nieurodzajnego roku przeszedłem tę gubernję piechotą wzdłuż i w poprzek, a nigdy nie spotkałem tylu ludzi pod „chauffé“, jak tam. Pieniądze na wódkę były. Niebawem wykryłem, że krzyk o głodującej ludności pochodził ze sfer t. zw. „ziemskich“—liberalnych, których stałem zajęciem było stwarzanie rządowi trudności. Pewien działacz „ziemski“ poinformował mnie poufnie, że kwestja głodu jest tylko grą polityczną. Liberalowie oburzali się na rząd za jego bezczynność, a ten udawał, że coś robi; w rezultacie skarb wydawał pieniądze, ktoś je kradł, a ludność przyzwyczajała się nic nie robić, oczekując na wsparcia.

*

W Rosji lud do roboty się nie spieszył, filozoficznie rozważając, że „jeżeli Pan Bóg deszczu nie ześle, to nie trzeba uczyć ludzi zdychać z głodu“. Żle uprawiona ziemia oczywiście rodzić obficie nie mogła; ale rodziła nie gorzej, niż na drenowanych piaskach w Poznańskiem. Oczywiście w tak wielkiem państwie, jak Rosja, zdarzyć się musiał gdzie niegdzie nieurodzaj, ale do pojęcia o głodzie było daleko.

Kto bywał w Rosji ten wie, że tam ludzi bogatych było dużo; dorabiali się z niczego.

Znałem kilka rodzin, pochodzących z ludu, które doszły do wielkich fortun. Na czemże przeto oparte są oskarżenia o krępowaniu inicjatywy i przedsiębiorczości? Może to robiono w stosunku do Polaków? Rzeczywiście bano się nas, wężąc wszędzie zdradę. Ale na wschód od Dniepru nikogo w niczem nie krępowano, a dowodem są ci liczni Polacy, którzy dorobili się w Rosji ogromnych fortun.

*

¹⁾ Gubernje Jarosławska, Kostromska, Wołogodska, Niżegorodzka, Włodzimierska, Tulska i Riazańska.

Raz już poruszyłem sprawę moskiewskich okropności, skolei słów kilka chcę poświęcić głośnej katordze.

Będąc w sztabie Okręgu Irkuckiego, zwiedziłem wszystkie katorgi. Były to zwyczajne więzienia, co prawda wybudowane w odludnych punktach Syberji, ale dobrze utrzymane. Jednak zła sława katorgi pozostała. Od roku 1856 stosunki w więziennictwie radykalnie się zmieniły; nie używano już więźniów do robót przymusowych. Katorga polegała tylko na pozbawieniu wolności czynu i słowa. Podobnie postępują gdzieindziej na kuli ziemskiej.

Ongi najśłynniejszą i najostrzejszą była katorga w Nierczyńsku. Obejrzałem ją dokładnie i szczegółowo (1906 r.). Szachty, t. j. podziemne galerje, z których wydobywano srebro, dawno porzucono; pozostało tylko niewielkie więzienie, wypełnione przez przestępców mniejszego znaczenia. Sama góra, ongiś najbogatsza w świecie w pokłady srebra, wysoka i stroma, powiercona galerjami, robiła przynębiające wrażenie tragizmem tego, co się ongiś tu działo.

Jedynie katorga — więzienie, specjalnie przeznaczone dla kobiet, nazwana „Malcewskij Zawod“, uczyniła na mnie przykre i przynębiające wrażenie. Znajdował się ten „Zawod“ na ustroniu, 40 klm. od najbliższej osady ludzkiej; prowadził doń tylko jeden trakt; dalej nie było nawet ścieżek. Węzienie składało się z kompleksu niewielkich budynków, otoczonych wysokim murem, z jedną tylko furtką wejściową. Wewnątrz był dość obszerny dziedziniec. Administracja więzienia mieściła się, wraz z niewielkim oddziałem żołnierzy, poza murami. Wewnętrzne warty pełniły specjalnie dobrane kobiety, ogromnego wzrostu, muskularne, z twarzami wykluczającymi ewentualność jakiegokolwiek flirtu nawet na tem odludziu.

W więzieniu wśród zwykłych przestępczyń znajdowało się ze 20 — 30 politycznych więźniów-kobiet, między nimi słynna swego czasu Spiridonowa (zabiła jakiegoś gubernatora), oraz Bieniewska, córka znanego generała, panna z towarzystwa, przystojna, delikatna i miła. Otóż tę Bieniewską socjaliści namówili do rzucenia bomby na moskiewskiego generał-gubernatora W. Ks. Sergjusza, co rzuca charakterystyczne światło na odwagę i męstwo mężczyzn wśród członków tego „szanownego bractwa“. Nie znaleźli innego wykonawcy zabójstwa i musieli polecić to młodej dziewczynie.

Przed zamachem, podczas manipulowania bombą w zakonspirowanem mieszkaniu, bomba wybuchła, odrywając dwa palce Bieniewskiej. Policja oderwane palce znalazła na miejscu wybuchu. Zaraz uprzedzono wszystkie lecznice i szpitale i w ten sposób odnaleziono biedną dziewczynę, która przyszła do jednej z nich na opatrunek. Sąd skazał ją na katorgę.

Z czasem więźniom politycznym udzielono pewnych ulg. Bandyci i zbóje, dowiedziawszy się o tem, twierdzili, iż trafili do więzienia z powodu podejrzenia o przestępstwo polityczne. Czasem podobno to się im udawało.

Zreorganizowana katorga była jednak straszną karą, ale tylko dla miłujących pracę: przesiedzieć bezczynnie kilka lat, to nielada męczarnia; dla leniuchów jednak nie było to wielkiem cierpieniem.

Władze nie były konsekwentne w swej surowości wobec skazańców, chorowały na „miłosierdzie“. Wypuszczano ich zwykle przed terminem z więzień z powodu uroczystości państwowych.

Nikt nie dowiódł, że przestępca poprawił się po mniej lub więcej długim pobycie w więzieniu. Zwolnieni „polityczni“ zazwyczaj zmykali zagranicę, gdzie kontynuowali „pożyteczną“ pracę dla swej ojczyzny¹⁾ i, trzeba im przyznać, osiągnęli wiele. Zwykli przestępcy ulaskawieni, w krótkim czasie trafiali z powrotem za kraty.

Zachorowały też na „chorobę miłosierdzia“ władze polskie. Najświeższą ilustracją szkodliwości jej jest amnestja zastosowana w r. 1921, kiedy to większa część wypuszczonych nazajutrz już wróciła do więzień.

W tej chorobie odgrywa główną rolę obłuda. Przy zastosowaniu prawa amnestji, gdy zwolniony trafia z powrotem do więzienia, „wpisowe“ płaci, nie wiadomo dlaczego, spokojny i lojalny obywatel.

Nie mówię już o tem, że amnestja podważa autorytet sądu. Miłosierdzie nie powinno iść w parze z głupotą.

¹⁾ Rosji.

VII

WOJNA JAPONSKA

Do r. 1902 miałem jedynie pobieżne wiadomości o tem, czem jest Japonja. Chcąc bliżej się z nią zapoznać, zaraz po ukończeniu akademji zebrałem jakie tylko mogłem znaleźć dzieła i mapy. Niestety literatura o Japonji była bardzo szczupła; co do map, to prócz geograficznych, po części morskich, innych nie można było dostać. Brat mój, Konstanty, dowodził okupacyjnym oddziałem wojsk rosyjskich w Pekinie. Prosiłem go, by „na miejsu“ postarał się o szczegółowe mapy; wkrótce przysłał mi dwie, bardzo dobre; dostał je przez swego kolegę, wojskowego jednego z państw okupujących Pekin.

Nie pamiętam dokładnie daty, ale zdaje mi się, iż w pierwszych dniach grudnia 1903, otrzymałem telegraficzne zapytanie czy, na wypadek wojny na Wschodzie, zgodzę się objąć stanowisko oficera do specjalnych zleceń w sztabie XVII korpusu. O możliwości takiego zatargu mało kto wtedy myślał, a właśnie na Wschodzie należało oczekiwać komplikacyj, jako konsekwencyj początku rozbioru Chin, do czego t. zw. „ruch boksterski“ był tylko preludjum. Zgodziłem się. Niebawem otrzymałem następną, bardziej już określoną, propozycję objęcia stanowiska w sztabie pierwszego syberyjskiego korpusu, rozlokowanego na wybrzeżu Oceanu Wielkiego. Na stałe w tamte strony bynajmniej mnie nie ciągnęło lecz, nie chcąc opuścić okazji wzięcia udziału w przypuszczalnej wojnie, zgodziłem się.

Na początku stycznia 1904 r. otrzymałem telegraficzny rozkaz niezwłocznego wyjazdu do tego korpusu, co dowodziło, że Rosjanie przygotowywali się już do ewentualnej walki z Japonją i, że wybuch wojny nie mógł być dla nich czemś nieoczekiwanem. Jakaż była przyczyna jej wybuchu?

Rosja zdawien dawna dążyła do wyjścia na oceany, ale zawsze tak się zdarzało, że ktoś jej w tem przeszkadzał: Polska, Szwecja, Turcja, Anglja, wreszcie — Japonja. Znaczenia tej ostatniej mało kto w Rosji doceniał; ba, nawet lekceważono ją. Niewiele nawet o niej wiedział Sztab Jeneralny, obowiązkiem którego było badanie stanu rzeczy u sąsiadów. Rosja w końcu XIX wieku, dążąc do urzeczywistnienia swego celu, okupowała półwysep Liao-tung z portem Artura. Należało potem wziąć się do sprawy energiczniej, mianowicie powiększyć flotę, oraz siły zbrojne na Dalekim Wschodzie. Niby coś w tym kierunku zrobiono, bo kolej wybudowano, ale o słabym profilu i mało przelotową, maksimum na pięć par pociągów; flotę powiększono, ale

ustępowała ona japońskiej; żadnego dyplomatycznego posunięcia, zabezpieczającego przebieg ewentualnej wojny, nie przedsięwzięto, przeciwnie zaś stosunki z innymi państwami, prócz Francji, były zaostrzone. Chcąc jednak zadokumentować, że Rosja ma zamiary stanowcze i nikogo się nie lęka, rząd wysłał na Wschód... dwie brygady piechoty bez artylerji razem zaledwie 16 bataljonów.

Japonja, mając oddawna wielki apetyt na Koreę, a bodaj na cały Liao-tung¹⁾, postępowała zupełnie inaczej; o czem zresztą niżej. Rosja przyznawała prawa Japończyków do Korei, ale zrobiła nietakt — nie zabroniła jakiegś „anonimowej“ spółce eksploatować lasów na rzece Jału, t. j. w Korei, co dało impuls do wojny.

Mało niestety znaną jest maksyma, że „organizacja jest wrogiem improwizacji“. Jeszcze ostatecznie nie ustalono co ma większe znaczenie — wielki talent strategiczny, kierujący bandą, czy też dobrze zorganizowane wojsko, prowadzone przez przeciętne dowództwo. Gdy Napoleon miał armję, choć niewielką, ale odpowiednio zorganizowaną, stale zwyciężał; później, choć rozporządzał znacznie liczniejszym, jednak niedostatecznie wyćwiczonym wojskiem, przegrywał.

Oczywiście pojęcia o organizacji należy traktować bardzo szeroko. Nie chodzi tu tylko o usprawnienie czynnych sił zbrojnych, ale i o odpowiednie przygotowanie teatru ewentualnych starć, o zabezpieczenie stałego i regularnego zaopatrzenia wojska we wszystko, co jest mu potrzebnem, o urobienie opinji i nastawienie wśród ludności. Rosjanie mało pod tym względem zrobili; pracę ich należy nazwać szkicem, a nie wykończonym planem. Tak zw. „wyższe sfery“ opierały się na przekonaniu, że Rosja to niezwalczona potęga, co w masach znalazło oddźwięk w powiedzeniu „szapkami zakidaję Japoncew“.

Gdy Rosjanie wyjawili swoje zamiary nieustąpienia z Liao-tung'u, a nawet z nad rzeki Jału, Japończycy, widząc w tem niebezpieczeństwo dla swych interesów, energicznie wzięli się do ich obrony. Robili jednak to skrycie. Miałem mapę Japonji, na której oznaczone były punkty, gdzie cudzoziemcy wstępu nie mieli. Z wyjątkiem dwóch portów, wszystkie inne były zamknięte. Co się na tych terytorjach działo, nie było wiadomem nikomu, zato od czasu do czasu zjawiał się nowy pancernik, albo otwierano nową japońską linję okrętową. Rosyjskiemu attaché wojskowemu pokazywano naturalnie tylko to, co chciano pokazać...

Natomiast Japończycy o Rosji wiedzieli bardzo wiele. Jeszcze na 15 lat przed wojną, późniejszy generał-kwatermistrz armji, major Fukiszyma przejechał konno Rosję od Władywostoku do Petersburga i z powrotem. Dobroduszni Rosjanie podejmowali go z zachwytem i podziwem, boć to był

¹⁾ Jesteśmy obecnie tego świadkami (1931 r.).

spacer ponad 10 tysięcy km. Wątpić należało jednak, czy podróż majora była związana ze sportem.

Na kilka lat przed wojną wschodnią połowa Syberji (od Irkucka włącznie) była formalnie zalana przez Japończyków, uprawiających najrozmaitsze zawody, poczynając od „bon“ przy dzieciach Rosjan, poprzez kucharzy, golarzy, aż do obsady... domów publicznych włącznie. Rosjanie patrzyli na to obojętnie. W przededniu wybuchu wojny (ściśle) cała ta falanga wywiadowców wsiadła na kupieckie okręty i ulotniła się. Ale i to nawet nikogo nie zaniepokoiło; dopiero kiedy rozpoczęły się niepowodzenia wojenne, Rosjanie poniewczasie uprzytomnili sobie pewne fakty.

*

Rosja wojnę światową przegrała nie z powodu złego żołnierza i błędów sztabu jeneralnego, lecz dlatego, że zgubili ją generałowie, którzy bez odpowiednich kwalifikacyj, a często jedynie dzięki protekcji, zajmowali najodpowiedzialniejsze stanowiska.

Do katastrofy na Dalekim Wschodzie doprowadził¹⁾ niejaki admirał Aleksiejew, o którym było tylko tyle wiadome, że był wyrobionym towarzysko i dobrym marynarzem, dlatego też polecono mu obwozić naokoło świata następcę tronu, późniejszego cesarza Mikołaja II. To wystarczyło do zrobienia bajecznej kariery. Powierzono mu mianowicie nie tylko dowództwo nad wszystkimi siłami zbrojnymi na Wschodzie, ale także prowadzenie tam polityki, przez nadanie mu tytułu namiestnika. Prowadząc pertraktacje z Japończykami w okresie największego ich zaognienia, Aleksiejew uznał za stosowne wydać bal na pokładzie najlepszego pancernika rosyjskiego.

Zmobilizowany okręt wojskowy nie jest klubem; musi być każdej chwili gotów do natychmiastowej akcji. Tak uczono w szkołach. Ale jakże to może być zachowane, jeżeli oficerowie tańczą, flirtują i piją, a załoga gapi się na kobiece „decolté“, no i krytykuje władze.

Japończycy, słusznie nie poczuwając się do obowiązku przyozdabiania wypowiedzenia wojny w teatralne gesty — „ultimatum“, poprostu napadli na balującą eskadrę, niszcząc jej najlepsze okręty. Wtedy już wojna została przegrana. Wszelkie dalsze operacje wojenne prowadziły tylko do pogorszenia sytuacji i do coraz większych strat.

Po katastrofie arturskiej, ratując prestige, trzeba było wszystko *improwizować* na złamanie karku. Fabryki nie mogły nadażyć obstalunkom. Zwrócono się przeto do zagranicy, gdzie Rosji nie lubiono, więc ją wyzyskiwano lub szkodzono jej. Np., szrapnele zamówiono w Austrii. Armja otrzymała je w przeddzień bitwy pod Laojanem. Byliśmy zaniepokojeni

¹⁾ Patrz rozdział IX.

tem, że zaledwie co 10-ty pocisk wybuchał. Jeden z dowódców baterji zaryzykował odkręcenie zapalnika i wykrył, że otwór, którędy ogień przenikał z zapalnika do komory z prochem, był zapewne „przez omyłkę“ delikatnie czemś zalepiony...

Trudno było walczyć w takich warunkach, mimo to, jednak Rosjanie wykazali podziwu godną energję. Stale bici, umieli zawsze się wymknąć, ażeby po krótkim czasie znowu stawić czoło. Była to taktyka Scytów.

Wszakże dla nieuprzedzonych było jasnem, że Rosjanie zwyciężyć mogli chyba dopiero po cofnięciu się do Zabajkajja. Rosjanie próbowali jednak zrobić dwa zaczepne wypadki: na Szache i przy Sandepu¹⁾, bez wielkich jednak wyników. Późem przyjęli walną bitwę pod Mukdenem z ujemnym dla siebie wynikiem. Klęska pod Cuszimą położyła kres walce bezcelowej już od pierwszego wystrzału.

Improwizacja dała maksimum: t. j. dowóz z Rosji kilku korpusów i amunicji, stale brakującej aż do bitwy pod Mukdenem. Więcej dać nie mogła. Wojna, tak sromotnie zakończona, dowiodła, że jednak żołnierz rosyjski bić się chciał. Gdyby miał dostateczne zaopatrzenie materjalne i posiadał sztukę manewrowania, Japończycy nie daliby mu rady. Wojna miała ten dodatni wpływ, że Rosjanie po niej wzięli się ostro do usunięcia braków w armji.

Podczas jednego ze wspomnianych wyżej ataków ²⁾, wziąłem w nim osobisty udział; udało się, zresztą na niewielkim odcinku, odsunąć i rzetelnie poturbować Japończyków. Zabraliśmy 14 dział. Był to jedyny sukces za cały czas wojny.

Przekonałem się wówczas, jak świetny jest japoński żołnierz; przez trupy poklętych bagnetami piechurów, dopadli Rosjanie baterji. Dowódca Japończyk zaprzestał ognia dopiero, gdy Rosjanie doszli na odległość kilkunastu kroków i ratunku dla baterji już nie było; poczem wyskoczył na okop i rozpruł sobie tasakiem pierś.

*

Po zlikwidowaniu domowych spraw, co dla kawalera było rzeczą nieskomplikowaną, i po całym szeregu pożegnalnych obiadów, śniadań i kolacji wyruszyłem na Daleki Wschód. Podróż ekspresem z Moskwy do Władywostoku trwała wówczas 14 dni. Kolej była technicznie bardzo słaba, o czem już wzmiankowałem. Po katastrofie ³⁾ Rosjanie wzięli się energicznie do jej ulepszenia: zmieniali szyny na cięższe, stawiali dodatkowe stacje, wzmacniali mosty, oraz przystąpili do budowy linji okrążającej Bajkał.

¹⁾ Pod Mukdenem.

²⁾ Na Szache.

³⁾ Arturskiej.

Wykończono ją jednak dopiero wtedy, gdy szanse wojny stanowczo przechyliły się na korzyść Japonji; niemniej w przeciągu kilku miesięcy Rosjanie zdołali przebić przeszło 90 tuneli, chociaż niedługich.

Do przewiezienia korpusu ¹⁾ wojska trzeba 96 pociągów. Wysłanie tej ilości pociągów, z powodu małej przelotowości kolei, trwało do 15 dni; wojskowy pociąg z Moskwy do Charbina szedł 30 dni; teoretycznie więc korpus na teatr wojny mógł przybyć dopiero po 45 dniach. Tak długiej podróży nie wytrzymały ani konie, ani ludzie; musiano przeto robić przystanki i wyładowywać wojsko dla odpoczynku i ruchu, co przedłużało przewóz do 50 — 60 dni.

Kolej syberyjska miała przerwę w linji między zachodnim a wschodnim brzegiem Bajkału. W czasie pokoju pociągi ładowano na specjalne statki i przewożono na drugi brzeg jeziora, odległy o jakie 50 wiorst, ale po wybuchu wojny nie można było nadażyć w przewożeniu transportów; położono więc szyny na lodzie i wprost po nim przetaczano wagony.

Bajkał posiada tę właściwość, że nawet przy stałe pogodnem niebie lód pęka, tworząc długie, kilkunastu metrowej szerokości szpary; kiedy zaś i gdzie lód ma pęknąć nikt przewidzieć nie może. Więc też z olbrzymiem niebezpieczeństwem odbywało się nie tylko przetaczanie wagonów, ale nawet i podróż saniami. Konie nie były w stanie przebiec całej przestrzeni, wybudowano więc, na środku jeziora na lodzie, prowizoryczny zajazd, gdzie przeprzęgano oraz karmiono konie i ogrzewano ludzi.

Słowem w przeciągu 1904 roku Rosjanie mogli przewieść najwyżej osiem korpusów, co nawet z czterema stacjonowanymi na azjatyckim teatrze wojny, czyniło siły Rosjan stale słabsze od sił Japonji. Prowadzenie wojny w takich warunkach było szaleństwem, ale Rosjanie nie chcieli się pogodzić z myślą, by mógł ich pokonać „maleńki narodek“, forsowali więc wszystkie swoje możliwości. Wykonali rzeczywiście tytaniczną pracę, bo proszę wziąć pod uwagę choćby tylko taki przykład. Przetoczenie przez Bajkał 96 pociągów po 35 wagonów, przyczem każdy wagon musiał być ciągniony przez dwa konie, przy ciąglem wyprostowywaniu szyn, które ruchliwa powierzchnia lodu załamywała, już wymagało olbrzymiego wysiłku czasu i poświęcenia.

*

Przyznam się, że po przybyciu ekspresu na brzeg Bajkału, nie bez strachu wsiadłem do sań. Nie lubię wody i zimna. Wyobraźnia pracowała tem intensywniej, że cała droga przez Bajkał prowadziła poprzez cmentarzysko koni, padłych z przemęczenia lub wypadków przy przetaczaniu wagonów. Jednakże, dzięki Bogu, przejechałem szczęśliwie na drugi brzeg. Towarzy-

¹⁾ W owe czasy.

sze moi, przeważnie medycy „starozakonni“, obywatele „Priwiśleńskiego Kraja“, mieli podwójną treść: — groziły im niebezpieczeństwa podróży i na dobytek wojna. Rzeczywiście pociąg, w którym jechałem, prawie wyłącznie był przez Żydów zapchany. Dziwiło mnie, dlaczego „zapalali“ takim patryjotyzmem, że wyprzedzali nieomal wojska, dążące na wojnę. Sekret wyjaśnił mi oficer kazańskiego wojskowego okręgu. — Za czasów Aleksandra III zmieniła się dyzlokacja wojska, przesuniętego w dużej ilości z centralnej Rosji do okręgów wileńskiego, warszawskiego i kijowskiego. Żydzi, obowiązani do służby w wojsku, słusznie domyślali się, że jeżeli wojna wybuchnie — (a ma być, bo wojska przerzucają!), to niema żadnego wyrachowania iść w pierwszej kolejce na tak paskudny interes. Według rosyjskich praw, rezerwiści oficerowie lub urzędnicy mieli prawo wyboru powiatowej komendy uzupełnień. „Chłopska“ logika dyktowała, że najbezpieczniejszym był okręg kazański, mający tylko wojska rezerwowe. — Tam więc należało być na ewidencji! W razie mobilizacji, zanim się tam z Warszawy, lub Wilna dojedzie, zanim tamtejsze wojska zmobilizują, będzie sporo czasu na przemyślenie sytuacji...

Olbrzymia więc liczba lekarzy - izraelitów przepisała się do kazańskiego okręgu; ale na swoje nieszczęście nie przewidzieli, że tajny paragraf głosił, iż w razie wojny na Dalekim Wschodzie, w pierwszym rzędzie miano mobilizować ów właśnie okręg. Po ogłoszeniu wojny poruszenie wśród synów Izraela było wielkie i, przyznając, że strony rządu rosyjskiego wielkim świństwem było trzymanie takiego niecnego planu w sekrecie... Prawda, że i Rosja nie bardzo na tem wyszła dobrze, bo wśród medyków izraelitów olbrzymi procent wyspecjalizował się w akuszerji i chorobach wenerycznych, ponieważ zaś kobiet na wschodzie było mało, więc też i akuszerja i wenerologia mało miały pole do popisu, za to polowych chirurgów brakowało.

*

Po osiemnastodniowej podróży dotarłem wreszcie do Charbina, gdzie powiedziano mi, że I syberyjski korpus zajmuje Laojan. Jeszcze dwa dni podróży w wagonie 3 klasy i dotarłem do celu.

W skład tego korpusu wchodziły syberyjskie dywizje: 1-a, w stanie reorganizacji, 9-ta, którą dopiero co zaczęto formować; wreszcie dywizja jazdy z trzech pułków złożona pod dowództwem znanego później w wojnie światowej, generała Samsonowa, który i tu nie był zbyt szczęśliwy. — Polecono mi dział operacji, nie było jednak czem operować, bo wojska zorganizowane nie były. 9-ta dywizja nie miała ani taborów, ani koni. Na całym teatrze wojny znajdowało się wówczas około 70 bataljonów i około 200 dział polowych. Była to bagatela w stosunku do rozmiarów teatru wojny — całej Mandżurji i kraju Amurskiego. Przed zaczęciem działań należało jeszcze doczekać się przybycia posiłków z Rosji. Dobrze rozumiejąc, że Rosjanom cho-

dzi o utrzymanie Laojanu, jako centrum ważniejszych kierunków operacyjnych i chcąc ułatwić sobie oblężenie portu Artura, Japończycy pierwsze lądowanie wykonali u ujścia rzeki Jału i tu pobili, nieliczne zresztą, wojska rosyjskie.

Trzeba było utrzymać Laojan za wszelką cenę, dlatego Kuropatkin wszystkie siły, jakie miał do dyspozycji, rzucił w kierunku na Jału.

Rosjanie ponieśli klęskę, bo nie umieli manewrować i nie posiadali górskiej artylerji, a baterje polowe niewiele mogły zdziałać w górach. Nadomiar nieszczęścia, jakiś mądrała przekonał władze przed wojną, że artylerja polowa winna mieć tylko szrapnele, a nie granaty i szrapnele. Nie pomogło doskonale wyćwiczenie techniczne; szrapnele robiły małe wrażenie na Japończykach, choć artylerja ich ustępowała rosyjskiej pod względem technicznym.

Zato Japończycy posiadali dużo baterij górskich i granaty. Pociski te wyrządzały nieznaczne szkody materialne, o czem niejednokrotnie się przekonałem. Ale efekt moralny, szczególnie w górach, łącznie z echem, był wstrząsający. Dużo potrzeba było czasu, by przekonać żołnierzy o nieszkodliwości japońskich granatów, ale zachwiana już na początku wojny pewność siebie nie mogła być łatwo wyrównana. Trafiwszy pod ostrzał artylerji, wojska rosyjskie zwykle cofały się.

Sztab 1-go syberyjskiego korpusu popasał niedługo w Laojanie; przesunięto go do Daszyczao, stacji węzłowej kolei z Inkou i portu Artura do Laojanu. Dwa niezorganizowane jeszcze pułki zajęły Inkou (port przy ujściu rzeki Laoche); dwa dalsze, też niesformowane, rozmieszczono w Senjuczeń, miasteczku na południe od Daszyczao, jako „replie“ kawalerji; zabezpieczenie punktu obserwacyjnego na przylądku Guandziatun; jednym z tych pułków dowodził mój brat Konstanty. Pierwsza syberyjska dywizja jakotako sklecona zajęła okolice Daszyczao. Jazdę wysunięto ku portowi Artura.

Oddziały, nie wyłączając kawalerji, pchały się do linii kolejowej z powodu roztopów lub braku taborów.

Mandżurja na wiosnę i w czasie deszczów perjodycznych przekształca się w bagnisko, o którem nie może mieć pojęcia ten, kto go nie widział. Urodzajna glina przetwarzała się w „garus“¹⁾. Piechota, idąc gęsiego, jakotako przechodziła, pozostawiając buty w błocie; działa zaś szły pod powierzchnią błota. Biedne koniska ledwie przesuwały nogi. Stało się to przyczyną straty kilku baterij.

Japończycy, pragnąc odsunąć pierwszy korpus od Inkou względnie od portu Artura, stale rozpuszczali pogłoski o desancie w Inkou, t. j. na skrzydle i częściowo tyle wojsk. Sprawdzić, co się dzieje na morzu nie było możliwości, bowiem flota rosyjska była sparaliżowana, a ta jej część, która stacjonowa-

¹⁾ Garus — zupa ze śliwek.

ła we Władywostoku, z powodu znacznego dystansu, pomocy dać nie mogła, choć były tam statki bardzo dobre. Jednym z nich dowodził niedawno zmarły admirał polski Porębski.

Katastrofa pod Tjurenczenem wzbudziła nadmierne obawy; sądzono, że o ile desant udał się na rzecę Jału, to tem prawdopodobniej uda się gdzieś na zachodnim wybrzeżu półwyspu Liao-tungskiego. Z tego powodu pilnie gapiliśmy się na morze. Ale znowu obserwacja kilkuset km. wybrzeża wymagała łączności, a korpus posiadał (nie żart, a fakt) tylko dwa aparaty telefoniczne najprymitywniejszej konstrukcji, omal nie zabawki dzieciinne. Przy pomocy tych aparatów miałem łączność z przylądkiem Guandziatuń, odległym o — 90 klm. od Daszyczao. Znajdował się tam oficer marynarki i szwadron dragonów, dowodzony przez rotmistrza, obecnie generała, Karnickiego.

Był to dla mnie bardzo ciężki okres wojny. Telefon działał fatalnie, od czasu do czasu dawano znać, że dostrzeżono coś na morzu; dosłyszeć, co właściwie, było prawie niemożliwem. Stąd stałe moje napięcie i denerwowanie wojska. Spałem wtedy po 2 godziny na dobę, a energję podtrzymywałem mocną herbatą i japońskimi papierosami firmy „Morto del los mu-chos“.

W razie osuszenia się terenu, 1-sza dywizja mogła oderwać się od linii kolejowej, lecz 9-ta, nie posiadając zupełnie taboru, była do użycia tylko przy kolei „à cheval“.

Dopiero po całomiesięcznem oczekiwaniu przywieziono dla 9-tej dywizji przeszło 1300 wózków. Rozdać je pulkom wobec oczekiwanego desantu znaczyło podarować dwukółki Japończykom, tem bardziej, że nie przysłano do nich uprzęży, a konie, pochodzące ze stepów mongolskich, były dzikie i nie tylko uprzęży i siodła, ale nawet uździennic nigdy nie widziały. Cały ten transport wozów wyładowano w Daszyczao, gdzie też oczekiwano uprzęży.

Tymczasem Japończycy, przeczuwając co się u nas dzieje, od czasu do czasu wysyłali małe krążowniki lub torpedowce, które ostrzeliwały obserwacyjne punkty, jakby przygotowując akcję desantu.

Pewnego dnia, stacjonująca w Inkou angielska kanonierka wymknęła się z portu, co wytłumaczyliśmy sobie oczekiwaniem bombardowaniem przez Japończyków tego miasta. W Inkou pozostała tylko rosyjska kanonierka, stary „kalosz“, nie mogący marzyć o wyjściu na morze, aby choć trochę wyświetlić sytuację. Choć była włączona do składu korpusu, nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić — wysłać ją na morze było rzeczą ryzykowną, bo robiła ledwie parę węzłów na godzinę; wyciągnąć ją na brzeg nie było poco, a po rzece Laoche z powodu płytkiej wody, pływać nie mogła. Zdenerwowanie z powodu możliwości desantu było tak wielkie, że na radzie wojennej postanowiono przygotować kanonierkę do zniszczenia oraz odesłać na północ, do Mukdenu, treny przysłane dla dziewiętej dywizji.

W końcu, po parotygodniowym oczekiwaniu, nadeszła uprząż. Zajęto się skwapliwie jej rozpakowywaniem, ale okazało się, że zapomniano przysłać popręgi do siodełek, bez których zaprzęgnąć konie było niemożliwością. Znowuż konsternacja i oczekiwanie. Wreszcie nadeszło wszystko. Zaczęło się ujeżdżanie dzikich, mongolskich, koników. Ile przytem było wypadków, trudno byłoby spisać i na wołowej skórze...

Nareszcie podeszło i można było myśleć o zaczęciu operacji. Dowództwo nad korpusem objął generał baron von Sztakelberg, Niemiec-katolik. Złośliwcy i łaziki rozpuszczali o nim anegdoty, uwłaczające czci: twierdzono, że woził krowę, jeździł tylko w wagonie, miał przy sobie młodą żonę, i t. p. banieluki. Faktycznie był to człowiek słabego zdrowia, ale o żelaznej woli i energii. Deptał wszystkim po piętach, wizytował wojska, wjeżdżał konno na niedostępne urwiska, wszędzie zaglądał, wraz ze sztabem często przebywał w pierwszej linii (czego znów ogromnie nie lubił szef sztabu korpusu jen. Iwanow), co zaś najważniejsze, sprawdzał zawsze na miejscu to, co mu meldowano. Nie podobało się to podwładnym, szczególnie wyższych rang, którzy działalność swoją ograniczali do pisania świetnych raportów i pięknych rozkazów. Oni to, mszcząc się za niejednokrotnie uwidocznioną blagę, stwarzali plotki i pisali donosy; ponieważ zaś Sztakelberg wyrzucił jen. Iwanowa¹⁾ za tchórzostwo i niedołęstwo i wziął sobie na szefa sztabu, też Niemca, von der Brinkena, więc dopóty Sz. dokuczano, aż ostatecznie obrzydzono mu służbę.

Po bitwie pod Laojanem Sztakelberg podał się do dymisji. Skarżył mi się niejednokrotnie na intrygi. Oświadczam jednak, że jeżeli pierwszy korpus syberyjski coś w czasie wojny zrobił i niejednokrotnie osiągnął powodzenie tak, że wyróżnił się wśród innych korpusów — było to wyłącznie zasługą Sztakelberga.

*

Gdy tylko podeszło, Japończycy wysadzili desant, ale nie na zachodnim brzegu półwyspu Liao-tung, lecz na wschodnim, niedaleko portu Artura.

Oto wzór logicznego postępowania i metodyki! Japończycy mieli doskonały wywiad, posiadali bliską łączność z własnym krajem, dzięki panowaniu na morzu, mało ustępowali Rosjanom w uzbrojeniu, umieli znacznie lepiej manewrować, wreszcie dokładnie znali Rosję i jej możliwości.

Zaczęli od sparaliżowania floty, niszcząc najlepsze rosyjskie okręty; potem unieruchomili rosyjskie siły lądowe przez desant na Jału. Mimo nadzwyczajnie sprzyjających warunków na żadną ryzykowniejszą strategiczną koncepcję nie zdobyli się, choć w ten sposób mogli znacznie prędzej zakończyć wojnę. Mianowicie po bitwie pod Tjurenczenem, bez wielkich wysiłków i hazardu mieli szanse opanować Laojan, przez co odrazu mogli zawładnąć całą prawie Mandżurją. Na to się nie zdobyli, przekładając systematyczne urze-

¹⁾ Nie Mikołaja Iwanowa, a innego, imienia którego nie pamiętam.

czywistnienie planu wojny, t. j. w dalszym ciągu wysadzali desant koło Bidzywo w celu oblężenia portu-Artura, uprzednio odrzuciwszy 1-szy syberyjski korpus ku północy. Po rozpoczęciu oblężenia odsunęli Rosjan jeszcze bardziej ku północy przez bitwę pod Laojanem. Dopiero po upadku portu Artura, wydali walną bitwę pod Mukdenem. Zawsze inicjatywa była w ich rękach, a kroki zaczepne Rosjan umieli krótką kontr-ofensywą powstrzymać. Dowodzi to, że Japończycy, będąc uczniami Francuzów, później Niemców, trzymali się zasad metodycznej strategii: woleli działać wolno, ale pewnie.

Niejednokrotnie podziwiałem ich sposób działania, zawsze przemyślany w szczegółach i konsekwentnie przeprowadzany. Osobiście jestem im wdzięczny, bo mając wtedy głowę dobrze naładowaną teorią, przerobiłem praktycznie wszystko to, czego się nauczyłem teoretycznie. Japończycy nauczyli mnie też, co można wydobyć z żołnierza. Służąc w szeregach armji rosyjskiej i poniosłszy wraz z nią porażkę, wykorzystałem swoje doświadczenie podczas wojny światowej.

Gdzie działałem, osiągałem zawsze powodzenie; brałem zaś udział prawie we wszystkich główniejszych operacjach i przedsięwzięciach armji rosyjskiej. Wojna japońska, że tak powiem, zrównoważyła moje nerwy. Chociaż byłem podczas wojny światowej niejednokrotnie w bardzo ciężkich sytuacjach (jak nprz. w roku 1915), nie wywierały one na mnie przygnębiającego wrażenia. W rozmowie z generałem pruskim Hoffmanem w Brześciu w roku 1918, ku jego zdziwieniu, oświadczyłem, że w porównaniu z wojną japońską, wojna światowa to rozrywka.

Proszę nie brać tego za chępliwość, a przyjąć pod uwagę, że wojna japońska była pierwszą moją wojną, że wtedy żołnierz rosyjski był surowym materiałem i wiele miał braków, że nie było map, że teatr wojny był gorzyszy, zupełnie mi obcy. W wojnie światowej, kiedy usunięto prawie wszystkie te braki, czułem się daleko lepiej. Zaś rozmaite strachy, jak huraganowe ognie, gazy trujące i t. p. okazały się nie tak groźnymi, jak o nich pisano i mówiono. Przy pewnej dozie filozofji i wytrwałości można było to wytrzymać.

*

Jak już zaznaczyłem, Japończycy dokonali drugiego desantu na wschodnim brzegu Liao-tung, niedaleko portu-Artura, kierując wojska ku oblężeniu tej fortecy. Rosjanie nie spodziewali się tego, oczekując desantu uparcie na zachodnim brzegu. Nie można uważać tego za błąd z ich strony, bo Japończycy właśnie mogli osiągnąć wielkie korzyści, lądując na brzegu zachodnim. Rosjanie nie byli w możności stawić tu silnego oporu i musieliby opuścić półwysep, pozostawiając port Artura własnemu losowi. Dobrze to o Japończykach świadczy, bo wskazuje, że nie byli zarozumiali i zdawali sobie sprawę, że ich państwo, w porównaniu z Rosją, jest prawie w takim samym sto-

sunku, jak Dawid do Goljata. Byli zapewne też pod sugestją, że Rosjanie biją się dobrze i wojna łatwą nie będzie. Oblegając port Artura, ostatecznie paraliżowali rosyjską flotę, a powtórę flota, wyruszająca z Kronsztatu, mogła się oprzeć tylko o Władywostok, będąc przytem zmuszona defilować prawie wzdłuż całej Japonji, ułatwiając zadanie eskadrze admirała Togo.

Natomiast Rosjanie, w osobie namiestnika Aleksiejewa, popełnili wiele błędów. Port Artura był, jak wyspa wśród oceanu, daleki od Rosji, a nawet i od najbliższej prowincji, t. j. okręgu amurskiego, musiał więc być przygotowany do długiego oporu. Tymczasem, pomijając niezakończony ufortyfikowanie i uzbrojenie, w fortecy nawet nie było dostatecznej ilości pocisków i naboju. Dopiero, gdy już kwestja oblężenia stała się faktem dokonanym, a część japońskiej armji podeszła aż do linii kolei Laojan — port Artura, wówczas, o zgrozo, przypomniano sobie, że w fortecy brak amunicji. Armja polowa nie miała jej wtedy wiele więcej ponad zapasy ruchome; jednak odebrano pociski wojskom i na ryzyko, wysłano pociągiem pod kierownictwem płk. Spiridonowa do portu Artura: Impreza się udała, jednak nie bez małej przygody: Japończycy toru nie zepsuli, pociąg przepuścili tam i z powrotem, tylko ostrzeliwali go ogniem karabinowym. Czyż to wszystko nie jest charakterystyczne!

Aleksiejew, licząc, nie wiem na jakiej podstawie, że się uda oblężoną flotę naprawić i wyprowadzić, zastosował przeżyte prawidło z przed epoki Fryderyka Wielkiego, że nie forteca musi odciągnąć na siebie siły nieprzyjacielskie, ale własne wojska powinny ratować fortecę od oblężenia i upadku. Na jego żądanie podjęto kroki dla ratowania portu Artura, a z nim razem, podziurawionych okrętów.

Dowodzący armją lądową generał Kuropatkin był przeciwny temu, bo nie miał z czem iść na odsiecz. Japończycy zaś mieli tam przeszło 3 dywizje, (t. j. około 60 bataljonów). Rosjanie, nie licząc wojsk, które zamykały kierunek od Tjurenczenu na Laojan, rozporządzali zaledwie 32 bataljonami, 20 szwadronami, plus 8 bataljonami w rezerwie Kuropatkina. Nacisk „sfer“ był jednak tak silny, że Kuropatkin musiał wyruszyć na odsiecz, poświęcając wszelkie inne kombinacje. W wyniku — przegrana bitwa pod Wafangou. Zresztą coś podobnego zrobili o wiele konsekwentniejsi od Rosjan Niemcy w czasie wojny światowej. Ratując mianowicie Prusy Książęce w roku 1914 przed wkraczającą armją Renenkampfa, posłali odsiecz, naskutek czego Paryż nie wzięli.

Zawsze tak bywa, gdy politycy wkraczają w dziedzinę strategji, nie chcąc zrozumieć, że wódz powinien mieć „plein pouvoir“ a nie być popychadłem i że politycy mają coś do powiedzenia tylko do chwili wypowiedzenia wojny, lub po jej zakończeniu — nie powinni zaś być mentorami wodza w toku wojny. W danym wypadku portu Artura nie uratowano, a siły moralne armji uszczuplono. Była to od początku wojny trzecia porażka. Poniósł ją najlep-

szy korpus, co jednak nie nauczyło „sfer“, że nie należy wojować bez odpowiednich ku temu środków.

*

Nie opisuję szczegółowo bitwy pod Wafangou, lecz daję tylko ogólny jej zarys.

Ratując port Artura przed oblężeniem, Rosjanie wysunęli wszystko, co posiadali na obszarze wojennym do dyspozycji: pierwszy syberyjski korpus, osiem bataljonów 35-tej dywizji i cztery pułki jazdy.

Siły te zetknęły się z Japończykami przy stacji kolejowej Wafangou, o jakie 60 klm. od portu Artura. Ponieważ, na kilka dni przed zetknięciem się, było wiadomem, że Japończycy posiadają siły przeważające, Sztakelberg zajął obronną pozycję. Japończycy w pierwszym dniu bitwy nie mogli zepchnąć Rosjan, więc w nocy zaczęli oskrzydlenie i na drugi dzień zmusili korpus do cofnięcia się ku północy. Wielkich strat nie poniesiono, ale moralne siły wojsk zostały nadwyrężone.

Po tej bitwie nastąpił szereg innych bitew, mniejszych, z inicjatywy Japończyków, którzy dążyli do całkowitego zabezpieczenia swych sił, oblegających fortecę. Były więc bitwy pod Senjuczenem, Kajdzoo, Daszyczao, Ajsandzanem, zawsze z tym samym wynikiem: przez oskrzydlenie zmuszano Rosjan do cofnięcia się. Wszystkie te starcia nie były zbyt krwawe; najbardziej ciekawe walki były pod Daszyczao, gdzie dwie rosyjskie baterje ¹⁾ utrzymały w respekcie jedenaście japońskich. Użyły na to w przeciagu 13 godzin — 16 tysięcy pocisków. Dowodził niemi, niejaki płk. Paszczenko, który pierwszy zastosował „ukrywanie“ baterji. Od tego czasu artylerja rosyjska zawsze zajmowała zakryte pozycje.

Zato Kuropatkin wpadł w desperację, gdy mu zameldowano ile zużyto pocisków i w mojej obecności zrobił gorzką wymówkę jen. Mrozowskiemu, dowodzącemu 9-tą brygadą artylerji.

*

W owym czasie ²⁾ przybył do korpusu w charakterze attaché, major austriackiego Sztabu Jeneralnego, hr. Stanisław Szeptycki. Władze wyższe początkowo się nastraszyły, bo od wieku 18-go, Rosjanie krzywo patrzyli na Austrię. Jednak hr. Szeptyckiemu pozwolono na maksimum tego, co można pozwolić podczas wojny, t. j. udzielono mu prawa swobodnego ruchu bez kontroli. Stało się to dlatego, że major, po przybyciu do Mandżurji, napisał pochlebną relację o rosyjskiej armji. Przed odesłaniem sprawozdania do Wiednia, dał ją do przeczytania Kuropatki-

¹⁾ Ośmiodziałowe.

²⁾ Przed bitwą pod Wafangou.

nowi. Czy relacja była szczera, czy też „zwykłym austriackim gadaniem“, oraz czy major był istotnie przekonany o świetnym stanie rosyjskiej armii, lub czy okazał się dobrym znawcą duszy ludzkiej, nie powiedzieć nie mogę. Jednak po relacji Kuropatkin kazał zawiadomić wojska, aby austriackiemu attaché nie robiono żadnych wstrętów. Był on zresztą przy sztabie korpusu parę zaledwie dni i wyjechał do oddziału kawalerji.

Zjawienie się majora hr. Szeptyckiego zaniepokoiło szeregi, ponieważ był on katolikiem i miał polskie nazwisko. Major hr. Szeptycki uspokoił opinię Rosjan, ogłaszając w gazecie bardzo piękny list otwarty. Próbowaliśmy ten list odszukać w zbiorach gazet, niestety bezskutecznie, a żal, bo jest godny podania do ogólnej wiadomości.

*

Jednocześnie z naciskiem od południa, Japończycy parli od wschodu ku Laojanowi, co doprowadziło do walnej bitwy u wrót tego miasta. Rosjanie posiadali już trochę telefonów i po osiem karabinów maszynowych na korpus. Trzymali się dzielnie, a na prawym skrzydle, gdzie był 1-szy syberyjski korpus, dojrzał nawet moment przejścia do kontr-ataku.

Niestety na tę propozycję Sztakelberga Kuropatkin odpowiedział, że Japończycy oskrzydłają jego lewe skrzydło, a więc korpus ma niezwłocznie przejść tam w celu ratowania sytuacji. Już wtedy Japończycy zagrażali jedynej komunikacyjnej linii Rosjan i bitwa pod Laojanem była faktycznie przegrana. Brakowało rezerw nie tylko dla pobicia oskrzydłującej armji generała Kuroki, ale nawet w celu jej odepchnięcia.

W chwili otrzymania rozkazu, by korpus wyruszył dla sparaliżowania akcji oskrzydłującej Japończyków, czułem się fizycznie zupełnie wyczerpany. Od dnia przyjazdu na teatr wojny spałem nie więcej ponad dwie godziny na dobę, a to z powodu, że ciągle mnie wzywano: to dowódca korpusu, to szef sztabu, żądając meldunków o sytuacji. Wymagało to stałego kontaktu z linią i sąsiadami, wysyłania ordynansów, oraz studjowania raportów. Ledwie nadażalem w pisaniu i rozsyłaniu rozkazów. W chwili otrzymania rozkazu wymarszu było już ciemno i zaczął padać deszcz. Dosiadłszy konia, zaraz zasnąłem. Obudził mnie ostry ból. Okazało się, że tak nieszczęśliwie się kiwnąłem, iż uderzyłem twarzą w karabin, jadącego przede mną dragona: wierzchowiec mój czegoś się przestraszył i spowodował wypadek.

Podczas tego nocnego przemarszu z prawego na lewe skrzydło armji podziwiałem energję Sztakelberga, który też jadąc konno zatrzymywał się co chwila, aby podpędzać zmęczone szeregi; to znowu wyruszał klusem, by rozejrzeć się w sytuacji.

Wyszliśmy wreszcie na lewe skrzydło armji. Sztakelberg przygotował wojska do ataku, w którym miała też brać udział dywizja pod dowództwem

jen. Orłowa. Tymczasem Japończycy nieoczekiwanie, w ciemnościach, zetknęli się z nami. Bóg wie, czemu się ta cała sprawa skończyła — sędzę, że nie zwycięstwem Rosjan, gdyby nie zimna krew podkapitana, obecnie jen. W. P. Suryna, który z własnej inicjatywy dał ognia ze swych 8 karabinów maszynowych, co zatrzymało Japończyków. Zaczęło się wzajemne zasypywanie kulami. Sztab ze Sztakelbergiem stał poza pozycją Suryna. Myślałem, że już nadchodzi mój koniec. Na szczęście Japończycy ognia nie wytrzymali i cofnęli się. W sztabie został raniony tylko jeden oficer i dragon. Suryn dostał za tę bitwę krzyż Jerzego.

Jednocześnie szukaliśmy kontaktu z dywizją Orłowa. Ponieważ żadnych map nie było, używaliśmy tylko busoli, ale ta wskazywała strony świata, nie zaś poszczególne punkty. Chińczycy, miejscowi mieszkańcy, zaraz po rozpoczęciu bitwy pod Laojanem puciekali. Ordynansi, oficerowie, niewielkie podjazdy i nawet sam szef sztabu szukali Orłowa, który zapewne robił to samo, szukając nas. Napróżno!

Orłow tymczasem, chcąc dać przykład zastosowania częściowej inicjatywy, postanowił zbić Japończyków bez udziału 1-go korpusu. Zaczął więc atak na własną rękę. Zapomniał jeno, że podobne przedsięwzięcie udaje się z wojskami wypróbowanymi, tymczasem jego dywizja była dopiero zmobilizowana i składała się ze słabo wyszkolonych rezerwistów, bynajmniej nie wojowniczych i bodaj nie umiejących strzelać.

Z jakich elementów składała się ta dywizja uwypukla fakt następujący: spotkałem żołnierza w wieku może lat 40 bez karabinu i ładownic, ale z dobrze wypchanym plecakiem. Na moje pytanie, dokąd idzie, odrzekł: „do gubernji Penzeńskiej“; oczywiście uważał, iż tu niema nic do roboty. Zbiegów też po bitwie było dużo. Dywizja Orłowa była unicestwiona; odrestaurowana ponownie, była znana w armji, jako stale uciekająca z pola bitwy.

Miejscowość, gdzie prowadzono akcję, była porośnięta gaolanem, gdy więc pułki Orłowa zanurzyły się w te pola, niejednego ogarnął strach. Niektórzy dla animuszu zaczęli strzelać w górę. Sąsiednie kompanje, słysząc huk naokoło, strzelaninę i trzask gaolanu, wzięli swoich za Japończyków i wzajemnie poczęli się ostrzeliwać.

1-szy syberyjski korpus już wtedy toczył bitwę. Słyszając tę niesystematyczną strzelaninę, Sztakelberg posłał mnie w celu sprawdzenia co się dzieje. Odjechawszy ze dwie wiorsty, trafiłem pod salwę japońskiej baterji (oczywiście skierowanej nie we mnie), ale dość duży odłamek granatu trafił mnie w nogę poniżej kolana: myślałem, że złamał kość. Na szczęście cholewa uchroniła nogę, zdarło mi tylko skórę. Po pewnym czasie wpadłem w masę cofających się i bezmyślnie strzelających żołnierzy Orłowa. Japończycy byli tuż-tuż, co groziło katastrofą nie tylko 1-mu korpusowi, ale i całej armji. Na szczęście, znajdująca się w bliskości kozacka dywizja Miszczenki, zdążyła zatkać wytworzoną przerwę. To uratowało sytuację.

Wynik bitwy pod Laojanem był niewielki: Japończycy odepchnęli Rosjan ku północy, ale klęski im nie zadali.

Cztery korpusy syberyjskie wyszły obronną ręką. Znacznie gorzej było z korpusami, przysłanymi z Rosji europejskiej, a najgorzej z temi, które były ad hoc stworzone ze starszych roczników, jak np. dywizja Orłowa.

Podczas bitwy spotkałem samego Orłowa, oraz znanego w Polsce Finlandczyka, barona Mannerheima¹⁾. Pierwszy był profesorem akademji. Znał przedmiot teoretycznie doskonale, wykladał świetnie, stale był elegantem, tu zaś zobaczyłem — bladego, spoconego, w hajdawerach w nieładzie i w zakrwawionej koszuli. Zatrzymałem się, opisując tę postać dlatego, że jen. Orłow, wykładając taktykę, miał zwyczaj dawać stale ujemne przykłady z historii wojsk polskich z epoki Napoleona i powstania listopadowego. Nie omieszkalem mu powiedzieć, iż między wykładaniem teorii, popartej ujemnymi przykładami, a obecną sytuacją, istnieje pewne podobieństwo.

*

Padł nakoniec port Artura. Załoga dostała się do niewoli, a flota została zagarnięta. Był to cios straszny i ostateczny! Nie doszłoby do niego, gdyby odpowiednie czynniki, naprzód Aleksiejew, później Kuropatkin, wreszcie komendant fontecy jen. Stessel mieli odwagę zameldować cesarzowi, że walka wogóle jest beznadziejną. Na to nikt się nie odważył, bojąc się być posądzonym o brak wiary w potęgę Rosji. Wierzano, że stanie się jakiś cud. Było charakterystycznym, że na skutek tchórzostwa nigdy cesarzowi nie mówiono prawdy.

Admirałowi Aleksiejewowi powierzono zadanie, przerastające jego zdolności. On jest winien, że przyjął je na siebie, przez co spowodował wybuch wojny, w czasie której Rosja na własnej skórze przekonała się, że olbrzymie przestrzenie są źródłem jej słabości.

Jen. Stessel była to figura, która poza wysyłką telegramów następującej treści: „módl się za nas ojczyźnie cesarzu z matką cesarzową“, do niczego innego nie był zdolny. Już same takie telegramy musiałyby zwracać uwagę na to, że z portem Artura jest źle, ale tego w Petersburgu nie rozumiano, czy zrozumieć nie chciano.

Jen. Kuropatkin był doskonałym ministrem wojny, t. j. doskonałym intendentem, ale nie strategikiem²⁾. Wojnę przeciw Japonji prowadził, że tak powiem, szablono i oczywiście dał się zasugerować flotą, uwięzioną w porcie Artura. Żadnej śmielszej koncepcji nie umiał wykombinować; dbał jedynie o dobre zaopatrzenie armji i to, trzeba przyznać, w zupełności mu się udało.

¹⁾ Dowodził pułkiem jazdy.

²⁾ W swoim czasie był dobrym szefem sztabu przy jen. Skobielewie (1877/8 r.).

Może, jako ministrowi wojny, trudno mu było powiedzieć cesarzowi prawdę (byłoby to samooskarżeniem). Jednak zrobić tak należało. Przedstawiając kandydatów na dowódców armji, siebie postawił na ostatnim miejscu. Jego też właśnie wybrał cesarz.

Omyłki zdarzają się ludziom; ale tym, którzy powołani są na wysokie stanowiska, nie wolno zaciętrzewiać się. Zamiast okupić się tanio, poświęcając spółkę na Jalu, lub później, zawierając pokój po arturskiej katastrofie lub choćby po Laojanie, Rosja zapłaciła najprzód stratą floty, potem szeregiem niepowodzeń armji lądowej, wreszcie Cuszimą i stratą materjalną (Sachalin). Wina tego błędu spada na Radę Ministrów, w której też walczyły ze sobą koterje.

Upadek portu Artura zwolnił armję oblężniczą jen. Nodzu, która pociągnęła pod Mukden. Jak stale bywało ze wszystkimi pozycjami, Japończycy obeszli Rosjan, a nawet zdążyli przerwać front. Trzeba było cofnąć się szybko, co też armja rosyjska, jak zawsze, sprawnie wykonała.

Udziału w tej bitwie omal nie przypłaciłem życiem lub niewolą. Pierwszy korpus syberyjski podczas cofania się stanowił arrier-gardę. Wyruszyliśmy zapóźno; otoczono nas „u grobowców cesarzy chińskich“, na północ od Mukdenu. Przebiliśmy sobie przejście i korpus zdołał wydobyć się z tej pułapki. Wśród cofającej się masy żołnierskiej nie wypadało iść wskok, więc pod gradem kul, sypiących się z trzech stron i pod ostrzałem artylerji z czwartej, polecivszy Bogu ducha, szczęśliwie predefilowałem przez to piekło: jeno mój wierzchowiec, uderzony odłamkiem pocisku, zakulał.

*

Po bitwie pod Mukdenem Rosjanie zajęli pozycję t. zw. „sypingajską“ i, jak zawsze, bardzo prędko uporządkowali się. Japończycy, będąc porządnie przemęczeni z powodu znaczniejszych strat jakie ponieśli, stanęli bez ruchu.

Nas, oficerów sztabu, natychmiast rozesłano na rekonesanse. Trafiłem do miejscowości, która nazywała się „Puszczą łowów cesarskich“. Rojło się tam od japońskich podjazdów i oddziałów wywiadowczych. W puszczy od stworzenia świata dróg nie budowano, istniały jedynie ścieżyny wśród gór, bagien i lasów. Chińczycy nie mieli prawa osiedlania się tam, ale prawo prawem, a życie życiem. Wierno-poddani „Syna Słońca“ zagnieźdździ się, tworząc liche, pojedyncze osady. Czy dlatego, że Rosjanie robili ciągle rekwizycje i ludność, ratując dobytek, sama podtrzymywała łączność, czy dlatego, że ludność była zmuszoną przez Japończyków, ale gdym się w puszczy z eskortującą seciną zanurzył, kierunek mojego przemarszu stale był markowany na otaczających górach przez palenie bawełnianych szmat, dających duży, choć krótkotrwały dym. Nie mogę się pochwalić, abym w tych warunkach czuł się dobrze, spodziewając się zasadzki na każdym kroku. Uniknąłem

jednak tej przyjemności i nawet przepędziłem jakiś podjazd japoński. Za to kolega mój, Gudim Lewkowicz, rekognoskujący po mojej prawej ręce, dał się złapać, został ciężko raniony, a jego secina straciła prawie wszystkie konie.

Po zbadaniu „Puszczy łowów cesarskich“ i namacalnym przekonaniu się, że wertepy są dobrze strzeżone, choć nie nadają się dla działań większych mas wojsk, wysłano mnie w celu zbadania przełęczy w jakichś górach, które były oznaczone w atlasach. Przez nią mogła być ustalona łączność między „gros“ armji i oddziałem jen. Rennenkampfa, przegradzającego kierunek na Kiryn. Gdym już rekonensans skończył, odnalazł mnie specjalnie wysłany podjazd i przywiózł wiadomość, iż pod Cuszimą flota admirała Roździestwieńskiego znalazła swój cmentarz.

Katastrofa była zupełna. Prawda, że nie była to wielka strata materjalna, bo prócz paru nowoczesnych okrętów, eskadra składała się ze starych „kaloszy“, zdatnych tylko na szmelc. Ciekawa rzecz, jak armja lądowa zareagowała na tę klęskę: wszyscy od szeregów wzwyż stanowczo wypowiedzieli się za dalszem prowadzeniem wojny. Nie zrozumiano, że dalsza walka byłaby arcy - bezsensowną. Trafnie to ujął korespondent francuski Naudeau w tytule książki „Oni nie wiedzieli“.

*

W wyższem dowództwie powstały kwestje: 1) czy, nie mając floty, można dalej prowadzić walkę skuteczną t. j. taką, któraby w najkrótszym czasie dała dodatnie wyniki; 2) kiedy, przyjmując pod uwagę stan kolei żelaznej, można ściągnąć dostateczne siły i 3) gdzie obrać teren walki.

Na pierwszą kwestję strategia dała odmowną odpowiedź i to stanowczo „nie“. Drugą kwestję rozstrzygnięto tak: Rosja nie zmobilizowała nawet jednej czwartej części swojej armji — Japończycy zaś wszystko. Cofając się, Rosjanie stawali się z każdym krokiem silniejszymi, Japończycy słabszymi. Ale Rosjanie nie mają się gdzie cofać (o czem niżej). Poza tem, przewóz każdego korpusu wymagał jakichś 35 dni, Rosjanie musieliby, prócz już skoncentrowanych w Mandżurji korpusów, ściągnąć jeszcze dziesięć t. j. przeciągnąć wojnę na jakiś rok i właściwie zacząć ją od początku.

Oczywiście i na drugą kwestję odpowiedź nie była zachęcająca.

Wreszcie trzecie zagadnienie!

Po bitwie pod Mukdenem Rosjanie odeszli na Syppingajską pozycję, za którą do równoleżnika Charbina trafiały się jeszcze okolice, jako tako zamieszkałe. Za to na północ od tego miasta ślady kultury były coraz rzadsze, a za rzeką Amurem ku północy nie było nawet skupień ludzkich. Z tego wynikało, że cofnąć się można tylko do Charbina, bo na zachód od południka Charbina, na przestrzeni około 900 wiorst rozciągały się stepy bez dróg i wody, a na wschód do Oceanu dróg kołowych wogóle nie było. Istniały jedynie

bezludne odnogi łańcuchów lesistych i skalistych gór Sichotoaliń. Słowem, na północ od Syngaju prowadzenie działań większymi masami było rzeczą bardzo trudną, jeśli wogóle możliwą.¹⁾

Pozycja ta była więc ostatnią, skąd, cofając się, trzeba było przerzucić armję czynną do kraju Zabajkalskiego; przenosić ją do t. zw. Kraju Priamurskiego, z przyczyn wyżej podanych nie było celu.

Przypuśćmy jednak, że Rosjanie postanowiliby cofnąć się do Zabajkalja. Co wtedy musieliby uczynić Japończycy? Powinniby *rozpocząć na nowo* od desantu w okolicach Władywostoku i oblężenia tej fortecy.

Niezbicie wynika z tego, że jeżeli Rosjanie osiągnęli granice cofania się, to Japończycy również doszli do kresu natarcia. Nie wiem czy rozumiał to hr. Witte²⁾, wielce nieżyczliwie usposobiony wobec Kuropatkina. Natomiast Japończycy sytuację dobrze rozumieli i, jako naród skromny, syt zdobytych tak łatwo wawrzynów, stali się bardzo ustepliwi i wyrozumiali. Gdyby Witte dobrze orjentował się w sytuacji, mógłby znacznie mniej zapłacić za przegraną wojnę.

Zupełnie odmiennego zdania, co do prowadzenia dalszych działań, był dowodzący pierwszą armją rosyjską jen. Liniewicz, który większą część swej kariery spędził na wschodzie Syberji. Był on zdania, żeby wojnę prowadzić dalej, ale w „primorskiej obłaści“, gdzie, jak twierdził, znał każdą ścieżkę. Ponieważ Liniewicz był popularnym w szeregach i jego oświadczenie wywołało pewien zamęt w umysłach, przeto Kuropatkin rozesłał do sztabów wyjaśnienie o nielogiczności takiego planu.

*

Oceniając całokształt wypadków na Dalekim Wschodzie, byłoby rzeczą niesprawiedliwą potępiać armję rosyjską. Ona zapłaciła za błędy polityków; wiem dokładnie, że Kuropatkin niejednokrotnie wskazywał na niebezpieczeństwo związane z wschodnią polityką Rosji, zajęcia portu Artura, budowy kolei mandżurskiej oraz awantury na Jału i domagał się przedsięwzięcia odpowiednich zarządzeń.

Gdy pierwsze oszałamiające uderzenie pod portem Artura nastąpiło, Rosja wykazała przykład nadzwyczajnej, wartej rozumniejszego zastosowania, energii i poświęcenia. W niespełna osiem miesięcy nie tylko przebudowała kolej długości kilkunastu tysięcy km., ale wybudowała około 100 km. nowego toru naokoło jeziora Bajkał w warunkach terenowych nadzwyczaj trudnych i zdążyła przewieźć z Europy takie siły, że zamiast trzech lokalnych korpusów powiększyła swoje wojska do trzech armij po kilkanaście korpusów.

¹⁾ Obecnie te miejscowości są już dość zaludnione.

²⁾ Zawarł pokój w Portsmouth.

VIII

RUCH REWOLUCYJNY 1904 — 1905

Na początku wojny japońskiej zastanowił mnie jeden szczegół. Tak zwani „prawdziwi Rosjanie“, wszczęli akcję przeciwko Polakom, jakby obawiając się zdrady. Strach ten, zdaje się, pochodził ze wspomnień powstania i z działalności emigracji na arenie politycznej świata, pozatem i z tej przyczyny, że nie tylko bardzo wielu Polaków - inżynierów zajmowało posady na linii kolei syberyjskiej, a szczególnie mandżurskiej, ale i inni rodacy pracowali tu we wszelkich zawodach. Mogliby Polacy oczywiście wiele zaszkodzić, jednak tego nie zrobili. W dodatku wojska syberyjskie, które faktycznie przeniosły na siebie cały ciężar wojny, kompletowały się w dużym procencie z żołnierzy Polaków. Japończycy, oczywiście, o tem wiedzieli, więc za pomocą proklamacyj i ulotek do narodów państwa rosyjskiego, zachęcali do zdrady. Paczka takich proklamacyj wpadła do moich rąk w następujących okolicznościach.

Zazwyczaj kawalerzyści japońscy starannie unikali starć z jazdą rosyjską, szczególnie po wypadku, gdy większy ich oddział został prawie doszczętnie zniesiony. W wypadku przeze mnie podanym, podjazd japoński, podjechawszy blisko, rzucił jakąś skrzyneczkę i uciekł. Były to proklamacje, drukowane i malowane; proklamacje te przedstawiały olbrzymiego pajaka, mającego wyobrażać Rosję, który oplatał pajęczyną kulę ziemską i wysysał krew z ludzkości. Do tego pajaka strzelał z łuku, wcale udatnie oddany Polak ¹⁾ w konfederatce, przedstawiciele zaś innych narodów szkodzili pajakowi wedle możliwości. Już po powrocie do kraju w roku 1918 dowiedziałem się, że niektórzy polscy działacze jeździli do Japonii z propozycją wywołania powstania w b. Kongresówce. Nie znam bliżej tej sprawy, wiem tylko, że na tyłach armji w Mandżurji i Syberji, do zdrady doszło, bo zrobiono rewolucję, co podam niżej.

*

Po rozpoczęciu pertraktacyj pokojowych z Japonją w roku 1905, odkomenderowano mnie do Charbina, do sztabu korpusu wojsk nadgranicznych, mających za zadanie ochronę kolei mandżurskiej, przecinającej jak wiadomo terytorjum chińskie.

¹⁾ Mógłbym prawie twierdzić, że sylwetka jego przypominała rysy głośnego działacza doby obecnej.

Polecono mi opracować reorganizację tego korpusu, bo część kolei na południe od Charbina miała być oddaną Japonji.

Nikt nie wiedział jaka będzie dalsza polityka Rosji na Wschodzie; nurtowały prądy odwetu za przegraną wojnę, względnie chciano znaleźć nowe wyjście na Ocean Wielki, zamiast utraconego portu Artura.

Przystąpiłem do reorganizacji, wychodząc z założenia, że korpus nadgraniczny nie będzie liczebnie zmniejszony; przypuszczałem też, że w skład jego wejdzie kilku oficerów Sztabu Jeneralnego, lecz Witte, któremu korpus podlegał, nie zgodził się na to, by nie drażnić Japończyków.

Pracę skończyłem prędko i wkrótce otrzymałem propozycję zrobienia tajnego rekonesansu w kierunku od Hajłaru na Pekin.

Byłem wyczerpany półtoraroczną wojną, pracowałem bowiem po 22 godziny na dobę, prawie bez jedzenia, miałem więc moralne prawo do odpoczynku. Wobec tego zrzekłem się tego bądź co bądź ciekawego zlecenia i, pozostałem nadal w korpusie nadgranicznym, aż do zupełnej ewakuacji Mandżurji, co trwało około roku.

O ile chętnie wyjechałem na wojnę, o tyle nie miałem zamiaru pozostać w czasie pokoju na Wschodzie lub na Syberji. Tymczasem po wojnie zmieniono zasadniczo dyzlokację, powiększając ilość wojsk na Wschodzie.

W związku z tem było dużo roboty dla sztabowców. Ponieważ nikt z kolegów nie chciał pozostać, więc władze użyły fortelu, oświadczając, że każdy oficer Sztabu Jeneralnego musi odbyć „stage“ na Syberji. Były to, oczywiście, „strachy na Lachy“ dla posiadających protekcję, ale kto jej nie miał, musiał się temu poddać. Należałem do tych ostatnich i w roku 1906 dostałem przydział do sztabu Irkuckiego Okręgu, który dopiero miał być zorganizowany. Na wyznaczonym terenie nie było żadnych budynków wojskowych, a należało rozlokować tam dwa zmobilizowane korpusy i ogromną liczbę oddziałów pomocniczych i składów.

Irkuck pretenduje do godności stolicy Syberji, w istocie jest jednak małą, brudną i pełną robactwa mieściną, z drewnianymi domami. Gdy tam przybyłem wraz z żoną i dzieckiem, zużyłem niemało energii na wyszukanie jakiegokolwiek bądź mieszkania. Znalazłem wreszcie locum, przerobione ze stajni, czy też ze spichlerza, o czterech wilgotnych pokoikach. Nasze dwumiesięczne dziecko dostało niebawem zapalenia płuc, musiałem więc niezwłocznie mieszkanie to opuścić.

Zaledwie po miesiącu pobytu w nowem mieszkaniu, omal nie zostaliśmy w niem pogrzebani z powodu trzęsienia ziemi. Byłem pierwszy raz w życiu świadkiem takiego zjawiska. Spoczywałem w łóżku, gdy nogi moje znalazły się nagle powyżej głowy, a ściany rozpadły się od gwałtownego wstrząsu. Trwało to kilka sekund, wartych jednak długich lat przeżyć.

Służba w Irkucku była bardzo zajmująca, bo należało stwarzać wszystko od podstaw. Przedewszystkiem trzeba było opracować dyzlokację, a więc bu-

dować koszary, co przypadło w udziale memu rodakowi jen. Wojewódzkiemu. Ponieważ prace te nieprędko mogły być ukończone, musiałem rozlokować wojska gdzie się dało po wsiach i miasteczkach. Przejechałem w tym celu w t. zw. „taratajce“ (innego sposobu lokomocji nie było) od Kańska do Strietieńska, t. j. w prostej linii przeszło 3 tysiące wiorst.

Syberja do dnia dzisiejszego jest krajem bardzo słabo zaludnionym; ludność zamieszkuje większe skupienia wzdłuż słynnego traktu Tiumieńsk — Omsk — Krasnojarsk — Irkuck — Czyta — Strietieńsk i dalej wzdłuż Amuru na Chabarowsk do Błagowieszczeńska, oraz przy bocznych traktach, prowadzących na Minusińsk, Tobolsk i Kuźnieck. Osiedla są duże, niekiedy bardzo wielkie; jednak wpływy kulturalne tych osiedli nie sięgają dalej jak 50 wiorst wgłąb kraju. Wzdłuż głównego traktu wsie są oddalone jedna od drugiej o 20 — 25 wiorst, a na bocznych drogach jeszcze rzadziej. Musiałem je prawie wszystkie objechać, by móc zadecydować o rozkwaterowaniu. Poznałem dokładnie tę część Syberji i zauważyłem wiele charakterystycznych rzeczy. Np. na trakcie Krasnojarsk — Tomsk zdziwiła mnie ogromna ilość przydrożnych krzyży. Zapytany przeze mnie woźnica, co to ma znaczyć, objaśnił, że są to miejsca, gdzie mordowano podróżników, albo, powracających do domów, poszukiwaczy złota. „Ot w tem miejscu“, dodał zachęcająco, „zabili przed paru dniami trzech“.

Głównodowodzącym wojskami w Irkucku i jednocześnie jen.-gubernatorem na ten okręg mianowany został jen. Sieliwanow, który podczas wojny był komendantem fortecy we Władywostoku. Cechowała go szlachetność, śmiałość i stanowczość.

*

Zaraz po Cuszimie wybuchły w Rosji bunt, które przez gloryfikatorów wszelkich zamieszek, nazwano „rewolucją 1905 r.“. Jako pierwszy zbuntował się garnizon fortecy Władywostok, składający się z marynarzy i artylerzystów. Sieliwanow wraz z adjutantem udał się, aby uspokoić załogę głównego fortu, która w nadmiarze „międzynarodowych uczuć“ chciała zbombardować miasto. Udało mu się już ludzi uspokoić, gdy nagle z tylnych szeregów jakiś waleczny rewolucjonista krzyknął: „nie słuchajcie, bić go“. Wszczęła się wrzawa. Widząc, że sprawa jest przegrana, Sieliwanow opuścił fort; gdy schodził po parapecie, rozzuchwalona banda ostrzelała go z kulomiotów. Ciężko ranionego Sieliwanowa jacyś miłośni ludzie odnieśli na odchodzący z Władywostoku statek japoński.

Po objęciu władzy w Irkucku, Sieliwanowowi przypadło w udziale trudne zadanie. Z powodu nurtujących wszędzie rewolucyjnych fermentów, rząd ogłosił stan wojenny i wprowadził sady polowe. Winowajców wyłapano, ale wyłącznie prawie tych, którzy przez głupotę dali się wciągnąć do ekscesów.

Nie jeden z nich przyplacił to życiem, prowodyrzy zaś, z bogaciwszy się przy tej sposobności grabieżami, zawczasu zdążyli uciec.

Co było przyczyną buntów 1905 r.? Nie były one rewolucją. Rewolucja musi mieć choć prowizoryczną centralną władzę, jaką - taką siłę realną, żeby móc odrazu opanować jakiś punkt lub rejon. Nic podobnego nie było. Socjaliści czy rewolucjoniści wykorzystali uczucie zgrozy i ferment, który opanował Rosję po klęsce pod Cuszimą, ale nie mieli żadnego skryształizowanego planu co do swoich zamiarów i sposobów działania.

Na mocy swego dwukrotnego doświadczenia przekonałem się, że wszelka agitacja wywrotowa znajduje najodpowiedniejszy grunt wśród tchórzów i aferzystów, choć cele ich są różne. Pierwsi za wszelką cenę pragną uniknąć niebezpiecznych przeżyć frontowych; drudzy zaś płoną żądzą robienia dobrych interesów w czasie rozruchów. W roku 1905 fermenty nie zaczęły się w armii czynnej, lub na okrętach eskadry arturskiej i nawet w eskadrze Roździeńwieńskiego, płynącej ku zagładzie, ale w oddziałach etapowych i w załodze fortecy Władywostockiej. Fermenty w fortecy Władywostockiej powstały głównie dlatego, że po Cuszimie Władywostok mógł się stać terenem walki. Zastrajkował też telegraf, a częściowo koleje; była to główna przyczyna fiaska rewolucji. Ponieważ ogólnego kierownictwa rozruchów nie było, miasta więc wzajemnie się podniecały do wystąpień, przysyłając kłamliwe i fantastyczne wiadomości. Tymczasem armii czynnej, stojącej na Syringajskiej pozycji, groził głód i katastrofa, gdyby Japończykom np. przyszła fantazja atakować. Rewolucjoniści zapomnieli o tem, że armja czynna miała też coś do powiedzenia. Lecz armja czynna opowiedziała się po stronie rządu i bunt został stłumiony.

W Petersburgu szybko zorientowano się co do sposobu zlikwidowania buntu i pięknego poranku wyjechały dwie ekspedycje karne: jedna z Moskwy pod wodzą barona Meller - Zakomelskiego do Mandżurji, druga zaś, złożona z oddziałów wyłonionych z czynnej armji, z jen. baronem Rennenkampffem na czele, w kierunku na Moskwę. Charakterystyczne jest, że nie znalazło się dwóch generałów o rosyjskich nazwiskach, którym możnaby było polecić doprowadzenie komunikacji do porządku. Pokutowało powiedzenie z przed wieków: „ziemia nasza jest wielką i bogatą, ale porządku w niej niema. Przyjdźcie panować nad nami“.

Meller był energiczniejszy, to też w robocie pacyfikacyjnej posuwał się znacznie prędzej; pozostawił po sobie spokój, normalny ruch kolejowy i telegraficzny, oraz dużą niechęć do strajków ¹⁾. Rennenkampff w tymże czasie, przejechał tylko 3 tysiące km. i dotarł do Czyty przed Mellerem.

Czyta była miasteczkiem gubernjalnem, gdzie ześrodkowały się najburzliwsze elementy. Gdyby Meller był przyjechał o pół godziny wcześniej do Czy-

¹⁾ Strajkujących bez pardonu rozstrzeliwał.

ty, pozostałaby po niej kupa gruzów, Rennenkampf zaś kazał tylko wsypać strajkowiczom po kilka dziesiątek nahajek, poczem zapanował porządek.

W przeciągu miesiąca rewolucja była zlikwidowana; gdziekolwiek, co prawda, panowały jeszcze fermenty, jednak szybko się one zneutralizowały. Nasuwa się pytanie: — czy była jakaś poważniejsza podstawa do quasi rewolucyjnego ruchu w 1905 r.? Początek jego wynikał z przypuszczenia, „na dwoje babka wróżyła... a nuż się uda obalić rząd?“ Jednak to stać się nie mogło. Choć naród rosyjski ma ustaloną reputację „narodu ciemnego“, jednak instynktownie wyczuł, że czas i okoliczności nie są po temu odpowiednie. Wynik więc rewolucji był wręcz przeciwny mglisto zamierzonym celom jej inspiratorów, gdyż zbliżył szersze masy do caratu i wzmocnił dyscyplinę w armji. Za eksperyment bandy międzynarodowych oszustów zapłaciło życiem tysiące ludzi.

Nie mówię tego przez sympatię do caratu lub do Rosji, ale w takiej sytuacji łatwo może się znaleźć każdy a więc i Polska.

*

Już w pierwszym roku mej służby w Irkucku miałem niejednokrotnie możliwość zwiedzać t. zw. „priiski“, t. j. kopalnie złota. Najbogatsze złoża znajdują się za Bajkałem i w południowych powiatach gubernji Jakuckiej, w której też istnieje potężna kopalnia w Bo Daj Bo. Nabyłem też tyle doświadczenia, że w terenie mogę określić, gdzie przypuszczalnie jest złoto.

Wydobywanie kruszcu uskuteczniało wtedy przy pomocy środków prymitywnych, częściowo przez rząd, częściowo przez rozmaitych obywateli. Amerykanie dobijali się o prawo powtórnego przerobienia wyeksploatowanej ziemi, ale rząd rosyjski odmówił.

W roku 1905, gdy Rosja była w ciężkiej sytuacji finansowej, w Petersburgu zjawił się przedstawiciel jakiejś amerykańskiej kompanji w postaci „kurtyzowanego Lejby z Zawichosta“, z propozycją wybudowania na Syberji nowych linii kolejowych. Ponieważ rząd miał głowę zaprzątniętą likwidacją wojny i rewolucji, więc odesłano „Amerykanina“ do jen. Sieliwanowa. Jen. powołał komisję, złożoną z przedstawicieli wszelkich dziedzin gospodarczych; i ja wziąłem w niej udział. Po rozpatrzeniu oferty, jedna połowa członków wypowiedziała się za nią, druga — przeciw. Propozycja polegała na wybudowaniu kolei od zatoki Berynga do jednej ze stacji kolei syberyjskiej, z odnogami do Chabarowska, Błagowieszczeńska i Irkucka. Cała przestrzeń wzdłuż kolei miała być podzieloną na prostokąty, których boki wynosiłyby po 25 czy 40 wiorst. Amerykanie mieli bezpłatnie eksploatować połowę tych działek w ciągu 40 lat; druga połowa działek miała pozostać w rękach rządu rosyjskiego. Po upływie tego terminu kolej ze wszelkimi urządzeniami i inwentarzem przechodziła na własność Rosji. Projekt był arcy-pomysłowy, bo od razu wzboga-

cał Syberję o kilkanaście tysięcy klm. kolei, co otwierało wielkie perspektywy kolonizacyjne. Ostateczna decyzja zależała od jen. Sieliwanowa; jemu członkowie komisji przedkładali swoje zdania o projekcie. Ja meldowałem ostatni swój pogląd.

Zastanowiła mnie kwestja, dlaczego Ameryka, niezbyt przychylnie usposobiona do Rosji w czasie wojny japońskiej, po jej zakończeniu zjawiła się z propozycją, dotyczącą terenów, o których sami Rosjanie mieli niedokładne pojęcie? Dość spojrzeć na mapę Syberji, aby się przekonać, że miejscowość, którą miała przeciąć kolej, jest białą plamą. Amerykanie nie robią prezentów wartości kilkunastu miliardów dolarów; mimowoli wyczuwało się, że w czasie wojny jakaś ekspedycja musiała wędrować, przeszła projektowaną trasę i znalazła obiekty godne uwagi amerykańskich kapitałów. Wypowiedziałem się więc o projekcie negatywnie, wskazując zarazem, że jeżeli Rosjanie sami potrafili wybudować kolej transsyberyjską, mogą w swoim czasie wybudować własnymi siłami i tę nowoprojektowaną.

Sieliwanow rozstrzygnął sprawę odmownie. W pewnym związku z tą propozycją jest zaofiarowanie Ameryce przez Kiereńskiego kupna półwyspu Kamczatki za cenę 40 miliardów rubli w złocie. Amerykanie propozycję odrzucili, przypuszczam dlatego, że po wojnie światowej, albo tej sumy nie posiadali, albo nie chcieli narażać się Japonji, interesy której jeszcze za carskich czasów grawitowały właśnie ku Kamczatce.

*

W Irkucku przebyłem przez półtora roku. Zostałbym dłużej, ale nie mogłem odpowiednio urządzić życia rodzinnego, co omal nie spowodowało śmierci pierwszego mego dziecka. Praca tu była ciekawa, ponieważ należało w tym nowopowstałym okręgu wojennym wszystko stwarzać od podstaw, głównie zaś opracować plan mobilizacji i t. zw. koncentracji, oczywiście na wypadek wojny na Wschodzie.

Prócz kolei transsyberyjskiej, równoległe idącego traktu kołowego i paru bocznych, na obszarze dorównującym Europie, innych dróg nie było. Sztab przystąpił do opracowania ich sieci. Brakowało map i nawet nie było śladu w archiwach, że kiedykolwiek robiono wstępne badania terenu. Musiałem często wyruszać w pole i zrobiłem niejedyn tysiąc klm. konno lub w „tara-tajce“. Między innemi zbadałem łańcuch gór, leżących na południe od Sajjanów, zwanych przez Mongołów „Adun Czelon“ to znaczy, „tabun kamieni“. W górach tych na nieznacznej głębokości znajdują się złoża topazów i akwamaryn. Różne drapichrusty z całej kuli ziemskiej i osobnicy z którymi niebezpiecznie było spotkać się nawet za dnia, trudnili się ich wydobywaniem, stosując przytem barbarzyńskie sposoby eksploatacji.

Półtora roku pracy minęło mi jak jeden dzień. Rosja przechodziła wtedy ciężkie czasy po wojnie japońskiej i zamęcie r. 1905/6. Wyprawę mej żony,

wysłaną z Moskwy, ukradziono. Kupić nowej nie mieliśmy zaco, zresztą w Irkucku nic dostać nie było można, a co można było nabyć, kosztowało bąjońskie sumy. Nie chciałem dłużej czekać, aż się wszystko uspokoi i „utrząsie“ i złożyłem raport o przeniesienie mnie do Wilna lub Warszawy; prośby jednak mej nie uwzględniono z przyczyn narodowościowych. Przetranslokowano natomiast mnie do okręgu kijowskiego, do Charkowa.

Władze w Irkucku bardzo czule i serdecznie mnie pożegnały, a koledzy ofiarowali mi szablę z damasceńską klingą, którą obecnie zapewne nosi jakiś opryszek bolszewicki Nachamkes lub Swerdłow, ukradziono mi ją bowiem razem z innymi rzeczami w Woroneżu, o czym już wspomniałem.

W Charkowie objąłem stanowisko w sztabie X korpusu, który zgodnie z planem wojny miał być użyty przeciwko Austrii, lub służyć jako rezerwa na wypadek komplikacyj na Wschodzie. Korpus ten brał udział w wojnie japońskiej, nie był więc zupełnie surowy.

Do chwili przyjazdu do Charkowa nie zajmowałem się studjowaniem specjalnie żadnego państwa Europy, jako ewentualnego przeciwnika, na wypadek wojny, dopiero tu wziąłem się do tej pracy. Po dwu latach zaproponowano mi awans na stanowisko szefa sztabu XI dywizji piechoty, rozlokowanej w Łucku, Dubnie i Krzemieńcu. Propozycję przyjąłem, przewiozłem rodzinę i, dzięki protekcji księdza Lachowicza, zakwaterowałem się w olbrzymim gmachu poklasztornym.

Dowódca XI dywizji jen. Fiedotow niezbyt był zadowolony z mego przydziału; była to „figura niewyraźna“. Pragnął, bym siedział cicho, gdyż wszelki „ruch“ zwraca uwagę „naczalstwa“. Byłem innego zdania, bo w pierwszych dniach stwierdziłem, że dokumenty, które, jakkolwiek nie należały do najtajniejszych, gdzieś znikły....

Pociągnąłem adjutanta do odpowiedzialności; ten prosił żonę dowódcy dywizji o wstawiennictwo. Nie znoszę wtrącania się kobiet do spraw służbowych, więc stosunki moje z dowódcą się zaostrzyły. Zaczęto mi robić rozmaite świństwa, posterunek zaś na granicy był odpowiedzialny, ponieważ dywizja ochraniała węzeł kolejowy w Równem. Przez dywizję szły też wywiady z zagranicy.

Tu poraz pierwszy dowiedziałem się o ruchu strzeleckim w Galicji. Rosjanie otrzymywali o nim dokładne relacje, ale o ile agenci nieżydźci dawali o nim wiadomości prawdziwe, o tyle Żydzi wyolbrzymiali je bardzo. Wynikiem tego ruchu było zaostrzenie stosunków między władzami rosyjskimi a polską ludnością miejscową. Nie pamiętam dziś szczegółów, ale w jednym z majątków polskich znajdowali się na praktyce studenci szkoły agronomicznej w Galicji; policja przyłapała tych młodych ludzi na rzekomych pomiarach jakiejś mało znaczącej rzeczki. Zrobiono z tego awanturę polityczną, bo władze obawiały się, że w razie wojny wybuchnie polskie powstanie na tyłach armji. Obawy były zupełnie bezpodstawne, co się też później spraw-

dziło. Jednak plan wojny przewidywał możliwość wybuchu powstania na obszarze lewego brzegu Wisły. Z tego powodu postanowiono *nie powoływać rezerwistów z rejonu na zachód od linii kolei Warszawa—Kraków i częściowo na południe od linii Kolużki — Sandomierz*¹⁾. Wojska linjowe, zresztą bardzo nieliczne, utrzymywano tu na stopie wojennej; zajmowały one tylko w celach polityki wewnętrznej Częstochowę, Piotrków, Łódź, Kielce i Kalisz. Charakterystyczne, że po wybuchu wojny światowej część mieszkańców tego rejonu, podlegająca wcieleniu do szeregów, sama się zgłosiła do wojska, choć jej nie powoływano.

Na wschodzie Polski, szczególnie na Wołyniu i w Lubelszczyźnie, władze zarządziły specjalne środki przeciw powstaniu, jak np.: angażowanie ludności do służby kontr - wywiadowczej. Łatwo sobie wyobrazić do jakich to doprowadziło nadużyć. Widziałem, po rozbiciu Austriaków w r. 1914, podczas przemarszu piątej rosyjskiej armji z Galicji na ratunek Warszawy, jak sztab XIX korpusu ciągnął za sobą jakąś nieszczęśliwą obywatelkę dlatego, że miejscowy chłop zadenuncjował, iż dawała sygnały Austriakom, oświecając okna lampą. Choć już wówczas resztki austriackiej armji znajdowały się pod Krakowem, ale denuncjacja zrobiła swoje.

Moje władze parokrotnie zapytywały mnie bezpośrednio, co myślę, o możliwości wybuchu powstania. Ponieważ miałem znajomych wśród różnych sfer społeczeństwa polskiego i czytywałem gazety, odpowiadałem niezmiennie: „ponieważ nikt wyniku wojny nie jest pewien, nie należy przypuszczać, że powstanie się zacznie, bowiem ani ziemianin, ani chłop, ani robotnik, pamiętając okoliczności i wyniki powstania 63 r., do żadnej awantury nie da się wciągnąć; ruch robotniczy ma podłoże ekonomiczne; w masie narodu może znaleźć się kilkudziesięciu ludzi, którzy zechcą spróbować wzniecić powstanie, ale realnego wyniku nie osiągną“.

Opierając się na danych, które obecnie, gdy piszę ten pamiętnik, posiadam, nie myliłem się. Ruch strzelecki w Galicji przetworzył się w Legjony, te zaś mogły zorganizować po długich zabiegach ledwie trzy chude brygadki, razem 6—8 tysięcy. Ile w tem było Kongresowiaków? W każdym razie było to bardzo mało, nawet w stosunku do Polski Kongresowej, nie objętej²⁾, jak wyżej wskazałem, planem mobilizacji; tam znajdowało się około dwóch milionów, przeważnie robotniczej, ludności.

Rosjanie wiedzieli co się robi w Austrii. Z niektórych poszlak przypuszczać można, że między „kuzynami“³⁾ istniało poufne porozumienie, co do formacyj polskich. Bagatelizując akcję galicyjskich Legjonów, Rosjanie u siebie pozwolili sformować tylko *Legjon Gorczyńskiego*, t. j. prawie nic. Dopiero

¹⁾ W czasie pokoju brano stąd rekruta.

²⁾ W tym rejonie na początku wojny Legjony mogły bez wielkiego ryzyka występować.

³⁾ Berlin i Petersburg.

później, po cofnięciu się za Szczarę, niemając nic więcej do stracenia i obawiając się, by Niemcy nie wykorzystali materiału ludzkiego z Polski, Rosjanie zgodzili się na dalsze powiększenie „polskich formacyj“.

*

Polityka państw zaborczych w stosunku do nas nie była czemś trudnem do przewidzenia. Rosja od 16 wieku stale parla na zachód; (odchylenia w kierunku wschodnim były sprawą przejściową); kres tego ruchu nie mógł się przecież skończyć na linii Wisły. Z drugiej strony państwa niemieckie organicznie dążyły na Wschód, więc po upadku Polski musiało dojść do starcia. Naród nasz, pomimo wielu wad, posiada tyle siły żywotnej, że ignorować go nie mógł żaden z zaborców. Żaden z zaborców nie chciał wyczerpująco uregulować sprawy polskiej i nie pozwolił nikomu tej kwestji poruszać. Rosja i Niemcy nie chciały powiększać własnych komplikacyj na wypadek wojny; kwestję polską, za ogólną zgodą, uważano za sprawę wewnętrzną każdego zaborcy.

Pewnego razu w roku 1887, prowadziłem z bratem Konstantym rozmowę ¹⁾ na temat zachowania się zaborców wobec Polaków w razie wojny. Przyszliśmy do przekonania, że wszyscy zwrócą się do nas z proklamacjami i obietnicami, aby tylko Polacy pomogli w zwalczaniu: jednemu — „wroga Słowian“, drugiemu — „wschodnich barbarzyńców“. Tak się też i stało. Odezwy i manifesty ogłoszono; coś one niby obiecywały a faktycznie były obliczone na wykorzystanie polskiej naiwności. Który odłam naszego narodu pierwszy dał się złapać w tej nieskomplikowanej grze, ustala historycy nieprędko.

W wyniku takiej polityki, z jednej strony Austrii i Niemiec, a z drugiej Rosji, naród nasz był zupełnie dezorientowany i nie garnął się zbyt gorąco ani do legionów Piłsudskiego, ani do formacyj, tak rażąco i tendencyjnie nazywanych ²⁾ „wschodniemi“.

To jedno nie ulega wątpliwości, że dezorientacja ta, od pierwszej chwili odrodzenia państwa naszego, przysporzyła wiele trudności sferom kierowniczym i rzetelnie nas powaśniła.

Moi przełożeni w armji rosyjskiej prowadzili też ze mną niejednokrotnie rozmowy na temat zachodnich granic Rosji. Przekonywałem, że Polska musi się odrodzić — w jakich granicach, tego nie przesądzałem. Ponieważ Rosjanie chętnie głosili hasła zjednoczenia Słowian, radziłem nie wzorować się na Niemcach, bo polityka prześladowań i ucisków, stosowana do nas, pcha naród tylko w objęcia Austrii, t. j. komplikuje urzeczywistnienie tego wła-

¹⁾ Porównaj rozdział II.

²⁾ Polskie formacje były również przy państwach centralnych i na zachodzie, nikt ich jednak nie nazywa „centralnemi“ lub „zachodniemi“.

śnie zjednoczenia. Jako przykład wskazywałem na ruch strzelecki w Galicji i zapytywałem, czy w Rosji pozwolonoby na coś podobnego?

Osobiście byłem przeciwny temu ruchowi. Był on związany z państwem, rozgromienie którego zgóry przewidziano. Pchanie Polaków do cudzej klęski, nie usposabiało mnie przychylnie do tej koncepcji. Z ruchu strzeleckiego powstały Legjony. Wystąpiły one do walki przy boku Austrii, t. j. łącznie z Niemcami, a później po aresztowaniu Piłsudskiego i opanowaniu Rosji przez bolszewizm, chciały się przerzucić na stronę Rosji¹⁾. Na takie „esy-floresy“ może sobie pozwolić polityk, ale nigdy wojskowy.

Ówczesny stan umysłów wśród legjonistów do pewnego stopnia charakteryzuje załączony list²⁾.

Coby nie pisano i nie mówiono o Legjonach, przyznać trzeba, że na losy Polski wywarły one wpływ dopiero po jej odrodzeniu. Wystąpienie z bronią w rękę przeciwko Rosji na początku wojny światowej zakrawało albo na bufonadę, albo na współudział w pracy z innymi zaborcami, w roli polskich kondotjerów. Mogła ich Austria mieć w składzie swojej armji, podobnie jak Francja posiada legjon cudzoziemski. W wyniku — ośmieszono nas (Lloyd George), a co gorzej, w opinji europejskiej zaszczerpiono do nas niewiarę.

Twierdzę zatem, że aż do rewolucji rosyjskiej, organizowanie polskich sił po stronie któregośkolwiek z zaborców racji nie miało, bo prowadziło tylko do połowicznego rozwiązania sprawy polskiej. Natomiast zabiegi u państw sprzymierzonych, niezainteresowanych bezpośrednio w sprawie odrodzenia Polski, były, zdaniem mojem, logiczne.

*

Po wojnie japońskiej rosyjski Sztab Jeneralny energicznie przystąpił do opracowania szczegółowo ewentualnej wojny z państwami centralnemi. Większość korpusów linjowych była rozlokowana na zachodniej granicy Rosji i miała za zadanie czasowe powstrzymanie naporu niemiecko - austriackiego, przeważnie pierwszego, do czasu zakończenia ogólnej mobilizacji i koncentracji wojsk.

Możliwość całkowitego zmobilizowania armji rosyjskiej zależała od szybkości zmobilizowania tych właśnie pierwszolinjowych korpusów. Część ich nawet posiadała etaty wzmocnione; ze względów jednak finansowych, nie miały wszystkich potrzebnych koni. Rzekomo brakowało ich na zachodnich kresach państwa; konie musiały być sprowadzane z rejonów na wschód od Dniepru. To właśnie opóźniało zakończenie mobilizacji jednostek wojskowych, najbardziej wysuniętych na zachód. Z tej przyczyny istniał nawet projekt cofnięcia tych jednostek od granicy.

¹⁾ Patrz „Przez dwa fronty“ Hołówko.

²⁾ Załącznik nr. 3.

Pułkownikowi Ditterichsowi, prowadzącemu plan mobilizacji kijowskiego okręgu, przysłała myśl sprawdzić dane statystyczne. Władze zgodziły się zrobić spis koni. Wybrano trzech oficerów, w tej liczbie i mnie, i polecono wykonanie tego zadania. Do pomocy dodano mi kilkunastu oficerów linjowych. W przeciągu półtora miesiąca całą pracę ukończyłem. Wyniki były nadspodziewane: okazało się mianowicie, że sama tylko gubernja Kijowska posiadała przeszło milion dwieście tysięcy koni, w tem osiemdziesiąt tysięcy wierzchowych. Inne gubernje, jak Wołyńska i Podolska, miały też olbrzymie ich zapasy. Spis koni pozwolił skrócić okres mobilizacji do dwóch dni, zamiast przewidzianych 7 — 8 dni ¹⁾. Stąd Niemcy, które nie wiedziały, że właśnie wynik spisu koni pozwolił skrócić okres mobilizacji, oskarżały Rosję, że zarządziła tajną mobilizację, przed wypowiedzeniem wojny.

Ponieważ prace przy spisie zostały najlepiej wykonane przeze mnie i najwydatniej wpłynęły na przyspieszenie mobilizacji, nagrodzono mnie orderem św. Włodzimierza trzeciej klasy, dawanym tylko generałom.

Podczas dokonywania spisu obejrzałem stadniny Branickich, Nowińskiego i innych. Pierwsze dwie prezentowały się świetnie; najgorsze konie miały najłatki tych Rosjan, którzy nabyli je podczas prześladowań Polaków.

Przypatrzyłem się też dobrze temu czcigodnemu bractwu, które dziś nazywa się narodem ukraińskim. W którejś z zapadłych wioszczyn rozmawiałem ze staruszkiem, patrjarchą gminy. Na moje powiedzenie, że teraz Ukraińcy muszą czuć się dobrze, ponieważ nie gnębią ich Lachy, a cesarz dał ziemię, więc w razie wojny z Austrią powinni chętnie się bić, odpowiedział: „panoczku, nam wszystko jedno, czy cesarz rosyjski, czy cesarz austriacki, bo i temu i drugiemu trzeba płacić podatki i dawać żołnierzy“. Oczywiście, że najbardziej przypadłoby do smaku rżnięcie „Lachiw“ lub „kacapiw“, co też w roku 1917/8 wykonali.

Czy nie jest to przestroga dla marzycieli, propagujących, że ustępstwami można pociągnąć ku nam ten naród, który już czwarty wiek broczy we krwi mordowanych, rzekomo w obronie wolności, swych współobywateli?

¹⁾ Niemcom było wiadome, że rosyjska mobilizacja może się dopiero zakończyć na ósmy dzień.

IX

ARMJA ROSYJSKA

Wstąpiłem do armji rosyjskiej w 1886 r. jako kadet. Pobytu w korpusie nie zaliczano do lat służby czynnej. Moja służba wojskowa rozpoczęła się, od dnia wstąpienia do szkoły wojskowej Konstantynowskiej, t. j. od r. 1888.

W tych dwóch zakładach czas miałem tylko na naukę. Nie miałem go na szerszą lekturę. Życie biegło z dokładnością precyzyjnej maszyny, którą olwiono oświadczeniami, że w państwie dzieje się wszystko dobrze. Dopiero po awansowaniu na podporucznika zabrałem się do czytania pism fachowych, dzieł ściśle historycznych i wojskowo historycznych. Zauważyłem wkrótce, że wykształcenie i wychowanie armji nie stoi na odpowiedniej wysokości i, tem samem, musi doprowadzić ją do ciężkich przeżyć. Niestety trudno mi było zdefiniować zarzuty, gdyż brakowało mi oparcia do krytyki. Prócz dzieł i pism w języku rosyjskim, innych biblioteka 140 pułku nie posiadała. Władałem językiem francuskim, ale nie miałem środków na prenumeratę pism w tym języku. Niemiecki mało wówczas znałem, a dzieł o sztuce wojskowej było w tym języku wiele. Wyrzucałem sobie stale, że język niemiecki zaniedbałem. Dopiero po przeniesieniu ¹⁾ do 11 pułku grenadierów, który miał o wiele obszerniejszą bibliotekę, mogłem się zagłębić w studia porównawcze. Zająłem się też wtedy nauką niemieckiego.

Od lat osiemdziesiątych ub. st. armja rosyjska była w stadium przejściowem od taktyki linowej, do taktyki broni palnej. Szło to bardzo kulawo. Przewagę miała t. zw. „szagistyka“, t. j. ruchy w zwartych szeregach i marsze ceremonialne. Więcej zwracano uwagi na zewnętrzny wygląd wojska, niż na umiejętność manewrowania; uczono na równych placach. Dowódcy starszych pokoleń w potęgę ognia albo nie wierzyli, bo nie znali nowoczesnej broni, albo się jej bali, bo przeceniali jej znaczenie. Większość starszych dowódców nie rozumiała, że ogień jest fazą przygotowawczą przewlekłą, ale nieuniknioną przed użyciem białej broni, która była, jest i będzie decydującą, i jest tylko krótkim, wymagającym największego napięcia, epizodem każdej regularnie prowadzonej walki. Większy nacisk kładziono na użycie bagnetu, niż na sztukę „umiejętnego“ strzelania. Uczono zresztą strzelać i to nawet dużo, ale, że tak powiem, nieszczerze, wymagając jedynie, aby żołnierz trafiał jak najwięcej kul do tarczy, a to jest tylko elementem użycia broni palnej. Oszczędzano sobie w ten sposób wymyślań w rozkazach starszych do-

¹⁾ O czem wyżej.

wódców za złe wyniki podczas inspekcji. Dopiero po wojnie japońskiej wzięto się ostro do roboty i w roku 1914 armja rosyjska, ale tylko czynna, wystąpiła w pole, będąc dobrze przygotowaną. Nie można tego powiedzieć o oddziałach rezerwowych, uzupełnionych starszemi rocznikami, a później zaś o całej armji po zapełnieniu jej szeregów w r. 1916 głównie właśnie temi rocznikami.

Gdy sobie uprzytomnię wszystko, co robiono tak nieumiejętnie, nie dziwię się, że Rosjanie wojnę japońską przegrali, mimo, że posiadali doskonały materjał ludzki i precyzyjny karabin. Niestety mało go kto znał, co zaś gorsze, nie wierzano w jego możliwości.

O dowództwie, jenerałach i oficerach, nie mogę powiedzieć, że byli źli lub dobrzy, ale twierdzę stanowczo, że do czasu wojny japońskiej wyższe dowództwo nie stało na wysokości swego zadania.

Już po wojnie krymskiej 1854 r., zaczął się pewien zwrot ku poprawie wyszkolenia i wogóle w dziale wojskowości, jednakże czynniki decydujące patrzyły na te inowacje niezbyt przychylnie. Ciągłe wierzano tylko w potęgę bagnetu, waleczność i żelazną wytrwałość żołnierza, jego przywiązanie do tronu, pokorę i wiarę i twierdzono, że nic się temu nie oprze. Oczywiście wśród jeneralicji wyróżniały się zdolne i wykształcone jednostki, ale było ich mało i nie potrafiły one, lub nie zdążyły wywrzeć dodatniego wpływu na stan całej armji. Do tych zaliczam: Obruczewa, Dragomirowa, Suchomlinowa, Skagurewskiego, oraz W. W. Ks. Ks. Mikołaja i Sergjusza.

Wpływy Berlina były wtedy aż nadto widoczne¹⁾, a Berlinowi zależało na tem, by „kuzyn“ rosyjski nie posiadał dobrej armji. Na wyższe stanowiska, aż do wojny japońskiej, stale mianowano ludzi utytułowanych, nie zaś utalentowanych. Taki stan zastałem i tak trwało, z małemi zmianami, do wspomnianej wojny.

Po wstąpieniu na tron Aleksandra III, dała się zauważyć pewna zmiana na lepsze, szczególnie w dziale szkolenia, ale były to poczynania nie sięgające głęboko. Dopiero po Mugdenie i Cuszimie, wzięto się do gruntownej naprawy, źle funkcjonującej miljonowej maszyny i, trzeba przyznać, dokonano przez osiem lat bardzo wiele. Wszystkiego jednak nie zdążono doprowadzić do należytego stanu — to potrafiłby chyba tytan. W każdym razie armja poczyniła olbrzymie postępy, w porównaniu do stanu z przed 1904 r. Jeszcze 3 — 4 lata spokojnej pracy i kolos rosyjski stałby się groźnym dla „wspólnika“²⁾, bo niechybnie sięgnąłby po ziemie słowiańskie aż po Wisłę, Odrę i morze Egejskie.

Ale „wspólnik“ miał przedewszystkiem na celu urzeczywistnienie swego

¹⁾ Za czasów Aleksandra III stosunki z Berlinem oziębiły się znacznie, ale jako dowód, że wpływy nie znikły, służy fakt wysyłania co roku cesarzowi niemieckiemu zupełnie sekretnej dyslokacji, którą mogli posiadać tylko dowódcy korpusów rosyjskich.

²⁾ W rozbiorach Polski.

hasła ¹⁾ i bacznie śledził, co się w Rosji dzieje; zauważywszy zaś niebezpieczeństwo, sprowokował wojnę.

W polepszeniu stanu armji rosyjskiej należy przedewszystkiem szukać przyczyn wybuchu wojny światowej. Niemcy spóźnili się jednak o parę lat i drogo za to zapłacili. Zabrakło Bismarcka i Moltke'go.

Podniesienie armji przed wojną światową do zadowalniającego stanu jest zasługą ministra wojny, jen. Suchomlinowa i jego wybitnych współpracowników Wielkich Książąt, Mikołaja Mikołajewicza i Sergjusza Michajłowicza. Nie była, coprawda, jak w armji niemieckiej, ustalona i opracowana t. zw. „doktryna“ ²⁾, co było obowiązkiem sztabu jeneralnego. W rezultacie każdy okręg (t. j. armja; było ich 14) miał swoje osobliwości, swoje wymagania i swoje metody. Co było dobre w jednym, to było nieodpowiednie w innym. Zrodziło się niezdrowe współzawodnictwo i wzajemna krytyka. To doprowadziło do tego, że oficer z najlepszymi kwalifikacjami nie mógł być pewnym przy przeniesieniu do innego okręgu, czy będzie tam uznany za odpowiedniego. Jeden z wybitnych generałów wyraził się, że przeniesienie jest tem samem, co przejście do obcej armji.

Brak wspólnej doktryny miał gorsze następstwa, bo oficerowie bez charakteru, ambicji i własnego zdania (cech tak cennych u wojskowego) „urządzali się“ i awansowali, dzięki swym zdolnościom dostosowywania się do wymagań każdego przełożonego. Dostawało się też na wyższe stanowiska dużo ludzi mało wartościowych, ale pochlebców i intrygantów, dbających jedynie o swoją karierę. *Oto przykład.* Przez pewien czas dowodziłem 38 dywizją, wchodzącą w skład XIX korpusu, który, dowodzony przez jen. Gorbatowskiego, bił się znakomicie, tak że wzbudził podziw całej armji. Po pewnym czasie dowództwo z powodu przeniesienia Gorbatowskiego, przejął niejaki jen. Wesołowski; działalność jego bojowa polegała na pisaniu relacyj—poematów, i na urządzaniu w sztabie, co sobotę, koncertów lub przedstawień z udziałem przyjeżdżających aktorów lub artystów. Trzymał też przy sobie żonę, która rzekomo miała być siostrą miłosierdzia.

XIX korpus w r. 1916/17 stał na pozycji pod Dynaburgiem; sztab jego kwaterował w Pohulance, majątku hr. Platera Zyberka ³⁾. Dwie dywizje, (moja i druga, w której brygadjerem ⁴⁾ był ś. p. Listowski, znany w Polsce generał), zajmowały pozycję na lewym brzegu Dźwiny. Pewnego dnia Niemcy wypuścili na moją dywizję gazy trujące, podczas, gdy jen. Wesołowski w tymże czasie słuchał koncertu, później zaś przyglądał się tańcom. Czytelnik może przypuszczać, że koloryzuję. Bynajmniej! Dotąd zachowałem

¹⁾ Drang nach Osten.

²⁾ Ustalenie zasad kształcenia wojska i prowadzenia akcji wojennych.

³⁾ W szeregach mówiono: „W Pohulance można pohulać, a u Wesołowskiego rozweselić się“.

⁴⁾ Faktycznie był pomocnikiem dowódcy dywizji; dowódców brygad wtedy już skasowali.

bilet wejściowy na wszelkie sobotnie zabawy, podpisany osobiście przez samego jen. W. *Nota bene*, prawo wejścia służyło tylko starszyźnie i „fikal-skim“, co wywoływało słuszne oburzenie w szeregach oficerów. Oczywiście, w zabawach udziału nie brałem. Wesołowski przez moich podwładnych dowiadywał się — dlaczego? Nie miałem racji ukrywać przyczyn, uważając, że w rejonie bezpośrednich działań bojowych, gdzie śmierć codziennie kosiła kilkadziesiąt ludzi, wszelkie zabawy były niestosowne, a przebywanie kobiet w sztabie, w atmosferze wesołości i flirtu, w czasie gdy młodsza brać marzła w okopach, było faktem oburzającym. Stąd powstała niechęć jen. W., potem zamiar pozbycia się mnie. Jako powód jen. Wesołowski wysunął moją polskość, ponieważ rzekomo, od czasu objęcia przezemnie dowództwa nad 38-mą dywizją, żołnierze Polacy zaczęli przechodzić na stronę niemiecką ¹⁾. Nie udał się jednak ten fortel!

Niebawem zdarzyło się drugie zajście. Wyższe władze ciągle kładły nacisk na to, by atakować Niemców; nie chodziło tu o duże wypadki, lecz jedynie o zdobywanie jeńców, w celu potwierdzenia i sprawdzenia wiadomości, dostarczanych przez wywiad. Oryginalne było powoływanie się na to, co w tym celu robiono na froncie francuskim. Mówiono, że dosyć jest zbombardować znienacka jakiś punkt pozycji, później położyć zapórę ogniową, a wtedy można wybierać Niemców, jak raki z kobieli. Twierdzono też, że całe takie przedsięwzięcie wymaga pół godziny czasu!

Doświadczeni i uczciwi dowódcy robili takie wypadki niechętnie, pamiętając o przysłowiu: „comparaison n'est pas raison“, a także „quot licet Jowi, non licet bowi“. Rzeczywiście: takie wypadki udawały się Rosjanom tylko w lecie; w zimie, a szczególnie w zimie roku 1916, były dowodem nieznamości rzeczy. W roku 1916 ziemia przemarzała pod Dynaburgiem do głębokości półtora metra, i sam niejednokrotnie sprawdziłem, że nawet 200 mm. pociski w przemarzniętej ziemi robią lejek najwyżej do 50 cm. głębokości. Aby więc rozbić schron wpuszczony w ziemię na 2—3 mtr. i przeważnie umocniony konstrukcją betonową, potrzeba było kilkadziesiąt celnych strzałów, odpowiedniego czasu lub wielkiej ilości bateryj. Mieliśmy działa najwyżej 150 mm., polowe zaś armaty dawały nikłe rezultaty, lub wymagały kilkunastogodzinnej strzelaniny, aby osiągnąć zamierzony cel. Zasadniczo, napady takie udają się, jeżeli są krótkotrwałe, w przeciwnym razie, atakowany szybko się orjentuje i na ogniową zapórę urządza kontr-zapórę, a wtedy atak żadnego dodatniego wyniku dać nie może. Wreszcie wiadomem jest i to, że każde przedsięwzięcie wymaga jednolitego kierownictwa, Wesołowski zaś urządzał takie imprezy pod swoim kierownictwem, ale nie na swoją odpo-

¹⁾ Wtedy ktoś rozrzucał płomienne wezwania do Polaków, zachęcając ich do dezercji, obiecując po przejściu na stronę niemiecką swobodny powrót do domów. Tych, którzy dali się na to złapać, odsyłano do obozów.

wiedzialność, którą łaskawie pozostawiał podwładnym (w danym wypadku mnie) i nie zrażał się ujemnymi wynikami, byle potem sprawozdanie z akcji było pięknie i literacko opracowane.

Po całym szeregu takich nieudanych wypadów, kazano w grudniu 1916 r. właśnie mnie atakować jeden z punktów niemieckiej pozycji. Mróz był trzaskający. Na zapytanie jakie baterje, i ile ich mi dadzą, W. odpowiedział, że dadzą „odpowiednie“, ale ogniem ich miał kierować oficer mnie niepodlegający, a znany mi osobiście jeszcze z roku 1914, jako nieudolny i słaby artylerzysta, w dodatku posiadający zły wzrok¹⁾). Odpisałem niezwłocznie, że atakować każę, ale uprzedzam, że atak się nie uda.

Tak też się i stało! Po *dwugodzinnej* przygotowaniu artyleryjskiem (co również było wskazane przez W.), piechota pod moim kierownictwem poszła do ataku na zupełnie nienaruszone schronisko, z którego, nota-bene, Niemcy zdołali uciec. Na dobitkę jeden nasz pocisk 150 mm. trafił w atakujących. Niemcy urządzili kontr-zaporę ogniową, 19 ludzi mi zabito, a jęńca dostać nie mogłem.

Po skończonej akcji napisałem wyczerpujący raport. Jakież było moje zdziwienie, gdy po dwóch dniach przysłano mi do podpisu sprawozdanie z mojej akcji, skonstruowane w sztabie korpusu. Był to „album pamiątkowy“ z kolorowemi schematami i mocno koloryzowanym opisem wypadków, zupełnie nieodpowiadający rzeczywistości. Podpisu swego odmówiłem. Od tego czasu stosunki między W. a mną zaogniły się jeszcze bardziej, a skończyły się wysunięciem mnie na wyższe stanowisko w armji, w której byłem dobrze znany, jako wróg blagi.

Takich, jak generał Wesołowski, było, niestety, wielu!

*

Już wspomniałem poprzednio, że po wojnie japońskiej zreorganizował armję minister wojny Suchomlinow. Mam o nim odmienne zdanie, niż to, które się utarło, a ponieważ jest ono ujemne, więc masę przyjęły je chętnie. Taki już los wszystkich wybitniejszych ludzi na świecie!

Suchomlinowa dość często widywałem, ale tylko raz dłużej z nim rozmawiałem. W jego zarządzeniach nic nieodpowiedniego nie dostrzegłem. Był to generał, wyróżniający się znacznie z pośród innych energją, rzutkością i wykształceniem. Był mojem zdaniem najlepszy z generałów, jakiego Rosja w danym momencie posiadała na stanowisku ministra wojny.

Rozpoczął on swoje urzędowanie od wyrzucenia przestarzałych dowódców, tamujących normalne odświeżenie kadr i ustalił wiek prekluzyjny; to mu

¹⁾ Niemcy zawdzięczają mu, że pod Łodzią jedna ich dywizja uniknęła zupełnej zagłady, choć sięć dobrze zarzuciłem.

przysporzyło wrogów, którzy nie omieszkali w odpowiednim czasie wyrzucić na nim swojej zemsty. S. przeprowadził ustawę o jawnym udziale czynnika koleżeńskiego w ocenie służbowej wartości oficerów, co było nie tylko dobrem, ale koniecznym a nawet demokratycznym. S. podniósł i zrównał poziom nauk w szkołach wojskowych. Wreszcie przeforsował ustawę, na mocy której na wyższe stanowiska mogli być wysuwani tylko ludzie ze specjalnym wyższym wojskowym wykształceniem, lub z bezsprzecznymi zasługami bojowymi. Wysunął on też kwestję odniemczenia armji.

Te inowacje wzbudziły niepokój, ponieważ poprzednio ludzie, posiadający protekcję, czuli się znacznie pewniej, a nawet bezkarniej, niż ludzie o dużych zdolnościach wojskowych, a poparcia nieposiadających. Niestety Suchomlinow nie zdążył zrealizować wszystkich swych zamierzeń.

Jemu też zawdzięcza Rosja reorganizację artylerji, która w czasie wojny japońskiej wykazała rażące braki. Poprzednicy S. uparcie domagali się ujednostajnienia dział polowych. Wprowadzono zatem armaty jednego kalibru. Tymczasem Japończycy używali w wojnie ruchomej dział różnych kalibrów, nawet 11-calowych, przeciw którym niesposób było walczyć, mając tylko lekkie działa. Obawa posiadania armat różnych kalibrów, datowała się od wojny 1776/7 r., kiedy to, z powodu nieumiejętnego kierowania zaopatrzeniem, baterje, będące w akcji, otrzymywały nieswoje pociski.

Już na kilkanaście lat przed wojną japońską, Niemcy wprowadzili ciężkie działa polowe, wtedy gdy Rosjanie stanowczo walczyli przeciw tej inowacji. Dopiero po klęsce Mukdeńskiej przysłali Kuropatkinowi... jedną baterję 10 cm. moździerzy. Suchomlinow tę bojaźń do większych i urozmaiconych kalibrów przezwyciężył. Niestety, z powodu przeszkód natury finansowej, nie wszystkie korpusy rosyjskie przed wybuchem Wojny Światowej posiadały ciężkie baterje w dostatecznej ilości, co też się stało jedną z przyczyn niepowodzeń przy pierwszych starciach z Niemcami.

Powtórzone również błąd, który zresztą był w armji rosyjskiej sporadycznym. Nie chciano uznać, że każdy krok naprzód w sprawie ulepszenia broni palnej pociąga zwiększenie wydatków na amunicję. W wojnie w 1829 r. w arsenalach posiadano po 25 pocisków na armatę, co okazało się niedostatecznym. W wojnie w 1855 r., kiedy było po 50 pocisków na dział, znowu ich zabrakło. Po niej wprowadzono nowe działa, a liczbę pocisków doprowadzono do 100. W roku zaś 1877 znowu pocisków zabrakło. Wtedy już dokonano postępu znacznego, doprowadzając ilość pocisków do 1000 na dział. Niestety, już w pierwszych bitwach w 1904 roku powtórzyła się ta sama historia. Trzeba było pośpiesznie zamawiać amunicję zagranicą, władze zaś ciągle molestowały szeregi, aby oszczędnie strzelano!

Nie pamiętam, jaki zapas pocisków Rosja posiadała przed wybuchem Wojny Światowej, ale już w listopadzie 1914 r. pocisków zabrakło! Wydano więc rozkaz, że żadna baterja nie ma prawa wystrzelić dziennie więcej

niż 3 pociski na działo; wrazie większego ekspensu, dowódcom odcinków i bateryj groziło oddanie pod sąd. Można sobie wyobrazić, co za następstwa wywołało takie, aczkolwiek nieuniknione, rozporządzenie! Niemcy bezkar- nie wybijali nieszczęsną piechotę i, obiektywnie patrząc, mieli zupełną możliwość, działając tylko ogniem armat, przepędzić armję rosyjską aż za Dniepr. Jednak Niemcom zabrakło śmiałości i decyzji. Prawdopodobnie na- byli szacunku dla Rosjan po bitwach: warszawskiej i łódzkiej. Z drugiej strony trzeba przyznać, że podobny rozkaz mógł tylko wykonać żołnierz ro- syjski i należy podziwiać, że dyscyplina utrzymała go jeszcze w szeregach w latach 1914 i 1915. Żaden inny naród, wystawiony na taką próbę, nie wytrzymałby nawet paru dni! Czy był to dowód głupoty, czy bohaterstwa? Sądzę, że bohaterstwa, którem trzeba było płacić za głupotę udziału w roz- biorach Polski.

Wszystko ma jednak swój kres. Hart duchowy żołnierzy osłabł. Najlepsi wyginęli. W roku 1916 spędzono do szeregów starsze roczniki oraz łazików, kryjących się na tyłach; oni to, ratując swoją skórę, dali chętnie ucho destruk- cyjnej robocie socjalistów, najmitów niemieckich.

Po tem, co tu przedstawiłem i co faktycznie odzwierciadla kwestję zaopa- trzenia artylerji rosyjskiej, nie tak świetnie wyglądają domniemane zwy- cięstwa Niemców. W każdym razie wyższe władze rosyjskie popełniły kardy- nalny błąd, nie chcąc zrozumieć, że i moralne siły ludu rosyjskiego mają swój kres i, raz wyczerpane, nieprędko dają się odnowić, gdyż na to potrze- ba dziesiątków lat. Upojeni zwycięstwami nad Turcją i nawet Napoleonem, Rosjanie nie chcieli się rzec źle uzasadnionego przekonania, że na polu bitwy nie tylko liczba i pogarda śmierci zwycięża. Naturalnie, stan duchowy ma zawsze przewagę, ale należy go ochraniać, co osiąga się użyciem odp- owiednich środków materialnych. Z tych zaś największe znaczenie ma arty- lerja — w szerokim tego pojęcia zrozumieniu. Rosjanie jednak patrzyli na nią, jak na coś nadzwyczaj cennego, ba, nawet cenniejszego od życia ludz- kiego! „Za pocisk i armatę trzeba płacić, a za zabitego żołnierza nie trzeba“... Jeden z takich mędrków (a może kpiarz?) uzasadniał tę tezę z ołówkiem w rę- ku! Według niego armata kosztowała około 5 tys. rubli, t. j. kapitał, który daje rocznie w procencie 250 rub., podczas gdy roczna pensja wdowy po za- bitym żołnierzu wynosi tylko 36 — 120 rubli... Pocisk kosztuje 15 rub.; 3 pociski pokrywają minimalną, a 8 pocisków już maksymalną wdowią pensję! Stąd wnioski: kobiety rodzą darmo, artylerja jest wynalazkiem kosztownym, skarb środków nie posiada, a bić się trzeba. Słano więc biedną piechotę na 42 cm. działa i karabiny maszynowe z kijami w ręku... Działo się tak w końcu 1914 roku i w r. 1915; niestety jest to faktem historycz- nym!

Odpowiedzialność za niezrozumienie faktu, że szybkostrzelna artylerja pochłania olbrzymie ilości amunicji i, że ów ekspens nie jest wynikiem chęci

przytłumienia strachu, lecz asekuracją prężności moralnej szeregów, spada nie na Suchomlinowa, ale na ministra skarbu.

O środki na powiększenie artylerji toczyła się od wojny japońskiej zaciekła walka między ministrami wojny i skarbu; coś niecoś Suchomlinow wskórał, ale było to tylko cząsteczką tego, czego się domagał. Upadek jego był zemstą tych, którym jego reformy szły nie w smak i którzy wykorzystali załamanie się frontu w 1914 roku. Znaleźli kozła ofiarnego!

Suchomlinow wpłynął również na skasowanie fortec na Wiśle, Bugu i Narwi. Brześć, jako forteca — został. System mobilizacji armji rosyjskiej już w r. 1913 znacznie przyśpieszono, fortece nadgraniczne zaś budowano, w celu zatrzymania wkraczającego wroga, aby pod ich osłoną mieć możność zakończyć, wolno odbywające się, doprowadzenie armji do stanu bojowego. Coś tam mówiono jeszcze o lepszych warunkach manewrowania, ale była to błaża. Fortece kosztują olbrzymie sumy. Są one zdolne do dłuższego oporu, gdy nie zawierają w swoim obrębie znacznej liczby ludności cywilnej. Taka np. Warszawa nie stanowiła żadnej wartości bojowej, bo ludność nigdy nie okazałaby chęci do ofiar na rzecz Rosji, więc skasowanie tej operetkowej twierdzy było zupełnie logiczne. Natomiast niezrozumiałe było skasowanie Modlina. Zrobiono poprzednio wiele dla ulepszenia tej twierdzy. Zresztą, główny błąd polegał nie na tem, że Modlin jako fortecę postanowiono skasować, lecz na tem, że po wybuchu wojny cofnięto ową decyzję, już po zakończeniu rozbrojenia Modlina. Znany jest wynik „ordre, contre-ordre, désordre“.

Olbrzymią rolę mógł odegrać Brześć, ale nie zaopatrzone go w stały i pewny garnizon. Działa tej fortecy wystrzeliły niewielką ilość pocisków i to w czasie, kiedy cofającą się w 1915 r. armję zatrzymano chwilowo na linii fortów, niebawem wysadzonych!

Ze wszystkich fortec rosyjskich jedynie Osowiec odegrał pewną rolę. Czy nie lepiej zatem było, miast pakować miliony w budowę i rozbudowę fortec na terenach Polski, utrzymywać o 3 korpusy linjowe więcej lub wybudować jakąś linję kolejową, lub wreszcie, więcej zbudować fabryk amunicji? Niemcy, Francuzi tak właśnie postępowali¹⁾! Czy nie ironją tchną słowa profesora generała-inżyniera Cezarego Qui (1900 r.): „Rozwalanie murów Modlina jest równoznaczne rozciągnięciu miliona rubli kopiejkami“.

*

Zapewne czytelnik zapyta: jeśli Suchomlinow był zdolny, bo zreorganizował armję, żołnierz rosyjski był doskonałym materiałem, a dowództwo naogół zadawałające, to dlaczego Rosja wojnę przegrała.

¹⁾ „Jedna lokomotywa warta tyle, co bataljon na polu bitwy“. (Moltke).

Oczywiście! Na wygranie wojny, pomijając wszelkie ewentualności, można liczyć przy spełnieniu trzech zasadniczych warunków: plan, czas, pieniądze. Plan Suchomlinow miał, ale zabrakło mu czasu na jego przeprowadzenie, gdyż Niemcy spostrzegli rosnące niebezpieczeństwo i wojnę sprowokowali (o czym wyżej). Pozatem, planu nie robi się „na kolanie”. Niemcy opracowywali plan wojny z Rosją od r. 1871, podczas gdy Suchomlinow wziął się do niego na serio dopiero w 1906 r.; przed nim zaś wciąż liczone na odwieczną niemiecko - rosyjską przyjaźń i związaną z nią niemożliwość wojny. Rosjanie pieniądze dawali na armję skąpo, bardzo skąpo, a tylko one mogły przyspieszyć zrealizowanie planu wojny.

Inaczej było u Niemców. Szef armji, jej organizator, działał przez kilkadziesiąt lat ¹⁾, mógł więc plan wojny opracować, a swoje teorie wojskowe sprawdzić naprzód na małych wojnach z Danją i Austrią, potem zaś w wielkiej z Francją ²⁾. Pieniądzy na armję i jej potrzeby Niemcy nie żałowali odwrotnie niż w Rosji; dlatego też Rosja przegrała.

W każdym razie, dzięki Suchomlinowowi, wartość armji rosyjskiej znacznie się podniosła i Niemcy mieli niełatwe zadanie. Rozbić, względnie urządzić „Sedanu” nie potrafili i nie mogli. Gwardja, wojska syberyjskie i kaukaskie niejednokrotnie dały się pierwszorzędnie we znaki ³⁾ wyszkolonym i świetnie zaopatrzonym Niemcom.

¹⁾ Następcy Moltke'go w jego planie wojny mało co zmienili.

²⁾ W 1870 r.

³⁾ Wojska te posiadały już kilka lat przed wojną ciężkie baterje, dla tego też w bitwie pod Warszawą w r. 1914 nie tylko Niemcy nie mogły ich złamać, ale sami zostali pobici. Dopiero brak pocisków stał się przyczyną dalszych niepowodzeń.

WOJNA ŚWIATOWA I PIERWSZE STARCIA

W Łucku przebyłem dwa lata. Nie mogąc uzgodnić swojej pracy z wymaganiami mego dowódcy, widzącego we mnie „proklatawo Polaczyszkę“, poprosiłem o przeniesienie. Przeniesiono mnie do Woroneża. Koledzy sądzili, że zmiana ta nie jest dla mnie pomyślna. Dowódca 7 dywizji, do której zostałem przydzielony, miał być bardzo wymagający względem swego szefa sztabu i rzekomo przeciążał go pracą. Ponieważ był kawalerem, dawało to mu olbrzymi plus w moich oczach.

W armii rosyjskiej istniał przykry zwyczaj, że do stosunków służbowych wtrącały się żony przełożonych. Chcąc pędzić żywot wolny od plotek i intryg, należało zdobyć sympatię tych pań, które normalnie nie wyróżniały się niczem ponad przeciętność. Taką również była małżonka dowódcy 11 dywizji, która wzięła pod opiekę (rzekomo krzywdzonego przeze mnie) adjutanta, nota bene, mojego podwładnego. Ten zaś był leniuchem. Zaczęła się walka, w wyniku której musiałem ustąpić z placu, przeto na nowe stanowisko jechałem z zupełnym spokojem, przekonany, że nie będzie zakusów na moją osobę i moje domowe ognisko ze strony wojowniczo usposobionej płci pięknej.

Rzeczywiście, z nowym dowódcą jen. Butakowym doszedłem bardzo prędko do zupełnego porozumienia i okres wspólnej z nim pracy zaliczam do najprzyjemniejszych w mem życiu. Butakow¹⁾ był człowiekiem rozumnym, zimnym, logicznym i zrównoważonym; od razu odróżniał, co jest pożyteczne dla sprawy prowadzenia dywizji, a co balastem; rozumiał, gdzie kończy się sprawiedliwość, a zaczyna uprzedzenie. Nie był też lubiany przez przełożonych, bo większość pragnęła „coûte que coûte“ komenderować, a nie kierować podwładnymi. Butakow przeciwko temu stale oponował.

Wzięliśmy się do przygotowania dywizji na wypadek wojny, którą się wyczuwało w r. 1912 już całkiem wyraźnie. Dowódcy pułków w 7-ej dywizji dobrali się wyjątkowo szczęśliwie; między nimi był Polak-pułk. Kojaszewski. Jeden z dowódców, niejaki płk. Bogdanowicz, wyróżniający się wielkimi zdolnościami, dokonał podczas wojny nieprzeciętnych czynów. On to, szkoląc żołnierzy, wprowadził t. zw. teatry taktyczne, które umożliwiły rozumne wyszkolenie nawet najmniej rozgarniętych. Przydzielona do dywizji brygada artylerji, brała udział w wojnie japońskiej i znaczna liczba

¹⁾ Był przez długi czas attaché wojskowym w Berlinie.

oficerów, przeszedłszy wtedy szkołę bojową, doskonale znała się na taktyce ognia. Z pośród tych oficerów Wiśniewski i Jastrzębski wstąpili później do wojska polskiego.

Ustaliliśmy, że taktyczne wykształcenie oficerów prowadzić ma w piechocie każdy dowódca pułku, a ja w artylerji. Współpraca między linjowymi artylerzystami a mną ułożyła się doskonale i polegała na wzajemnem zaufaniu. W czasie wojny światowej artylerzyści 7 brygady byli niejako głównymi sprawcami tej masakry, którą 7 dywizja piechoty sprawiła najpierw armji austriackiej, a później niemieckiej.

Zato generałowie (było ich prócz dowódcy trzech) nie wyróżniali się niczem. Jeden z nich był jednak sumiennym wykonawcą zleceń i ujemnego nic o nim powiedzieć nie mogę. Natomiast dwaj pozostali przysparzali dużo kłopotów; jednego z nich z wielkim trudem udało się wyrzucić jeszcze przed wybuchem wojny. Nosił on nazwisko, a może nawet i pochodził od kozackiego atamana Zdanowicza, który w 17 wieku ogniem i mieczem zniszczył Białoruś. Szczególnie antypatyczne było jego zachowanie się w stosunku do podwładnych, od których wymagał służalczości. Drugi zaś generał był malowaną lalką: piękny, młody, ze ślicznymi manierami, prędko uzyskał jeneralski stopień, służąc w gwardji, ale nie widziałem nigdy człowieka o tak słabych nerwach. Na wojnie stracił zupełnie równowagę duchową; po pierwszych krwawych utarczkach znikł gdzieś na tyłach armji.

Wielka szkoda, że 7 dywizja nie ruszyła na wojnę pod dowództwem jen. Butakowa; podał się do dymisji na kilka miesięcy przed jej wybuchem, ponieważ przekroczył wiek prekluzyjny. Żałowałem go, bo był to gentleman, nie znosił leniuchów, szachrajów i mydlaków, t. j. takich typów, z których armja rosyjska z wielkiem mozołem starała się wyzbyć.

Butakowa zastąpił jen. Michno. Z wdzięcznością wspominam i tego dowódcę. Gdy się przekonał, że w dywizji wszystko idzie normalnym trybem, że niema nadużyć, że szkolenie wojska odbywa się wedle zasad nauki, nie zmienił nic i nikomu w pracy nie przeszkadzał. Była to jego największa zasługa, bo zazwyczaj każdy nowy dowódca zaczyna od krytyki i przerabiania wszystkiego, co stworzył jego poprzednik. Takie postępowanie szkodziło; podwładni nie pracowali dla sprawy, a przystosowywali się do upodobań zwierzchników, które były pozbawione często logiki. Dywizja więc pracowała w dalszym ciągu nad swoim wyszkoleniem i w momencie wybuchu wojny stanęła do egzaminu spokojnie i zdała go rzeczywiście wyjątkowo dobrze.

*

W lecie 1914 r. dywizja obozowała pod Tambowem; nikt nie przypuszczał, że wojna wybuchnie. Aż tu nagle 17 lipca otrzymaliśmy telegram, aby niezwłocznie powracać na stałe leża. Po paru godzinach byłem w Woroneżu,

gdzie nas już oczekiwał rozkaz o ogólnej mobilizacji. Oddziały dywizji wykonały ją w zupełnym spokoju i ukończyły w ciągu 4 dni. Ale zgodnie z planem koncentracji, dywizja wyruszyła na teatr wojny dopiero 9 sierpnia.

Osobiście ucieszyłem się z powodu wybuchu wojny. Po otrzymaniu telegramu o mobilizacji jakaś otucha napełniła serce, a nadzieja, że będę świadkiem nadzwyczajnych zdarzeń, ogarnęła mój umysł. Niemców nie lubiłem, Austrię lekceważyłem, a jej rozkwit czy upadek mało mnie wzruszał; zbyt dobrze znałem wszystkie paskudztwa, które zdarzały się w tym państwie. Świadomość tego, że będzie można „poskubać” Niemców podniecała mnie. Lubię wojnę nie dla przyjemności rozlewu krwi, ale z powodu niebezpiecznej pracy w atmosferze ciągłego napięcia. Szkołę teoretyczną oraz praktyczną w r. 1904/5 przeszedłem. Doświadczenie swoje zastosowałem przy wyszkoleniu wojska w dywizji i byłem ciekaw jakie otrzymam wyniki.

Nie twierdzę, że wojna wywołała entuzjazm wśród ludności gubernji Tambowskiej i Woroneżskiej, zamieszkałej przez Rosjan i Ukraińców. Dawało się jednak odczuć jakieś skupienie, jakgdyby przeczucie wielkiego nieszczęścia, mającego niebawem nastąpić. Nie dziwiłem się temu. Prawie przez półtora wieku Rosja z Niemcami nie wojowała; z Austrią na własną rękę też wojen nie prowadziła. Rosjanie uważali Niemców za coś wyższego od siebie oraz za wieczyście wypróbowanych przyjaciół.

Młodzi oficerowie szli na wojnę z widoczną ochotą; natomiast starszyzna, poza nielicznymi wyjątkami, była niepewna, co zresztą też nie było dziwne, bowiem zaczynały się czasy szybkich decyzji, za które płacono się krwią. Rozmaici bohaterowie czasu pokojowego, arcyprzejmcy o marsowych postaciach i t. p. typy, na gwałt zaczęli poszukiwać posad, na których nie groziło im niebezpieczeństwo. Wzbudzało to wstręt, bo nietylko oni, ale i ich rodziny skwapliwie poszukiwały protekcji dla swych mężów, synów lub ojców.

Wielką niespodziankę sprawili oficerowie rezerwy, tak zwykle pogardzani przez armję czynną. W olbrzymim procencie zachowali się bardzo przyzwoicie. Dywizja otrzymała ich około 300; tylko jeden okazał się tchórzem, za co został doraźnie surowo ukarany. Ciekawe, iż typ ten ideowo należał do socjal-demokratów.

Żołnierze czynnej armji, a szczególnie kapitulanci okazali się doskonałym materiałem, natomiast wśród powołanych z rezerwy zdarzyło się kilka przykładów tchórzostwa i przestępstwa. Zaraz po wyładowaniu z wagonów, w rejonie koncentracji, trzeba było zastosować ostre i surowe środki w celu doprowadzenia tej zgrai do porządku. Zdarzyło mi się przyłapać taką bandę na rabunku jakiegoś dworu w okolicach Uściługa; nadszedłem w momencie, kiedy jeden z nich rozbijał już karabinem lustra i pajaki. Na zapytanie, dlaczego to robi, odpowiedział: „panie pułkowniku, jeżeli to wszystko zachować, co jest we dworach, to brać robotnicza po wojnie pracy nie znajdzie”.

Posiew Marksa już wtedy zaczął kielkować! Kazałem całej kompanji wyspać przed gankiem po 50 nahajów. Taki sąd Salomona okazał się skutecznym, bo rabunki ustały.

Dywizja wyładowała się na stacji Maciejów linii Chełm — Kowel. Żadnych przeszkód, ani wypadków w podróży nie było. Podziwiałem sprawność funkcjonowania aparatu kolejowego. Z Maciejowa dywizja wyruszyła na Uściług. Już na drugim przemarszu awangarda natknęła się na podjazd austriackich huzarów, którzy po kilku salwach uciekli.

Maszerowaliśmy jak w ciemnym korytarzu; rosyjska kawalerja, która już w czasie pokoju była zmobilizowana i stała na granicy, gdzieś znikła. Przypuszczaliśmy, że jest przed nami, ale gdzie? Prowadziłem więc dywizję z zastosowaniem wszelkich środków ostrożności; w braku konnicy, obszar moich obserwacji był bardzo ograniczony. Z tego też powodu jakaś austriacka dywizja jazdy, której numeru dziś już nie pamiętam, podczas przemarszu z Uściługu ku południowi, wyszła nam na skrzydło od strony wsi Popadkówka i nieoczekiwanie rozpoczęła ostrzeliwać ogniem armatnim odpoczywające wojsko. Dokładnie zaznaczyła się tu różnica między wojskami, które już były na wojnie, a temi, które jeszcze prochu nie wachały. W piechocie więc wszczęło się zamieszanie, podczas gdy artylerja, jak na mustrze, odprzodkowała się na miejscu i przyjęła walkę. Po kilku minutach ogień trzech moich baterij o tyle opanował sytuację, że zdusił austriacką artylerję i wymiół konnicę z przedpola.

Nie mogę zrozumieć postępowania dowódcy austriackiej dywizji. Przecież złapał nas zupełnie nieprzygotowanych do odparcia napadu (wojska stały długą kiską na drodze i posilały się); zamiast iść natychmiast bez namysłu do ataku, zaczął wstrzeliwać się artylerję i przepuścił okazję do rozegrania cudownego ataku na piechotę i zdobycia przytem sławy!

Po tej utarczce 7 dywizja przeszła przez Bug pod wsią Cynciów, maszerując w kierunku granicy austriackiej, którą też przekroczyła pod wsią Liski. Podczas przemarszu kręciły się przed nami niewielkie oddziały austriackiej jazdy. Wreszcie podczas postoju w Liskach, 26.IX.14, z za miasteczka Korczmin, wysunęła się masa austriackiej kawalerji. Był to świeżo zorganizowany z 6 i 10 austriackiej dywizji korpus jazdy pod jen. Witmanem. Przypuszczam, że wszczął on zaczepną bitwę z nami, tylko dla celów rekonesansowych. Otrzymaawszy porządne lanie, Austriacy, zamiast cofnąć się, skęcili na zachód i pomaszerowali wzdłuż przednich straży dywizji w stronę miasteczka Łaszczów. Wciągnęli się przez to w wąską przestrzeń, znajdującą się między moimi przednimi strażami a długim błotnistym wąwozem, wpadającym do rzeki Huczwy. A że przestrzeń ta wciąż się zwężała ku zachodowi, przeto Austriacy otarli się o nasze przednie stráže.

Nie mogłem wywnioskować do czego dążył jen. Witman. To jednak było jasne, że ani on, ani jego szef sztabu nie zadali sobie trudu, aby zbadać

dokładnie przed akcją mapę, inaczej bowiem nie wleźliby w dziurę. Zetknąwszy się na prawem skrzydle dywizji z pułkiem pułk. Kojaszewskiego, Austriacy wykonali nań atak pod wsią Telatyn. Kojaszewski artylerji nie miał, więc, gdy Austriacy zaczęli nią prażyć, zaalarmował sztab dywizji.

Należało dać austriackiemu generałowi nauczkę, że bez mapy się nie wojuje. W tym celu kazałem zamknąć wyjście z worka, w który wlał korpus, a Kojaszewskiemu sam przyprowadziłem baterję moździerzy. W wyniku bitwy, austriacka jazda została otoczona i prawie doszczętnie zniszczona; nie mogąc się wydostać z worka, rażona wciąż ogniem z dwóch stron, rzuciła się w desperacji ku południowi przez wspomniany wąwóz, z którego wydostać się zdołały jedynie tylko nędzne jej resztki.

Austriacy ponieśli tu taką klęskę, że niektórzy jeźdźcy w panicznej ucieczce oparli się aż pod Krakowem, roznosząc popłoch na tyłach. Opisuje to dowodzący 4 austriacką armją gen. Auffenberg w swych pamiętnikach „Aus O. U. Teilnahme am Weltkrieg“ (stronnica 161 i dalsze).

Za tę bitwę, w której, jak pod Courtrai w 18 wieku, brały udział z jednej strony piechota, działająca zaczepnie, a z drugiej jazda, otrzymałem order św. Jerzego, a co najważniejsze zdobyłem zaufanie w szeregach.

Dalsze działania na austriackim terenie wojennym były poniekąd triumfalnym marszem. Na drugi dzień po bitwie pod Telatynem, zrana awangarda moja wyłapała we wsi Ulchówek resztki jednej z dwóch austriackich dywizji, a po południu okrążyłem i zmiażdżyłem koło wsi Hopki 15 austriacką dywizję piechoty. Wszystko, z dowództwem włącznie, poległo. Niestety, dywizją dowodził gen. (sądząc z nazwiska) Polak; szefem jego sztabu był hr. Aleksander Krystalnik.

Bitwa pod Hopkami tem się różniła od innych, prowadzonych przezemnie, że, okrążając 15 austriacką dywizję, sam byłem przez Austriaków okrążony. Mianowicie z południa podchodziły austriackie rezerwy, a przestrzeń na północ i wschód od Tomaszowa były zajęte przez austriackie wojska.

Bitwa pod Hopkami, łącznie z bitwą 19 korpusu pod Komarowem tak wstrząsnęły dowództwem obydwóch armij, że każda z nich na swoją rękę na gwałt wycofywała się z akcji: Rosjanie umykali pośpiesznie na północ ku Chełmowi, Austriacy zaś uciekali jeszcze szybciej na południe ku swoim pieleszom. Dopiero po wymarszu z Hrubieszowa zdołałem przekonać władze, że dość już tego uciekania. Dowodzący armją gen. Pleve zgodził się, więc zawróciliśmy z powrotem i po kilku dniach zetknęliśmy się znowu pod Tomaszowem z austriacką armją. Część jej zajmowała kompleks gór koło wsi Majdan Górny (na północ od Tomaszowa). Tym kompleksem, stanowiącym klucz austriackiej pozycji, miała zawładnąć 7 dywizja. Zajmował go 2 austriacki korpus, zwany bodaj w czasie pokoju „Deutsch-Meisterami“.

Rozpocząłem atak. Około godziny 10 zrana baterje dywizji były już srodze poturbowane przez austriacką artylerję ciężką. Było źle! Wypro-

siłem baterję moździerz, z którą już pracowałem pod Telatynem; wsadziłem ją do chmielnika tuż za tyraljerę. Austriacy nie zauważyli wciągnięcia tej baterji na pozycję, choć miejscowość po mojej stronie była równa jak stół.

Rosyjskie moździerze były to znakomite działa o dużym zasięgu i znacznym efekcie wybuchu pocisków. Już po półgodzinnem strzelaniu zamilkła austriacka artylerja ciężka, a moje lekkie baterje odżyły; korzystając z tego, piechota poszła do ataku i o godzinie 14-tej pozycja Majdan Górny była w moich rękach. Kilkadzieśiat armat (około 90) w tej liczbie 8 dział 15 cm. i 5 tysięcy jeńców wpadło mi w ręce.

Gdym około godziny 15-tej wyjechał z dowódcą dywizji w celu obejrzenia austriackiej pozycji, zafrapował mnie widok ciężkiej austriackiej baterji, koło której leżały formalne stopy ludzkiego i końskiego mięsa, a wśród tego jedyny, że smutnie spuszczoną głową, ocalały koń. Parę dni potem w Jarosławiu, w kasynie oficerskiem zauważyłem obraz batalistyczny z napisem: „smutny moment z historii austriackiej artylerji“¹⁾, który do złudzenia przypominał to co widziałem na pozycji przy Majdanie Górnym. Z zestawienia faktów wynika, że austriackie „ekscelencje“ nie umiały używać artylerji.

Wzięcie pozycji przy miejscowości Majdan Górny decydująco wpłynęło na sytuację. Droga na Tomaszów i Bełzec była wolna, a prowadziła na tyły armji austriackiej, która pod Rawą Ruską odpierała ataki Rosjan; wojsko austriackie musiało się stamtąd cofnąć. Ściśle mówiąc, rzuciło się do ucieczki. Część wojsk próbowała stawić opór pod Bełzcem, gdy jednak skierowałem pułk na Narol, wszystko czmychnęło...

Nie przypisuję sobie zasługi rozbicia armji austriackiej, która to zasługa całkowicie przypada jen. Mikołajowi Iwanowowi i jego szefowi sztabu jen. Aleksiejewowi; w bitwie tej brało udział 15 korpusów, ja prowadziłem tylko dywizję, ale mnie w udziale wypadło zepchnięcie wojsk austriackich z ich najważniejszych pozycji.

Na drugi dzień po bitwie pod Tomaszowem znowu wpadła mi do rąk jakaś austriacka dywizja, a potem, pod grozą ataku, Austriacy oddali mi Jarosławski „tête de pont“.

Miejscowość, do której po zajęciu Bełzca wkroczyliśmy, zaroїła się od umundurowanych przedstawicieli miejscowej ludności, oczywiście uciekinierów z szeregów. Byli to wieśniacy Rusini i Polacy, którzy się widać nie bardzo kwapili do obrony Austrii. Skąd się więc wzięło pokutujące u nas mniemanie, że wszyscy Austrię kochali? Widocznie przytoczone poprzednio zdanie Rusina²⁾ miało zwolenników i pod panowaniem Habsburgów. Czy rzeczywiście było za co kochać Austrię?

¹⁾ Epizod walki pod Sadową 1866 r.

²⁾ Rozdział VIII. str. 99.

W każdym razie fakty wskazywały, że po bitwie pod Rawą Ruską i Tomaszowem armja austriacka przestała istnieć. Dokładałem wszelkich starań u swych zwierzchników, aby nie zwracając uwagi na nic, ścigać i dobijać resztki. Otrzymywałem stale odpowiedź: „brak organizacji transportów“. Nie było to przekonującym argumentem; jak się później okazało, odmowa opierała się na tem, że wielu generałów rosyjskich zdeзорjentowało się z powodu tak szybkiego zniszczenia armji austriackiej. Przypuszczano, że Austria ma jeszcze silne rezerwy, z którymi poprowadzi kontr-akcję, Rosjanie zaś byli zmęczeni.

Na potwierdzenie mego przypuszczenia, że armja austriacka wtedy nie istniała, posiadam szemat rozlokowania wojsk na froncie armji niemiecko-austriackiego w r. 1916: widać z niego, że tylko dwóch generałów pochodzenia austriackiego dowodziło armjami. Co do wojsk austriackich, to były tam brygady, a najwyżej dywizje, wciśnięte między wojska niemieckie. Później Niemcy wyjaśnili mi, że inaczej być nie mogło, bo wojska austriackie nie wytrzymywały nawet słabego ognia i zdecydowanie uciekały przy najmniejszym nacisku.

*

Za atak pod Majdanem Górnym otrzymałem złotą szablę, najwyższą nagrodę za waleczność. Zdobyłem też rozgłos, co zdecydowało o dalszej mojej karierze. W czasie pokoju wyczuwałem, że nie bardzo mi wierzone, nawet mało lubiano. Być może, powodem tego było moje pochodzenie. Miałem kilka ostrych zajęć z przełożonymi i wyższymi władzami cywilnymi. Byłem względem podwładnych wymagającym i mam wrażenie, że lękano się mnie. Musiałem trzymać się w stałym napięciu. Jednak już przed wojną światową wyrobiłem sobie opinię dobrego oficera, co widać z zawsze wybitnych relacji o mnie. W czasie wojny poznali mnie i Niemcy.

XI

WALKA O WARSZAWĘ

Po bitwie pod Rawą Ruską i Tomaszowem, czyli po tak zwanej wielkiej bitwie galicyjskiej, Rosjanie popełnili błąd. Należało pchnąć na Węgry całą jazdę. Temu Austria nie mogła przeszkodzić: przełęcz karpackie, wiodące na nizinę węgierską szczególnie od strony Bukowiny, stały otworem.

Rosja posiadała ponad 40 dywizyj jazdy; żeby choć jedną czwartą tej masy, odpowiednio popartej piechotą, rzucić na Węgry! Przecież Węgry były jedyną wartościową częścią monarchji austriackiej i zapewne niezwłocznie zawarłyby osobny rozejm. Niestety wszystko co tchnęło śmielszym czynem, lub najniższem ryzykiem, napotykało na sprzeciw wśród starszych dowódców. Dlatego też Rosjanie ograniczyli się jedynie do powolnego wypierania resztek armji austriacko-węgierskiej wzdłuż korytarza, między Wisłą a Karpatai, zamykając tylko przełęczę przez „Karpacką podkowę“. Brak decyzji kosztował Rosję później, w roku 1915, bardzo drogo.

Nie warto było utrzymywać w czasie pokoju takiej masy kawalerji, doprowadzić jej wyszkolenie i zaopatrzenie do doskonałości, wiele pisać o korzyściach odpowiedniego jej użycia, żeby po rozbiciu armji austriackiej nie wiedzieć co z tą jazdą robić! Po unieruchomieniu armji cała kawalerja rosyjska beczynnie stacjonowała na tyłach.

Historja kawalerji, to historja jej wodzów. Żadne z państw wojujących nie posiadało wybitnych generałów jazdy. W początku wojny, rosyjski generał hr. Keller, dowódca 10 dywizji, zniósł pod Wołczkowcami 1 austriacką dywizję, prowadzoną przez jen. Zarembe. Na tym przykładzie kończy się działalność jazdy w większej skali.

W Rosji, i nie tylko w Rosji, na oficerskie stanowiska w jeździe cisnęli się wszyscy; ale dostawali się do niej tylko utytułowani, albo ludzie bogaci. Materiał ludzki i koński Rosjanie mieli wyborny. Ale ileż to razy na manewrach obserwowałem, że kawalerja nie brała udziału w akcji, bo... „konie mogły się zmęczyć i spać z ciała“! W czasie wojny kontynuowano to, do czego się przyzwyczajono podczas pokoju. Wprawdzie bardzo wiele zrobił dla jazdy W. ks. Mikołaj, który przede wszystkim wyrzucił utytułowanych pierników, ale i on, mimo swej wszechpotęgi, wodzów stworzyć nie mógł.

Austriacką kawalerję dosadnie określił jen. Auffenberg w swych pamiętnikach, mówiąc o niej: „Zawsze tylko konna jazda i ujeżdżanie koni“, t. j. sport, a poza tem nic...

Z kawalerją niemiecką miałem bezpośrednio do czynienia pod Łodzią.

Zrobiła na mnie wrażenie „śpiących jeźdźców“ na dobrych koniach. Ale Niemcy przynajmniej od czasu do czasu umieli jazdy używać. Zresztą i oni starannie unikali starć z kawalerją rosyjską, czego o jeździe austriackiej powiedzieć nie mogę. Rosjanie natomiast zawsze skwapliwie szukali starć z jazdą przeciwnika.

Niemcy, z kawalerji których Rosjanie sobie pokpiwali, i która rzeczywiście, w porównaniu nawet z austriacką, mało była warta, dali przykłady, co może osiągnąć jazda odpowiednio skierowana i dobrze dowodzona. Mam tu na myśli przerwanie w r. 1915 frontu Rosjan koło Mołodeczna i wypadek szwadronu na tyły, podczas bitwy pod Łodzią (koło stacji Koluszki). Wypadek ten wpłynął ujemnie na wynik tej bitwy dla Rosjan. Obecnie najlepszą jazdę, choć nieliczną, posiadają Niemcy.

Jazda nie tylko nie jest obecnie anachronizmem, jak czasami twierdzą, ale jej znaczenie nawet wzrosło i to państwo, które na kawalerję nie zwraca należytej uwagi, w przyszłości drogo za swą krótkowzroczność zapłaci.

Aby jazda mogła należycie wykonywać swe zadanie trzeba niewiele: dobrego konia, którego łatwo dostarczyć może rolnictwo¹⁾, odpowiednio wykształconych wyższych dowódców, doboru oficerów i żołnierzy, oraz służby w szeregach nie krótszej, niż cztery lata. Dla łalusiów, ułanów z „Ziemiańskiej“ i paniczyków, pobrzękujących tylko ostrogami, miejsca tam niema. Nie powinni także wtrącać się w sprawy jazdy ekscelencje, którzy konia nie znają, albo posiadają „brzuski“, wskutek czego unikają dosiadania konia i oglądają podległe im oddziały tylko na placach koszarowych; również nie nadają się do jazdy warjaci, którzy umieją tylko rzucać jazdę do ataku dla samego efektu, bez wyrozumienia czasu, miejsca i okoliczności. Tacy niech lepiej zajmą posady w instytucjach Krzyża, tego lub innego koloru, lub niechaj pełnią obowiązki osobistych adjutantów przy dygnitarzach.

Rozlokowanie jazdy w czasie pokoju, ma wielki wpływ na odpowiednie jej wychowanie. Koń i jeździec na bruku są niedorzecznością. Jazda stać powinna w „niedźwiedzych kątach“, gdzie jest dużo czasu i miejsca do pracy nad sobą i koniem a nie po miastach, w atmosferze dekolców i awantur pod wpływem wina. Garnizonowanie w zapadłych kątach nie jest rzeczą przyjemną, ale... albo flirt w czasie pokoju, albo bezpieczeństwo w czasie wojny!

Nie trzeba też przesadzać w znaczeniu końskiego sportu, ograniczonego do brania przeszkód. Nie widziałem w czasie wojny jazdy, skaczącej przez nadmiernej wysokości barjery. Jeżeli na ujeżdżalni 10 jeźdźców weźmie kilka lub kilkanaście karkołomnych przeszkód, to nie poprawi przez to wartości jazdy jako całości, a odwrotnie może poważnie jej zaszkodzić.

*

¹⁾ Nie przygnębione reformą rolną.

Po bitwie pod Tomaszowem, posuwając się żółtym krokiem naprzód w składzie 5-tej armji, dywizja moja doszła do Przeworska. Cały miesiąc był stracony! Tymczasem Niemcy, zebrawszy jakie takie siły z Hindenburgiem i Ludendorffem na czele, a chcąc ratować Austrię, uderzyły w kierunku Łódź — Warszawa, co z punktu widzenia ściśle wojskowego, nie było dla Rosji niebezpieczne. Jednak ze względów politycznych Rosji, utrzymanie Warszawy było koniecznością. Na dobitkę, przestrzeń na południe od odcinka Wisły: Płock — Toruń i na zachód od linii kolei wiedeńskiej, była słabo obserwowana; to wpłynęło na przecenienie niemieckiego manewru.

Ratując Warszawę, Rosianie przewieźli w szybkim tempie 1-szy i 2-gi syberyjski korpus, przesunęli względnie przeformowali pierwszą armję *Rennenkampfa* i drugą *Szejdemana* oraz przerzucili z Galicji 5-ą armję, w skład której i ja wchodziłem.

Ponieważ żadnej kolei ani szosy z południa na północ nie było, więc 5-ta armja musiała „*per pedes apostolorum*“ walić około 300 klm. Wydano kategoryczny rozkaz maszerowania bez względu na dzień i noc, aby zdążyć na czas. Była późna jesień, roztopy straszne, deszcz i chłód. Wojska, dobywając resztek sił, przecinając tyły armij Ewerta i Leczyckiego, po 4 dniach marszu dotarły do Wilgi poniżej Magnuszewa. Tu nas zatrzymano.

Gdyśmy stanęli w otwartym polu, wszystkie konie w artylerji oraz w taborach pokładły się w błocie i żadna siła nie była w stanie ich podnieść. Karmiono je na leżąco. Stan taki trwał przez parę dni. Przez ten czas niemiecka artylerja ostrzeliwała nas z lewego brzegu Wisły.

O tem, co się działo pod Warszawą, oraz na lewym brzegu Wisły, nie miałem wiadomości, prócz tej, że Niemcy atakują Dęblin. Wybrałem kilku zuchów i przepравиłem ich na łódce przez Wisłę celem zdobycia wiadomości. Wyprawa się udała i przywieziono mi podoficera i żołnierza, zdaje się z 1-go austriackiego pułku ułanów. Dali się oni złapać, dzięki padmiernej ufności w Wisłę, która ich od nas odgradzała. Wywiad z nimi wyjaśnił mi nieco sytuację. Dowiedziałem się, że do niemieckiej armji dodano austriacką jazdę i że Niemcy doszli już do linii Wisły.

I taka wiadomość była też dobra. Niebawem kazano mi przejść przez Wisłę naprzeciw Góry Kalwarji po moście, który miałem sam wybudować. Wziąłem się do roboty, wyrabując wszystkie drzewa w najbliższej okolicy, oraz rozbierając szopy i stodoły. Żał mi było wieśniaków, którzy ze łzami w oczach, milcząc, patrzyli na niszczenie ich dobytku. Ale na wojnie, jak na wojnie! Po 24 godzinach most był gotów. W tym czasie ciągle słyszałem gwałtowną kanonadę, gdzieś od strony Warki; zaraz więc po wybudowaniu mostu, przepравиłem przez Wisłę dwa pułki z jedną baterją. Wkrótce nadszedł rozkaz wysłania tychże oddziałów na prawy brzeg Pilicy, celem uderzenia na lewe skrzydło Niemców, atakujących Dęblin; następnie przyszedł drugi rozkaz skoncentrowania całej dywizji pod Warką. Tymczasem wysła-

ne naprzód pułki przeszły na prawy brzeg Pilicy, ale jakiś oddział rosyjskiej kawalerji, cofając się ku Warszawie, zniszczył most na Warce. Sytuacja tedy stała się krytyczną. Niemcy parli na armję Ewerta. Zabrawszy ze sobą cieślę saperską, wyjechałem automobilem drogą z Góry Kalwarji do Warki. Tu kazałem zebrać wszystkich okolicznych cieśli w celu odbudowy zniszczonego mostu, sam zaś, po przerzuconej belce przeszedłem na prawy brzeg Pilicy, gdzie też zastałem pułki z mojej dywizji w ciężkiej sytuacji. Bateria moja była silnie przetrzebiona, dowodzący zaś brygadą generał oświadczył mi, że, nie mogąc się utrzymać, musi się cofnąć, ale nie wie jak to zrobić z powodu braku mostu...

Było to pierwsze zetknięcie się z Niemcami, od wyniku którego uzależnionem było zachowanie moralnej sprężystości wojska. Takie niezrozumienie sytuacji rozwścieczyło mnie. Zwymyślałem więc zupełnie niecenzuralnie i generałów i pułkowników i w imieniu dowódcy dywizji rozkazałem walczyć, choćby miał zginąć ostatni żołnierz.

Pułki zajmowały pozycję pod wsią Boże. Dziwnym zbiegiem okoliczności walka toczyła się na temże samem miejscu, gdzie Czarniecki odniósł zwycięstwo nad Szwedami. Pomimo kilkakrotnych ataków nieprzyjaciela, piechota utrzymała swoje stanowiska. Tymczasem pozostałe oddziały dywizji, przeprawiające się przez Wisłę, nadchodziły od strony Góry Kalwarji.

Cieśle z Warki pracowali przez całą noc; na rano most był już gotów, a tem samem, położenie moje znacznie się poprawiło. Niezwłocznie przetrąciłem na prawy brzeg jeszcze jeden pułk z dwiema baterjami, które zresztą wiele pomóc nie mogły, bo okolica była lesista. Czwarty pułk z ciężką baterją skierowałem wzdłuż lewego brzegu Pilicy z rozkazem jak najdalejszego posuwania się na zachód, w zależności od linii toczącej się walki między Niemcami a syberyjskimi korpusami pod Warszawą, potem — przeprawienia się na lewy brzeg Pilicy i wyjścia na tyły armji niemieckiej, atakującej Dęblin. Tego dnia pod Warką Niemcy dwukrotnie atakowali. Od wziętych jeńców dowiedziałem się, że mam do czynienia z oddziałami 2-go rezerwowego korpusu niemieckiej gwardji.

Zjawienie się tegoż dnia wieczorem mojego pułku na tyłach niemieckich (na południe i wschód od Białobrzegu), oraz ogień ciężkiej baterji sprawiło na Niemcach piorunujące wrażenie. Niemcy rzucili się do ucieczki, pozostawiając w naszych rękach sztab korpusu. Prawda, kierownictwo sztabu zdążyło czmychnąć, ale ordynansi, telefoniści, motocykliści etc. „w komplecie“ dostali się do niewoli.

Na dowód, że z Niemcami było krucho pod Warszawą i że „furor teutonicus“ srodze się wyczerpał, podaję fakt następujący. Jeńcy niemieccy, jacyś poczciwi, olbrzymiej tuszy, „bürgerzy“ rozplakali się, gdy ich do mnie przyprowadzono. Na zapytanie, dlaczego płaczą, odpowiedzieli: „unsere arme

Familie“; przy dalszym badaniu wyjaśnili, że już wtedy w Niemczech trudno było o żywność.

Bitwa pod Bożem i Boską Wolą (wsie na południowy zachód od Warki) tak, jak i bitwa syberyjskich korpusów pod Nadażynem, uratowały Dęblin i Warszawę. Armje niemieckie, operujące na południe od Pilicy gwałtownie się cofnęły; nie mogłem ich dopędzić. Przerażona przez Niemców ludność miejscowa spotykała nas jak wybawicieli i opowiadała niesłychane rzeczy o postępowaniu nieprzyjaciela.

Prowadziłem dalej dywizję na Wolborz i Widawę, ciesząc się, że wkrótce dojdę do ziemi „ur-deutsch“, gdzieś koło Bierutowa lub Oleśnicy. Niestety zostało to tylko marzeniem...

*

Po wyratowaniu Warszawy, Rosjanie postanowili wkroczyć w granice Niemiec. W tym celu skoncentrowali armje: 1-ą Rennenkampfa w okolicach Łowicza, 2-ą Szejdemana w okolicach Łodzi, nakoniec 5-ą von Pleve'go w okolicach Piotrkowa. Czyż nie znamienny jest ten fakt, że trzema armjami dowodzili Niemcy!

Wszystko, jak te trzy armje mają się posuwać, rzekomo było przewidziane. Tymczasem Rennenkampf opóźnia wymarsz o dwa dni, podczas, gdy Szejdeman wysuwa się naprzód na Łódź, mając Pleve'go za swoim lewym skrzydłem.

Niemcy, po porażce pod Warszawą zorjentowawszy się, że jest z nimi źle, miast uciekać na Poznań, z nadzwyczajną szybkością wycofali się w kierunku na Toruń, zajmując niejako oskrzydłającą Rosjan pozycję. Był to manewr świetny pod każdym względem. Przedewszystkiem Niemcy dali możliwość swoim wojskom ochłonąć z porażki, co przez Rosjan, czepiających się zwykle byle jakich obiektów terenowych, nigdy nie było stosowane. Powtóre, Niemcy zrozumieli, że dążnością Rosjan jest zajęcie północnej części Śląska, przez co zamknięty byłby dla Niemców dostęp do źródła ich siły (przemysł). Cofając się ku Toruniowi, stawali na skrzydle spodziewanej ofensywy rosyjskiej. Nie czekali jednak chwili wkroczenia Rosjan w granice Niemiec, a, wysunawszy zasłony przeciw Rennenkampfowi, przeważającymi siłami wpadli na Szejdemana, oskrzydłując go od północy. W wyniku tej akcji, łączność 2-giej i 1-ej armji oraz sztabu „grupy rosyjskich armji“ została przerwana. Rosjanie jednak szybko się zorjentowali i pchnęli kilka dywizyj w stronę Łodzi, zaś część armji Pleve'go rzucili z południa ku północy przeciw Niemcom, oskrzydłującym 2-gą armję.

Armja Szejdemana biła się wyśmienicie, bo w skład jej weszły syberyjskie i turkiestańskie korpusy. Był moment, kiedy front tej armji tworzył koło, z Łodzią w centrum.

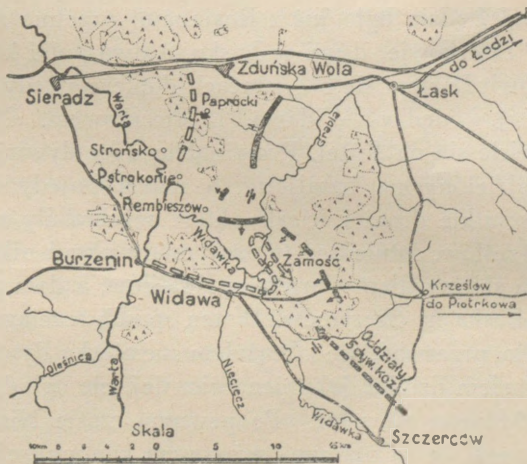
Wojska rosyjskie skierowane, jak wyżej powiedziałem, ku Łodzi, zetknę-

ły się z korpusami niemieckimi, otaczającymi Łódź od wschodu. Niestety te wojska były przeważnie drugorzędnej wartości i z należytą energią nie parły, podczas gdy oddziały armji Pleve'go, skierowane od Piotrkowa na północ, nacisnęły Niemców mocno. Znajdowały się tu dwa niemieckie korpusy. Na ich szczęście brak energii ze strony rosyjskich oddziałów, maszerujących ze wschodu, pozwolił im wymknąć się, choć tylko częściowo z matni ¹⁾. W każdym razie Niemców drogo kosztowała zbytnia śmiałość, ale zaszczepili u Rosjan dla siebie szacunek. Po tej bitwie większość rosyjskich dowódców nie wykazywała chęci do walki z Niemcami.

*

W czasie gdy toczyła się główna bitwa pod Łodzią, do dyspozycji dowodzącego armją, jen. Pleve'go, pozostała tylko moja dywizja. Niemcy przypuszczając, że ich wojska, skierowane dla oskrzydlenia Szejdemana, doszły już do Piotrkowa, wysłali ²⁾ na spotkanie naprzód brygadę jen. von Paczeńskiego (też nie Polak), a później dywizję przez Bużenin i Widawę ku Piotrkowowi. Gdyby zamierzony manewr był się udał, to nie tylko druga, ale i piąta armja zostałyby okrążone. Przewidując ewentualność takiego wypadku, Pleve rozkazał mi zabezpieczyć swoje lewe skrzydło i tyły na przestrzeni między Łaskiem i Szczercowem, jednocześnie zaś pozostać jego rezerwą.

Takie zadania, przy wyżej określonej sytuacji, wzajemnie się wykluczały, chociaż, na południe od Szczercowa błakały się gdzieś resztki piątej dywizji kozaków, z którą miałem wejść w kontakt. Wyczuwało się, że wyższe dowództwo było zdezorientowane przebiegiem walki w okolicach Łodzi, więc wyraźnych celów nie stawiało. Np., gdy pewnego dnia zameldowałem, iż niemieckie wojska doszły już do połowy drogi między Widawą a Piotrkowem i za-



Szkic bitwy pod Zamościem.

pytałem, co mam robić, otrzymałem odpowiedź: „rób pan, co chcesz“.

Czułem się zawsze pewniej, gdy nie miałem na skrzydłach innych, nie podlegających mi oddziałów, które zwykle nietyle pomagają, ile wymagają

¹⁾ Porównaj rozdział V, str. 55.

²⁾ Od strony Sieradza.

stałego doglądu, czy aby w krytycznych momentach nie cofają się. W danym wypadku miałem zupełną swobodę ruchów i to uratowało sytuację.

Brygada von Paczeńskiego, maszerując od Bużenina na Widawę, wysunęła jakąś jazdę między Łaskiem a Widawą. Wtedy jednym pułkiem piechoty zebrałem niemiecką kawalerję ku Sieradzowi, a drugi pułk z baterją, skierowałem w widły, które tworzą, błotnista rzeczka Grabia i rzeka Widawka; kilka zaś kompanij z karabinami maszynowemi wysłałem na wschodni brzeg Grabi z rozkazem rozciągnięcia się w jak najszerszą linję.

Czy przez niedostateczną orientację, czy też w przypuszczeniu, że rzeka Warta i Widawka dostatecznie zabezpieczają tyły i lewe skrzydło, jen. von Paczeński dał się wciągnąć w zasadzkę: przeszedł przez Widawkę pod miastem Widawą, a dalej i przez Grabię koło dworu Zamościa, kierując się jawnie na moje tyły. Tymczasem kompanje, wysłane na wschodni brzeg Grabi, wyszły Niemcom na tyły i odcięły im drogę przy Zamościu. Wzięty w krzyżowy ogień, biedny von Paczeński zostawił na polu bitwy prawie cały skład osobowy swych wojsk. Gdym po skończonej walce objeżdżał pole, miałem wrażenie, że trafiłem na „Psie Pole“ — taka masa była tu trupów. Uczestnikiem po stronie niemieckiej był, żyjący dotychczas, major W. P. Seyda, który opowiadał mi swoje wrażenie o tej bitwie.

Unicestwienie brygady Paczeńskiego nie ostudziło zamiarów niemieckiego dowództwa. Niebawem Niemcy wysłali przez Widawę na Piotrków dywizję. Pod Łodzią było już z Rosjanami zupełnie źle. Wtedy jeden pułk mój stał w Piotrkowie, drugi w Łasku, a dwa pułki koło Zamościa. Nie mając jazdy, dowiedziałem się o Niemcach dopiero wtedy, gdy ci byli już w Krześławie, t. j. między Widawą i Piotrkowem. Nie było innego wyjścia, jak puścić się na fortel. Rozwinąłem więc dywizję w taki sposób, że jeden pułk podzielony na bataljony, a nawet pojedyncze kompanje, skierowałem na wszystkie drogi i ścieżki, które wychodziły z północy na drogę Widawa — Krześłów. Istniejące tu lasy miały ukryć nikłość moich sił. Pułk z Piotrkowa skierowałem wprost na Krześłów, a dwa pozostałe pułki pchnąłem drogą z Łaska na Szczerców. W ten sposób rozciągnąłem szeroką sieć, którą łatwo było przerwać, ale okrążyłem niemiecką dywizję. Wszystkim oddziałom rozkazałem działać jaknajenergiczniej, nie oglądając się na sąsiadów.

Manewr się udał. Po pewnym czasie Niemcy, mając trochę jazdy, spostrzegli, że są otaczani, a przytem komunikacja ich z Widawą może być lada chwila przecięta; a gdy trzy pułki z mojej dywizji nacisnęły na nich koło Krześłowa, szybko się cofnęli na Szczerców. Wpadło mi do rąk tylko trochę jeńców. Miałem wtedy do pomocy kpt. sztabu jeneralnego Lesewickiego, który był tak zachwycony i koncepcją i wykonaniem manewru, że oświadczył, iż dążąc sam do kariery wojskowo-profesorskiej, ten manewr poda jako wzór działania.

Pytałem się jen. Hoffmana w r. 1918, kto dowodził ową dywizją, która tak

łatwo się dała okrażyć. Chociaż o samym fakcie doskonale wiedział, odpowiedź dał jednak dość wymijającą.

*

W czasie mych operacyj w okolicach Łaska wydarzył się epizod, ilustrujący jak dobrze Niemcy byli o wszystkim poinformowani. Jednego dnia dodano mi 29 pułk kozaków, któremu kazałem wystawić czaty na przestrzeni od miejscowości Paprockie Huby (na południe od Zduńskiej Woli) do skrzyżowania szos koło wsi Pstrokonie. Wieś tę zajęła secina kozaków. Było to w przeddzień bitwy z von Paczeńskim. Całą uwagę kozacy skierowali na zachód w stronę Sieradza. Zduńską Wolę zajmowali Niemcy, a von Paczeński maszerował do Widawy.

Nieoczekiwanie ze Zduńskiej Woli wypadły dwa eleganckie samochody, mknąc na pełnym gazie ku Pstrokoniom, t. j. wzdłuż linii kozackich przednich straży; czaty na prawem skrzydle nie zorientowały się kto jedzie i dopiero przy Zygmuntowie jakiś kozak, zauważywszy pikelhauby, dał ognia. Wówczas cała linja zaczęła strzelać do mknących automobili, nie robiąc im zresztą szkody. Jednak kozacy w Pstrokoniach zdążyli przegrodzić szosę grubą belką na zakręcie w stronę Rębieszowa. Niemcy, dopadłszy Pstrokoń, skręcili na lewo na Rębieszów, lecz spostrzegłszy przeszkodę, z zupełnie zimną krwią, zawrócili pod ogniem i pomknęli w stronę Sieradza. Byliby może uciekli, ale przy karczmie Strońsko pluton kozacki, zaczajony w rowie, dał salwę, po której oba automobile gwałtownie się zatrzymały. Z jednego wyskoczył, sądząc z płaszcza, jakiś generał i rzucił się do ucieczki w stronę brzegu Warty. Kozacy, zamiast go ścigać, zaczęli plądrować w samochodach, gdzie prócz 7 ciał i teczek z papierami nic nie znaleźli. Dopiero po pewnym czasie wszczęli poszukiwanie zbiega. Niestety nie znaleźli go; albo się ukrył w krzakach, albo poprostu uciekł.

Gdy mi tekę oddano, znalazłem w niej meldunek dla dowodzącego niemiecką armją, t. j. jen. Hindenburga, z wykazem wszystkich oddziałów niemieckich oraz prawie wszystkich rosyjskich, operujących pod Łodzią. Na marginesie w jednym miejscu była adnotacja: wo ist „piataja Donskaja“? Właśnie jeden pułk tej dywizji był czasowo oddany do mej dyspozycji. Posiadanie takiego dokumentu było więcej warte, niż wzięcie do niewoli niemieckiego generała. Dopytywałem się też jen. Hoffmana, kto wiozł ten cenny papier, jednak ten nie dał mi i na to odpowiedzi.

Wynik bitwy pod Łodzią jest wiadomy: Rosjanie musieli cofnąć się na linję Bzury i Rawki. Wysiłki i sukcesy, które 7 dywizja osiągnęła, przepadły. Ale i Niemcy byli srodze przetrzepani. O dalszych krokach zaczepnych myśleć nie mogli, zato wykorzystali przewagę ogniową, posiadając ogromne zapasy pocisków, których w armji rosyjskiej już w bitwie pod Łodzią zabrakło.

Po łódzkiej epopei mianowano mnie dowódcą 14 pułku strzelców syberyjskich. Szczątki tego pułku odnalazłem koło wsi Bartniki, gdzieś na południe od Bolimowa. Objąłem dowództwo nad 3 oficerami i 400 żołnierzami; reszta, t. j. przeszło 50 oficerów i 4 tysiące żołnierzy, poległa w bitwie pod Warszawą i Łodzią.

O szybkim uzupełnieniu luk, szczególnie w kadrach oficerskich, mowy być nie mogło. Co do żołnierzy, to dopiero po długim oczekiwaniu przysłano część uzupełnień, coś około tysiąca ludzi.

Oficerów kazano samemu sobie „nafabrykować“, przedstawiając do awansu najlepszych z pośród ocalałych podoficerów. Między nimi znalazło się sześciu odpowiednich i wolontariusz Gustaw Paszkiewicz, dobrze dziś znany w Polsce.

Na Rawce pułk zajął odcinek pozycji na południe od Bolimowa. Dodano mi trzy baterje z zastrzeżeniem, że nie mam prawa użyć dziennie więcej, niż trzy pociski na armatę, inaczej grożono oddaniem pod sąd. Niemcy zaś sypali i sypali pociskami, nie żałując sobie na taki naprz. zbytek, jak koszenie lasu zapomocą artylerji.

Cóż miałem robić? Zakopywałem się w ziemię i byłem świadkiem, jak pop codziennie grzebał po kilkadziesiąt trupów. Musiałem występować w roli apostoła, który chodził po okopach, podtrzymując ducha i pocieszając nieszczęśliwą szarą masę żołnierską. Biedacy płacili życiem za błędy czynników kierujących. Jednocześnie stosowałem drakońskie środki w celu utrzymania dyscypliny. Miałem wśród mych oddziałów jedną kompanję Estończyków (o nich wraz z ich dowódcą podpor. Wachtrome muszę się wyrazić z całkowitem uznaniem), oraz dwie kompanje Łotyszów, kilkunastu Polaków i jednego Żydka.

W lutym 1915 r. pułk mój, wchodzący w skład 2 syberyjskiego korpusu, przerzucono na północ od Warszawy, do ataku pod Przasnyszem. Tam, przy forsowaniu rzeki Orzyc, pod wsią Podosie, trafiłem pod ogień karabinów maszynowych i dostałem pięć kul w lewą nogę, na szczęście tylko w mięśnie. Rannego wydostano mnie z pola bitwy i odwieziono do Ostrołęki, skąd dalej pociągiem sanitarnym do Moskwy. Atak jednak się udał: pułk wziął dwie baterje i ośmiuset jeńców ¹⁾.

Kiedy w pociągu sanitarnym rozebrałem się i położyłem na sprężynowym tapczanie, doznałem błogiego uczucia. Od początku wojny spałem zaledwie po parę godzin na dobę, przeważnie na ziemi. Z ran bardzo prędko się wyliżałem. Po powrocie na teatr wojny znalazłem swój pułk na pozycji na południe od Przasnysza.

Sytuacja, od chwili mojego wyjazdu z pułku, mało się zmieniła: ten sam brak pocisków i ten sam brak oficerów; zato uzupełnienia żołnierskie nad-

¹⁾ Za ten atak otrzymałem order angielski „Łażni“.

chodziły bez przerwy. Nic godnego uwagi od początku lata 1915 r., na pozycji mojej się nie zdarzyło. Zakopywaliśmy się tylko coraz lepiej, co było koniecznem, bo pozycje niemieckie dominowały nad mojemi.

W początku lata zaczęły dochodzić wiadomości o niepowodzeniach na galicyjskim froncie, aż pięknego poranku ściągnięto korpus nasz z pozycji i przewieziono do Chełma. Stąd pomaszerowaliśmy w kierunku Janowa. Było już wtedy zupełnie źle w Galicji: Niemcy wyrzucili z niej Rosjan. Armje cofały się w nieładzie, pozostawiając jeńców, broń, materiały i zapasy. Morze ognia towarzyszyło temu odwrotowi. Palily się składy, wsie i miasteczka. Forsownie ewakuowano Warszawę. Tylko świadek tego, co się wtedy działo, może zrozumieć, jak ciężką sprawą jest odwrót, kiedy nietylko brakuje pocisków, ale karabinów i amunicji.

Już po kilku starciach stało się jasnem, że Rosjanie dotąd będą musieli cofać się, dokąd Niemcy zechcą.

2-gi syberyjski korpus poraz pierwszy zetknął się z Niemcami pod Turobinem; z powodu braku pocisków cofnął się i dalej, wraz z innymi korpusami, cofał się stale. Rozprężenie było ogromne. Nic w tem dziwnego, bo cóż było można zrobić w tak opłakanych warunkach, jak wyżej wskazałem. Spoistości w armji również brakowało; dwukrotnie byłem świadkiem, kiedy władze wyższe zarządzały wstrzymanie odwrotu i przejście do kontr-ataku. Gdy niektóre oddziały stawały do walki, sąsiednie, po pierwszym strzale gwałtownie się cofały. Raz o mało co nie dostałem się z tego powodu do niewoli.

Żywności także brakowało: intendentura dywizji, z podpułk. Wędziagolskim¹⁾, na czele, skwapliwie uciekała pierwsza, żeby nic nie robić. Wkrótce też władze, widząc bezcelowość cofania całym frontem, zarządziły czynić to poszczególnym korpusom pod ochroną arrier-gardy. Mój pułk, jako najpewniejszy, wysunięto do niej. Odtąd w ciągu trzech tygodni biłem się codziennie, a nie mając co jeść, zagroziłem wyższym władzom, że o ile mi nie dostarczą chleba, wyślę telegram do cesarza, na co, jako dowódca pułku, miałem prawo. Poskutkowało... Przez dwa dni chleb mi dostarczono, następnie znowu nie.

Dodano mi trzy baterje... z 75 pociskami; kazałem je oddać jednej baterji, a pozostałe baterje odesłałem do trenów.

Jak wielkie były rozmiary pogromu dowodzi następujący fakt. Gdy wyruszyłem z pod Przasnysza do Galicji, w szeregach pułku było 4 tysiące żołnierzy; w czasie bitew na południe od Brześcia dostałem jeszcze tysiąc olbrzymich, ale zupełnie surowych, syberyjskich chłopów. Gdym cofnął się pod Brześć, z tych 5 tysięcy pozostało ledwie sześciuset z pięciu oficerami.

¹⁾ Posel na sejm.

Stanowiąc arrier-gardę, cofałem się od Piasków Lubelskich, na Włodawę, Słowatycze do fortów Brześcia.

Zaraz po wyjściu z Galicji w granice Imperjum, władze wydały rozkaz palenia wszystkiego po drodze, włącznie do zbóż na pniu, oraz pędzenia mieszkańców w głąb Rosji. Żadne pióro nie jest zdolne opisać, co się wtedy działo. Za mną, ze mną i przede mną szły masy wystraszonych i zgłodniałych wieśniaków, pędząc swój dobytek. Kozacy, idąc po bokach pułku, podpalali wsie i pola. Szedłem w morzu ognia i ludzi, wszędzie słysząc jęki i płacz. Oglądałem przerażające sceny. Naprz. młoda kobieta, niosąc na ręku martwe dziecko, prowadziła za rękę dziewczynkę 5—6-letnią. Trupy końskie i ludzkie zalegały drogi; wokoło były świeże mogiły, oznaczone krzyżykami z odłamków drzewa.

Utrzymanie w szeregach jakiegokolwiek porządku wymagało nadzwyczajnych wysiłków. Postanowiłem cofać się w nocy, a w dzień bronić na przygodnych pozycjach. Niemcy napierali, nie śpiesząc się, bo w przeciwnym wypadku, nicby zapewne z armji rosyjskiej nie zostało. Ich sposób działania był następujący: o 9 zrana, wytaczali jedną lub dwie ciężkie baterje, zasypując pociskami pozycję pułku; o 2 — 3 po południu, naciskając od frontu, obchodzili skrzydła. Baterja moja była bezsilną, mogąc z rzadka strzelać tylko do piechoty.

Zdarzyło się, że koło miasteczka Puhaczów kazano mi się bronić do ostatka, gdyż, gdzieś utworzył się zator wojsk i uciekinierów. Trzeba było czasu, by to rozplątać. Rozporządzając wtedy tylko 8 kompanjami (z których jedną dowodził G. Paszkiewicz), zająłem rozciągniętą pozycję. W tym dniu Niemcy długo nie rozpoczynali ofensywy, ale, gdy ją zaczęli około godz. 10-tej, zasypali pułk ciężkimi pociskami. Niejednokrotnie otrzymywałem meldunki dowódców kompanji, a i sam to widziałem, że pociski niemieckie (prosto ludzi wymiatają. Mimo to kazałem trzymać się nadal, i dopiero około godziny 15-tej zarządziłem odwrót, polecając cofać się stopniowo, kompanjami. Osobiście przepuszczałem ludzi przy moście przerzuconym przez błotnistą rzeczulkę, przeciekającą koło Puhaczowa. Na nieszczęście, jakaś uciekająca kanalja, podpałiła ten dość długi most; żołnierze musieli go przebiegać, ryzykując uduszenie się, bo o przejściu rzeki wbród nie było mowy.

Ostatnia wycofała się kompanja Paszkiewicza. Niebawem nadszedł też i on z 20 ludźmi; reszta była wybita. Sam Paszkiewicz godzinę był politowania: bez munduru, z rozdartą koszulą, okrwawiony, bez czapki, zlany potem.

Pod Puhaczowem zabili mi dwóch oficerów z liczby dziewięciu; jeden był ciężko raniony. Ten odwrót bez nadziei na poprawę sytuacji tak mi obrzydł, że szukałem śmierci, umyślnie chodząc po otwartych miejscach. Napróżno!

Z pod Puhaczowa ruszyłem dalej na północ, otoczony wezbranem kotłowiskiem uciekinierów i wygnańców. Pod Słowatyczami Niemcy znowu na-

tarli na mnie gwałtownie. Ledwie zdążyłem zająć przygodną pozycję i wszcząć walkę przy pomocy resztek z pułku. Rozstawiając kompanje, nie mogłem sobie dać rady z tysiącami uciekinierów, którzy, przerażeni walką, czynili straszny zamęt. Napisałem więc do władz, żeby cofnęły głupie rozporządzenie (jak się okazało później, szefa sztabu armji gen. Januszkiewicza) o pędzeniu mieszkańców do Rosji i paleniu dobytku, bo to tylko przyspiesza ostateczny rozkład armji. Falę uciekinierów na własną rękę zatrzymałem i cofnąłem w stronę Niemców. Dowlokłem się na koniec do fortów Brześcia i tam nareszcie udzielono nam parodniowego odpoczynku.

Obejrzałem niektóre dodatkowe umocnienia mobilizacyjne fortecy, zbudowane przez pospolite ruszenie. Nie przedstawiały one jakiegokolwiek wartości! Fortecę tą, kosztującą miliony rubli, Rosjanie postanowili zburzyć i porzucić. Był to błąd, bo mimo wszystko mogłaby była bronić się przez parę miesięcy, w najgorszym zaś razie choć przez parę tygodni i zatrzymałaby przytem kilka korpusów niemieckich. Pod jej osłoną, można byłoby uporządkować wojska. Dowództwo rosyjskie jednak tak było zniechęcone obroną Modlina, że wołało siły obronnej Brześcia nie wykorzystywać, nie chcąc dawać Niemcom sposobności do łatwych triumfów. Było to pociągnięcie w prawdziwie rosyjskim duchu, krok kosztowny, nasuwający przykre refleksje, że obrona państwa nie była dostatecznie przemyślana. Zamiast stawiać fortece, pieniądze na ten cel wydane, trzeba było użyć do budowy kolei, które ułatwiłyby szybkie przerzucanie wojska i skuteczną obronę. Tak czynili Niemcy.

Podejrzewam, że Rosja wogóle nie miała zamiaru uporczywie bronić swych polskich posiadłości i była gotowa ustąpić z nich prawie bez walki. Dziwnie namprz. brzmiała nazwa Królestwa jako teatru wojny. Nazywano je: „pieredowej teatr wojny“, co w tłumaczeniu znaczy: „teatr wysunięty, nie związany z koncepcją głównej walki (na terenach rdzennej Rosji), mający służyć tylko do wyjaśnienia zamiarów wroga.“

Po wyruszeniu z Brześcia ku Baranowiczom, Niemcy już mnie nie niepokoiili, ale trafiłem na inną biedę. Wzdłuż szosy Brześć — Baranowicze brakowało wody, więc żołnierska rzucały się na byle jakie kałuże, wskutek czego w szeregach wybuchła cholera. Sytuacja była podobną do tamtej na południe od Brześcia: rzędy mogił, niezliczona ilość padłego bydła i koni, które zdychały z braku wody; sznury taborów uciekinierów, wynędzniałych, głodnych; gdzie niegdzie porzucone dzieci. Dante nie potrafiłby opisać tych okropności.

Nareszcie dowlokłem się do stacji koło Snowia, gdzie nas załadowano i przewieziono nad Dźwinę, do stacji Ryngsmunshofen. Pułk zajął tu pozycję na prawym brzegu Dźwiny między tą stacją, a majątkiem Lenewarden. Było tu względnie spokojnie; Niemcy ostrzeliwali nas tylko z ciężkich dział; zostałem wreszcie ciężko kontuzjowany. Nie odjechałem jednak do szpitala, a odleżałem się na tapczanie w piwnicy majątku Ryngsmunshofen.

XII

W AZJI I POD RYGĄ

Gdy się wylegiwałem po kontuzji, mianowano mnie na zaszczytne stanowisko generała do szczególnych zleceń przy dowodzącym 1-ą armją, zajmującą wtedy pozycję między Dynaburgiem i jeziorem Narocz. Na tej posadzie nie miałem ani ciężkiej roboty, ani za nic nie ponosiłem odpowiedzialności prócz tego, co mi zlecono do wykonania.

Niebawem nadszedł telegram z rozkazem, aby wybrać ze składu armji wybitniejszego generała w celu objęcia dowództwa nad jedną z formowanych dywizyj doborowych, które miały być odesłane via Archangielsk do Francji.

Rosja posiadała nadmiar ludzi, ale brakowało uzbrojenia. We Francji było naodwrot. Dowodzący armją, jen. Litwinow, zaproponował mi objęcie tego stanowiska ale nie zalecał tego gorąco, bo, jak się później okazało, miał zamiar powołać mnie na stanowisko szefa sztabu swojej armji. Odpowiedziałem, że jeżeli każe, to do Francji pojadę, ale na żadną propozycję nie reaguję, bo taki mam zwyczaj. Litwinow wyznaczył niejakiego Maruszewskiego. Szkoda, że nie pojechałem. bo dywizje wysłane do Francji, po wybuchu rewolucji w Rosji nie zbuntowałyby się, i nie narobiłyby Francuzom kłopotu. Musiano je internować. Zbuntowali żołnierzy pp. socjaliści. Dziwię się, że nie wstyd im było robić coś podobnego na obcej ziemi. Z tego faktu jednak wynika, że Niemcy mieli swoich płatnych agitatorów wszędzie.

W styczniu 1916 r. przyszło rozporządzenie, by wybrać generała ze składu armji do sformowania i objęcia dowództwa nad nowoformowaną dywizją. Dowodzący armją, przypuszczając, że dywizja ta wejdzie do składu 1-ej armji, wyznaczył mnie. Jako kadrę dla tej dywizji, mającej otrzymać nr. 123, dano trzy brygady pospolitego ruszenia, w Karaczewie w gubernji Orłowskiej. Udałem się na miejsce.

Zrobiłem gruntowny przegląd tych trzech brygad. Istny obraz nędzy i rozpaczy! Żołnierze grali w karty i pili; oficerowie pili i nic nie robili. Z trzech generałów, jeden, gdy się dowiedział o mojej nominacji, niezwłocznie zachorował i wyjechał; dwóch pozostałych wyrzuciłem na zbity łeb z powodu choroby na „generalinę“^{*)}. Z 12 tysięcy żołnierzy pospolitaków wybrałem zale-

^{*)} Jest to choroba, że tak ją nazwę — socjalno wojskowa. Objawy: udawanie, że się coś robi, chęć kierowania wojskiem z gabinetu i niedbalstwo. Najmniej grasowała w Armji Francuskiej, najwięcej w Armji Austriackiej.

dwie trzy tysiące; resztę rozpędziłem. Zażądałem uzupełnień z bataljonów zapasowych; każdą, przybywającą kompanję, osobiście dokładnie oglądałem.

W wyniku tych starań udało mi się zorganizować wcale niezłą dywizję. Wybierałem się już z nią do pierwszej armji, gdy nieoczekiwanie otrzymałem rozkaz wyruszenia do Anatolji, gdzie Turcy mocno poturbowali Rosjan. Załadowano nas najpierw do pociągów, a potem w Marinpolu na okręty, na których oświadczone, że wszyscy od jenerała do ostatniego szeregowca, są tylko bagażem i muszą słuchać bezwzględnie rozkazów kapitanów okrętów, lejtenantów marynarki.

Przed odbiciem od lądu. co było trzymane w najściślejszej tajemnicy, przemieszkaliśmy na pokładach dwie i pół doby, nie wiedząc, co robić; wreszcie, pod wieczór trzeciego dnia, okręty nagle ruszyły. Najprzód płynęliśmy przez Morze Azowskie, na którym nie groziło żadne niebezpieczeństwo, bo wyjście na morze Czarne było dobrze zabezpieczone minami. Ale



Widok gór Tauru.

już w cieśninie Kierczeńskiej przykre wrażenie sprawił na nas sterczący z wody maszt okrętu, storpedowanego przez turecką, czy też niemiecką łódź podwodną.

Zaraz po wyjściu na pełne morze, statki wiozące moją dywizję otoczyła eskadra pancerników, krążowników i torpedowców. Jednym z pancerników, a może i całą eskadrą, dowodził admirał Porębski. Po jakich dwóch godzinach podróży, kiedyśmy wszyscy podziwiali wspaniały widok czternastu, płynących w dwuszeregu okrętów — olbrzymów, otoczonych dwuszeregiem okrętów wojzkowych, między którymi krążyły chybkie torpedowce, jeden z tych ostatnich gwałtownie zaczął strzelać. Niebawem wyfrunęły hydroplany, płynące na jakimś specjalnym statku. Okazało się, iż zauważono łódź podwodną, która po jej zdemaskowaniu znikła w głębinach, uczyniwszy niemało strachu. Drobnny fakt ten jest znowu potwierdzeniem, jak u Niemców wywiad był dobrze zorganizowany, bo powtarzam, Rosjanie przedsięwzięli wszelkie środki w celu ukrycia wyjazdu dywizji.

Po trzech dniach, w stałym oczekiwaniu ataku łodzi podwodnych lub niemieckich krążowników „Gebena“ czy też „Breslaua“, dopłynęliśmy do Trebizondy, gdzie dywizja wylądowała. Poczułem się znacznie lepiej, bo mogłem tutaj swymi ludźmi rozporządzać. Niezwłocznie kazano mi zająć odcinek od

morza ku południowi, długości przeszło 120 km. Rozmieściłem pułki na jednym z łańcuchów, odbiegających od gór Tauru. Artylerji wcale nie miałem; dopiero znacznie później przysłano mi trzy japońskie baterje polowe. Apropozycja była fatalnie zorganizowana, albo ściślej mówiąc — wcale jej nie



Jeden z tureckich sztandarów, zdobytych przez 490 pułk. Drzewce trzyma d-ca pułku.

było. Zmuszony byłem sam szukać sposobu wyżywienia moich 14 tysięcy ludzi. Niebawem też go znalazłem. Objeżdżając pozycje zauważyłem, że na stanowiskach tureckich pasie się dużo bydła i rośnie kukurydza. Postanowiłem Turków zaatakować i wszystko to im odebrać. Uprzednio pokazałem zupełnie surowej dywizji, jak się prowadzi bitwę. Ściągnąłem więc wszystkie rezerwy, i, odpowiednio zabezpieczywszy akcję, kazałem jednej kompanji zaatakować niewielki, wysunięty odcinek tureckiej pozycji. Atak się udał. Na drugi dzień, po odpowiednim pouczeniu, zrobiłem to samo z bataljonem, a następnie z pułkiem.

Atak pułku dał świetne wyniki. Nietylko wyrzuciłem Turków z ich pozycji, ale zagarnęliśmy także do niewoli dowodzącego grupą wojsk tureckich na ich lewem skrzydle, niejakiego Zija Beja i zdobyliśmy trzy sztandary. Co zaś najważniejsze, zagarnęliśmy żywności na jakiś miesiąc. Później, gdy znowu brakło żywności, powtarzałem ten sam manewr i w podobny sposób wyparłem Turków do południka Kierasundu. Było to bardzo mało, a to dlatego, że po każdorazowym posunięciu, trzeba było budować od morza wgłąb gór drogi, szosę wzdłuż wybrzeża morskiego i ścieżki dla zwierząt jucznych. Wybudowałem w przeciągu roku 70 klm. szosy i około 3 tysięcy klm. ścieżek dla jucznych zwierząt. Bez tego nie mogło być mowy o dostarczaniu żywności dla wojska, bo Anatolja, to kraj (od czasu „Anabazisa“) bezdroży, posiadający najwyżej nędzne „tropy“.



Juczne wielbłądy



Odpoczynek jucznych koni.

Nie posiadałem też odpowiednich jucznych transportów. Poradziłem sobie w ten sposób, że stworzyłem je z tureckich kobiet, które się dostawały do naszej niewoli po każdym ataku. Owe kobieciny, trzeba im to przyznać spełniały swoje obowiązki doskonale i chętnie. Myśl tworzenia transportów właśnie z kobiet powstała stąd, iż niejednokrotnie widziałem, jak jakiś drab — Turek, siedząc na objuczonym osle, był eskortowany przez pięć lub sześć żon, niemniej od osła obładowanych różnymi towarami.

Turcy bronili się wogóle dość uporczywie, działając wyłącznie ogniem, ale nigdy nie przyjmowali ataku na bagnety. Podobni byli bardziej do hałustry, niż do regularnego wojska. Nie spotkałem ani jednego żołnierza tureckiego należycie wyekwipowanego. Większość z nich posiadała tylko karabin, zwyczajny worek od ziarna do naboju, feskę, podartą kurtkę i także majtki.

Za to strzelcy z nich byli pierwszorzędni. Gdyby nie karabin, trudno byłoby odróżnić żołnierza od miejscowego mieszkańca. Wziąć do niewoli któregośkolwiek z nich było zadaniem trudnym, bo, dopuściwszy nieprzyjaciela na jakie sto — dwieście kroków, uciekali, by się przyczaić na nowej pozycji.

Tureckie wojsko, działające przeciwko nam, nosiło różne nazwy, które wy-

leciały mi z pamięci. Dziwna to też była wojna, bo np. w lecie, gdy pułki, stojące na wybrzeżu morskim, miały żywność (orzechy, figi, jarzyny), ale cierpiały od gorąca, pułki operujące w górach marzły i nic do jedzenia na miejscu dostać nie mogły.

Kilka razy Turcy nas atakowali, ale bez wyniku. Gdy sam chciałem atakować, prosiłem dowódcę floty czarnomorskiej, admirała ks. Putiatyna, o przysłanie mi do pomocy statku wojennego. Ten, wychodząc na tyły pozycji, ostrzeliwał Turków z morza. Taka taktyka ułatwiała mi pracę piechoty, która musiałaby się drapać na niedostępne urwiska pod celnym ogniem Turków. Artylerji, jak mówiłem, długo nie miałem. Dodać należy, że zbocza gór porastała nieprzebyta gęstwina rododendronów, przez które można się było przedrzeć tylko z siekierą w rękę.



Na stokach Tauru, kompanja 492 pułku odpiera atak Turków.
Zwraca uwagę dobór fizyczny żołnierzy.

Armja rosyjska w Turcji (Anatolji) posuwała się powoli z powodu trudności zorganizowania transportów, gdy ja wciąż szedłem naprzód. Zwróciło to uwagę władz, które zabroniły mi dalszej akcji i kazały zatrzymać się na linii na zachód od miasteczka Płatana, nic jednak nie uczyniły, żeby zorganizować dowóz żywności. Czyż miałem swoich żołnierzy morzyć głodem? Puściłem się więc na kawał i, gdy zaczynało być głodno, telefonowałem, że Turcy mnie atakują, więc przechodzę do kontr-ataku. Kończyło się to zwykle zdobyciem tureckiej pozycji.

Ponieważ łączność między oddziałami utrzymywała się tylko po drogach lub ścieżkach, a te, dzięki warunkom terenowym, wszystkie wychodziły na brzeg morza, byłem przekonany, że w razie konieczności, nikt mnie nie pod-

trzyma, bowiem rezerwa korpusu stała przeszło o sto klm. odemnie. Liczyłem tylko na własne siły.

Przebywałem w Anatolji około roku i przekonałem się, że więcej nic tu zrobić nie mogę poza spychaniem Turków coraz bardziej na zachód. Z dowódcą korpusu niejakim jen. Jabłoczkinem (typem à la jen. Wesołowski ¹⁾) miałem kilkakrotnie starcia z powodu nieregularnego dostarczania żywności. Należało zastosować praktykowany w armji sposób pisania raportów i spychania z siebie odpowiedzialności. Do tego zdolny nie byłem, więc podałem prośbę o ponowne przeniesienie mnie na europejski teatr wojny. Prośbę mą uwzględniono i dano mi 38 dywizję.

Odjeżdżając, postawiłem olbrzymi krzyż na szczycie góry, zdobytej po krwawej bitwie, nazywającej się Chazir-Nabi-Tapa. Krzyż ten, w kształcie krzyżów powstańczych, wywindowała z nieludzkim trudem kompanja podporuc. Czarneckiego, obecnie majora W. P. Ustawiono go w ten sposób, że był widoczny z morza, oraz ze wszystkich wierzchołków gór Tauru.



Turcy - jeńcy.



Kompanja por. Czarneckiego w marszu.
Na czele por. Czarnecki.

Mój pierwszy atak na taktyczny klucz tureckiej pozycji — wspomnianą górę Chazir-Nabi-Tapa, nie udał się i kosztował dużych strat, dopiero drugi skierowany okrężnie, dał dodatni wynik, choć trwał dwie doby.

*

W zimie 1916 r. Rosjanie postanowili przerwać front niemiecki i zająć Miawę, kierując atak od Rygi. Myśl była dobra, ale wykonanie trudne; głównie pora roku nie była odpowiednią. Można było przewidzieć, że atak dużych rezultatów nie da, mimo, że wykonanie ataku zostało polecone Radko Dmistrzjewowi¹⁾, zdolnemu generałowi. W artylerję ciężką został on zaopatrzony nader skąpo — zaledwie w czwartą część potrzebnej ilości, skutkiem czego atak udał się tylko częściowo.

¹⁾ Patrz rozdział IX, str. 102, 103, 104.

²⁾ Bułgar z pochodzenia.

Dla podtrzymania działających wojsk wysłano dwie dywizje, w tej liczbie i moją 38-mą.

Zluzowałem pod Rygą 14-tą syberyjską dywizję mego brata Konstantego. Niestety zakopać się na zajętej przez niego linii nie mogłem, bo ziemia głęboko przemarzła. Niemcy zaś nie stropili się przerwą swej pozycji, powoli ściągnęli swe rezerwy i dopiero wtedy przeszli do kontr-ataku. Srogą wytrzymałem próbę! Kontr-atak trwał kilka dni i przechodził różne stadja. Pierwszego dnia Niemcy użyli aparatów, miotających ogień, a to dlatego, że nie mogąc zakopać się, kazałem porobić zasłony z drzewa. Niemców odparłem. Następnego dnia zarzucono nas pociskami; jeden pułk cofnął się i, mimo kilkakrotnych prób, odzyskać straconego (zresztą niewielkiego) odcinka nie mogłem. Przytem trzy czwarte ludzi odmroziło się. Chcąc mnie zupełnie wyrzucić, Niemcy trzeciego dnia zasypali dywizję pociskami gazowymi. Zostałem sam zagazowany, bo, nie mogąc znieść maski, posługiwałem się tylko mokrą chustką, która co chwila marzła. W tym tragicznym momencie przysłano mi na pomoc dwie mocno poszarpane brygady łotewskich strzelców. To dało mi możliwość utrzymać główną część zdobytej przez brata linii, ale z 12 tysięcy ludzi pozostało zaledwie 4 tysiące.

Podczas bitwy pod Rygą miałem sposobność przekonać się o nieprzychylnym stosunku niektórych Rosjan do nas. Dywizja moja była włączona do składu 7-go syberyjskiego korpusu, dowodzonego przez jen. Wasiljewa. Gdy, jak wspomniałem, jeden pułk mój się cofnął, Wasiljew telefonicznie zapytał¹⁾ mojego sąsiada (dowódcę dywizji), czy czasem cofnięcie się nie jest spowodowane tem, że 38 dywizją dowodzi ten „Polak D. M.“ Otrzymał odpowiedź: „gdyby nie on, pozycja byłaby dawno przez Niemców odebrana“. Sam Wasiljew podczas tej ciężkiej walki nie tylko nie był na pozycji, ale nawet nie dojechał do moich rezerw. Był to generał „podlejszego gatunku“.

Od całkowitego zatrucia gazami ledwie mnie uratowano; dwa dni przeleżałem bez przytomności, cucono mnie tlenem, a do dziś dnia odczuwam to zatrucie.

W rezultacie pozycja niemiecka została przerwana, ale Mitawa nie wzięta. Radko Dmitrjew to przewidział, ale aljanci domagali się aktywnych działań mimo, że nie można było liczyć na dodatnie rezultaty. Przedewszystkiem Rosjanie po klęsce w r. 1915, nie przyszli jeszcze „do normy“. Brakowało ciężkich dział, a Niemcy umocnili swoje pozycje żelazo-betonowymi schronami, które mogły rozwalić chyba 40 cm. działa.

Podczas mojej bytności pod Rygą zauważyłem dwa niepokojące objawy. Obchodząc pozycje luzowanych przezemnie wojsk, znalazłem na drzwiach schronu proklamację: „koledzy czas kończyć wojnę, nic z niej nie będzie“.

Po r. 1915 duch wojowniczy znacznie się obniżył; zachowała się tylko, że

¹⁾ Co podsłuchałem wypadkowo dzięki indukcji.

tak powiem, pewna etyka w szeregach, dyktowana zadraśnięciem miłości własnej, mimo wielu niepowodzeń; jednak дума narodowa wymagała dalszych zmagañ. Treść proklamacji wskazywała, że zaczęła się destrukcyjna praca w wojsku, czy to przez płatnych agentów, czy też przez rodzimych defetystów? Przypuszczam, że agitacja przenikała z Petersburga, który od frontu grupy armij północnych był stosunkowo niedaleko i miał ułatwiony kontakt. To się sprawdziło później. W Petersburgu zaczął swoją propagandę Lenin; tam się zebrała rada robotniczo-żołnierska, tam wydano słynny rozkaz nr. 1, którego autorem był adwokacik Sokołow.

Drugi wypadek był następujący: podczas odpierania niemieckich kontrataków został mi przydzielony lotny oddział Cz. Krzyża, którego personel znałem od r. 1915. Oddział ten zachowywał się zawsze wzorowo, pracował z wielkim poświęceniem, był stale gotów na największe ofiary, nigdy nie wychodził ze sfery obstrzału. Na jego czele stał człowiek o znanym nazwisku ksiązęciem; funkcjonariusze byli przedstawicielami arystokracji rosyjskiej. Jak ci ludzie rozumieli swój obowiązek względem ojczyzny, widać z następującego: młodziutka hr. Szuwałowa stale była w sferze ognia, dbając o pułk mój i o mnie, jak rodzona siostra. Gdy przy wyżej opisanem, tak trudnem cofaniu się z pod Brześcia, wybito oficerów i brak ich dawał się dotkliwie odczuwać, dano mi do pomocy z oddziału C. K. młodego chłopca hr. Szuwałowa. Sytuacja tak była wtedy tragiczną i beznadziejną, że kierownicy C. K., czyniąc to, wiedzieli dobrze czem ryzykują. Otóż jeden z tych kierowników tegoż oddziału C. Krzyża (ks. Wiaziemskij, później zabity na ulicach Petersburga, zaraz po wybuchu rewolucji), zwrócił się do mnie z poufnem zapytaniem, jakbym ja, jako dowódca dywizji, zareagował, gdyby usunięto Cesarza? Odpowiedziałem: „gdy to się stanie przemocą, stanowczo wystąpię w jego obronie, nie oglądając się na nic i nie czekając rozkazu“.

Objaśniam motywy tej odpowiedzi. Tylko ślepi nie rozumieli, że państwo rosyjskie trzyma się wyłącznie caryzmem; bez niego imperjum było mechanicznym zlepkiem. Patrijotyzm, дума narodowa, niebezpieczeństwo germanizacji, były to pojęcia w umysłach mas rosyjskich powierzchowne. Rozbite tego zleпка podczas toczącej się wojny groziło nieobliczalnymi konsekwencjami. W zwycięstwo Rosji, już wtedy nie wierzyłem, ale nie było racji ułatwiać sytuację Niemcom. Wmawiano we mnie, że rewolucja podniesie upadającego ducha w armji, ożywi wojnę i doprowadzi do zwycięstwa, tak jak to było we Francji w czasie Wielkiej Rewolucji. Podobnym dowodzeniom nie wierzyłem. Pomagać utopistom w rodzaju Lenina, czy, jak ich nazwał pisarz rosyjski Szczedryn, „Griaduszczym Chamom“ byłoby nie do darowania.

Istniała jeszcze inna przyczyna mego negatywnego stosunku do wszelkich zamierzeń rewolucyjnych. Przysięgałem na wierność Cesarzowi, co jest analogją danego słowa; przysięgi zatem należało dotrzymać. Takie było mo-

je przekonanie i tak postąpił w r. 1831 Chłopicki ¹⁾). Niektórzy kwestjonowali, czy mnie, Polaka, przysięga obowiązywała? Odpowiadam: tak. Gdyby Cesarz zażądał spełnienia czegoś przeciwnego mojemu sumieniu, miałem przecie możliwość lojalnie i legalnie tego odmówić. Przysięgłem nietylko ja, ale i te tysiące ludzi, na czele których stałem, będąc za nich i przed nimi odpowiedzialny. Tylko człowiek bardzo ograniczony nie rozumie, do czego zbagatelizowanie przysięgi prowadzi. Jako Polak mógłbym oczywiście zastosować „wallenrodyzm“, ale czy on był na czasie?

Z rozmowy z ks. W... wysnułem wniosek, że nawet wśród elity i patryjotów rosyjskich wiedziano już w r. 1916, o jakimś planie, a bodaj brano nawet czynny udział w przygotowaniach do zamachu lub rewolucji, co wedle lansowanych wersji miało polepszyć stan wewnętrzny państwa, a zatem poprawić i sytuację na terenie wojny. Słowem, rewolucja miała być „panaceum“ na wszystkie niedomagania, wynikające z absolutyzmu.

Ci, którzy pomagali przewrotowi, nie zglębili obiektywnie historii rewolucyj. Co komu i kiedy one dały? Abstrakcję: wolność, równość. Co dała rewolucja Rosji? Najprzód Kiereńskiego z potokiem słów. Ten pan doszedłszy do władzy i, ogłosiwszy hasła: „precz z caratem, pokój narodom, równość dla wszystkich“, natychmiast zamianował siebie... Naczelnym Wodzem, zamieszkał w cesarskim pałacu, jeździł w otoczeniu eskorty, żył w komforcie, ale nic nie zrobił dla polepszenia doli żołnierza, gnijącego w okopach. Każdy żołnierz, lub oficer słusznie sądził, że taki dobry Kiereński, jak i on. Wszak mieszkać w pałacu potrafi każdy, a naśladować wielkich ludzi nie jest rzeczą trudną. Bolszewicy łatwo przerwali potok jego przemówień i zrobili w Rosji gehennę. Do takiego rezultatu nie miałem żadnej racji przykładać ręki i łamać przysięgi nie tylko na niekorzyść Rosji.

Należało mieć się na baczności...

*

Zaraz po ukończeniu niemieckich kontr-ataków pod Rygą, zostałem mianowany szefem sztabu I armji. Panowała tam gorączkowa praca nad przygotowaniem zimowej ofensywy. Była to robota bezcelowa, teoretyczna, bo nie był wskazany na to cel, ani środki, poza temi, które już były w armji. Przekonałem dowodzącego 1-szą armją, by zaniechał wszelkich zimowych przygotowań, a rozkazał przystąpić do przygotowania ofensywy wiosennej, do czego sam przystąpiłem. Sztab I armji kwaterował wówczas w klasztorze Berezweż, koło Głębokiego. Zabrałem się do pracy wraz z kwatermistrzem sztabu jen. Orłowem i w krótkim czasie ją ukończyliśmy.

¹⁾ Patrz dzieje powstania listopadowego.

O tem, co się działo w „Stawce“ (w Mohylowie) i w Petersburgu, dochodziły do nas niepewne wiadomości. Aż tu pewnego pięknego dnia zawezwano mnie ze Sztabu Głównego w Petersburgu do aparatu Hughes'a i zakomunikowano mi o abdykacji Cesarza na rzecz brata jego, Michała, a następnie po kilku godzinach, o abdykacji tego ostatniego. Jednocześnie otrzymałem wiadomość, że jakiś indywidua wyjechały z Petersburga i agituja wśród wojsk, przejeżdżających koleją, za ukończeniem wojny, aresztowaniem wyższych władz i t. p., operując świetnymi pomysłami w obliczu zwycięskich Niemiec. Nawet jakieś obskurne typy zwoływały wiec wojskowych w Porłocku, tuż na tyłach I armji, agitujać przeciw mnie.

Choć Cesarz i jego następca rzekli się władzy, nie wynikało z tego, że ma się prawo robienia zamieszek. Załadowałem więc niezwłocznie do pociągu dwie kompanje z rozkazem rozpędzenia wiecu przy pomocy karabinów maszynowych. Do tego niestety nie doszło. O ekspedycji tej ktoś zawiadomił buntujących, więc pośpiesznie się rozproszyli; agitator, silnie przeciwko mnie występujący, zwał — spokój zapanował.

Amatorów do robienia przewrotów jest wielu. Im nie chodzi bynajmniej o konsekwencje; dbają tylko o osiągnięcie osobistych korzyści. A czy w walce o urzeczywistnienie ich celów zginie dziesięciu, czy sto tysięcy ludzi, jest im to obojętne. Dla poległych będą słowa pociechy takie same, jakich używa zwalczany system.

Zarządzenie moje miało dobry skutek, bo w I armji wiece bez mojego zezwolenia już się nie odbywały.



J. Dowbor - Muśnicki — jako
Szef sztabu I armji.

XIII

PODŁOŻE REWOLUCJI ROSYJSKIEJ

Aby, przeglądając moje pamiętniki, czytelnik nie posądzał mnie o stronniczość, oświadczam, że do żadnej partji politycznej, ani do stronnictwa nie należę. Inna rzecz, że niektóre partje pragnęły widzieć mnie w swoich szeregach. Nawet jeden z głośnych działaczy chwalił się, że jestem „jego“ jenerałem, a ja śmiem twierdzić, że należę tylko do siebie i pożyczać od nikogo rozumu nie potrzebuję.

Chcąc zrobić coś dla ludzkości lub dla państwa, dość posiadać zdrowy rozsądek. Mogę się nim pochwalić.

Na gruncie polskim, w pewnym okresie, wstąpiłem do jednej z partyj, chcąc na terenie parlamentarnym przeprowadzić koncepcję, którą wysnułem przy badaniu przyczyn wzrostu potęgi Niemiec w XIX wieku. Celu nie osiągnąłem i do sejmu nie trafiłem. Może to i lepiej...

Żeby należeć do partji, trzeba bez zastrzeżeń przyjąć program i poglądy jednego lub kilku przewodyrów. Dla ogółu wystarcza jakaś formułka ładnie i, z pretensją do głębszej treści, ułożona. Dla mnie jest to za mało. Mam wstręt do kłamstwa i oszustwa. Nie godzę się również, by można było frymarczyć swemi przekonaniem.

Ponieważ panowie partyjnicy zazwyczaj bywają zdolni do zaciętrzewiania się, a posłuszeństwa wymagają, przeto zrezygnowałem z przynależności do jakiejkolwiek partji, po bliższem zaznajomieniu się z ich programami.

Uważam się za nacjonalistę i narodowca; nie stronię od ludzi o zbliżonych przekonaniach. Nie wierzę w teorję, że na kuli ziemskiej nastąpi czas zgody i braterskiego połączenia narodów, a wojna będzie anachronizmem.

Jestem zdania, że narody mają prawo same, bez obcych rad, wskazówek i, rzekomo bezinteresownej pomocy, rządzić się zgodnie z własnymi poglądami i upodobaniami, oraz bronić wszelkimi sposobami i środkami naturalnego prawa do wolności. Żeby jednak nie wpaść w konflikt z logiką należy mi sprecyzować pojęcie „narod“.

Tylko takie zbiorowisko ludzi, które od dłuższego czasu zamieszkuje zwartą masą określoną połąć kuli ziemskiej i wytworzyło na niej odrębny język i odrębną kulturę, może się nazwać narodem i decydować o samostanowieniu. Bez tych trzech zasadniczych warunków niema narodu, a jest tylko mechaniczne skupienie ludzi, które nazywamy państwem. Więc jacyś Oroczeni lub Cyganie, nie mogą pretendować do samostanowienia, bo pierwsi, choć są

mieszkańcami określonego terenu, ale żadnej kultury nie wytworzyli, prócz chyba elementarnej, zwierzęcej; drudzy, choć wytworzyli coś, co można nazwać kultem nieróbstwa, ale nigdzie nie osiedli w dosłownem tego słowa znaczeniu.

Pod pojęciem narodu nie można też rozumieć jakiejkolwiek jednej warstwy (intelektualnej lub materialnej), a tylko całość: od proletariusza do arystokracji, od analfabety do uczonego, od biedaka do arcy-miljardera. Nie znaczy to, by wszyscy mieli prawo decydować o losie i działalności narodu. Przewodzące miejsce należy się inteligencji, jako tej, która posiada sprawdzian swych możliwości w postaci ukończonych studjów. Bez inteligencji, wszechstronnie wykształconej, naród egzystować nie może. Powiem: naród — to jego inteligencja.

Pojęcie „państwo“ zawiera konieczność pewnych kompromisów, nieszczerze stale wykonywanych.

Stąd tarcia i konflikty, gnębiące ludzkość od stworzenia świata. Uniknąć tego można, jeżeli decydujący głos posiada jedynie element, który ma prawo nazywać się narodem. Inne, napływowe, muszą się albo dostosować, albo wyeliminować. Nie może być mowy o kompromisach z niemi.

Urządzić świat na zasadach zgodnego współżycia podejmują się i obiecują wykonać apostołowie socjalizmu. Jak chcą to urzeczywistnić, jest to ich sekret. Oczywiście muszą zacząć od przerobienia ludzkiej natury. Czy to się uda?

*

Jeszcze w czasie pobytu w gimnazjum zauważyłem, że kółka uczniowskie uprawiające politykę, były niejednolite narodowościowo. Składały się one z Polaków, Żydów i Rosjan. Ostatni byli dziećmi urzędników, tych właśnie gnębieli i obrusiali. Żydów pchały do kółek konkretne cele. Co do rodaków, to, grawitujący do socjalizmu, należeli do młodzieży o powierzchownych poglądach (do nieuków). Rozumie się była to „zielona młodzież“, nie rozumiejąca co to jest właściwie socjalizm. Przypuszczam nawet, nie odróżniali go od patriotyzmu, bo konspiracja kierowała się przede wszystkim nienawiścią do rządu zaborczego. Zresztą o socjalistach wtedy mówiono rzadko, a wspomniano o anarchistach lub o terrorystach. Dopiero później ustalono nomenklatury: socjal-demokratów, socjalistów-rewolucjonistów, minimalistów, maksymalistów i t. p. Wszystkie te partje były przeciwstawieniem panującego regimu. Różniły się między sobą nie treścią propagandy, a mniejszą lub większą dozą zastosowania do życia praktycznego doktryny socjalistycznej, w której główną definicją jest: „rabuj zrabowane, prócz zrabowanego przeze mnie“. Dlatego będę ich wszystkich w czambuł nazywał socjalistami.

Mieszkając w Rosji, miałem rzadko do czynienia z socjalistami. Była to

dziedzina żandarmerji. Wyniki wywiadów rozsyłano do sztabów. Zawiadano, że taki a taki, odbywający służbę w szeregach, podtrzymuje stosunki z kółkami wywrotowymi. Rzeczywiście, socjaliści oddawna dokładali starań, aby zdeorganizować armję rosyjską. Głównie starali się o wciągnięcie wojskowych do konspiracji. Władze z takimi nie robiły ceremonji. Kto był „nakryty“, kończył służbę wojskową i przeważnie bywał zsyłany na Sybir. Dzięki temu, wiele młodzieży słowiańskiego pochodzenia zmarnowało się.

Pamiętam dwa wypadki. Kolega mój ze szkoły Konstantynowskiej, niejaki Dżunkowski, bardzo sympatyczny i zdolny chłopiec, był wciągnięty do kółka studentów petersburskiego uniwersytetu. Odgrywał w niem główną rolę jakiś student o nierosyjskiem i niepolskiem nazwisku. Żandarmi kółko nakryli i dali znać do szkoły. Dżunkowski, wiedząc, jaki los go oczekuje, poderżnął sobie gardło.

W tejże szkole miałem kolegę, syna powstańca styczniowego, niejakiego Orzechowskiego. Był to zresztą chłopiec zupełnie już zruszczony. Typ nieskomplikowany, lubiący się pobawić i nie wylewał też za kołnierz. Władze szkolne odnosiły się do niego nieprzychylnie, co przejawiało się w nieurlopowaniu go w dni powszednie. Otóż ten Orzechowski, bardzo rzadko mógł korzystać z tego przywileju. Mimo to potrafił go wciągnąć na tajne posiedzenie socjalistów — rewolucjonistów, uprzednio wlawszy weń porządną porcję spirytualji. Jak mi sam opowiadał, gdy przyszedł do jakiegoś zakonspirowanego lokalu, zastał tam przeważnie ludzi cywilnych, studentów i paru wojskowych. Zaproponowano znowu wypić. Delektując się winem, obojętnie słuchał mów na temat konieczności przebudowy państwa rosyjskiego, obalenia rządu, o równości, wolności etc. Dopiero, gdy na mównicę wgramolił się jakiś osobnik o semickiej twarzy i prosto z mostu zaczął wymyślać na cesarza (Aleksander III), Orzechowski ściągnął mówcę i dał mu po buzi, za co go z zebrania wyrzucono, podarto na nim odzież, przyczem oberwał kilka guzów. Szpicle, którzy są nieodłączną częścią każdej socjalistycznej konspiracji, donieśli władzom o tem zajściu. W następstwie tej awantury aktywa Orzechowskiego nieoczekiwanie wzrosły, choć on sam miał stracha, aby nie wykryto jego udziału w awanturze. Dopiero po ukończeniu szkoły, władze oświadczyły, że o powyższem zajściu wiedziały.

*

Ze wszystkiego, co wiedziałem i widziałem, wyniosłem wrażenie, że socjaliści nie krępują się żadnemi zasadami etyki. Chcąc dokuczyć władzy, nie patrzą na to, kto i ile przy tem wycierpi. Na dowód przytoczę następujące fakty.

W swoim czasie honorowaliśmy w odrodzonej Polsce niejakiego Sawinkowa. Ten stał się słynnym po rzuceniu bomby na generał-gubernatora

w Sewastopolu w roku, nie pamiętam dokładnie, zdaje się, że 1901. Uczynił to podczas defilady, z powodu jakiejś uroczystości, której przypatrywały się tłumy kobiet i dzieci. Bomba nie zraniła gubernatora, zato pokiereszowała ciężko około stu kobiet i dzieci. Coś podobnego miało miejsce w 1905 r. w Warszawie na Placu Grzybowskim za poduszczeniem żydów. Rosjanie drwili z tego powodu, że Polakami mogą kierować tylko żydzi.

Nie bohaterstwo to żadne, napad na człowieka w tłumie, bo tłum, nawet mimo woli, sprzyja możliwości ukrycia się. Sympatja szerszych mas byłaby może po stronie Sawinkowa, gdyby np. strzelił do swojej ofiary z rewolweru, ale na to potrzeba odwagi, której takim panom zwykle brakuje.

Sawinkow odegrał również rolę w ostatecznym rozbiciu armji rosyjskiej. Po abdykacji cesarza, na stanowisko naczelnego wodza mianowano jen. Korniłowa. Armja, a również i my wojskowi Polacy, przyjęła tę nowinę z zadowoleniem, w nadziei, że Korniłow położy kres rozprzężeniu. Rząd Kiereńskiego przydzielił Sawinkowa do naczelnego dowództwa w roli komisarza. Na kilka tygodni przed usunięciem Korniłowa z naczelnego dowództwa rozmawiałem z nim. Wymówił zdziwienie, że zgodził się mieć przy sobie tak niewyraźną figurę. Odpowiedział, że Sawinkow obiecał poprzeć go w poczynaniach, wiodących do uporządkowania stosunków w armji. Nie uwierzyłem w szczerość intencji Sawinkowa. Rzeczywiście, wkrótce potem Sawinkow został odwołany, a Korniłow aresztowano. Przypuszczam, że właśnie Sawinkow odegrał rolę prowokatora, i, wyciągnawszy od Korniłowa wiadomości o jego zamiarach, poprostu zdradził go z lekkim sercem.

Zdarzył się też następny wypadek. Do pułku, kwaterującego w jakiejś dziurze na Kaukazie, przychodził szlifierz, który za bardzo małe pieniądze ostrzył żołnierzom i oficerom szczyryki. Nie zwracano na niego uwagi i nie pytano się kto on? Później okazało się, że był to socjalista i że podburzał żołnierzy do nieposłuszeństwa. Agitacja tego draba skończyła się na tem, że z powodu jakiegoś drobnego nadużycia, zabito oficera. W wyniku, kilkudziesięciu żołnierzy rozstrzelano, a pan szlifierz-socjalista spokojnie i zawczasu ulotnił się.

*

Z socjalistami zetknąłem się bliżej w czasie rewolucji rosyjskiej, oraz podczas dowodzenia 1-szym Korpusem Polskim. Zająłem się wtedy kwestją, na czym polega ich nauka.

Nie jest to nauka sprecyzowana. Socjaliści dzielą się na adeptów 2-giej i 3-ciej międzynarodówki. Chcą urządzić świat drogą ekonomicznego przekształcenia, przez przewyższenie kapitalistycznej przewagi jednostek i przez wprowadzenie wspólności gospodarczej na miejsce gospodarstwa prywatnego. Tyle głosi ich nauka. Wynika z tego, że:

- 1) pragną zwalczyć i obalić dotychczasowy ustrój świata,

2) negują prawo własności prywatnej i dążą do rozpowszechnienia gospodarczej wspólności,

3) a co najważniejsze — negują ustrój ludzkości, oparty na podstawie nacjonalistycznej i pragną wprowadzić międzynarodówkę.

Co to jest „międzynarodówka“, w szczególności zaś druga lub trzecia międzynarodówka? Dlaczego nie mówi się nigdy o pierwszej? Czy trzecia międzynarodówka jest ostatnim etapem i osiągnęła najdoskonalszą treść? Jeżeli nie, co jest pewnikiem, to czy nie nastąpią: czwarta, piąta i... dalsze międzynarodówki?

Nikt mi, niestety, na to pytanie nie dał wyczerpujących odpowiedzi. Od pewnego namiętnego zwolennika socjalizmu dowiedziałem się tylko tyle, że klasyfikacji ludzi lub ich podziału, nie można dokonywać na podstawach „zoologicznych“ t. j. narodowych (autentyczne!), a tylko klasowych. Dotychczas byłem przekonany, że przynależność do narodu lub państwa t. j. do zbiorowiska ludzi z pewną naturalną wspólnotą jest gwarancją istnienia państwa, jego rozwoju i spokojnej, produkcyjnej pracy. Ze wspomnianego zaś oświadczenia wynikałoby, że w zgodzie mogą pozostawać tylko ludzie, pracujący w określonej dziedzinie, przynależność zaś do narodu i państwa jest zbyt dużą, bowiem zgody tej nie gwarantuje. Wynikałoby z tego, że inżynier z inżynierem, nie bacząc na różnicę poglądów, języka i t. d., będą zgodnie współpracować i nie wyniknie między nimi np. ani zazdrość, ani sprzeczka, a tembardziej walka. Ale inżynier z robotnikiem już zgodnie współżyć nie mogą, chyba, że jeden podporządkuje się bez zastrzeżeń drugiemu. Nie naciągając zbyttno teorii, ludność kuli ziemskiej musiałaby się podzielić na klasy: inżynierów, nauczycieli, astronomów, aktorów, robotników i t. d.

Nie byłoby to ani słuszne, ani logiczne. Ponieważ niezgoda leży już w naturze ludzkiej, klasy te szybko zaczęłyby między sobą walczyć — zwyciężyłaby liczniejsza. W krótkim czasie klasy inteligentne byłyby wyniszczone, czego zresztą, mamy już przykład w Rosji.

W każdym razie walka trwa. Z dwojga złego, należy wybrać lepsze.... Która z nich jest lepszą? Czy walka narodów lub państw, czy walka klas? Czy wogóle warto przebudowywać świat, jeżeli walki uniknąć nie można? Jedno jest jasne: każda walka, a więc i walka klas, pozwala korzystać trzeciemu i może doprowadzić społeczeństwo do ostatecznego zezwierzęcenia. Przedstawiciel socjalizmu, który dyskutował ze mną, twierdził, że przy tej klasyfikacji, ludzie łatwo dojdą do porozumienia i zgody, ale niczem przekonującym, tego oświadczenia nie poparł. Jest to najłatwiejszy sposób dyskusji: „ty mi wierz, a jeżeli moje obietnice nie zrealizują się, to winnego łatwo będzie odnaleźć i znowu zacząć od nowa“.

Może ktoś powiedzieć, że mój informator o socjaliźmie był człowiekiem

niezbyt światłym. Tak, rzeczywiście, był to człowiek prosty, pochodził z czci-godnego cechu szewców; coś czytał, dużo słyszał, nabył przeto pewności sie-bie i traktował sprawy radykalnie. W pewnym okresie był wielbicielem socjalizmu „drugiego stopnia“, a później stał się socjalistą w „trzeciej potę-dze“, t. j. poprostu bolszewikiem, z czym się zresztą nie krył.

Zdarzyło mi się rozmawiać z inteligentami-socjalistami. Głosili, że socja-listom najbardziej zależało na ograniczeniu wyzysku pracy ludzkiej i na obro-nie interesów klas robotniczych oraz na sprawiedliwym podziale bogactw. Nie umieli jednak objaśnić, dlaczego kierownicy socjalizmu, posiadający wcale pokaźne fortuny, nie spieszą się ze zrealizowaniem przez siebie gło-szonej nauki, choćby przez braterski podział dobra już posiadanego z włas-nymi towarzyszami? Również nie mogli objaśnić, dlaczego to od stworzenia świata dzieją się te same zjawiska, t. j. wyzysk jednych przez drugich i jak postąpić, aby podział bogactw był sprawiedliwy?

Wyjaśniło się też w czasie tych rozmów, że socjalizm nie rezygnuje z prze-wagi, którą daje władza i, że *postulaty socjalizmu da się przeprowadzić w życie tylko przez zastosowanie przymusu*.

Jeżeli ma być przymus, to oczywiście, ktoś musi być najsilniejszym, za przymusem idzie zwykle samowola, później gnębienie, wreszcie „usuwanie“ opornych, t. j. to, czego stale jesteśmy świadkami, nie bacząc na ten, lub inny ustrój ludzkości.

Może taki koryfeusz socjalizmu, jakim jest, jak wiadomo, w Polsce p. Da-szyński, potrafiłby lepiej wyłożyć swoje zasady oraz dążności. Mnie jednak bardziej interesowało uświadomienie szeregowych, t. j. tej masy, na której skórze zazwyczaj odbywają się eksperymenty „jenerałów od socjalizmu“.

Przypatrując się temu, co się działo w Rosji, a później w Polsce, przeko-nałem się, że socjalizm znalazł wdzięczną glebę w biedniejszych masach lud-ności, następnie wśród pół i ćwierć inteligentów, wreszcie wśród marzycieli. Najwięcej jednak posiadał on adeptów wśród nieuków i leniuchów. Dobitnie scharakteryzował socjalizm Eligjusz Niewiadomski, który za lat swych mło-dzieńczych należał do socjalistów. Do jego słów dodałbym jeszcze: niema nigdzie tyle wypadków ohydneho szpiegostwa, donosicielstwa, przekupstwa i zdrady swoich, jak właśnie wśród socjalistów. Rosyjska żandarmerja, inwi-gilując socjalistów, działała przez nich samych. Sprawa Azefa najdobitniej stwierdziła, że prowokatorami i zdrajcami swoich są przeważnie towarzysze partyjni.

*

Wszystko, o czym mówiłem w poprzednim rozdziale, dotyczy socjalizmu i socjalistów wogóle. Z powodów nietylko natury osobistej, muszę z kolei roz-patrzeć kwestję socjalizmu t. zw. „polskiego“.

Upřednio już zaznaczyłem, że jestem narodowcem. Nie dzielę swych rodaków i uczucia dla nich, w zależności od koterji lub partyj, do których należą, bo dokładnie wiem, że podział taki wynika nie z różnic natury ideowej, przeciwnie zaś, z prawdy zupełnie przyziemnej, że ją tak określe... „żołądkowej“. Niechże więc moi czcigodni rodacy utrzásają się jak chcą, byle tylko w postępowaniu swem nie wykraczali poza granice naturalnego pocucia, że są Polakami. Wszystko co polskie, musi być im najbliższe.

Nauka o socjalizmie nie jest polskim wynalazkiem; zapoczątkował ją Żyd, do Polski wprowadzili ją też Żydzi. Ci Polacy, którzy przyjęli i zaszczepili rodakom doktryny socjalistyczne, powinni byli głosić, że narodowość negują. Tego nie zrobili. Wiedzieli dobrze, że takie postawienie sprawy nie znajdzie u nas zrozumienia po rozbiorach i po powstaniach. Użyli na pozór niewinnego oszustwa, dodając do pojęcia „socjalizm“ narodowość. Stworzyli „polską“ partję socjalistyczną, kiedy właściwa nazwa powinna brzmieć: „partja socjalistyczna w Polsce“, tak jak w Niemczech partja ta nazywa się nie „niemiecką“, lecz „partją socjalistyczną w Niemczech“. Niejeden pocziwiec dał się nabrać; wstąpił do szeregów socjalistycznych w przekonaniu, że staje się nawet patryotą, gdy tymczasem socjaliści uczucie to nazywają... „zoologicznem“!

Sprytna była głowa, która negując wogóle nacjonalizm (a więc i polski), potrafiła wciągnąć go do międzynarodówki.

Czas jakiś i ja byłem przekonany, że P. P. S. jest partją polską. Niebawem jednak okazało się, że partja ta nietylko współdziała z socjalistami innych krajów w nieznanym mi bliżej celu, ale pobiera od bogatych, zagranicznych współwyznawców partyjnych pieniądze. Wątpić należy, czy je dawali i dają dla pięknych oczu biedniejszego odłamu wielbicieli Marksa? Stąd wynika początek mojej rezerwy w stosunku do pp. socjalistów.

Niebawem wyszły na jaw inne niesympatyczne sprawy.

Biorąc czynny udział w rewolucji rosyjskiej, wywołanej rzekomo w imię „polepszenia bytu ludzkości“, „nasi“ socjaliści obowiązani byli przedewszystkiem pomyśleć o polskiej ludności i bronić jej od ekscesów. Mało jednak o to dbali, więcej sympatyzowali z bolszewikami. Ileż to Polaków zginęło z ich rąk (np. z rąk Dzierżyńskiego). Przy przejeździe do Bobrujska 2 polskiej dywizji, komitet bolszewicki w Orszy, w skład którego wchodziło kilku Polaków, zatrzymywał i rozbrajał podstępnie eszelony. Członek tego komitetu, niejaki Pawłunowski, niestety Polak, na zapytanie szefa sztabu pułk. Wolskiego, dlaczego to robi, odpowiedział: „na nieszczęście jestem Polakiem, ale jest mi bliższy socjalizm“. Był to wypadek nieoderwany.

Że z socjalizmem „naszym“ nie wszystko jest w porządku, dowodzi wojna między jego prowadzonymi. Nawet między sobą nie mogli uzgodnić poglądów,

to też prędko się pokłócili. Stało się więc wedle biblij: „nie poznali się i jeden drugiego pożarł“.

Osobiście zupełnie szczerze i życzliwie powitałem hasło rosyjskiej rewolucji o samostanowieniu narodów. Hasło to socjaliści polscy również uznali, ale tylko ze względów taktycznych i łatwiejszego przeprowadzenia w życiu swoich socjalistycznych postulatów.

Nie miałem, bynajmniej, zamiaru wojować z „polskimi“ socjalistami; nie szukałem z nimi styczności, jak zresztą i oni bezpośrednio jej ze mną nie szukali. Nie wiem komu, lub czemu zawdzięczam wszczętą i w niczem nieprzebierającą walkę ze mną. Przypuszczam, że jest to skutek nieprzyznawania przezemnie bez zastrzeżeń autorytetu Piłsudskiego tam, na okupacji, gdzie go właśnie socjaliści wysuwali na apostoła.

Działalność moja w Rosji była, że tak powiem, jednostronną; dążyłem, by Polska zapoczątkowała swoją armję na zdrowych podstawach. Nie powinno to było przecież nikomu zawadzać. Tymczasem pp. socjaliści ¹⁾ właśnie najwięcej przeszkadzali i bruździli w pracy.

Wojsko polskie, które zaczęło się formować na mocy decyzji Zjazdu Wojskowych Polaków, byłoby znacznie liczniejsze i mogłoby przez to wpłynąć decydująco, jeżeli nie na wynik wojny światowej, to w każdym razie na pomyślnie ułożenie stosunków naszych z Rosją. Uniknęlibyśmy nie tylko zatargu z bolszewikami w r. 1918, ale, zbrojnych starć na Wschodzie w r. 1920. Nasuwa się tu przypuszczenie, że, przeciwdziałając formacjom polskim w Rosji, polscy socjaliści świadomie pomagali, albo Niemcom przez wdzięczność, albo bolszewikom przez solidarność wprowadzenia wszechświatowej rewolucji.

Tego im ani zapomnieć, ani przebaczyć nigdy nie należy. Nie chodziło tu może o istnienie samych formacyj wojskowych, a P. P. S. jedynie i wyłącznie zależało na osiągnięciu w nich wpływów. Ponieważ osiągnąć tego nie mogli, więc dalejże psuć i paskudzić.

Panowie polscy socjaliści umieli dobrze wykorzystać ciemnotę mas, bo niema takiego głupstwa i niedorzeczności w którąby ciemny człowiek nie uwierzył. To też zniechęcali żołnierzy do wojska polskiego głosząc, że w szeregach naszych biją i znęcają się. Głosili o tem na wszystkich węzłowych stacjach, na wszystkich punktach, gdzie były większe skupienia wojska. Wdzięczne to było zajęcie: agitator jadł, pił, młócił językiem, a „ktoś“ za tę robotę płacił.

Polscy socjaliści mieli najsilniejsze placówki w Mińsku i w Orszy; rej wśród nich wodzili pp. Berson, Baryła, Heltman i Chałupko. W następstwie

¹⁾ Patrz Myśl Niepodległa Nr. 465 z dnia 20. X. 19. „Pan Stefan Weychert“.

agitacji tego ostatniego większa część dywizji jen. Szamoty została rozbrojona, a niejeden dziesiątek oficerów i żołnierzy, dążących do mnie, został uwięziony, a nawet rozstrzelany ¹⁾. Mówiono mi, że ten pan Chałupko trafił ²⁾ do Sejmu Ustawodawczego. Niezły polski ustawodawca!

Wskutek agitacji pp. socjalistów skupiło się we wszystkich formacjach polskich w Rosji zaledwie 40 tysięcy zamiast pół miliona ludzi.

Agitatorzy powoływali się nieraz na rozkaz i autorytet Piłsudskiego. Nie osiągnęli jednak w zupełności tego, do czego dążyli; ich gra została popsuta, co przyczyniło się na gruncie polskim do pewnych niepowodzeń w socjalistycznych zamierzeniach i zawiodło ich nadzieje. Tego nie mogli mi darować. Dlatego, po moim powrocie do Kraju, stale w prasie lewicowej przeciwko mnie podnoszono przeróżne insynuacje. Wystarczy wziąć do rąk „Robotnika“ z lat 1918 i 1919, żeby się o tem przekonać. Atakowanie mnie dochodziło do śmieszności. Tak np. oskarżano mnie, że mówię źle po polsku, gdy w tymże „Robotniku“ roilo się od rusycyzmów, a nawet od grubego kopjowania moskiewszczyzny. Gdy Wielkopolanie zawezwali mnie do siebie, w Warszawie rozlepiano afisze, przeciwko mnie skierowane.

Zmuszony byłem zwrócić się do Piłsudskiego o ukrócenie takich wybryków. Nie odniosło to skutku. Więc albo Piłsudski aprobował takie postępowanie, albo moje pisma i telegramy przechodziły cenzurę, która decydowała, co adresatowi przedstawić, a co nie. To ostatnie jest tem prawdopodobniejsze, że potwierdza się innemi faktami. Np. gdy Piłsudski poraz pierwszy odwiedził Poznań, w październiku 1919 r. wszystko przeze mnie było tak zrobione, aby uczcić go należycie, jako Naczelnika Państwa. Więc na wszystkich stacjach kazałem wystawić warty honorowe; osobiście spotkałem go w Skalmierzycach i towarzyszyłem mu w podróży. Piłsudski zwrócił się do mnie z temi słowami: „mówiono mi, że wojsko Pańskie składa się ze starych żołnierzy armji pruskiej, a tu widzę samych młodych chłopaków“. Także na rewji w Poznaniu na twarzy Naczelnika Państwa odbijało się zdziwienie, gdy defilowali przed nim młodzi chłopcy. Oczywiście informatorzy komendanta, choć „zawodowi“ wojskowi, chcąc pomniejszyć moją pracę, tak sprawę przedstawili, że nie odróżniali Straży Ludowej, t. j. pospolitego ruszenia od regularnego Wojska Wielkopolskiego. Właśnie to było moją zasługą, że uzyskałem zgodę na pobór młodszych roczników, którymi uzupełniłem szeregi, a starych żołnierzy usunąłem do Straży Ludowej.

★

¹⁾ Dwaj bracia ś. p. kapitan i porucznik Rosińscy, oficerowie Korpusu, zostali skazani w Orszy przez Bersona za przynależność do Korpusu. Wyrok wykonano, wieszając skazańców żywcem za nogi na drzewie i paląc ich nad ogniskami od głowy. Posiadam fotografie tego wyrafinowanego morderstwa.

²⁾ Pod innym nazwiskiem.

Dobrze też byłem pilnowany po powrocie do kraju; chciano mnie nawet aresztować, ale wykonanie tego w Staszowie było dla nich zbyt niebezpieczne. Był to czas, gdy władza z rąk okupantów przeszła w ręce panów z P. P. S., którzy niebawem ogłosili hasła „niech żyje rząd robotniczo-włościański, odbierać ziemie obszarnikom, i t. p.“

13 listopada 1918 r. wyjechałem na wezwanie Piłsudskiego do Warszawy w towarzystwie por. Michalskiego i Trepko. Przejechaliśmy szczęśliwie Opatów. Miejscowy komisarz-socjalista, wysłedziwszy czas naszego przejazdu, wydał rozkaz aresztowania mnie, ale milicja nasz przejazd przegapiła. Wtedy roztropna komisarzowska głowa zatelefonowała do Ostrowca, by mnie tam zatrzymano. Rzeczywiście, na zakręcie szosy przy tem mieście, z bramy fabrycznego budynku wyskoczyło kilkunastu uzbrojonych obszarpańców (P. O. W-iaków czy Legjonistów), którzy wzięli mnie na cel. Takie postępowanie było bardziej niż głupie. Przecież byli oni podkomendnymi jakiegoś „jenerała-pseudonima“, a ten podwładnym Piłsudskiego. Piłsudski należał do P. P. S. Skąd więc taka niezgodność postępowania: jeden wzywa, drugi każe aresztować, trzeci bierze na cel!

A jakże to było, gdy okupanci ustąpili? Zaraz zaczęto wydawać gazetę „Robotnik“ z nagłówkiem jak wyżej oraz: „niech żyje socjalizm“ i „proletariusze wszystkich krajów łączcie się“. Było to wskazówką, że „Robotnik“ jest organem „międzynarodówki“, że będzie popierał tylko jej postulaty, a o Polskę dbać nie zamierza. Było tam w tytule oświadczenie, że dziennik ten jest organem „polskiej“ partji socjalistycznej, ale o tej domniemanej polskości należało sądzić tak, jak już wyżej o tem powiedziałem. Treść artykułów była powtórzeniem tego, co słyszałem już w Rosji, w czasie przewrotu bolszewickiego. Niebawem na zamku w Warszawie wywieszono czerwoną płachtę, jako zapowiedź, że wkrótce ma tam zainstalować się „sowieć“ robotniczo-żołnierski.

Ponieważ w „Robotniku“ stale mnie szkalowano, a Piłsudskiego wychwalano, przypuszczać należy, że ten ostatni miał przeprowadzić postulaty propagowane w artykułach. Mocno się też zdziwiłem, gdy znacznie później „Robotnik“ radykalnie zmienił swoje personalne zapatrywanie. Oczywiście mnie nie chwalił, ale Piłsudskiego mocno ganił. Po czyjejże stronie racja? Czy po stronie wydawców „Robotnika“, czy też po stronie Piłsudskiego?

A jak poczynali sobie „polscy“ socjaliści w Odrodzonej Polsce?

W r. 1923 brali oni czynny udział i kierowali w Krakowie masakrą ułanów 8-go pułku¹⁾. Ci ostatni byli przecież rodakami, podlegali Piłsudskiemu, więc (jak przyjęto nie bez pewnej racji mówić) byli jego żołnierzami. A jed-

¹⁾ Podczas t. zw. „procesu brzeskiego“ jeden z nich miał nawet czelność tem się chwalić.

nak morderstwo ułanów przeszło bezkarnie! Było zapewne zgóry ukartowane. Z tego wniosek, że socjalizm i jego ideje są czemś bliższem, ważniejszem od istnienia żołnierza polskiego, którego życie musi być poświęcone dla urzeczywistnienia postulatów międzynarodówki. Cóż więc za cel posyłać dzieci do szeregów, jeżeli ginąć mają nie w obronie Polski? Niech socjaliści swoje zamiary sami przeprowadzają.

Przytoczone powyżej fakty, dostatecznie charakteryzują „polskich“ socjalistów.

XIV

WYBUCH REWOLUCJI

Po klęsce w 1915 r. i odsunięciu frontu armji rosyjskiej na południk Baranowicz i linię rzeki Dźwiny, działalność walczących stron zamarła. Niemcy uzyskali maksimum tego, co mogli osiągnąć i nie byli zdolni do dalszego posuwania się na Wschód. Rosja natomiast wtedy nie zakończyła jeszcze nawet mobilizacji. Co prawda, miała wyczerpane materiały wojskowe (przeważnie artyleryjskie), ale fabryki mogły pracować. Trzeba było tylko wziąć się z całą energją do pracy na tyłach i w przeciągu 1916 r. i częściowo 1917 r. uzupełnić braki. Niestety w Rosji nie było człowieka wielkiej miary (jakim był np. Piotr Wielki), albo choćby ze stanowczym charakterem, który potrafiłby uspokoić dwa zwalczające się w państwie obozy. Jedni dążyli do reform liberalnych, inni do utrzymania starego regimu a co zatem idzie — do pokoju z Niemcami. Z tej walki skorzystał „tertius gaudens”. Są to zresztą wiadome rzeczy.

Walka partyjna działała destrukcyjnie na spoistość armji. Oczekiwano stanowczego oświadczenia, że wojna trwać będzie nadal. Ale gdy miast poplepszenia sytuacji (pod względem materjalnym) zaczęło się pogorszenie, destrukcja w szeregach wzięła górę i ostatecznie pogrzebała Rosję. Abdykacja cesarza za siebie i syna sprawiła, że Rosja, jako potęga, już stać się nie mogła, nie tylko wojując dalej, ale nawet, zawierając pokój. Rosja przez długie lata miała zostać skazaną na rozprzężenie.

Cesarza zastąpił Rząd Tymczasowy, który na zewnątrz występował liberalnie, zatem mało stanowczo, to też musiał wkrótce ustąpić. Stanowili go ludzie, życie których przeszło na krytyce dawnego regimu; nie potrafili przeto oni ustalić nic konkretnego, ani wprowadzić swych idei w życie; umieli tylko pięknie gadać. Dowództwo armji było zdezorjentowane kogo faktycznie słuchać. Przyglądałem się temu rewolucyjnemu „bałaganowi” obojętnie, póki nie wyszedł on poza granice najzwyczajszej logiki. Kilka razy zmienił się skład rządu, aresztowano naczelnego wodza, potem zabito drugiego — generała Duchonina i kilku innych generałów, zamiast „Dumy” rządziła jakaś „rada robotniczo-żołnierska”, a Kiereński jako wódz naczelny, musiał uciekać z wiecu, przez siebie zwołanego w 21-ym korpusie, bo żołnierze chcieli go pobić. Wreszcie po doświadczeniu pod Krewo¹⁾, przekonałem się, że inaczej jak biciem nic nie da się osiągnąć od tej zrewolucjonizowanej tłuszczy, którą

¹⁾ Patrz niżej (str. 159—161).

jeszcze zwano armją. Poczułem się wolnym od przysięgi, co też całkowicie zmieniło charakter mego stosunku do samorządnych, płynnych władz rosyjskich.

*

Abdykacja cesarza za siebie i następcę tronu, dokonana pod presją po „uprzątnięciu“ Rasputina, następnie abdykacja W. ks. Michała zaniepokoiły mnie. Wysuwała się kwestja przysięgi, podstawy dyscypliny: komu przysięgać? Przecież nie byle komu, kto po władzę sięgnie. Znałem armję rosyjską, jej ducha, tradycje, metody myślenia oraz jej ówczesny stan, kiedy, po cofnięciu się z ziem polskich, w szeregach pozostała tylko znikoma ilość zawodowych oficerów. Pułkami dowodzili tacy, co w czasie pokoju stali na czele kompanji, rzadko bataljonów. Pułki, i to nie wszystkie, posiadały po 1 — 2 kapitanów i 2 — 4 poruczników; reszta oficerów albo była wybita, albo pokaleczona. Zastąpili ich „ersatz oficerowie“ z nikłym wykształceniem, element przeważnie niepewny.

Z żołnierzami, będącymi w szeregach przed wojną, względnie, którzy przebyli w rezerwie nie więcej jak dwa lata, było to samo, t. j. prawie żadnego z nich nie zostało. Na froncie znajdowali się zmobilizowani ze starszych roczników, przyczem, kto tylko mógł, wsiąkał do bataljonów zapasowych. Tych było po jednym na każdy pułk linjowy¹⁾. Zebrała się tam nieproporcjonalna do etatów liczba żołnierzy, dochodząca do kilku tysięcy; naprz. w zapasowym polskim pułku w Biełgorodzie było przeszło 20 tysięcy; skupili się w nim tchórze, pijacy, szulerzy, słowem szumowiny.

Tymczasem na froncie pułki nigdy nie miały zapelnionych etatów; doprosić się o uzupełnienie było trudno. Zawsze znajdowała się jakaś przeszkoda, a jeżeli przysyłałi, to albo tylko co pobranych młodych chłopców, albo taki element, który był do niczego, lub wykpić się od wysłania na front nie potrafił. Taki stan był rezultatem niedołęstwa i marazmu tych dowódców, którzy stali na czele wojsk zapasowych.

Na świecie wszystko się wyczerpuje, wyczerpały się więc i zapasy młodości. Koniec końcem w zapasowych pułkach pozostali tylko ci, którzy byli zdecydowani na wszystko, byle nie iść do okopów. Nie trudno było i takich doprowadzić do porządku, ale należało zastosować mądre prawidło Fryderyka Wielkiego: „jeżeli żołnierz nie ma co robić trzeba wymyślić mu zajęcie“. Niestety w zapasowych bataljonach brakło karabinów i odpowiednich instruktorów; tych wogóle brakowało; ci którzy ich zastępowali, nic robić nie chcieli.

Zapasowe bataljony kwaterowały po miastach. Każdy oficer, a nawet żołnierz sprowadzał sobie żonę i więcej myślał o rodzinie, niż o obowiązku

¹⁾ Później bataljony przemianowano na pułki.

szkolenia. Widmo wyjścia na front groziło stale, co w końcu wywołało wrzenie, a stąd przesaczyło się do szeregów na froncie. Przewrót Kiereńskiego, a potem bolszewicki, podtrzymywały bataljony i to pułków gwardji, które oczywiście nie kwapiły się iść z Petersburga na wojnę.

*

Gdym przyszedł z telegramem¹⁾ o abdykacji cesarza do dowodzącego armją jen. Litwinowa, ten, ku mojemu zdumieniu, odpowiedział, że to nie groźnego, a przeciwnie będzie lepiej. Nie wiem, jak to rozumiał, bo jednym z pierwszych rozkazów nowego ministra wojny Guczkowa, było usunięcie prawie wszystkich generałów, zajmujących wyższe stanowiska, w tej liczbie i jen. Litwinowa.

Był to błąd, ponieważ zwrócono uwagę szeregów na rzekomą nieudolność władz w armji czynnej, nie będących winnymi zła, które działo się w państwie. Odpowiedzialność spadała oczywiście na Główny Sztab (w Petersburgu), który nie potrafił unormować i uporządkować kwestji uzupełnień, t. j. organizacji zapasowych bataljonów.

Było winne też i naczelne dowództwo, a szczególnie zły duch armji rosyjskiej — jen. Januszkiewicz, szef sztabu naczelnego wodza. Był moim kolegą z korpusu kadetów; uczył się dobrze, ale nie odznaczał się wielką inteligencją. W swoim czasie skończył akademię i, jak później dochodziły do mnie słuchy, szybko robił karierę, bo umiał trzymać się wielkiego ołtarza. Swem stanowiskiem odpowiadał Ludendorfowi, ale nie tylko jemu, ale nawet Kuropatkinowi nie dorównywał ani charakterem, ani zdolnościami. Wima jego polegała na tem, że nie potrafił sprecyzować planu wojny i przeprowadzić go konsekwentnie.

Wszak atutem Rosji, prócz masy siły żywej, były olbrzymie przestrzenie, tak umiejętnie wykorzystane w roku 1812. Tymczasem nie mając dość artylerji, bito się o każdą wioszczynę, o każdą linijkę, przez co wykruszano najlepszy materiał ludzki, podczas gdy była możność bez wielkich strat moralnych i materialnych cofać się aż pod południk choćby jakiejś Kaługi. Oczywiście trzeba było też umieć manewrować armjami. Natomiast setki robotycznych oddziałów, bezpośrednio za linjami walczących wojsk, a nawet w sferze ich działania budowały linje obronne, na których wojsko nawet nie zatrzymywało się, a często o nich nawet nie wiedziało, podczas gdy należało na odległości mniej więcej jednego, a może i kilku przemarszów, ufortyfikować pasy obronne, jak to robił Kuropatkin²⁾ i Niemcy.

Do takiego sposobu działania Rosja szykowała się przed wojną. Nazwano

¹⁾ Porównaj rozdział XII.

²⁾ W roku 1904—5.

to niby strategią Scytów, faktycznie zastosowano tylko barbarzyński sposób niszczenia wszystkiego, czego armja, cofając się, nie mogła zabrać.



Pierwsza armja przegradzała kierunek, prowadzący bezpośrednio do Moskwy, w razie więc przejścia Niemców do natarcia ona najbardziej musiałaby się wykręcać, żeby danemu zadaniu sprostać. Obawiałem się, że Niemcy zechcą wykorzystać nieład który zapanował po abdykacji cesarza. Zdwoilem czujność. Dzięki cenzurze listów żołnierskich dowiedziałem się, jak czują i myślą szeregi. Żołnierze pisali, że teraz ma być dobrze, gdyż armja walczyć będzie o „wolność Rosji“. Był to oczywiście odgłos propagandy, o której wspomniałem ¹⁾).

Tymczasem Niemcy wzmogli pracę swych agentów. W pociągach rozjeżdżały jakieś typy, które podczas postojów na stacjach albo podburzały przeciwko tym, co ujęli rewolucję w swoje ręce — innemi słowy bronili cesarza, albo podburzali przeciwko Rządowi Tymczasowemu i władzom wojskowym, tłumacząc, że dalsze prowadzenie wojny jest celem generałów i obszarników, chcących wygubić cały lud pracujący.

Nie trudno wyobrazić sobie, co się działo w głowach mas. Szeregi chciwie słuchały agitatorów, rozumiejąc ich wykłady tak: „wojować nie trzeba, należy iść do domu, bronić cesarza albo wolności“. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że powrotu do domu łatwo dokonać się nie da, bo przecież było zmobilizowane około 20 milionów żołnierzy. Jednak już w parę dni po abdykacji cesarza część masy żołnierskiej ruszyła ku pieleszom domowym. Wśród tych, co pozostali w okopach, zaczęto uprawiać propagandę o konieczności porozumienia się z linjami niemieckimi.

Abdykując za siebie i syna, Mikołaj II zwolnił armję od przysięgi. W parę godzin potem zrzekł się tronu następcą W. ks. Michał. Władzę w państwie objęła Duma, która wyłoniła rząd, pod mianem Tymczasowego. Zrobiono tu formalny błąd, bo W. ks. Michał nie wskazał w czyje ręce składa władzę, a głównie jak abdykację należy rozumieć. Nikt oczywiście, zgodnie z podstawowymi prawami Imperjum, nie był obowiązany uznawać Rządu Tymczasowego. Ale przyzwyczajenie do posłuszeństwa istniało, więc starszyzna (wyższe dowództwo) przyjęło to milcząco do wiadomości. Natomiast w szeregach zawrzało, bo faktycznie objąć władzę winien był jeden z Wielkich Książąt, mianowicie W. ks. Mikołaj, były naczelny wódz armji rosyjskiej.

Jedni, zresztą bardzo nieliczni, dowodzili, że przysięgać Rządowi Tymczasowemu nie należy i żądali na to specjalnego cesarskiego manifestu. Ci mieli słuszość. Inni wrzeszczeli, iż nie potrzeba żadnej przysięgi, ponieważ ogło-

¹⁾ Patrz rozdział XII.

szona jest wolność (swoboda) więc kto chce, ten przysięga, a kto nie chce, przysięgać nie ma obowiązku. Byli i wahający się, tych było najwięcej. Mniemano, że sam akt abdykacji jest rzeczą wielce podejrzaną, więc wielu lękało się, że po złożeniu przysięgi, mogą być pociągnięci do odpowiedzialności za przestępstwo zdrady; stawiali zatem warunek, by przełożeni pierwsi przysięgali. W 1 armji dotyczyło to dowodzącego i mnie. Po naradzie zdecydowaliśmy złożyć przysięgę, mając na względzie przedewszystkiem utrzymanie dyscypliny, oraz wychodząc z założenia, że w skład rządu¹⁾ weszli znani działacze rosyjscy, a nowy stan rzeczy należy zgodnie zapoczątkować. W obecności tłumów mieszkańców i żołnierzy przysięgę złożyliśmy. Po nas złożył przysięgę w całości garnizon Głębokiego i Berezwecza a potem i cała armja. Mniejwięcej działo się to samo w innych armjach.

Co się tyczy mnie, wiedziony upodobaniem, znalazłem oparcie swego istnienia w armji rosyjskiej. Zdecydowawszy się raz na tę służbę, w której nie widziałem nic hańbiącego mimo, że hurrapatrjoci byli odmiennego na tę sprawę poglądu, byłem obowiązany do sumiennego jej wykonania i to do końca wygaśnięcia umowy służbowej. Jeżeli Dom panujący abdykował, a Rząd Tymczasowy podejmował się, jak głosił, doprowadzić wojnę do końca, nie widziałem przeszkód do uznania owej władzy, tembardziej, że władza ta głosiła konieczność rozstrzygnięcia kwestji polskiej. To szło przeciw w kierunku moich dążeń. Moje postanowienie kończyło się z rozwiązaniem Dumy, lub obraniem takiej władzy państwowej, która brałaby początek nie od jej upoważnienia.

Miałem ręce rozwiązane, gdy władzę objęli bolszewicy, najgorsze elementy w państwie. Z tem towarzystwem współdziałać nie chciałem, a szczególnie po żądaniu Krylenki, bym się stał jego narzędziem przy uśmierzaniu Ukrainy i kozactwa.

Już rząd Kiereńskiego budził we mnie wątpliwości. Osobiście go nie znałem: wyłonił się z kliki, o której profesor i członek Dumy, człowiek umiarkowanych poglądów Milukow, wyraził się, że są to „lewe osły“. Sam Kiereński był to adwokacik z „Carycyna lub Carewokokszajska“. Żle wychowany, pozbawiony wszelkiej ogłady, arogant w stosunku do swego cesarza, przed którym w niedawnym czasie drżał, tchórz, uciekający przed skutkami własnych demagogicznych zarządzeń, pozer, który miał zamiar drogą błyskotliwych, lecz pozbawionych głębszej treści mów ować duszę narodu. Gdy poczuł, że usuwa mu się grunt z pod nóg, głądził o konieczności podtrzymania dyscypliny, którą sam zniszczył, mniemając, że stworzy jakąś inną „rewolucyjną“. Był to poprostu — oszust, który nawet nie potrafił zrozumieć, że niema dyscypliny carskiej, rewolucyjnej, lub jakiej innej, a istnieje tylko prawo i porządek. Naczelnym wódcą armji, liczącej w chwili objęcia przez niego na-

¹⁾ Pierwszego po abdykacji.

czelnego dowództwa 80 korpusów linjowych — po dwumiesięcznym swym kierownictwie pozostawił w spuściźnie — rozpasane bandy marynarzy, Łotyszów i Chińczyków.

Charakterystyka ta, oparta na faktach, dowodzi, że Kiereński nie mógł być właściwie ani kierownikiem państwa, ani głównodowodzącym.

Bardzo dużo i szeroko o nim mówiono w armji; wybito nawet na jego cześć jakieś medaliki, które skwapliwie były noszone przez „lewych osłów“. Upewniano mnie, że to rosyjski Carnot. Podporządkowałem się tym nadziejom; nikt wówczas nie przypuszczał, że Kiereński będzie głównym grabarzem armji i Rosji.

Proszę czytelnika, aby nie wysnuwał wniosku o moich sympatjach do Rosji i cesarza. Rosja carska wcale nie była dla nas rajem, ale rządy jej nie zrobiły, nawet w czasie 150-letniej niewoli, tyle złego, ile Kiereński i bolszewicy w przeciągu 5 miesięcy. Tam była możność bronienia się, tu zaś mordowano dla morderstwa; tam wywłaszczano i konfiskowano, tu grabiono i niszczone. Rosja carska przeczuwała ewentualny zwrot motłochu przeciwko inteligencji. W Bolszewji inteligencję tępiono, żeby wpędzić naród w stan ostatecznego zbydłecenia.

Rosji carskiej nie można porównywać z Rosją bolszewicką.

Do składu Rządu Tymczasowego między innemi weszli Milukow, Guczkow i Kiereński. Milukow, znany profesor, dużo pisał i umiał ładnie gadać, było to niestety wskazówką, że nie jest człowiekiem czynu. Największe nadzieje zapowiadał Guczkow. Posiadał rozum i spryt, ale zabrakło mu odwagi, żeby rewolucję utrzymać w pewnych granicach. Dał się zasugestjonować frazeologii Kiereńskiego.

Armja uznała władzę Dumy; ta zaś kazała przysięgać Rządowi. Stało się to bez sprzeciwu, a nawet z pewną otuchą w lepszą przyszłość. Szumne zapowiedzi, idące z góry, rokowały, że wszystko pójdzie jaknajlepiej. Niestety nadzieje zawiodły. Po kilku miodowych dniach „równości, braterstwa i wolności“, słynny rozkaz nr. 1 adwokacika Sokołowa wywołał wręcz odwrotne piorunujące skutki: w ciągu jednego dnia armja się rozprzegła...

Guczkow, jeszcze przed abdykacją cesarza, podtrzymywał stały kontakt z armją i znał dobrze nastroje i nurtujące w niej prądy. Objąwszy tekę ministra wojny, postanowił dowództwo odmłodzić. Zawezwał mnie do Petersburga.

Wtedy w armji zostały już wprowadzone (niemniej słynne, niż rozkaz nr. 1) komitety. Na podstawie mej rozmowy z Guczkowem przypuszczam, że Guczkow dobrze rozumiał do czego te inowacje doprowadzić muszą, ale jako człowiek mało stanowczy bał się je cofnąć. Zasięgał mego zdania, co do sytuacji w szeregach. Odparłem wręcz, że rozkaz Sokołowa jest katastrofalny i należy go niezwłocznie skasować. Zganiłem stanowczo też komitety; uwzględniając dokonany stan rzeczy, zaproponowałem, żeby w skład komi-

tetów obowiązkowo delegowano dowódców oddziałów, *którzy jeszcze przez inercję korzystali z autorytetu, jako prezesów z decydującym głosem, oraz z wyboru oficerów — jednego oficera; z wyboru podoficerów — dwóch podoficerów, i jednego szeregowca.* Zaproponowałem, żeby dać komitetom dużą władzę dyscyplinarną. W wprowadzonych już komitetach wszyscy byli z wyboru; przeważali żołnierze, którzy dzięki temu stawali się nie tylko kontrolerami dowództwa, ale i ich przełożonymi.

Po wysłuchaniu moich propozycji, Guczkow kazał mi być na posiedzeniu komisji, pod przewodnictwem eks-ministra wojny, jen. Poliwanowa, która debatowała nad reorganizacją armii w zależności od nowej sytuacji politycznej w państwie. Potem miałem się znów zameldować.

Posiedzenia Komisji Poliwanowa odbywały się w pałacu ministra wojny. Zebrało się tam około 50 osób; kilku mniej znanych na froncie generałów, paru sztabowych oficerów, kilkunastu cywilnych z długimi włosami i srogimi twarzami rewolucyjnymi oraz prawie tyluż młodych oficerów. Zespół ten robił wrażenie zbiorowiska ludzi z dalekich tyłów, politykierów oraz osobników, mających słabe pojęcie, co to jest państwo, a zatem nie wiedzących, o co właściwie chodzi. Na twarzach malowała się nie tylko duma z powodu udziału w komisji o tak ważnych zagadnieniach, ale jednocześnie słabo zamaskowane przekonanie, że jest źle. Słowem było więcej przygnębienia, niż pewności siebie.

Zaczęły się debaty: gadali wszyscy, jeden od Sasa, drugi od Lasa; wyrzucali potoki frazesów: o rewolucji, władzy ludu etc. etc., ale nikt nie postawił kwestji jasno, czego właściwie chce, lub potrzeba. Wyczuwało się z tych mów, że zebraniem głównie zależy na utrzymaniu zdobyczy rewolucji, t. j. pozostawienie w mocy wspomnianego wyżej rozkazu nr. 1 i komitetów, mimo tego, że przecież istniała najważniejsza kwestja konieczności utrzymania w porządku zmobilizowanej 20 miljonowej masy.

W czasie przerwy w posiedzeniu, zwróciłem się do jednego z członków Komisji, młodziutkiego kapitana, dowodzącego, jak się okazało, pułkiem zapasowym grenadierów gwardji, czy może ręczyć, że żołnierze spełnią jego osobisty rozkaz. Odpowiedział zmieszany, że nie, ponieważ on wypełnia tylko rozkazy pułkowego komitetu.

A więc jeżeli w Petersburgu — siedzibie władz centralnych, kwaterowały takie pułki, to cóż mogła zrobić komisja Poliwanowa? Albo uchwalić pozostawienie w sile rozkazu nr. 1, albo go znieść. *Wtedy pierwszy lepszy komitet pułkowy miał możność rozpaddinga tej komisji.*

To mi wystarczyło! Po wznowieniu posiedzenia prosiłem jen. Poliwanowa o wyjaśnienie czcigodnemu zebraniu, czy wojna będzie nadal prowadzona, czy nie, bo od tego zależeć musi program dyskusji. Poliwanow zmieształ się, ale zrozumiawszy moją intencję, zaproponował zwrócić się z tem

pytaniem do ministra wojny, bo on, Poliwanow, nie wie. Wtedy wstałem i wyszedłem.

Jak się później okazało, komisja nic nie zadecydowała, a bolszewicy ją rozpędzili i przyznam, postąpili słusznie. Komisyjne gadania wywołują tylko ten skutek, że wprowadzają w ruch powietrze, ale to się i bez komisji odbywać może.

Następnego dnia zameldowałem się u Guczkowa i podzieliłem się ujemnymi wrażeniami z posiedzenia. Wówczas G. powiedział, że miał zamiar mianować mnie szefem sztabu generalnego, względnie polecić szefostwo trzem jego główniejszymi departamentami; widzi jednak, że więcej przyniosę korzyści na froncie, który trzeba bezwzględnie utrzymać w porządku. Proponuje mi zatem powrót do armji i oczekiwanie nominacji na wyższe stanowisko.

W owym czasie w Petersburgu dużo gadała Duma, ale bezprogramowo. Z tego powodu sfery kierujące w armji, były zupełnie zdezorientowane. Zrównoważeni mówili „finis Russiae!“, utopiści-zapaleńcy, przeważnie ludzie porządni, nie przeczuwając czego można się spodziewać po zmianie ustroju, wypowiadali płomieniste, ale nietreściwe przemówienia. Skromna, szara, pracująca i poświęcająca się brać nie wiedziała czemu i komu wierzyć, za kim pójść. Byli to najniezszczęśliwsi ludzie. Wierzyli ongiś w cesarza i w jego potęgę; tymczasem on abdykował. Na wyższe stanowiska ponałaziły osobistości, łączące osobę monarchy i opowiadające wciąż o równości, w którą nikt nie wierzył i uwierzyć nie mógł. Nikt nie wspomniał o sprawiedliwości, do której każdy Rosjanin wzdychał, wierząc ciągle w jej ostateczny triumf.

Rzeczywiście, rozmaici macherzy, trafnie nazwani „nurkami“, poczuli pismo nosem. Doskonale rozumiejąc znaczenie upadku caryzmu, rozpoczęli zabiegi u nowych panów, by zabezpieczyć sobie zawczasu stanowiska. Niemal wszystkie antypatyczne typy doskonale się przystosowały i urządziły. Do czasu rewolucji byli to zajadli obrusiciele, rzekome podpory tronu. Teraz głosili bolszewickie doktryny.

W tych warunkach wróciłem do Głębokiego.

Na miejscu dowiedziałem się, że dowodzący armją jen. Litwinow otrzymał dymisję. Przypisywano mu brak energii, co nie było prawdą. Gdyby takich generałów było więcej, Rosjanie nie przegraliby wojny. Usunięcie Litwinowa było rezultatem intryg rozmaitych „nurków“, którym generał nie dawał możliwości wyskoczenia na wyższe stanowiska.

Na dowódcę 1-ej armji wyznaczono jen. Sokownina, mało mi znanego, a jak się później okazało, osobnika o charakterze chwiejnym i tchórzliwym. Byłem obecny podczas jego przemówienia do tłumów o ile pamiętam, w Wendenie. Perswadował coś o konieczności dyscypliny, ale tak, jakby się tego wstydził. Odpowiedniego wrażenia nie wywarł i entuzjazmu nie wywołał.

Wkrótce zaproponowano mi objęcie dowództwa nad 3-im, 15-ym lub

38-ym korpusem. Wybrałem 3-ci, lecz ubiegł starszy służbą współzawodnik, który później z lekkim sercem przeszedł do bolszewików i słynie teraz jako krytyk byłej armii carskiej. Zapewnie brał udział w najściu bolszewików na Polskę w roku 1920. Nazywał się Nadiożnyj, t. j. „pewny“. Będąc szefem sztabu dywizji V-go korpusu, kilkakrotnie był przyłapany przez jen. Litwinowa na gorącym uczynku blagi. O nim puściłem dowcip, że jego dywizja (dziesiąta) nie jest „pewną“, choć szef sztabu jest „pewny“.

Nie wiem czemu przypisać, ale 3-ci korpus najwcześniej i najbardziej się zrewoltował.

Miałem powód do nie objęcia dowództwa nad 15-tym korpusem¹⁾, wybrałem więc 38-y. Korpus ten składał się z 4 dywizyj: 11-tej syberyjskiej, 52-ej, 62-ej i 175-ej liniowych. Pierwsza z nich była jeszcze coś warta, dwie następne niewiele, a ostatnia absolutnie nic. Ocenę tę stosuję tylko do piechoty; natomiast artylerja, jak zresztą wogóle cała rosyjska artylerja, była doskonała. W skład korpusu wchodziły poza tem dwie seciny kozaków orenburskich i kompanja inwalidów kawalerów orderu św. Jerzego.

Komitety: pułkowe, dywizyjne, korpusowy oraz rozmaitych drobnych oddziałów przypominały parlamenty.

Mojem zdaniem, gdzie się krew leje, tam niema czasu na gadanie, a jedynie należy wykonywać rozkazy. Z członków pułkowego komitetu można było sformować nowy pluton, a z dywizyjnego pół kompanji. Czyli 16 komitetów pułkowych i 4 komitety dywizyjne, nie licząc innych, były w stanie stworzyć 6 kompanij. Na polu bitwy zbywających bataljonów nie bywa, osłabienie więc szeregów taką ilością ludzi już było przestępstwem. W skład komitetów wchodziłi tchórze i t. p. „elita“. Pierwszą uchwaloną przez komitety rezolucją, było zwolnienie swych członków od obowiązku przebywania w okopach; woleli bowiem bezpiecznie wycierać kąty w sztabach i powiększać ogólne zamieszanie.

Ośmieszylby się dowódca, uznający autorytet komitetów, członkowie których intelektualnie stali nisko: jakieś podporuczniczki, żołnierze z cenzusem szkół powszechnych, sztabowe pisarki i t. p., słowem nie żołnierze, a figuranci w mundurach! Całe to bractwo żądało wyjaśnień. Oczywiście lada małtkowi można włożyć w głowę nawet teorię dwumianu Newtona, ale na to potrzeba czasu.

Każdy z nich mniemał, że jeżeli tylko mianują go dowódcą, potrafi uratować nie tylko sytuację polityczną, ale i armję. Pisarki pragnęły objąć szefostwa nad sztabami. Żaden nie myślał o podtrzymaniu dyscypliny, a choćby zachowaniu grzeczności. Przeciwnie, okazywali oni jak najmniejsze uszanowanie dla przełożonych. Przecież na tem polegały zdobycze rewolucji.

¹⁾ 15 korpus zginął w Prusach w r. 1914. Odtworzyli go później na nowo, ale mało co był wart.

G..., kominiarz, rewirowy, wszyscy równi, wszyscy żądali pensji jeneralskiej, względnie pułkownikowskiej.

Jedno przyznaję wszystkim członkom komitetów: w prostej linii pochodzili od Chama.

Pewnego razu komitet 175 dywizji chciał narzucić mi żądanie złuzowania żołnierzy z okopów. Zjawiłem się na posiedzeniu i rozpędziłem całą tę kompanijkę. Rozumie się, że natychmiast zatelegrafowali do ministra wojny, a był nim wówczas osławiony Sawinkow. Ten przysłał mi telegraficzny rozkaz zwołania na nowo komitetu. Odelegrafowałem dosłownie: „rozwiązałem komitet na mocy ustawy o komitetach, którą minister wojny winien znać“¹⁾. Zachodzę dotychczas w głowę dlaczego właśnie Sawinkowa zrobił no ministrem wojny? Na wojskowości znał się tylko tyle, że w Sewastopolu rzucił bombę na gubernatora. Siedział za to w katordze, co widocznie wystarczało do stania się strategikiem, czy administratorem.

*

Przy stanie takich okoliczności w armji, Rząd, naciskany przez Ententę, postanowił zaatakować Niemców dwoma grupami wojsk; jedną pod wodzą jen. Brusilowa na południowym froncie; drugą pod dowodzącym X armją w kierunku Mołodeczno — Wilno. Do tej ostatniej grupy włączono mój 38-my korpus.

Nie dałoby się spisać i na wołowej skórze, co mnie kosztowało zmuszenie do posłuszeństwa pułków, zrewoltowanych przez komitety. Musiałem dla osiągnięcia dyscypliny stosować drakońskie środki. Tak np. jakaś kompanja oświadczyła, że bić się nie chce. Kazałem jej przyjść do siebie i osobiście tłukąc żołnierzy, zmusiłem do subordynacji. Okazało się, że głównym agitatorom był sierżant sztabowy, pochodzący z pisarzy gminnych.

Po paru dniach, bataljon innego pułku znów przez swój komitet oświadczył, że do ataku nie pójdzie. Rozkazałem temu bataljonowi przyjść do mnie, co natychmiast uczynił, przypuszczając oczywiście, że rozkaz mój oznacza złuzowanie. Ściągnąłem uprzednio do sztabu baterję, której kazałem odprzodkować się, działa nabić i na dany przezemnie znak, rozpocząć ogień; odpowiednie też rozkazy do ataku wydałem secinom, a kompanji inwalidów, o której wyżej już wspomniałem, kazałem ustawić karabiny maszynowe do natychmiastowego, na mój rozkaz, wszczęcia ognia. Po zarządzeniu tych przygotowań wyszedłem przed bataljon i oświadczyłem, że jeżeli natychmiast nie wydadzą mi hersztów buntu, każę rozpocząć ogień. Żołnierze po paru chwilach wahania wskazali agitatorów. Wtedy bataljon odesłałem na po-

¹⁾ W ustawie o komitetach władza dow. korpusu nad nimi nie była ograniczona.

zycję, a wicherzycieli kazałem rozebrać do naga i tak przepędzić 25 wiorst do sędziego śledczego.

Rozkaz został dokładnie spełniony. Wszystko to się działo w obecności przysłanego mi przez komitet armji komisarza, niejakiego chorążego Konołowa, który oczywiście miał być przy mnie oficjalnym szpiegiem.

Zaszło jednak zdarzenie, mogące skończyć się dla mnie tragicznie. Zarządziłem pewne przegrupowania. Jeden z pułków 62 dywizji odmówił spełnienia rozkazu, a gdy agitatora niejakiego chorążego Timofiejewa odnalazłem i aresztowałem przed pułkiem, ten, na cały głos zawołał o ratunek. W sekundę szeregi przysły i koło 3 tysięcy żołnierzy rzuciło się na mnie z bagnetami. Zupełnie otoczony, rozerwałem mundur wołając: „zabijcie mnie sukine syny!“

Czy ten gest, czy też inna przyczyna powstrzymała tłuszcę, która z wyciem doskakiwała do mnie, mierząc w pierś bagnetami, ale zabrakło bandzie odwagi do zbrodni; byłbym może i zginął, ale dowódca pułku tłum uspokoił. Miałem jeszcze tyle siły woli, że rozkazałem znowu uformować szeregi i w mej obecności wyruszyć na wyznaczone miejsce. — Incydent ów omal nie miał krwawego epilogu, ale w większym stylu. Mianowicie pułk strzelców syberyjskich, stojący opodal, dowiedziawszy się, że mnie mają zabić, porwał za broń i podążył mi na odsiecz. Ujrzawszy mnie żywego, pocziwi sybiracy urządzili mi owację.

Po szeregu podobnych zajść doprowadziłem korpus do względnego posłuszeństwa; powiedziałem — względnego, bo tylko terorem trzymałem tę tłuszcę w karchach.

Jednocześnie pracowałem nad planem ataku. Dałem też odpowiednie wskazówki co do użycia artylerji: rozporządzałem 250 armatami różnych kalibrów, w tem dwiema 12-o calówkami. Jak na stosunki w armji rosyjskiej, była to liczba niebywała, choć stanowiła zaledwie czwartą część ilości dział, używanych przy atakach na froncie francuskim.

Rząd Tymczasowy wiedział o tem, że w szeregach wrze i ofenzywa może się nie udać. Kiereński, „wódz narodu“, zdecydował objechać wszystkie oddziały wojskowe i namówić je do ataku. Przyjechał i do mnie. Uprzednio, w 21 korpusie, stojącym na prawem skrzydle armji, żołnierze chcieli Kiereńskiego pobić. Cóż w tem dziwnego? Były to skutki rozkazu nr. 1, po wydaniu którego żołnierze już zamordowali bezkarnie kilku generałów i dużą liczbę oficerów. Miano więc oczywiście ochotę zabawić się jeszcze w pobicie „naczelnego wodza“. Ledwie się im wymknął.

W innych korpusach było mało co lepiej i dopiero, gdy do mnie przyjechał, zastał porządek. Potwierdza to w swych pamiętnikach dowodzący Frontem Zachodnim, znany też i nam, jen. Denikin.

Nazajutrz „po namawianiu“ zebrali się wszyscy dowódcy korpusów na naradę u Kiereńskiego. Był on bardzo przygnębiony; radziłem natychmiasto-

we wprowadzenie sądów doraźnych i kary śmierci, twierdząc, że po dwóch dniach armji nie pozna. Odparł: „nie mogę!“. Przypuszczam, po wypadkach, które tylko co przeżył, zrozumiał różnicę między prawdziwym wojskiem, a ówczesną „bête humaine“, zagnaną do szeregów. Atak jednakowoż postanowił przeprowadzić.

Postanowienie to było bardzo niesumienne, bo nie poskromiwszy agitacji przeciw atakowi, aż nadto było jasne, że ów atak udać się nie może. Gdy Kiereński namawiał do walki z Niemcami dla zniszczenia, jak mówił, ich imperjalizmu, setki agitatorów bolszewickich tłumaczyło żołnierzom, że bić się nie należy, bo zginą tysiące, które potrzebne są do obrony zdobyczy rewolucji oraz dla jej pogłębienia. Nie trudno było odgadnąć, kto posłuch zdobędzie.

Na odcinku, który miałem atakować, kluczem taktycznym pozycyj niemieckich były ruiny starego zamku Krew. Pozostały po nim bardzo grube mury, które mogły być rozbite tylko przez dwunastocalówki i to dużą ilością pocisków. Niestety dano mi tylko dziesięć pocisków, które też mało szkód poczyniły.



Przesłuchiwanie przez koalicyjnych oficerów z płk. Rompon na czele jeńców niemieckich wziętych pod Krew.

Artyleryjskie przygotowanie trwało trzy dni i zrobiło swoje. Piechota miała możność zająć niemieckie okopy bez strat. Niestety na rozkaz rozpoczęcia ataku, wyruszyła zaledwie dziesiąta część żołnierzy, podczas gdy reszta pochowała się. Ale i ta cząsteczka, która zdecydowanie ruszyła do ataku, zamiast zająć wskazaną jej określoną linię, zapędziła się za daleko i została przez Niemców odparta.

Fakty dowodzą, czego agitacja zdołała dokonać w szeregach: jeden pułk, gdy w pierwszym dniu przygotowania do ataku, zagrały armaty, tylko ze strachu przed hukiem, uciekł z pozycji, nie zapominając jednak zabrać po drodze swych kuchni. W okopach pozostało tylko kilku oficerów starszych rang i około 50 żołnierzy. Dopiero kozacy, zawrócili to bydło z odległości

10 km. za pozycją. Miałem zamiar wszystkim tym, rzekomym obrońcom zdobyczy rewolucji, dać w skórę; byłbym to święcie zrobił. Od egzekucji uratował ich kom. Konowałow, obiecując nawrócić tchórzy na drogę obowiązku. Mówił dwie godziny; na twarzach słuchaczy wystąpiło zniechęcenie, co dowodziło, że nikt w gadanie nie wierzył.

Najlepszym pułkiem w korpusie był 42 syberyjski. — Gdy przed zaczęciem ataku żołnierze innych pułków wiecowali, naradzając się czy atakować, czy nie, ten wręcz oświadczył, że do ataku pójdzie. To wywołało wahanie wśród innych pułków, które zaczęły się również skłaniać ku konieczności wzięcia udziału w bitwie. Wtedy bolszewicy nasłali najlepszych swoich agitatorów i w dwa dni pułki zostały zrewoltowane.

Czytelnik zapewne pomyśli: a cóż na to oficerowie, cóż dowódcy pułków i dywizji? Nic już się zrobić nie dało. W 21-szym korpusie żołnierze zabili jen. Beneskuła tylko za to, że im mówił o ataku. I gdybyż to był człowiek surowy! Dla podwładnych był uosobieniem dobroci, łagodności, pobłażliwości i miłości. Wypadek ten nie był odosobniony. W takiej sytuacji oficerowie, nie mając posłuchu, postanowili iść do ataku, nie zważając czy za nimi ruszą żołnierze, czy nie. Wtem mam rozwiązanie zagadki, dlaczego atakujący nie zatrzymali się na wskazanej przezemnie linii, ale poszli dalej — szukając śmierci lub niewoli. Woleli to, niż hańbę niesubordynacji. Cześć im!

W opowiadaniu mem nic nie przesadzam; to są fakty, które dowodzą, jak znikomą siłę przedstawiała armja rosyjska po ogłoszeniu rewolucji. Wojsko stoczone było przez zdradę; Niemcy wiedzieli o wszystkim, co się u nas działo. Potwierdził to jen. Hoffman, opowiadając, że rozkaz mój do korpusu, skierowany przeciw Niemcom, był mu tegoż dnia wiadomy i to mimo podwójnego pasu drutów kolczastych, które nas od Niemców dzieliły.

SWIT NIEPODLEGŁOŚCI

Po ukończeniu akcji zaczepnych w kierunku na Łuck i Krewa, Rząd Tymczasowy stracił głowę, co się niezwłocznie odbiło i na dowódcach armji. Mimo, że jen. Brusilow osiągnął pewne rezultaty, nie udało się odsunąć frontu niemieckiego. Na północy, t. j. w 10-tej armji, w skład której wchodziłem, osiągnięto znacznie mniej: wzięto parę tysięcy Niemców, uznać jednak tego za poważny sukces nie można; była to tylko demonstracja.

Przedsięwzięcia zaczepne nietylko nie powstrzymały od rozpadnięcia się armji, ale wręcz przeciwnie, przyspieszyły je. Zaczęło się jawne bratanie się z Niemcami. Bolszewicy, którzy je wszczęli, wierzyli, że zbolszewizują Niemców. Szło im to opornie, bo Niemcy zgodnie dążyli do zlikwidowania armji rosyjskiej, a dopiero potem obiecywali zorganizować rewolucję u siebie. Na froncie rosyjskim zapanował zupełny nepotyzm; wprowadzić z powrotem porządek mógł tylko jakiś krok stanowczy, lub mądre posunięcie. Nie było to niemożliwością. Ale pp. socjaliści starannie tępilі wszystko, co było w dowództwie energicznem i zdolnem, obawiając się kontr-rewolucji, która, rzekomo, po objęciu władzy, zaofiaruje im stryczki. Aresztowano naprz. Kornilowa, pousuwano ze stanowisk dobrych generałów, następnie zabito Duchonina. Masa żołnierska, utraciwszy kierowników, łatwo dała się ogłupić piewcom pseudo-wolności.

W takich okolicznościach otrzymałem telegraficzne zapytanie najpierw 13 lipca 1917 r.: „Czy zgadzam się objąć dowództwo nad mającym się formować 1 Polskim Korpusem, *jeżeli nie znajdzie się starszego kandydata*“, a w kilka dni później: „Czy zgodzę się objąć dowództwo nad 2-ą, a potem nad 11-tą armją rosyjską“.

Miałem więc dwie drogi do wyboru: albo rzucić się w otchłań rewolucji, szukając w niej dalszego rozwoju obranej kariery, albo przystąpić do zrealizowania marzeń o służeniu własnej Ojczyźnie.

W normalnych czasach mogłem liczyć na wysunięcie mnie w armji, choćby nawet na stanowisko naczelnego wodza; tem łatwiej mogło się to stać podczas rewolucji. Pochodzenie moje nawetby temu dopomogło. Niestety mam wstręt do oszukaństwa. Nie znoszę ludzi, którzy, przeczytawszy Marksa i kilkanaście propagandowych książek, udają, że osiągnęli tajniki mądrości. Właśnie od takich typów roili się szeregi działaczy w późniejszych okresach rewolucji rosyjskiej. Oni przecież pierwsi podnieśli hasło: „precz z nauką“.

Z takimi nie mógłbym współpracować.

Zamiana dowództwa nad 38 korpusem, na dowodzenie 1-ym Korpusem Polskim, nic, ze względu na karierę, dodatniego nie obiecywała. W armji rosyjskiej, lub gdybym stał się adeptem bolszewizmu i w armji czerwonej, oczekiwało mnie szersze pole działania, ale trzeba było przefrymarczyć swoje przekonania.

Od dzieciństwa, dążyłem do tego, aby móc coś zrobić dla Polski, nie baczając na Jej przyszły ustrój. Miałem dowodzić rodakami, o zaletach których tak wiele pięknego czytałem i słyszałem. W czasie wojny światowej Polacy w szeregach rosyjskich zdobyli dobrą opinię; żaden z nich nie zdradził, przeciwnie były wypadki podkreślania lojalności. Taki naprz. pułk. Mościcki, na propozycję przejścia na stronę państw centralnych, wręcz odmówił, chociaż nie skąpił słów uznania zarówno Radzie Regencyjnej, jak i Piłsudskiemu. Chciałem wierzyć, że Polacy są ludźmi rozsądnymi, nie dadzą się złapać na lep demagogicznych haseł. Niejednokrotnie dowiedli, że wysoko cenią wolność. Są świadkami, jak potęga rosyjska rozsypuje się i jak sami Rosjanie dokładają sił, aby tę potęgę rozwalić. Przecież Polacy tego nie zrobią względem Polski, dla której odsłaniały się bajeczne możliwości.

A żołnierz? Tyle o nim pisano, tyle śpiewano! Słowo „wiarus“ napęliło serce otuchą, utwierdzało w przekonaniu, że z nim cudów dokonywać można. Somosierra, Mir, Borodino, Możajsk, Lipsk mówiły same za siebie. Umiąłem wiele wydobyć z rosyjskiego żołnierza, przypuszczałem, że potrafię wydobyć jeszcze więcej z rodaka.

Oto są przyczyny i powody, dla których zdecydowałem się bez wahania objąć dowództwo nad 1-ym Polskim Korpusem, poświęcając chętnie karierę, zarysowującą się dla śmiałego i zdolnego człowieka podczas każdej wojny i rewolucji.¹⁾

Z pobudek ściśle ideowych, objęcie dowództwa nad formacjami polskimi najzupełniej zadowalało moją ambicję; powątpiewałem jednak czy znajdę zrozumienie mej decyzji u rodaków. Przekonałem się później, że obawy moje były słuszne.

Patryotyzmu, opartego na marzycielstwie, nam nie brak. Wszak lada niedouczonek, który „chodził“ koło uniwersytetu lub chorąży od wczoraj, nie inaczej wyobraża siebie, jak w roli genialnego polityka, wielkiego generała, ba, nawet naczelnego wodza lub Naczelnika; a ponieważ każdy taki nie posiada nadmiaru wiedzy, doświadczenia lub innych osobistych zalet, więc je zastępuje intrygą, zazdrością bez granic i błaga.

Po objęciu dowództwa, przykładów słuszności mej opinii miałem aż nadto: np. jeden z dość głośnych dzisiaj generałów, posiadający tę rangę „od wczoraj“, twierdził²⁾, że jest wysuwany na stanowisko dowódcy korpusu

¹⁾ Załącznik nr. 221.

²⁾ W roku 1917.

i dał do zrozumienia, że tylko dzięki przypadkowi ja go ubiegłem. Było to nieprawdą, bo znany był on jako zwykły „stupajka“. Jeden z członków Naczpołu w rozmowie ze mną, temi słowy określił swoje możliwości: „Gdyby to pan nauczył mnie sztuki wojkowej, wtedy mógłbym stanąć na czele korpusu“. Rzeczywiście, wymowę posiadał i polityką się zajmował; brakowało mu tylko drobnostki — kwalifikacyj strategicznych i doświadczenia.

Później, kiedy korpus już zorganizowałem i gdy zawiodły nadzieje możliwości narzucania mi swojej woli, zaczęto snuć intrygi w celu zastąpienia mnie kimś innym. Na takiej płaszczyźnie walczyć nie umiałem! Wysuwano kilku kandydatów, naprz. pułk. Mościckiego, brygadiera Januszajtisa i Berbeckiego. Trafił do moich rąk telegram ¹⁾, adresowany do Rady Polskiej i p. Osmołowskiego, z podobną propozycją, podpisany przez poważne zrzeszenie polityczne; dostał się ten telegram do moich rąk, dlatego, że adresaci częściowo byli wtedy aresztowani, a inni ukrywali się, całą zaś ich korespondencję przynoszono do mnie.

Przed zabiegami u władz rosyjskich o nominację dowódcy 1-go Polskiego Korpusu, należało zgłębić i dobrze zrozumieć aforyzm: „każdy żołnierz nosi buławę w tornistrze“. Nosić jest łatwiej, niż umieć jej użyć. Stuprocentowy Polak, choć wybitny dowódca pułku, nie posiada jeszcze warunków na dobrego generała. Osobiste męstwo jest potrzebne każdemu wojskowemu, ale generał musi prócz tego umieć myśleć „generałem“, t. j. być świadomym swych zadań, obowiązków i mieć doświadczenie. Należało więc wprawdzie dobrze zważyć kogo wybrać, a obrawszy, podtrzymywać, lecz nie dobierać dowódcę, jak konia do pary. Nie zabiegałem o posadę dowódcy 1-go Polskiego Korpusu. Trafiłem na to stanowisko, bom wyrobił sobie w obcej armii imię i reputację, i byłem nawet przez rewolucyjne władze wysuwany na naczelne stanowisko. Było to, wszak, wszystkim dobrze znane. Nie twierdzę, że jestem genjuszem lub nieprzeciętnym nawet człowiekiem i bardzo boleję, że Polacy, lub choć ta część ich, która się poza frontem rosyjskim znalazła, nie mieli zdolniejszego, ale sam przyznać muszę, że lepszego odemnie wtenczas nie było.

*

Zastanowiło mnie zakończenie wyżej przytoczonego telegramu: „jeżeli nie znajdzie się starszego kandydata“. Któż był starszym w armii rosyjskiej ode mnie? Chyba tylko mój brat Konstanty, ale i to tylko wiekiem; dowodził dywizją, gdy ja korpusem, więc służbowo byłem od niego starszym, a w armii nie praktykowało się, by młodszy stanowiskiem, ale starszy wiekiem prześcigał młodszego wiekiem, ale starszego stanowiskiem. Inni generałowie Polacy: Sławoczyński, Bylewski, Osiński, stali służbowo znacznie niżej ode mnie. Je-

¹⁾ Załącznik nr. 4 i 5.

dynie generał de Henning-Michaelis był służbowo starszym i faktycznie jemu należało się dowództwo nad 1-ym Polskim Korpusem. Niestety, na owe czasy, miał nieodpowiednie nazwisko, brzmiące z niemiecka¹⁾; w dodatku miał imiennika — kanclerza Rzeszy. To mu, zapewne, zamknęło drogę do objęcia dowództwa nad pierwszą od r. 1831 regularną formacją wojskową, z Polaków wyłącznie złożoną.

*

Każdy z trzech zaborców posiadał poddanych Polaków od 3 do 10 miljonów, ale tylko Niemcy zajmowali konsekwentne stanowisko w kwestji formowania Wojsk Polskich; poprostu nigdy u siebie żadnego wojska polskiego nie organizowali.

Po ogłoszeniu Królestwa (akt listopadowy), pozwolili na stworzenie z *poddanych Rosji* „Wehrmachtu“, który dobrze obsadzili szpiegami i aż do końca okupacji nie wypuścili z pod swojego kierownictwa. Te oddziały, ściśle reprezentacyjne, a politycznie niepewne, uspakajały płytkie ambicje narodowe. Niemcy też, nie protestując przeciw tworzeniu legjonów przy boku Austro-Węgier, chcieli wykorzystać je dla walki z Ententą, sami do niczego się nie zobowiązując. Sądziła jednak mylnie, że nienawiść otumani nas wszystkich na tyle, że solidarnie z nimi staniemy do walki przeciw Rosji.

O polskich formacjach przy boku Austrii uczyniłem wzmiankę²⁾.

Rząd rosyjski w czasie wojny, nie chciał zmieniać podstawowych praw państwa i kierunku swojej polityki względem „inoplemieńców“, nie tworzył też wogóle żadnych narodowych formacyj wojskowych. Jeżeli robił wyjątki, to tylko dla ułatwienia sobie szkolenia rekrutów obcej narodowości, (łatwiej było wyszkolić tysiąc Azjatów w jednym oddziale). Przytem obsada oficerska tych formacyj była albo rosyjska, albo przeważnie rosyjska. Rosja, jak i Niemcy, trzymała się zasady, że każdy obywatel jest poddanym rosyjskim, ergo musi być Rosjaninem.

W chwili wybuchu wojny światowej Rosja miała pewne podstawy do przypuszczeń, że na terenach polskich wybuchnie ruchawka, która utrudni operacje wojenne, i nie mała była zdziwiona, gdy ludność zachowała spokój; mało tego, obywatele Polacy z poza przewidzianego rejonu mobilizacji, sami zjawili się do szeregów²⁾. Było to jedną z przyczyn, dla których W. ks. Mikołaj wydał swoją odezwę. Z punktu widzenia rosyjskiego, odezwa ta była źle zredagowana, bo pozwalała na tworzenie polskich oddziałów; Rosjanie

¹⁾ Ród jen. de Henning-Michaelisa wywodzi się ze Szwecji, dziad jego brał udział w szarży pod Samossierą. Sam jen. E. de H. M. pełniąc służbę na Syberji, wpłynął na uwolnienie wielu zesłańców Polaków i wielu dopomagał.

²⁾ Patrz rozdział VIII.

nie przypuszczali jednak, żeby oddziały te składały się z ludności, znajdującej się na tyłach swego frontu, a dość przejrzyście wskazywali na to, że radziłyby je widzieć na tyłach armji niemieckiej. Polacy, nie znając tajników mobilizacji, nie mogli zrozumieć o co właściwie chodzi. Rosjanie zaś, chcąc się od tej kwestji uwolnić, pozwolili na stworzenie jednego bataljonu pospolitego ruszenia, który i bez tego miał być z Polaków zorganizowany. Dopiero później, w roku 1915 władze pozwoliły na powiększenie rzekomo polskich oddziałów; pozostało to jednak tylko nomenklaturą. Oddziały te stanowiły część wojska rosyjskiego, choć nosiły nazwę „polskich“, tak jak istniały oddziały kaukazskie lub turkiestańskie, choć w oddziałach tych Kaukazczyków, lub Turkiestańczyków było mało. Nawet 1-szy Polski Korpus początkowo również nie mógł się uważać za wojsko polskie, a stał się niem istotnie dopiero wtedy, kiedy wysłałem ultimatum do bolszewików, t. j. 11.I.1918 r. Zostało to zalegalizowane moim rozkazem z dn. 27.II.1918 r. nr. 128: „Od chwili wydania tego rozkazu, powierzone mi wojsko jest wojskiem Państwa Polskiego i jest zupełnie niezależne od Rządu Rosyjskiego“. *Była to więc, w czasie wojny światowej, jedyna niezależna jednostka wojska polskiego.*

Uważając nas za składową część swej armji, Tymczasowy Rząd rosyjski chciał użyć polskich formacyj do podtrzymania swej władzy. Mianowicie, gdy chciano rozstrzygnąć walkę między bolszewikami i Kiereńskim, a korpus konny pod wodzą jen. Krymowa siedł na Petersburg, jen. ten zaproponował mi, bym przyłączył się do ekspedycji. O tym fakcie, jak przypuszczam, pamięta pułk. Jasiński, łącznikowy oficer przy „Stawce“¹⁾. Oczywiście odmówiłem, stojąc na stanowisku nie wtrącania się do spraw rosyjskich. Później bolszewicy także chcieli użyć polskich formacyj dla urzeczywistnienia swoich celów, ale ja się temu również oparłem.

Natomiast, ku wstydy namszemu, znaleźli się wówczas Polacy, którzy, tworząc luźne oddziały, dali się użyć do przeprowadzania postulatów bolszewizmu wśród rdzennie rosyjskiej ludności. Więc pułk z Biełgorodu wyruszył na wyprawę karną przeciw kozakom dońskim, a jakiś oddział maszerował przeciw Ukraińcom. Pierwszy był sromotnie pobity i „walecznie“ się rozproszył, a co się stało z drugim, nie zdołałem sprawdzić. Pozatem z trzech kolejnych władz rosyjskich: carska, rewolucyjna 1-go okresu Kiereńskiego i bolszewicka, żadna nie postawiła wyraźnie kwestji wojska polskiego i, co za tem idzie, kwestji polskiej.

A cóż zrobili dla tego wojska sami Polacy?

Z polskich partyj politycznych (było ich sporo) grupa Lednickiego, socjaliści i P. O. W. z p. Fr. Skąpskim na czele²⁾, przeszkadzali formowaniu

¹⁾ „Stawka“ — kwatery głównodowodzącego.

²⁾ Patrz Tad. Hołówko „Przez dwa fronty“, str. 258.

się wojska, dążąc do osłabienia dyscypliny w szeregach i wprowadzenia komisarzy przy pomocy władz rosyjskich (załącznik nr. 15 — cz. 1 „Szkicu do historii 1-go Polskiego Korpusu“).

Rada Polska Ziemi Mińskiej dużo dobrych chęci wykazała, a Rada Polska Zjednoczenia Międzypartyjnego robiła gesty, ale również nic konkretnego dla wojska nie uczyniła ¹⁾, bo nie mogą uznać za coś realnego bladej mowy p. St. Wojciechowskiego, wygłoszonej na zjeździe politycznym w Moskwie.

O polskich aspiracjach politycznych nikt mnie prawie nie informował, ale pretensje do mnie zewsząd roszczono. Jak wiadomo, wojsko jest kosztownym przedsięwzięciem. Chać je posiadać i niem się posługiwać, trzeba pieniędzy. Tych nikt nie dawał. *Czy ich nie miano, czy też dawać nie chciano?* ²⁾). Politycy nasi widocznie przypuszczali, że przyjedzie jakiś „gorodowoj“, który rozpetane stado rosyjskie doprowadzi do porządku i *zacznie z nimi pertraktacje na „kredyt“*. Doczekali się bolszewizmu. Pierwszy, zdaje się, zorientował się Roman Dmowski. Widząc, że w Rosji nic konkretnego osiągnąć nie można, wyjechał zagranicę, aby tam kołatać u Ententy. Trzeba to było, jednak, zrobić znacznie wcześniej.

Niestosownie i w sposób iście oryginalny wystąpiła przeciwko formacjom polskim ks. Mikołajowa Radziwiłłowa, zaliczając siebie do... Białorusinów i uważając Polaków za... „cudzoziemców“, swoją własność zaś za niepolską, a wojsko polskie za „szarańczę“. W załączniku nr. 223 przytaczam kopję jej listu w tej sprawie do mnie skierowanego.

Ta dostojna pani nie wyrzekła się jednak swoich posiadłości w Polsce, a zamieszkała pod opieką Niemiec.

Nie wiem, jaki oddział tak zdenerwował księżnę; miał w dobrach jej stanąć pułk saperów, ale ci zachowywali się przyzwoicie.

*

Wreszcie sam „Naczpól“! Początkowo wzbudzał wielkie nadzieje, później jako odmiana licznych i niedorzecznych komitetów rosyjskich, w znaczeniu swem spadł do zera. Musiałem ratować jego „prestige“ w szeregach. Jako instytucja kolegialna, był skazany na bezpłodność.

Rad byłbym dowiedzieć się, co konkretnego „Naczpól“ zrobił dla Korpusu? Jego obowiązkiem było ugruntować politycznie formacje polskie, agitować za poborem ochotników, uchronić od wtrącania się władz rosyjskich w wew-

¹⁾ Stale w swych posunięciach się spóźniała.

²⁾ Są dowody, że je dawać chciano.

nętrne sprawy nasze i zdobyć środki na utrzymanie, jeżeli już wogóle postanowiono tworzyć „wojsko polskie“.

Niestety, cała działalność „Naczipolu“ polegała na wizytowaniu władz i pisywaniu papierków, nie nadających się do wykonania. Dopiero na moje żądanie został zastosowany „rewolucyjny“ sposób werbowania do szeregów,



Przegląd załogi bobrujskiej przez jen. J. Dowbor Muśnickiego w dniu 3 maja 1918 r. Przed proporcem widoczna sylwetka Dowódcy Korpusu. Rocznica Konstytucji 3-ciomajowej była wówczas po raz pierwszy obchodzoną przez jedyne niezależne regularne wojsko polskie.

t. j., z pominięciem władz rosyjskich, wysyłano delegatów wprost do pułków w celu werbowania żołnierzy. Dało to niestety nikiłe rezultaty, a to dlatego, że było zrobione zapóźno, a pp., którzy stworzyli rozłam na zjeździe, potrafili tak nastraszyć ziomków różnymi rzekomymi okropnościami, które miały się być w korpusie, że nikt się do szeregów nie kwapił. Czas był zmarnowany, a wina tego bezwzględnie spada na „Naczipol“.

Rdzeń wojsk Korpusu, ułańska dywizja, ściślej mówiąc dwa pułki¹⁾, były zorganizowane osobiście przezemnie poza wpływem „Naczipolu“; i wbrew władzom rosyjskim.

¹⁾ 2 i 3 ułaskie. 1 pułk był przezemnie przeformowany z 4-ro na 6-cio szwadronowy.

Jedyna sprawa, która jest zasługą „Naczelnu“, to myśl stworzenia Legji Rycerskiej. Legja ta, czyli szkoła oficerska, miała pod kierownictwem francuskich oficerów przygotować młodzież do objęcia w wojsku polskiem odpowiednich stanowisk. Miała ona podlegać „Naczelnu“, który niestety i tu się spóźnił. Gdy zaczęły się walki z bolszewikami, z braku żołnierzy, sformowano z młodszych oficerów dwa bataljony linjowe. Dobrze się stało, bo nie wyobrażam sobie rezultatów nauki, kiedy środków na utrzymanie niema, a wykładowcą jest jeden jedyny Francuz. Tymczasem Legja, jako jednostka bojowa, odegrała ważną rolę.

Nie potrafił też „Naczelnu“ dojść do jakiegokolwiek porozumienia z licznymi grupami politycznymi w sprawie formowania wojska; oparł się jedynie o Radę Polską Zjednoczenia Międzypartyjnego. Niestety zapomniano o drobiazgu: nie zapewniono sobie należytej łączności. Nawet najmądrzej wykombinowane posunięcia chybiały celu. Prócz tego ani „Naczelnu“, ani Rada nie zdołali sparaliżować akcji socjalistycznych ugrupowań, skierowanych przeciw tworzeniu wojska. Ci zaś potrafili rozwinąć szaloną działalność i skądś dostali na to pieniądze.

„Naczelnu“, po aresztowaniu niektórych członków przez bolszewików, nie tylko stracił na sile wewnętrznej (ciało kolegjalne, decyzja — większością głosów), ale i na powadze w szeregach. Projektowano zwołać nowy zjazd wojskowych; był to jednak projekt poroniony — nie było już bowiem żadnej możliwości ogłoszenia terminu zjazdu, pomijając to, że agitacja socjalistów dawała rezultaty i zapewne zjazd wypowiedziałby się przeciw tworzeniu wojska. Zresztą bolszewicy napewnoby zjazd taki rozpędzili. Wobec tego „Naczelnu“, lub raczej część jego, ogłosiła orędzie, przelewając swe pełnomocnictwa na dowolny zespół ludzi. Orędzie¹⁾ żadnego prawnego, obowiązującego znaczenia nie miało, było tylko stwierdzeniem faktów.

Gdyby p. Raczkiewicz objął sam całą władzę, byłoby logiczniej. Ale takie są demokratyczne wymogi: *poszczególuy człowiek nie powinien być mądrzejszy od zespołu miernot*.

W rezultacie szczątki Naczelnu, razem z Radą Polską samorzutnie stworzyły „Radę Naczelną Polskiej Siły Zbrojnej“, która mianowała mnie jej dowódcą²⁾. Rada wydała proklamację czy orędzie³⁾.

Oczywiście, do posłuszeństwa takiej instytucji nikt nie był obowiązany. A aspiracje zdradzała ona wielkie, mianowicie, miała dostarczać środków na utrzymanie „siły zbrojnej“. Na to, niestety, nie posiadała sposobów, ani chęci, co potwierdziły następne wypadki.

¹⁾ Załącznik nr. 6.

²⁾ Załącznik nr. 7 i 8.

³⁾ Załącznik nr. 9.

W szeregach odezwa ta żadnego wrażenia nie sprawiła. Wiadome im było, że zjazd Polaków wyłonił „Naczpól“, który powołał mnie na dowódcę, zatwierdziła zaś to stanowisko władza... rosyjska ¹⁾). Tymczasem „Naczpól“ rozleciał się, a działać i decydować było trzeba. Władza polityczna drogą naturalną przeszła na mnie, do czego absolutnie nie dążyłem. Przeciwnie, domagałem się mianowania przy mnie stałego komisarza politycznego. Zresztą, odezwa nadeszła do Bobrujska ze znacznym opóźnieniem, wtedy kiedy walki z bolszewikami miały się ku końcowi.

Żeby kimś kierować, należy być od kierowanego mądrzejszym. Uznaję autorytet wielu członków, którzy podpisali odezwę, ale sądzę, że mądrość Rady nie wzrosła przez zaproszenie do niej pułk. Żeligowskiego, który, choć z szeregów Korpusu, niczem historyczny Łaszcz, wyszedł z hukiem i trzaskiem, ale przez to eksperjencji nie zdobył.

*

Skąd się wzięła myśl tworzenia wojska polskiego i na jakich podstawach miało się ono organizować?

Wskazałem już, że tworzenie takiego wojska przy boku jakiegokolwiek państwa zaborczego, nie miało zdrowych podstaw; co innego już po ogłoszeniu haseł „o samostanowieniu narodów“ i oświadczeniach rządu rewolucyjnego o tworzeniu Polski niepodległej. Dało to impuls do wydzielania się Polaków z szeregów rosyjskich. Myśl powstała wśród wojskowych Polaków, którzy postanowili zebrać się w tym celu w Petersburgu, w czerwcu 1917 r. Na tym zjeździe uchwalono stworzyć oddziały, z Polaków zorganizowane, w *składzie* armji rosyjskiej. Tak właśnie myślały masy oficerskie i żołnierskie, zdając sobie sprawę, że brak własnego rządu nie pozwala myśleć o innych zamierzeniach. Stąd szczególna niechęć P. P. S. do wszystkiego, co pochodziło z Korpusu i próby robienia tam, na okupacji, awantur na tle źle zamaskowanego pseudo-patrjotyzmu ²⁾), wreszcie pretensje, że nie podporządkowałem się Radzie Naczelnej ³⁾ Polskiej Siły Zbrojnej.

Niestety, na Zjeździe tym w Piotrogradzie więcej było wojskowych „z nieprzewidzianego zdarzenia“, lecz ludzi wymownych, z wykształcenia zaś z fachem wojskowym nic wspólnego nie mających, nie znających życia szeregów, zajmujących tylko półwojskowe posady na dalekich tyłach, — niż szarej braci żołnierskiej i oficerskiej, która w okopach przeżyła całą

¹⁾ Załącznik nr. 10.

²⁾ Bunt 21 maja 1918 r.

³⁾ List p. Zdziechowskiego do mnie. Załącznik nr. 76 do 2 tomu Szkicu do historii I Pol. Kor. kilkakrotnie był ogłoszony przez prasę brukową.

grozę Wojny Światowej. Tych ostatnich było na Zjeździe niewielu i ci wymowy nie posiadali. Byli olśnieni krasomówstwem o świetności przyszłej Polski, do czego całem sercem dążyli, gotowi nie skąpić dla Polski krwi własnej.

W potoku pięknych mów nikt nie wspominał o tem, że tę Polskę należy dopiero wywalczyć, że emigracyjne zbiorowisko Polaków, to jeszcze nie Polska, że trzeba wielkiego zaparcia się i gotowości do dalszych ofiar, nim tę Polskę wolną i niepodległą będzie można ujrzeć i do niej się dostać.

Na Zjeździe znaleźli się i Żydzi, którzy nie mówili o Palestynie, a tylko o Polsce i o jej przyszłym ustroju demokratycznym. Berka Joselewicza wśród nich zabrakło, zato nie brakowało socjalistów różnych odcieni, działających zware i jednomyślnie.

Po długich debatach, delegaci od szeregów, w zgodzie z ludźmi czującymi po polsku, wypowiedzieli się za stworzeniem wojska polskiego. Mniejszość (13% uczestników), w zespole Żydów i socjalistów — przeciw. Do pierwszej grupy przyłączyło się kilku „lawirujących“, pełniących rolę informatorów (ściślej szpiegów!) drugiej grupy.

Wojsko, które dopiero miano tworzyć, zawczasu było przez secesjonistów nazwane „pańskim“; przypuszczać należy, że w celu odróżnienia od „chamskiego“, do którego secesja niebawem wstąpiła (pułk Biełgorodzki).

Honorowym prezesem zjazdu proklamowano Józefa Piłsudskiego.

Twierdząc stanowczo, że ogromna większość delegatów na ten Zjazd, o Piłsudskim albo nic, albo mało słyszała, bo i skądże? Oczywiście, wszyscy uczestnicy, godząc się na uhonorowanie Piłsudskiego, wierzyli w to, co o nim dodatniego mówiono, chętnie się solidaryzując z jego poczynaniami dla Polski.

Znacznie później już dowiedziałem się, że rzekomo Piłsudski był przeciwny tworzeniu wojska polskiego na emigracji rosyjskiej. Nie miałem możliwości przekonać się o tem osobiście, jaki faktycznie był jego własny pogląd na tę kwestję. W 1918 r. rozmawiałem o tem z szefem sztabu legjonów pułkownikiem Sosnkowskim w mieszkaniu komendanta. Pułkownik Sosnkowski wypowiedział się za logiką tworzenia wojska polskiego we wszystkich zaborach. Ale może Piłsudski był odmiennego zdania, co zdarza się między dowódcą a szefem jego sztabu. W każdym razie, musieli o tem wiedzieć ci, którzy zaproponowali go na honorowego prezesa; a zaproponował podkapitan Matuszewski, wchodzący właśnie do składu tych 13%, protestujących przeciw tworzeniu armii polskiej w Rosji, choć Matuszewski podobno nie opuścił sali, jak to zrobili inni secesjoniści.

Otóż, po zapadnięciu uchwał, jeżeli pogląd Piłsudskiego na tworzenie się wojska polskiego w Rosji był znany, to elementarna etyka wymagała wyjaśnić to na zjeździe. Logice ludzie łatwo przecież ulegają. Może zjazd zgodziłby się z zapatrywaniem temi, lub znalazłby inne wyjścia.

Niestety, nikt tego nie zrobił. A pp., należący do mniejszości zjazdu, nie jako mszcząc się za poniesione fiasco, postanowili działać rewolucyjnie, t. j. agitować, siać zwątpienie w umysłach prostaczków, a nawet, w imieniu komendanta, organizować bunt w szeregach. Przeważały tam idee międzynarodowe, a nie państwowe polskie.

Jeżeli zaś, podczas zjazdu w Piotrogradzie, który stał się spontanicznym wybuchem patryotycznych uczuć i dążeń, secesjoniści nie znali zapatrywań komendanta, i nie działali za jego wiedzą, a mieli logiczne podstawy do przeciwstawienia się tworzeniu wojsk polskich, winni byli później przyjść do p. Raczkiewicza, lub do mnie, jako dowódcy kopusu i sprawę odpowiednio oświecić. Mnie wszak chodziło jedynie o Polskę, więc usłuchałbym słusznych wywodów, jeżeliby takowe były.

Osobiście udziału w zjeździe w Petersburgu nie brałem, o stanowisko dowódcy korpusu nie zabiegałem, swoich agentów na zjeździe nie posiadałem. O Piłsudskim wiedziałem tylko tyle, co dowiedziałem się z kontr-wywiadu rosyjskiego.

Wiadomości te nie bardzo zachęcały do uznania go za człowieka, któremu by można powierzyć losy Polski. Ale czego się dla Niej nie robiło!

Istnieje świadek nazwiskiem Pytłasiński, który słyszał rozmowę moją z dzielnym młodym oficerem, niejakim Małagowskim¹⁾. Miałem mu rzekomo powiedzieć, iż chętnie uznam autorytet Piłsudskiego. Pamiętam, że rozmawiałem z Małagowskim, ale również pamiętam i to co powiedziałem, mianowicie: „jeżeli przyszedł rząd polski rozkaże słuchać Piłsudskiego, lojalnie mu się podporządkuję“ (co też w swoim czasie zrobiłem). Ale nie znając Piłsudskiego, nie mogłem naoslep uznawać autorytetu człowieka, względnie słuchać jego rozkazów, tylko dlatego, że jakieś mało znane drobne figury o nim ładnie śpiewały. Pod jego firmą mogli się ukrywać macherzy, aferzyści, a może i prowokatorzy. Jednego z secesjonistów mianowicie Matuszewskiego, zgodziłem się przyjąć do sztabu korpusu, t. j. w poczet osób bezpośrednio przy mnie pracujących, za odpowiednią rekomendacją, która nota bene zawiodła.

O ile ja byłem szczery, o tyle Matuszewski postąpił nie po rycersku. Wiedziałem dokładnie, że należał do tego kółka, które działało przeciw polskim formacjom. Gdy ci panowie przekonali się, że życzeniem Polaków — wojskowych jest tworzenie swego wojska i, że przeszkodzić temu nie mogą, Matuszewski udał skrucę i usiłował uzyskać moją zgodę na przyjęcie go do Korpusu i koniecznie do... „wywiadu“.

Ustałem na prośbę mego szefa sztabu. Tymczasem, będąc już w sztabie, Matuszewski uczestniczył w tajnym wydawnictwie, podburzając przeciwko mnie. Udało mu się to prawda tylko w oddziale samochodowym, w którym żołnierze dobrej reputacji nie posiadali.

¹⁾ Wielbiciel Piłsudskiego.

Najwięcej zaś podejrzane było jego rozporządzenie w czasie zamachu na mnie 21.V. 18 r. w którym również czynnie uczestniczył, niby w celu wywołania walki z Niemcami (patrz załącznik Nr. 140. do III części Szkicu do historii Polskiego Korpusu). Walka ta miała ratować honor Polski, gdy tymczasem rozporządzenie wywołałoby ten skutek że Niemcy dla rozbicia Korpusu mieliby zadanie znacznie uproszczone.

*

W celu powitania Zjazdu wojskowych Polaków w Piotrogradzie, przybył p. Aleksander Lednicki, co nie przeszkodziło mu jednak później do poparcia secesjonistów.

Rosyjski Rząd Tymczasowy Zjazdu nie przywitał i poprostu zbagatelizował go. Za to wykorzystał niezgodę i otwarcie stanął po stronie przeciwników tworzenia wojska polskiego; robił to wprawdzie skrycie, ale gdzie mógł, przeszkadzał.

Dla informacji podaję, że Rząd Tymczasowy w one czasy (czerwiec) nie był w tym składzie jak pierwotnie, przy wybuchu rewolucji. Na czele stał Kiereński, a ministrem wojny był niejaki podpułk. Wierchowski.

*

Nie podaję tu w całości uchwał¹⁾ ogólnego Zjazdu wojskowych — Polaków, odbytego w Piotrogradzie w dniu 6 czerwca 1917 r.; przytoczę tylko rezolucje:

„Komitetowi Wykonawczemu Wojskowemu Zjazd nakazuje, aby sposób wykonania tego *złączenia*²⁾ był oparty na zasadach następujących:

1) Siła ta winna być sformowana drogą *dobrowolnego* przenoszenia i *wstępowania* do niej Polaków.

2) Przy nowych ogólnych poborach w Rosji mają być do niej wcieleni ci rekruci, którzy na to *wyrażą* swoją osobistą *zgode*.

3) Użyta być może *jedynie na froncie austro - niemieckim* i w żadnym razie *nie może* być użyta do jakiegokolwiek akcji *wewnętrznej* w Rosji.

4) Winna pozostać pod rozkazami dowódców - Polaków i *Zwierzchniego Wodza Rosyjskiego* i winna stanowić jednostkę „nierozdzielną“

5) Winna się składać ze wszystkich rodzajów broni, posiadać polski korpus oficerski, własny sztab, własne *części zapasowe* od tego sztabu zależne i własne organizacje pomocnicze: sanitarne i zaopatrzenia“.

Uchwały te były tylko skromnymi życzeniami. Ich urzeczywistnienie wymagało od nas dobrej woli, zrozumienia wagi chwili, zgody rządu rosyjskiego

1) Podane są w załączniku nr. 11. Podkreślenia moje.

2) Tj. złączenie wojskowych Polaków.

i środków. Tych zaś przedewszystkiem! Kto je miał dać? Polacy?!—nie, bo ich nie posiadali; Rosjanie — tak, ale ci nie chcieli udzielić ich bezinteresownie.

Uchwały *obowiązywały „Naczpól“ i oczywiście też mnie.*

Nawet pobieżny rzut oka na nie wykazuje nierealność, sprzeczność, a nawet absurdalność poszczególnych postulatów. A więc punkt 1-szy głosił, że tworząca się siła zbrojna ma być *ochotniczą*, to znaczy ma być złożoną z ludzi, *życzących* sobie służyć w tej sile zbrojnej; potwierdza to też punkt 2-gi, mówiąc o *wcieleniu* rekrutów, którzy wyrażą swoją osobistą *zgode*. Pozatem punkt 5-ty głosił, że ta zbrojna siła polska może być użyta na froncie austriacko-niemieckim.

Ochotnicze formacje mają to do siebie, że pomijając kwestję żołdu, walczą tam, gdzie chcą i kiedy chcą; nikt pewności nie mógł mieć, czy wojsko polskie zechce zawsze walczyć przeciw Austro - Niemcom. Należało je za każdym razem wpierw o to pytać — i tu mogło się zdarzyć, że zdanie szeregów nie zawsze byłoby zgodne z decyzją bliższego, a szczególniej naczelnego dowództwa.

Punkt 3-ci mówi: wojsko „może“ (a nie musi) „być użyte“, więc mogło także wypowiedzieć się za walką przeciw Rosji. Wszak oddziały, z Polaków złożone, już walczyły ramieniem z Niemcami!

Władze rosyjskie zorjentowały się, co to za wojsko będzie i dlatego zawczasu dokładały starań, by utrudnić jego formowanie. Zresztą nie potrzebowały pomagać w jego tworzeniu, jeżeli sami Polacy, a przynajmniej część ich, tego nie chciała.

Punkt 4-ty głosił: „formowane siły zbrojne winny zostać pod rozkazami zwierzchniego wodza rosyjskiego“. Pobożne, ale zupełnie ignorancyjne życzenie! Naczelnny Wódz nie miał potrzeby zaprządać sobie głowy ochotniczymi formacjami, bo kierował grupami armji, a nie poszczególnymi oddziałami, korpusami, lub nawet armjami. Taka jest zasada organizacji, z której rezygnować ani racji, ani konieczności nie było. To też, otrzymawszy „zdobycz rewolucji“ w postaci naszych ochotniczych formacyj, Naczelnny Wódz zdyskontował je na korzyść dowódcy Frontu Zachodniego, którym wtedy był gen. Denikin, później Bałujew. Jemu to 1-szy Korpus musiał podlegać ¹⁾, jego rozkazów słuchać, no i bronić jego godności i bezpieczeństwa, bo to są *elementarne zasady dyscypliny i wojskowej etyki*.

Wreszcie punkt 5-ty uchwalił głosił: „wojsko winno się składać ze wszystkich rodzajów broni i służb“. Nie można było np. jazdy uzupełnić piechurami, a artylerji sanitariuszami. Dla uformowania polskich rodzajów broni trzeba było posiadać ochotników z odpowiednich oddziałów rosyjskich. Mogło się stać, że ochotników z poszczególnych oddziałów zabraknie, a wtedy co należało robić?

¹⁾ A przez niego oczywiście Naczelnemu Wodzowi.

Faktycznie, był nadmiar chętnych do służby w jeździe, a szczególnie w oddziałach sanitarnych i pomocniczych, bo „tam kule nie gwizdzą“, brakowało zato ochotników do piechoty i artylerji.

Naumyślnie zatrzymałem się dłużej przy rezolucjach tej znakomitej odezwy, chcąc, aby czytelnik je koniecznie zgłębił. Pragnę też podkreślić dwie rzeczy:

1) Autorzy powyższej odezwy byli bezwzględnie dobrymi patryjotami, prześiąkniętymi echami literatury romantycznej, ale brakowało im znajomości stosunków w Rosji, doświadczenia i szerszego światopoglądu. Na redakcję odezwy widocznie wpłynęła obawa zbytniego drażnienia Rosji, w upadek której mało kto wierzył. Wypowiedzieli oni gorące życzenie posiadania własnej siły zbrojnej, o czym całe pokolenia marzyły. Uczucia były szczere i gorące. Po zapadnięciu uchwał wszyscy płakali ze wzruszenia. Niebawem rzeczywistość te uczucia zadrasnęła i to się dotychczas daje odczuć.

Autorzy odezwy nie potrafili ująć konkretnie, o co właściwie delegowanym chodziło. Wina za to spada na prawników, których na zjeździe, a nawet w prezydjum, nie brakło. Oni to uchwały redagowali. Może chcieli stworzyć szereg nieudomówień w celu ułatwienia późniejszych stosunków z władzami rosyjskimi, ale i to zawiodło.

Władze doskonale wyczuwały, na co zanosi się po odezwie W. Księcia, po przegraniu kampanji na ziemiach polskich i po manifestach państw Centralnych. Nie miały racji tworzyć podwalin pod potęgę państwa polskiego, z którym przyszłe stosunki były pod wielkim znakiem zapytania. Jedyne Sztab Jeneralny w Petersburgu wykazał chęć dopomożenia polskim formacjom, ale *w granicach* rosyjskiej racji *stanu*. Była to instytucja do tworzenia projektów, a nie ich wykonania; to należało do naczelnych wodzów, a było ich od powzięcia uchwał kilku: Kornilów, Duchonin, Kiereński, Krylenko. Różnili się nie tylko poglądami ale i zamiarami.

Kierownicze władze rewolucyjne unikały pertraktacji z Naczpołem. Na czele rządu rosyjskiego stał wówczas Kiereński; ten stanowczo stanął po stronie secesji, złożonej z żydo-socjalistów i sprawę formacyj polskich przekazał zwierzchniemu wodzowi (Kornilowowi), bo *decyzje* tego ostatniego *nie obowiązywały władz państwowych*, a były tylko przejściowem prawem na terenie działań wojennych.

Gdyby prezydjum Zjazdu Wojskowych Polaków składało się z ludzi realnych a nie z marzycieli, z polityków a nie z pocziwców, z żołnierzy a nie z ułanów „od Ziemiańskiej“, mogłoby być całą sprawę pokierować zgoła inaczej. Nie potrzeba było bawić się w wojsko ochotnicze, a kwestję postawić jasno i stanowczo: „wzięliście nas do wojska, gdy posiadaliście Ziemię Polskie, teraz władcami ich nie jesteście, przeto żądamy wydzielenia nas w jednostki narodowe. Troska o przyszłość Polski, o czym sami nic decydującego powiedzieć nie możecie, zmusza nas do tego żądania. Jeżeli się na to nie zgodzicie, użyjemy wszelkich środków, aby samodzielnie osiągnąć swój cel“.

Takie postawienie sprawy formacyj polskich byłoby dla Rosjan zrozumiałem. Szef sztabu naczelnego wodza, generał Łukomski oświadczył mi, że władze wojskowe nie dowierzają domorosłym politykom polskim, w dodatku ich (Rosjan) podwładnym w rangach co najwyżej podkapitana i są przekonani, że z polskich formacyj, w ten sposób organizowanych, nic nie będzie. Do utrwalenia Rosjan w ich mniemaniu pomogła polityka pp. Lednickiego, Więckowskiego i t. d., którzy dążyli do wpływów w formacjach polskich.

2) Bolszewickie „teatrum“ zaczęło się od usuwania wyższych dowódców w armji. Pierwszy musiał ustąpić głównodowodzący frontu zachodniego jen. Bałujew. Na jego miejsce lokalne władze bolszewickie wyznaczyły wyrzuczonego z pułku za tchórzostwo niejakiego płk. Kamięszczykowa, a po nim żydka (bez rangi) Miałnikowa. Jen. Duchonin był jeszcze wtedy na stanowisku Naczelnego Wodza. Usunięcie Bałujewa wyłącznie zależało od niego, ale mimo to nie nastąpiło za jego zgodą. Biorąc pod uwagę p. 4-ty uchwał Zjazdu, nie mogłem bez rozkazu Naczelnego Wodza uznać nad sobą (nad Korpusem), władzy wypadkowych ludzi. Uznanie jej byłoby równoznacznem z wpłataniem wojska ochotniczego w sytuację, wyjścia z której w żaden sposób przewidzieć nie było można. Wszak front zachodni, dowodzony przez Bałujewa, a więc i I-szy Polski Korpus, stykał się bezpośrednio z Niemcami i przegradzał najważniejszy operacyjny kierunek. Niemcy mogli zacząć ofensywę, co też się później stało, a Korpus znalazłby się pod kierownictwem znakomitego Wodza „Kamięszczykowa“ lub „Miałnikowa“. Bolszewicy dążyli otwarcie do zawarcia pokoju z Niemcami. Gdyby to doszło do skutku, to co stałoby się z formacjami polskimi? Dlatego wołałem bezpośrednio pertraktować z Niemcami.

Z tych samych powodów do aresztowania Bałujewa dopuścić nie mogłem.

Uprowadzony o zamiarze aresztowania, jen. Bałujew zwrócił się o pomoc do dowodzonej przez jen. Karnickiego kaukaskiej dywizji jazdy. Ta wypowiedziała się za koniecznością obrony Bałujewa, ale bolszewicy skierowali do szeregów moc agitatorów i po dwóch dniach dywizja już go bronić nie chciała. Słynne komitety odegrały tu decydującą rolę!

Bałujew, opuszczony przez wszystkich, zwrócił się do mnie. Jeżeli Rosjanie robili świństwa i jawnie gwałcili najelementarniejsze zasady dyscypliny i wojskowej etyki, nie mogło to być precedensem dla mnie. Udałem się więc do owego Miałnikowa i oświadczyłem, że zmiana dowódców jest sprawą władzy rosyjskiej, a ja nie znam powodów aresztowania głównodowodzącego i nie jestem o tem oficjalnie zawiadomiony przez Naczelnego Wodza. Żądam przeto natychmiastowego uwolnienia jen. Bałujewa i odesłania go, jak o to prosi, na wolnej stopie do Kijowa. Zagroziłem, że jeżeli żądanie nie zostanie w ciągu pół godziny spełnione, to ja jego Miałnikowa każę aresztować.

Groźba podziałała: jen. Bałujewa nietylko wypuszczono, ale nawet wsadzo-

no do pociagu. Kazałem sprawdzić czy rzeczywiście wyjechał i sędzę, że jako wojskowy i Polak, postąpiłem słusznie.

Polityk postąpiłby zapewne inaczej; załamałby ręce i orzekł: „nie moja sprawa, wszak to jest Rosjanin“, poczem skombinowałby wyjaśnienie, dlaczego nie wykonał punktu 4-go uchwał Zjazdu.

Już z wagonu jen. Bałujew przysłał mi list następujący:

Wielce Szanowny Józefie Romanowiczu!

Nie znajduję słów dla wyrażenia mojej wdzięczności za wszystko, co Pan zrobił w tak ciężkiej dla mnie chwili. Rozumiem, że pomijając trudność przyczyniłem się też do przykrości spowodowanych wystąpieniem Pańskim w mojej obronie. Wina moja jest niewielka, więc proszę nie mieć do mnie żalu, a tylko proszę pamiętać, że zachowam dla Pana stałą wdzięczność. Bardzo żałuję, że nie widziałem Pana przed wyjazdem. Proszę przyjąć ode mnie i od mej córki serdeczne pozdrowienie i wdzięczność za przysięgnięcie nas.

Serdecznie oddany

M. Bałujew

Moja interwencja w obronie jen. Bałujewa stała się tematem do rozmów. Postępowanie moje bardzo ganili najgorętsi patrjoci. Krytyka dążyła chyba do usprawiedliwienia ewentualnej obojętności, gdyby np. bolszewicy chcieli aresztować mnie. Ci, co najwięcej wiecowali, posiadali najmniej logiki i nie zdawali sobie sprawy z sytuacji, w jakiej znalazł się I-szy Polski Korpus podczas przewrotu bolszewickiego.

Przypuśćmy, że nie byłbym obronił jen. Bałujewa! Czy wtedy naczelny wódz armji rosyjskiej nie zostałby zamordowany? czy pokój w Brześciu nie byłby zawarty, czy wreszcie Niemcy, mając na celu rozwiązanie sobie rąk na Wschodzie, zaniechaliby swojej „Reisy“ do Rosji, rozpoczętej 20.II.18 r.?

Jak miał więc postąpić I-szy Pol. Korpus? Czy pierzchnąć z bolszewikami na Wschód?

Naczelný Wódz armji Krylenko zażądał, w swoim czasie, wystąpienia I-go Pol. Korpusu przeciw kozakom: t. j. chciał złamać p. 3-ci uchwał Zjazdu.

Nie miałem prawa ani ochoty krwawić i zaprzepaszczać polskie wojsko dla spełnienia bolszewickich aspiracyj. Ale tego może właśnie życzyli sobie moi krytycy.

XVI

TWORZENIE POLSKIEGO KORPUSU

Gdym przystąpił do formowania oddziałów korpusu, rozporządzałem polską dywizją ¹⁾, Krechowieckim pułkiem ułanów i zapasowym pułkiem w Biełgorodzie ²⁾. Oddziałami tymi dowodzili: jen. Symon, pułk. Mościcki i porucznik Jackiewicz. Według raportów, dywizja miała 16 tysięcy żołnierzy, zapasowy pułk aż 20 tysięcy. Krechowieccy ułani byli w składzie 4-ch szwadronów.

O ułanach długo pisać nie będę. Zawsze świetnie się trzymali; pod Krechowcami zdali egzamin, wyniku którego nikt nie kwestjonował. Byli stale wzorem dla formujących się oddziałów; najpierw dla dwóch pułków jazdy korpusu, później za czasów Polski, dla wielu innych z 15-tym Wielkopolskim pułkiem na czele.

Z dywizją piechoty polskiej nie wszystko było w porządku; jej zachowanie o mało nie wywołało cofnięcia pozwolenia na tworzenie polskiego wojska. O tem doniosły mi oficjalne rosyjskie komunikaty ³⁾, a Wódz Naczelny, Korniłow, zapytał mnie na audjencji w Mohylowie czy wojsko, które mam organizować, będzie takiego typu, jak polska dywizja, bo jeżeli tak, to nie widzi racji dla formowania.

Źródła polskie mówią obecnie o tej dywizji coś zgoła innego. Nie znam szczegółów, jak tam faktycznie było, bo sprawdzić to wtedy, a tem bardziej teraz, jest rzeczą trudną, jeżeli wogóle możliwą. Wspomnienia uczestników owych wypadków, są widziane przez szkła o niewielkim zasięgu.

Coś jednak tam subordynacji brakowało. Faktem jest natomiast, że komisarz dywizji p. Perzyński musiał dywizję sanować, w wyniku czego z 16-tu tysięcy ludzi do korpusu trafiło 3,000; reszta wzmocniła szeregi słynnego pułku w Biełgorodzie. Winę za konduinę dywizji ponoszą jej dowódca oraz dowódcy pułków.

Po zbadaniu materiałów, które miałem, doszedłem do przekonania, że po sformowaniu dywizji, więcej dbano w niej o zachowanie życia, przeważnie prywatnego mienia ⁴⁾, niż o wojskowe sukcesy. Kwitła wzajemna adoracja: wszyscy byli „dobrzy Polacy“, więc nie było racji bić się.

¹⁾ Była sformowana z polskiej brygady, ta z polskiego bataljonu, a ten z legjonu Pułaskiego.

²⁾ Kurskiej gubernji.

³⁾ Również oświadczenia osób ze składu dywizji (posiadam dokumenty).

⁴⁾ Dywizja jako jednostka posiadała około 30.000 centnarów bagażu. Patrz załącznik nr. 12. Widziałem nawet ustęp na kołach dla pań.

Postępowanie polskiej dywizji dało asumpt Lloyd George'owi do wyrażenia się w jednej z mów, że: „część Polaków uciekała przed Niemcami, jak trzoda“.

Zupełnie inaczej postępował pułk Krechowiecki. Ten po sformowaniu wyruszył na front i starć nie unikał. To dało mi prawo w jednym z przemówień do powiedzenia, że uwaga całego narodu skupiona jest na wojsku, na czele którego uwidocznia się sylwetka ułana.

Pułk w Biełgorodzie był czemś nadzwyczajnem, nawet jak na panujące stosunki w czasie rozkwitu bolszewizmu. Składał się z tchórzów, warcholów, szulerów, pijaków, zespolonych w jedną zgodną rodzinę i zcementowanych myślą — żeby wynieść do kraju całą skórę. W Polskę, jej przyszłość nikt tam nie wierzył. Wszyscy niemal spędzali czas na zabawie, hulaniu, wiecowaniu, politykowaniu, w czym widzieli urzeczywistnienie zasad demokratyzmu. Roilo się tam od adeptów nauk socjalistycznych.

Gdym posłał do pułku rozkaz o wysłaniu uzupełnień, „zgodziło“ się go spełnić zaledwie 400-stu, t. j. 20%. Uchwały Zjazdu w Piotrogradzie o ochotniczym charakterze wojska polskiego wydały owoc. A przecież ten pułk mógł uzupełnić dwie dywizje! Woleli być jednak pasibrzuchami.

Musiałem oświadczyć ministrowi wojny płk. Wierchowskiemu, że niech sobie tę *holotę* zabiera, bo ja jej nie potrzebuję. Potem pułk obrał sobie nazwę „polskiego pułku rewolucyjnego“. Winszuję jego opiekunowi p. Lednickiemu!

Los jednak na pułku się zemścił. Bolszewicy, nie robiąc żadnej różnicy między „polskimi“ socjalistami a Polakami, napadli pułk w imię urzeczywistnienia idei 3-ej międzynarodówki. Część ludzi wytłukli, a resztę rozpędzili.

Jednego tylko żałować należy, że nie wszyscy wtedy polegli. Większa część tego tałałajstwa, zdołała zbiec do Polski i korzysta z praw, narówni z tymi, którzy do tej Polski z czystym sercem dążyli i o nią walczyli. — Stan pułku ilustruje artykuł w Nr. 96 „Dziennika Narodowego“¹⁾.

*

Po trzymiesięcznych zabiegach, aby zespolić w szeregach potrzebną ilość żołnierzy, wyniki okazały się marne. Pierwsza dywizja, na nowo uzupełniona, liczyła około 8-miu tysięcy bagnetów, druga i trzecia tylko po półtora do dwóch tysięcy. Masa polska pod hipnozą socjalistów²⁾ słabo reagowała na nawoływanie do szeregów. Socjaliści zaszczepili nieufność do nowo formowanego wojska. Jedni z nich mówili: „wojsko formują panowie, żeby wprowadzić pańszczyznę“; drudzy znów pouczali: „po co się bić, kiedy niema z kim;

¹⁾ Załącznik nr. 13.

²⁾ Patrz „Myśl Niepodległa“ Nr. 265 z d. 20. IX. 19.

tak Niemcy, jak i Rosjanie są naszymi braćmi i również bić się nie chcą". To twierdzenie najbardziej trafiało do przekonania tchórzów, a tych było 98%. Inni znowu perswadowali: „po co formować wojsko polskie, skoro Piłsudski już je stworzył". Tak mówili zwolennicy Komendanta, więc przypuszczam — z jego wiedzą lub z jego rozkazu. Choć może on nie zupełnie tak myślał, to jednak wtedy, głosiciele tej doktryny, dobitnie ilustrowali przysłowie: „Każ głupiemu modlić się i bacz, by sobie przy tem głowy nie rozbił". Byli i tacy, co twierdzili, że nie trzeba formować wojska, bo tego sobie Kraj nie życzy.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy ci, rzekomi patrjoci, najskuteczniej pomagali Rosji i Niemcom, które chciały ujrzeć odradzającą się Polskę jaknajślabszą, choć twierdzili, że działają właśnie na korzyść Polski. Dobrze znali ci panowie psychikę, boć wiadomo, że ludzie najmocniej boją się nazwać nonsens — nonsensem...

Tymczasem cel tych panów był prosty: „po co mają być żołnierzami, skoro i tak wrócą do Polski?"

Patrząc dziś retrospektywnie, trudno wstrzymać się od uwagi, że tam na okupacji, przedstawiciele narodu nie zrozumieli sytuacji i dziejowego egzaminu nie zdali. Mimo, że było w Rosji przeszło pół miliona mężczyzn Polaków, w szeregach Korpusu znalazło się niecałe 30 tysięcy. Polska drogo zapłaciła za półtora wiekową niewolę.

*

Na mocy pisma ¹⁾ jen. Janin, szefa misji francuskiej w Rosji, utrzymywałem stały kontakt z pułkownikiem Rampon, przebywającym w Mińsku przy sztabie frontu Zachodniego. Po ustąpieniu jen. Bałujewa, byłem z pułk. Rampon kilka razy u Miałnikowa, razem z nim wkuwając w tę żydowską głowę, że trzeba położyć kres dezorganizacji w armji, bo to się źle skończy. Po 2—3 takich wizytach, płk. Rampon zdawał się być zadowolony z Miałnikowa i powiedział, że ma nadzieję na poprawę w armji rosyjskiej i na jej gotowość bicia się z Niemcami, w co ja nie wierzyłem.

W celu zdobycia wiadomości o tem, co się działo w armji, trzeba było nie tylko patrzeć na nią przez pryzmat nastrojów na ulicach Mińska lub Mohylowa, ale także utrzymywać z frontem stały kontakt. Tego niestety żaden cudzoziemiec nie robił. Bolszewicy zaś, po zabiciu Duchonina, spieszenie się organizowali i planowali co mają dalej czynić. Doszli do przeświadczenia o konieczności zawarcia pokoju; z tego widać, jak mało była zorjentowaną granica w wypadkach rosyjskich.

W tym czasie, kiedy jeszcze Korniłow był Naczelnym Wodzem, zwróciłem się osobiście do przedstawiciela Belgji z prośbą o dołączenie do Korpusu bel-

¹⁾ Załączniki nr. 14 i 15.

gijskiej baterji automobilowej ¹⁾), wskazując na to, że armja rosyjska jest w przededniu rozpadnięcia się. Odpowiedział, że nie może tego uczynić, bo stosunki między mną a bolszewikami zaostarzają się i może dojść do starcia, a Belgowie chcą zachować się neutralnie.



J. Dowbor-Muśnicki — jako dowódca I Korpusu Polskiego.

Prosiłem również przedstawiciela Francji, by dał mi aeroplany lecz i na tę propozycję otrzymałem odpowiedź mglistą. Nie bardzo przychylnie przyjął mnie też przedstawiciel Anglii. Słowem — cudzoziemcy mieli oczy zawiązane. Ale gdy temu cudzoziemskiemu towarzystwu wcale nie dyplomatycznie

¹⁾ Wchodziła ona w skład armji rosyjskiej.

zapropowowali bolszewicy wyjazd, to ich eksterytorjalność gwarantowali moi żołnierze.

Nie umiem udzielić odpowiedzi, dlaczego wówczas nie otrzymaliśmy skutecznej pomocy zagranicą. Przypuszczam, że w grę wchodziły intrygi tych Rosjan, którzy mieli jeszcze nadzieję, że idea „jedynaja i niedielimaja“ kiedyś wreszcie znowu zatryumfuje.



J. D. M. (1) przemawia do wojsk polskich w Rohaczewie. Obok płk. Rampon (2), jen. Agapiejew (3) i jen. Kaczyński (4), inspektor artylerji.

Prawda, że Belgowie i Japończycy, mieli słabe pojęcie o Polsce. Anglicy nas nie lubią, bo Lloyd George tę niechęć w nich do nas zaostrzył. Włosi najsympatyczniej do nas się odnieśli, ale niewiele mogli pomóc, bo sami z pomocy innych musieli korzystać. Najlepiej zdawali sobie sprawę z sytuacji Francuzi, ale widocznie przypuszczali, że jesteśmy liczbowo mocni i solidarnie dążymy wszyscy do jednego celu. Niestety, nie orjentowali się w tej destrukcyjnej pracy sił odśrodkowych, które działały wśród mas emigracji polskiej. Dopiero mord Duchonina otworzył wszystkim oczy, ale wtedy już było djabło zapóźno na to, żeby coś zrobić.

Zresztą, brak orientacji nie był wyłączną winą wojskowych przedstawicieli zagranicznych; odpowiedzialność za to w znaczniejszym stopniu spada na polityków. Powinni byli zdać sobie sprawę z faktu cofnięcia się Rosjan z byłego obszaru Polski i wtedy już postawić kwestję polską w całej jej rozciągłości. Fakt ten możeby zcementował nas Polaków przebywających za frontem, na emigracji. Jednak tak nie postąpiono, zapewne z obawy przed Rosją. Wykorzystały zaś ów błąd państwa centralne, ogłaszając „Królestwo Polskie“. To posunięcie nie wywarło może takiego wrażenia na okupowanych ziemiach polskich, jak za rosyjskim frontem, gdzie bardzo dużo ziomków dało się na

te plewy złapać. Mówiono: „poco mamy się organizować, skoro po wojnie wrócimy na gotowe, a tworzenie wojska może na los kraju ujemnie wpłynąć?” Takiego zdania np. był ś. p. pułk. Mościcki, który niejednokrotnie na ten temat ze mną rozmawiał. Tłumaczyłem mu, że tak dobrze nie będzie i że trzeba się przygotowywać do starcia z Niemcami, do którego w ten czy inny sposób dojść musi. Zdanie pułkownika Mościckiego ceniłem, bo był wyjątkowym żołnierzem, ale niejednokrotnie było ono biegunowo przeciwne mojemu. Np. płk. pewien czas boczył się na mnie za moje zdecydowane stanowisko antybolszewickie. Nawet pewnego razu w Mińsku niedwuznacznie i wbrew dyscyplinie wystąpił przeciw mojemu zarządzeniu ostrego pogotowia. Nie trudno było się domyślić, że jakaś dobrze zamaskowana głowa dążyła do powaśnienia nas. Zmuszony byłem wtedy ustalić nasze stosunki, żądając karności i stwierdzam, że płk. Mościcki już po tem nie próbował występować w sprawach, które jego, jako dowódcy pułku, nie dotyczyły.

Fakt ten jednak zasługuje na uwagę. Rewolucja rosyjska rozprzegła dyscyplinę i doprowadziła do tego, że o potrzebie jej istnienia zapominali nie tylko Polacy-szeregowi, ale i niektórzy oficerowie. Każdy uważał się za powołanego do udzielania rad. Działał tu zły przykład „karjery” Krylenki i Miasznikowa, którzy, mając rangi chorążych, byli „gławkowierchami”. A jeżeli oni mogli być nimi, to dlaczego by inni nie mogli...?

*

Zamiar zorganizowania dobrego korpusu okazał się nie łatwym do wykonania. Przynajmniej 9/10 rodaków, znajdujących się w szeregach rosyjskich, było już obalamuconych przez prądy wywrotowe i do swoich szeregów się nie garnęło. Odstraszał rygor (zresztą bardzo umiarkowany), porządek i ład. Były to pojęcia niewspółmierne z rozprężeniem, wiecowaniem i możliwością próżnowania, względnie udawania, że się coś robi.

W Omsku czy Tomsku (dokładnie nie pamiętam), zdala od frontu, zebrał się aż cały bataljon Polaków, nawet z orkiestrą. Jego dowódca przysłał raport, że ma zupełnie gotowych przeszło 500 żołnierzy. Wysłałem rozkaz, żeby natychmiast przyjechali do Mińska. Odpowiedź brzmiała: „orkiestra jest zaangażowana w jakimś tinglu, z zarobków jej utrzymuje się bataljon, więc przed wygaśnięciem umowy, wyruszyć nie można”.

Drugi wypadek. Rotmistrz Engel (obecnie nieboszczyk) składa mi osobiście w Mińsku raport, że gdzieś w okolicach Kamieńca zorganizował *sztab* korpusu; posiada komplet oficerów sztabowych, dwa ciężkie działa, tabor, kilkadziesiąt koni i kilkunastu.... żołnierzy: pragnie „in corpore” stać się mym sztabem. Nic nie obiecując, kazałem wszystkim przyjechać, ale Engel wyjechał i już nie wrócił. Okazało się później, że do mnie nie poszedł, za to został rozbrojony w Dunajewcach przez bolszewików.

Zdarzały się i takie, niestety nieodosobnione, wypadki. Przybył do Korpusu bataljon Polaków, wyłoniiony z pułku I-go syberyjskiego korpusu. Wyzaczyłem go do uzupełnienia I-ej dywizji. Gdy się żołnierze dowiedzieli o naszych porządkach, za nic pozostać nie chcieli. Perswazje, powoływanie się na uczucia narodowe nic nie działały. Korpus był *ochotniczy*, mogli więc zostać lub nie. Zmuszać ich do pozostania nie było celu. Wyczerpawszy wszelkie środki, żeby przekonać tych baranów, kazałem ich przepędzić.

Ogromna liczba rodaków, jako ludzi sprytnych, różnorako wykwalifikowanych, pourządzała się na spokojnych posadach na tyłach armji rosyjskiej. Nie obwiniam ich, bo, jak słusznie powiedział pewien żydek: „Wojna, to paskudna rzecz; tam ludzi zabijają“. Ci panowie nie mieli chęci ryzykować życia dla celów, które były dla nich albo mało jasne, albo obojętne. Nie widzieli racji, żeby iść do polskich szeregów, które organizowano dla walki z Niemcami, bo przecież... Niemcy to bracia, którzy nawet pewnym ugrupowaniom politycznym przysyłałi i przysyłają pieniądze na różne „pożyteczne“ rzeczy....

Zresztą, miałem znaczną ilość propozycji co do służby dla sprawy polskiej, ale tylko na tyłach. Jeden proponował, że zorganizuje pociąg - warsztat do reparacji broni, lub torów kolejowych; inny perswadował o wielkich korzyściach dla sprawy, jeżeli przyjmę jego Maćków do budowy mostów na tyłach i t. d. Tylko bardzo niewielu zgłaszało się z dobranym zespołem do tej najmniej lubianej pierwszej linii. W ich liczbie byli porucz. Juszczak, który przyprowadził kompanję, aż z Turkiestanu i rotmistrz Plisowski, który w zimie ze szwadronem przeszedł z Odessy, aż do Bobrujska.

Zdarzali się ludzie śmielsi. Ci znów proponowali swoje usługi na placówkach adjutantów, sztabowców, do intendenty (szczególnie!) i t. d. Gdybym przyjął choć czwartą część tych, którzy chcieli być jaknajbliżej mnie, miałbym dobrze skompletowany szwadron osobistych adjutantów; tymczasem trzymałem się zasady, by tych było jak najmniej.

Wielu znowu służby w wojsku nie mogło inaczej sobie wyobrazić, jak w ułańskich, huzarskich, czy kirasjerskich mundurach. „Czy umiecie jeździć konno“ — spytałem. „A jakże, jenerale! — wszak mój dziadek był pod ks. Poniatowskim“, brzmiała raz odpowiedź. Słowem, gdyby nie brak koni, stworzyłbym z jakie 50 pułków ułanów, szwoleżerów, kirasjerów, huzarów, bo każdy z aspirantów chciał być w tym, a nie innym rodzaju jazdy. Wiadomem było tylko, że pułki te dobrze działałyby na terenie... „Ziemiańskiej“.

Do piechoty, niestety, brakło amatorów!

Takie to było wśród rodaków zrozumienie sytuacji i warunków wojny współczesnej, było ono miarą patryjotyzmu oraz zrozumienia wymagań chwili.

Oficerów miałem nadmiar w rangach niższych, do porucznika włącznie; kapitanów mało, podpułkowników jeszcze mniej, pułkowników zaledwie kilku. Ale i o tych starszych rangach mogę powiedzieć, że conajmniej połowa nie

chciała służyć na stanowiskach, odpowiadających ich stopniom; mieli pretensję do zajęcia stanowisk conajmniej o dwa stopnie wyżej. Już w dniu ogłoszenia rozkazu o objęciu przeze mnie dowództwa nad Korpusem, zjawilo się dwóch aspirantów: jeden w randze pułkownika, drugi podkapitana. Pierwszy pragnął objąć dowództwo nad dywizją, a co najmniej nad brygadą. Drugi za to pragnął być tylko moim osobistym adjutantem. Trochę później intendent z fachu rwał się do objęcia szefostwa sztabu korpusu, i t. p.

Trzymałem się zasady, że stanowisko musi być związane z rangą, a tej udziela się za zasługi, albo udowodnione zdolności — nigdy zaś z tego powodu, że aspirant na stanowisko, sam się kwalifikując, pragnie objąć tę lub inną posadę, czy to za jakieś bliżej nieznane zasługi lub przynależność do partji, czy też poprostu naskutek protekcji. Ja też pragnąłem być awansowany, ale nigdy mi do głowy nie przychodziło, ażeby zwracać się do przełożonych lub choćby do Naczepolu o mianowanie mnie naprz. marszałkiem. Gdyby taki porządek istniał, to natręci mieliby pierwszeństwo, a zdolni, lecz skromni pozostawaliby w tyle. Osobiście byłem cztery lata podporucznikiem, osiem porucznikiem, dwa podkapitanem, pięć kapitanem, rok podpułkownikiem i dziewięć lat pułkownikiem, mimo, że ukończyłem akademię i brałem udział w dwóch wojnach. Dopiero po 29 latach służby oficerskiej awansowałem na generała, a i to dopiero wtedy, gdy dowiodłem, że coś potrafię „w polu“. Własny przebieg służby dał mi właściwe kryterjum przy doborze oficerów na wyższe stanowiska.

Wśród zarozumiałców panuje przekonanie, że nic łatwiejszego, jak dowodzić wojskiem. Nie potrzeba na to żadnego doświadczenia, bo i cóż ono daje? Wystarczy mieć dostatecznie otwartą głowę, a umiejętności same w nią wleżą. Na podobne rozumowania byłem głuchy; mało tego, jeśli mi kto coś podobnego twierdził, sam stawiał krzyżyk na swoją karierę, a takich, niestety, było wielu.

Skrzętnie poszukiwałem Polaków wśród rosyjskich szeregów. Jednocześnie sfery cywilne polecały mi wielu, przyczem, jako najsilniejszy argument wysuwano: „to jest dobry Polak i patrijota“. Na takie „dictum“ słabo reagowałem...

Wiedziałem, że dla sprawy polskiej potrzebne jest wojsko, również, że Polska potrzebuje „dobrego wojska“. W wojsku decydującym czynnikiem jest doświadczenie, t. j. fachowość, sam zaś patrijotyzm nie wystarcza. Żądać od wojskowego przedewszystkiem patrijotyzmu jest tem samem, co żądać od konia by miał cztery nogi. Nie znaczy to jednak, że każdy koń nadaje się na wyścigowca. Patrijotyzm może służyć jako rękojmia moralnej wartości, t. j. zdecydowania walczyć do „ostatniej kropli krwi“. Trzeba jednak wszak jeszcze potrafić tę krew oddać za najwyższą cenę, a to, gwarantuje tylko charakter, wiedza i doświadczenie.

Wyrobiłem sobie jeszcze inne kryterjum dla oceny podwładnych. Żądałem, by każdy wiedział dokładnie, jakie posiada możliwości na swoim sta-

nowisku i by umiał je wyczerpująco wykorzystać, a dopiero po ich wyczerpaniu zwracał się o pomoc, lub prosił o wskazówkę. Ogromna większość zaś, nie wyczerpawszy nawet połowy posiadanych środków i możliwości, posyła litanję meldunków o ciężkim stanie i długi szereg próśb o pomoc. Wtedy przełożonemu nie pozostaje nic innego, jak zastąpić takiego podwładnego kimś innym.



Jen. Gustaw Ostapowicz przyjmuje defiladę swej (1-ej) dywizji Strz. Pol. podczas obchodu Kościuszkowskiego w Bychowie.

Z liczby rodaków, będących w szeregach armji rosyjskiej, z nieskazitelnej reputacji¹⁾ korzystali: generałowie — Iwaszkiewicz, Ostapowicz i mój brat Konstanty; z pułkowników — Jaźwiński, Mościcki, Maciejewski, Rodziewicz, Malewicz, Kobordo, Dunin-Ślepsć, Szyszko, J. Porzecki, Siestrzencewicz, E. Szpręgiewski, Poniatowski, A. Kędziński, Z. Łempicki, J. Wroczyński i jeszcze kilku, nazwiska których zatarły mi się w pamięci; z rang młodszych: W. Anders, Ruszczewski, Skarzyński, Romer, W. Szebeko, W. Mikulicz Raddecki, St. Michalski, Nekanda-Trepko, St. Więckowski i wielu, wielu innych; z medyków — dr. Gurbski, M. Dobrzyński i E. B a nadzwyczajną indywidualnością wysunął się oficer linjowy por. dr. lek. Zdzisław Michalski. Prócz kilku, którzy już byli w szeregach naszych, resztę z wyżej wymienionych postarałem się jaknajprędzej wyciągnąć, co mi się jedynie częściowo i to z wielkim trudem udało.

Szef sztabu frontu zachodniego, jen. Markow oświadczył mi, że wycofanie z szeregów Polaków starszych rang, grozi rozpadnięciem się armji rosyjskiej. Była to chyba świetna opinja o nas, tem bardziej, że Markow był niezaprzeczenie generałem wybitnym i należał przed wojną do zrzeszenia, tak

¹⁾ Mowa tu o tych, którzy mieli rangę (względnie starszeństwo) niższą od mojej.

zwanych „prawdziwych ruskich ludzi“, to jest był otwartym wrogiem Polski, a zapatrywania swe na sprawę polską i polskość zmienił dopiero po doświadczeniach Wojny Światowej.

Naczepol rekomendował mi też kilku dobrych Polaków - wojskowych. Z ich liczby wyróżnił się tylko pułk. Albin Jasiński; inni byli specjalistami od tyłów, a mnie chodziło najwięcej o „przody“.

Niestety, z liczby wybranych nie wszyscy wrócili na ziemię polską. Maciejewskiego, Mościckiego i Dunina-Słepska zamordowali w bestjański sposób bolszewicy.

Jen. Iwaszkiewicz wyjątkowo zasłużył się Polsce. Był to, wbrew pozorom, nieprzeciętny człowiek i dowódca, ale trzeba było umieć nim kierować, t. j. umieć wykorzystać jego nastrój moralny, zapatrywania, a nawet czasowe kaprysy. Taki np. świetny czyn, jak przemarsz 3-ej dywizji z Jelni do Bobrujska, stał się faktem dopiero po długiej korespondencji, w czasie której Iwaszkiewicz podawał się nawet do dymisji. Wiedząc, że czasem człowiek



Jen. Waław Iwaszkiewicz,
d-ca III dywizji Strz. Pol.



Jen. Eugenjusz Rodziewicz,
d-ca I Brygady Art. Strz. Pol.

nawet żelaznej woli ma chwile załamań, na dymisję nie zgodziłem się. Biedak, po powrocie do Kraju przeżył też wiele przykrości i intryg, na co mi się niejednokrotnie uskarżał.

Ludzie mniejszych, a czasem wątpliwych zasług dla Polski, zostali uczczeni wkrótce po śmierci. A takiej miary bohater, jak generał Iwaszkiewicz, doczekał się tylko skromnego pomnika na cmentarzu we Lwowie.

*

Dobór starszyny zajął mi dużo czasu, ale nie mogłem bez niej przystąpić do stworzenia Korpusu, pamiętając o aforyzmie: „do głów można bez trudności doczepiać ogony“. Dopiero, przewyciężywszy zasadnicze trudności, zacząłem formowanie 12 pułków strzelców, dwu - ułanów i trzech brygad arty-

lerji, oraz oddziałów pomocniczych. Mając rozległe stosunki w sztabach, dość łatwo dostałem konie dla jazdy; trudniej było o konie dla artylerji, ale najtrudniej przedstawiała się sprawa materiału ludzkiego.

W szeregach rosyjskich służył znaczny procent Polaków. Liczba ich w czasie pokoju sięgała 12% etatów. Ponieważ armja czynna miała 4½ miljona, mogło być więc w niej około 450 tysięcy rodaków. Na początku formowania Korpusu, t. j. w r. 1917, przebywało w szeregach do 250 tys. Polaków. Do tej cyfry należy dodać około 175 tys. pospolitego ruszenia, pozatem około 60 tys. tych, którzy z najróżniejszych powodów do szeregów nie trafili, ale byli zdolni do służby. Wreszcie ogromną liczbę, bo minimum 300 tys. stanowili ci, któ-



Starszyzna Korpusu w Bobrujsku.

rzy byli zdolni do służby na tyłach, co w ogólnej sumie zamykało liczbę Polaków, przebywających poza frontem rosyjskim, cyfrą 735 — 785 tysięcy. To wystarczyło do zorganizowania 10 korpusów! Prawda, na taką ilość nie starczyłoby nietylko generałów, ale nawet oficerów sztabowych. Twierdzono, że można temu zaradzić, mianując na wyższe stanowiska chorążych lub podporuczników, literatów na intendentów, akuszerów na dowódców artylerji i t. d.

Wynik jednak takiej „demokratyzacji“ byłby problematyczny. Wszak pułkiem zapasowym w Biełgorodzie dowodził właśnie porucznik (Jackiewicz) podobno człowiek z wyższem prawniczem wykształceniem, a jakże smutny był los tej formacji.

Oczywiście amatorów do pobierania gaży naczelnych wodzów znalazłoby się wielu, ale umiejących dowodzić choćby kompanją brakło.

Wojsko na wojnie prędko się wykrusza. W celu uzupełnień należy mieć zapas ludzi, więc dla wojny trwającej mniejwięcej dwa lata, wystarczyłoby elementu polskiego maksymalnie na jakie 5 korpusów.

Z przytoczonego wyżej obliczenia wynika, że żołnierzy i oficerów było aż nadto dosyć, aby zorganizować jeden, mający przynajmniej etatowy stan, kor-

pus, tymczasem osiągnął on zaledwie cyfrę 29 tysięcy, w tem 12 tysięcy bagnetów i szabel.

*

Jak to się stało?

Przyczyn było wiele. Najpierw za mało energiczna, pozbawiona planu, działalność „Naczipolu“. Była to instytucja kolegjalna, około 30 członków licząca. Skład był niejednorodny; znajdowali się w niej adwokaci, generałowie (Jacyna i mój brat), inżynierowie, medycy, urzędnicy, a także jako „demokratyczna okrasa“, szeregowi. Znaczną większość członków stanowili niefrontowi wojskowi w niższych rangach, powołani z rezerwy armji rosyjskiej.



Pierwsze Wojska Polskie obchodzą rocznicę Kościuszkowską w Mińsku Lit. Na koniu płk. Mościcki, czyta orędzie Naczipolu por. Michalski, za nim stoją: jen. J. D. M., jen. Agapiejew i por. Dowbor.

Intelektualna wartość każdego kolegjum równa się ułamkowi, licznikiem którego jest rozum i doświadczenie najwybitniejszego członka (w tym wypadku miał nim być prezes chorąży W. Raczkiewicz), a mianownikiem ilość członków. To też Naczipol przedstawiał nikłą całość. Nie było tam kierownictwa i nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, na czym polega obowiązek „Naczipolu“. Czem niższą rangę posiadał jakiś jego członek, tem bardziej się „puszył“. Było to śmieszne i uwypukliło się szczególnie w Mińsku, kiedy wojsko, już coś niecoś zorganizowane, miało stanąć przed obliczem Naczipolu. Podrzwiniwali z niego w szeregach i słusznie; np. jeden z członków, żołnierz Brochocki, mularz czy cieśla z zawodu, po rozpędzeniu „Naczipolu“ przez bolszewików, zjawił się w Bobrujsku, żądając posady. Na moją propozycję wstąpienia do szeregów, odpowiedział, że był wybrany do „Naczipolu“, więc żąda wyższego przydziału. I to wtedy, kiedy oficerowie szli do szeregów jako prości szeregowcy!

Tenci był prawdziwym demokratą!

Zamiast obmyśleć i wydać konkretne zarządzenia, jak zebrać ludzi do polskich szeregów, co było obowiązkiem „Naczpolu“, potworzono dziesiątki podkomitetów z prezesami, sekretarzami, skarbnikami etc.

Ci liczni członkowie komitetów winni byli jeździć do rosyjskich formacyj i odnajdywać żołnierzy-rodaków. Tymczasem nie mogli oderwać się od biurka. W najlepszym razie pisali papierki, które, nota bene, nawet nie docierały tam, gdzie było potrzeba, a w najgorszym mało albo nic nie robili, powołując się na różne, rzekome, trudności.

Tymczasem był bardzo prosty sposób dotarcia do żołnierzy Polaków, rozsiadanych w rosyjskich szeregach. Przecież przy każdej armji, a nawet przy niektórych dywizjach i oddziałach byli księża, którzy, wykonując obowiązki duszpasterskie, mieli prawo jeździć wszędzie i wiedzieli, gdzie Polacy się znajdują. Ich należało wykorzystać. Tego nie zrobiono, sędzę przez brak odwagi, bo już słysząc było pomruki: „precz z kościołami, księżmi, popami“.

Delegaci zjazdu, którzy wypowiedzieli się przeciw formowaniu wojska polskiego, należeli do przedstawicieli drugiej czy trzeciej międzynarodówki; pochodzili z głębokich tyłów i byli podszyci tchórzem. Dbając o własną skórę, używali wszelkich sposobów, aby do czynnych szeregów rosyjskich czy polskich nie trafić. Oni to przejawiali największą energję, tłumacząc wszędzie masom żołnierskim, dążącym do Korpusu, że wojsko polskie potrzebne jest tylko panom etc. Agitacja ta sparaliżowała propagandę, zresztą bardzo słabą, o konieczności tworzenia wojska.

Zjazd w Piotrogradzie wytknął cele działania. Jeżeli „Naczpol“ podjął się roli organu najwyższego, musiał wykazać większą energję i poświęcenie. Był przecież organem kierującym polityczną stroną powstającego wojska. Tymczasem nie potrafił uchronić go od niesłuszných pretensyj władz bolszewickich i nawet nie zdobył uznania u władz rewolucyjnych pierwszego okresu. Te władze odgrodziły się od „Naczpolu“ komisją p. Lednickiego.

Obowiązkiem „Naczpolu“ było też znalezienie środków na utrzymanie wojska. Jak pieniądze zdobyć? Przedewszystkiem obowiązany był dać je rząd rosyjski. Czy w tym celu robiono zabiegi, nie wiem. Przypuszczam, że nie, bo osobiście musiałem starać się sam o te środki. Za Korniłowa szło to łatwo, później zdobywałem je podstępem lub przemocą. Dobrze się temu przysłużył skarbnik korpusu Gerard Godlewski ¹⁾.

Z powyższego widać, że komitety, z „Naczpołem“ na czele, mało wpłynęły na urzeczywistnienie projektu stworzenia wojska polskiego.

Drugą przyczyną nikłych rezultatów przy tworzeniu wojska był brak wśród nas jedności. Nie było też jednostki, która rozumem, wolą, talentem i wreszcie

¹⁾ Obecnie nieżyjący.

osobistym wpływem potrafiłaby skupić ludzi, jak to działo się u Czechów. Mógłby to zrobić Ignacy Paderewski lub Roman Dmowski, którzy działali jednak zagranicą, gdzie też dużo dla Polski dokonali.

Poza frontem rosyjskim istniały trzy większe polskie grupy polityczne: Komisja likwidacyjna ¹⁾, Polskie Zjednoczenie Międzypartyjne i Polacy Ziemi Mińskiej. Na czele tych organizacyj stali: znany w Rosji adwokat Aleksander Lednicki, socjalista, czy grawitujący ku socjalizmowi; bez ukończonych studiów Stanisław Wojciechowski, wreszcie obywatel ziemski, Hieronim Kieniewicz.

Pierwszego do spraw polskich wysunął (kolega po fachu) Kiereński, to też p. Lednicki działał jako „czynownik“ rosyjski do spraw polskich, ale nie jako obrońca. A oto przykłady:

Z „Naczpołem“ nie potrafił się porozumieć, choć miał obowiązek. Kiedy zaczęły się walki korpusu z bolszewikami, żona moja z trojgiem drobnych dzieci zamieszkiwała w Woroneżu. Miejscowi działacze, z jakimś Sławkiem i Podkówką na czele, postanowili za wystąpienia moje przeciw bolszewikom rodzinę moją zamordować. Żona przeto zmuszona była uciekać. Dotarłszy do Moskwy, zwróciła się ona do p. Lednickiego z prośbą, by jej ułatwił otrzymanie paszportu na cudze imię. Tego p. Lednicki odmówił i tylko dzięki księdzu Lutosławskiemu rodzina taki paszport otrzymała.

Pan Lednicki wziął pod swoją opiekę pułk polsko-bolszewicki w Białgorodzie, oraz bez mojej wiedzy chciał nawiązać stosunki z pułkiem Krechowieckim, o czym zameldował mi pułk. Mościcki.

Próbował też, poza wiadomością i zgodą „Naczpolu“, stworzyć stanowisko komisarza przy Korpusie dla osoby bliżej mi nieznanego p. Więckowskiego. Słowem p. Lednicki próbował być wszędzie pożytecznym, ale nie bardzo mu się to udawało. Pułk w Białgorodzie rozproszyli bolszewicy, Krechowiacy trwali w dyscyplinie, p. Więckowski do Korpusu nie przedostał się, bo się temu przeciwstawiłem.

Polskie Zjednoczenie Międzypartyjne robiło politykę, nie mając pieniędzy, a przyjmując formując się wojsko polskie niejako pod swoją protekcją. Mianowicie, pewnej nocy zjawili się u mnie w Wołożynie ²⁾ p. St. Wojciechowski z dr. Łubieńskim, proponując objęcie dowództwa nad Pierwszym Polskim Korpusem. P. Wojciechowski zrobił na mnie wtedy, jak i później, wrażenie „Zołzikiewicza“. Pojąć nie mogę dlaczego on, nie posiadający żadnych kwalifikacyj, prócz ogólnie narodowej zacności, został obrany na prezesa poważnego politycznego ugrupowania, a później nawet na prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Twarz miał pocziwą, —

¹⁾ Nie była to ściśle grupa polityczna, a urząd rosyjski do spraw polskich.

²⁾ Dowodziłem wtedy 38 korpusem A. R.

wiadomo, Polska ma pocziwość na eksport. Nie mówił, lecz beznadziejnie o czymś głądził. Ani jednego żywego słowa, lub śmielszej myśli nie wypowiedział. Nie umiał też mnie zorjentować nietylko co do zamiarów, ale co do posiadanych środków i możliwości. Ot tak, jakby komiwojażer przyjechał pogadać w sprawie nabycia jenerała na wakujące stanowisko.

Przyjazd p. Wojciechowskiego z propozycją był tem dziwniejszy, że Zjednoczenie Międzypartyjne jakby dążyło do potwierdzenia postanowienia Zjazdów Wojskowych, gdzie mnie na dowództwo obrano i o czym już wiedziałem.

Zasięgnęłam później informacji, co to jest „Zjednoczenie Międzypartyjne”. Objasniono mnie, że nazwa jest podyktowana politycznymi względami: chciano złączyć w jedność prawicę z lewicą, dlatego wymyślono „międzypartyjność”. Jako przynętę wysunięto na czołowe stanowisko eks-socjalistę. Począwszy od socjalistów, po wszystkie ugrupowania polityczne aż do monarchistów, wszyscy ci ludzie propagują jakąś określoną, mniej lub więcej rozumną lub szczerą, ideę polityczną. Ale wszyscy „eks”, według mego zdania, przedstawiają małą wartość, jako ludzie z nieprzemyślaniami i płytkimi przekonaniem. To też lewica „polską” międzypartyjność zlekceważyła! Wykazała za to ona dużą energję w robieniu politycznych szwindli przeciwnikom.

Trzecie stronnictwo, Polacy Ziemi Mińskiej, składało się przeważnie z ziemian. Do jakiego celu dążyli, tego nie wiem. Sądzę, że dążyli do obrony słuszných swoich interesów. Inne stronnictwa patrzyły na nich, jako na źródło, skąd można wyciągnąć pieniądze. Większość, i to ogromna, ziemiaństwa mińskiego chętnie poszła na rękę formacjom polskim i dała na nie tyle, ile mogła. Gdzie te środki wsiąkły, nie jest mi rzeczą wiadomą; chyba na politykę, bo Korpus nie wiele z tego otrzymał, a nawet za żywność musiał sam płacić.

Ziemiaństwo ze swojego środowiska wysunęło na stanowisko intendenta Korpusu niejakiego pułk. Dybowskiego, którego za nadużycia musiałem oddać pod sąd ¹⁾. Z teje też rekomendacji była i druga osobistość, niejaki pułk. Osmołowski, późniejszy dygnitarz w Odrodzonej Polsce. Kto zacz, nie wiem, a nawet, zdaje się, nie widziałem go nigdy. On to nieproszony, potrafił na początku walk z bolszewikami, zagmatwać sytuację, naraził mnie na przykrości, poczem znikł, by wypłynąć już w Polsce (w Wilnie).

Ziemiaństwu mam do zarzucenia i to, że w czyjejś głowie wyłgał się projekt użycia wojska polskiego do obrony majątków. Ja się temu projektowi stanowczo sprzeciwiłem, ale dowodem na to, że nurtował on w masach, jest wyżej przytoczony list ks. Radziwiłłowej ²⁾. Wykorzystały ów projekt partje, przeciwne tworzeniu wojska polskiego na emigracji, rozpowszechniając

¹⁾ Patrz Szkic do historii I K. P.

²⁾ Patrz rozdział XV.

wśród mas żołnierskich oszczerstwo, że będą musiały bronić posiadłości obszarników, a przecież właśnie te miały być zapłatą dla mas za wprowadzenie w czyn skrajnych haseł. Żadnych majątków nie broniłem, ale też nie pozwalałem na gwałty i grabieże; stąd wynikała niechęć pp. socjalistów do mnie, oraz oskarżenie mnie o reakcyjność.

Każde stronnictwo chciało się oprzeć na tworzącym się wojsku polskim. W praktyce jednak sam musiałem to wojsko stworzyć.

Cóż bowiem partje polityczne zrobiły? Pokłóciły się między sobą. Jedni chcieli wojska, drudzy nie. Ci byli za Ententą, tamci za Państwami Centralnemi. Wszyscy myśleli o urządzeniu Polski na swoją modłę. Kto się na to nie zgadzał, według ich zdania, powinien był odejść z kwitkiem.

Myśl o stworzeniu wojska polskiego na emigracji zrodziła się wśród wojskowych Polaków. Nikt z pośród polityków impulsu do tego nie dał. Dopiero w czasie zjazdu w Piotrogradzie pp. politycy raptem się ocknęli i jakby przejrzieli. Istotnie, ileż to cudownych mów wygłoszono przy powitaniu delegatów zjazdu w Piotrogradzie! W każdej była zamaskowana obawa, czy aby ten lud wojskowy zechce słuchać i... płacić krwią za błędy domorosłych polityków.

Korpus jednak został zorganizowany. Jest to zasługą oficerów i tej nielicznej braci żołnierskiej, która rozumiała potrzebę chwili — konieczność przeciwdziałania rodzącemu się bolszewizmowi.

Na wojsko trzeba mieć pieniądze. Mówiono, że ktoś, gdzieś na niełoży; ja otrzymałem do dyspozycji zaledwie kilkanaście tysięcy ¹⁾ co wystarczało na wypłacenie żołdu za trzy godziny. Były jednak chęci do poparcia tego wojska materialnie, ale czy zostały zrealizowane — nie wiem.

Korpus musiał sam się utrzymywać przez rok, mając około 30 tysięcy ludzi i 6 tysięcy koni. Mimo to, w 1919 r. złożyłem ²⁾ do Skarbu Polskiego kil-



Junkrowie Kompanji Junkierskiej (od góry): Kukliński, Gruszecki i Milewski, pod eskortą których przywieziono do kraju skarb I K. P.

¹⁾ 10 tysięcy od R. N. Z. M. i od „Naczipolu“ 5 tysięcy.

²⁾ Załączniki nr. 16 i 224.

kadzieśiąt funtów złota, dużo więcej srebra, oraz gotówką około 2 milionów marek, bezmała pół miliona rubli, różnych obligów na sumę blisko ćwierć miliona, wreszcie pokwitowanie za dane Niemcom materiały, na sumę około 60 milionów rubli w złocie; razem przeszło 172,5 milionów złotych w złocie¹⁾.



Defilada garnizonu w Mohylowie po przysiędze na wierność Polsce.

Przydały się te pieniądze w pierwszych dniach istnienia Polski. Bardzo zabiegali o nie panowie z Rządu Lubelskiego. Choć twierdzono, że je sobie przywłaszczyłem i bardzo za to mi wymyślano, wolałem doczekać się zwołania Sejmu, któremu skarb przekazałem²⁾. P. Moraczewski zażądał nawet przedstawienia rachunków, o czym mnie poinformował przy moim wyjściu z Sejmu poseł Sołtyk, odpowiedziałem, że owszem, ale pod warunkiem, że będą musiały zdać też rachunki inne polskie formacje. Na tem sprawa się urwała.

Należność za materiał wojenny „bogata” Polska podarowała „zbankrutowanym” Niemcom. Tak przypuszczam, bo choć czyniłem starania³⁾ przez p. ministra wojny, aby dowiedzieć się o właściwym zakończeniu tej sprawy, to jednak rezultatu się nie dowiedziałem.

¹⁾ Załącznik nr. 17.

²⁾ Załącznik nr. 224.

³⁾ Załącznik nr. 18 i 19.

XVII

USAMODZIELNIENIE I-go KORPUSU POLSKIEGO

I-szy Polski Korpus miał posiadać, oprócz artylerji polowej, odpowiednią ilość artylerji ciężkiej, jak zresztą wszystkie inne korpusy linjowe. Pod wpływem jednak niezupełnie przychylnych nam czynników politycznych przy „Stawce“, narazie odmówiono wydania ciężkich dział rzekomo z powodu ich braku. Dopiero później, na moją interwencję, jen. Kornilow odmowę tę cofnął.

W obietnicę, lepiej powiedzieć, w dotrzymanie słowa przez jen. Kornilowa najzupełniej wierzyłem; ale jak się zaczęła z tego powodu korespondencja z różnemi instytucjami o wysłanie armat, to, koniec końcem, na początku walk z bolszewikami posiadałem tylko część dział lekkich.

Artylerja Korpusu formowała się około Witebska, a najlepiej skompletowana w ludzi 1-sza dywizja kwaterowała w okolicach Bychowa, nie posiadając ani jednej armaty.

Przeczuwałem, że z czasem może przyjść do starcia między mną a władzami rosyjskiemi, które przechylały się wciąż ku bolszewizmowi. Postanowiłem jednak unikać do ostateczności ostrego zatargu.

Po objęciu władzy przez bolszewików i po mojej odmowie wystąpienia przeciw kozakom, Krylenko zaczął ściągać wojska do Mohylowa. Uprowadzono mnie, że czyni on to w celu wystąpienia przeciwko Korpusowi, a w pierwszym rzędzie przeciw 1-szej dywizji, która na początku rewolucji była kilkakrotnie wzywana dla utrzymania porządku w Mohylowie — głównie do ochrony cudzoziemskich misyj wojskowych.

Jen. Kornilow chciał nawet przyciągnąć do Mohylowa pułk Krechowiecki, czemu się jednak oparłem. Z czasem chciałem sprowadzić kilka baterji z Witebska do Bychowa, ale bolszewicy odmówili pociągów. Wówczas kazałem załadować kilka dział do wagonów, przykryć je sianem i wyekspedjować, jako furaz, do Bychowa. Działa te dojechały do Żłobina, ale ktoś nas tutaj zdradził i transport zatrzymano. Nie dałem za wygraną. Kazałem sformować szwadron z konnych wywiadowców i forsownymi, nocnymi marszami pod jego ochroną, przerzuciłem parę dział z Witebska do Bychowa. Zostało to świetnie wykonane: nabyłem pewności, że w razie napadu przetrzepię bolszewików. Przybycie artylerji do Bychowa kazałem jak najuroczyściej rozreklamować, co ujemnie wpłynęło na zapasy wojenne Krylenki.

Stanowczość i energja moja były znane w armji rosyjskiej. W przeciągu miesiąca zorganizowałem dywizję Nr. 123, gdy w czasie normalnym wymagało to najmniej trzech miesięcy. Utrzymałem w łańcuchach posłuszeństwa 38-my korpus; w 1-szej armji, za mojego tam panowania, agitacji wywrotowej nie było. Wówczas gdy zdecydowano formowanie Polskiego Korpusu, władze (wtedy już nam nieprzychylnie ¹⁾), stawiały różne przeszkody, np. Korpus nie mógł formować się w określonym rejonie, gdzie mogłbym bez przeszkód doglądać prac organizacyjnych. Wyznaczono odległe od siebie punkty jak Jelnia, Dorohoburz, Zubcew, a nawet okolice Kijowa. Udało mi się nieco skorygować to rozlokowanie, przyciągając pułk Krechowiecki do Mińszczyzny i wyznaczając około Żłobina rejon dla formowania 3-go pułku ułanów. Następnie, już na bolszewikach wymogłem ściągnięcie wszystkich oddziałów Korpusu do okolic Bobrujska. Niejaki jen. Bącz-Brujewicz najniedorzeczniejszy oficer, który wypłynął na widownię dzięki sympatjom dla idei bolszewickich, wdzierając się na stanowisko szefa sztabu armji, uległ moim naleganiom, ale, jak się okazało, nie bez utajonego zamiaru. Łatwiej było bolszewikom napadać na pociągi, niż na skoncentrowany Korpus, znaczenie którego bolszewicy wyolbrzymiali, przeceniając nasz patryjotyzm. Dał na to zgodę „wódz“ Krylenko. Szczególniej bano się wojsk, kwaterujących w Bychowie, bo mogłem w przeciągu doby zająć tak zwaną „Stawkę“, rozlokowaną w Mohylowie. Zresztą niebardzo dziwię się bolszewikom, bo przecież to nowo-formowane wojsko polskie wyróżniało się tak zewnętrznym wyglądem, jak i dyscypliną, gdy tymczasem wojska bolszewickie były w rzeczywistości tylko luźnymi bandami.

*

Bolszewicy, jak to z rozmów z nimi wynikało, wcale nie myśleli o Polsce. Nie pozwalali nawet wypowiadać się nam swobodnie o naszych sprawach, a siłą wpychali nas w ramki międzynarodówki, z czem oczywiście żaden z nas ²⁾ zgodzić się nie mógł. Również w niedługim czasie wyszło na jaw, że głównymi sprężynami bolszewizmu byli żydzi, t. j. ten rodzaj ludzi, który w ogólnej niedoli świata zawsze umiał zająć *najwygodniejsze stanowisko*.

W chaosie rewolucji, oderwany od kraju, musiałem jako dowódca Polskiego Korpusu zająć właściwe *stanowisko* i znaleźć odpowiednią drogę postępowania.

Przyznałem „de jure“ pod presją „Naczipolu“ władzę „praporszczyka Krylenki“, jako *naczelnego wodza*, ale tylko *na wypadek wojny z Niemcami*. Byłem nawet u niego dwa razy i na tem koniec. Względem władz bolszewickich poczuwałem się tylko do konieczności podtrzymywania mniej wię-

¹⁾ Rządy Kiereńskiego.

²⁾ Mowa tu o wojskowych polakach.

cej poprawnych stosunków, ale uznawać ich jako swoją zwierchność oczywiście nietylko że nie potrzebowałem, ale nawet nie chciałem i nie mogłem. Bolszewicy zaś tego odemnie żądali. Wódz naczelny „hordy“, nazwanej „armją rewolucyjną“, Krylenko zażądał wprowadzenia komitetów w polskich oddziałach. „Naczpól“ i ja sprzeciwialiśmy się temu, rozumiejąc, że komitety były właśnie narzędziem destrukcji w szeregach. Było rzeczą oczywistą, że gdybym zezwolił na to, przedstawiciele polskiej lewicy, łącznie z Żydami, znaleźliby się w szeregach Korpusu, czego dotąd unikali. Zaczęłyby się wiecowania, które w rezultacie doprowadziłyby wojsko polskie do tego, czym stały się chińskie i łotewskie oddziały, którymi bolszewicy posługiwali się przy egzekucjach. Nie do nas należało mieszanie się do spraw rosyjskich, które mogły tak się układać, jak sobie wówczas tego naród rosyjski życzył.

Bolszewicy, nie mogąc skłonić mnie do posłuszeństwa, przestali dostarczać wszelkiego zaopatrzenia wojsku polskiemu, napadali na nasze oddziały i zaaresztowali nawet część członków „Naczpolu“. Nim jednak przeprowadzili rewizję w lokalu, by skonfiskować dokumenty, p. Stefanja Wańkowiczowa zdążyła je zabrać i przechować, o czym zawiadomiła uwięzionego prezesa Raczkiewicza przez zaufanego ułana H. Matuszewicza.

Nie mogłem też obojętnie przyglądać się aresztowaniu i mordowaniu moich żołnierzy. Taki sposób przekonywania o prawdzie nauk Marksa nie mieścił się zupełnie w moim umyśle. Miałem zatem dwie alternatywy: albo sam ustąpić z dowództwa, albo zerwać z tą ubliżającą, choć pozorną, zależnością od bandyty prap. Krylenko. Wybrałem to drugie i 11 stycznia 1918 r. postawiłem „ultimatum“. Być może, do zatargu nie doszłoby, gdybym nie był tak postąpił. Może znalazłby się na moje miejsce ktoś inny, któryby potrafił wyprowadzić polskich żołnierzy z bolszewickiej toni, ale wątpię.

Zresztą na zmiany w dowództwie czasu nie było, a przerwa łączności temu też nie sprzyjała. Również nie miałem ani powodu, ani podstawy do ustąpienia z mego stanowiska. Te szeregi, które się koło mnie skupiły, wierzyły mi bardziej, niż komu innemu¹⁾.

Dwie były bezpośrednie konsekwencje mego ultimatum. Żona z trojgiem dzieci znajdowała się wtedy w Woroneżu. Bolszewicy rozesłali po całej Rosji telegramy, że „carski generał D. M.“ powstał przeciw władzy ludu. W Woroneżu była dość liczna polska kolonja, rozproszkowana w mnogich politycznych kółkach; było niemało bolszewików — nowo wyprodukowanej odmiany socjalizmu. Gdy doszła tam wiadomość o moim kroku, postanowiono w celu ukarania, stracić moją rodzinę. Żona z dziećmi zdążyła jednak uciec do Moskwy; ale mieszkanie ograbiono doszczętnie. Nie było tam nic bardzo cennego, ale żał mi biblioteki, dokumentów, papierów rodzinnych, dużego zbioru kart geograficznych i topograficznych, a szczególnie szabli,

¹⁾ Załącznik nr. 20.

ofiarowanej mi przez 14 pułk syberyjski. Napisem na niej mogłem nietylko ja się chlubić, ale nawet i Polska.

Skoro bolszewicy przekonali się dostatecznie, że nie będą mogli wprowadzić komitetów do oddziałów polskich, a ja stanowczo wypowiedziałem się przeciw gwałtom, grabieży i zabójstwom, postanowili nie dopuścić do złączenia oddziałów Korpusu, a te eszelony, które już były w drodze, podstępnie rozbrajać. Udało się to tylko częściowo.

Gdybym był uczniem Marksa, urządzałbym przeciwko napadom wiece, pisał artykuły, uznał równość między szubrawcami i ludźmi uczciwymi; coś bym wskórał, ale zapewne za cenę wprowadzenia bolszewizmu do Polski. To też mimo, iż szczerze pragnąłem uniknąć zbrojnego zatargu, gdy 5-ty pułk strzelców, jadący pociągiem do Bobrujska, zwalono z nasypu, a świetnego oficera i dowódcę pułkownika Maciejewskiego zabito¹⁾, miałem tego dosyć. Wysłałem ultimatum i chwyciłem za broń w przypuszczeniu, że bandyci opamiętają się.

★

Siły, któremi rozporządzałem w dniu 11 stycznia 1918 r.²⁾ były aż nazbyt szczupłe. Mianowicie: Krehowiecki pułk, 4-ry szwadrony 3-go pułku ułanów w stadium formowania, pierwsza dywizja pod jen. Ostapowiczem — ca. 8 tysięcy bagnetów, a druga i trzecia dywizja liczyły zaledwie po tysiąc. Ułani i 1-sza dywizja, byli skupieni w rejonie Stary Bychów, Dukora, Żłobin. 2-ga i 3-cia dywizja znajdowały się o setki kilometrów od miejsca, gdzie rozegrały się decydujące wypadki (Bobrujsk). Artylerji, prócz kilku dział przy 1-szej dywizji, nie było.

Mimo tych okoliczności nakazałem dalszą koncentrację wszystkich oddziałów podległego mi Korpusu.

Wykonując moje zarządzenie, pułkownicy Frej i Rodziejcz przedarli się do Bobrujska piechotą; jen. Iwaszkiewicz wyruszył z Jelni do Bobrujska, rozpraszając po drodze oddziały bolszewickie, kierowane przez samego „naczelnego” wodza Krylenko.

Polska niema dostatecznej nagrody, którą winnaby wypłacić za bohaterские czyny dokonane przez Iwaszkiewicza, Rodziejczę, Maciejewskiego, Plisowskiego, Waraksiewicza, Jaźwińskiego i wielu innych. Niestety, czyny ich są mało znane.

Nie woziliśmy z sobą korespondentów, poetów ani fotografów.

Po powrocie do Polski nie zapytano mnie nawet, kto i jakiej nagrody jest godzien. Może moje zdecydowane wystąpienie przeciw bolszewikom nie podobało się?

¹⁾ Wówczas zakłuty bagnetem był również por. Zabłocki, syn adwokata.

²⁾ Dzień wysłania ultimatum.

Nie mogę protestować przeciw krytykowaniu mnie. Ale ci, którzy wolę moją wykonywali, nie są odpowiedzialni za rozkazy zwierzchnika. Dla nagrodzenia zasłużonych ze składu Korpusu wyznaczono kilkadziesiąt krzyży. Wybór godnych polecono komisji pod prezesurą jednego z oficerów Korpusu, czyli — po za wiedzą moją, jako dowódcy — stworzono... komitet! Powstały z tego powodu niesnaski, skargi, żale w stosunku... do mnie. Sądzę, że takie rozstrzygnięcie kwestji, o nagrodzeniu zasłużonych, uczyniono celowo. Popełniłem bowiem błąd, nie wycierając przedpokoi i nie zebrząc o nagrody, bo mi miłość własna na to nie pozwalała. Nie robiłem tego w okresie zaborów, choć byłoby to bardziej życiowe. Nie miałem przeto racji robienia tego w Polsce.

Skład Korpusu, który wytrzymał próbę ogniową tam na emigracji, był z krwi: krew zaś jest zbyt cenną ofiarą, aby o niej przypominać lub o nagrodę za nią prosić.

Nietakt ten zbyłem milczeniem.



Reperacja 6-cio calówki zdobytej na bolszewikach.

Niejednokrotnie słyszałem na emigracji i czytałem w Polsce, że dla wielu niezrozumiałe są powody zatargu I-go Korpusu, t. j. powiedzmy zatargu mego z bolszewikami, który doprowadził do zbrojnego starcia.

Chcę to wyjaśnić. Rewolucja rosyjska ogłosiła akt o konieczności odbudowy Polski, do czego i ja się w pewnej mierze przyczyniłem ¹⁾.

¹⁾ Patrz rozdział XIV.

Uczyniwszy gest, zobowiązujący tylko moralnie, kierownicy rewolucji nie tylko nie przedsięwzięli nic konkretnego w celu zrealizowania swojej deklaracji, ale nawet o sprawie polskiej więcej nie mówili.

Nie chcąc być czemś w rodzaju kondotjera, musiałbym oprzeć się na jakiejś politycznej organizacji. Zgody między nami na obczyźnie nie było, a uznać zwierzchnictwo jednego stronnictwa, oznaczało to samo, co pogrzebać sprawę formowania wojska. Wykonując rezolucje Zjazdu, początkowo opierałem się o „Nacpol“; ten zaś okazał się w sprawach polityki arcy-naiwnym, a jako ciało zbiorowe, w dziedzinie woli i decyzji nie miał żadnego znaczenia ¹⁾. „Nacpol“ nie utrzymywał stałej łączności ze mną. Często też, musiałem sam decydować w sprawach, wychodzących poza ściśle obowiązki dowództwa.

Gdyby „Nacpol“ osiadł ze mną w tem samym mieście, może potrafiłby uchronić mnie od tarć z władzami bolszewickimi. W każdym razie obowiązany był brać to pod uwagę, że szeregi nie zgodziłyby się na upakarzające decyzje. Stało się to, ale za późno, kiedy już nie można było powstrzymać biegu wypadków dziejowych.

Taką była ogólna sytuacja.

Powody zatargu, między mną, a bolszewikami, wyczerpująco wyjaśnia mój okólnik ²⁾, oraz odezwy „Nacpolu“ do władz bolszewickich ³⁾. Z nich wynika niezbiecie, że nie ja tarcia stwarzałem i nie ja szukałem zatargów. Nie miałem jednak racji do bezwzględного uznawania autorytetu i posłuchu jakichś tam Krylenków et tutti quanti. Miałem sam też coś do powiedzenia. Przyczyn do scysji było wiele. Przytaczam tu tylko główniejsze. Przyznaję się szczerze, że sam podziwiam ówczesną moją cierpliwość.

1. Byłem przekonany, że źródło władzy spoczywa w Narodzie, głównie na jego przodującej warstwie. Po wybuchu rewolucji i ogłoszeniu hasła o samostanowieniu oraz po objęciu przeze mnie dowództwa nad Korpusem, mogłem nie uznawać żadnej władzy rosyjskiej, bo o niej Polacy nie wypowiedzieli się. Tem bardziej nie mogłem uznać nad sobą władzy bolszewickiej, która w sposób nielegalny obaliła władzę pierwszego okresu rewolucji, właśnie tę, która proklamowała niezawisłość Polski, gdy bolszewicy nie złożyli żadnej deklaracji w sprawie polskiej. Przeciwnie, wysunęli oni dzikie projekty o wszechświatowym przewrocie klasowym, w którym, według ich intencji, i my mieliśmy brać czynny udział. Bardzo być może, że wtedy zapanałby raj na ziemi, ale trzeba było się przedtem zapytać „niczem niekrępowany“ naród polski, czy zgadza się na ową narzuconą mu rolę. Żądałem więc, by nas do tego czasu pozostawiono w spokoju. Tymczasem zaś

¹⁾ Porównaj załącznik nr. 21 i 22.

²⁾ Załącznik nr. 23.

³⁾ Załączniki nr. 24, 25, 26 i 27.

bolszewicy rościli sobie prawo do dysponowania mną i wojskiem polskim wbrew uchwałom Zjazdu w Piotrogradzie¹⁾). Na to zgodzić się przecież nie mogłem!

2. Zgodnie z uchwałami Zjazdu Wojskowych Polaków, wojsko polskie miało podlegać rosyjskiemu wodzowi naczelnemu. Rosja mogła wybierać na to stanowisko, kogo chciała, ale zawsze musiał to być człowiek wojskowo wykształcony, a nie wygadany działacz wiecowy. Dopóki, po abdykacji cesarza, naczelnymi wodzami armji rosyjskiej byli generałowie, nie było żadnej kwestji spornej. Ale gdy wojna trwała, a rządy zaczęły się zmieniać, gdy doszło do aresztowania i mordowania generałów, a nawet naczelnych wodzów, do obsadzania wojskowych stanowisk przez adwokatów lub nauczycieli, nie wolno mi było być nadal obojętnym widzem. W talenty, szczególnie strategiczne, improwizatorów wojskowości wierzyć mógł tylko warjat.

Nie mogłem też obojętnie patrzeć na podważanie autorytetu dowództwa przez czynniki destrukcyjne, bo to ujemnie wpływało na spoistość szeregów polskich, które były tego świadkami. Bolszewicy zaś żądali bezwzględnego uznania ich władzy. Na mocy jakiej logiki miałem ich słuchać? Przecież przysięgi im nie składałem.

3. Przewrót bolszewicki wysunął kwestję zawieszenia broni z Niemcami, a wojsko polskie na emigracji rosyjskiej, było właśnie stworzone do walk z Niemcami. O tem wiedzieli bolszewicy. Pertraktując z Niemcami, bolszewicy nic o nas wojskowych nie wspominali. Było to dowodem, że nie uznawali naszego prawa do samodzielnego rządzenia się i uważali nas tylko za swych poddanych. To było sprzeczne z postulatami rewolucji rosyjskiej (że Polska ma się odrodzić), a więc temsamem, że i Polacy mają prawo decydowania o swoim losie. Nie byłem też pewny, czy Niemcy przy pertraktacjach w Brześciu nic o nas wojskowych nie wspominali: może tam i mówiono o nas? W tem przypuszczeniu nie omyliłem się²⁾.

Było aż nadto ryzykowną rzeczą dopuścić do tego, żeby pertraktacje toczono bez naszego udziału.

4. Ustaliłem wraz z Krylenko i z szefem jego sztabu, jen. Bącz-Brujewiczem, rejon rozlokowania Korpusu, mianowicie w okolicach Bobrujska. Miał to leżeć na szlaku operacyjnym, wiodącym do Polski, znajduje się na drodze do chlebobajnych rejonów Rosji, jest przeto punktem strategicznie ważnym. Jeżeli zaś bolszewicy zawarli ze mną umowę o dyzlokacji I-go Korpusu, to winni byli jej dotrzymać.

Tymczasem, gdy zacząłem ściągać wojsko do Bobrujska, bolszewicy, nie uprzedzając mnie, zaczęli zatrzymywać eszelony, które nie wiedziały, o co chodzi, a chciały wypełnić kategoryczny rozkaz swego dowódcy: „iść do Bo-

¹⁾ Punkt 3. uchwał Zjazdu. Załącznik Nr. 11.

²⁾ Załącznik nr. 28.

brujska". Zdarza się w praktyce, że wydaje się rozkazy niższym instancjom, pomijając bezpośrednie władze, ale na mocy rosyjskich regulaminów, które znać musiał Bącz-Brujewicz, należało niezwłocznie zawiadomić o tem także i ich dowódców, których czasowo pominęli, t. j. mnie.

Zatrzymując moje transporty wojskowe, zaczęto jednocześnie aresztować dowódców ¹⁾, zabijać oficerów, a nawet zdradziecko rozstrzeliwać całe pociągi ²⁾. Pomagali w tem polscy socjaliści. Czy miałem być biernym widzem tych potworności?



Działa przeciwlotnicze w tw. Bobrujsk, ustawione podczas walk z bolszewikami.

5. Nie broniłem wyłącznie majątków polskich (jak mi to bolszewicy imputowali), a korzystałem jedynie z ich zasobów. Miałem logiczne prawo do korzystania z tej pomocy, gdyż bolszewicy sami grabili majątki większej własności ziemskiej. Tem bardziej nie mogłem obojętnie patrzeć na grabieże, bo przecież była to przeważnie własność polska, której posiadacze sami ofiarowali na rzecz wojska polskiego cały swój dobytek. To też bolszewicy wściekli, że nie mogą dokonać rabunku, skarżyli się na wojsko polskie i na mnie.

Bolszewicy mogli użyć łatwego środka, żeby uniknąć z nami scysji na tem rle. Prostu mogli zaopatrzyć nas w żywność i sprzęt wojskowy z magazynów armji rosyjskiej. Ale właśnie wtenczas wydano rozporządzenie, by nam

¹⁾ Sztab 2 dywizji i inne.

²⁾ 5. pułk.

nic nie wydawać. Interwenjowałem niejednokrotnie, stale jednak otrzymywałem odpowiedzi odmowne. Czy mogłem dopuścić do tego, żeby wojsko polskie wyginęło z głodu?

6. Wreszcie aresztowano w styczniu „Naczpól“, po całym szeregu mordów i gwałtów, tak nad wojskowymi Polakami, jak i nad polską ludnością cywilną. Bolszewicy chcieli i mnie schwytać, ułatwić sobie rozbrojenie naszych oddziałów i uczynić z nas swych najemników. Przecież Krylenko wyraźnie żądał, abym wyruszył tłumić rozruchy antybolszewickie wśród ludności czysto rosyjskiej.

Powtarzam tedy: wszystko, co robiłem wynikało z *dobrze zrozumianych uchwał Zjazdu w Piotrogradzie*. Zmienić je miał prawo tylko nowy Zjazd.



Tabor zdobytego na bolszewikach pociągu pancernego.

Zjazd w Piotrogradzie uczynił gest wersalski w stronę rewolucji, ale tej początkowej, a nie bolszewickiej. Od wysuniętych przez niego postulatów odstąpić nie mogłem; byłem obowiązany jak najlepiej je wykonać.

Oczywiście można było postąpić inaczej, np. wprowadzić do Korpusu komitety, iść tłumić powstanie kozaków, uznać Krylenkę za czynnik polityczny, gdy był tylko naczelnym wodzem A. R., zgodzić się na pokój w Brześciu i wprowadzić może zmodyfikowaną bolszewicką zarazę do Polski, iść ją zaszczerpiać do Niemiec, wreszcie dać się wyrzucić z dowództwa Korpusem, a nawet pozwolić się powiesić. Ja się jednak na takie traktowanie swych obowiązków zgodzić nie mogłem. Trzeba było obierać na dowódcę korpusu innego generała, a najlepiej chorążego, lub wogóle profana w sprawach wojskowych.

Oto są powody, które wyczerpały moją cierpliwość i skłoniły mnie do pochwylenia za broń.

XVIII

BOLSZEWICY I NIEMCY

Po wysłaniu do bolszewików ultimatum (patrz załącznik nr. 53 do części pierwszej Szkicu do historii I-go Polskiego Korpusu) zacząłem ściągać swoje szczupłe siły do rejonu w trójkąt Rohaczew — Żłobin — Bobrujsk, dzięki czemu osiągałem pewne bezpieczeństwo i, co ważniejsza, swobodę ruchów. Jen. Ostapowiczowi poleciłem zamknąć drogi z Mohylowa do Żłobina i utrzymywać kierunek z północy, skąd oczekiwałem głównego natarcia. Krechowickim ułanom kazałem wystąpić z Dukory do okolic na wschód od Bobrujska. Saperom — wyruszyć z Kuchcic do Bobrujska. Oddziałowi lotniczemu, kwaterującemu w okolicach Rożampola, pod pułk. Studzińskim, — pozostać na miejscu, dopóki ułani i saperzy nie skoncentrują się w Bobrujsku i dopiero potem odejść na Bobrujsk¹⁾.

O bolszewikach miałem następujące wiadomości: prócz wojsk, które jeszcze zajmowały front przeciw - niemiecki, w Mińsku kwaterowały dwa pułki piechoty. Kaukazka dywizja jazdy była rozlokowana w okolicach Dukory, otaczając pierścieniem Krechowickich ułanów; dysponował nią żyd Łachmann. W Mohylowie stały oddziały marynarzy i Łotyszów. Borysów zajmował rosyjski pułk zapasowy, a Żłobin niewielkie oddziały. Osipowicze okupował żydek Brolmann z bandami chłopstwa i licznymi oddziałami. W samym Bobrujsku przebywało około 3 tysięcy żołnierzy różnej broni; było tu też około 400 żołnierzy 2-giej pol. dywizji i z artylerji, z pułkownikiem Kuryłło i Malewiczem na czele; wreszcie Krasny Brzeg, na połowie drogi między Żłobinem a Bobrujskiem, zajmował 3 pułk ułanów, pod pułkownikiem Łempickim Zygmuntem.

Z tego wynika, że wojska moje były pomieszane z bolszewickimi. Chcąc skoncentrować ułanów i saperów w Bobrujsku, poświęcałem oddział lotniczy. Zajęcie Bobrujska było moim zasadniczym celem, gdyż posiadanie tej, jakkolwiek niewielkiej forteczki, dawało punkt oparcia do dalszych operacji.

Sam w tym czasie przebywałem w Dukorze, przy ułanach. Nie wypadało mi jakoś iść z tym pułkiem, z którym czułbym się oczywiście bezpiecznie. Wiedziałem, że w pułku coś się gotowało. Był to wynik roboty p. Lednickiego i polskich socjalistów, z jakimś Baryłą na czele.

Wśród ułanów ścierały się dwa prądy. Jedni chcieli iść do Francji, inni

¹⁾ Tajny rozkaz wydany osobiście plk. Studzińskiemu.

wyrobić sobie u Niemców pozwolenie na powrót do Warszawy i wstąpienie do składu istniejącego tam „Wehrmachtu“. Jeżeli pierwszy projekt zatraćał romantyzmem, to drugi był poprostu naiwny. Oznaczał on tyle, co żądanie wdzięczności za lanie pod Krechowcami. Ponieważ czas był gorący, a ja nie miałem prawa¹⁾ zmuszać do jakichkolwiek decyzji jądro przyszłych regularnych wojsk polskich, którym bezsprzecznie jest pułk Krechowiecki, a po-
zatem chciałem wiedzieć, co za duch panuje w szeregach, pozwoliłem na zupełnie otwarte wypowiedzenie się.

Zdrowszy sens zwyciężył. Ułani przyłączyli się do reszty wojska w Korpusie. Fakt ten jest jednak ilustracją, co za gatunek siły zbrojnej stanowią oddziały ochotnicze.

Zdecydowałem się na wyjazd do rejonu koncentracji Korpusu bez jakiegokolwiek eskorty. Potrzebowałem trzech dni, by dostać się do Birczy, majątku pp. Bolęśławostwa Wańkowiczów, do którego miał przejść również mój sztab. Nie przebierając się, jak to normalnie się praktykowało, pojechałem z szefem sztabu jen. Agapiejewem, adjutantem rtm. Witoldem Dowborem i ordynansem ułanem Więckowskim na dwóch chłopskich saniach, via Roząmpol, Osipowicze, do stacji Jasień. Najtrudniejszą sprawą było przedostanie się przez Osipowicze, gdzie skoncentrowała się masa rozbastwionego żołnierstwa i chłopstwa. Przed Osipowiczami zwróciłem się do przypadkowo spotkanego szlachcica zaściankowego z jakiejś wioszczyny (nazwiska jego niestety zapomniałem) i wyjawivszy kim jestem, prosiłem o ułatwienie w przedostaniu się przez Osipowicze. Szlachcic zgodził się; w Osipowiczach namówił kuma do przewiezienia nas „stante pede“ do Jasienia, co się również pomyślnie udało. Tam doczekaliśmy się pociągu, idącego z Mińska do Żłobina. Był on przepełniony uciekinierami z frontu. Zmieszaliśmy się z tłumem. W wagonie dowiedzieliśmy się, że w Bobrujsku bolszewicy kontrolują wszystkich pasażerów. Ale jakoś nikt nas nie rewidował, czy to z braku czasu, czy też z innego powodu. Gdy pociąg ruszył wreszcie z Bobrujska, odetchnęliśmy spokojniej, bo wjeżdżaliśmy w rejon okupowany już przez moje oddziały. Ze stacji Rynia, końmi państwa Kiełczewskich, dotarłem do Birczy.

Jeśli by bolszewicy złapali mnie, a było to już po ogłoszeniu rozporządzenia Krylenki o wyjęciu mnie z pod prawa, daliby mi, wyrażając się słowami Zagłoby, porządnego łupnia...

*

W sztabie Korpusu w Birczy nie było wesoło. Obok, we wsi Wielkie Bortniki, kwaterował bataljon rosyjskich pontonierów; którym dowodził jakiś podporucznik. Żołnierze z tego oddziału mieli wielką ochotę rozbroić mój sztab.

¹⁾ Wszak Korpus był ochotniczy.

Posiadaliśmy tylko 16 karabinów. Chcąc uwolnić się od gnębiącej nas zmory, zaprosiłem dowódcę bataljonu i dałem mu radę, żeby ludzi rozpuścił do domów, bo nie zgadzam się na sąsiedowanie z nim. Gdyby podporucznik, obrany na dowództwo przez komitet bataljonu, miał choć troszkę rozumu, byłby sztab nietylko rozbroił, ale i aresztował; widocznie jednak zląkł się i moją radę potulnie wykonał.



Improwizowany pociąg pancerny
na st. Berezyna.

W międzyczasie delegowałem pułk. Obucha - Woszczatyńskiego do Bobrujska, z rozkazem wyrzucenia Bolszewików z forticy. Tam się jednak wahano i pułk. Obuch wrócił, prosząc bym akcję odroczył. Niezwłocznie wysłałem go z powrotem z rozkazem „coute que coute“, aby fortecę zajęto, co się też stało. Był po temu czas wielki, bo bolszewicy przysłali kilka pociągów z piechotą, więc usadowiwszy się już w forticy, mieliśmy możliwość „namówić“ te eszelony do powrotu. Perypetje przy opanowywaniu Bobrujska, opisane są przez kpt. Przeździeckiego ¹⁾. Nie będę się nad tem zatrzymywał a podaję je w całości, jako aneks do pamiętnika, gdyż obfitują w ciekawe szczegóły.

Otrzymaawszy raport, że Bobrujsk jest opanowany, poczułem, że sprawę wygrałem. Faktycznie nie jest to forteca lecz „tête de pont“, z jednym tylko fortem poza główną fosą. Mógł on jednak, przez długi czas, stawiać skuteczny opór. Posiadając go, zamykałem wszelkie drogi na wschód z frontu, od Polesia do Borysowa i stawiałem w przykłej sytuacji II-gą i X-tą armję rosyjską. Poprostu wierzyć nie chce się w to, jak militarnie słabymi byli wtenczas bolszewicy, jeżeli garstka Polaków była w stanie sparaliżować ruchy dwóch armji, t. j. niemniej jak ośmiu korpusów! Stało się to oczywiście

¹⁾ Załącznik nr. 29. Podane są one dość wiernie, choć brak jest przedstawienia działań I dywizji oraz w końcu opis wypadków nie odpowiada rzeczywistym faktom, mianowicie: ani Bartha mnie nie aresztował, ani z aresztu nie zwalniał. Próbował to zrobić — w rezultacie uciekł — patrz niżej rozdz. XXI.

wyłącznie dzięki usunięciu fachowego dowództwa i objęciu komendy nad wojskami przez żydków i chorążych, wybieranych przez komitety.

Dopiero po utracie Bobrujska, bolszewickie bractwo zrozumiało znaczenie tego punktu. Postanowili wykurzyć mnie stamtąd. Zmobilizowali w tym celu i przysunęli od strony Mińska i Słucka kilka dywizyj, które zaczęły na nas napierać. Miałem wtedy do dyspozycji najwyżej cztery kompanie piechoty i jedno działo, ale na szczęście bolszewicy bali się odejść od linii kolejowej, która dawała im możliwość żywienia się, no i, w razie niepowodzenia, ucieczki... Moje słabe siły były wysunięte na zachód od Bobrujska, napierane zaś cofnęły się aż do stacji Jasień.

W Osipowiczach skoncentrowano znaczne siły bolszewickie, z liczną artylerią. Porażka moja była pewna. Należało użyć jakiegoś wybiegu. Wysłałem więc, kilku ludzi w przebraniu na tyły bolszewickie z rozkazem wysadzenia któregośkolwiek, choćby niewielkiego, mostu między Osipowiczami a Mińskiem. Również wysłałem podjazd do Borysowa w celu wysadzenia i tam mostu, względnie popsucia torów kolejowych, a to w celu przerwania komunikacji między Mińskiem a Orszą i wzniesienia paniki wśród bolszewików. Jednocześnie nawiązałem kontakt (tajny) z dywizjonem górali kaukaskich, którzy ongi stanowili oddział reprezentacyjny (t. zw. konwój) przy dowodzącym zachodnim frontem. Dowódcę znałem osobiście. Był to górą, prosty człowiek, który nie mógł zrozumieć tego, co się w Rosji dzieje i dlaczego poaresztowano, lub pozabijano generałów. Od niego dowiedziałem się, że bolszewicy, mają zamiar mnie atakować (kazali mu wyjść na nasze tyły). Umówiłem się, że wyślę na spotkanie dwa szwadrony ułanów, które mają rozpocząć strzelaninę w powietrze, on zaś gwałtownie się cofnie i zamelduje, że Polacy wielkimi siłami obchodzą i wzniesi panikę w armii bolszewickiej pod Osipowiczami. Szczupłutkie moje siły miały nacierać wzdłuż kolei, choć pozycja bolszewicka była bardzo silna; była za bagnistą rzeczką, a zdobyć ją można było tylko z wielkim nakładem wysiłku.

Wszystko, co uplanowałem, przeszło jak na scenie. Kiedy górale wpadli do Osipowicz, wrzeszcząc w niebogłose, popłoch w szeregach bolszewickich wszczął się nie do opisania. Wszystko uciekło, pozostawiając armaty, samochód pancerny i amunicję. Pierwszy uciekł Brolmann (czy Brolnicki).

Wygrana pod Osipowiczami zaopatrzyła mnie w armaty, a wśród nich, w jedno ciężkie działo. W ciągu całej wojny światowej nie zdarzyło mi się osiągnąć takiego sukcesu, bo nawet Austriacy stawiali przez pewien czas opór. Naszym oddziałem dowodził kpt. Jurkiewicz.

Utarczkę pod Osipowiczami nazywam bitwą, choć z naszej strony walczyło nie więcej, jak 600 ludzi, przy jednej armacie ¹⁾. Natomiast po stronie bolszewickiej w walce brały udział przeszło dwie dywizje i kilkadziesiąt armat

¹⁾ Patrz „Placówkę“ Nr. 11 i 12 z 1934 r. — „Wspomnienia żołnierskie“.

(60 zdobyliśmy). Szefem sztabu tych sił był „najlepszy strateg rewolucyjny“, jakiś Kałmanowicz, żydek słucki, eks-kancelista w carskiej armji. Stronę moralną i ideową tego starcia zbrojnego przygotował ze strony bolszewików żydek z Polski, Brolmann.

Jednocześnie z walkami w kierunku zachodnim, toczyłem walki na wschodzie; te jednak, pomimo pewnych powodzeń, miały niepomyślny wynik. Kazałem tam dwóm najlepszym pułkom 1-szej dywizji — 2-mu i 4-mu, oraz 3-mu pułkowi ułanów pod ogólnem dowództwem pułk. Lucjana Żeligowskiego, wyrzucić bolszewików ze Żłobina.



Zdobyte działo przeciwlotnicze
na platformie kolejowej.

Przebywało ich tam niewielu i siły, które wyznaczyłem, były aż nadto wystarczające do wypełnienia tego zadania. Z przebiegu poszczególnych epizodów bitwy wiem, że większość wojsk biła się doskonale ¹⁾. W walce tej został zabity rotm. Masłowski, kilku oficerów było rannych i sporo żołnierzy poległo. Pułk. Żeligowski wykazał tu swoją nieudolność. Trafił do Korpusu nie z mego wyboru, lecz z rekomendacji „Naczipolu“, będąc sam jego członkiem. Miał reputację „dobrego patrioty“ i nosił najwyższą odznakę za waleczność, oficerski krzyż św. Jerzego. Zastanawiał mnie tylko ten szczegół, że był przeniesiony z dowództwa jednego pułku, na dowództwo drugiego, co, znając praktyki armji rosyjskiej, wskazywało na jakieś załamanie się karjery. Pod Żłobinem talentów żadnych nie wykazał. Czy to poprostu nie mógł dać sobie rady z dwoma

pułkami, czy też brakowało mu niańki w postaci sztabu, czy też może w tym dniu opuściły go sprzyjające duchy, dość, że Żłobina nie zdobył.

W kierunku Bychów — Mohylów, Legja Rycerska i kilka kompanij z 1-szej dywizji stoczyły pomyślne walki z oddziałami marynarzy i Łoty-

¹⁾ Dokładny opis walki podała „Placówka“ w nr. 6—10 z 1934 r w artykule p. t. „Bój o Żłobin“.

szów ¹⁾, ale koniec końcem 1-sza dywizja nieoczekiwanie cofnęła się, aż pod Bobrujsk. Wina za to spada na naszych polityków, którzy w celu zawarcia rozejmu, prowadzili pertraktacje, nie uwzględniając tego, że u bolszewików posłuszeństwa nie było. Ich władze mogły wydawać rozkazy, ale je mało kto spełniał, gdy tymczasem myśmy je wykonywali. Właśnie rozejmowa przerwa działań z naszej strony wywołała atak bolszewików na 1-szą dywizję, co zmusiło ją do cofnięcia się i o mało nie wywołało ogólnej katastrofy.

Widząc, że koło bolszewików zacieśnia się w okolicach Bobrujska ²⁾ i że musi dojść do ostatecznej rozgrywki, a chcąc kierować tylko pewnymi ludźmi, przyjechałem do 1-szej dywizji do Bortnik. Tam, wyjaśniając szeregom sytuację polityczną i wojskową, zaproponowałem, żeby ci, którzy chcą walczyć dalej, aż do ostatecznego wyniku, zostali, — ci zaś, którzy nie chcieliby walczyć, aby opuścili szeregi. Postąpiłem tak dlatego, że dezercja w oddziałach rosła w sposób zastraszający. Nie było racji przysparzać laurów bolszewikom. Chciałem się upewnić, że ci którzy pozostaną, rzeczywiście walczyć będą do ostatka.



Szkoła artylerzystów w Bobrujsku. Na czele pułkownicy: Malewicz i Sistrzencewicz.

Wynik mej propozycji był przerażający: w niektórych pułkach (np. w 3-im) pozostało zaledwie 200 ludzi. Namacalnie przekonałem się, co sprawiła niewola i czym jest wojsko ochotnicze. Przecież „chłop“ polski jest

¹⁾ Jedną z bitew — pod Toszczycą — opisała „Placówka“ w n. 1 — 1935 r.

²⁾ Załącznik nr. 30.

dobrym materiałem żołnierskim, ale brakowało mu uświadomienia. Zmarł w nim duch wojowniczy, wołał wycierać tyły i zasiadać w komitetach.

1-sza dywizja miała sporo czasu, by uświadomić żołnierza, tego jednak nie zrobiono. Zebrały się tam w wielkiej ilości łaziki o tyle uświadomione, że kwapiły się do obrony interesów Rosji, ale nie Polski. Znacznie lepiej było w 2-ej, a szczególnie w 3-ciej dywizji jen. Iwaszkiewicza. Wzorem dla wszystkich był 1-szy pułk ułanów Krechowieckich.

Po oczyszczeniu szeregów 1-szej dywizji z niepewnych elementów, nie było co liczyć na dalsze powodzenie walk. 3-cia dywizja maszerowała wtedy z Jelni do Bobrujska; ze składu 2-ch dywizji przebywało w Bobrujsku tylko pareset żołnierzy, działających w kierunku na Mińsk. Trzeba było znaleźć wyjście z tej trudnej sytuacji i powziąć decyzję.



Grupa żołnierzy pułków rezerwowych z Dorohobuża z płk. Bohusz Szyszko na czele, po przybyciu z 3-cią dywizją do rejonu I K. P.

Można było rozpuścić piechotę, a tylko z ułanami wyruszyć do Denikina. Czy byłoby to korzystne dla Polski? Wobec tego postanowiłem raz jeszcze uderzyć w kierunku na Rohaczów. Kazałem przejść 1-ej dywizji do przeciw-natarcia. To się udało; linja Dniepru była ponownie zajęta.

*

Po wejściu z Niemcami w kontakt i nawiązaniu łączności z Radą Regencyjną, postanowiłem wysunąć hasło skupienia się w celu powrotu do Kraju. Miałem na celu uchronić Polskę od zalewu zdeprawowanych bolszewizmem

mas. Pomógł mi w tem „Komitet Samoobrony i Powrotu do Kraju“, ¹⁾ który wtenczas zawiązano wśród wygnańców. Osiągnąłem pewne rezultaty, bo Korpus, który podczas walk z bolszewikami w styczniu i lutym 1918 r., stopniał do 8 tysięcy ludzi, już w kwietniu, na nowo osiągnął liczbę około 29 tysięcy.

Jest godne uwagi, że na moją propozycję pozostania w szeregach, lub porzucenia ich, za pozostaniem wypowiedzieli się prawie wszyscy oficerowie i tylko mała liczba żołnierzy. Tymczasem, po ukończeniu walk z bolszewikami, na hasło łączenia się w celu powrotu do Kraju, oficerów przybyło zaledwie kilku, reszta, około 20 tysięcy, byli to żołnierze, wiedzeni, oczywiście, nie pobudkami ideowymi, lecz czysto zwierzęcymi, — chęcią dorwania się do kotła, stale napełnionego.

Ktoś z początku wojny światowej w sposób humorystyczny zaproponował, żeby: „sztandary zastąpić kuchnią; pierwsze skupią mało ludzi, a kuchnia wszystkich zbierze“...

Niestety żartowniś ten miał rację.

¹⁾ Załącznik nr. 27.

XIX

W ROZTERCE

W czasie walk w rejonie Bobrujska, gdyśmy byli otoczeni przez bolszewików, sytuacja nasza była bardzo ciężka, tem bardziej sprzyjająca sporom, waśniom, niezgodzie a nawet intrygom. To też niebezpieczeństwo groziło wielkie, bo, jeśliby nawet Korpus składał się z najlepszego żołnierza, na zwycięstwo kolosa, jakim była Rosja, liczyć było trudno. Koniec końcem zgniecionoby nas. Jedna tylko kwestja nie wywoływała waśni, oczywiście wśród tych, którzy trwali w szeregach, to dążenie do dopomożenia w odbudowie Polski.

Pojęcie o państwie zawiera dużo odcieni i to właśnie było tematem sporów między przedstawicielami różnych odłamów myśli politycznej wśród społeczeństwa naszego na emigracji. Socjalistów wyłączam, ponieważ uzależniali się od dyrektyw międzynarodówki, przeto w naszych szeregach jawnie ich nie było. Uświadomiliśmy sobie tę rzeczywistość, że, jakiegokolwiek powziętoby decyzje na emigracji, *ostatnie słowo* należeć będzie do tych, *którzy pozostali w Kraju*.

To też marzeniem partyj wywrotowych na emigracji było, żeby wrócić do Polski z bronią w rękę i dzięki temu móc tam siłą narzucić swoje poglądy.

Do chwili zetknięcia się Korpusu z Niemcami, znaną nam była tylko odezwa w. ks. Mikołaja (która zawierała niejasne obietnice), oraz proklamowanie przez Niemców Królestwa Polskiego, co już zawierało więcej, niż powyższa odezwa. Tajemnicą natomiast było dla nas to, co się działo w Kraju i jakie panowały tam poglądy. Kursowało moc plotek. Jedni twierdzili, że pod okupacją niemiecką uciskają ludność, ale porządek panuje. Inni cieszyli się, że panowanie Niemców dodatnio wpłynie na przyszłe ukształtowanie się stosunków w Polsce. Jeszcze inni twierdzili, że Niemcy są na wyczerpaniu swych sił, czemu znów zaprzeczali przeciwnicy Ententy.

Potworzyła się masa kółek i orjentacyj. W sposób beznadziejny walcowano dyskusję na temat, jaką Polska ma być: ludową, narodową, ludowo-narodową, lub vice-versa, z dostępem do morza, lub bez. Nawet inteligent z trudem mógł połapać się w tych różnicach. W głowach prostaków panował chaos, z czego korzystali przedstawiciele międzynarodówki, aby głowy te jeszcze więcej otumanić.

Należało oprzeć się o jakiś autoryt, żeby móc na emigracji zdziałać coś dla

Polski, albo wyłonić coś w rodzaju czasowej władzy lub instytucji, która zrealizowałaby wysunięte przez rewolucję rosyjską, a skwapliwie przez nas wojskowych przyjęte, hasło o *samostanowieniu narodów*. Rosja carska, Kiereńskiego lub bolszewicka, nie pomogły do ukonstytuowania się takiej władzy lub instancji, choć zarówno jedna jak i druga były do tego moralnie obowiązane. Trwał więc w Rosji chaos walk politycznych. Ciągłe czyniono próby opanowania nas wojskowych i społeczeństwa cywilnego na emigracji w celu pokierowania polityką, zgodnie z poglądami tej lub innej partji. Programy żadnej z nich nie odpowiadały moim poglądom i, niema co ukrywać, nie wierzyłem ani w rozum ich kierowników, ani w szczerość ich intencji.



5 baterja 2 brygady artylerji Strzelców pod d-ctwem kpt. St. Więckowskiego (X).

Niemcy, ogłaszając manifest o proklamowaniu Królestwa Polskiego, stworzyły surogat władzy w postaci Rady Regencyjnej. Choć nie byłem aktywistą, postanowiłem oprzeć się na niej, jako na instytucji, złożonej z Polaków i osób znanych. Najwybitniejsi oficerowie Korpusu do tego mnie zachęcali. Robiono mi później, co prawda, ciężkie z tego powodu zarzuty i to największe ci, którzy pragnęliby widzieć na czele państwa rząd robotniczo-włościańsko-żołnierski, t. j. panowie à la Baryła, Smoła, Chałupka, Podkówka i t. d. Słowem: — „dołoj gramotnyje“ i ludzie uczciwi.

Chciałem się dowiedzieć, jak się ustosunkował Kraj do Rady Regencyjnej. Prowadząc długie i uciążliwe pertraktacje z Niemcami i korespondując z wielkimi przeszkodami z Radą, niestety niewiele się dowiedziałem. Najlepiej zorientowali mnie dopiero urlopowani oficerowie i żołnierze, oraz mój oficer łącznikowy w Warszawie. Oni twierdzili, że w Kraju wszyscy władzę Rady Regencyjnej uznali.

W międzyczasie Haller przedarł się przez front austriacki. Był to dla mnie fakt zgoła niezrozumiały. Wiedziałem, że istnieją po stronie austriacko-niemieckiej oddziały ochotnicze z Polaków złożone, drugo, a może i trzeciorzędного znaczenia, które walczyły przeciw Rosji; lecz nie mogłem dojść,

jaka przyczyna zmusiła je do przejścia na stronę rosyjską. Czyżby sympatja do rewolucji? Zresztą to przypuszczenie nie trafiało mi zupełnie do przekonania; wątpiłem w to, czy brygadjer Haller robił jaką różnicę między Rosjaninem-monarchistą a republikaninem, względnie bolszewikiem. Delegowałem więc do niego jen. Karnickiego, w celu nawiązania kontaktu.

W końcu kwietnia, jeszcze przed powrotem jen. Karnickiego, otrzymałem od bryg. Hallera (pseudonim Mazowiecki) następujące pismo:

„Do

Dowództwa I K. W. P.

Gener. porucznika J. Dowbor-Muśnickiego.

Pragnąc utrzymać z I K. W. P. ciągłą i możliwie ścisłą łączność, posyłam napowrót podpor. Malewicza, i proszę o poczynienie kroków w celu przyspieszenia połączenia 2 K. W. P. z I K. W. P. o co, od tak długiego czasu już zabiegamy.

Objąwszy dowództwo 2 K. W. P. zreorganizowałem go i mam nadzieję, że duch dobry i dyscyplina wprowadzona w nim utrwalone zostaną.

Od początku objęcia Dowództwa dążyłem w kierunku północnym połączenia z I K. W. P., biorąc za podstawę układ pisemny zaszły między gen. Osińskim, a ukr. ministrem wojny Żukowskim. W myśl tego układu został przeznaczony dla 2 K. W. P. rejon w gub. Czernichowskiej na wschód od Homla.

Ponieważ Niemcy zaprotestowali przeciw tej umowie a gen. Osiński wydał rozkaz zatrzymania się pod Kaniowem, zaś ja uważam, że należy mieć wojsko polskie ¹⁾ tylko na okupacji niemieckiej i wogóle tylko z Niemcami, t. j. z jednym kontrahentem w sprawie armji polskiej mówić, przeto pragnąłbym, by Pan Generał zechciał zająć się tą sprawą, ze znaną energją, zasadniczo kwestję postawił i do połączenia wszystkich formacyj W. P. na emigracji, pod Jego wypróbowanem Dowództwem dążył. Jest to tem konieczniejsze, że obecnie braki w aprowizacji i w go-tówce mogą wywołać wielkie przesilenie, które odbije się szkodliwie na młodem polskiem wojsku.

Cały 2 K. W. P. pragnie doczekać tej chwili, by stać ramię przy ramieniu z I K. W. P. i podlegać rozkazom Pana Generała.

Korzystam z okazji, by imieniem wszystkich wojsk 2 K. W. P. przesłać wojskom I K. W. P. serdeczne pozdrowienie.

C z o ł e m!

podpis: Mazowiecki.

22. kwietnia 1918 r.

pieczęć: Dowództwo 2. Korpusu Wojsk Polskich.

Tekst tego listu nie wymaga komentarzy.

Haller, przechodząc przez front austriacko-niemiecki, *musiał wiedzieć o nastrojach w Kraju*. Powtórę, w liście jego jest kategoriyczna wskazówka,

¹⁾ Podkreślenia moje.

że należy mieć wojsko polskie tylko na okupacji niemieckiej. Faktycznie tam była tylko parodia wojska, zorganizowana przez Niemców; parodia, bo choć materiał był polski, ale przysięga mglista, uzbrojenie niedostateczne, no i istniała tylko piechota. Prowadząc z Niemcami pertraktacje o zachowanie Korpusu, stałem więc na właściwej drodze. Ja starałem się o to, by Radzie Regencyjnej przyznano prawo polityczne nad wojskiem polskim, Niemcy zaś tego uznać nie chcieli, ale uchylili rąbek swych zamiarów, co do Polski. Musiałem, volens nolens, ulec i szukać nowych dróg w celu urzeczywistnienia swych dążeń.



Przegląd oddziału lotniczego w Bobrujsku przez Jen. J. D. M.

Pertraktacje z Niemcami, jak wiadomo, doprowadziły do demobilizacji Korpusu. Bardzo mnie zato potępiano, szczególnie pp. z partji lewicowych, którzy w swoim czasie sami, jak wiadomo, byli przeciwni formowaniu Korpusu. Decydując się na demobilizację, wiedziałem, że Polska nie będzie miała żadnej korzyści, jeżeli się „rozwiąże“, tak, jak uczynili to legjoniści, lub będę się błakał po świecie, aż do czasu, kiedy Niemcy wojnę przegrają i powrócę dopiero wtedy, kiedy Kraj się skonsoliduje. Tak postąpił pułk. Żeligowski.

Listu brygadjera Hallera dotychczas nie publikowałem, bo rzuca on cień na autora. Właśnie dlatego go nie ogłaszałem. Zniewala mnie teraz do zmiany decyzji wydana przez p. Henryka Bagińskiego, obecnie pułkownika W. P. książka, p. t. „Formacje polskie na wschodzie“. Trafiła do mych rąk dopiero w 1922 r. W książce tej opublikowano rozkaz, rzekomo wydany przez brygadjera Hallera, w którym znajduje się taki ustęp:

„a Rada Regencyjna? Rada Regencyjna na bezczelne żądanie niemieckiego generała i wielkorządcy Warszawy odpowiedziała niegodnem podaniem się bez oporu, jakoby na urągawisko wojsko Bogu polecając, Bogu przodków naszych, który nas tyлектrońnie do bitwy i zwycięstw

wiódl, z garstką dając nam zwycięstwo, ale nigdy do małodusznej zdrady i poddania się, nie błogosławiąc tchórzliwym. I dowódca 1-go korpusu, na wolę jakoby Rady Regencyjnej się powołując, podpisał drugą kapitulację, haniebną zdradą plamiąc imię tego wojska, które do walk, a nie do zgody z wrogiem było tworzone¹⁾“.

Pod tym rozkazem znajdują się podpisy generała Hallera i pułk Żymirskiego.

Posłałem zastępców generałowi Hallerowi, który 11.XII.22 listownie odpowiedział, iż ma wątpliwości co do autentyczności tego rozkazu, i, że będzie poszukiwał oryginału. Treść listu nie mogła mnie oczywiście zadowolić. Sprawa więc poszła zwykłym trybem. Po dłuższym okresie czasu na naleganie mych zastępców, jen. Haller przysłał następujący list:

„Warszawa 26.III.25. Wielce Szanowny Panie Generale. — W ślad za moim listem z dnia 11 grudnia 1922 r., mam zaszczyt przesłać odpis rozkazu dyktowanego przeze mnie pułk. Bayerowi na Murmanie i przesłanego do komisji wojskowej w Moskwie dla jego ogłoszenia w rocznicę grunwaldzką. W kronice, będącej w mojem posiadaniu, znajduje się ten rozkaz, wlepiony prawdopodobnie przez pułk. Tadeusza Malinowskiego, który wówczas tę kronikę prowadził. Wobec tego stwierdzam, że rozkaz, wydrukowany w książce pułk. Bagińskiego, różni się treścią od rozkazu przeze mnie na Murmanie podyktowanego, a zatem musiał on zostać zmieniony w Moskwie, przed jego ogłoszeniem.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

J. Haller.“

Rzeczywiście, w tekście, załączonego do tego listu rozkazu niema ustępu, przytoczonego wyżej o *zdradzie*, *tchórzostwie* etc, jak wogóle tekst ów znacznie różni się od umieszczonego w książce p. Bagińskiego. Któż więc sfabrykował taki rozkaz — pan Bagiński, czy ktoś inny?

Podpis pułk., czy kapitana Żymirskiego, potwierdza autentyczność rozkazu. Od p. Żymirskiego należałoby zacząć dochodzenia. Pomijam charakter „podrobionego“ rozkazu, styl którego jakby wzięty jest z wiecowego przemówienia. Oficer w randze, choćby nawet kapitana, pod taki rozkaz swojej wierzytelności dać nie mógł, więc albo go zmuszono do tego, albo potrafił go obejść. Zwracać się do pułk. Żymirskiego o wyjaśnienia, mnie nie wypada; za mała to figura, która nota bene, w Polsce życiową karierę skończyła nie bardzo pięknie²⁾. Pułk. Bagiński Henryk, w początku formowania korpusu (lipiec 1917) zgłosił się do mnie, prosząc, bym go koniecznie przyjął do sztabu, w celu pisania polskich regulaminów. Przedstawił mi

¹⁾ Przez kogo?

²⁾ Został osądzony za jakieś nadużycia.

się jako inżynier, okazało się, że jest tylko, o ile pamiętam, podkapitanem wojsk inżynieryjnych. W armji rosyjskiej każdy inżynier był wykorzystywany do specjalnych celów, bo było ich wogóle brak, a tu taki pan bez przydziału! Ten fakt wymagał zachowania pewnej rezerwy.

Pisanie regulaminów dla wojsk, które nie były jeszcze sformowane, było przedwczesne, jeżeli nie wręcz niepotrzebne. Korzystając z rosyjskich regulaminów, nie stawaliśmy się przez to wojskiem rosyjskiem. Przecież armja angielska, która posiadała swój sztab jeneralny, tłumaczyła potrzebne ustawy i instrukcje z francuskiego.



Jen. J. D. M. ogląda samolot bojowy Oddziału lotniczego I K. P. podczas rewji lotniczej w Bobrujsku.

Wręcz przeciwnie było z nami; znaliśmy wszyscy język rosyjski.

Pan Bagiński proponował zająć się też rozmaitemi wydawnictwami, co rzekomo robił już w polskiej brygadzie i dywizji. Uważałem go za łazika. Było dużo takich, którzy wciągnęli na siebie mundur i udawali bohaterów, ale... na dalekich tyłach. Co do pisania regulaminów, to, rzeczywiście, zaczął je tłumaczyć, względnie kompilować, ale nie mógł ruszyć z miejsca bez stałych wskazówek, na co ja czasu nie miałem. Wkrótce wyszło na jaw, że p. Bagiński uprawia też politykę, podszywając się pod narodową demokrację; po rozpoczęciu walk z bolszewikami, przybył do Bobrujska i tam, wspólnie z innymi łazikami, próbował mi dawać rady o charakterze politycznym.

Nie mogę zrozumieć tej choroby, która polega na tem, iż każdy smarkacz wyobraża sobie, że posiadał rozum Bismarcka i gniewa się, gdy przełożony rad jego nie słucha. Wyrzuciłem więc p. Bagińskiego, razem z kolegami i ich radami, z rejonu Korpusu, przecinając tem radykalnie piękne plany literacko-wydawnicze. Postanowienie moje, musiało wywołać chęć zemsty.

Zapewne też dlatego p. Bagiński, już na terenie Polski, wydał olbrzymią, dochodową książkę o „Formacjach Polskich na Wschodzie“. W niej podał fałszywe dane o 1-szym Korpusie, a między innymi, wskazany już rozkaz jen. Hallera.

Każdy mści się, jak może: mnie zemsta nie dotknęła. Zamiary i ich intencje, oraz czyny moje nie boją się światła dziennego. Ale byłbym wdzięczny p. pułkownikowi, czy inżynierowi, za wskazanie mi, skąd dostał środki do wydania swego bogatego dzieła, bo właśnie zastanawiam się, jak je zdobyć na wydanie mego pamiętnika.



Samolot I K. P. na płozach przygotowuje się do odlotu na wywiad.

Jeszcze jedna uwaga. Co uprawniało p. Bagińskiego do nazwania korpusów, które formowano w Rosji, „formacjami na Wschodzie“? Nie słyszałem, żeby nazywano inne formacje zachodnimi lub centralnymi, a które rzeczywiście formowano na zachodzie, przy Entencie i w centrum Europy, przy państwach niemieckich. Sądzę, że to jest złośliwość, jakoby Korpusy Polskie formowano przy pomocy państwa wschodniego, t. j. bolszewików.

Brawo, p. Bagiński! Ale czy pan jest, lub był „endekiem“?

*

Po zakończeniu walk z bolszewikami i zawarciu umowy z Niemcami, przypuszczać należało, że nic nie stoi na przeszkodzie pracy do skonsolidowania tych, którzy skupili się w Bobrujsku. Niestety, sytuacja tam nie była do pozazdroszczenia. Choć byłem „pełnowładcą“ obszaru, równającemu się „królestwom Galicji i Lodomerji“, oraz panem życia i śmierci bez małą

pół miliona ludności, ale władzę moją opierałem tylko na strachu przede mną i na uznaniu mego autorytetu przez kilka tysięcy żołnierzy. Nie był to stan pewny. Rdzenni miejscowi mieszkańcy czuli się dobrze pod naszymi rządami, ale elementy wywrotowe, które zakosztowały już „swobód“ bolszewizmu, nie chciały się uspokoić, dopuszczając się ekscesów. Np. właścicieli ubogiego zaścianka koło Bobrujska miejscowi chłopci zamordowali, a córkę zamęczyli, dopuszczając się na niej gwałtu.

Kwitła też w szeregach agitacja przeciwko mnie, bo nie chciałem uznać „ideologii Piłsudskiego“, a później „konieczności walk z Niemcami“ (rzekomo w obronie honoru narodowego). W tymże kierunku działali miejscowi żydzi. Musiałem stale mieć się na baczności i, prócz wywiadów, organizowanych przez sztab, prowadzić wywiad bardziej poufny.

*

Pewnego razu zameldowano mi, że 7-my pułk strzelców chce wypowiedzieć posłuszeństwo. Jak się później okazało, rewoltowali go agitatorzy, którzy na pułk ten zwrócili specjalną uwagę. Postanowiłem pułk wypróbować, okazja nadarzyła się prędko.

Kilku szoferów z kompanji automobilowej, tej właśnie, która później brała najczynniejszy udział w zamachu na mnie w dniu 21 maja, dopuściło się grabieży i mordu nad polską rodziną uciekinierów, za co sprawcy skazani zostali na karę śmierci. Dla wykonania wyroku kazałem wyznaczyć kompanję właśnie z 7-go pułku.

Najbliższe otoczenie, oraz mój pomocnik, uprzedzali mnie, że kompanja strzelać nie będzie, o czym już chodziły słuchy. Oddani mi obawiali się ciężkich konsekwencji, które zrozumiałem jako zwrócenie oręża przeciwko mnie. Radzono mi, żebym skazancom darował życie.

Przyzwyczailem się do brania się za bary z niebezpieczeństwem. W tym



Karabin maszynowy na pozycji w fosie fortecznej.

wypadku, chciałem sprawdzić, czy Polak — żołnierz do zbója narodowości polskiej będzie strzelać. Zapytałem się dowódcy plutonu przybocznego, chorążego Sokołowskiego, czy jest gotów spełnić mój najdalej idący rozkaz. Otrzymałem odpowiedź twierdzącą. Za kompanję egzekucyjną kaza-

łem, w tajemnicy ustawić pluton konwoju z karabinami maszynowymi, który miał rozpocząć ogień do odmawiających posłuszeństwa, nie licząc się z tem, że musiałby przytem i mnie samego rozstrzelać.

Egzekucja miała się odbyć w nocy, w rowie fortecznym. W towarzystwie jen. Karnickiego i najbliższego otoczenia poszedłem na miejsce. W drodze spotkaliśmy skazańców; trzymali się pod rękę i drżącymi głosami odmawiali „Pod Twoją obronę”. Ten, może dla wielu drobny, fakt wpłynął na moją decyzję darowania im życia. Musiałem jednak wypróbować ludzi 7-go pułku.



Najwybitniejszy pilot 1 K. P. Norwid Kudło obok Jen. D. M. Kpt. plt. Norwid-Kudło wybitnie odznaczył się później w wojskach wielkopolskich i Armji Polskiej.

Wszystko do egzekucji było już przygotowane, skazańcy stanęli pod murem, tuż nad przygotowaną mogiłą, a kompanja egzekucyjna naprzeciw nich, w odległości kilkunastu kroków. Wyszedłem przed szereg i oświadczyłem, że sam będę komenderował. Podałem komendę do ładowania broni, następnie do celowania, co wszyscy wykonali w sposób precyzyjny. Przekonałem się więc osobiście, że chciano mnie nastraszyć. Podałem komendę: „wróć, do nogi broń”. Wtedy oświadczyłem, że daruję skazańcom życie za to, że modlili się. Kompanji zaś pokazałem pluton przyboczny i oświadczyłem, że dochodziły do mnie słuchy, że kompanja strzelać nie będzie; gdyby to nastąpiło, byłaby rozstrzelaną razem ze skazańcami, ewentualnie i ze mną.

Największe wrażenie wywarł ten epizod na mojem otoczeniu. Ryzykowałem, ale chciałem przekonać wszystkich, że raczej wolę być zabitym na własny rozkaz, niż przeżyć hańbę nieposłuszeństwa w szeregach.

Podobne eksperymenty niełatwo się udają. Rzeczywiście, było mi ciężko. Stanąwszy na czele Korpusu a od najmłodszych lat żyjąc myślą o wskrzeszeniu Polski, przypuszczałem, że podobne do moich uczuć żywią wszyscy moi rodacy. Sam fakt tworzenia wojska poza granicami kraju, choćby tylko z Polaków złożonego, powinien był podnieść wszystkich. Może to i miało miejsce, ale przejawiało się w sposób przeważnie platoniczny. Mało kto chciał ryzykować. Niewola i przeżycia wojny światowej silnie wpłynęły na mentalność emigracji. Nietylko nie było spontanicznej gotowości do tworzenia szeregów, ale wręcz przeciwnie, znaleźli się tacy, i to w niemałej liczbie, którzy przeciwdziałali formowaniu wojska polskiego, a nawet w tym celu specjalnie przyjeżdżali z poza frontu, od strony Niemców¹⁾. Robota ich nie była trudną, bo bolszewizm zdążył już nadgryźć duszę żołnierską.

Znaczna część oficerów także była znękana wskutek okropności bolszewizmu. Ani żołnierze oficerom, ani odwrotnie oficerowie żołnierzom, nikt nikomu nie ufał, choć właśnie zaufanie powinno być cementem, łączącym nas ze sobą. Łatwo można było wyczuć supremację wpływów, nurtujących masy żołnierskie, nad oficerami, a nie odwrotnie. Prawda, że nie zdarzały się u nas wypadki upokarzania oficerów, jak to stałe miało miejsce w armji rosyjskiej, ale fakt faktem, że było niedobrze.

Jedyną pomoc realną miałem w niewielkiej grupie moich najbliższych podwładnych; z tych, w młodszych rangach, wyróżniali się porucznicy Witold Szebeko i Lucjan Ruszczewski. Poczynania i postępowanie znacznej części oficerów było przeważnie chwiejne; pod wpływem mglistych hasel i idei, obawiano się, czy ja aby nie zdradzę „demokracji“. Głupsze osobniki łudziły się myślą, że jeżeli ja z pewnem powodzeniem prowadzę sprawę Korpusu, to oni potrafią zrobić to lepiej. Kandydatów na moje miejsce było sporo.

Z drugiej strony bolszewicy inspirowali myśl, by mnie zabito, a Niemcy śledzili każdy mój krok. Wszystkiemu temu musiałem przeciwdziałać, poprawiać i baczyć, by jakim nieoględnym krokiem nie zgubić sprawy, której się podjąłem.

*

Wobec ultimatywnej umowy z Niemcami o demobilizacji Korpusu, który z powodu zwolnienia od przysięgi Radzie Regencyjnej, stał się niejako moja własnością, miałem dwa wyjścia: albo usunąć się zupełnie, pozostawiając

¹⁾ Patrz „Przez 2 fronty“ Hołówko i „Strzępy epopei“ M. Wańkowicza.

wyłącznie Niemcom przyjemność likwidacji wojska polskiego, albo osobiście przeprowadzić demobilizację szeregów.

W pierwszym wypadku uniknąłbym osobistych nieprzyjemności i mogłem wyjechać, dokąd chciałem. Niemcy przypuszczali, że tak postąpię i dopytywali się, czy aby nie obrałem Syberji?

W tym ostatnim wypadku stawałem się uczestnikiem przykrego aktu rozbijania tego, co było z takim trudem i mozołem stworzone, lecz kapitan opuszcza tonący okręt ostatni.



Obchód „3 maja” w Bobrujsku. Pochód przez ulice miasta.

Nie osiągnąwszy swych zamiarów co do użycia Korpusu, względnie zdobycia materiału ludzkiego z Polski, Niemcy robili mi wiele przykrości, nawet po demobilizacji. Znow każdy żołnierz, zawiedziony w swych najgorętszych pragnieniach ujrzenia wyzwolonej Polski i to „dzisiaj, za godzinę, w tej chwili”, mógł mieć do mnie żal, a może i pretensję. Wszak natura ludzka zawsze chce odnaleźć winowajcę niepowodzeń. Nie byłem bez winy. Przedewszystkiem nie wolno mi było entuzjazmować się. Unikam usprawiedliwień; mam odwagę wyłączyć na siebie wziąć odpowiedzialność za wszystko, co się stało. Chcąc być konsekwentnym, obrałem drugi, a nie zaś pierwszy sposób postępowania.

Były to najcięższe chwile w mojem życiu. Wszak naocznie przekonałem

się, że z pół miliona rodaków skupilem zaledwie 30 tysięcy. Zresztą taki los spotkał też i Piłsudskiego. Legjony były jeszcze mniej liczne.

Spadł na mnie ciężar łagodzenia wobec Niemców szeregu przekroczeń i wybryków tych, którzy zwolnienie z przysięgi przyjęli dosłownie, nie chcąc zrozumieć grozy i powagi chwili, w które obfitowała demobilizacja Korpusu. Usprawiedliwiając ich przed Niemcami, broniłem dobrego imienia Polski. Takich, niestety, okazało się wielu wśród oficerów. Ci panowie tylko dlatego wkładali na siebie mundury korpusowe, by być nakarmieni, ubrani, zapłaćeni, a pozatem mieć możność krytykowania wszystkiego z ukrycia, no i zohydzania. Za wszelką cenę unikali oni udziału w walkach, a nawet unikali szeregów poza walkami.

Pierwszym aktem tych łazików „socjal — patryjotów“, było bezsensowne aresztowanie oficera łącznikowego armji niemieckiej. Było to oczywiście zrobione w celu zmuszenia Niemców do represji w stosunku do tych, którzy widzieli w Korpusie wojsko, a nie środowisko do eksperymentów. Niejaki Melchjor Wańkowicz, gloryfikując te burdy w książce pod tytułem „Strzępy Epopei“ dowodzi naprzykład, że Korpus kradł. Kradli, rzeczywiście, ale nie Korpus, który był jednostką dyscyplinowaną, a właśnie ci panowie, zachynający swą ideową działalność od obrabowania aresztowanego oficera niemieckiego.

*

Ekscesy, których dopuszczano się w Korpusie, uszły, niestety, bezkarnie. Jeden z pierwszych dekretów Naczelnika Państwa zwalnia od odpowiedzialności tych wszystkich, którzy popełnili przestępstwo na terenach państw zaborczych. Pomijam skrajny liberalizm tego dekretu. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że tu chodzi o przestępstwa przeciwko władzom państw zaborczych, faktycznie dekret obejmował i tych, którzy zawinili przeciwko prowizorycznym i lokalnym władzom polskim, temsamem zaś, przeciwko mnie i Radzie Regencyjnej. Innemi słowy zaaprobowano jakby wzór dla dalszych ewentualnych wystąpień.

Nie! Nie był to żaden interes dowodzić, a nawet należeć do składu I-go Polskiego Korpusu. Przeciwnie, zwalczanie go zabezpieczało karierę w Odrodzonej Polsce.

A hasła, które wysunąłem: wskrzeszenia silnej Polski i Polski dla Polaków były jasne i nawet przeciętnemu umysłowi dostępne. Przeprowadzić je jednak było trudno i dążenia ku temu przerodziły się w martyrologję dla tych, którzy te hasła uznali i chcieli je w życiu stosować. Przeczulem to i wydałem rozkaz do Korpusu określający sytuację i ustalający odznakę dla składu osobowego — Pierwszego Polskiego Korpusu. Rozkaz ten jest dołączony do Części III-ej Szkicu do Historji I-go Polskiego Korpusu, jako załącznik Nr. 117.

Jak w powstaniu styczniowym dążenia jego uczestników były pra-

wyłącznie Niemcom przyjemność likwidacji wojska polskiego, albo osobiście przeprowadzić demobilizację szeregów.

W pierwszym wypadku unikałbym osobistych nieprzyjemności i mogłem wyjechać, dokąd chciałem. Niemcy przypuszczali, że tak postąpię i dopytywali się, czy aby nie obrałem Syberji?

W tym ostatnim wypadku stawałem się uczestnikiem przykrego aktu rozbijania tego, co było z takim trudem i mozołem stworzone, lecz kapitan opuszcza tonący okręt ostatni.



Obchód „3 maja“ w Bobrujsku. Pochód przez ulice miasta.

Nie osiągnąwszy swych zamiarów co do użycia Korpusu, względnie zdobycia materiału ludzkiego z Polski, Niemcy robili mi wiele przykrości, nawet po demobilizacji. Znów każdy żołnierz, zawiedziony w swych najgorętszych pragnieniach ujrzenia wyzwolonej Polski i to „dzisiaj, za godzinę, w tej chwili“, mógł mieć do mnie żal, a może i pretensję. Wszak natura ludzka zawsze chce odnaleźć winowajcę niepowodzeń. Nie byłem bez winy. Przedewszystkiem nie wolno mi było entuzjazmować się. Unikam usprawiedliwień; mam odwagę wyłącznie na siebie wziąć odpowiedzialność za wszystko, co się stało. Chcąc być konsekwentnym, obrałem drugi, a nie zaś pierwszy sposób postępowania.

Były to najcięższe chwile w mojem życiu. Wszak naocznie przekonałem

się, że z pół miliona rodaków skupiłem zaledwie 30 tysięcy. Zresztą taki los spotkał też i Piłsudskiego. Legjony były jeszcze mniej liczne.

Spadł na mnie ciężar łagodzenia wobec Niemców szeregu przekroczeń i wybryków tych, którzy zwolnienie z przysięgi przyjęli dosłownie, nie chcąc zrozumieć grozy i powagi chwili, w które obfitowała demobilizacja Korpusu. Usprawiedliwiając ich przed Niemcami, broniłem dobrego imienia Polski. Takich, niestety, okazało się wielu wśród oficerów. Ci panowie tylko dlatego wkładali na siebie mundury korpusowe, by być nakarmieni, ubrani, zapłaćeni, a pozatem mieć możliwość krytykowania wszystkiego z ukrycia, no i zohydzania. Za wszelką cenę unikali oni udziału w walkach, a nawet unikali szeregów poza walkami.

Pierwszym aktem tych łażików „socjal — patryjotów“, było bezsensowne aresztowanie oficera łącznikowego armji niemieckiej. Było to oczywiście zrobione w celu zmuszenia Niemców do represji w stosunku do tych, którzy widzieli w Korpusie wojsko, a nie środowisko do eksperymentów. Niejaki Melchjor Wańkowicz, gloryfikując te burdy w książce pod tytułem „Strzępy Epopei“ dowodzi naprzykład, że Korpus kradł. Kradł, rzeczywiście, ale nie Korpus, który był jednostką dyscyplinowaną, a właśnie ci panowie, zachynający swą ideową działalność od obrabowania aresztowanego oficera niemieckiego.

*

Ekscesy, których dopuszczano się w Korpusie, uszły, niestety, bezkarnie. Jeden z pierwszych dekretów Naczelnika Państwa zwalnia od odpowiedzialności tych wszystkich, którzy popełnili przestępstwo na terenach państw zaborczych. Pomijam skrajny liberalizm tego dekretu. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że tu chodzi o przestępstwa przeciwko władzom państw zaborczych, faktycznie dekret obejmował i tych, którzy zawinili przeciwko prowizorycznym i lokalnym władzom polskim, temsamem zaś, przeciwko mnie i Radzie Regencyjnej. Innemi słowy zaaprobowano jakby wzór dla dalszych ewentualnych wystąpień.

Nie! Nie był to żaden interes dowodzić, a nawet należeć do składu I-go Polskiego Korpusu. Przeciwnie, zwalczanie go zabezpieczało karierę w Odrodzonej Polsce.

A hasła, które wysunąłem: wskrzeszenia silnej Polski i Polski dla Polaków były jasne i nawet przeciętnemu umysłowi dostępne. Przeprowadzić je jednak było trudno i dążenia ku temu przerodziły się w martyrologję dla tych, którzy te hasła uznali i chcieli je w życiu stosować. Przeczulem to i wydałem rozkaz do Korpusu określający sytuację i ustalający odznakę dla składu osobowego — Pierwszego Polskiego Korpusu. Rozkaz ten jest dołączony do Części III-ej Szkicu do Historji I-go Polskiego Korpusu, jako załącznik Nr. 117.

Jak w powstaniu styczniowym dążenia jego uczestników były pra-

wie identyczne z naszymi, a nie udały się i pociągnęły ciężkie konsekwencje dla powstańców, tak i nam nie udało się urzeczywistnić naszych dążeń. Choć to oświadczyć mogę, że osiągnęliśmy więcej niż powstańcy 63 roku. Tamci byli zwyciężeni i tylko przekazali potomkom dążenie do odzyskania Niepodległości. Dali przykład, że naród Polski jednak walczyć o Niepodległość może. Myśmy tej ich zapowiedzi nie zapomnieli, podnieśliśmy oręż, który dał nam zwycięstwo. Dzisiejsze — jest konsekwencją wczorajszego, dlatego też, mam śmiałość twierdzić, że walki Pierwszego Korpusu były dalszym ciągiem walk powstańczych, które na okrwawionej ziemi polskiej pozostawiły ślady w postaci prostych, skromnych pamiątek — krzyży na mogiłach ostatnich poległych w walce o Niepodległość Polski. Wzór tych krzyży wziętem jako odznakę I-go Polskiego Korpusu. (Patrz Rozdz. I).

A propos demokracji. Wszyscy, którzy o niej najwięcej krzyczą, przeważnie postępują jak chamy. Czem więc różni się demokratę od chama? Nikt mi tego nie potrafił wytłumaczyć; prawnik jeden tak to wyjaśnił: „nie każdy demokratę jest chamem, ale każdy cham jest demokratą“.

Szukaj tego nie-chama.



Zarząd Cywilny I K. P.

Stawiano mi zarzut, że uznałem władzę Rady Regencyjnej, bo była ukonstytuowana przez Niemców, a że nie uznałem autorytetu Piłsudskiego. Z tego wniosek, że wszystko co pochodzi od Niemców powinno być w Polsce w czambuł odrzucone. Poprowadźmy takie rozumowanie do ostateczności. Więc Radę Regencyjną powołali Niemcy, Rada powołała Piłsudskiego na Naczelnika Państwa, Piłsudski zwołał Sejm, który go mianował Naczelnikiem Państwa. Należy więc potępić obecne władze polskie, bo wzięły... początek od Niemców?!

Podporządkowałem się Radzie Regencyjnej i w tem byłem konsekwentny

do końca. Nie powiem, żebym nie miał zastrzeżeń przeciwko tej decyzji. Raczej dałem się przekonać. Jeszcze w Mińsku, przed wybuchem zatargu z bolszewikami, rozmawiałem z prezesem „Naczpolu“, p. Raczkiewiczem na temat, jak się mamy ustosunkować do władz w kraju. Pan Raczkiewicz wysunął wtedy myśl, powstałą w jakimś kółku politycznym, o podporządkowaniu Korpusu — Radzie Regencyjnej. Nie protestowałem zbyt, zdając sobie sprawę z tego, że wojsko, pretendujące do nazwy armii regularnej, nie może istnieć bez oparcia o narodową władzę polityczną. Na emigracji jej nie było i o stworzeniu takowej, marzyć też nie było co, ale każdej polskiej partii politycznej na terenie Rosji zależało na pozyskaniu wpływu na Korpus. Dążono do tego różnemi drogami i w środkach nie przebierano. Z pomiędzy wybitniejszych oficerów Korpusu, płk. Mościcki stanowczo oświadczył, że trzeba uznać Radę Regencyjną. Właśnie z tych powodów, wysyłając delegację do Warszawy, postawiłem go na jej czele. Podobne myśli nurtowały i w społeczeństwie¹⁾, i również w szeregach, czego dowodem, przysłana mi, po nawiązaniu kontaktu z Niemcami, petycja²⁾. Naczpol miał podobne intencje, bo członek jego p. Romocki³⁾ pojechał do „Oberostu“⁴⁾.

Wraz z nim udał się tam przedstawiciel Rady Polskiej Ziemi Mińskiej, pułk. Osmołowski⁵⁾. Słowem, przeczuwając rewolucję bolszewicką i jej skutki, dużo osób uważało za jedyne wyjście, powrót do okupacji niemieckiej. Panowie ci liczyli na jakieś szczególne względy Niemców, którzy, rzekomo, byli nawet skłonni do zachowania naszych formacji wojskowych⁶⁾. Najniedorzeczniejszą i najwstrętniejszą cechą tych panów, że tak ich nazwę, „niemieckiej orjentacji“, było robienie polityki kosztem Korpusu poza memi plecami, nie zasięgając mojej opinii. Mam przeto prawo sądzić, że uważali Korpus za rzecz swoją, którą wolno się bawić, nie mając do niego żadnego prawa.

Mojem dążeniem też było oprzeć się o jakąś stałą władzę polityczną, która mogłaby uchronić Korpus od niepotrzebnych tarć, a mnie od konieczności decydowania o sprawach, które wchodzić nie powinny były w sferę mojej działalności. Jak już zaznaczyłem, na miejscu takiej władzy nie było⁷⁾. O jakiegokolwiek instancji polskiej przy Entencie nie wiedziałem, bo o żadnym polskim przedstawicielstwie, wieża Eiffel (stacja iskrowa paryska) nie podawała wiadomości. To nasuwało myśl, że wtedy Ententa wyraźnych za-

¹⁾ Załącznik nr. 22 i 31.

²⁾ Załącznik nr. 20.

³⁾ Późniejszy minister komunikacji.

⁴⁾ Sztab niemieckiej armii, działającej przeciw Rosji.

⁵⁾ Pewne światło na działalność jego rzuca Myśl Niepodległa 1919 r. Nr. 455 „Pamięci Lisa Kuli“.

⁶⁾ Porównaj list gen. Hallera do mnie, podany wyżej.

⁷⁾ Po aresztowaniu „Naczpolu“.

miarów co do Polski nie miała. Otoczony morzem bolszewickim, zagrożony przez niemiecką potęgę i odpowiedzialny za życie kilkunastu tysięcy ludzi, skupionych w Korpusie, nie miałem innego wyboru. Musiałem oprzeć się o Radę Regencyjną z zastrzeżeniem, że obejmie władzę polityczną nad Korpusem. Jak wynika z przytoczonych powyżej faktów, nie byłem w tem dążeniu odosobniony.

Do oparcia się o tę władzę, zachęcały jeszcze następujące przypuszczenia. Niemcy, tworząc początki Państwa Polskiego i jego władzy, popełnili błąd, za który później sami drogo zapłacili. Zrobili to z obawy przed wybuchem powstania na okupowanym terenie Polski, a potem w przypuszczeniu, że otrzymają rekruta polskiego. Wszak współudział legionistów na to liczyć pozwalał.



Personel Szpitala Głównego I. K. P.

Faktycznie nie potrzebowali się obawiać powstania ani ogłaszać Królestwa Polskiego. Mogli skończyć na utworzeniu jenerał - gubernatorstwa na zajętych terenach, co przewidywało prawo międzynarodowe. Dla urządzenia powstania nie mieliśmy ani broni, ani amunicji, a uliczne wystąpienia nie są niebezpieczne. Przypuszczać, że, cofając się z Polski, wojska rosyjskie pozostawią ludności broń, nie było powodu. Wszak po ogłoszeniu w początkach wojny odezwy Wielkiego Księcia, Rosjanie zdobyli się zaledwie na sformowanie jednego „Puławskiego bataljonu“. Wiedzieli też Niemcy o następującym wypadku. Mianowicie: brygada pospolitego ruszenia, składająca się wyłącznie z Polaków, po odejściu armji z Warszawy, była wysunięta w linię dla zatkania przerwy; walczyła, cofając się aż do linii Niemna; tu złożyła broń i rynsztunek, oświadczając, że na mocy ściśle pojmovanej ustawy o pospolitem ruszeniu, nie potrzebuje przekraczać granic Polski, wobec czego powraca do domu. Mam wrażenie, że właśnie ten wypadek, który wywołał wielką konsternację w dowództwie rosyjskiem, wykorzystali Niemcy, zachęcając żołnierzy Polaków przez swych agentów do dezercji, obiecując swobodny powrót do domów. Rzeczywiście, gdy w roku 1916 dowodziłem

38-mą dywizją, znaczna ilość żołnierzy Polaków uciekła. Mocno się biedacy zawiedli, bo byli Niemcom potrzebni jako jeńcy i odesłani zostali, miast do domów — na roboty przymusowe. Ten fakt dał pretekst, wspomnianemu w rozdziale IV-tym jen. Wesołowskiemu, oraz innym do ataków na mnie, rzekomo za zdradę Rosji przez Polaków.

Po wybuchu rewolucji, szersze masy narodu naszego nie widziały racji popierania Rosji lub Niemiec, orjentując się co do wartości ogłoszonych obietnic.



Drużyna wojskowych skautów im. Henryka Dąbrowskiego w Bobrujsku.

Nadarzyła mi się możność sprawdzenia, czy poczynania Niemców w sprawie odbudowy Polski były szczere, czy też nie. Próbą tego miało stać się przyznanie przez nich praw politycznych Radzie Regencyjnej nad 1-szym Korpusem. Jak sądzę z korespondencji, mogliśmy mieć pewne nadzieje, ale niestety sami Polacy nam zaszkodzili. W Warszawie rozpuszczono pogłoskę, że 1-szy Korpus Polski jest złożony z adeptów bolszewizmu. Wyrzucony przeze mnie z Korpusu jen. Iwanowski ośmielił się nawet meldować bezpośrednio Beselerowi o naszych sprawach, a p. hr. Cz. pojechał skarżyć się Niemcom na moją odezwę o mobilizacji polskiej ludności na Białorusi. Słowem Niemcy mieli możność przekonania się, że sami Polacy wojska nie chcą i zawiadomili, że ani oficerowie, ani żołnierze Korpusu nie będą użyci do formowania przyszłego wojska polskiego ¹⁾.

Wysyłając płk. Mościckiego do Rady Regencyjnej, dodałem mu jako eskortę, doborowy szwadron Krechowickiego pułku, z instrukcją „za wszelką

¹⁾ Załącznik nr. 134 p. 2) — III cz. Szkicu do historii 1-go Polskiego Korpusu.

cenę dotrzeć do linii niemieckich.“ Tymczasem płk. Mościcki mych rozkazów ściśle nie wykonał, eskortę odesłał, a przedzierając się w pojedynkę, został zamordowany. Szkoda tak dobrego żołnierza, ale zawsze tak się kończy, gdy podwładny nie spełnia rozkazów i chce być mądrzejszy od dowódcy. Zginęłaby może eskorta, ale Mościcki ocalałby i cel osiągnął. Tymczasem nieposłuszeństwo wywołało niepożądane skutki; Niemcy przekonali się, że niechęć ludu białoruskiego do nas, zawsze skutecznie podtrzymywana przez Rosjan, istnieje nadal. Przy pertraktacjach ze mną postawili warunek, by nie polszczyć Białorusi. Szczególna troskliwość! Prócz tego, wskutek niewypelnienia rozkazu przez płk. Mościckiego, Niemcy mogli myśleć, że dyscyplina w szeregach szwankuje. Z telegramu mojego przecież wiedzieli, że delegacja Mościckiego idzie pod ochroną całego szwadronu.

Chcąc nawiązać kontakt z jen. Hoffmanem (patrz „szkic do historii Korpusu“ tom 1-szy, zał. 61) miałem małą nadzieję na przychylną odpowiedź. Do tego nie doszło, bo Niemcy znaleźli ład, porządek i dyscyplinę w Korpusie; wyrażali zdziwienie, że potrafiłem z bandy, jaką była wtedy armja rosyjska, dobrać ludzi i zorganizować karne wojsko. Potwierdza to p. Żychliński, prezes Towarzystwa Kredytowego w Poznaniu, który służył wtedy przy jen. Hoffmanie.

Niemcy, przekonawszy się później, że gorących uczuć względem nich nie żywimy i pomagać im w niczem nie zamierzamy, zmienili swoje postępowanie, co doprowadziło wreszcie do demobilizacji Korpusu. Nieprzychylnie względem nas stanowisko wzmocniło się, dzięki zabiegom elementów, przeciwnych tworzeniu Polskich Sił Zbrojnych w Rosji.

*

Dążąc do podporządkowania się Radzie Regencyjnej, z obranej drogi nie schodziłem; nie godziłem się, aby Niemcy bezpośrednio zarządzili Korpusem i nie składałem przysięgi na braterstwo broni z nimi.

Korpus złożył przysięgę na rotę, przysłaną przez Radę Regencyjną, która brzmiała:

„Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, że Ojczyźnie mojej, Polskiemu Królestwu, na lądzie, wodzie i powietrzu, na każdym miejscu i o każdej porze, wiernie i uczciwie służyć będę; że Najdostojniejszej Radzie Regencyjnej, jako Naczelnej Władzy Państwa Polskiego i wyznaczonym przez nią przeznaczonym i dowódcom posłusznym będę, że dawane mi przez nich rozkazy i przepisy będę wykonywał i wogóle tak się będę zachowywał, abym mógł żyć i umierać, jak mężny i prawy żołnierz polski“.

„Tak mi Panie Boże dopomóż“.

Z tekstu widać, że o jakichkolwiek zobowiązaniach Korpusu względem Niemców, niema mowy. Mogła się zobowiązać Rada Regencyjna i kazać nam,

np. walczyć po stronie Niemców; byłaby to inna sprawa; musielibyśmy rozkaz wykonać, ale następstwa polityczne na mnie by nie spadły.

W stosunkach względem Niemców trzymałem się stale tego, że tylko Radzie Regencyjnej podlegam. Ta zaś, jak się później okazało z listu ¹⁾ do mnie ks. Z. Lubomirskiego, prowadziła pertraktacje z Niemcami właśnie o tę władzę polityczną. Jednym z powodów tych pertraktacji był przyjazd ks. Janusza Radziwiłła do Brześcia. Tam Niemcy kategorycznie żądali, bym podlegał im bezpośrednio i przygotowali do podpisu takie oświadczenie:



„Bieżeńcy“ polscy przed bramą Słucką tw. Bobrujsk
oczekują na wydanie obiadu.

„Podałem się Rządowi Polskiemu. Wskutek tego 1-szy Polski Korpus został częścią Polskiej Siły Zbrojnej i jednocześnie stanął pod rozkazami jen. pułk. von Beselera, głównego dowódcy Polskiej Siły Zbrojnej“.

Przypuszczam, że Niemcy uważali mnie za naiwnego, podsuwając ten papier do podpisu. Do czego, bowiem, mógł się przydać mój podpis? Nie zważając na zupełnie wyraźną presję, oświadczyłem, iż papier podpiszę, ale z takim dopiskiem:

„Skladam to oświadczenie, o ile Radzie Regencyjnej (Rządowi Polskiemu) przyznane będzie prawo do współdziałania przy politycznem rozstrzygnięciu kwestji wojskowych“.

Tak uzupełniony akt podpisałem i doręczyłem go ks. Radziwiłłowi. Ten

¹⁾ Załącznik nr. 32.

ostatni, jak przypuszczam, zgadzał się z mojem stanowiskiem. Gdyby Niemcy byli szczerzy i zdradzali rzeczywistą chęć do zrobienia czegoś konkretnego dla Polski, to musieliby przyznać prawo polityczne nad wojskiem Radzie Regencyjnej. Nie wchodziło to, oczywiście, w sferę ich zamierzeń istotnych.

Krok mój ostatecznie zdemaskował grę Niemców i wywołał demobilizację. Dlaczego więc pewien odłam naszego społeczeństwa śmie mi zarzucać, że uląłem się Niemców i pozwoliłem się rozbroić? ¹⁾ Dlaczego Legjonistom, których faktycznie rozbrojono, nikt tego nie wytyka?

*

Zadawano mi też pytania, dlaczego demobilizacja Korpusu nastąpiła, skoro mogłem pójść na tułaczkę, w rozproszeniu po Rosji, lub oświadczyć się po stronie bolszewików, względnie t. zw. „białych“, lub wreszcie przejść na



Uciekinierzy polscy przed wyjazdem do kraju z Bobrujska ufundowali na pamiątkę pobytu w Bobrujsku krzyż z kamienia.

Ukrainę ²⁾? Rzeczywiście byli tacy, którzy przyłączyli się do białych, walcząc przeciw bolszewizmowi. Rozumiem pierwszych ³⁾, nie mogę pojąć logiki postępowania drugich ⁴⁾. Chyba nie chciano raz jeszcze udawadniać, że Polacy

¹⁾ Korpus nie został „rozbrojony“, a zdemobilizowany.

²⁾ Usamodzielnionej (samoistnej).

³⁾ T. j. tych, co przeszli do bolszewików.

⁴⁾ Tych, co przyłączyli się do „białych“.

biją się chętnie... o cudze interesy! Mojem zdaniem, nie miałem żadnej racji, do powtarzania starych i potępionych błędów.

Wreszcie, co do Ukrainy. Posłałem tam oficera w celu zorientowania się w możliwości współzycia. Z raportu przysłanego mi, oraz na podstawie listu jen. Osińskiego ⁴⁾, przekonałem się, że nic się tam zrobić nie da, bo ogłoszenie niezależności Ukrainy było wszak inscenizowane przez Niemców.

Nie trudno było się domyśleć, że po bolszewickiej awanturze, pomimo wyników wojny światowej, kwestja polska stanie się jednym z ważniejszych zagadnień przy układach pokojowych. Obowiązkiem, przeto, wszystkich nas było dążenie do skupienia się, a to mogło nastąpić tylko przez uznanie nad sobą jakiegokolwiek władzy lub czyjegoś autorytetu. Takimi w owych czasach były dwie instytucje Rada Regencyjna i Piłsudski. Piłsudskiego nie mogłem uznać, gdyż bardzo mało go znałem. Pozostawała Rada Regencyjna.

Wymagania elementarnej logiki: „skupić się“, nie dla wszystkich, oczywiście, były na rękę. Istniały zobowiązania, które trzeba było wykonać. Najskuteczniej można to było ukryć, zohydzając moją działalność.

Gdyby owego czasu istniała w Polsce jakakolwiek władza autorytatywna, pomijając Radę Regencyjną, niezależnie od politycznego zabarwienia (bolszewizm wykluczam), chętnie bym się jej poddał. Niestety takiej nie było... Zaś Rada Regencyjna, choć „stworzona przez Niemców“ składała się przecież z Polaków, którzy mieli możność jaki taki ład i porządek w Kraju zaprowadzić. Wszak do tego potrzeba było niewiele: charakteru, godności osobistej i rozumu.

Nie sędzę, żeby po przytoczeniu przeze mnie wymienionych argumentów istniały jakiegokolwiek podstawy do krytykowania mego postępowania.

⁴⁾ Załącznik nr. 33.

CZY WYJŚĆ ZA DNIEPR?

Po mojem zetknięciu się z Niemcami, zabiegałem różnemi drogami ¹⁾ o osobistą audjencję u Rady Regencyjnej: celu swych zamierzeń nie osiągnąłem, bo oczywiście, Niemcy chcieli wyzyskać naszą trudną sytuację.

Romockiego, wysłanego przez „Naczpól“ do Warszawy, nie przepuszczano. Z punktu widzenia ściśle prawnego, odkomenderowanie go było rzeczowe, ale należało mnie przynajmniej o tem zawiadomić.

W swoim czasie zawarłem z Niemcami (pierwszą) umowę; winien był to zrobić „Naczpól“, jako instytucja, stojąca ponad Korpusem. Ale członkowie jego częściowo byli wówczas aresztowani, a częściowo poukrywali się. Od czasu do czasu widywałem tylko prezesa p. Raczkiewicza. Zresztą Niemcy, sądząc z późniejszych rozmów, nie mogli zrozumieć logicznych podstaw do istnienia tej czcigodnej instytucji i nie tylko nie zgodziliby się na żadne z nią pertraktacje, ale wogóle nawet na rozmowę.

Po zawarciu prowizorycznej umowy, Niemcy przepuścili do Warszawy tylko moją delegację ²⁾. W skład jej chciał wejść Raczkiewicz i jeden jeszcze członek „Naczpolu“. Wysyłając delegację pragnąłem otrzymać dyrektywy do dalszego postępowania. Członkowie „Naczpolu“ zaś chyba tylko tego pragnęli, żeby zadokumentować przed Radą Regencyjną swoją, onego czasu, zwierzchność nad Korpusem. Zwierzchność ta faktycznie już się skończyła (po aresztowaniu członków „Naczpolu“). Zgodziłem się jednak wcielić „Naczpolistów“ do delegacji, zapewniając Niemców, że delegacja składa się tylko z moich podwładnych, bo w przeciwnym razie p. Raczkiewicza wcaleby do Warszawy nie wpuszczono.

Zgoda moja na wyjazd członków „Naczpolu“ w roli moich podwładnych, obowiązywała p. Raczkiewicza do lojalności względem mnie. Tymczasem, otrzymawszy rozkaz Rady Regencyjnej stawienia się u mnie po audjencji, p. Raczkiewicz tego nie zrobił, a pojechał do Kijowa, co opóźniło zorjentowanie mnie w sytuacji. Zmuszony byłem z tego powodu zwrócić się do Rady Regencyjnej i sądząc z raportu mego informatora ³⁾, wywołało to oburzenie Regencji.

Muszę jednak stwierdzić, że z całego zespołu „Naczpolu“ pracował tylko p. Władysław Raczkiewicz. Reszta członków była „od reprezentacji“, t. j. od nieróbstwa lub od przeszkadzania, bo każdy pragnął wiedzieć, dlaczego

¹⁾ Załącznik nr. 34.

²⁾ Była to druga delegacja. Pierwsza z pulk. Mościckim na czele, jak wiadomo, do Rady Regencyjnej nie dojechała.

³⁾ Załącznik nr. 35.

to czy owo należy zrobić. Ale taka już jest zasada wszystkich demokratycznych instytucyj: — wiele głów, dużo gadania, wspólny strach przed dyktaturą, nieszczerłość w stosunkach; w rezultacie strata czasu i zero w wynikach pracy.

Gdyby Zjazd Wojskowych w Piotrogradzie zdecydował się na polecenie zorganizowania wojska jednej tylko osobie, niekoniecznie mnie, formacje polskie wygrałyby na tem bezsprzecznie.

Pan Raczkiewicz, choć posiadał wykształcenie prawnicze, był dobrym mówcą i człowiekiem pełnym zacnych chęci, jednak chorował na manję wielkości. Trzymał przy sobie świętą do reprezentacji ¹⁾. *Ponieważ niestety, był tylko chorążym rezerwy, więc w stosunkach z władzami, zwłaszcza na początku rewolucji, nie mógł zdobyć u nich autorytetu.* Przy każdym spotkaniu obowiązywała go przede wszystkim dyscyplina, t. j. postawa na bacność. Choć był moim przełożonym, to jednak zwracając się do wyższych władz wojskowych, musiał wysuwać albo mnie, albo pułk. Jasińskiego ²⁾. Bez nas władze rozmawiać z nim nie chciały. To też rola jego w sprawie formowania Korpusu była nikłą.

Na „Naczpolu“ ciążył obowiązek urabiania, względnie ugruntowania politycznej sytuacji wojsk polskich. Jeśli chodzi o tę kwestję, to „Naczpol“ nic konkretnego nie uczynił. Temu przeszkadzała: 1) niechęć władz rosyjskich do wyraźnego postawienia zagadnienia politycznego przed swoimi podwładnymi (poddanymi państwa rosyjskiego) ³⁾, 2) nieświadomość cudzoziemców, o tem co to jest Polska; wszak o Niej żaden podręcznik nie wspominał, a propagandy w prasie światowej nie robiono, przypuszczam z braku środków. Cudzoziemcy przy Stawce długo też nie mogli zrozumieć roli „Naczpolu“.

Żadne stronnictwo polityczne, ani „Naczpol“, też nie mogło nic przedsięwziąć bez zgody Kraju. Nikt nie wiedział, co się tam dzieje; prasa podawała sprzeczne wiadomości. Trzeba było zorjentować się na miejscu, czego delegacja „Naczpolu“ zrobić nie potrafiła. Zawierając pierwszą umowę z Niemcami, wyrobiłem pozwolenie na urlopowanie żołnierzy i oficerów, oraz na wysłanie oficera łącznikowego do Warszawy. Ten ostatni, Pogorski, oddał duże usługi, informując mnie i zabiegając na miejscu w sprawach Korpusu ⁴⁾. Dopiero urlopowani przywieźli autentyczne wiadomości o tem, co się w Kraju dzieje. Dziwiło mnie, że Niemcy, tak ostrożni w postępowaniu w stosunku do Korpusu, zgodzili się na urlopowanie, (bo trudno było przecież przypuścić, że my, którzy łączyliśmy się do walki przeciw nim, raptem zmieniliśmy naszą orientację).

¹⁾ Załącznik nr. 35.

²⁾ Pułk. Jasiński był oficerem łącznikowym między Stawką a „Naczpołem“.

³⁾ Patrz uchwały Zjazdu W. w Piotrogradzie. Załącznik nr. 11.

⁴⁾ Załączniki nr. 36, 37 i 38.

Krytykują mnie również za to, że wołałem wejść w porozumienie z Niemcami, niż np. wymaszerować na Wschód.

Byłem dość dobrze zorientowany w tem, co się na świecie dzieje. Czytelnik zapyta zapewne, jakim sposobem, znajdując się między dwiema ścianami — niemiecką i bolszewicką, wiedziałem, co się nazewnątrz dzieje.

Otóż Niemcy nie są tak przezorni, za jakich przywykliśmy ich uważać. Przegapili radjostację w Bobrujsku, z której oczywiście skwapliwie, aż do demobilizacji, korzystałem. Rozporządzałem dwoma dzielnymi oficerami radjotelegrafistami, podporucznikiem Sroką i Giedroyciem oraz kilku żołnierzami. To — wszystko, co się pozostało po walkach z bolszewikami z dobrze zaopatrzonego oddziału radjotelegraficznego; dowodził nim kpt. Tarło-Maziński, który, grawitując do bolszewizmu, rozkazu mojego, przyjscia do Bobrujska nie wykonał i gdzieś znikł.



Oddział Radjotelegraficzny I K. P.

Stacja w Bobrujsku przejmowała depesze z Berlina, Moskwy, Kijowa, a nawet z Paryża. Zestawienie telegramów dawało rzeczywisty obraz tego, co się wtenczas na świecie działo. Niemcy stale chełpili się zwycięstwami i oświadczaali, że nadchodzi ostatnia minuta dla Ententy; odwrotnie, telegramy z wieży Eiffla, były bardzo powściągliwe, ale pozwalały przypuszczać, że dzień sądu ostatecznego nad Niemcami jest bliski.

Zastanawiając się nad tem, co mam robić, wybrałem porozumienie się z Niemcami, a co za tem szło z Radą Regencyjną, o którą chciałem się oprzeć. Lepszego wyjścia nie było ¹⁾. Nie znaczy to, że szukałem współdziałania z Niemcami lub uznałem ich władzę bez zastrzeżeń. Gdyby Niemcy byli zdolni do dedukcji, łatwo odgadliby, co mnie do pertraktacji z nimi zmusiło,

¹⁾ Patrz wyżej.

a wtedy albo przejechaliby nam „po brzuchach“, albo uprzednio rozbroiwszy, rozpędziliby nas „na cztery wiatry“. W najlepszym razie zamknęliby w jakimś koncentracyjnym obozie.

Niemcy nie godzili się na przewiezienie uzbrojonego Korpusu do Kraju, gdy właśnie nasza w nim obecność była konieczna z powodu przybliżającej się rozgrywki. Przez czas jakiś łudziłem się, że to mi się uda, ale tylko do chwili, kiedy nadeszło zarządzenie o demobilizacji.

Rozpocząłem walkę z bolszewikami nawpół uzbrojony, wśród okoliczności, które wygranej bynajmniej nie sprzyjały. Udało się! Dlatego sądziłem, że jeśli nie można przejść do Kraju z orężem, to należy wogóle wrócić jak najprędzej, a tam — co Bóg da! Zdecydowawszy się na to, wszystkie wysiłki skierowałem, aby ten powrót wyrobić. Niemcy niechętnie się na to godzili. Szczególniej nie podobał się im mój własny powrót do Kraju; podsuwali mi myśl wyjazdu na Syberję, może dlatego, że najbardziej im dokuczyłem, dowodząc w czasie wojny wojskami syberyjskimi. Jednak dopóty ich przekonywałem, aż uzyskałem zgodę na to, że przewieźli na swoje tyły kadry większości przyszłego wojska polskiego. Była to moja wielka wygrana nad nimi. Demobilizacja Korpusu była narazie rzeczą bardzo przykrą, ale najlepszym wyjściem na dalszą metę.

*

Co się tyczy przejścia za Dniepr, to oczywiście nie było to trudnem do zrobienia ¹⁾.

Były dwa momenty nadające się do wykonania takiego zamierzenia.

Pierwszy — zaraz po rozpoczęciu niemieckiej ofensywy na Mińsk i Kijów, t. j. w początku lutego 1918 r. (Korpus wtedy zmagał się z bolszewikami).

Wysunięcie projektu nie rozstrzyga jeszcze kwestji celowości, cel zaś jest decydującym czynnikiem każdego zamierzenia.

Przejście za Dniepr, w okolicznościach, w których znalazł się 1-szy Korpus, wymagało wszechstronnego zbadania wszelkich możliwości. Dlatego też od początku zatargów z bolszewikami, zastanawiałem się nad dalszą linią postępowania. Formując się do walki z Niemcami ²⁾ siłą rzeczy musieliśmy iść łącznie z Rosją. Ale Rosja bolszewicka zawierała pokój z Niemcami pod hasłem zaprzestania walk („sztyki w ziemi“): gdybyśmy z nią nie poszli, doprowadziłoby to nas do starcia z Rosją i z Niemcami, gdyż obydwom wten czas staliśmy na przeszkodzie. Więc cóż nam dawało przejście Korpusu za Dniepr? Tylko dalszą walkę, ale w jakim celu i z jakimi szansami powodzenia?

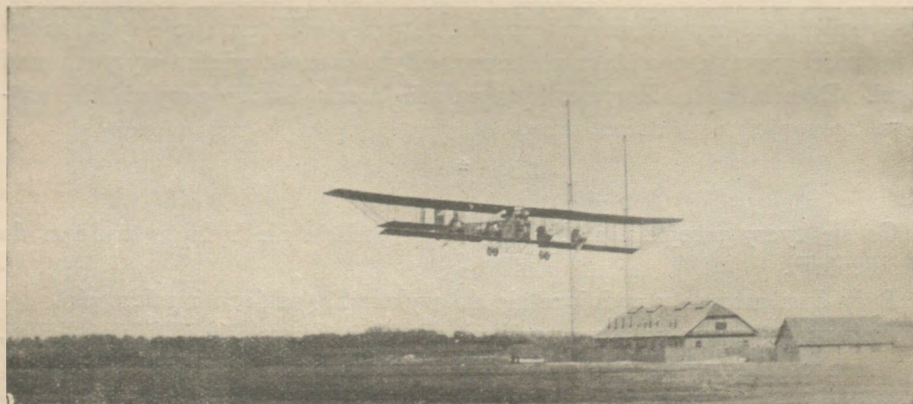
¹⁾ Kwestja ta szczegółowo została omówiona w „Placówce“ z dn. 11. 3. 27. w artykule „Przejście za Dniepr“.

²⁾ Załącznik nr. 11.

Przypuśćmy, że zdecydowaliśmy się na przejście Dniepru. Co wtedy? Należało znaleźć jakiś punkt oparcia. Ale jaki, bo przecież Korpus, czy też kilka tysięcy żołnierzy, to nie „partja Nowowiejskiego“, lub „chorągiew Kmicica“. Punktem takim mógł być Don (Denikin), lub Odessa (Ententa).

Od Rohaczewa do Donu było około tysiąca trzystu kilometrów marszu; do Odessy było tysiąc kilometrów, przyczem należało przecinać wszystkie linje operacyjne niemieckie w kierunku z zachodu na Rostów. W obydwu wypadkach czekały nas walki, które doprowadziłyby nasze szczupłe siły jedynie do rozgromu.

Przemarsz więc do Odessy, był, wyrażając się delikatnie, nieracjonalnym. Gdybyśmy zdołali przedostać się na Don, Denikin bezwzględnie zażądałby od nas udziału w walkach jego z bolszewikami, nie rezygnując z hasła „jednaja, niedielimaja Rossija“. Walczyć w celu urzeczywistnienia tego hasła, Korpus nie mógł. A że byłoby tak, potwierdza to wypadek z rozbitkami płk.



„Ilja Muromiec“ — największy 4-o motorowy aparat I K. P., pilotowany przez płt. Baszko, na tle radjostacji bobrujskiej.

Żeligowskiego. Sądząc z gazet, płk. Żeligowski osiągnął nad Donem wielkie sukcesy. Szkoda, że ich nie zdobył pod Żłobinem¹⁾. Co prawda, twierdzono, że jego rozbitków nie rozbrajano, jak to mówiono w Polsce o Korpusie, prześcigając się w wynajdywaniu ujemnych stron w cudzej działalności, a dążąc do powiększenia własnej sławy. Ale broni, przecież, oddział płk. Żeligowskiego nad Don nie przyniósł a dostał ją jedynie z rąk Denikina. Nie zażdroszczę tym, którzy na Denikina „polską kartę“ stawiali.

Można było powziąć i taką decyzję: porzucić broń i rozproszyć się. Byłby to gest nadzwyczaj romantyczny, wykonalny dla 50, ale nie dla kilkunastu tysięcy żołnierzy.

¹⁾ Wtedy moglibyśmy wyruszyć na Wschód lub Południe.

Przejście więc za Dniepr nic korzystnego nie dawało. Dlatego też, będąc wrogiem nieprzemyślanych posunięć, zaniechałem tego projektu.

Jeszcze na początku zatargów z bolszewikami, w Mińsku rozstrząsano kwestję uznania przez Korpus Rady Regencyjnej i podporządkowania się jej. Ogłaszając Królestwo Polskie, Niemcy zwodzili nas. Ententa jeszcze o Polskę nie myślała. Uważałem, że Niemcy popełniają błąd, ogłaszając Królestwo, robić tego nie potrzebowali, ale raz go popełniwszy, cofnąć się już nie mogli i zmuszeni byli przyjąć na siebie dalsze, wynikające z tego konsekwencje.

Projekt przejścia za Dniepr był jednak dyskutowany. Wybitniejsza starszyzna i „Nacpol“, stanowczo przeciwko temu się wypowiedzieli. Wobec tego postanowiłem, że trzeba za wszelką cenę nawiązać kontakt z Krajem, tam szukać oparcia i w tym celu wysłałem do Rady Regencyjnej delegację płk. Mościckiego.

*

Drugi moment dla przejścia za Dniepr nadarzył się wówczas, gdy wyjaśniać się zaczęło, iż Niemcy spostrzegli swój błąd, wyznaczając rząd polski (Radę Regencyjną), i bali się przyznać jej prawa politycznego nad Korpusem.

Pertraktacje w tym celu prowadzone ujawniły wrogie Niemców względem nas zamiary. Aby uniknąć przymusowego, na bezpośredni rozkaz niemiecki dokonanego, rozbrojenia, pozostało jedynie przejść na Wschód, nie licząc się z dalszymi konsekwencjami. *Do tego byłem przygotowany.* Już 11-go kwietnia wydałem wstępny dla tej operacji rozkaz nr. 2-gi, po nim szereg innych rozporządzeń w rozkazach z 15.IV i z 29.IV w telegramie do pułku ułanów z 10.V (nr. 508), wreszcie w rozkazie 11 maja¹⁾.

O projekcie dałem znać Radzie Regencyjnej, sam opracowałem szczegóły.

Na Dnieprze były następujące mosty, zbudowane w czasie wojny: w Mohylowie, w Starym Bychowie, w okolicy Nowego Bychowa, w Rohaczewie i w Żłobinie. Z tych pierwszy, drugi i czwarty zostały podczas walk z bolszewikami mniej lub więcej uszkodzone i potrzebowały dłuższego czasu na remont. W końcu kwietnia most w Żłobinie obsadzili Niemcy. O moście przy Nowym Bychowie mało kto wiedział, nawet z miejscowej ludności, bo był zbudowany na uboczu i dobrze zamaskowany. Ten most był najodpowiedniejszy, ten też wybrałem, jako odpowiedni do przeprawy naszych wojsk. Przejście trwać miało sześć dni i, oczywiście, nie mogło pozostać tajemnicą.

Pierwszym dniem operacji miał być 15 maj. Nieoczekiwanie 11-go maja otrzymałem wiadomość o zniszczeniu przez „kogoś“ wybranego przeze mnie

¹⁾ Widać to także z rozmowy między mną i dowódcą dywizji. Załącznik nr. 39.

mostu. Musiałem projekt zmienić i przejście za Dniepr zaprojektować po moście w Starym Bychowie, lecz ten należało przedtem naprawić. W tym celu, cofnąwszy rozkaz nr. 5-ty, opracowałem nowy, podpisany 12-go maja o godz. 22-ej, wyznaczając początek przejścia na dzień 16-go maja.

Jednakże w dniu 15 maja, otrzymałem list Rady Regencyjnej z dnia 11.V¹⁾). W liście tym zwróciłem uwagę na następujące ustępy: „w nieznajomości nowych warunków, przeczuwając, że będą przykre, nie możemy zdania wypowiadać, ale pozwalamy sobie doradzić poddanie warunków przed odrzuceniem najpoważniejszemu rozważaniu, mając na uwadze, że przejście na Wschód grozi zagładą tej cennej — przez nas tak bardzo ukochanej polskiej jednostki bojowej“, — a dalej — „nie wydajemy poleceń, musimy niestety przestać uznawać się za zwierzchnią władzę, ale wyrażamy gorąco odczuwane przekonanie i zaufanie, że Wasza Ekscelencja, natchniona miłością Ojczyzny, wszechstronnie w Swem sumieniu zważy położenie i znajdzie rozwiązanie, przynoszące możliwie najmniejszą ujmę wspólnej, a drogiej nam sprawie narodowej“, — *wreszcie*: — „nie tracąc nadziei w lepszą przyszłość“. Zwróciłem szczególną uwagę na te ustępy, z których dla mnie jasno wynikało, że:

- 1) jeżeli szukaliśmy podporządkowania się Radzie Regencyjnej, to trzeba było być konsekwentnym do końca;
- 2) wyjście za Dniepr nie odpowiadało zamiarom Kraju i mogło pogorszyć, chociażby na krótki czas, stan jego;
- 3) trzeba było poświęcić własną ambicję dla dobra Kraju;
- 4) Kraj miał jakieś podstawy do wiary w lepszą przyszłość.

Pomijając wszelkie piękne gesty i zamiary błyskotliwych czynów, ujęte w górnolotne słowa, w sercu każdego z nas tliła iskra wiary, że jesteśmy Ojczyźnie potrzebni, oraz nadzieja, że Ją ujrzymy, że w Niej bezpośrednio czerpać będziemy siły dla dalszej służby, że wojna się kończy, więc nasza jak najprędza i najliczniejsza obecność w Ojczyźnie będzie niezbędną.

Należało powziąć decyzję rychłego powrotu do Kraju. Cofnąłem rozkaz przejścia za Dniepr i przyjąłem na siebie całą „hańbę“ powyższej decyzji.

Nie potrzebowałem dawać nowych dowodów swego osobistego męstwa, dostatecznie uwypuklonego w wojnie światowej, ani też przysparzać Niemcom, czy bolszewikom tanich laurów.

Dalsze wypadki dowiodły, że postąpiłem słusznie.

¹⁾ Załącznik nr. 40.

ZAMACH I ZAMACHOWCY

Trudno powstrzymać się od przykrych refleksyj z powodu historii, która zdarzyła się w Bobrujsku 21-go maja 1918 r.

Rada Regencyjna, oczywiście, niedostatecznie przemyślała swoją decyzję, przyjmując nas pod opiekę, jak również później, zwalniając nas od przysięgi. Miała przecież możliwość zrzec się protektoratu nad nami i przysięgą nas z sobą nie wiązać. Jeśli jednak to uczyniła, nie wolno jej było tego lekceważyć. Ja i moi najbliżsi pomocnicy uważaliśmy, że przysięgę składa się Ojczyźnie¹⁾ raz w życiu i ta obowiązuje do śmierci; wszak rota zawiera następujące słowa: „Ojczyźnie mojej wiernie i uczciwie służyć będę“. — Zwalniając nas od przysięgi, zwalniano nas od służenia Polsce²⁾...

Rada Regencyjna nie wykazała cywilnej odwagi, aby własnym rozkazem zdemobilizować Korpus, jakby lękając się konsekwencji i temsamem skwapliwie zrzucając odpowiedzialność z siebie na mnie, dając tem atut do rąk różnym niepewnym elementom.

Był to chyba jedyny wypadek w historii, kiedy rząd zwolnił wojsko od „obowiązku służenia Krajowi“. Czemże była w takim razie Rada Regencyjna? Przyjmując z rąk Niemców władzę nad Polską, chociażby prowizoryczną, powinna była zdać sobie sprawę z obowiązków, których się podjęła i posiadać odwagę cywilną, którą jak wiadomo, ceni się wyżej od męstwa wojskowego. Niestety w Polsce taki się utarł zwyczaj, że każdy podejmuje się pełnienia obowiązków prezydenta, ministra, generała i t. p. na zasadzie: „nie święci garnki lepią“ i „jakoś to będzie“. Wyniki takiego postępowania są całemu światu wiadome.

Słowem, zwalniając nas od przysięgi, postawiono mnie w tak trudnej sytuacji, że jedynie wybrnąć mogłem z niej, stawiając na kartę własną ambicję. Mało kto, niestety, to zrozumiał i niewielu to należycie oceniło³⁾.

Zarówno ja, jak i starszyzna Korpusu, dobrze rozumieliśmy, że Rada Regencyjna była naciskana przez Beselera i nie umiała, lub brakło jej siły woli oprzeć się, względnie zrzec się przyjemności, wynikającej z władzy nad kilkudziesięciu tysiącami Polaków, którzy dobrowolnie jej się podporządkowali. Ale znaczna ilość oficerów i masa żołnierska przyjęła zwolnienie z przy-

1) Wszystko jedno jaki tytuł posiada: Królestwo, Republika lub t. p.

2) Porównaj załącznik nr. 41.

3) Załączniki nr. 42, 43 i 44.

sięgi „à la lettre“. Skoro zwolnieni zostali z danego słowa, zatem zwolnieni są od obowiązku posłuszeństwa. Było to w skutkach absolutnie temsamem, czem słynny rozkaz Kiereńskiego (Sokołow) nr. 1. Ten psychologiczny moment wykorzystała konspiracja i pchnęła do zamachu na mnie elementy, które weszły do Korpusu nie w celu pełnienia służby dla Kraju, lecz dla zabezpieczenia własnego bytu, względnie kariery. Nie jest to gołosłowne powiedzenie, bo właśnie ta sama kompanja samochodowa, na „bagnetach“ której oparli się zamachowcy, zaraz po awanturze zaofiarowała swe usługi Niemcom, i była przez nich przyjęta.

Jeśli większość wojsk Korpusu nie dała się sprowokować i do zamachu nie przystąpiła, zawdzięczać to należy starszyźnie oraz wpływowi duchowieństwa, które w przeciągu pięciu miesięcy samodzielnej egzystencji I-go Polskiego Korpusu, pracowało nad uświadomieniem mas żołnierskich.



Sam zamach był zorganizowany w sposób kłamliwy, ignorancki, a iście dziecięcy¹⁾. Byłem wówczas chory. Kładąc się (21-go maja), zwróciłem uwagę na nadzwyczajny ruch koło sztabu. Wyszedłem do gabinetu, okryty tylko płaszczem. Zastałem tam adjutantów, sekretarza oraz mego siostrzeńca, oficera artylerji. Zauważyłem, że przy drzwiach gabinetu stał żołnierz z karabinem; przypuszczałem, że był postawiony z rozporządzenia szefa sztabu. Faktycznie była to warta, wystawiona przez spiskowców w celu ewentualnego aresztowania mnie (o czem dowiedziałem się później).

Na zapytanie o przyczynach ruchu, adjutanci nic pewnego powiedzieć nie mogli, czy też powiedzieć nie chcieli. Siadłem przy biurku o czemś rozmawiając. Raptem do gabinetu wpada kilku osobników, których twarzy dokładnie nie znałem. Jeden, znany już Bartha, wystąpił naprzód oświadczając: „w imieniu Józefa Piłsudskiego żądam, by Jenerał objął kierownictwo bitwy z Niemcami, która już się rozpoczęła“. Na moją odmowną odpowiedź, inny oficer, Lis czy Gielniewski (nie wiem), skierował na mnie rewolwer z odległości jakich 2 — 3 kroków. Pierwszym odruchem moim było rzucenie się na napastnika i wyrwanie mu broni. Na nieszczęście, mój adjutant, porucz. Witold Szebeko, chcąc mnie zasłonić, stanął przed napadającym; dał on tem dowód odwagi i sumiennego spełnienia obowiązku. Złe się jednak stało, bo to przeszkodziło mi zastrzelić lub choćby zmasakrować napastnika. Wszczęło się zamieszanie. Napastnicy uciekli z gabinetu. Po kilku chwilach rozległ się wystrzał na ulicy. To zastrzelił się Gielniewski, należący do spisku²⁾. Niebawem do gabinetu wpadł blady Bartha wołając: „Jenerale, ratuj“.

¹⁾ Załącznik nr. 45, 46, 47 i 48.

²⁾ Patrz str. 250.

Zrozumiałwszy, że się rzeczywiście zaczęła jakaś awantura, zadałem kilka pytań, na które Bartha odpowiadał bez związku. Między innemi zakomunikował, że akredytowany przy mnie przedstawiciel niemieckiej armji lejtnant Goerdeler, jest aresztowany. To mnie najwięcej poruszyło, bo zamachowcy nie zdawali sobie sprawy, jakie konsekwencje wywoła zastosowanie czysto azjatyckiego sposobu postępowania z osobą eksterytorjalną. Kazałem Barcie pójść do sztabu i czekać na rozporządzenia, sam wyszedłem na ulicę. Tu dowiedziałem się, że bitwa, o której Bartha mówił, nie rozpoczęła się, a to dla tej prostej przyczyny, że nikt się nie ruszył, prócz plutonu Legji Rycerskiej, do której uprzednio starał się dostać Lis-Kula. Całe wystąpienie ograniczyło się do aresztowania Goerdelera i, jak w czasie wszelkich, głupio urządzanych rewolucyj się robi, wypuszczono z odwachu aresztowanych za grabież i rabunki.

Fakt aresztowania Goerdelera pociągnął tylko dla mnie przykre konsekwencje¹⁾. Musiałem przeprosić Goerdelera, musiałem usprawiedliwiać się przed dowodzącym armją jen. Falkenheimem, i wszystko to dzięki rodakom, którzy dążyli do tego, by zohydzić mi wszystko, co jest polskie.

*

Zwracam uwagę na następujące okoliczności, które towarzyszyły zamachowi. Jeżeli się zamachu dokonywa, to chyba w tym celu, żeby się udał. Należy więc dobrze obmyśleć wszystkie pro i contra. A ponieważ „przeciw“ bywa zawsze więcej niż „za“, trzeba to zrównoważyć stanowczem postępowaniem. Gdy więc, na propozycję objęcia dowództwa, nastąpiła moja odmowa, należało palnąć mi w łeb. Tymczasem Gielniewski czy Lis jedynie celował do mnie, w przypuszczeniu, że się złękę, padnę na kolana, podniosę ręce lub, że się upokorzę. Nie byłbym wojskowym!

Dalej, na czem polegały przypuszczenia, że wojsko usłucha rozkazów obcych mu ludzi? Chyba tylko na prestige'u imienia komendanta Piłsudskiego. Ale w Korpusie nikt go nie znał i nawet mało kto o nim słyszał; nie mogli uwierzyć w fakt rzekomego rozkazu Piłsudskiego do wystąpienia tylko z opowiadań jego niemądrych wysłańców. Szeregi uwierzyłyby w przeznaczenie dziejowe Piłsudskiego, gdybym je o tem pouczył, ale ja na to danych nie posiadałem.

Niektórzy wysłańnicy piłsudczyzny nawet wśród swoich, nie korzystali



Rotm. W. Szebeko
adjutant jen. J. D. M.

¹⁾ Załącznik nr. 49.

z pochlebnej opinii ¹⁾. Jakże można było wysłać takich do Korpusu? Prawdopodobnie słyszeli coś nie coś o zamachach, do przeprowadzenia których trzeba rzekomo zjawić się z rewolwerami, bombami i t. d., trzeba zerwać łączność, trzeba zrobić przewrót umysłów w szeregach i t. d. Tymczasem zerwanie drutów łączności było polecone d-rowej Hubickiej, która zadanie to spełniła, ale w pół godziny uszkodzenie zostało już naprawione. Lepiejby ta paniusia siała rzodkiew i kapustę, (na co wyproszono u mnie subsydjum). Przewrót w umysłach robili ci, którzy najstaranniej dążyli do tego, by nie trafić pod kule. Wreszcie — zamachu dokonać mieli „wolonterzy“ — prawie dzieci!

Awantura znalazła swego piewcę w osobie niejakiego Melchjora Wańkowicza. Ani to był rewolucjonista, ani konserwatysta. Ot poprostu zwyczajny szlachcic - warchoł, który pozował trochę na „zawodowego liberała“. Za rosyjskich rządów zadzierał z władzą, ale na tyle ostrożnie, by nie trafić do katorgi. On to miał płomienną mowę do junkrów, namawiając ich do wystąpienia przeciw karności. Pociągnął za sobą tylko kilku, bo oczywiście w płomieniu jego języka nie było dostatecznej logiki. Wziął udział w zamachu, ale z ostrożnością: podawał projekty, wysuwał hasła, gdzieś czegoś pilnował. Jak sam o sobie mówi, był pionkiem, za co awansował na „Homera sprzysiężenia“. Czegoż on nie wypisywał: — że ożeniłem się z prawosławną, — co jest nieprawdą; że przeszedłem na prawosławie — co też nie jest prawdą, że Korpus kradł, co jest już oszczerstwem, że starszyzna była zramolizowana; w każdym razie półgłówkami nie była.

Jeżeli p. Melchjor znał wypadki kradzieży, a winien był znać je, jeśli o nich w sposób tak kategoryczny pisał, to nawet choć zajmował, jak sam o tem mówi, stanowisko „pionka“, jako pionek obowiązany był zameldować o tem przełożonym, gdyż inaczej stawał się sam współuczestnikiem kradzieży. Należało więc napisać: „nie — Korpus kradł, a kradliśmy“, co rzeczywiście było bliższe prawdy w stosunku do niektórych zamachowców ²⁾.

Epilog tej całej awantury, czyli „zamachu“ na mnie, był smutny, ale i niemniej komiczny. Główni wykonawcy „zamachu“, jak Lis, Matuszewski, Bartha, Hubiccy i inni, sądząc, że życiem Gielniewskiego opłacili za inscenizowaną awanturę, uciekli, a część ich nawet tak się śpieszyła, że użyła do tego aż aeroplanu. Niemcy ich nie ścigali. Tacy pocziwi byli ci Niemcy!

Spiskowców oddałem pod sąd polowy. Ponieważ z całej kompanji pozostał tylko Melchjor Wańkowicz, więc on jedyny przed sądem odpowiadał.

¹⁾ Hołówko. „Przez dwa fronty“, str. 25: „Uprzedzam Was — powiedział do mnie Moraczewski, że będziecie mieli dużo kłopotu z Barthą. Jest to człowiek niezwykłych zdolności, lecz jednocześnie bardzo zarozumiały i ciężki w spółzyciu. Niech jedzie: tam może ujawnić i w pełni rozwinąć swe zdolności. Kto wie, może to istotnie nowy Napoleon, a może tylko zarozumialec, o wybuchającej, chorobliwej ambicji“.

²⁾ III cz. Szkicu do historii I K. P. (str. 31).

Sąd wyroku nie wydał, bo „większości oskarżonych nie było“. Szkoda, bardzo wielka szkoda! Kazałem p. M. Wańkowicza wypuścić z więzienia, bo choć „pionki“ istnieją w konspiracjach najczęściej właśnie w tym celu, żeby mogli ponosić konsekwencje za nieudane zamachy, to jednak ja Wańkowicza zrozumiałem. Mógłby oczywiście uciec jak i inni, ale na to nie pozwolił mu może honor szlachecki. Musiał odegrać rolę kozła ofiarnego, nie będąc pewny czy go stryczek nie minie. Biedaczysko, przeżył kilka przykrych godzin, a tego łatwo się nie zapomina.

W jednym ze swoich artykułów (wśród wielu innych nielogicznych zarzutów) Wańkowicz porusza sprawę nieprzyjęcia przeze mnie wyzwania Barthy¹⁾. Szkoda, że nie opublikował mojej odpowiedzi²⁾, po której ci panowie uznali za stosowniejsze sprawy pojedynku ze mną zaniechać, ograniczając się do napisania³⁾ protokołu. Jednak później sprawę tę próbowano wałkować⁴⁾.

*

W czasie pertraktacji z Niemcami w Bobrujsku, za pośrednictwem majora von Wulfen, dla wysondowania, co myślą Niemcy, podsunąłem taką myśl: „Dlaczego gnębicie Polaków? My biliśmy was częściej, niż wy nas. Cesarz Rzeszy Niemieckiej ma stale tarcia ze swoimi poddanymi, co osłabia najżywniejszą część Imperjum — Prusy. Niech, więc, proklamuje złączenie wszystkich trzech dzielnic Polski i ogłosi się królem polskim, pozostając królem pruskim i cesarzem niemieckim. Będzie mógł wtenczas dyktować swoją wolę całemu światu“.

Na myśl odłączenia zaboru pruskiego, major trochę się skrzywił, ale proponował, że wyrobi mi audjencję u cesarza. Odrzekłem, że jest to kwestja, wychodząca poza sferę mej kompetencji, od czego stronię; przypuszczam jednak, że politycy polscy gotowiby byli wszcząć odpowiednie pertraktacje.

Wyczuwało się, że Niemcy wtenczas czuli się już niepewnie i szukali wyjścia, że proklamowanie Królestwa Polskiego, było z ich strony nieszczerze. Obejmowało ono sobą Kongresówkę, może część Galicji, ale nie Poznańskie i Śląsk. To też ma rację profesor Stefan Dąbrowski, twierdząc, że stworzenie „Wehrmachtu“ zrobione było jedynie w celu sprowokowania nas do dania „osłabionym Niemcom“ świeżego rekruta.

Czy analogiczne rozmowy, względnie pertraktacje, nie były prowadzone i przez innych przedstawicieli naszego narodu? Zdaje się, że tak...

*

¹⁾ Załącznik nr. 50.

²⁾ Załącznik nr. 51.

³⁾ Załącznik nr. 52.

⁴⁾ Załącznik nr. 53.

Pytano dlaczego zamiast demobilizacji nie zacząłem walki z Niemcami. Oczywiście taką walkę zacząć było nietrudno, ale jedynie chyba dla samej walki. Może mojem nieszczęściem jest, że jestem wojskowym — wykształconym. Nauka zaś głosi, że wojsko utrzymuje się w celu zwycięstwa; cel zaś każdej walki musi być logicznie ugruntowany. W tych warunkach, w jakich się znalazł 1-szy Polski Korpus, nie było co liczyć, ani nawet marzyć o po-



Gmach Sztabu I K. P. w tw. Bobrujsk.

wodzeniu walki. Miałem około 29 tysięcy ludzi¹⁾, przeciwko trzem korpusom niemieckim, z 36 ciężkimi i 150 polowemi armatami. Niemcy mieli jeszcze tę przewagę, że w ich szeregach nie panoszyła się konspiracja i nie robiono destrukcji, czem my, właśnie, mogliśmy się pochwalić. Walka, więc, byłaby krótkotrwała i ani orężowi, ani rozumowi polskiemu chwałyby nie przyniosła. Mogłem stracić kilka tysięcy ludzi, prowadząc ich zdecydowanie na rzeź, a sam wyrosnąć na pobitego bohatera. Może zyskałbym tem rzeczywiście zachwyt domorosłych polityków i strategów. Wolałem jednak wybrać inne wyjście, bardziej, mojem zdaniem, licujące z godnością przewijającego generała.

Co zaś dałaby walka Korpusu z przeważającymi siłami niemieckimi? Stanowczo twierdzą, że nietylko porażkę, wytracenie, jak to zwykle w desperackich walkach bywa, najlepszego elementu w szeregach, ale i nowy przykład tego, że Polacy umieją bić się w najtrudniejszych warunkach (Pakosław,

¹⁾ Do walki było zdolnych najwyżej 10 tysięcy bagnietów i 2 tys. szabel przy 60 działach.

Kaniów). Tego ostatniego nie potrzeba uwypuklać nowymi faktami. Są one dobrze znane całemu światu. Historia Polski daje przykłady, że często zwyciężaliśmy, ale czy ta historia podaje wiele faktów, kiedy potrafiliśmy wykorzystać politycznie zwycięstwo lub desperackie walki, do których zaliczyć należałoby ewentualną walkę I-go Polskiego Korpusu z Niemcami? Nie miałem logicznych podstaw dawać Niemcom prawa do chwalenia się zwycięstwem nad nami. Bo gdyby to zwycięstwo nastąpiło, to czy Niemcy nie mieliby pretekstu do rozwiązywania tak zw. Wehrmachtu, albo nawet do zanurowania Rady Regencyjnej. Tymczasem egzystencja tej prowizorycznej władzy polskiej dawała przecież punkt oparcia dążeniom wszystkich szczerych Polaków do odzyskania Niepodległości.

Mogą mi oponować, że i bez Rady Regencyjnej Polska by się ostała. Nie trzeba jednak zapominać o tem, że istniejąca obecnie Polska (r. 1932) bierze swój początek od powołania przez Radę Regencyjną — Piłsudskiego. Co byłoby, gdyby tego Rada Regencyjna zrobić nie mogła?

*

Niestety, nie wiem dokładnie, z jakich powodów ci panowie, żądali, by Korpus zaczął walkę z Niemcami w tym momencie, kiedy przyszło rozporządzenie Rady Regencyjnej o demobilizacji. Rzekomo miało się to robić w celu ratowania honoru wojska. Jest w tem coś niejasnego, co musi widocznie pozostać tajemnicą. Przecież Piłsudski także tworzył wojsko, które było „rozwiązane“. Nikt mu tego nie wytykał, ani nikt, jak nas, nie ganił, i do walki z Niemcami dla „ratowania honoru“, nie pchał. A tu raptem łaziki stawały się nieproszonymi opiekunami tego honoru. Zachowanie honoru chyba nie polega na tem, żeby być obitym zgodnie z rosyjskiem przysłowiem: „choć pyłki okrwawione, ale nasi górą“... Tu zaś „nasi górą“ być nie mogli ¹⁾.

*

Po przeprowadzeniu demobilizacji oddziałów Korpusu wyjechałem z Bobrujska ostatni. Zażądałem, aby mnie odwieziono w Sandomierskie, gdzie się urodziłem i gdzie wiele miałem wspomnień i drogich pamiątek.

Sandomierz spotkał mnie owacyjnie: ludność wyszła na spotkanie, ofiarowując mi „chleb i sól“. To mnie bardzo zdziwiło i wzruszyło. W rok potem dowiedziałem się, co wywołało tę manifestację, mianowicie w gazetach niemieckich podano szczegóły z mojego „curriculum vitae“.

„Kreiskomendant“ w Sandomierzu, pułkownik austriacki, także był uprzedzająco grzeczny; ogłosił nawet, że przyjechał polski generał, więc ma na-

¹⁾ Dlaczego wreszcie, wtedy, gdy istniało w stosunku do Legionistów „zarządzenie Piłsudskiego, który zakazał oporu, zalecając oszczędność krwi i życia“ — (W. Lipiński — „Walka o Niepodległość“ str. 144 i „Placówka“ Nr. 8, 9, 10 r. 1934, str. 114) — I Korpus Polski miał przelać swą krew i zapłacić obozy jeńców w głębi Niemiec, stokroć cięższych od Szczypiorny i Benjaminowa?

dzieję, że wojskowi armji austriackiej potrafią się odpowiednio zachować. Udzielono mi prawa jazdy po całej okupacji, co też skwapliwie wykorzystywałem, przygotowując ludność do ewentualnego wystąpienia zbrojnego. W Piotrkowie namówiłem obywatelstwo do jak najszerzych ofiar na rzecz Krechowieckiego pułku.

Miałem wielkie trudności w zakwaterowaniu swej rodziny i kilkunastu ludzi, którzy ze mną przyjechali. Mieszkań wolnych nie było. Trudno było mi obywatelstwo ziemskie, choć było ono mnie najbliższe, prosić o dach nad głową. Początkowo przygarnął mnie adwokat Przyłęski, a następnie lekarz powiatowy¹⁾. Później gdy wiadomość o moim przyjeździe się rozniosła, prawdziwie pański gest uczynili hr. Tarnowski i ks. Maciej Radziwiłł, ofiarowując mi gościnę. Wybrałem myśliwski pałacyk w Staszowie, gdzie pomógł mi bardzo w zainstalowaniu się plenipotent ks. Radziwiłła w Sichowie p. Zagórski, oraz dyrektor cukrowni w Rytwianach p. Psarski (ojciec licznych synów, którzy służyli w Korpusie). Godna podziwu była rodzina państwa Psarskich. Wszyscy specjalizowali się w cukrownictwie i obecnie kierują najczynniejszymi cukrowniami w Polsce.

*

Dnia 17.IX.18, jakiś wysłaniec przywiózł mi list sekundantów Barthy de Weydenthal-Boruckiego²⁾, z „żądaniem satysfakcji“ za mój rozkaz nr. 256, który tu przytaczam.

„Rozkaz do korpusu nr. 256. 1. czerwca 1918 r.

Ogłaszając decyzję sądu polowego z dnia 28 maja r. b. *nie zwalniam* od odpowiedzialności sądowej nazywających się pułkownikiem Bartha, kapitanem Kortyną i podkapitana sztabu korpusu Matuszewskiego.

Jak się oświadczyli osobiście, Bartha i Kortyna, nazwiska ich są pseudonimami. Bartha pozatem oświadczył, że był awansowany na pułkownika rozkazem jen. Osińskiego, co okazało się nie prawdą.

Podkapitan Matuszewski, jak mi to jest wiadomem ze źródeł zupełnie wiarygodnych, działał przeciwko Formacjom Polskim.

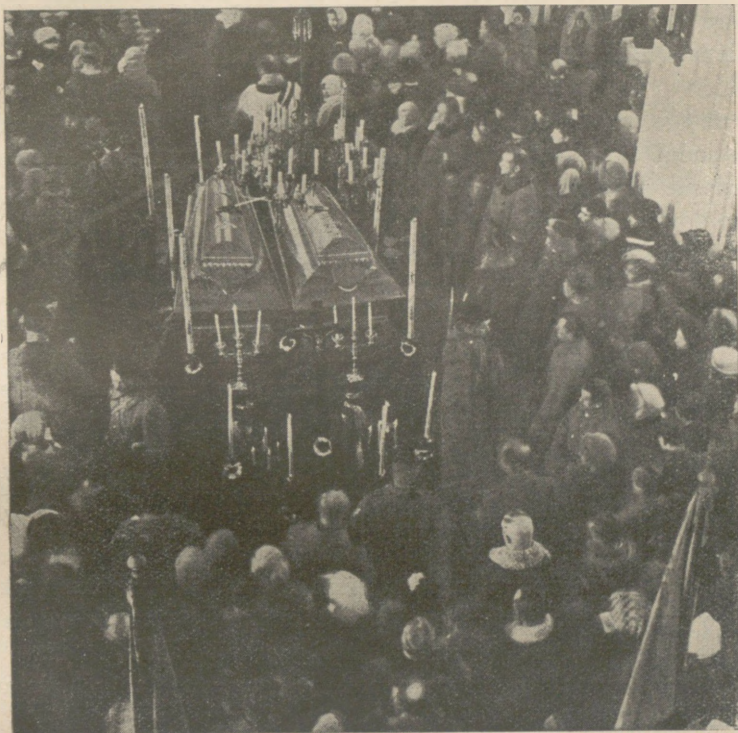
Z wyżej przytoczonych faktów widać, że jeżeli mnie, stojącemu na czele Polskich Formacyj, ci panowie łgali, to byli oni nie Polacy, a lotry, działającymi za czyjeś pieniądze.

W imieniu sprawy narodowej obowiązuję wszystkich, komu wiadomem jest miejsce pobytu Barthy, Kortyny i Matuszewskiego, aby dali znać władzom polskim, dla aresztowania ich i pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej“.

¹⁾ Nazwiska zapomniałem.

²⁾ Za prawidłowość pisowni nie ręczę. Nazywano go „Barta“, „Bartha“, „Bartha de Weydenthal“, „Barthel de Weydenthal“, „Borucki“, p. załącznik 50.

Tego było za wiele, bym dawał mu pole. Odpisałem więc ostro ¹⁾, nie kępując się doborem słów. Później w pismach, o specjalnem zabarwieniu, oburzano się, że nie dałem satysfakcji p. Barthie. Nie miałem żadnego obowiązku postąpić inaczej. Nie widziałem żadnej racji do pojedynkowania się z pierwszym lepszym, któremu się moje zdanie o nim nie spodobало.



Pogrzeb ułanów Krechowieckiego pułku:
ppor. Suzina i wachm. Nowickiego, zamordowanych przez bolszewików.

Kimże był ów p. Bartha?

Stanął przed mną młodzieniec okazały, z twarzą blagiera. Nazwiska wyja-
wić nie chciał. Oświadczył, że jest pułkownikiem, szefem sztabu II Korpusu
jen. Osińskiego i „piłsudczykiem“. Sprawił na mnie wrażenie źle wyszkolo-
nego rekruta. Stukał piętami, wykręcał się i rzucał głową, niczem narowi-
sty koń ²⁾; z pierwszą wizytą był u mnie w końcu kwietnia, czy w początku

¹⁾ Załącznik nr. 51.

²⁾ Czy tak zachowywał się właśnie Napoleon, mógłby wyjaśnić chyba p. Moraczewski
(patrz str. 242).

maja 1918 r. Przyjąć jego oświadczenie na wiarę mógł tylko ktoś bardzo naiwny.

Nikomu nie przyznawałem prawa ukrywania swego nazwiska, bo byłem zwierzchnikiem rejonu, i korzystałem z wyjątkowej władzy. Należałoby więc p. Barthę kazać aresztować i nazwisko zdekonspirować; uchroniła go od tego jedynie osoba Piłsudskiego, na którą się powołał. Przypuszczałem, że się czegoś konkretnego dowiem; w konspiracji bawić się nie chciałem, bo tej metodzie nie hołduję, gdyż jest zazwyczaj przeżarta zdradą, przekupstwem i korupcją.

Zarazem nie wątpiłem, że jen. Osiński, choć tylko skromny dowódca brygady, posiadał chyba tyle doświadczenia, żeby pierwszemu lepszemu młodzieńcowi nie powierzać szefostwa sztabu korpusu, jeżeli nota bene, sam korpusem dowodził. Czyż nie było odpowiedniejszego oficera? Jeżeli zaś wybrał p. Barthę świadomie, to tem samem należał do sprzysiężenia przeciwko mnie, a tego mu nie winszuję.

Pragnąłem wtedy jednak lepiej o jen. Osińskim myśleć i przypuszczałem, że Bartha nietylko nie był pułkownikiem, ale może nie był nawet sierżantem; na stanowisko szefa sztabu mógł trafić przez nieporozumienie, lub pod presją magicznego słowa „piłsudczyk“, i to chyba tylko w celu obsadzenia warkujacej posady.

Nota bene niejasną była dla mnie wtenczas kwestja, kto dowodził II-gim Korpusem Polskim. Słyszałem o jen. Michaelisie i bryg. Hallerze. Wtedy też po raz pierwszy w życiu dowiedziałem się, że dowódca korpusu ma władzę do awansowania oficerów i to na wyższe szarże, jak naprz. pułkownika. Takiego zwyczaju nie było w żadnej armji i wątpię, czy mógł być on praktykowany w wojsku polskim. Ja przynajmniej tego nie robiłem. Prawo do tego mają wyłącznie najwyższe władze w państwie, a jestem zdania, że awans to nie szopka.

Godnem zastanowienia było też i to, że dowódca korpusu (przypuśćmy jen. Osiński) w chwili, gdy każdy wyczuwał, iż mają nastąpić jakieś stanowcze rozstrzygnięcia, wysłał szefa sztabu do mnie, niewiedomo w jakim celu, bez listu i nawet bez zwykłego zaświadczenia. Przed opisanem wyżej zdarzeniem jen. Osiński korespondował ze mną¹⁾ i nawet prosił o pomoc finansową, o p. Barthie jednak nie wspomniał nigdy ani słowa.

P. Bartha prowadził dość długą rozmowę ze mną; o czem, dziś już nie pamiętam. Pomnę tylko, że zadał mi pytanie, co myślę o czynie brygadjera Hallera? Odpowiedź moja jest umieszczona w szkicu do historii I-go Polskiego Korpusu. Czyżby p. Barthie, względnie jen. Osińskiemu nieznane były zamiary brygadjera Hallera, podane w liście²⁾ do mnie, z dnia 22.4.18?

¹⁾ Załącznik nr. 33.

²⁾ Patrz rozdział XIX.

A może na Ukrainie wszyscy „grali w ciuciubabkę”? W takim razie katastrofa była tam nie do uniknięcia.

Jestem człowiekiem ostrożnym i niełatwo dają się nabrać, tem bardziej, gdy o to starają się osobnicy, ukrywający się za parawanem pseudonimów. Dlatego też nie potraktowałem osoby p. Barthy poważnie ¹⁾.

W parę dni później, zameldował się on znów u mnie, w asyście jakiegoś młodzieńca, którego przedstawił jako kapitana Kortynę ²⁾. Na zapytanie jaka jest prawdziwa jego godność, pan K. odmówił wyjaśnienia swojego nazwiska, ale skwapliwie oświadczył, że także jest piłsudczykiem. Zatem w moim mniemaniu tych panów przynależność do piłsudczyków, miała wystarczać za wszystko? Dobrze! Ale ja, wszak, do konspiracji nie należałem.

Tyle mi wówczas o Piłsudskim mówiono dodatniego (wielbiciele mniej lub więcej szczerzy, czy zamaskowani), że pojąć nie mogłem, dlaczego jego agentów znać mam tylko z pseudonimów. Taka gra była nierówną i zgodzić się na nią nie mogłem.

¹⁾ Sceptycyzm mój względem p. Barty był słuszny. Znacznie później przysłano mi odpis dokumentu (załącznik 54), podpisany przez komendę P. O. W. na I-y Korpus, z którego wynioskować można szereg faktów nie do uwierzenia:

1) Egzystowała jakaś tajemnicza Komenda sprzysiężenia w szeregach, o której nic nie wiedziałem, bo nikt mi o tem nie meldował, choć wszyscy na posłuszeństwo przysięgali.

2) P. Barta wyznaczony został szefem sztabu nie rozkazem, lub paragrafem rozkazu, jak to się w takich sprawach robiło, a *dodatkiem* do rozkazu za Nr. 1! Z tego wynika, że był wydany rozkaz za Nr. 2 i z następni numerami, a dla mianowania na odpowiedzialne stanowisko numeru zabrakło.

3) Jakaś nadprzyrodzona władza utworzyła dowództwo wojsk polskich na Ukrainie i dowodzącym wyznaczyła jen. Osińskiego. Dotychczas było wiadome, że tam egzystowały II i III polskie korpusy, podległe mnie (patrz załączniki 6, 7 i 8), a ja żadnych rozporządzeń w tej sprawie nie wydawałem.

4) P. Barta trafił na posadę szefa sztabu z rekomendacji jakiejś *upoważnionej osoby*. Takiego upoważnienia ja nie dawałem. Dalej, dlaczego jen. Osiński ogłaszał, że wyznacza p. B. na posadę z „upoważnienia”, oraz że p. B. skończył „akademję”? Takie wiadomości dla szeregów nie są ciekawe, tem więcej, że jen. Osiński mógł nawet na stanowisko czasowo pełniącego obowiązki szefa sztabu „dowództwa fikcyjnych wojsk na Ukrainie” naznaczyć choćby swego ordynansa.

5) P. Barta został mianowany przez jen. Osińskiego „zauriad” pułkownikiem. Nominacje „zauriad” egzystowały w Rosji dla obsadzenia czwartorzędnych stanowisk. „Zauriad” nie była żadną rangą wojskową a tylko wskazówką, że dany osobnik pełni obowiązki na stanowisku związanem z pewną rangą, na niższych szczeblach hierarchii.

Tymczasem szef sztabu wojsk, jeżeli nie były one operetkowe, to urząd wielki i odpowiedzialny, obsadzany rangami jeneralskimi, a najmniej pułkownikowskimi. Jen. Osiński popelniałby tym razem dużą gafę.

Z tych powodów „dodatek” do rozkazu do „Wojsk Polskich na Ukrainie” i to za Nr-m pierwszym, zaliczam do dokumentów podrobionych, jeżeli nie humorystycznych.

²⁾ Później okazało się, że był to ś. p. Lis Kula; ale czy jest to faktyczne nazwisko — nie mogłem dociec — Lis czy Kula?

P. Lis zarekomendował się jako specjalista od ataków na ufortyfikowane pozycje, ofiarowując swe usługi w roli instruktora. Prosił o oddanie mu dowództwa nad kompanją Legji Rycerskiej. Właśnie, z mego rozkazu, opracowano taką instrukcję; wymagało to wielkiego zasobu czasu i wiedzy najbardziej doświadczonych oficerów. Instruktorem wszak może być tylko człowiek odpowiednio wykształcony. P. K., będąc piłsudczykiem, mógł nabyć eksperjencji tylko w szeregach legjonów lub austriackiej armji, stale bitej. Nie była to zachęcająca rekomendacja, szczególnie po nieostrożnym oświadczeniu, że przeszedł kurs instruktorski „w kilku państwach”; w jakich — nie mógł dać odpowiedzi.

Prośbie objęcia komendy nad kompanją Legji odmówiłem; przewidziałem chęć wywołania zamieszek w szeregach, co było dalszą konsekwencją, powziętego przez lewicę na zjeździe w Piotrogradzie zamiaru przeszkadzania w formowaniu wojsk polskich przeciw Państwom Centralnym. Zaproponowałem, aby wygłosił odpowiedni wykład. Zameldowano mi potem, że nic nowego nie powiedział, a nawet nie wykazał znajomości podstaw. O tyle jednak okazał się specjalistą, że potrafił w kilku „wolentarskich” głowach zachwiać poczucie obowiązku subordynacji i pchnąć do „czynu rewolucyjnego”. Nie wielkimi też mógł poszczycić się sukcesami. Natomiast na p. K., oraz na tych, którzy go do wystąpienia namówili ciąży odpowiedzialność za śmierć ś. p. Gielniewskiego ¹⁾.

Fakt próby wywołania buntu nie może być zatarty wystaniem do mnie świszka, lub listu ²⁾ o gotowości stawienia się do mej dyspozycji, jeżeli wogóle, taki list trafił do moich rąk (czego nie pamiętam). Mimo, że w Polsce władzy żadnej nie piastowałem, udzielenie przeze mnie satysfakcji znaczyłoby poprostu ośmieszyć się. Wszak nie byli to ludzie mnie równi. Nieudolna była próba ratowania swej reputacji pojedyńkiem, wiedząc, że dojść do skutku nie może. Miano na celu odwrócenie „demokratycznym posunięciem” uwagi społeczeństwa od karygodnego czynu.

*

O zmarłych mówić źle nie wypada. Jestem tem niemniej obowiązany uczynić kilka uwag. Jeżeli pp. Lis i Barta zostali wydelegowani do Rosji, by działać w imieniu Piłsudskiego, to oczywiście wśród innych legjonistów musieli się wyróżniać rozsądkiem, zrównoważeniem, siłą woli i logiki. Niestety, nawet przy najdalej posuniętej pobłażliwości tych cech zauważyć niepo-

¹⁾ Jedyńy ze spiskowców, który zrozumiał ohydę buntowania wojsk i zastrzelił się zaraz po zamachu. Najbliżsi przyjaciele jego stwierdzają, że w ostatniej chwili żałował swego kroku. Spotkanemu przed swem samobójstwem rtm. Rostańskiemu oświadczył: „Chyba się zastrzele, bo nie mogę przeżyć tego, że ja, prawnik i oficer, dałem się wciągnąć do buntu przeciw dyscyplinie i swemu dowódcy”.

²⁾ Wydrukowany w nr 122 „Głosu Prawdy” 1927 r.

dobna. Czy nie było możliwości przeforsowania swoich zleceń poza zaprowadzaniem konspiracji w szeregach i robieniem buntów w wojsku polskim? Nie! — Urządzają zamach. Niechby mnie przy tem zastrzelili, jako rzekomego reakcjonistę i „carskiego generała“. Próbuja mnie zastraszyć, a gdy skutku nie osiągają, uciekają! Przysłanie mi potem (jeżeli to miało miejsce), kartki z oświadczeniem o gotowości dania satysfakcji jest tylko wskazówką, że stracono rozsądek.

Na jakiej podstawie ci panowie przypuszczali, że ja muszę (oraz i wojska), wierzyć im na słowo, iż są wysłańcami Piłsudskiego? Żadnej rekomendacji na to nie posiadali, listu żadnego nie przedstawili. Taki jen. Osiński był w lepszej sytuacji, skoro jakieś „upoważnione“ osoby¹⁾ rekomendowały mu p. Bartę, z czego niezwłocznie skorzystał, robiąc go „zauriad“ dygnitarzem.

Dlaczego, nakoniec, miałem przyznać władzę nad sobą Piłsudskiemu, skoro ten działał po stronie Niemców, a I Korpus formował się dla walki z nimi, zaś Niemcy Piłsudskiego aresztowali? Czy I Korpus miał płacić za bankructwo polityki legjonowej? ²⁾

*

Zjawienie się w rejonie, zajęтым przez I-szy Polski Korpus, najpierw p. Barthy, a później p. Lisa (co spowodowało napad na mnie) daje prawo ustalić następujące przypuszczenie o celach i dążeniach tych ludzi. Albo było im nie na rękę tworzenie wojsk polskich w Rosji, względnie dążyli oni do podporządkowania tych wojsk sobie. Wskazuje na to zgłoszona przez p. Matuszewskiego i przyjęta zresztą przez Zjazd Wojskowych w Piotrogradzie propozycja wybrania Piłsudskiego na honorowego prezesa Zjazdu. Taka godność, to jeszcze nie zwierzchnictwo nad wojskiem, które miało być dopiero formowane, o co głównie chodziło. Wszak Piłsudski miał zamiar przedostać się do Rosji. Do tego nie doszło. Tenże Matuszewski jednocześnie głosował przeciwko tworzeniu wojska.

Zjazd, nie znając Piłsudskiego, był o tyle taktownym, że zrozumiał niemożność kłócenia się o rzeczy błahe w tak doniosłym momencie, jak ogłoszenie wolnej Polski i początek prac nad jej potęgą. Zrobił zatem gest:

¹⁾ Załącznik nr. 54.

²⁾ Awantura 21. 5. 1918 w Bobrujsku miała swój epilog na gruncie Polski Odrodzonej. Gdy rzekome „ratowanie honoru wojska“ nie udało się, a prowokacja pojedynku spaliła na panewce, zwrócono się o sukurs do ministra wojny jen. Leśniewskiego, tego samego generała, który był usunięty przeze mnie z dowództwa dywizji za nieudolność. Z jego to rozkazu przyjechał 16. XI. 1921 Szef Sądu Wojskowego dla spisania protokołu. Oświadczyłem się (załącznik 53). Taką dałem odpowiedź, bo p. minister raczył nie wiedzieć, że na okupacji nie miałem przełożonych, — podlegałem sądowi tylko historii. Pan minister miał obowiązek pociągnąć pod sąd tych, co robili bunty w szeregach polskich; tego nie zrobił. A należy wiedzieć, że akta Sądu Polowego w tej sprawie „zaginęły“. Jak to się stało, opisuje „Placówka“ z dn. 11. III. 1927 w artykule „Strzępy togi Melchiora Wańkowicza“.

„przyjmujemy do wiadomości zasługi Piłsudskiego“, ale dodał „politykę polską może prowadzić tylko Kraj“¹⁾).

Formowanie wojsk szło najenergiczniej w I-szym Korpusie. Przy objęciu dowództwa, zastrzegłem się stanowczo przed tendencjami kierowania mną nie w sprawach polityki, lecz w kwestji, komu mam podlegać, i ustaliłem, że podlegam tylko „Naczpolowi“. Jednak rozporządzenia jego²⁾ opierać się musiały na uchwałach Zjazdu. Wysunięto Piłsudskiego na naczelne miejsce (honorowy prezes Zjazdu). Nie znałem go osobiście, a przyjmować na wiarę jego intencje nie mogłem, zwłaszcza, że współdziałał z socjalistami. Takie postawienie kwestji nie było na rękę zwolennikom Piłsudskiego, zaczęto więc mi przeszkadzać, względnie postanowiono mnie zastąpić kimś innym.

O ile pierwsze było sprawą nietrudną, o tyle drugie było bardziej skomplikowane.

Nie wiem ostatecznie, kto dowodził II-gim i III-cim Korpusem Polskim na Ukrainie; do tytułu dowódców roszczą sobie prawo jen. de Henning Michaelis, Osiński, Haller, Stankiewicz, Glas. Prawo do objęcia dowództwa posiadał jedynie pierwszy z nich, może jeszcze kto inny, ale w żadnym razie nie jen. Osiński. Być może, że jen. Osiński młody generał-podporucznik, dowodził czasowo jednym z tych korpusów „w projekcie“; chęć objęcia tego wysokiego stanowiska była rzeczą zrozumiałą. Sprzeciwiały się temu władze rosyjskie, trzymające się zasady, że karjera wojskowa, to stroma drabinka, po której trzeba się długo i cierpliwie pięć, skakać niepodobna, nawet w nowo powstającym wojsku polskim. Zresztą, kiedy powstała myśl o formowaniu II-go i III-go korpusu, prawowite władze rosyjskie posiadały tylko moc papierową.

Któż więc mianował jen. Osińskiego dowódcą korpusu? Nowoukonstytuowana Rada Naczelna Polskiej Siły Zbrojnej zamianowałaby zapewne dowódców, ale środków na to nie miała, no i... mimo wszystko miała rozum.

W międzyczasie zjawia się Haller, niebezpieczny konkurent nie tylko jen. Osińskiego, ale i Piłsudskiego. Ten mógł unicestwić wszelkie marzenia, tem bardziej, że dążył do połączenia się ze mną. Zatem należało nas poróżnić³⁾. Zjawia się z za frontu niemieckiego p. Bartha, rzekomy szef sztabu jen. Osińskiego, i zasięga mego zdania o czynach Hallera, które też niezwłocznie zostaje Hallerowi zakomunikowane.

Początek zrobiony. Pewna nieufność zaszczipiona. Pozostawało usunąć mnie z dowództwa. Biorą się do tego specjaliści od zamachów p. Barta, p. Lis

¹⁾ Załącznik nr. 11.

²⁾ T. j. Naczpolu.

³⁾ Piłsudski z Hallerem już dawno mieli się ze sobą „na pieńku“. Patrz Hołówko „Przez dwa fronty“.

oraz p. Matuszewski. Pierwsi dwaj, autentyczni emisariusze Piłsudskiego¹⁾, działający z jego ramienia, rozpoczęli, przy pomocy dobrze zorientowanego Matuszewskiego, destrukcyjną robotę w szeregach. Zamachy nie są rzeczą trudną i oparte o niewielką, ale pewną siłę realną, zazwyczaj udają się.

Na „pole do popisu“ obrano Legję Rycerską i na nią spiskowcy skierowali główne wysiłki. Trzeba było tylko objąć nad nią komendę pod jakimś, choćby najbłahszym, pretekstem. Wymyślono: „szkolenie do ataku umocnionych pozycji“ w przypuszczeniu, że dam się złapać na projekt uderzenia z paroma tysiącami polskich żołnierzy na kilka korpusów niemieckich odgradzających nas od Warszawy. W tym celu Lis prosi o oddanie mu do dyspozycji kompanii Legji, niby dla „lepszego wyszkolenia“... To się nie udaje, jednak konspiracja, zawsze miła polskiemu sercu, owocuje. Obalamucono kilka głów i przy pomocy plutoniku wszczęto rewoltę!

Cały plan ugruntowany został na przypuszczeniu, że ja uwierzę ślepo w talenty i doświadczenie legionowego młokosa, szczególnie z liczby tych co „najprzód zrobią, a później pomyślą“.

Jeżeli formowanie wojsk było rzeczywiście sprawą szkodliwą dla Polski, to należało przysłać odpowiednich ludzi w celu nawiązania ze mną kontaktu. Możebym usłuchał, bo logice podporządkowuję się chętnie. Prawda, do zainscenizowania rajy socjalistycznego nie byłem skory. P. Królikowski²⁾ miał rację; chodziło tu o zaprowadzenie „swoich“ porządków w Polsce. Kto rozporządzał I-szym Korpusem, ten mógłby sobie na to śmiało pozwolić. Ponieważ tego osiągnąć nie było można, trzeba było... Korpus unieszkodliwić.

By zamach się udał, należało też zrozumieć psychikę tych, którzy znaleźli się poza frontem rosyjskim. Tylko niewielu słyszało, że Piłsudski formuje po stronie austriackiej wojska polskie. Austrię i wszystko co było z nią związane lekceważono.

Natomiast dążono do zrobienia czegoś pożytecznego dla Polski. Sądzone słusznie, że jeżeli wojsko (polskie) tworzy się po stronie Austrii, to dlaczego nie ma się go tworzyć po stronie Rosji? Wszak oba państwa były zaborcami. Dobrze na okupacji rozumiano, że wielkie dzieła dokonywują się tylko przez podporządkowanie się ogółu woli jednego człowieka, ale takiego nie było na terenach państw centralnych. Zmartwychpowstającą Polskę wyobrażano sobie jako ideał zgody i bezinteresowności. Jeżeli więc zamiary Piłsudskiego były takie same, to I-szy Korpus w niczemby sprawie nie przeszkadzał. Poszlibyśmy ręką w rękę. Osobiście nie marzyłem ani o „koronie“ ani nawet o zajęciu przodujących stanowisk. Nie brałem się nigdy do rzeczy znanych

¹⁾ Faktycznie wysłani przez pp. Rydza Smigłego i Moraczewskiego.

²⁾ Patrz „Szkic do historii I-go pol. Korpusu“, tom I-szy, str. 42.

mi tylko powierzchownie. Ograniczałem się do działalności w dziedzinie wojskowej, którą znam.

*

Z niesmakiem piszę o awanturze, która znalazła swój epilog w wypadkach 21-go maja 1918 r. a nazwanej szumnie aresztowaniem mnie. Rzeczywiście: z jednej strony ja, dowódca Korpusu ze skryształizowanymi pojęciami o państwie, jego działalności i agendach, a z drugiej strony zgraja zakonspirowanych smarkaczy, którzy z lekkim sercem robili eksperymenty.



Cmentarz poległych w walkach z bolszewikami na placu tw. bobrujskiej.
W tem miejscu usypany został kopiec bobrujski.

Byłem raz zatrzymany w Mińsku z powodu zajścia koło jadłodajni „Ignatyczne”. Stroną zaczepną był wtedy żydek socjalista, Berson. W Bobrujsku aresztować mnie chcieli Polacy! Jakkolwiek możnaby oceniać moją działalność, nie da się zaprzeczyć, że kierowała mną chęć pracy dla Polski; nie dałem się wciągnąć w żadną grę partyjną. Ostatecznym celem moim było skupienie jak największej ilości Polaków w celu oczyszczenia ich umysłów, z moskiewsko-bolszewickich naleciałości. Co to komu i w czym przeszkadzało? Chyba pp. od międzynarodówki.

W I Polskim Korpusie, a lepiej powiedzieć „przy wojsku“, kręciło się dużo osób o niewyraźnych dążeniach. Do szeregów nie szli. Pchali się na różne posady poza frontem. Wysuwali bardzo często konieczność tworzenia zupełnie niepotrzebnych instytucyj i agend. To chcieli objąć przy mnie rolę politycznych mentorów, to powoływali się na Piłsudskiego i żądali uznania jego autorytetu. Wszyscy oni zarozumiali, nieszczerzy, lub bez wykształcenia. Do liczby tych zaliczam p. Bagińskiego Henryka ¹⁾ pragnące-

¹⁾ Załącznik nr. 220.

go objąć wydawnictwo regulaminów (na czym się nie zna), Trygara, także „specjalistę“ od ataków na ufortyfikowane pozycje, Biernackiego ni to chemika, ni to doktora; usilnie zabiegającego o objęcie wywiadu, Matuszewskiego Ignacego, który najpierw należał do secesji Zjazdu w Piotrogradzie, a później rzekomo wyrzekł się tego i został przyjęty do sztabu Korpusu i brał udział w konspiracyjnym pisemku „Sumienie“ (którego nazwa niebardzo licowała z jego treścią); małżonków Hubickich, Lisa, Barthę i wielu wielu innych.

Ani jednej osoby poważnej, ani śladu dokumentu, upoważniającego do wystąpienia w imieniu Piłsudskiego, ani kszty odwagi, by powiedzieć mi, o co im chodzi.



Wojska Wielkopolskie po zajęciu tw. Bobrujskiej w 1919—1920 r.
oddają hołd poległym żołnierzom I K. P.

Źle wyszła na tem Polska. Niemcy jeszcze raz przekonali się, że nietylko niema wśród nas zgody, ale nawet zdrowego rozsądku, czego dowiódł zamiar napadu na wojsko niemieckie ¹⁾. Szeregi Korpusu, na wezwanie „Filipów z konopi“, nie ruszyły. Żołnierz w Korpusie wszak służył Polsce, a nie osobom lub partjom. Prawda, osobiście zrobiono mi przykrość. Zadano sobie obecnie zbyt ciężki trud przekonania rodaków, że ów postępek jest godny podziwu i uznania ²⁾. Taka już jest stała taktyka tych panów.

1) Patrz III cz. Szkicu do historii P. K., str. 31.

2) Wyszedł szereg książek, gloryfikujących ten niemądry bunt.

XXII

PO POWROCIE DO KRAJU

W Staszowie, pod okupacją austriacką, ostrzeżono mnie, że jacyś ludzie z P. O. W. wypytują ludność co robię, z kim przebywam i jaki jest mój stosunek do władz austriackich. Pewnego razu zjawiała się u mnie delegacja włościan czy robotników, z prośbą o pomoc finansową dla P. O. W., jako konsekwencja załączonej proklamacji¹⁾. Zażądałem, by ich dowódca zameldował się u mnie; tego delegacja odmówiła, nie chcąc również wyjawiać jego nazwiska. Kursowały też ulotki z pseudonimem, nawołujące do aktywnych wystąpień.

Cóż się wtedy działo w Warszawie²⁾? Rząd Polski (kilku papierowych ministrów) udawał, że coś robi. Faktycznie, każdy resort dokładał starań, by stworzyć najdogodniejsze warunki do obsadzenia w przyszłości posad przez swoich. Będę tu mówił tylko o „ministerjum spraw wojskowych“ czy „Komisji wojskowej“. Na czele jej stał Franciszek ks. Radziwiłł, który starał się wiele zrobić dla przyszłego wojska polskiego i chciał okazać dużo serca dla zdemobilizowanego, cierpiącego nędzę, składu Korpusu³⁾. Minister był otoczony licznym i świetnym sztabem, który nie posiadał żadnych fachowych kwalifikacji, prócz imponującego sposobu noszenia szabli i zmanierowanego salutowania; sztab nie był zbyt lojalnym, ani względem swego szefa, ani względem składu Korpusu. Był w nim prawnik, jakiś porucznik, czy może major, pod nazwiskiem Wyrostek. Ten opracował ustawę o powszechnym obowiązku służby, która była kompilacją, czy też mieszaniną paragrafów z odpowiednich ustaw państw zaborczych. Przysłano mi ją dla zaopiniowania, ale co można było o takiej ustawie powiedzieć?

Papierowa praca w „ministerjum“ wrzała; żadnego z oficerów Korpusu do niej nie zaproszono. Był tam poufnie opracowany projekt, co należy z nami zrobić. — Projekt ten wart jest podania w całości⁴⁾, bo pomimo swej obłudy w stosunku do składu I-go Polskiego Korpusu, stwierdza moje przypuszczenie, jak panowie z Komisji Wojskowej (ministerjum wojny) bali się stracić swoje stanowiska. Beseler ten projekt oczywiście aprobował; przed wprowa-

¹⁾ Załącznik nr. 55.

²⁾ Podane niżej jest oparte na osobistych spostrzeżeniach oraz informacjach zaufanych ludzi.

³⁾ Załączniki nr. 56 i 58.

⁴⁾ Załącznik nr. 57.

dzeniem w życie miał być tylko zatwierdzony przez Berlin, który zapewne by się z tem pokwapił. Gdyby projekt był przyszedł do skutku, oficerowie I-go Polskiego Korpusu zostaliby zamknięci i izolowani, i nie mieliby żadnego wpływu na społeczeństwo, o który nam, *w przewidywaniu przyszłych wypadków, najwięcej chodziło*¹⁾.

Mógł taki projekt ułożyć albo głupiec, albo służalec Niemiec.

W tym czasie grasowali na terenie okupacji niemieckiej emisariusze Denikina, werbując oficerów Polaków do armji przeciw - bolszewickiej. Nawet jen. Iwaskiewicz otrzymał propozycję wyjazdu. Otóż, przez zamknięcie wybitniejszych oficerów w Zambrowie, a wysłanie reszty do Denikina, sytuacja dla Niemców wśród wrogiej ludności polskiej stawała się mniej groźną, gdy tymczasem przetransportowanie składu Korpusu na terytoryum niemieckie było wielką moją wygraną. — Trudno nawet uwierzyć, że myśl o wyżej wzmiankowanym projekcie wyszła z polskiego „ministerjum“ wojny, a opracowana była łącznie z Niemcami. Założenie miało niby dobrą intencję, przyjscia z pomocą głodującym oficerom I-go Polskiego Korpusu. Ci biedacy zgłosili się do „Komisji Wojskowej“, nie rozumiejąc, że przeszkadzali powstawaniu przyszłych polskich „wojskowych znakomitości“. Choć po wysokie stanowiska nie sięgali, mieli przewagę wykształcenia i praktyki.

Z biegiem czasu, dzięki Fr. ks. Radziwiłłowi, stosunki między oficerami Korpusu i ministerjum nieco się polepszyły ze względu na społeczeństwo, które się nami interesowało. Jednak w ministerjum trwała nadal obawa, by nie narazić się Niemcom, którzy mieli o nas określone zdanie. Bali się, jak gdyby przeczuwali zbliżające się niebezpieczeństwo. Niemcy szczególnie sprzeciwiali się memu przyjazdowi do Warszawy.

Komisja Wojskowa nic też nie zrobiła, żeby majątek, zdany Niemcom przez Korpus, zabezpieczyć dla potrzeb przyszłej armji polskiej, choć w tym kierunku zabiegi ze strony starszyny Korpusu były zrobione.

Do pogłębienia niechęci do Korpusu przyczynili się dwaj oficerowie z byłej armji rosyjskiej. Jeden z nich²⁾ głosił, że był przeciwnikiem polskich formacyj (w Rosji), tymczasem w roku 1917 robił starania w Stawce, by jego właśnie mianowano dowódcą polskiego pułku inżynieryjnego. Nie przyjąłem go, bo nie był żadnym wojskowym. W wojnie na froncie udziału nie brał, politykował i blagował, w czem mu był pomocny jego imponujący eksterjer. Takich jednak ja nie potrzebowałem.

Drugi, jen. Iwanowski dążył do objęcia posady w sądownictwie Korpusu. Nie otrzymał jej; potrafił wrócić do Kraju bodaj przez protekcję osławionej Komisji Likwidacyjnej; dostał się do Beselera. Przez niego wywołał głupią korespondencję, treści której już nie pamiętam.

¹⁾ Porównaj załącznik nr. 41.

²⁾ Syn jego w I K. P. odznaczył się jako dobry oficer.

Takich panów, kręcących się koło Beselera i Rady Regencyjnej było dość; szkodzili mi, gdzie i jak mogli, a przez to i innym. Oni to rozpuścili też pogłoskę, że żołnierze Korpusu, to „bolszewicy“; właśnie ci żołnierze, którzy zrobili wrażenie na Niemcach swoją karnością, a bolszewików parokrotnie rzetelnie sprali. Jeżeli łąć, to łąć na całego, a jeżeli wierzyć to tylko złemu, ujemnemu. Tylko tem objaśniam fakt, że Rada Regencyjna nie znalazła sposobu porozumienia się ze mną bezpośrednio; prawda, Niemcy się temu stanowczo opierali¹⁾.

W owym czasie (jesień 1918 r.) w Kraju był rozpowszechniany rozkaz mobilizacyjny Hallera²⁾. Choć rozkaz ten zrobił pewne wrażenie, to jednak racjonalny nie był, bo szedł na rękę okupantom i ich zwolennikom, osłabiając siły w Kraju, w którym rozegrać się miały decydujące wypadki.

*

W Warszawie i na emigracji, istniało kilka partyj politycznych; nie była wyrobiona żadna wspólna przewodnia idea, jaką ma być Polska³⁾. Już nie mówię o tem, że nikt nie myślał, jak stworzyć wojsko. Koło Międzypartyjne myślało o jakiejś narodowej milicji. Starszyzna Korpusu proponowała powołanie do szeregów byłych wojskowych, lub ogłoszenie poboru, jednak przedstawiciele Koła oparli się temu. Później do tego doszło⁴⁾, ale czas był napróżno stracony. Nie było to rezultatem braku patriotyzmu, raczej wrażliwością o całość własnej skóry i dążeniem do zastąpienia pozorów czynu — gadaniem.

Tymczasem w Staszowie otrzymywałem dużo listów z zapytaniami, kiedy zacznę tworzyć wojsko, lub jak trzeba postąpić, żeby trafić do wojska. Czy nie jest to dowodem, że gdyby była ogłoszona mobilizacja, zapotrzebowanie elementu ludzkiego byłoby pokryte.

Zajmowałem się pracą nad wskrzeszeniem przedewszystkiem tych czterech pułków ułanów, których kadry przyjechały do Polski. Podtrzymywałem kontakt z dowódcami, pomagałem, ile mogłem, materjalnie, namawiałem ziemian, aby nie żalowali koni, ani rynsztunku. Wysiłki moje dały owoce. Pierwszy odrodził się pułk Krechowiecki oraz trzeci ułański; następnie drugi, a jako ostatni czwarty ułański.

Z piechotą Korpusu było gorzej; zresztą oficerowie utrzymywali kontakt z P. O. W., które miało być podstawą dla przyszłych pułków linjowych. Dobrze się zorganizowali artylerzyści. Oświadczam bez przesady, że jądrem artylerji polskiej, t. j. jej najcenniejszą częścią składową byli oficerowie z I-go Polskiego Korpusu, z pułk. Rodziewiczem, Kędzierskim, Sistrzence-

¹⁾ Załączniki nr. 59 i 60.

²⁾ Załącznik nr. 61.

³⁾ Stan ówczesny ilustrują załączniki nr. 59 i 62 (wyciągi z meldunków o sytuacji)

⁴⁾ Załączniki nr. 63 i 64.

wiczem, Malewiczem, Porzeckim, Dunin-Wolskim, Więckowskim, Niemirą i wielu innymi na czele.

*

Podczas mojego pobytu w Sandomierskiem miałem zaszczyt być przedstawiony, wraz z rodziną, przedstawicielowi Watykanu, monsignorowi Ratti. Było to 7.9.18 r., we Włostowie. Monsignor Ratti miał przemowę do zgromadzonych w gościnnym domu p. Michała Karskiego. Zrobił na mnie wrażenie człowieka o wyjątkowym rozumie, złączonym z nadzwyczajną dobrocią.

Pierwszy raz w życiu widziałem wtedy przedstawiciela Watykanu; starałem się odczuć tę siłę, która dała Kościołowi Katolickiemu możność utrzymać przez tyle wieków jedną, niezmienną linię postępowania.

Monsignor nie zrobił na mnie wrażenia dobrego mówcy, wyczuwałem jednak jego chęć przekonania słuchaczy, że siła Stolicy Apostolskiej polega



Manifestacja Dowborczyków w Warszawie w dn. 14 października 1918 r., mająca na celu pokazanie stolicy, że posiada zorganizowane już kadry wojska, które oczekuje tylko na nadarzącą się sposobność. Manifestacja ta nadzwyczajnie podniosła na duchu warszawiaków, którzy żywiołowo witali Dowborczyków. Niemcy początkowo na rogu Al. Jerozolimskich i Nowego Świata próbowali zbrojnie rozpędzić pochód, jednak zdecydowana postawa manifestantów i ręczne granaty, w które byli uzbrojeni, „odwiodły” okupantów od krwawego zamiaru. Zadowolili się jedynie kontrmanifestacyjnym przemarszem przez ulice bataljonu szturmowego. Faktycznie manifestacja ta miała na celu pobudzenie Rady Regencyjnej do ogłoszenia poboru do Wojska Polskiego. (Zał. 63 i 64).

z jednej strony na zrozumieniu istoty ludzkiej, a z drugiej na bezgranicznej miłości i pobłażliwości. Z jego mowy wynikało też, że Rzym papieski, choć wie o przywiązaniu naszym do Kościoła, nie przecenia znaczenia Polski, jako państwa. Bo i czym była wtedy Polska — niewielkim skrawkiem ziemi, zajętym i gnębionym przez protestanckie prusactwo, a po części przez „apostolską“ Austrię; granic nie posiadała, była zagrożona od wschodu przez bolszewików.

Przypuszczać należało, że, wysyłając do Polski swego przedstawiciela, Watykan wybrał największego luminarza, jakim się rzeczywiście okazał monsignor Ratti.

W pierwszych dniach listopada 1918 r. otrzymałem od jen. Rozwadowskiego list¹⁾, zapraszający mnie w celu porozumienia się co do dalszego postępowania z powodu dojrzewających wypadków — przegranej Niemców na froncie francuskim, oraz ewentualnego rozbrojenia ich w Kraju.

Jenerał Rozwadowski był przy Radzie Regencyjnej; jakie funkcje pełnił, nie wiem; przypuszczam, że był doradcą (politycznym lub wojskowym). Osobiście go nie znałem i nawet nigdy nie widziałem. Słyszałem tylko (wiadomości z wywiadu rosyjskiego), że jest zdolnym, fachowo wykształconym jenerałem; przypisywali mu wynalazek pocisku, nazwanego „granato-szrapnel“, który to pocisk był nie bardzo morderczy, o czym się przekonałem z własnego doświadczenia.

Na zaproszenie zareagowałem, naznaczając spotkanie w Piotrkowie Trybunalskim, dokąd właśnie się wybierałem w sprawach wystąpienia przeciwko okupantom, oraz odtworzenia pułków ułańskich. Dzień widzenia uzgodniliśmy z jen. Rozwadowskim.

Owego czasu kursowały niejasne pogłoski o projektowaniu w Lublinie powstaniu lub wystąpieniu przeciw Radzie Regencyjnej. W krótkim czasie nadeszły konkretniejsze wiadomości, że utworzył się jakiś „rząd rewolucyjny“, że działa tam p. Daszyński oraz p. Rydz-Śmigły, i że Rada Regencyjna wysłała jen. Rozwadowskiego z oddziałem Wehrmachtu dla rozpędzenia tego „rządu“, który posunął się już tak daleko, że wydał jakąś „mądrą“, niemniej „piękną“, odezwę do ludu pracującego i zorganizował swoje siły zbrojne.

Po przyjeździe do Piotrkowa 6.11.18 doręczono mi najprzód telegram Sztabu Generalnego²⁾, o dniu przyjazdu jen. Rozwadowskiego, a następnie o sprostowaniu wiadomości co do ustąpienia Rady Regencyjnej i oddaniu dowództwa nad wojskami na terenie austriackiej okupacji, mnie³⁾. W ślad za tem przyjechał do Piotrkowa oficer z Korpusu por. Michalski i przy-

¹⁾ Załącznik nr. 65.

²⁾ Załącznik nr. 66.

³⁾ Załącznik nr. 67.

wiół mi 7 listopada dekret Rady Regencyjnej z poleceniem sformowania „swego“ (t. j. mego) byłego oddziału w okolicach Piotrkowa¹⁾.

Było jasne, że jakieś skrajnie lewicowe elementy, chcą pochwycić władzę w Polsce i dążą do obalenia Rady Regencyjnej. Gdyby to się stało, Polska popadłaby w taki zamęt, że w oczach Europy byłaby dalszym ciągiem Bolszewji. Należało za wszelką cenę do tego nie dopuścić, bo cóż była za przyczyna wprowadzenia w niepowstałej jeszcze Polsce rządów „rewolucyjnych“, kiedy, Bogu dziękować, Niemcy zaprowadzili jaki taki porządek?

Jen. Rozwadowskiego nie doczekałem się w Piotrkowie, za to nadeszła wkrótce wiadomość o niepowodzeniu jego ekspedycji, co się stało na skutek przejścia oddziału Wehrmachtu, wysłanego dla zlikwidowania rządów pana Daszyńskiego, właśnie na jego stronę. Jeszcze jeden dowód wartości wielu wojsk ochotniczych, które, za obietnicę dodania jednej złotówki do gaży, gotowe są przejść i zdradzić tę władzę, której przysięgały.

Informowano mnie dokładnie o tem, że w Warszawie około mojej osoby, w sferach rządzących (polskich i niemieckich) prowadzone są intrygi; jedni razem z Niemcami stanowczo opierają się powołaniu mnie na decydujące stanowisko w wojsku polskim; drudzy, nieliczni, z Radą Regencyjną, są właśnie za oddaniem mi władzy²⁾. Kwestja ta nie została ostatecznie decydująco rozstrzygnięta. Zatrzymano się, jak zawsze w Polsce, na „kompromisie“ i naznaczono mnie dowodzącym wojskami na austriackiej okupacji. Ale i tu decyzja nie otrzymała określonej formy. Sztab Generalny, czy ministerjum wojny, mówił o dowództwie „na byłej okupacji austriackiej“, co było jasne i określone, zaś Rada Regencyjna mówiła o sformowaniu mego byłego oddziału, tylko w okolicy Piotrkowa i Noworadomska; to było już niedopuszczalną ignorancją. Wszak dokładnie wiadano, że składowe części Korpusu znajdowały się nietylko w okolicach tych miast, lecz przeważnie w niemieckiej okupacji, głównie zaś w Warszawie.

Widząc, że niema ani decyzji, ani planu, że zaczyna się od nieładu, że chcą mnie ujrzyć w roli popychadła, odpisałem Regencji, że „nie czuję się w możności dziś przystąpić do formowania mego oddziału“, i proszę o każdorazowe zawezwanie mnie w razie potrzeby w celu otrzymania dokładnych wskazówek³⁾. Wynikiem tej korespondencji było podanie się do dymisji najzdolniejszego oficera armji austriackiej kpt. Zagórskiego. Później dowiedziałem się, że po naradzie w Radzie Regencyjnej kazano Zagórskiemu posłać telegram o naznaczeniu mnie na całą austriacką okupację (w Królestwie), co też i spełnił. A gdy wyszedł, zmieniono decyzję i polecono mi stworzyć „mój były oddział“⁴⁾. Z całej tej awantury wynikało, że nie warto

¹⁾ Załącznik nr. 68.

²⁾ Załącznik nr. 59.

³⁾ Załącznik nr. 69.

⁴⁾ Uwypukla się w tym fakcie charakter jen. Rozwadowskiego, który miał na wszystko moc planów, ale żadnego sprecyzowanego.

było tworzyć przy Radzie Regencyjnej ministerjum wojny, jeżeli na czele nie było można postawić jasno myślącej głowy, lub chociażby takiej, która odróżnia oddział od korpusu, korpus od jego kadry, a kadry od materiału uzupełniającego. Ministerjum egzystowało, ale prócz kapitana Zagórskiego, nie było nikogo wśród funkcjonariuszów tego ministerjum, któryby się na rzeczy rozumiał; byli tam tylko przedstawiciele „głębokiego cywila“, umiejący nosić szablę, spodnie z lampasami i brzęczące ostrogi. Słowem, ministerjum wojny była to zabawka, zadawalniająca płytkie ambicje i nieprzemyślane aspiracje.

Że panował wtedy chaos w Warszawie, tego dowodem jest list jen. Iwaszkiewicza¹⁾. A przecież w Warszawie było pod ręką dosyć dzielnych oficerów z płk. Wroczyńskim na czele; potrafili zorganizować wszystko, bo mieli i doświadczenie i rozum. Brakowało im niestety trzech rzeczy, bez których u nas nic się zacząć nie da; nie błagowali, nie pięli się na wysokie stanowiska, nie intrygowali; byli tylko rzetelnymi i sumiennymi pracownikami. Na takich w Polsce popytu niema.

Nie doczekawszy się jen. Rozwadowskiego, wróciłem z Piotrkowa do Staszowa.

*

W Staszowie doczekałem się chwili, którą uważam za najpiękniejszą w moim życiu. To co mi matka wpajała, że Polska odrodzić się musi, stało się faktem. Okupanci uciekli, względnie byli wyrzuceni. Nie mówię o Austrii, tem państwie szachrajstwa, wyzysku i obłudy; nie warto o niej nawet wspominać. Ale niemiaszki dostały po nosie za swą pychę, złośliwość i niezrozumienie natury ludzkiej. Przecież stale twierdzili, że są pierwszym narodem na kuli ziemskiej, oraz, że wszystko, co jest na świecie najlepszego i najwznioślejszego, bierze początek od nich. Rzeczywiście, w wielu rzeczach mieli przewagę. Armja ich bezwzględnie była najlepszą na świecie; zostali zwyciężeni nie dlatego, że okazali się słabsi w strategji, ale z braku ludzkiego materiału. W stosunkach z nimi najprzykrzejszą dla mnie rzeczą było ich wymaganie, by wszystko zostało poświęcone dla tryumfu niemieckości.

Raptem coś się załamało! Gdzieś podziła się pewność, pycha i buta!

Demobilizacja I-go Korpusu była faktem bardzo przykrym, upakarzającym, niweczącym marzenia o powrocie do kraju z orężem w rękę, ale nie była rezygnacją z celu, dla którego się Korpus tworzył. Nie dałem za wygraną. Zrozumieli to dobrze najlepsi z liczby moich podwładnych²⁾; rozporządzeniu o demobilizacji ulegli, zaprzysięgając zemstę przy pierwszej do tego okazji.

Przed ostatecznem opuszczeniem Bobrujska zebrałem starszyznę, której

¹⁾ Załącznik nr. 70.

²⁾ Porównaj załączniki nr. 71, 72.

wyłożyłem mój pogląd, że choć krzywda nam się stała, ale upadać na duchu nie trzeba, bo koniec dla Niemców już nadchodzi. Trzeba się więc przygotować do ostatecznej rozgrywki. Polecilem po powrocie do kraju w każdym miejscu, gdzie znajdują się ludzie z Korpusu, obrać starszego, którego rozkazy muszą być wykonywane, jak moje; szukać porozumienia z ludnością; badać sytuację, trzymać się kupy, organizować się pod różnymi pozorami¹⁾, być gotowym do wystąpienia na dane hasło lub rozkaz. Najgoręcej prosilem dziekana Korpusu ks. Pajkierta, by wszedł w kontakt z miejscowym duchowieństwem o ewentualną pomoc w razie naszego wystąpienia...



Ci, co organizowali rozbrojenie Niemców i wydali rozkaz manifestacji w dn. 14.X.18 r. oraz zbrojnego wystąpienia w dn. 9 i 10 XI. 18 r.:

Siedzą: jen. inż. Jan Wroczyński, jen. Wacław Iwaskiewicz (zm. dn. 25.IX.1922 r.), płk. Edward Malewicz (zm. 8.IX.1924 r.). Stoją od lewej strony: płk. Łossowski (zm. 10.II.1925 r.), płk. Jan Skoryna, jen. Eugenjusz Rodziewicz (zm. 7.XII.1934 r.), płk. Stefan Strzemiński, płk. Jan Strzemiński (poległ w 1920 r.) i płk. Albin Jasiński.

Moje zlecenia nietylko były wykonane, ale zrobiono znacznie więcej, niż można było przypuszczać. I oto, gdy nadeszła wiadomość o porażce Niemców, warszawska grupa pierwsza wystąpiła do czynu. Rozbroiwszy wojska Beselera, z niemiecką bronią, na niemieckich koniach, ale w mundurach 3-go pułku ułanów, z naszymi proporczykami, żołnierze 1-go Korpusu Polskiego, pierwsi ukazali się na ulicach Warszawy²⁾. Prawie identycznie to samo działo się w Łodzi, pod kierownictwem nieodżałowanej pamięci oficera Korpusu porucznika Bereszko. A pozatem w całej Polsce rozpoczęło się wspólnie z innymi organizacjami rozbrajanie Niemców. W zamian złożonej broni w Bobrujsku odebraliśmy, w wielokroć większej ilości, oręż niemieckiego kraju!

Zdarzało się słyszeć spory o tem, kto pierwszy zaczął rozbrajać. Śmiało

¹⁾ P. Załącznik nr. 56.

²⁾ Jak to się stało, widać ze wspomnień oficera I. P. K. rtm. Bystrama, patrz załącznik nr. 73 (wyciąg z odpisu).

twierdzą, na podstawie opowiadań wiarogodnych i obiektywnych świadków, że zrobili, to „Dowborczycy“. Brali udział i inni, nawet ludność cywilna, ale oni dopiero poszli za naszym przykładem wtedy, kiedy najważniejsze było już zrobione. Niestety współudział ten trwał niedługo. Wkrótce zaczęły się tarcia i nie tylko tarcia, ale wystąpienia przeciwko mej osobie.

Peowiaci nie mają co sięgać po pierwszeństwo; choć byli jako tako zorganizowani, ale byli nieliczni, składali się z elementów jednostronnie nastrojonych ¹⁾, nie wyćwiczonych, nie zdyscyplinowanych ²⁾, nie przywykli walczyć z Niemcami, a co najważniejsze, nie odczuwali tych krzywd, których zaznali żołnierze Korpusu. Ci widzieli niemiecką potęgę i przekonali się, jak wielką jest nienawiść Niemców do nas. Dlatego też począwszy od jenerała a skończywszy na ostatnim żołnierzu, wszyscy stale myśleli, kiedy i w jaki sposób odwdziżyć się tym gnębiicielom polskości.

Być może ludność sympatyzowała do pewnego stopnia z ruchem P. O. W., ale nie widziała wielkiej różnicy między nimi a Legjonistami, spotykanymi u boku wojsk pruskich. Co innego, gdy zobaczyła żołnierzy, ubranych w mundury i czapki o barwach, które знаła z opowiadań o dawnym Wojsku Polskiem.

Pozostawiam spór o pierwszeństwo w rozbrajaniu na boku, główna sprawa — Niemcy zostali rozbrojeni. Wpadł w nasze ręce osławiony Beseler. Niestety wypuszczono tego „bohatera“ na interwencję Rady Regencyjnej. Zgrzeszył tu jen. Wroczyński, który miał go w rękach. Prawda, postąpił on jak żołnierz, spełniając wyraźny rozkaz władzy, ale przecież ta władza sama go od posłuszeństwa na rzecz swoją zwolniła. Na miejscu jen. Wroczyńskiego zatrzymałbym Beselera, w celu zażądania przynajmniej wyczerpującego objaśnienia, dlaczego wymógł na Radzie Regencyjnej demobilizację Korpusu ³⁾.

Wiść o oswobodzeniu Warszawy doszła mnie (nie pamiętam daty) przez por. Michalskiego. Okruchy austriackiego wojska po rozbrojeniu przez chłopów, a nawet porzucając broń z własnej inicjatywy, wiały do domu. Było to nadzwyczajne widowisko; wytworzyła się pustka — jedyną władzą był... Bóg.

Rada Regencyjna wyprosiła uwolnienie Piłsudskiego z Magdeburga. Po pewnym czasie otrzymałem od niego zaproszenie przyjazdu do Warszawy. Dnia 14 listopada byłem przyjęty w jakimś prywatnym mieszkaniu, zdaje się, przy ulicy Mazowieckiej. W przedpokoju spotkało mnie indywiduum w kołnierzu „à la Słowacki“, wielce podejrzliwie na mnie spozierające. W salonie zastałem tylko pułk. Sosnkowskiego. Piłsudski był zajęty i zaledwie po pewnym czasie zjawił się.

¹⁾ Grawitowali ku socjalizmowi.

²⁾ Patrz rozdział XIII (wypadek w Ostrowcu).

³⁾ Zatrzymując Beselera, można byłoby wiele na Niemcach wymóc.

Znałem go tylko z fotografii, było to pierwsze moje z nim spotkanie. Wstałem i zwróciłem się w te słowa: „Panie Komendancie¹⁾, 1-szy Polski Korpus stoi do dyspozycji Pana“.

Nie była to przechwałka, bo faktycznie na terenie Kongresówki znajdowały się kadry 14-tu pułków piechoty, 4-ch pułków ułanów, z których trzy były prawie gotowe do wyjścia w pole, oraz trzy pułki artylerji, co prawda bez armat²⁾. Pozostawało tylko ogłosić dekret o powołaniu, jeżeli nie rocznika, to choć ochotnika, jak się to faktycznie później stało na przykładzie wziętym z Wielkopolski, a w przeciągu miesiąca stanęłaby do dyspozycji potężna siła.

Na moje oświadczenie Piłsudski odrzekł, że jest zajęty urządzaniem władz cywilnych, a gdy to skończy, zajmie się siłą zbrojną.

Taka odpowiedź zdziwiła mnie, ale są różne sposoby działania. Jeden, nie posiadając nic w powstającym państwie, zaczyna od tworzenia władz cywilnych, drugi tworzy siłę, na której te władze mogłyby się oprzeć, inny znów jednocześnie tworzy te oba organy władzy. Kto się dobrowolnie poddał pod dowództwo, tak jak ja, nie potrzebował wskazywać przełożonemu słuszności tego lub innego postępowania: musiał być gotów rozkazy wykonać.

Byłem pod tym względem w porządku.

Dalsza rozmowa szła jak po grudzie; wyczułem, że jestem intruzem, z którym nie wiadomo co zrobić. Dyspozycj żadnych nie otrzymałem, o 1-szym Korpusie słowa się nie doczekałem. Nie dowiedziałem się nawet, po co mnie wezwano. Pocóż mnie więc wzywano?

Żegnając się opowiedziałem, co ze mną zaszło w Ostrowcu³⁾ i poprosiłem w celu uniknięcia takich głupich incydentów o *passe-partout*. Dostałem je w takiej redakcji: „Naczelne Dowództwo Wojsk Polskich. Nr. 5. Legitymacja. Generał Dowbor Muśnicki ma prawo wolnego przejazdu w obrębie Państwa Polskiego. Warszawa, dn. 14 listopada 1918 r. J. Piłsudski“.

Z boku był jeszcze jakiś tajemniczy znaczek. Legitymacja była napisana na maszynie. Mając ją w rękę, mogłem snuć rozmaite wnioski, ale tego poniechałem. Przypuszczam, że okazałem się nieodpowiednim w „Lubelskiej Republice Ludowej“ oraz, że satelici komendanta Piłsudskiego, którzy się kręcili w Bobrujsku, prowadząc tam w jego imieniu konspiracyjną robotę,

²⁾ Porównaj załącznik nr. 73.

³⁾ Patrz rozdział XIII.

a którzy zdołali umknąć przed karą, dobrze mnie oczernili, jako rzekomego wroga Komendanta. Mniemanie takie było fałszywe, bo, jak powtarzam, Piłsudskiego znałem tylko z wywiadu rosyjskiego; on mógł mnie znać również z wywiadu P. P. S. Nie miałem racji nie uznawać go, jako powołanego do objęcia najwyższej władzy w Polsce przez Radę Regencyjną, której autorytet dla dobra Polski uznałem. Gdybym Piłsudskiego chciał ignorować, to na jego zaproszenie nie pojechałbym do Warszawy, mając ku temu prawo.

Postępowanie Piłsudskiego względem mnie nasuwało wniosek, że jego dążenia i cele są w całkowitej rozbieżności z mojami. Ale los wysunął mnie do pierwszych szeregów, za mną stali ludzie, którzy mi wierzyli. Z tem należało się liczyć.

Może była i inna przyczyna, zmuszająca Komendanta do powściągliwego względem mnie postępowania. Piłsudski całe życie pracował w konspiracji, ja zaś ją stale zwalczałem. Komendant miał swoje metody, zapatrywania oraz przyzwyczajenia i współdziałał z ludźmi, których postępowanie, otwarcie mówiąc, było obce mojej naturze.

Może wreszcie przyczyną było i to np., że ja wtedy byłem człowiekiem o nietajemniczej przeszłości, pochodziłem z „Kongresówki“, gdzie nazwisko nasze dobrze było znane, zrobiłem karierę wojskową, zawdzięczając ją nie tylko zadokumentowanemu męstwu, ale i zgłębionej wiedzy. Znano mnie jako dobrego generała w Rosji i w Niemczech. Awantur nie robiłem. Współzawodniczyć z Piłsudskim żadnego zgoła zamiaru nie miałem, bo nie było do tego wspólnej płaszczyzny; współpracować chciałem. Trzymałem się stale zasady, od której nie odstępuję — nie narzucam się; nie było racji zrzekania się jej na gruncie Polski. Piłsudski zaś, decydując się na objęcie najwyższego stanowiska, powinien był posiadać dar przewidywania i rozumieć, do czego kto się nadaje, a głównie jak z kim postępować należy.

Dobrał sobie innych pomocników; czy odpowiednich — oceni historia, niestety, już nie za mojego życia.

Po tej pierwszej audjencji przyszedłem do przekonania, że współpracować nam obu będzie bardzo trudno. Niebawem gazety o zabarwieniu socjalistycznym, ostro zaczęły występować przeciwko mnie, urabiając oczywiście opinię w szerszych masach ludności. Wymyślano mi, nazywając „carskim generałem“, — tak robili i bolszewicy. Była to bardzo naiwna robota, bo wartość wojskowego, ujemna czy dodatnia, nie zależy od tego komu on służy, ale od tego co potrafi. Oczywiście do porozumienia między socjalistami, czy eks-socjalistami a generałem, choćby nawet i nie „carskim“, dojść przedko nie może, jeżeli wogóle mogłoby dojść.

¹⁾ Patrz rozdział XIII.

XXIII

CHAOS

Po przeprowadzeniu Niemców i Austrjaków z ziem polskich i po rezygnacji z władzy Rady Regencyjnej, podwaliny pod ustrój Państwa miał stworzyć Sejm Ustawodawczy. Wielkie w nim pokładałem nadzieje. Przypuszczałem, że posłami zostaną wybrani ludzie wykształceni, światli, orjentujący się w międzynarodowych zagadnieniach, rozumiejący czem ma i może być Polska. Przecież 400 takich musiałoby się znaleźć z pośród dwudziestu kilku milionów ludności polskiej! Byłem pewny, że wśród tej elity narodu znajdzie się jeden o wyraźnych dążeniach i silnej woli, który potrafi ująć zespół Sejmu i skierować jego pracę na właściwe tory.

Niestety, srogo się zawiodłem! Agitacja przedwyborcza niczem bodaj nie różniła się od tego, co widziałem w Rosji: jakieś indywidua niemyte, półuczesane, siały na wiecach demagogję, podniecały nienawiść i zazdrość w ciemnych ogłupiałych tłumach... Słowem był to dalszy ciąg polityki i postępowania władz rosyjskich.

Wynik tej agitacji nie trudno było przewidzieć; na posłów obrano przeważnie demagogów lub ludzi, którzy z wiecowania stworzyli sobie fach; trafili się i złodzieje (kradzież sejmowych sztuców).

Studując listę „elity“, przekonałem się, że przygniatającą większość tworzą parafjalni „mężowie stanu“; wśród nich było kilku, którzy wykazali swoje oblicze już w czasie rewolucji bolszewickiej lub republiki lubelskiej. Zaledwie czwarta część posiadała wyższe wykształcenie, reszta półinteligencji, a nawet, zdaje się, analfabeci.

Posła, nie noszącego partyjnego chomonta, w całym komplecie Sejmu nie było. Wybrańcy narodu niezwłocznie podzielili się na partję, wśród których niektóre były zgoła dziwaczne, jak np. zespół „ks. Okonia“.

Sejm Ustawodawczy czynności swe zaczął od parcelacji majątków i wywierania wpływów na różne dziedziny działalności państwa. Stąd klótnie, czcza gadanina, zmowy i t. d.

Żydów procentowo było mało, choć coprawda więcej, niż w szeregach walczących o Polskę; zato nie było bodaj posiedzenia, na którem choć jeden z nich nie zabrałby głosu, zupełnie tak, jakby zabrakło polskiego rozumu do rozstrzygnięcia wyłącznie polskich spraw. Wobec takiej sytuacji, przyszłość Polski zarysowała się niejasno i zapowiadała ciężkie przeżycia.

Gdy raz potrafiłem o żydów, nie od rzeczy będzie przyjrzeć się bliżej kwestji żydowskiej na tle naszej państwowości.

Przed wojną światową pro-żydowskie gazety twierdziły, że żydzi do służby w szeregach są niezdolni. Coś w tym rodzaju przebąkiwano i w Polsce. Czy ta rzekoma niezdolność nie jest urojona? Przecież w dawnych czasach żydzi nie tylko wojowali, ale i odnieśli kilka dużych zwycięstw; n. b. były one stale związane z jakimś podejrzanem zjawiskiem (Josue, Jericho). Wielka szkoda, że historia, mówiąc o tych faktach, nie podaje szczegółów.

Może znalazłaby się analogja z późniejszą działalnością żydów, bo fenomeny nie są na usługach ludzi.

Podziwiam wielkie zdolności, utalentowanie, spryt i jasność myśli u żydów. Nie szukam coprawda z nimi styczności z powodu różnic natury psychologicznej. Jestem szlachcicem, a każdy szlachcic, jak wiadomo, posiada swojego „najlepszego“ żyda. Niestety nie mogłem sobie dotychczas takiego dobrać, ponieważ w Poznańskim żydów jest tak mało, że nawet na tutejszych „szlagonów“ nie wystarczy po jednym; w dodatku w powiecie, w którym zamieszkuje, Izraelitów zupełnie niema.

Nie widzę podstaw do przyznania naszym żydom prawa nazywania się¹⁾ narodem. Wszak pojęcie to jest nieodłącznem od faktu stałego, wyłącznego zajęcia określonego obszaru ziemi, na którym mieszkańcy pracą i kulturą wycisnęli pewne piętno. Nie może być wszak narodu wśród narodu. Jest tylko mniej lub więcej obowiązująca gościnność.

Przeszło tysiąc lat zajmujemy określony obszar; wieki byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa i przeszło stulecie walczyliśmy o odzyskanie straconej (może i z naszej winy) niepodległości. Żydzi, zamieszkujący wśród nas, udziału w tem nie brali.

I żydzi utracili samodzielność, ale nie robili wysiłków w celu jej odzyskania. Tylko hałaśliwie skarżyli się na zrobione im krzywdy, sugestjonując świat sprawami, które szczególnego współczucia nie wzbudzają, a w ogólnym biegu wypadków nie są najważniejszymi i dotyczą jedynie ich samych. Taki sposób postępowania jest niesympatyczną cechą, bo wykazuje tchórzostwo, t. j. „męstwo bez ryzyka“; świat ma ich bronić, ale za co i dlaczego?

Żydzi twierdzą, że istnieje stała nienawiść chrześcijan do nich i powołują się na pogromy, za które jednak najwięcej należy ich samych winić. Tworząc zamkniętą kastę, używając zacofanych praktyk, oszukując i wyzyskując ludność, sami wytwarzają atmosferę wroga dla siebie. Zjawisko to

¹⁾ W Polsce.

jest powszechnie znane, jednak po każdym antyżydowskim wystąpieniu, jak również po każdym, nawet legalnym, posunięciu władz, prasa całego świata¹⁾ wini wszystkich, — nigdy żydów. Ci stale figurują, jako ludzie pracowici, spokojni i pokrzywdzeni. Dla wyzyskiwanych narodów jest obojętne, czy wyzysku jego dokonują spokojnie, czy gwałtownie; rezultat zawsze jednakowy — reakcja. O tem powinniż żydzi pamiętać.

Unikając udziału w służbie w szeregach, żydzi nie są przeciwni wojnie. Świetnym interesem jest, kiedy dwóch krwawi, a trzeci zbiera z tego korzyści. Słusznie powiedział profesor strategii Michniewicz, — wyświetlając kwestję czy kiedykolwiek ustaną wojny, że — takie czasy nie nastaną, bo bankierzy²⁾ zawsze wywołać je potrafią. Miał tu na myśli nie tylko wojnę w ogólnem tego słowa znaczeniu, ale i walkę klas, kiedy ofiar pośród inicjatorów niema, a giną tylko biedacy, t j. tłum. Cel tego — skupienie pieniędzy w rękach mniejszości lub nawet jednostek i pauperyzacja mas — zostaje osiągnięty.

Po wojnie światowej warunki dla żydów ułożyły się idealnie. Bez ofiary krwi z ich strony, Palestynę ogłoszono jakby państwem żydowskim. Gdyby rzeczywiście żydzi doznawali wszędzie krzywd, nic im nie stało na przeszkodzie do urządzenia się samodzielnie; jednak z odbudowaniem Palestyny jakoś się nie śpieszono. Wyruszyło tam ledwie parę tysięcy. Ci godni są podziwu i szacunku: wytrwali i dotrwali, — mają prawo nazywać się narodem żydowskim. Reszta, przynajmniej 99/100 ogólnej liczby, pominęła szczęście powrotu do ziemi ojczyściej. Powrócić nie chcieli, wiedząc, iż w obecnym stanie posiadają szersze, łatwiejsze możliwości istnienia. Do tego dodać należy, że do Palestyny roszczą sobie pretensje Arabowie; naród to nie mniej nieubłagany, niż kiedyś Rzymianie. Zatem bezpieczniej i wygodniej jest pozostawać w rozproszczeniu, niż wywalczać niezależność.

W tem też leży różnica między nami a żydami. Polak zmuszony do opuszczenia rodzinnego kraju, dokłada wszelkich starań, by do niego powrócić i w nim na zawsze pozostać; po wojnie światowej wszak wrócili na ziemię ojczyść prawie wszyscy emigranci. Nawet wielu Polaków, którzy doszli do olbrzymich fortun na obczyźnie, mają obecnie w Polsce swój własny kąt i hołdują dewizie: „stąd pochodzę, tu jestem“.

Dlaczego żydzi mają mieć równe prawa z nami? Spolszczyło się ich zaledwie kilkanaście rodzin, reszta trzyma się w odosobnieniu, miłości do nas nie kultywując i nawet nie nauczyła się dobrze języka polskiego. Pretensjonalny

¹⁾ Oczywiście żydowska i prożydowska, a tej jest 75%.

²⁾ Czytaj żydzi.

protest żydów Białegostoku i Zabłudowa w r. 1919 jest dobrą tego ilustracją¹⁾.

Żydzi głoszą, że walczyli też o Polskę. Twierdzenie to przyjmuje się na „słowo“, bo niestety, niema wiarogodnej statystyki, ilu ich faktycznie walczyło. Osobiście znam tylko dwóch. Niejakiego Likiernika, Krechowickiego ułana, obecnie majora, czy pułkownika W. P. Ten zasługuje na uznanie i ma prawo zwać się Polakiem wyznania mojżeszowego. Drugi przybył do szeregów Korpusu po ukończeniu walk z bolszewikami. W wojskach Wielkopolskich, za moich czasów żydów zupełnie nie było. Ze źródeł wiarogodnych wiem, że w okresie, od wypędzenia Niemców i do wprowadzenia obowiązku służby wojskowej, w szeregach innych formacji była ich znikoma ilość. Nawet w legionach Piłsudskiego żydów było mało, a i ci przeważnie „przelewali“ atrament. Jednak wojsko polskie wolność wywalczyło, do korzystania więc z pełni praw rościć mogą pretensje tylko ci, którzy udział w tej walce brali. Podstawą do praw nie może być płacenie podatków, (bo to się robi wszędzie pod przymusem), lub obecność na terenach polskich podczas walk o niepodległość.

Żydzi twierdzą: „mieszkamy na polskiej ziemi i ponosić musimy jednakowe obowiązki z Wami“. Racja! Ale istnienie obowiązku nie jest jeszcze jego spełnieniem. Skąd przekonanie, że żydzi spełniać go będą dobrze?

W celu wyświeatlenia tej kwestji rozpatrzmy to, jak spełniali żydzi swoje obowiązki względem państw zaborczych, oraz we Francji.

W Austrii dla Żydów był raj. Mieli wszędzie dostęp. W XIX wieku egzystowało nawet stanowisko „przydwornego żyda“ przy cesarzu. Jednak w szeregach wojsk austriackich podczas wojny światowej żydów nie zauważyłem. Pod Tomaszowem w r. 1914 wzięłem do niewoli jednego dnia przeszło pięć tysięcy żołnierzy austriackich, ale wśród nich nie było ani jednego żyda. Za to na tyłach tej armji roiło się od nich. Będzie tak samo i u nas! Tyły mogą obsługiwać z dobrym powodzeniem nasze „Maćki“, z liczby tych gorszych, ale czy z takimże powodzeniem żydzi będą walczyć w pierwszych linjach?

W Niemczech żydów był znikomy procent, przeto traktowano ich tak, jak wszystkich innych obywateli Rzeszy. Kroniki nie wyliczają bohaterskich czynów niemieckich starozakonnych, chyba ośławionego majora Preuskiego²⁾, zdobywcy bezbronnego Kalisza. Jeden wypadek z czasów Cesarstwa wskazuje, że na ten gatunek poddanych patrzono z pewną rezerwą. Mianowicie, syn znanego, przyjmowanego na Dworze bankiera³⁾, zapragnął zostać

¹⁾ Zwrócili się do Państw, które podpisały Traktat Wersalski, z pretensją przeciw podporowi do Wojsk Polskich.

²⁾ Egzystuje przypuszczenie, że był żydem lub pochodził z rodu żydowskiego.

³⁾ O ile pamiętam, barona von Goldszmidt-Rotszylda.

oficerem pułku gwardji pruskiej. Tymczasem zespół oficerów petycję odrzucił; było to prawem czy przywilejem zespołu oficerów każdego pułku, którzy dbali o odpowiedni dobór swych kolegów. Wtedy ojciec petenta zwrócił się do cesarza Wilhelma z prośbą, by syna do pułku przyjęli, na co cesarz odrzekł, że nie ma podstaw pozbawiać praw, przysługujących niektórym jego poddanym, na korzyść innych, którzy z tych praw korzystać pragną.

We Francji panuje równouprawnienie, przeto dostęp do armji żydzi mają. Czy było w niej dużo bohaterów — żydków, tego nie podejmuję się stwierdzić: nie czytałem i nie słyszałem o takich. Ale Dreyfus był, a w latach osiemdziesiątych ub. st. dużo pisano o współobywatelach — izraelitach, zajmujących posady w armji francuskiej¹⁾.

W armji rosyjskiej żydzi służyli niechętnie i dokładali wszelkich starań, by się od obowiązku służby w szeregach wykręcić. Pod tym względem byli poprostu genialni. Znam te sprawy dobrze, ponieważ służyłem w tej armji na różnych stanowiskach przeszło 30 lat. Zapewne nie wszyscy wiedzą dlaczego i od kiedy zaczęto brać żydów do szeregów armji rosyjskiej?

Kwestja ta powstała za panowania Mikołaja I-go. Po powstaniu 31 roku i rozwiązaniu armji Królestwa Kongresowego, w najwyższej radzie wojskowej debatowano, czy brać żydów do wojska, czy nie. Olbrzymiemi łapówkami żydzi przekupili członków Rady, prócz niejakiego Mordwinowa, który w sposób dowcipny²⁾ opowiedział się za koniecznością poboru. To rozstrzygnęło sprawę na niekorzyść żydów.

Zaczęto od zabierania przemocą żydowskich dzieci, chrzczenia ich na prawosławie i umieszczania w specjalnych zakładach, zwanych szkołami kantoniistów. Tam te dzieci uczyły się różnych rzeczy, od musztry zaczynając i kończąc na prawie, zresztą wtedy niezbyt skomplikowanem. Po ukończeniu nauk, absolwenci mieli wstępować do szeregów jako podoficerowie gospodarczy. Po kilku latach prób zaniechano tego barbarzyńskiego systemu rusyfikacji, ale co zrobiono, to pozostało. Z czasem tacy podoficerowie kantoniści dosługiwali się rang urzędników wojskowych, a nawet oficerskich!

Był to element, znający do perfekcji wszystkie kruczki prawodawstwa rosyjskiego, oraz wyjaśnień do paragrafów prawa, zdolny przekonać, że białe jest czarnem lub odwrotnie — wedle potrzeby! Zwracano się do nich po radę we wszystkich trudnych wypadkach prawno-gospodarczych. Byli to ludzie bardzo cenieni przez wyższe władze, szczególnie przez dowódców pułków, którzy za czasów Mikołaja I-go świetnie się mieli, okradając żoł-

1) Naprzykład głośna książka: „Major Mordachej“.

2) Członkowie Rady przesadzali się w udowadnianiu, że armja straci wiele, wcielając żydów do szeregów, gdy Mordwinow uporczywie milczał. Cesarz spytał go się, dla czego nie wypowiada swego zdania, na co M. odpowiedział: „nie wiem ile moi koledzy wzięli od żydów za gadanie, ale ja za milczenie dostałem dwie baryłki złota“.

nierzy z należnych im okruszyn. W owych czasach było mało koszar; pułki względnie kompanje, kwaterowały po wsiach. Wzamian za doraźną pomoc żołnierzy przy gospodarstwie, chłopci nie brali nic za utrzymanie (karmienie) żołnierzy, lepiej powiedzieć, władze nie płaciły włościanom, a ci i z tego byli kontenci, że mogli korzystać z pracy żołnierzy. Pieniądze, które rząd asygnował na utrzymanie, w 9/10 tonęły w kieszeniach dowódców pułków, a w 1/10 w kieszeniach dowódców kompanij. Były to niemałe sumy; istniało nawet przysłowie: „dowódca kompanji, to bożyszcze powiatowych pannen“. Przy tym podziale pokrzywdzeni bywali dowódcy bataljonów, ale i ci umieli sobie poradzić. Co miesiąc ściągali kompanje do swych kwater, rzekomo w celu sprawdzenia, czy rządowe manierki nie są pogięte. Każdy żołnierz przynosił w niej od swego chłopca — gospodarza jakiegokolwiek zboże, co dawało razem około 500 garncy ziarna, i na tem rewja kończyła się.

W tem oszukiwaniu władz i ludności niemały udział brali urzędnicy kantoniści, których obowiązkiem było tak kombinować spisy i rachunki, żeby nadużycia nie zostały wykryte.

Z tego wynika, iż ochrzczone żydki, nawet nie pamiętając o swem pochodzeniu, dodatnio nie wpływały na obyczajność. Nie winię w tem żydów, chcę tylko wskazać, że ochrzczenie Kanibala nie zmieni jego gustów.

Z biegiem czasu Rosjanie z konieczności musieli złagodzić prawodawstwo, dopuszczając żydów do stanowisk medyków wojskowych. Życie rozszerzyło prawa dalej; pozwolono żydom wstępować do wyższych zakładów naukowych, co w konsekwencji pociągnęło za sobą ulgowe terminy służby w szeregach. Władze jednak nie zdobyły się na definitywne rozwiązanie kwestji żydowskiej w stosunku do wojskowości, jakby w przeczuciu, że żydzi zgubią Rosję. Więc żydzi wolontarjuszami np. mogli być, ale na swój koszt i w liczbie nie większej, jak po dwóch na kompanję. Wszystko to szło do piechoty, unikając artylerji i jazdy. Tymczasem pułki nie mogły zmieścić w swych szeregach wszystkich. Cóż się dzieje? Następuje presja z góry na dowódców dywizyj¹⁾ by przyjmowano wolontarjuszy—żydów ponad etat. Rzecz jasna, nie obeszło się i tu bez łapówek, których w swoim czasie żydzi nie omieszkali kazać sobie zwrócić.

Od siódmego dziesiątka lat ubiegłego stulecia winno się było przesunąć przez szeregi armji rosyjskiej około 180 tysięcy żydów — wolontarjuszy; w czasie wojny wypadaloby ich przynajmniej po kilku na każdy pułk. Dowodziłem dwiema dywizjami i jednym korpusem; byłem szefem sztabu armji z pięciu korpusów złożonej, często wizytowałem wszystkie pułki, ale żyda oficera nie udało mi się spotkać. Dopiero u schyłku rządów kiereńszczyny spotkałem jednego. Zjawił się w randze chorążego rezerwy — w roli komisarza; bawił niedługo.

¹⁾ Od nich zależało określenie ilości wolontarjuszy.

W Rosji obowiązywała t. zw. granica (czerta) osiedlenia żydów. W osiemdziesiątych latach ub. st. wyszedł „ukaz“, że poza tą granicą mają prawo mieszkac w miastach rosyjskich żydzi — rzemieślnicy. Trudno było wierzyć własnym oczom, w jak szybkim tempie miasta te zaludniły się zegarmistrzami, którzy pootwierali sklepy. W oknie każdego magazynu wisiały 2—3 zepsute zegarki; na tem ograniczyło się rozpowszechnienie rzemiosł. Właściciele tych sklepików musieli coś jeść, a zatem coś robić; twierdząc, że handel zegarkami nie był ich źródłem dochodu.

Wreszcie na parę lat przed wojną japońską zjawiała się niezliczona ilość dentystów, aptekarzy, drogerzystów — słowem jeszcze przed wojną japońską, Rosja była opanowana przez żydów; bolszewizm miał łatwe zadanie.

W armji czynnej mało ich widziałem. Urządzali się na tyłach. Dywizja, z którą wystąpiłem na wojnę miała lekarza niejakiego Ewansa. Nikt nawet nie przypuszczał, że jest to Anglik „z Berdyczowa“. Przy mobilizacji Ewans objął szpital polowy. W pierwszej większej bitwie szpital ten wysunąłem na punkt opatrunkowy w linii, gdzie trafił pod ogień artylerji; naturalnie p. doktor zwiął. Po kilku dniach Ewans już się urządził w pociągu sanitarnym Jej Cesarskiej Mości.

W Irkuckim Okręgu wojskowym był wydany rozkaz, żeby nie używać żołnierzy — żydów na różnych „honorowych stanowiskach“, dowcipnie nazywanych „Unterstabem“. Musieli więc pozostawać w szeregach. 14 pułk syberyjski, którym w czasie wojny dowodziłem, przy wyjeździe z Zabajkalja pod Warszawę, miał w szeregach około 80-ciu żydów z Królestwa i Litwy. Gdy pułk dotarł do Czelabińska, na postoju nie doliczono się 30-tu, po drodze gdzieś się ulotnili. Na następnym postoju w Smoleńsku pozostało w szeregach tylko 20-tu, a po przejściu przez Warszawę tylko 2-ch. Z tych, jeden pod Nadarzynem zwiął na oczach towarzyszy do Niemców; drugi był figurą, wzbudzającą litość, — widać było, że bał się śmiertelnie, ale był za głupi, aby uciec. Zbiegowie z pułku piastują zapewne w Bolszewji wysokie urzędy lub, zmieniwszy nazwisko, robią interesy w Polsce. Słowem Rosja nie miała pociechy ze swych Izraelitów. Było to wynikiem niekonsekwentnej polityki.

Należy się dobrze zastanowić, jak winniśmy postępować. Mamy duży procent żydów. Proponowałem w r. 1919, by z nich tworzone oddzielne pułki. Dla narodu, który dąży do zachowania swej odrębności, takiego rodzaju propozycja byłaby gratką nielada. Jednak artykuł na ten temat¹⁾ przemilczano.

Żydom narodowe formacje nie uśmiechają się, bo musieliby wykazać swą moralną wartość. Żydzi nie słyną z odwagi. Niewątpliwie też pod ogniem pułki te drapnęłyby, (za co grozi kara śmierci). Nie! Bóg z nim, z tym przewile-

¹⁾ Nowaczyńskiego.

jem. Daleko spokojniej i korzystniej, gdy jeden lub dwóch żydków trafi do każdej kompanji; tam znajdują się spokojne posady: kancelisty, prowiantowego, lub w najgorszym razie skrobacza kartofli. Da im to prawo mówić o udziale w wojnie, choć nie pociągnie za sobą konieczności ryzyka.

Z przytoczonych powyżej faktów widać, że pozostawiając naszych współobywateli Izraelitów, jako zaprawę szeregów, nie możemy oczekiwać korzyści ani dla Państwa, ani dla armji. Po ewentualnej wojnie wszyscy wrócą zdrowi i syci laurów do domu, gdy inni hojnie zapłacą daninę krwi. Najracjonalniej byłoby zwolnić ich wszystkich od obowiązkowej służby w wojsku. Byłoby to dla nich korzystne, a dla nas bezpieczne. Niech płacą specjalny podatek przy niezbędnym warunku dokładnego zarejestrowania w Polsce wszystkich żydów. Bez tego zdarzyć się może, że „cudzoziemcy“ gwałtownie będą się dobijali obywatelstwa polskiego.

Innego rozstrzygnięcia sprawy żydowskiej niema. Państwo nie może dawać się okpiwać rzekomą lojalnością i gotowością służenia w wojsku (w szeregach w czasie pokoju, a na tyłach w czasie wojny). Stworzenia oddzielnych jednostek żydowskich zdaje się próbował jen. Sosnkowski, no i cóż? Żydków z powrotem wzięli do szeregów, chyba dlatego, by kłóć nam w oczy współobywatelstwem, o które się nie dobijamy.

Powiem więcej. Nie jest rzeczą logiczną żądać ofiar włącznie do utraty życia od żydów, bo skąd dla sprawy polskiej, mogło zjawić się w nich przywiązanie i poświęcenie? Wczoraj byli poddanymi cesarzy, dzisiaj stali się obywatelami R. P. Stosunki z żydami spokojnie się nie układają i zapewne nigdy się nie ułożą. Nie mamy więc podstaw liczyć na ich lojalność. Jeżeli podczas ewentualnej wojny będą widzieli interes w nieszkodzeniu nam, może będą nam sprzyjać. Ale konjunktury się zmieniają, zdarzyć się może większa korzyść w szkodzeniu, a wtenczas stanie się to, co w Rosji.

*

Po wizycie u Piłsudskiego wróciłem do Staszowa. Wkrótce zaproponowano mi złożenie memorjału do ministerjum spraw zagranicznych o granicach odradzającej się Polski. Wróciłem więc do Warszawy i korzystając z gościnności pp. Szebeko, zacząłem pracę.

Moja robota, jak zresztą prace innych, którym to powierzono, nie była zbyt interesującą. Granice zależały nie od tego, co ten lub inny Polak myśli, życzy, czy proponuje, ale od tego, jak zdecydują główne mocarstwa sprzymierzone. Obrońcy sprawy polskiej napotykali tu na wielkie opory zagraniczne, pod wpływem Niemiec. 150-letnia niewola, brak własnych uczelni, wpływy zaborców na ukształtowanie naszej umysłowości, najczęściej

nas właśnie dotknęły przy ustaleniu granic. Nawet nie posiadaliśmy dobrze opracowanej, wyczerpującej statystyki, ani historii.

Nie potrafiliśmy się też oprzeć pozostawieniu Prus Wschodnich w składzie imperjum niemieckiego. Należało w ostateczności przeforsować stworzenie z nich państewka pod protektorem Ligi Narodów; stan bowiem obecny będzie źródłem ciągłych aspiracji, nieporozumień i wzajemnej nieufności.

W czasie gdy pracowałem nad owym memorjałem, w Warszawie wrzało przeciwko ówczesnym rządom pp. Thugutta i Moraczewskiego. Znałem ich tylko z prasy; nie wzbudzali we mnie podziwu ani swoją przeszłością, ani ówczesną działalnością. Można było chyba znaleźć odpowiedniejszych ludzi do obsadzenia tek ministerjalnych. Ktoś (kto — nie wiem) przygotowywał się, aby ich obalić.

W przeddzień zamachu, kiedy to aresztowano pp. ministrów, zjawiła się u mnie jakaś delegacja z ks. Oraczewskim. Z rozmowy z nimi dowiedziałem się, że istnieje zamiar obalenia rządów p. Piłsudskiego, ale nie sprecyzowano, co dalej robić; chciano się dowiedzieć, czy nie objąłbym kierownictwa zamachu.

Stanowczo się od tego zaszczytu wymówiłem. Wtedy zapytano mnie, czy nie obejmę teki ministra wojny. Odpowiedziałem dosłownie: „jeżeli zamach się uda, a mnie powołają, to stanowisko obejmę“. Wyraziłem przytem zdanie, że większość Polaków nie życzy sobie zamachów i awantur, bo poprostu boją się śmierci lub aresztu. Wszyscy natomiast pragną spokoju i możliwości udelektowania się nabytą wolnością.

Dziwna rzecz! Polska była wtedy dopiero w stanie embrjonalnym, a już potrzeba było robić zamachy. Co prawda, działały się niezrozumiałe rzeczy. Grupy, skrajnie lewicowe, dążyły do opanowania Polski. Nikt im w tem nie przeszkadzał: przypominam słynny manifest lubelski, autorem którego był p. Daszyński, ten sam, który w r. 1929 tak bronił konstytucji... chyba dlatego, że najbardziej odpowiadała warunkom do wzrastania anarchji. Wszyscy w Polsce w owe czasy jakby zamarli w oczekiwaniu, że przyjdzie „garadawoj“ lub „Schutzman“ i zrobi porządek z panami socjalistami.

Jakiż był cel tej wizyty u mnie? Sądę, że chciano wciągnąć Dowborczyków do przewrotu; ale nie wykluczam i prowokacji. Może pokutowało złudzenie, że, skoro Dowborczycy z wielkim zapalem rozbijali Niemców, będą może zaprowadzać nieporządki w odradzającej się Polsce. Tymczasem

podwładnym stale mówiłem, by nie dali się wplątać w żadną polityczną imprezę, a trzymali się początkowej idei, t. j. popierania Rady Regencyjnej.

Delegacja opuściła mnie późno w nocy.

W dzień zamachu około 6-ej zrana obudził mnie jeden z zamachowców — kto — nie pamiętam. Lekceważyłem całą imprezę, rozumiejąc, że z niej nic nie będzie, więc nazwisk nie notowałem. Pan ten oświadczył, że próby przeciągnięcia na stronę zamachu warty, czy jakiegoś nawet oddziału Wehrmachtu udaremnił jen. Szeptycki, więc proszą bym wyszedł go aresztować i przeciągnął wojsko na stronę przewrotu. Odmówiłem. Przede wszystkim Szeptycki był wówczas polskim ministrem wojny (czy szefem sztabu), a ja mam zbyt niewzruszalne przekonanie o dyscyplinie i przeznaczeniu wojska, by je skłaniać do nieposłuszeństwa. Po drugie wiem, że wszelkie wojskowe prenuncjamenty kończą się, wczniej czy później kłapą, po której uczestników „normalnie“ wieszają. Po trzecie oburzyło mnie, że jakieś nieznanne typy urządzają zamachy, pchając zaczątki wojska do bratobójczej walki. Wtedy w Polsce była garstka t. zw. Wehrmachtu, Dowborczycy i P. O. W., oraz milicja; temi ostatnimi rozporządzało krzykliwe P. P. S. Oczywiście mogłem zacząć tę walkę i sądzę, że potrafiłbym zaprowadzić porządek, organizując np. „rząd plocki“, albo „kaliski“ jako przeciwwagę „rządowi lubelskiemu“. Nie dlatego jednak przyprowadziłem do kraju kadry Korpusu, by zaczynać od robienia awantur. Podstawy do normalnego urzędnictwa Polski istniały, bo była Rada Regencyjna, która zaprosiła do steru władzy Piłsudskiego i władzę mu przekazała. Ten miał możliwość dużo dodatniego zrobić.

Wracam do zamachu. Zameldowano mi wkrótce szczegóły, z których dowiedziałem się, jak dziecinnie był on aranżowany. Bo proszę wziąć pod uwagę: u Piłsudskiego zjawia się jakaś grupa i wszczyna z nim pertraktacje; bardziej doświadczony Piłsudski ją... rozbija. Ministrów aresztują, ale zawożą do prywatnych mieszkań, gdzie obficie karmią „kanapkami“ i poją herbatą. Innemi słowy zamiast upraszczać sytuację — komplikują.

Zamach przekonał mnie, że w Polsce ludzi silnych w logice i gębie jest wielu, ale stanowczych w działaniu brak.

Każdy dobrze zorganizowany spisek wymaga zachowania tajemnicy, podczas gdy trzymanie języka za zębami nie jest naszą zaletą. Wszystkie polskie „spiski“ albo były władzom wiadome (obojętnie jakiego pochodzenia), albo władze były na ich tropie, jak i w danym wypadku.

W kilka miesięcy potem Andrzej Niemojewski uprzedził mnie co do ks. Oraczewskiego, który kręcił się wtedy na terenie poznańskim.

ARMJA WIELKOPOLSKA

Po ukończeniu memorjału o granicach Polski, wróciłem do Staszowa, gdzie w dalszym ciągu pracowałem nad projektem szybkiego zmontowania materiału ludzkiego, który wrócił z Bobrujska.

Pewnego pięknego poranka miejscowy doktor¹⁾, zakomunikował mi,... że jestem mianowany głównodowodzącym w Poznaniu. Wiadomość zaczerpnął z gazet. Istotnie na drugi dzień przyjechał oficer z wiadomością, że komendant Piłsudski prosi mnie o przybycie do niego. Pojechałem. W Warszawie doręczono mi 7-go stycznia 1919 r. dwa następujące pisma²⁾:

1) Naczelna Rada Ludowa. Poznań. Św. Marcin 40. Skrzynka pocz. nr. 327. telefon nr. 4056 i 4086. adres telegraficzny „Cereł“ Poznań 6 stycznia 1919 r.

Jaśnie Wielmożny Pan Generał Porucznik Józef Dowbor-Muśnicki w Staszowie.

Wypadki w Księstwie Poznańskim przybrały takie rozmiary, że *nie możemy im podolać*. Potrzebujemy koniecznie wyższego wojskowego któryby objął dowództwo i zajął się organizacją *naszych* sił zbrojnych.

Ośmielamy się prosić Jaśnie Wielmożnego Pana Jenerała o *natychmiastowy* przyjazd do Poznania z oficerami sztabowymi, gdyż strata każdego dnia staje się dla nas *wprost groźną*.

W nadziei, że Jaśnie Wielmożny Pan Jenerał nie odmówi prośbie naszej, łączymy wyrazy czci i poważania.

Naczelna Rada Ludowa
Wojciech Korfanty. Adam Poszwiński.

(pieczęć: Naczelna Rada Ludowa).

2) „Komisarjat Naczelnej Rady Ludowej. Aleje 1. skrzynka pocz. nr. 327. Poznań. 6 stycznia 1919 r.

Jaśnie Wielmożny Panie Generale! P. Komendant *Piłsudski* zwrócił się do Naczelnej Rady Ludowej *tydzień temu z propozycją*, byśmy sobie wybrali na głównodowodzącego *naszych* sił zbrojnych Jaśnie Wielmożnego Pana lub gen. Michaelisa.

Komisariat N. R. L. postanowił *jednogłośnie* zwrócić się do Jaśnie Wielmożnego Pana z usilną prośbą o *natychmiastowe* przybycie do Poznania.

Postanowienie nasze *zakomunikowaliśmy p. Piłsudskiemu telegraficznie i listownie*. Ponieważ przyjazd JWPana dotychczas nie nastąpił, zwracamy się do Niego *wprost* z prośbą, a list nasz do Niego prze-

¹⁾ Nazwiska nie pamiętam.

²⁾ Podkreślenia moje.

słaliśmy w kopji p. Piłsudskiemu, aby z nim być *po względem formalnym* w porządku.

Oprócz tego zgłosił się do nas przez swych wysłańców pułk. Adolf Dąbrowski z propozycją przyjazdu tutaj i utworzenia pułku im. Tadeusza Kościuszki. Prosimy sprawę tę osądzić i tam na miejscu już kwestję rozstrzygnąć.

Łączę wyrazy czci i poważania uniżony sługa Wojciech Korfanty.

Treść obydwóch pism była jasna:

1) Sytuacja w Poznańskim była groźna.

2) Przed 1 stycznia 1919 r. komendant Piłsudski zwrócił się do N. R. L. z propozycją, aby obrała sobie na głównodowodzącego jednego z dwóch generałów — mnie, lub Michaelisa.

3) Komisarjat wybrał mnie i prosił telegraficznie (przed 1 stycznia lub najpóźniej 1-go stycznia) komendanta Piłsudskiego o natychmiastowe moje przybycie.

4) Ponieważ nie przyjeżdżałem (bo nikt mi o wyborze nic nie mówił i nie pisał) więc Komisarjat zwrócił się wprost do mnie.

Natomiast nie można było wnioskować z listów, czy komendant Piłsudski od siebie zaproponował mianowanie na głównodowodzącego mnie, lub jen. Michaelisa, czy też Komisarjat prosił kom. Piłsudskiego o rekomendowanie na to stanowisko któregośkolwiek z generałów. Tę drugą wersję potwierdził mi później jeden z komisarzy.

Z listów widać też, że kom. Piłsudski nie spieszył się z zawiadomieniem mnie o decyzji Komisarjatu, choć wypadki w Poznańskim „stają się *groźnymi*“.

Dnia 7-go stycznia byłem w Belwederze u Piłsudskiego, który powiedział mi słowa mniej więcej następujące: „mianuję Pana komenderującym wojskami w Poznaniu, będzie Pan moją awangardą, w potrzebie podtrzymam. Radzę wziąć jako szefa sztabu mego oficera nadzwyczaj zdolnego podpułk.¹⁾ Juliana Stachewicza“.

Ponieważ oświadczenie Komendanta nie zupełnie pokrywało się z treścią otrzymanego poprzednio pisma N. R. L., więc odrzekłem, że najprzód pojadę do Poznania, rozejrzę się na miejscu i potem dam odpowiedź, czy się podejmę misji. Co do szefa sztabu oświadczyłem, że przyzwyczajony jestem wybierać sobie osobiście najbliższych pomocników. P. Stachewicza nie znam, ale ponieważ Komendant rekomenduje go, przeto przyjrę mu się i nie będę miał nic przeciw zatrzymaniu go przy sobie, jeżeli okaże się odpowiednim²⁾.

¹⁾ Doszedłem do przekonania, że Legjony składały się tylko z rang sztabowych.

²⁾ Nie przyszło mi nawet na myśl, że to ten S., który był zastępcą p. Barthy (p. załącznik nr. 52).

Z tego powodu, i że pod Lwowem sytuacja była bardzo ciężka, zapytałem Piłsudskiego czym może, jak obiecuje, mnie podtrzymać? Widocznie to moje zapytanie nie bardzo się podobało, bo po chwili namysłu otrzymałem odpowiedź „znajdzie się“. Zrozumiałem ją: — „nie znajdzie się nic“. Przypuszczenie moje okazało się trafne, nietylko nic mi nie przysłano, ale ja sam musiałem dwukrotnie Lwów ratować.

Komendant zażądał, żebym nie ogłaszał, że jadę do Poznania z „jego ramienia“, oraz polecił jechać w cywilnym ubraniu. Dlaczego — nie wyjaśnił ¹⁾).

W jakimś piśmku czytałem o czarującym wzroku Komendanta i rad byłbym to sprawdził... Niestety, nie patrzył mi w oczy. Ja przyzwyczaiłem się w wojsku postępować odwrotnie.

Piłsudskiego widziałem po raz drugi w życiu. Rozmowa nasza była wogóle krótka i nosiła te same cechy co przy pierwszym widzeniu się naszym 14 listopada 1918 r. ²⁾).

Przemogłem się, nie chcąc utrudniać sytuacji.

Sytuacja w Polsce wówczas była nie do pozazdroszczenia, o czym później pisał sam Piłsudski; wymagała ogólnego wysiłku i szczerości w stosunkach. Tymczasem wyczuwało się jakąś grę polityczną, w której miałem odegrać rolę: jaką? — nie mogłem się zorjentować. Istniała niezgodność słów komendanta z oświadczeniem N. R. L. Płk. Stachiewicz już wyjechał do Poznańskiego, czyli był wysłany przedemną. Dlaczego to zrobiono, dlaczego zatrzymano list N. R. L.? Czy chciano mnie postawić na „emploi stupajki“?

*

Po wyjściu z Belwederu, kazałem robić na gwałt moje pierwsze cywilne ubranie. Krawiec nie podjął się zrobienia palta tak prędko, więc pożyczyłem je od brata Konstantego. Gdy się w to wszystko ubrałem, poczułem się bardzo nieszczególnie; zimno mi było w nogi, przez spódnie z dołu wiatr wiał pod szyję, przedstawiałem wprost komiczny wygląd.

8 stycznia wsiadłem do pociągu, zabierając ze sobą por. Michalskiego i Widackiego, oraz inżyniera Emila Landsberga. Przyłączyło się jeszcze kilku oficerów nie z Korpusu nawet nie z armji rosyjskiej, ale z austriackiej.

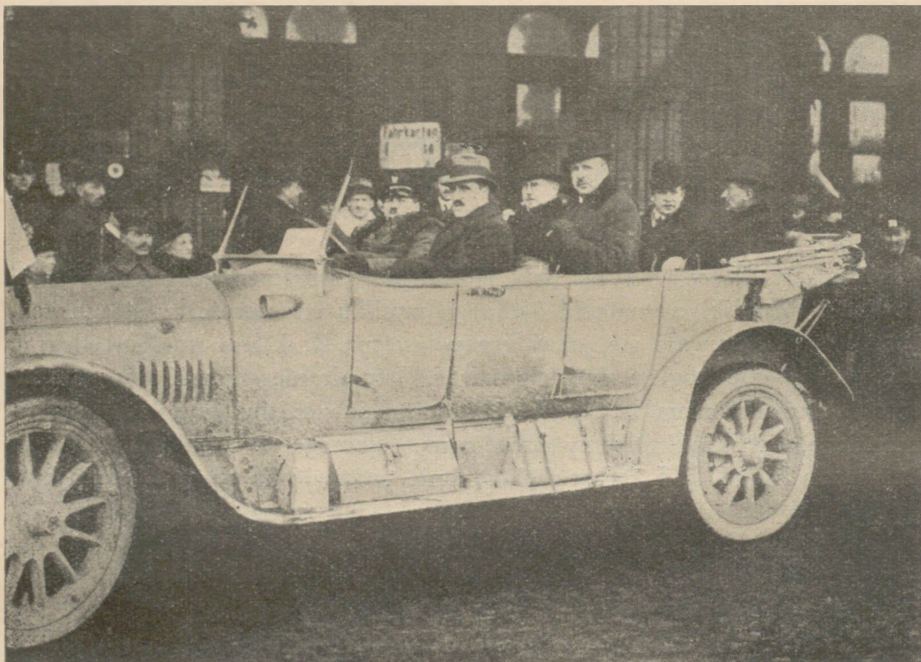
Wieść o tem, że jadę do Poznania, nie wiem jaką drogą przeniknęła do publiczności. Formujący się w Kaliszu 2 pułk ułanów, wystawił wartę honorową.

W Poznaniu na dworcu spotkali mnie komisarze Rady Ludowej: pp. Kor-

¹⁾ Cywilnego ubrania nie miałem, a uszycie nowego opóźniało mój wyjazd.

²⁾ Patrz rozdział XXII.

fanty i Poszwiński i zakwaterowali w Bazarze. Potem pojechaliśmy do mieszkania komisarza ks. Adamskiego, u którego zebrali się członkowie Komisarjatu. Rozmowa zaczęła się od tego, jak opanować sytuację. Wszędzie, bez ogólnego planu, walczyły luźne oddziały ochotników, a stan ogólny nie był do pozazdroszczenia¹⁾. Oświadczyłem, że wolontariuszów ani organizować, ani niemi dowodzić nie będę, a radzę formować wojsko regularne, chociażby z początku ochotnicze. Komisarjat na to się zgodził.



Przyjazd jen. J. D. M. do Poznania. Siedzą: obok szofera por. Michalski, dalej kom. Poszwiński, inż. Landsberg, kom. Korfanty i jen. J. D. M.

Przekonałem też o konieczności dokonania poboru młodszych roczników, a wszystkich starszych radziłem zaciągnąć do Straży Ludowej, czyli pospolitego ruszenia. Było to celowe, bo ujmowało w karby rozruchane przez rewolucję tłumy ludności.

Ksiądz Adamski spytał, jak się zapatruję na przysięgę. Odpowiedziałem, że ludzie niezwiązani przysięgą nie są wojskiem; ja właśnie żądam ułożenia roty i zaprzysiężenia szeregow.

Zażądałem przedstawienia mi uprzednio tekstu, bo dla żołnierza koniecznym jest żeby wiedział zupełnie jasno kogo i kiedy ma słuchać. Żaden z tekstów tych przysiąg, które poznałem w Polsce, nie zadawalniają mnie.

¹⁾ Załącznik nr. 74.

Szczególnie niejasną jest obecna przysięga W. P., bo „stanie na straży Konstytucji i honoru żołnierza“, oraz „konieczność ulegania Prezydentowi Rzeczypospolitej“ nie może być zrozumianą przez większość. Podaję teksty rot dla porównania. Najbardziej jasną jest przysięga Wojsk Wielkopolskich¹⁾). Prócz tego wymogłem, w celu uniknięcia wszelkich nieporozumień, aby każdy oficer, prócz tego, składał specjalne oświadczenie²⁾). Było to niezbędnym, bo jak się później wykryło, niektórzy oficerowie, chcąc być w wojsku Wielkopolskim, wykazali tendencję do słuchania dwóch władz... Bałamucili szeregi panowie politycy.

Na przysięgę zwracałem zawsze wielką uwagę³⁾). Tłumaczyłem żołnierzom, że są spadkobiercami rycerzy, dla których dotrzymanie słowa (przysięgi) było czemś ważniejszym, niż życie. Bagatelizowanie przysięgi spowoduje zawsze smutne następstwa.

*

Podejmując się organizacji wojska oraz dowodzenia niem, brałem na siebie pracę w tym kierunku, z tem jednak, że Komisarjat miał być moją zwierzchnią władzą polityczną.

Wreszcie prosiłem o wyjaśnienie, jakie były powody, że mi polecono jechać do Poznania w cywilnym ubraniu. Pytanie to wywołało zdziwienie, bo Komisarjat żadnego rozporządzenia nie dawał i życzenia w tym kierunku nie wypowiedział⁴⁾). Dowiedziałem się też, kto faktycznie mianował mnie głównodowodzącym wojskami w Poznańskim. Okazało się, że nie kto inny, tylko Komisarjat⁵⁾).

Naczelne Dowództwo miało prawo ingerencji w kierownictwie Wojsk Wielkopolskich po moim raporcie o ześrodkowaniu dowództwa w całej Polsce w jednej ręce⁶⁾ i odpowiednich zarządzeniach Komisarjatu⁷⁾). Dopiero w sierpniu, po ustabilizowaniu się stosunków z Niemcami, Wielkopolska przeszła pod zupełną kompetencję Nacz. Dowództwa w Warszawie⁸⁾). Od tego czasu biorą początek inne losy wielkopolskich formacji. Dekret Piłsudskiego z dnia 22.8.19 r. o mianowaniu mnie dowódcą frontu Wielkopolskiego⁹⁾) nie był realny, bo już „frontu“ faktycznie nie było. Po-

¹⁾ Załączniki nr. 75, 76 i 77.

²⁾ Załącznik nr. 78.

³⁾ Załącznik nr. 79.

⁴⁾

⁵⁾

⁶⁾ Załączniki nr. 80 i 81.

⁷⁾ Załącznik nr. 82.

⁸⁾ Załączniki nr. 83 i 84.

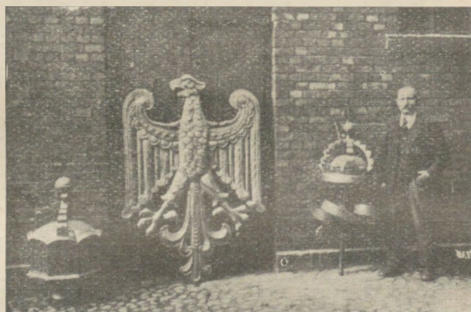
⁹⁾ Załączniki nr. 85 i 86.

¹⁰⁾ Załącznik nr. 87.

dziękowanie mi za zorganizowanie Wojsk Wielkopolskich pismo Piłsudskiego z 30-go maja 1919 r. ¹⁾). Było ono przedwczesne. Podziękowanie winien był złożyć Komisarjat lub Sejm.

*

Przed moim przyjazdem do Poznania, powstaniem kierował najpierw niejaki porucznik (adwokat) Maciaszek, a później płk. Taczak, od którego przejąłem dowództwo. Istniał też już załazek sztabu, który mieścił się w hotelu „Continental” przy ul. św. Marcina. Zastałem w nim domniemanego szefa sztabu podpłk. Stachewicza. Na pierwszy rzut oka zrobił nieokreślone wrażenie; zdziwiło mnie, że był jakby trochę zastraszony, czy zawstydzony; patrzył nieśmiało, niedowierzająco. Wtajemniczyłem go w rozmowę z Piłsudskim i oświadczyłem, że nie należę do liczby tych generałów, którzy podpisują podsuwane im przez szefa sztabu papierki i słuchają bezapelacyjnie jego rad. Muszę zatem wiedzieć o wszystkim, co się dzieje i kategorycznie zabraniam wysyłania jakichkolwiek meldunków, względnie wydawania rozporządzeń, bez mojej uprzedniej aprobaty. Zda się, że kwestję stosunku do siebie postawiłem jasno. Ponieważ nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, mogłem liczyć, że podpłk. Stachewicz przyjął do wykonania to, co mu powiedziałem. Moim obowiązkiem było tylko sprawdzić, czy wskazówki będą wykonywane, bo znam generałów, którzy pełnią rolę manekinów, a pracuje faktycznie za nich sztab. Może to i ma swoją rację, ale poco w takim razie potrzebna generałowi głowa?



Godło C. N., zdjęte z ratusza poznańskiego.
Obok stoi ten, który zdjął.

Wyjeżdżając do Poznania, wiedziałem, że brakować tam będzie najbardziej obsługi łącznikowej. Niemcy byli przewidujący i obcoziemców do pełnienia obowiązków łączności nie dopuszczali. Wziąłem więc ze sobą nieprzeciętnego fachowca i sumiennego urzędnika telegrafu, kpt. Lipińskiego, który, służąc jeszcze w armji rosyjskiej, oddał polskiej sprawie nieocenione usługi. Polecilem mu zebrać jaknajwięcej chętnych Poznańczyków i przejść z nimi kurs praktycznego telegrafowania. Już po dwóch tygodniach pan

¹⁾ Załącznik nr. 88.

Lipiński zameldował, że ma około 20 kandydatów, którzy od biedy mogliby obsługiwać aparaty Hughes'a. Postawiłem go też na czele łączności sztabu,



Plakat, którym witano jen. J. D. M. w Poznaniu.

a ponieważ czasy były niepewne i ludzie chwiejni więc nakazałem nadawać tylko te telegramy, które mają moją adnotację.

Po kilku dniach przysłało mi telegram z podpisem podpłk. Stachewicza,

z zapytaniem, czy mogą go nadać. Jednocześnie zameldowano, że to nie jest fakt odosobniony. Telegram zawierał meldunek do Belwederu, o tem co się w Poznańskim dzieje; treść była naogół niewinna, choć jednostronna, ale fakt niesubordynacji ze strony mego najbliższego pomocnika dawał dużo do myślenia.

Jeszcze, będąc w Bobrujsku, słyszałem, że legjoniści nie są żołnierzami w ogólnem tego słowa pojęciu, lecz także sprzysiężeniem¹⁾; brak im fachowości, za to niezbywa na tupecie; niejednokrotnie się o tem przekonałem. Nie *dopuszczałem* myśli, żeby szef sztabu²⁾, tak gorąco polecany, *rozmyślnie* nie wykonał moich zarządzeń. Wolałbym dowiedzieć się, że tak postępując, podplk. Stachiewicz spełniał rozkaz „swoich“ decydujących władz. Jeżeli istotnie miał taki rozkaz, jego obowiązkiem było mnie o nim zameldować. Wojsko nie może być oparte na podstawach konspiracyjnych, bo nie jest partją polityczno-wywrotową, która się musi kryć. Podplk. Stachiewicz zapewne otrzymał instrukcję donoszenia o wszystkim, co się koło mnie działo i bez mojej wiadomości o tem meldował. Takich praktyk, zapożyczonych w sprzysiężeniach lub w kiepskim wywiadzie, nie licujących z pojęciem o wojsku, jako o instytucji opartej na wzajemnem zaufaniu, tolerować nie mogłem.

Podplk. Stachiewiczowi udzieliłem odpowiedniego pouczenia.

Zaledwie w parę dni po tym incydencie zjawił się u mnie komisarz Korfanty z oświadczeniem, że nie mam należytego nadzoru nad swoim szefem sztabu, który, wbrew zakazowi, skupuje skóry i wysyła je do Warszawy. Zapytany o to, podplk. Stachiewicz zaprzeczył, mimo, że komisarz posiadał meldunki organów policyjnych.

Nie miałem czasu i nie mogłem nawet robić dochodzeń w tej sprawie, jako człowiek lojalny względem przełożonych (którym przysięgłem), byłem pozbawiony możliwości zaprzeczenia temu, co mi mówił Komisarjat. Niemniej zrobiło to na mnie przykre wrażenie. Trudno było nie wierzyć oficerowi, w postępowaniu którego jednak dawały wyczuwać się jakieś zakulisowe posunięcia, o których miałem nie wiedzieć.

Wkrótce organy śledcze zameldowały mi, że jakieś indywidua, przeważnie semickiego typu, chcąc przedostać się do Berlina, powołują się na pozwolenie 2-go oddziału sztabu w Warszawie, oraz na podkapitana Ignacego Matuszewskiego. Jeżeli potrzeba było kogoś tam posłać, to istniała droga prosta — zwrócić się do mnie. Takie zaś postępowanie było dowodem, że chciano coś robić poza plecami władz poznańskich.

¹⁾ Podplk. Stachiewicz był legjonistą.

²⁾ Szef sztabu wogóle jest najbliższym współpracownikiem i powiernikiem dowódcy; ma prawo mu oponować, ale jest wykonawcą jedynie woli dowódcy.

Prawie jednocześnie trafił do mych rąk raport jakiegoś legjonisty, czy Peowiaka, Poznańczyka p. Hulewicza Jerzego. Jakie stanowisko zajmował i czy faktycznie był w Wojskach Wielkopolskich, obecnie przypomnieć sobie nie mogę. Z treści tego raportu¹⁾ wynika, że p. Matuszewski²⁾, pracując w drugim oddziale sztabu jeneralnego, czynił jakieś tajemnicze posunięcia poza plecami Komisarjatu. Wynika też z tego, że mój szef sztabu był w to wtajemniczony.

Pomijam naiwność przypuszczenia o jakimś planowanym zamachu na Piłsudskiego z udziałem Dowborczyków; może były jakieś niedowarzone głowy, które chciały go urządzić, w każdym razie ja w niego wtajemniczony nie byłem i twierdzę, że Komisarjat N. R. L. takimi głupstwami zajmować się też nie chciał.

Sam fakt podobnych raportów dowodzi, że w momencie rozkwitu najlepszych i najwznieślejszych uczuć dla kraju, jakaś grupa młodzieniaszków, którym marzyło się objęcie dobrych posad w Polsce, weszła niby zdradę i przeciwdziałanie ich zamierzeniom. Najbardziej oburzające było zapytanie: „*proszę usilnie o krótkie określenie stosunku przybyłego do Poznania Dowbor-Muśnickiego do Komendanta, a to dla niezbędnej informacji*”. Jakie prawo miał pionek interesować się tą kwestją? Czy nie jest to dowód chęci przeciwdziałania mnie? Przecież, jak widać z wyżej podanego przebiegu faktów, w назначeniu mnie do Poznania, komendant Piłsudski nie odegrał decydującej, a raczej, że tak powiem, przyzwoitościową rolę. Istniał więc kontakt między drugim oddziałem, a zorganizowanym jakimś związkiem na terenie Poznańskiego. P. Hulewicz Jerzy był tu jedynie wykonawcą wskazówek.

Takiego rodzaju fakty wymagały ode mnie, abym miał się na baczności, no i do szczerych stosunków nie usposabiał.

Po incydencie ze skórą, podplk. Stachiewicz poprosił o dymisję. Tłumaczyłem, że to nie jest wyjście z sytuacji, że jego rekomendował Piłsudski, z którym dla wspólnego celu pragnę współpracować, ale z dróg prostych i jasnych nie zejść. Radzę dymisję cofnąć. Podplk. Stachiewicz zgodził się i pracowaliśmy nadal, ale bardzo krótko, bo ostatecznie oficer ten z Poznańskiego wycofał się. Wydałem o nim pobłażliwą opinię³⁾, z której zdaje się nie skorzystano. Droga ściśle fachowo-wojskową nie poszedł.

*

¹⁾ Załącznik nr. 89.

²⁾ Ten sam, który „odznaczył” się w Bobrujsku.

³⁾ Załącznik nr. 90.

Na podstawie zestawienia: rozmowy mojej z Piłsudskim w Belwederze przed wyjazdem do Poznania, listu komisarza Korfantego, oraz pisma Komisarjatu N. R. L. widać, że istniały jakieś rozbieżne poglądy na politykę. Na czym one polegały, nie wiem; nikt mnie z osób miarodajnych w to nie wtajemniczał. Do pewnego stopnia wyjaśnia tę sprawę orędzie Komisarjatu do Naczelnika Państwa ¹⁾, które jednak w treści swej nie pokrywa się z oświadczeniem Piłsudskiego: „mianuję pana” i „nie mów, że jedziesz w moim imieniu” (patrz wyżej).

Dobrze znam charakterystyczną cechę ludzi cywilnych. Obawiają się, aby wojskowi nie politykowali, a nie chcą zrozumieć, że każde czysto wojskowe zamierzenie musi być oparte o polityczny pierwiastek. Sami tą polityką zajmować się lubią. Komisarjat też popełnił zasadniczy błąd, że nie wtajemniczył mnie szczegółowo w swoje posunięcia polityczne. Wszak członkowie jego byli świadkami harmonijnego współdziałania Bismarcka (polityka i cywila) ²⁾ z jen. Moltke (tylko wojskowym).

Rozbieżność między poglądami Komisarjatu i Piłsudskiego może opierała się na tem, że pierwszy składał się z ludzi nieprzychylnych dla socjalizmu, gdy tymczasem Piłsudski wyszedł z tego środowiska. Musiały jednak istnieć prócz tego jakieś głębsze, i to nie wynikające z Komisarjatu, różnice. Boć przecież Poznańskie dążyło do współpracy, co dowiodło zwróceniem się Komisarjatu do Piłsudskiego z prośbą o wskazanie człowieka odpowiedniego, któryby stanął na czele powstania Wielkopolskiego, pomijając to, że socjaliści już w pierwszych dniach Odrodzonej Polski zajęli stanowisko godne potępienia. (Mam na myśli odezwę lubelską, czerwoną płachtę na zamku królewskim w Warszawie, milicję ludową i t. p.).

*

Spisałem z Komisarjatem N. R. L. następującą, że tak powiem, umowę:

„Komisarjat N. R. L. Aleje 1. Skrzynka pocztowa Nr. 337. Poznań 11 stycznia 1919 r. Protokół.

1) *Z ramienia Komisarjatu N. R. L. przyjmuje wojskowe Naczelne Dowództwo generał-porucznik Józef Dowbor-Muśnicki.*

2) *Uznając w zasadzie jedność wojska polskiego, zastrzega sobie Komisarjat Naczelnej Rady Ludowej, ze względów międzynarodowo-politycznych, tymczasową odrębność i niepodległość sił zbrojnych w byłej dzielnicy pruskiej.*

¹⁾ Załącznik nr. 83.

²⁾ Choć nosił mundur.

3) Mianowanie oficerów i urzędników wymaga potwierdzenia Naczelnej Rady Ludowej.

4) Rotę przysięgi Wojska przedstawi Naczelny Dowódca Komisarjatowi do aprobaty.

5) Decernenta dla spraw wojskowych i bezpieczeństwa publicznego mianuje Komisarjat. Kompetencja decernenta podlega osobnemu porozumieniu między Komisarjatem, a Naczelnym Dowódcą.

Komisariat Naczelnej Rady Ludowej: Adam Poszwiński, Wojciech Korfanty. Dowbor Muśnicki Generał-Porucznik“.

Dnia 12 stycznia 1919 r. wróciłem do Warszawy i chciałem się zaraz zameldować Piłsudskiemu, który przyjął mnie dopiero 14 stycznia¹⁾, co widać z treści następującego listu:

„14.I.19. J.Wielmożny Panie Jenerale! Komendant Piłsudski prosi uprzejmie JW Pana Jenerała, aby zechciał potrudzić się do Niego dzisiaj o godzinie 3-ciej popoł. Poleciał mi również bym wyraził w Jego imieniu, że żałuje, iż nie mógł widzieć się wcześniej z JW Panem Jenerałem, lecz, że dopiero dzisiaj właśnie sprawy polityczne dojrzały do rozstrzygnięcia, pozostawiając (nareszcie? ²⁾) komendantowi nieco czasu na zajęcie się sprawami wojskowymi. Łączę wyrazy najgłębszego poważania K. Sosnkowski pułk.“

Podczas audjencji 14.I.19, oświadczyłem Komendantowi, że dowództwo w Poznańskim obejmuje. Zaraz też wróciłem do Poznania, w towarzystwie płk. Konarzewskiego, Sistrzencewicza, Kędzierskiego oraz podpłk. Pajewskiego, Andersa i Paszkiewicza³⁾.

✱

Ustaliłem przedewszystkiem plan działania. Ponieważ w każdym mieście, miasteczku, a nawet i po wsiach potworzyły się samorzutne powstańcze oddziały (plutony i kompanje w zależności od tego, ile było broni na miejscu) i siły te nie były związane hierarchicznie, a każda grupa chciała bezpośrednio podlegać N. R. L. i ponieważ część powstańców walczyła na granicach „provincji“ z Niemcami, podczas gdy niektórzy nie chcieli ruszać na front—przeto ustaliłem, że należy, nie przerywając akcji przeciw Niemcom, wszystkich związać w prowizoryczne organizacje wojskowe (fronty: północny — pod płk. Grudzielskim, zachodni pod płk. Milewskim i południowy w dwóch grupach Ostrowskiej i Gostyńskiej); zebrać pozatem tyle ludzi, aby jak najprędzej

¹⁾ I ten fakt nie jest zrozumiały.

²⁾ Słowo nieczytelne.

³⁾ Wszyscy z I K. P. i przeciwstawili się przywódcom buntu 21—5—18 w Bobrujsku.

sformować, jako rezerwę, pułk strzelców, baterję i pułk ułanów; potem łączyć stopniowo pozostałych w stałą organizację wojskową (5-ć dywizyj).

Okoliczności do pracy nagliły, bo zaczęły się wystąpienia poszczególnych dowódców powstańczych na własną rękę, co nietylko nie pomagało sprawie utrzymania w naszych rękach Poznańskiego, ale wręcz szkodziło jego obronie. Jak wtedy sprawy stały, widać z listu pisanego do mnie przez starostę krajowego¹⁾.

Przystępując do formowania Wojsk Wielkopolskich, musiałbym oczywiście zastosować metody, przyjęte w czasie wojny światowej, ale to wymagało szkół, czasu i materiału.



Jen. J. Dowbor Muśnicki składa przysięgę na Placu Wolności w Poznaniu.
Przysięgę odebrał Prymas Polski Ks. Dalbor.

Armja niemiecka podczas wojny światowej zdała egzamin, przeto postanowiłem trzymać się jej systemu szkolenia i taktyki, modyfikując je tylko nieznacznie w zależności od posiadanych środków. Swoim pomocnikom podkreślałem, aby byli ostrożni w wprowadzaniu inowacyj i szanowali to, do czego miejscowa ludność była przyzwyczajona, choćby wydawało się to nieodpowiednim. Polecilem też zawsze podkreślać, że tworzące się wojsko będzie wyłącznie z Polaków złożone, a że poza Polakami w niem nikt służyć nie będzie, przeto musi się ono wyróżnić nietylko u nas, ale i na całym świecie²⁾.

¹⁾ Załącznik nr. 74.

²⁾ Załącznik nr. 91.

Ludzi dla zapelnienia szeregów było dość: starzy i młodzi garnęli się do wojska. Konie i żywność chętnie dawało ziemiaństwo; broń ręczną znalazłem w arsenałach Poznania, względnie odebraliśmy ją podczas walk; o nabojach i pociskach powiem niżej. Brak jedynie było oficerów.



Jen. J. Dowbor Muśnicki, jako Naczelnny Wódz Armji Wielkopolskiej.¹⁾

Z 1-go Polskiego Korpusu mogłem ściągnąć tylko 180, inni już weszli w skład oddziałów formowanych w Kongresówce, Galicji i na Białorusi. Z legjonów i armji austriackiej na mój zew przybyło kilkunastu oficerów. Z armji pruskiej otrzymałem nikłą ich ilość, szczególnie w rangach powyżej porucznika. Niemcy Polakom nie wierzyli, a Polacy do szeregów pruskich też się nie garnęli. Był to błąd.

Potrzebowałem conajmniej 800 oficerów. Zaproponowałem przeto N. R. L., aby się zgodziła na awansowanie podoficerów z byłej armji pruskiej na pod-

¹⁾ Pod siodłem klacz „Panna Europejska“, zwana przez żołnierzy „Mańka“. Nabyta ze stadniny Nowińskiego. Dwukrotnie ranna, przeżyła kampanję wojny światowej, I Korpusu Polskiego i Armji Wielkopolskiej.

poruczników, z warunkiem zdania przez nich egzaminu z języka polskiego i taktyki. Zgodę otrzymałem i to dało mi jeszcze kilkudziesięciu oficerów.

Tego jednak było jeszcze mało. Wtedy otworzyłem szkołę oficerską ze skróconym kursem, na czele której postawiłem dzielnego kapitana Jatelnickiego¹⁾. Do tej szkoły wysłałem wszystkich podoficerów, którzy egzaminu nie zdali, oraz młodzież ze szkół. Zatwierdziłem program nauk, polecając nie wgłębiać się w teorię, a główną uwagę zwrócić na praktykę. Na wyszkolenie pierwszej transzy przyszłych oficerów dałem cztery miesiące czasu. Po ukończeniu tego terminu uzupełniłem szkołę nową partją aspirantów, ale czas na ich wyszkolenie podwyższyłem do sześciu miesięcy. Kapitan Jatelnicki z kilkoma pomocnikami, wywiązał się świetnie z zadania, ułatwiając mi dokończenie organizacji Wojsk Wielkopolskich. Za kierownictwo szkołą należałby mu się order „Polonia Restituta“.

Szkoła oficerska w Poznaniu jest moją dumą, bo nie znalazł się w niej ani jeden absolwent, któryby się źle spisał. Porządek był tam wzorowy. Uczniowie zrozumieli cel i posłannictwo szkoły, uczyli się więc starannie. Obecnie tę poznańską szkołę przeniesiono do innego miasta i dano jej inną nazwę i inne przeznaczenie.

*

Skolei pragnę opisać w jaki sposób dałem sobie radę ze sprawą nabojów i pocisków armatnich. Po Niemcach pozostała w Poznaniu niewielka fabryczka nabojów karabinowych, z dzienną produkcją kilku tysięcy sztuk. Plk. Sistrzencewicz niezwłocznie ją uruchomił, polepszył i doprowadził produkcję do stu tysięcy nabojów na dobę, co prawie całkowicie zaspokoili nasze potrzeby.

Co zaś do pocisków, to jak już zaznaczyłem, znalazłem w arsenałach tylko stare działa, nośność których nie przekraczała 4 klm. Na czasy bieżące było to mało, ale jednak coś było. Polecilem plk. Sistrzencewiczowi, aby wszedł w pertraktację z fabryką Cegielskiego, która odlała kilkaset sztuk pocisków, ale dalszej produkcji niestety musiała zaprzestać, z powodu braku surowca.

W czasie walk odebraliśmy Niemcom „manu militari“, nie tylko kilkadziesiąt lekkich dział polowych, ale i kilkanaście ciężkich. Pociski do tych armat robiła nam fabryka Johna w Łodzi.

Doprowadzenie do należytego stanu materialnej części artylerji i uzbrojenia piechoty jest zasługą pułkownika Sistrzencewicza. Fabryka nabojów karabinowych, uruchomiona przez niego, było pierwszą w Odrodzonej Polsce, a fabryka Johna w Łodzi łatwo mogłaby się stać drugą fabryką Kruppa, gdyby tego chciano...

¹⁾ Dowódcę Kompanji Junkierskiej I Korpusu Polskiego, która była zaczątkiem Szkoły Oficerskiej Korpusu.

Armja Wielkopolska była stworzona w rekordowym czasie, co wywołało nieklamany podziw u cudzoziemców (tych ze wschodu i zachodu ¹⁾), ale, niestety, znalazła uznanie tylko u niewielu ziomków ²⁾.

Sekret szybkiego wykonania każdej pracy polega na umiejętności rozczłonkowania poszczególnych jej części. Mało i wolno stworzy ten, kto zajmie się opracowaniem konceptu całości i wykonania szczegółów. Jeżeli przy organizacji wojsk osiągnąłem duże wyniki, to jest to rezultat umiejętnego czy też szczęśliwego doboru najbliższych pomocników, którzy, wykonywując poszczególne działy, korzystali z samodzielności ³⁾. Moje zadanie polegało tylko na dozorze, aby ich praca nie wychodziła z zakreślonych ram.

Wydaje mi się, że będzie interesującą rzeczą zobrazowanie historii tworzenia wojska wielkopolskiego, a więc najpierw piechoty.

Do Poznania przyjechał wraz ze mną płk. Konarzewski ⁴⁾, któremu poleciłem zorganizowanie pułku strzelców (pierwszego), oświadczając, że to jest początek jego kariery. To samo zrobili, ale trochę później płk. Milewski ⁴⁾, baron Szylling ⁴⁾ oraz Brzezany ⁵⁾ w stosunku do trzech innych pułków.

Na sformowanie 1-go pułku wyznaczyłem niektóre oddziały powstańców, oraz młodzież szkolną w starszym wieku.

Płk. Konarzewski najpierw sformował kompanję, potem bataljon, wreszcie pułk. Taki system kolejnego formowania kazałem zastosować przede wszystkim dlatego, że osiąga się jednakowe wykształcenie i wychowanie, powtórę dlatego, że jest on sposobem ekonomicznym, nie wyznacza się bowiem odrazu całej plejady szarż, które, nie mając początkowo nic do robienia, przeszkadzają sobie wzajemnie, po trzecie oficer, choć w wyższej randze, składając drobne, a później wyższe jednostki, organizuje wedle swych osobistych, dopuszczalnych upodobań, taktyczne kombinacje, które będzie sam w pole prowadził. Ułatwia to pracę dowództwa i zaszczenia do niego wiarę szeregow.

Płk. Konarzewski przyjechał do Poznania 9 stycznia a 19 stycznia już wyprowadził bataljon na plac Wolności dla złożenia przysięgi na wierność Polsce i posłuszeństwo Komisarjatowi. Coprawda, element oficerski i żołnierski tego bataljonu przeszedł częściowo wyszkolenie w pruskiej lub rosyjskiej armji. Oczywiście, z punktu widzenia wymogów musztry formalnej, bataljon ten nie przedstawiał ideału, ale, co daleko ważniejsze, był on świadom swego przeznaczenia. Właśnie płk. Konarzewski potrafił w krótkim czasie doszkolić żołnierzy i scementował ich w świetną jednostkę bojową. Pierwszy pułk strzelców Wielkopolskich, któremu przypadł zaszczytny

¹⁾ Załącznik nr. 92.

²⁾ Załączniki nr. 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99 i 100.

³⁾ Porównaj załącznik nr. 101.

⁴⁾ Oficer z I Polskiego Korpusu.

⁵⁾ Oficer armji austriackiej.

udział rozstrzygającego wystąpienia w obronie Lwowa, był jednym z najpewniejszych pułków Wojska Wielkopolskiego i wogóle Polskiego.

Doskonale też były zorganizowane i inne pułki pierwszej dywizji, co potwierdziło się na polach walk o ostateczne wywalczenie wolności Polski (bitwa pod Warszawą w roku 1920). Po pierwszej dywizji, były sformowane tymże systemem druga i trzecia, odpowiednio pod pułkownikiem Albinem Jasińskim i jen. Odyńcem¹⁾.

*

V Jazdę poleciłem sformować płk. Pajewskiemu (obecnie nieżyjącemu) i płk. Mosiewiczowi.

Z formowaniem kawalerji Wielkopolskiej szło znacznie trudniej, niż z piechotą

Utarło się w masach przekonanie, że kawalerzystą jest każdy, kto na koniu jeździ. Nie jest to trafne określenie. Znałem dużo ludzi ładnie i śmiało jeżdżących w manieżach i na bulwarach miast. Nie byli to jednak kawalerzyści, bo, wyprowadzeni w pole na dłuższe przejażdżki, psuli konie, łatwo się męczyli, lub nawet chorowali. Dlatego też płk. Pajewski i płk. Mosiewicz mieli dużo więcej do roboty i przy najlepszych chęciach nie mogli w krótkim czasie w zupełności wydobyć potrzebnego materiału, złożonego zarówno ze świetnych koni jak i doskonałych ludzi. Choć, na uzupełnienie ułanów Wielkopolskich częściowo poszli byli żołnierze-kawalerzyści armji pruskiej, kazałem jednak wziąć z nich tylko młodsze roczniki, brakująca reszta początkowo składała się z ochotników. Płk. Pajewski przejął około 80-ciu ludzi i kilkadziesiąt koni od por. Józefa Lossowa. Tego oficera należy uważać za patriarchę 1-go pułku ułanów Wielkopolskich.

Już w kwietniu, 1-szy pułk był zorganizowany, a nawet w dostatecznym stopniu wyszkolony. Mogłem zrobić szczegółową rewję w obecności „attachés militaires“ państw aljanckich, którzy wierzyć nie chcieli, że przed trzema miesiącami pułk jeszcze nie istniał.

Sformowawszy pułk, płk. Pajewski przeszedł na brygadę jazdy, złożoną z 1-go i 3-go pułku. Po Pajewskim objął dowództwo nad 1-szym pułkiem świetny oficer, podpłk. Anders. Ten przewyciężył, zaszczerpioną przez Niemców niechęć do walki konnej, która oczywiście przeważnie musiała być stosowaną przy zetknięciu się z bolszewikami. To też 1-szy pułk ułanów Wielkopolskich niezmiennie miał szczęście bojowe.

Ponieważ Pajewski i Anders są Krechowieckimi ułanami, wynika, że Krechowiacy przeleli swoje świetne tradycje na ułanów Wielkopolskich.

Trudno też szło z formowaniem artylerji; nie z powodu braku ludzi lub

¹⁾ Początkowo dowodził drugą dywizją pułk. Grudzielski.

koni, ale dlatego, że początkowo nie mieliśmy armat ¹⁾. Powstańcy zdobyli tylko dwie: jedną w Gnieźnie, drugą znaleźli w arsenałach Poznania. Tymczasem oddziały „Grenzschutzu“ posiadały artylerję liczną i nowoczesną oraz stale się powiększającą. Było więc nam z nimi trudno walczyć, mając tylko karabiny ręczne i nieliczne maszynowe.

*

W tym czasie ²⁾ często się zdarzały krytyczne momenty, kiedy walczyliśmy na froncie długości pięciuset klm. Niemcy napierali na ten „sznureczek“ i, żeby się utrzymać, trzeba było stosować desperackie kontr-ataki w trzech najgłówniejszych kierunkach: na północy, na odcinku Żnin — Kcynia, najbardziej zagrożonym, gdzie Niemcy dążyli oczywiście do odepchnięcia nas od linii kolejowej Toruń — Nakło Piła ³⁾; potem na południe, w okoli-



W okopach Frontu Północnego.

cach Odolanowa, skąd prowadziła droga na Ostrów, z utratą którego byłaby przerwana linja kolejowa Poznań — Warszawa; wkońcu na odcinku koło Leszna. W ostatnich dniach stycznia kazałem we wszystkich trzech kierunkach przejść do kontr-ataku.

Na północy działał płk. Grudzielski. Posiadając liczną artylerję, Niemcy z furją uderzyli na Kcynię i Żnin i odrzucili nasze powstańcze oddziały.

¹⁾ Nowoczesnych. Starych, pamiętających 1870 r., było dużo.

²⁾ Styczeń i luty 1919 r.

³⁾ Linja tą ewakuowano niemiecką armję z Rosji.

Wszystko, co było pod ręką, pchnąłem na pomoc. Niestety nie rozporządzałem jeszcze wtedy pułkami, a nawet bataljonami; wysyłało się naprędce sklecone kompanje najwyżej po 150 ludzi. Jednej z nich udało się wyjść przez przerwę w linii na tyły wojsk niemieckich i to tak pomyślnie, że kompanja trafiła na baterję. Niemcy, widząc idących na bagnety powstańców, w popłochu puciekali, zostawiając na pozycji przeszło 40 armat. Epizod ten przechylił walkę na naszą stronę; Niemcy odeszli za Noteć.

Jak to zawsze bywa przy przypadkowych walkach, zapomina się kto działał, bo już na drugi dzień, czasem i za parę godzin, rozgrywają się nowe epizody i nowe bohaterskie czyny. Tak się też stało i w danym wypadku. Kto dowodził temi zuchami, kto i skąd był w szeregach kompanji, teraz tego rozwikłać nie mogę. W każdym razie chwała tej akcji przypada generałowi Grudzielskiemu. Może czasem uda się w szczegółach odtworzyć tę bitwę, która stała się punktem zwrotnym w walce na froncie północnym Wielkopolski.

Drugi atak w kierunku na Leszno, Niestety nie powiódł się. Miasta tego nie zajęliśmy, choć i tu 4 lutego 1919 r. zdobyliśmy kilka tak potrzebnych nam dział.

Nakoniec kontr-atak przy Odolanowie dał w wyniku cofnięcie się linii niemieckich i zdobycie paru armat.



Z życia frontu Północnego.

Te szczęśliwie zdobyte działa dały możność zorganizowania wielkopolskiej artylerji. Zrobił to w piorunującym tempie płk. (obecnie generał) Anatol Kędzierski. Uprząż artyleryjską znaleźliśmy w składach w Poznaniu, a brakującą w szybkim czasie zrobili rymarze poznańscy.

Że armję Wielkopolską udało się tak szybko zorganizować, zawdzięczam w pierwszym rzędzie Niemcom, którzy zaopatrzyli nas w armaty, a potem decyzji Komisarjatu N. R. L., który zgodził się zrobić pobór i sformować armję regularną.

Płk. Kędzierski, będąc sam doskonałym artylerzystą, wyjątkowo dobrze

wywiązał się z zadania. Artylerja Wielkopolska dała się dobrze we znaki i Niemcom i Bolszewikom. Jak powiedziałem, armaty zdobyli piechurzy na Niemcach; przez to zadzierzgnęła się braterska łączność między piechotą a artylerją. Klócili się, jeżeli z konieczności natury wojskowej pułki otrzymywały nie tę baterję, którą uważały za swoją. To nie tylko nie przeczyło dyscyplinie, ale było dowodem spoistości wojska.



Obrazki humoru żołnierskiego na froncie Wielkopolskim

Lotnictwo zaczął organizować podporucznik Mańczak, wybitny oficer armji niemieckiej. Niestety był to bodaj jedyny oficer-lotnik Polak z zaboru pruskiego. Podołać wszystkiemu nie mógł, t. j. jednocześnie organizować i być instruktorem. Dlatego zaangażowałem znanego w Rosji i Polsce lotnika Habera-Włyńskiego. Oni to, a potem lotnik z Korpusu, Grochowolski, w bardzo krótkim czasie wyszkolili dostateczną ilość lotników Poznańczyków dla zorganizowania 7 eskadr.

Nie będę opisywał szczegółów formowania oddziałów saperów, sanitariuszy, taborów i innych licznych drobnych oddziałów, obsługujących armję. Ale poczuwam się do obowiązku zadokumentowania, że wojska sanitarne, doskonale zaopatrzone i wyszkolone, zawdzięczają swoje istnienie energii i wiedzy pułkownika (później generała) Ireneusza Wierzejewskiego. Temu dzielnemu lekarzowi, dość było wskazać, co zrobić, a już w krótkim czasie meldował, że „wykonanie ukończone“.

Wielkopolskich saperów zorganizował kpt. Butler, a telegrafistów płk. hr. Miączyński, obaj pochodzili z 1-go Polskiego Korpusu.

*

Niemcy pozostawili w Poznaniu znaczne zapasy odzieży i materiałów. Oczywiście kolory ich nie odpowiadały naszym gustom, a krój gotowego umundurowania — narodowym upodobaniom. Ale brakowało pieniędzy i czasu na tworzenie czegoś odrębnego. Bić się w „cywilu“ nie było można, bo to robiło z nas franc-tireurów, t. j. ludzi, wyjętych z pod prawa wojny. Dlatego

nie zastanawiałem się długo nad wyborem stroju. Nie wziąłem za wzór umundurowania wojska Królestwa Kongresowego, bo „pachniało moskałem“ i nie było dostosowane do wymogów czasów obecnych. Zatrzymałem się na nieco zmodyfikowanej niemieckiej „litewce“, pozostawiając przyjętą przez powstańców, dwubarwną wstążkę na kołnierzu. Za ubiór głowy obrałem rogatywkę, a nie maciejówkę¹⁾, bo ta ostatnia niema w sobie żadnej polskiej cechy.

Po ustaleniu wzorów, zaprosiłem polskich przedstawicieli rzemiosł i poprosiłem o dołożenie starań, aby wojsko było jak najprędzej ubrane. W ciągu paru tygodni umundurowano 50 tysięcy ludzi. Stało się to tylko dzięki poczuciu patriotyzmu rzemieślników. Pracowali dzień i noc i za to należą się: Cześć Im!

Kilkanaście tysięcy potrzebnych koni zdobyłem na miejscu. Część podarowali obywatele ziemscy; np. hr. Szołdrski z Żydowa dał 40 wierzchowców. Brakujące konie zakupił Komisarjat, a wybrał miejscowy obywatel p. Szlagowski wspólnie z płk. Zygmuntem Studzińskim²⁾.

Łatwe zaopatrzenie wojska w konie było dla mnie niespodzianką, boć przecież dla 3-ch pułków jazdy, trzeba było 2 i pół tysiąca wierzchowców, a dla artylerji około 4-ch tysięcy koni pociągowych. Nie biorę pod uwagę taborów, służby zdrowia etc. Twierdzono ogólnie, że Niemcy wyniszczyli doszczętnie swoje prowincje, a tymczasem znalazła się na miejscu potrzebna ilość koni. Mało tego. Dla wojska, organizowanego przez Warszawę, wzięto paręset koni. Widocznie, że Poznańczycy potrafili bronić się od rekwizycji, jakby przeczuwając, że będą potrzebne „lo się“³⁾.

Cóż to były za konie! Widziałem takie tylko w pułkach gwardji rosyjskiej, a przecież Rosja słynęła z koni. Prawda, był to materiał surowy i, z początku, póki się nie wciągnął w pracę, chorował. Zawdzięczając naszemu wzorowemu „talentowi do koni“, udało go się w krótkim czasie przerobić. Wiadomo, „Polak lepiej rozumie konia, niż rodaka“...

Doskonale był zorganizowany trzeci pułk ułanów Wielkopolskich. Zaczął go formować obywatel z pod Gniezna, (Grabski, imienia nie pamiętam), potem na krótki przeciąg czasu, dowództwo objął podpłk. służby pruskiej, Raszewski, a dokończył zaś formowania płk. Mosiewicz. Pułk ten mógł być chlubą każdej armji.

Los pułków kawalerji Poznańskiej był niejednakowy, jak niestety i całej Armji Wielkopolskiej — niewesoły. Nowo sformowane oddziały należały używać do akcji w polu z wielką ostrożnością. Pierwsza bitwa lub potyczka, musi bezwzględnie dać dodatni wynik; w przeciwnym razie taki nowo-upieczony pułk, traci pewność siebie i staje się nadmiernie „nerwowym“.

¹⁾ Poznańczycy z tego ubioru głowy kpią sobie.

²⁾ Oficer z I Polskiego Korpusu.

³⁾ Miejskowa gwara.



JEN. JÓZEF DOWBOR-MUŚNICKI
GŁÓWNODOWODZĄCY WOJSK WIELKOPOLSKICH

Koniecznym warunkiem zachowania moralnej prężności jest, by pułk zawsze działał w całości: tymczasem ułani tak się wszystkim podobają, że lada dowódca chce mieć ich w swojej świcie. Rozdając po dwóch, trzech, doprowadza się do tego, że pułki jazdy nie spełniają swego przeznaczenia, a stanowią tylko tło eskort.

Ekspedjując pułki ułańskie na wojnę, oświadczyłem, że usunę dowódców, jeżeli będą zgadzać się na odkomenderowywanie pojedynczych żołnierzy do służby ordynansowej. Podpułkownik Anders, jako oficer z charakterem, przeprowadził to polecenie dokładnie; dlatego też pierwszy pułk ułanów Wielkopolskich zdobył sobie rozgłos. Stanowił jedną rodzinę, wszyscy znali się, jeden za drugiego stawał murem. Niestety trzeci pułk ułanów trafił do Wilna, pod zwierzchnictwo generała Szeptyckiego; ten go zatrzymał przy sobie, zamiast powołać do pracy w polu. Dowódcę pułku, płk. Mosiewicza jakoś „wyciągnięto“ do Warszawy; zamiast niego posłano, mało doświadczonego bojowo i życiowo, podpłk. czy majora z byłej armji pruskiej. Pułk wkrótce trafił do generała Rómera, który będąc specjalistą od kawalerji

¹⁾, użył go tak, że w rezultacie nie tylko pułk poniósł niepotrzebnie wielkie straty, ale wbrew posiadaniu wszelkich danych, aby stać się pierwszorzędnym, czasowo zachwiał swoją reputację.

A jakież los przypadł Armji Wielkopolskiej?

Elementarna zasada organizacji zaleca używać w całości wojska, formowane przez poszczególnych dowódców. Przypuszczać należało, że armja Wielkopolska zostanie pod mojem dowództwem. Tymczasem, dzięki niezdecydowaniu, oraz brakowi planu działania, wyciągano mi pojedyncze dywizje, aż z Wielkopolski wybrano całe wojsko. Do czasu t. zw. „unifikacji“ polskiej armji, oddziałów lub dywizji, wysyłanych na front Wschodni, nie pozwalałem rozdrabniać. Dlatego też pułki 1-szy i 10-ty pod Lwowem, a potem 1-sza dywizja pod Bobrujskiem, w zupełności wykonały dane im zlecenia: Ukraińcy byli zdecydowanie odrzuceni, a nad Berezyną generał Konarzewski działał zawsze z powodzeniem. Jakoś po unifikacji, 1-szej dywizji nie rozdrobiono. Zawdzięczać to może należy zabiegom generała Konarzewskiego. Ale 3-cią dywizję gen. Odyńca, na północnym odcinku wschodniego frontu, porozciągano pułkami i nawet bataljonami, oddając je pod dowództwo przypadkowych dowódców. W rezultacie „znarowiono“ doskonałe wojsko, którem kierować nie potrafiono. Generała Odyńca usunięto od dowództwa. 2-gą dywizję pułkownika Jasińskiego posłano na Kijów gdzie świetna ta dywizja nic zrobić nie mogła. Wina spada nie na dowódcę, ale na wyższe kierownictwo. Nie dość tego. Gdy dojrzewały wypadki pod Warszawą, starszych i bardziej doświadczonych żołnierzy z dywizyj Wielkopolskich odesłano do domów. Zamiast nich, wcielono do szeregów rekrutów z Kongre-

²⁾ Patrz zdjęcia z pogrzebu marszałka Focha.

sówki, a nawet żydów. Nie powiększyło to zalet pułków Wielkopolskich, a operacjom zaszkodziło.

Gdy się już wszystko „utrzęsło“, Wielkopolskie pułki otrzymały ogólną numerację. I tego nie potrafiono konsekwentnie zastosować, tak, że, aby się dowiedzieć do jakiej dywizji wchodzi pułk, trzeba stosować cztery arytmetyczne działania. Przez pewien czas pułki Wielkopolskie zachowały swoje stare numery z dodatkiem określenia „taki to numer strzelców Wielkopolskich“. Stare nazwy zachowały się przez pewien czas na szyldach koszarowych; teraz nawet i tego nie widać.

W swoim czasie, złożyłem N. R. L.¹⁾ memoriał o konieczności przystąpienia do unifikacji dowództwa armji.

Komisarjat zaraz ze mną pojechał do Warszawy, uroczyście przekazując Naczelnikowi Państwa, *to, co ma najdroższego*, t. j. swoje wojsko. Jednocześnie złożyłem na ręce komendanta Piłsudskiego 6.VIII.19 r. memoriał, z prośbą o uwzględnienie osobliwości Armji Wielkopolskiej. Memoriał ten zapewne²⁾ wyleguje się w archiwum, bo żadna z moich prośb uwzględniona nie została. Nie mogę twierdzić, żeby dzięki temu polepszyły się zalety wojsk, kwaterujących w Wielkopolsce, bo pułków „Wielkopolskich“, w ścisłym znaczeniu tego słowa *już niema*.

Niemcy, których armja była jedną z najlepszych, szanowali lokalne nazwy i numery oddziałów, bo to ma swoje znaczenie. Nie należy negować tej zasady³⁾.

*

Wśród ludności w Poznańskim był duży procent Niemców, tak osiadłych zdawna, jak i zainstalowanych po znanym „Kulturkampfie“. Młodsze roczniki tej ludności można było zaciągnąć do szeregów. Nie zrobiłem tego, bo tak Komisarjat, jak i ja, trzymaliśmy się poglądu, że Niemcy zmuszeni będą wyjechać do Rzeszy; również nie chciałem dawać im atutu, że oni też walczyli o wyzwolenie Wielkopolski, lub nawet o wolność Polski. Więc do roku 1920 (później nie wiem), do wojska wielkopolskiego żadnego Niemca nie przyjąłem, choć kilku (i to utytułowanych) czyniło o to zabiegi. Wogóle przy formowaniu 1-go Polskiego Korpusu, jak i wojsk Poznańskich, pilnie przestrzegałem, aby o sprawę polską walczyli tylko Polacy; dowodziłem więc wojskami polskimi. Zdarzały się wypadki, że przy brance rekrutów w Poznańskim, młodzi ludzie o polskim oczywiście nazwisku, oświadczały (np. niejaki „Majewsky“), że nie są Polakami. Zapytano się mnie, jak postąpić? — Kazałem zwalniać od zaszczytu służenia w naszych szeregach.

¹⁾ Naczelną Radą Ludową w Wielkopolsce była dzielnicowym sejmem.

²⁾ Załącznik nr. 101.

³⁾ „Można człowiekowi dać guzik i zażądać za to życie“. (Napoleon).

Nie tolerowałem szowinistycznych wybryków ludności niemieckiej. Zdarzył się np. taki wypadek. Wtedy, kiedy krwawiliśmy się na froncie, w niektórych miejscowościach na tyłach, mordowano naszych oficerów i żołnierzy. Trzeba było położyć temu kres ¹⁾. Komisarjat N. R. L. na moją interwencję wydał dekret o złożeniu przez wszystkich broni, uprzedzając, że jeżeli potem u kogokolwiek ją się znajdzie, to winni podlegać będą sądowi doraźnemu, t. j. krótko mówiąc, będą ukarani śmiercią.

Wkrótce potem zabito dwóch żołnierzy. Nacisnąłem na wywiad. Szefowi policji ś. p. Krzyżankiewiczowi udało się wykryć skład broni: była właśnie przechowywana u jakiegoś kolonisty, zamieszkałego nieopodal miejsca zbrodni. Aresztowano 7 czy 9 Niemców. Sąd wydał wyrok skazujący. Kazałem go niezwłocznie wykonać ku wielkiemu przerażeniu samego dr. Krzyżankiewicza, który na kolanach prosił o ulaskawienie, względnie złagodzenie kary. Z mojej stanowczości był też szczególnie niezadowolony komisarz Poszwiński.

Stale dziwiła mnie u ziomków czułość w stosunku do obcych i gotowość do ofiar z naszej strony na ich korzyść.

Nieco wcześniej zdarzył się inny wypadek. Kilku Polaków, w tej liczbie młodzieniec, któremu do pełnoletności sądowej brakowało tylko dwa tygodnie, popełnili ohydny zbrodnię na rodzinie polskiej (morderstwo i gwałt na kobiecie i dziecku). Policja zbrodniarzy złapała; sąd skazał wszystkich na karę śmierci. Wyrok zapadł po osiągnięciu pełnoletności przez wspomnianego młodzieńca i był (29 marca 1919 r.) niezwłocznie wykonany. Z tego powodu miałem z p. Poszwińskim zajście. Starał się widocznie mnie przekonać, ustnie i piśmiennie ²⁾, że dwa tygodnie, brakujące do pełnoletności, miały decydujący wpływ na ukształtowanie się psychologii; innemi słowy, że gdyby zbrodnia zdarzyła się o dwa tygodnie później, to młodzieniec ów nie wziąłby w niej udziału.

Z punktu widzenia ściśle prawnego, komisarz Poszwiński miał słuszność, ale z punktu widzenia potrzeby chwili, t. j. podczas walk na życie i śmierć z Niemcami, oraz ze względu na panującą anarchję, racji absolutnie nie miał. Należało przecież raz przekonać wszystkich, że władza ma na celu zaprowadzenie porządku, ładu i posłuszeństwa. Tych zaś nie osiąga się przez litość. Nie myślałem stosować podwójnej miary sprawiedliwości względem zbrodniarzy Niemców i Polaków, pełnoletnich i takich, którym do pełnoletności brakowało paru minut. Niestety rozbieżność zdań między mną, a członkami Komisarjatu nie wpłynęła dodatnio na dalszy rozwój wzajemnych stosunków. Szeroką sympatję zdobywają tylko ci, którzy dają się kierować. Ja do takich, niestety, nie należałem.

Ludzie miękkiego charakteru i niezdecydowani (p. Poszwiński miał zawsze

¹⁾ Załącznik nr. 102.

²⁾ Załączniki nr. 103 i 104.

i we wszystkim wątpliwości), nie powinni zajmować stanowisk, wymagających zrozumienia potrzeb chwili i stanowczości. W przeciwnym razie, nie tylko przeszkadzają w wprowadzaniu porządku, ale pomagają krzewieniu zamętu. Czas, który straciliśmy na wzajemne przekonywanie się, stanowczo wart był więcej, niż życie jednego drapichrusta.

Po straceniu pojmanych kolonistów w dniu 3.VI.1919 r., zgłosiły się do mnie z oświadczeniem lojalności niemieckie delegacje: pierwsza 30.VI.19 r. z pastorem, druga 1.VII.19 r., wreszcie trzecia 5.VII.19 r., które złożyły na moje ręce zapewnienia zupełnej lojalności ludności niemieckiej w stosunku do władz polskich ¹⁾.

Nie bardzo wierzyłem w szczerość oświadczeń, ale czegoż mogłem się więcej w ówczesnych warunkach spodziewać?

Z powodu zjawienia się pierwszej delegacji, wynikł incydent, który uwiarygadniając załączone listy ²⁾. Odpowiedź szanownego pastora, jest, jak na Niemca, bardzo charakterystyczna.

*

Mam uzasadnione uprzedzenie do „legjonów“, „wolontarzy“, „armii ochotniczych“ i t. p. „cywil-wojska“. Dowodziłem zawsze regularnymi formacjami. W Rosji i w Wielkopolsce formowałem pułki strzelców, ułanów, oraz baterje, a nie pułki piechoty, chorągwie (jazdy) i hufce.

Odrzuciłem nazwę „piechota“, bo była ona logiczną tylko wtedy, kiedy, mając uzbrojenie jednakowe (piki i miecze), jedni używali go, siedząc na koniach, drudzy walcząc na własnych nogach ³⁾. Taktyka jednych i drugich była jednakową. Gdy się zjawiała broń ręczna, palna, a wynik starć uzależnił się od działania ognia, nazwa „piechota“ nie była stosowna, bo jazda pozostała przy tem samem uzbrojeniu, co w czasach poprzednich, t. j. przy lancy i szabli, podczas gdy broń „piechoty“ zasadniczo zmieniła się. Do walczących bronią palną, więcej licuje określenie „strzelcy“. Takie też pułki formowałem.

W swoich przemówieniach do żołnierzy, zwracałem stale uwagę na to, że Polska jest krajem biednym, dopiero odradzającym się, więc swoich żołnierzy utrzymywać luksusowo, lub płacić im wysokiego żołdu, nie jest w stanie. Objaśniałem, że niema takich skarbów, które byłyby równowartością życia ludzkiego. Dlatego też żołnierz powinien być świadomym, że swoją krew oddaje za najwyższe dobro, za wolność i to nietylko swoją osobistą, ale i przyszłych pokoleń. Stanowczo zakazałem uprawiania polityki i byłem w tem konsekwentny ⁴⁾. Zabraniałem urządzania burd i hec, wywyższania się nad przedstawicieli ludności cywilnej, upijania się i gry w karty. Uczyłem dbać o materialną stronę uzbrojenia i umundurowania, ponieważ Pol-

¹⁾ Załączniki nr. 105 i 106.

²⁾ Załącznik nr. 107 i 108.

³⁾ Tak było w starożytności i w wiekach średnich.

⁴⁾ Załączniki nr. 109 i 110.

ska fabryk nie posiada (i jeszcze długo posiadać nie będzie), któreby w zupełności zaspokoiły zapotrzebowania. Uczylem też, by żołnierze uświadamiali sobie, że są Polakami i, że tylko Polacy, bez czyjejkolwiek pomocy i poparcia wywalczyli wolność, przeto nie powinni pozwalać innym narodowościom siebie lekceważyć, bo wszak one *nie garnęły się do naszych szeregów*.

Jednocześnie zabroniłem krzywdzić ludność obcą, zamieszkującą państwo Polskie. Wszelkie próby z zewnątrz szeregów, skierowane ku deprawacji, poniżeniu poczucia narodowego, obaleniu dyscypliny, względnie zaszczepieniu zasad nauki Marksa, rozkazałem jak najenergiczniej tępić. To moje zarządzenie było wywołane tem, że komuś się nie podobało moje postanowienie o organizacji regularnego wojska, gdy Komisarjat N. R. L. najzupełniej się z moimi poglądami zgadzał i chętnie pomagał we wszystkim, co dążyło do utrzymania dyscypliny.

Armja polska, stworzona w pierwszych miesiącach niepodległości, była ochotniczą. Gdyby taki system utrzymał się, śmiało twierdzę, że Polska byłaby opanowana przez bandy bolszewików, Ukraińców i „grentzschutzu”. Nie ostałby się ani Lwów, ani Poznań. Być może, że Ententa wymogłaby opróżnienie obszarów polskich, ale kiedyby się to stało i jakby się to stało? Idea stworzenia armji ochotniczej, względnie bliskiej jej milicji, pokutowała w głowach pp. socjalistów ¹⁾. Dopiero po ukończeniu formowania Armji Wielkopolskiej i po uratowaniu przez nią Lwowa, przeforsowano w Sejmie, że wojsko polskie winno być stworzone na podstawie przymusowej służby w szeregach.

Wspominałem tu o Lwowie. Lwowianie bronili się jak mogli, i przyznam, że bronili się lepiej i dłużej, niż można było się tego spodziewać. Ukraińcy zwyciężyliby ich niechybnie, bo ilością i uzbrojeniem przewyższali. Zjawienie się pod Lwowem oddziału płk. Konarzewskiego, składającego się z trzech bataljonów strzelców, 16 dział i eskadry lotniczej, kardynalnie zmieniło sytuację. Jedno uderzenie tej niewielkiej grupy decydująco odepchnęło Ukraińców. Może oddział ochotniczy, równej siły zrobiłby to samo, ale potem „ochota” ulotniłaby się, bo jest ściśle związana z czasem — t. j. szybko znika przy niepowodzeniu.

Twierdzę też, że armja w państwie musi być narodową. Rozumiem to w tym sensie, że złożoną musi być z autochtonów. Domieszka do szeregów przedstawicieli innych narodowości, zamieszkałych na terenie państwa, choć wzmacnia armję liczebnie, osłabia jej spójność. Narody biją się przecież o swoje interesy, które mogą być rozbieżne z dążeniami obywateli innego pochodzenia. Powstały rozdzwitek zawsze znajduje echo w szeregach.

Armja Wielkopolska właśnie składała się tylko z elementu polskiego, słowiańskiego, względnie spolszczonego i dlatego się wyróżniła. Armja austriacka, skądinąd bardzo imponująca, rozpadła się szybko ²⁾. Armję rosyjską zde-

¹⁾ Oświadczenie p. Moraczewskiego w Sejmie.

²⁾ Już w 1914 roku.

zorganizowali żydzi, których nieopatrznie wciągnięto do szeregów. Jedyne państwem na świecie, które posiada pewną armję, są Niemcy. W niej niema obcych elementów. Widzę wielkie niebezpieczeństwo w tem, że wciągamy do szeregów rekrutów niepolskiej narodowości. Wszak nietylko nie zdążyliśmy ich zasymilować, ale nawet przekonać o korzyści, którą osiągnęli, należąc do naszego państwa. Szkoląc w naszych szeregach, na nasz koszt, odkrywamy sekrety natury wojskowej, które łatwo mogą być zwrócone przeciwko nam. Przecież wojsko polskie szybko się zorganizowało, tylko dlatego, że państwa zaborcze nas wyszkoliły. Mieliśmy gotowy materiał, z którego nie trudno było organizować armję.

Oczywiście politycy przeciw takiemu postępowaniu protestują. Niechby sobie już Państwo Polskie pozwoliło na formowanie pułków narodowych, t. j. pułków polskich, żydowskich, ukraińskich, a nie mieszało wszystkie narodowości! Nie zapowiada się na to, żeby podczas przyszłej wojny znalazł się Berek Joselewicz, albo p. Piwo¹⁾.

Ukraińcy, w przeszłości wykazali tylko zdolność do buntów i wybitnie bydlęcych ekscesów. Było tak za czasów polskich i za panowania rosyjskiego. Posiadają oni w naturze „bakcyl“ stałej anarchji. Nie wierzę, żeby kiedykolwiek mogli przetrwać się w coś wartościowego dla ludzkości, lub spokojnie współżyć z innymi sąsiadami, a w pierwszym rzędzie z Polską.

Cokolwiek było w tym narodzie wartościowego, to przyłączyło się albo do Polski, albo się zrusyfikowało. Parę lat temu spotkałem podoficera Polaka, który był jeszcze w formacjach Wielkopolskich, za czasów mojego dowództwa. Dowiedziałem się od niego, że do pułku przysyłają jako rekrutów Ukraińców. O nich wypowiedział swój sąd, że są cisi i pokorni, ale z nimi nie poszedłby na niebezpieczeństwo,

Pozostają jeszcze dwie narodowości, t. zw. białorusini i Niemcy. Pierwsi są na kontynencie Europy najciemniejszym elementem jednak zdolnym do buntów, gdy nie czują nad sobą siły. Mógłbym przytoczyć na dowód szereg przykładów i podaję jeden²⁾.

Niemcy mogą w szybkim tempie zupełnie się zasymilować, i stać się lojalnymi³⁾. Dopóki jednak, na gruncie państwowości naszej nie wyrośnie nowe pokolenie, z Niemcami należy być ostrożnymi. Sąd mój o żydach już wypowiedziałem.

Stąd dwa wnioski: albo zupełnie nie brać obco-plemieńców do wojska, albo tworzyć z nich bataljony do specjalnego przeznaczenia. Gdzie są żydzi, (od siebie dodam — i Ukraińcy), jak słusznie zauważył Starczewski, tam łatwo o grunt podatny do niepokoju.

¹⁾ Z powieści Sienkiewicza.

²⁾ Załącznik nr. 35.

³⁾ Są obecnie stale bałamuceni przez ziomków zpoza kordonu.

Z wiadomości, otrzymywanych z Paryża w styczniu 1919 r., wynikało, że jakoś ciężko idzie z kwestją przyznania nam ujścia Wisły. A gdyby tak „pomóc“ rozstrzygnięciu i przez zajęcie Gdańska stworzyć fakt dokonany?

Na takie przedsięwzięcie wystarczyłaby wtedy dywizja, bo w akcji tej pomogłaby ludność Pomorza; z niej można było zorganizować nawet armję. Zaopatrzenie techniczne nie przedstawiało trudności, ponieważ Niemcy forsonnie wywozili z Prus Książęcych, względnie z Rosji, obfity wojenny materiał; obserwowaliśmy ¹⁾ stale liczne pociągi, wywożące sprzęt wojskowy. Uderzenie na Nakło, zatrzymałoby ten przelew na zachód, a nas zaopatrywałoby odpowiednio. Ewentualność takiego kroku Niemcy przeczuwali: byli bardzo wrażliwi na wszelki ruch i działania wojsk Wielkopolskich na północy. Stale się skarżyli, że ich zaczepiamy. Wypad na Nakło nie stanowił z naszej strony jakiegokolwiek naruszenia umów, bo wszak byliśmy w stanie wojny z Niemcami, a przytem materiał wojenny miał przecież pozostać na terenach państw sukcesyjnych — wywóz jego był bezprawiem.

Nasuwa się pytanie czy w ówczesnych warunkach udałoby się zajęcie Gdańska i przyłączenie go do Polski?

Już w roku 1917 państwa wojujące miały wojny dość. O tyle się ona wszystkim uprzykrzyła, że w roku 1918 politycy sprzeciwili się zamiarowi Focha, żeby dobić Niemców na ich terenach. Gdybyśmy więc zajęli Gdańsk przed ostatecznem zawarciem traktatu wersalskiego, mało było szans na to, żeby nas stamtąd miał ktoś ochotę wyrzucić. Można było też uzyskać poparcie niektórych państw aljanckich, bo przecież ofiarowany nam kawałek pułstego wybrzeża był tylko namiastką dostępu do morza. Przed wojną sami Niemcy stale ekonomicznie gnębili Gdańsk, więc potrzebny im nie był.

Twierdzą przeto, że amatorów do wyrzucenia nas z Gdańska nie byłoby dużo. Może dąsanoby się na nas za zajęcie, ale mniejsza z tem.

Kwestja Gdańska wymagała odwagi w decyzji politycznej. Miałem wrażenie, że po proklamowaniu odrodzenia Polski wszyscy dążyli do zaspokojenia swoich osobistych ambicyj, lub do jak najszybszego załatwienia spraw lokalnych, zaś o ogólnopolskich interesach szerzej nikt nie myślał.

Z punktu widzenia wojskowego, zajęcie Gdańska było rzeczą nietrudną. Niemcy armji na froncie polskim nie mieli; istniały tylko bandy rozma-

¹⁾ Naprzeciw Nakła.

tych „szutzów“, a te wojska, które cofały się z Rosji, były zdemoralizowane i pokonanie ich nie sprawiłoby trudności. Ilustruje to dobrze mój późniejszy telegram o sytuacji na Pomorzu ¹⁾).

Zajęcie Pomorza stanowiłoby pierwszy etap do objęcia Gdańska. Należało więc przygotować ludność do ewentualnego orężnego wystąpienia. To też zaraz po przybyciu do Poznania nawiązałem stosunki, w celu ściągnięcia z Pomorza materiału ludzkiego dla sformowania dywizji, lub choćby tylko kadr kilku pułków. Dużą pomoc w tem okazał mi podporucznik Majewski — Pomorzanin. Z jego pomocą udało się zorganizować kadry czterech pomorskich pułków, pułku ułanów i baterji; niestety więcej osiągnąć nie mogłem, bo działalność Majewskiego napotykała na sprzeciw ze strony komendanta P. O. W., który, jakoby na mocy rozkazu z Warszawy, zagroził Majewskiemu aresztowaniem. Robota się urwała, bo Majewski pracował na niepodlegającym mojej władzy terenie (Rypin). Warszawa o formowaniu Pomorskiej dywizji wiedzieć musiała, bo moje rozkazy o tem nie były tajemnicą. Mianowany przeze mnie dowódcą dywizji (płk. Skrzyński) był w Sztapie Jeneralnym w sprawach dotyczących tej kwestji, a podczas pobytu Naczelnika Państwa w Poznaniu, delegacja Kaszubskiego pułku ²⁾ ofiarowała mu sukno na mundur, prosząc, by został jego szefem.

*

W końcu stycznia 1919 r. przystąpiłem do opracowania planu zajęcia Gdańska. Pracowałem nad nim osobiście, ponieważ nie wierzę w zdolności żołnierzy do zachowania tajemnicy; żaden z nich nie może powstrzymać się od przyjemności wyjawienia sekretu żonie, ta zaś swojej przyjaciółce; po dwóch dniach wszelkie tajemnice stają się tajemnicą poliszynela. A właśnie pomyślnie wykonanie zamierzenia, polegało na ścisłej tajemnicy.

Pod różnemi pozorami, przynaglałem zakończenie formowania 1-go i 2-go pułków strzelców, oraz dwóch pułków garnizonowych, późniejszych 7-go i 10-go Wielkopolskich. Okoliczności sprzyjały; na początku lutego zdobyliśmy na Niemcach armaty, co znacznie ułatwiało zamierzenia. Członków Komisarjatu w swoje plany także narazie nie wtajemniczałem, bo na coś śmielszego mógłby się zdecydować jedynie Korfanty; ten zaś był zaprzątnięty myślą o Śląsku i, jak wyczuwałem, chętnie poświęciłby Gdańsk za Śląsk. Może ze swego punktu widzenia miał rację.

Wtajemniczyć chciałem w plan Komisarjat dopiero po ukończeniu przygotowań. Miało się to stać, wedle moich przypuszczeń, w połowie marca.

¹⁾ Załącznik nr. 111.

²⁾ Czwarty pułk Pomorskiej dywizji, która posiadała umundurowanie odmiennej barwy, zrobione przez warsztaty w Poznaniu.

Niestety urzeczywistnieniu tego przeszkodził tok zdarzeń pod Lwowem, oraz ta wada naszych charakterów, że nieraz uczucie góruje nad zdrowym rozsądkiem i koniecznością politycznej bezwzględności. Już w roku 1918 (pod koniec) było ogólnie wiadomą rzeczą, że jest pod Lwowem niedobrze. Walczono i jednocześnie prowadzono pertraktacje. System takiego postępowania jest najgorszy i w tym też wypadku do niczego nie doprowadził¹⁾. Ale gdybyśmy nawet wówczas Lwów chwilowo utracili, kwestja ponownego opanowania tego miasta była łatwa.



Wręczenie przez jen. J. D. M. sztandaru dla 1 p. Strz. Włkp. (obecnie 55 p.p.) d-cy dywizji jen. Dubiskiemu (klęczy) Za nim stoi płk. Konarzewski, d-ca pułku i dwóch oficerów asysty.

W Warszawie silnie agitowano za pomocą dla Lwowa i stamtąd poszły jeden czy dwa bataljony młodzieży akademickiej. Była to ilość niedostateczna, bo przeciw bandom ukraińskim występowały luźne oddziały, niezdiscyplinowane, niezorganizowane, niewyćwiczone i hierarchicznie niezwiązane. Te braki zastąpić miało poczucie patriotyzmu, co przecież na długą metę wystarczyć nie mogło.

Oczywiście miejscowej ludności byłoby trudno pogodzić się z ewentualną, czasową, utratą Lwowa, dlatego też, mocno agitowano (hr. Skarbek) za koniecznością wysłania wojsk w celu uratowania tego miasta. *W żadnym jednak wypadku nie wolno było robić tego systemem na „łapu-capu“.*

Kto w tem zawinił, że Lwów był wystawiony na tak ciężką próbę powiem

¹⁾ Załącznik nr. 112.

niżej. Trudno też obecnie zdecydować, kto najmocniej zaważył na jego uratowaniu, bo wszyscy sobie to przypisują. Sądząc z posiadanych dokumentów, twierdzę, że największe zasługi przy odzyskaniu Lwowa położyły Wojska Wielkopolskie.

W styczniu, gdy zaledwie przystąpił do formowania wojska i organizacji obrony Wielkopolski, zjawił się u mnie, rzekomo z ramienia generała Rozwadowskiego, pułkownik Minkiewicz z propozycją, żebym dał żołnierzy Polaków z byłej armii pruskiej do uzupełnienia kadr ochotniczych, broniących Lwowa. Znaczyło to tyle, co zrezygnować z obrony Wielkopolski, czyli poświęcić Poznańskie dla Lwowa. A gdzież się podziewali żołnierze Polacy z armii austriackiej, których było przecież nie mniej niż Polaków Poznańczyków? Czy zabrakło w Galicji patryotyzmu, czy rzutkości kierującym akcją? Nie wierzę w ochotnicze wojska i ich wartość bojową. Rzekoma celowość formowania ich jednak pokutowała w głowach wpływowych czynników w Warszawie; przekonałem więc Komisarjat N. R. L. o nielogiczności propozycji i, w tym wypadku, pomocy dla Lwowa odmówiłem. Stąd, zdaje się płynęła niechęć generała Rozwadowskiego do mnie ¹⁾. Trudno! Według mego zdania, wtenczas większe niebezpieczeństwo groziło Wielkopolsce.

Propaganda za koniecznością okazania pomocy dla Lwowa nie ustawała, znajdując oddźwięk u lokalnych „Metternichów“. Starano się również o wywarcie i na mnie nacisku. Odbyłem z tego powodu kilkakrotne narady z Komisarjatem.

Nie przeceniałem wartości band ukraińskich, które nie były zdolne oprzeć się nawet niewielkiemu regularnemu oddziałowi; te zaś dawno należało zacząć formować w Galicji. Ostatecznie zgodziłem się wysłać jedną regularną ²⁾ kompanję, pod podporucznikami, o ile pamiętam, Ciaciuchem i Kałamajskim. Kompanja szybko została wyekspedjowana, z rozkazem, żeby oświadczyła mieszkańcom Lwowa, iż jest pierwszą jaskółką, niosącą wolność. Miałem na widoku wysłanie pułku do Lwowa, ale nie z tych, które przeznaczyłem dla wypadu na Gdańsk. Moje postępowanie było uzasadnione.

*

W początku marca przyjechał do Poznania Ignacy Paderewski z prośbą o pomoc dla Lwowa. Komisarjat nie mógł nic sam zdecydować i 8 marca 1919 r. zwołał na Zamku konferencję złożoną z pp. komisarzy: Korfante, ks. Adamskiego i Poszwińskiego oraz Paderewskiego, hr. Skarbka i innych; zdaje mi się, że więcej nikogo nie było.

Paderewski prosił o wysłanie bataljonu, bo „inaczej Lwów zginie“. Nie-

¹⁾ Patrz książkę „Generał Rozwadowski“.

²⁾ Sformowaną z żołnierzy, którzy wyrazili chęć pójścia pod Lwów (stąd nieściśła nazwa „kompanja ochotnicza“).

stety ten, że wszechmiar godny uwielbienia Polak, nie zdawał sobie widocznie sprawy z tego, jakie możliwości posiada bataljon, który byłby tylko, „słabym zastrzykiem“ i prolongowałby opór na parę dni, a może godzin, gdy do rozstrzygnięcia obrony Lwowa należało posłać głównie artylerję i aeroplany.

Komisarze się wahali: z jednej strony trudno odmówić tak zasłużonemu człowiekowi, ale z drugiej, nie byli oni pewni sytuacji w Poznańskim. Zasięgnięto mego zdania. Oświadczyłem, że narazie nie może być mowy o wysłaniu (prócz wspomnianej kompanji) czegokolwiek, ponieważ Grentzschutz się reorganizuje, na jego czele stanął dobrze znany generał Hoffmann i Niemcy zamierzają uderzyć w najbliższym czasie na Zbąszyń, więc trzeba być gotowym do odparcia uderzenia.

Było to wszystko prawdą, co też Komisarjat potwierdził. Paderewski jednak nalegał, twierdząc, że Aljanci *nie pozwolą Niemcom na zaczepne działanie* i, że nawet *Gdańsk* ma być nam przyznany ¹⁾. Po tem oświadczeniu, Komisarze zdecydowali się prośbę Paderewskiego uwzględnić. Ostateczną decyzję uzależniono ode mnie.

W obietnicę, co do Gdańska nie wierzyłem, bo dobrowolne oddanie go nam znaczyło nietylko odrodzenie Polski, ale wskreszenie *potężnej Polski*, co było śmiertelnem niebezpieczeństwem dla Niemiec. Nie odkrywając swych projektów, które, oczywiście, nie znalazłyby poparcia, wobec obietnicy przyznania nam Gdańska, oświadczyłem, że, o ile będzie ze mnie zdjęta odpowiedzialność za ewentualne wypadki w Poznańskim, rozkaz swej władzy politycznej wykonać muszę.

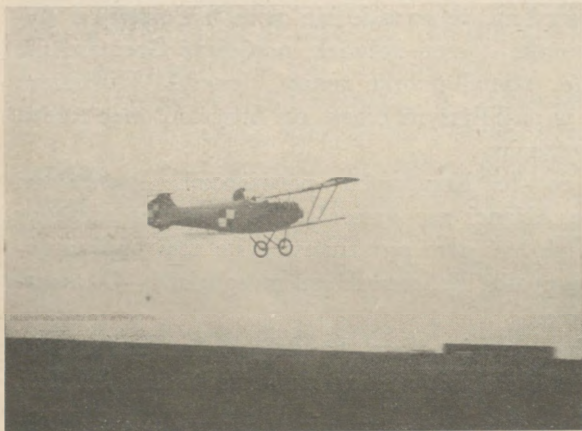
Stało ostatecznie na tem, że pod Lwów ma być wysłany bataljon! Gdybym tę uchwałę przyjął do wykonania à la lettre, Lwów nie byłby uratowany, a zamiary co do Gdańska też nie zostałyby urzeczywistnione. *Zdecydowałem więc sprawy nie partaczyć, Paderewskiemu pomóc, a z projektów gdańskich mimo swej woli zrezygnować, wobec oświadczenia Paderewskiego.* Oświadczyłem, że pod Lwów pošlę pułk, t. j. trzy bataljony z silną artylerją, oraz eskadrą samolotów. Moje oświadczenie wywołało entuzjazm zebranych i szczerze, czy nieszczerze podziękowania. Przypuszczałem, że mój oddział zasadniczo zmieni sytuację pod Lwowem i da możność opamiętania się i umiejętnego oraz energiczniejszego przystąpienia do organizacji sił z miejscowej ludności.

• Jednocześnie zwróciłem się do przedstawicieli wojskowych Ententy, aby posłali pod Lwów, co mogą. Prosiłem głównie o armaty i ciężarowe samochody. Niestety, moja prośba znalazła tylko oddźwięk u przedstawiciela Włoch, jen. Romei, który wymógł u swoich władz przysłanie armat. Działa te okazały stanowczą pomoc w późniejszych walkach ²⁾.

¹⁾ Mówił o tem też ambasador Noulens.

²⁾ Załącznik nr. 113.

Wysłanie wojsk pod Lwów, pomimo obalenia projektu, co do Gdańska, było wielką ofiarą ze strony Wielkopolski. W Niemczech wrzało; nie chciano oddawać terytorjów, które miano nam przydzielić i silnie agitowano za stawianiem zbrojnego oporu. Może rządowe czynniki nie poszłyby na to, ale ludność mogła sama wystąpić; wszak byliśmy świadkami samorządnego wystąpienia na Litwie, a następnie działalności Hitlera. Liczyłem się z tem że



Kpt. plt. Norwid Kudło wzbija się nad lotniskiem na Ławicy dla dokonania akrobacji podczas obchodu 3-go maja '1919 r. Dzielną ten oficer był pierwszym pilotem-polakiem, uprawiającym pilotaż jako sport na kilka lat przed wojną światową. Wojnę światową przeżył w lotnictwie rosyjskiem, a później w I K. P. Zmarł w Warszawie w r. 1931.

będę miał ciężkie zadanie, nie tylko przy objęciu terytorjów, odstąpionych na mocy traktatu, ale nawet wrzenie wkroczenia do Poznańskiego ochotniczych band niemieckich. Każdy, oddawany bataljon, utrudniał moją sytuację. Powtarzam więc, że w owym czasie osłabienie sił Poznańskich było rzeczą ryzykowną i z tego powodu wielką ofiarą. Przecież trzeba wziąć pod uwagę, że Wojska Wielkopolskie były w stadjum formowania, że z powstańców trzeba było sklecić coś stałego, a nie jakichś wolontarzy i wreszcie, że pod Lwów

należało wysłać najlepiej zorganizowane oddziały.

Wysyłając wojska do Galicji, nie mogłem przecież wysłać ich z gołemi rękami, i nie przedsięwziąć środków zaradczych, aby zabezpieczyć bezwzględne zwycięstwo. Dlatego też, wyznaczwszy tylko około dwóch i pół tysiąca piechoty, dałem jej szesnastce dział i eskadrę lotniczą, żeby wojska te miały możliwość być zawsze „au courant” tego, co się wkoło nich dzieje. Kawalerji wysłać nie mogłem, bo gotowa nie była jeszcze; zastąpić ją miały aeroplany.

Również nie mogłem wysłać artylerji bez pocisków, a piechoty bez amunicji. Postawiłem więc warunek na komisji ¹⁾, że ponieważ pocisków w dostatecznej ilości nie mam, a fabryki, w których je zamówiłem, nie są w stanie mnie w nie zaopatrzyć odpowiednio, więc Warszawa musi pociski dostarczyć. Obiecano ²⁾, że będzie to uskutecznione.

Niestety, trzeba było długo się o to targować. Wynikła stąd obszerna ko-

¹⁾ Wspomnianej już, 8.III.19 z udziałem Paderewskiego.

²⁾ Poseł hr. Skarbek.

respondencja, długie i nudne rozmowy ¹⁾ między moim sztabem i mną z jednej strony a sztabem jenerałnym i posłem Skarbkim z drugiej. W Warszawie panował chaos. Adjutantów osobistych było tam przy każdym masie, a inspektorowi artylerji brakło pomocników. Nikt nie wiedział dokładnie gdzie, jakie i w jakiej ilości są pociski. Poseł Skarbek naglił z wysyłką wojsk pod Lwów, zabiegając w tym celu ²⁾ w Komisarjacie, ja zaś nie chciałem, zdecydowawszy się realnie pomóc, wysyłać wojsko młode, dopiero co sklecone, bez odpowiedniej artylerji, a głównie bez pocisków. Nie



Przeгляд przez jen. J. D. M. wojsk wielkopolskich, wracających z pod Lwowa.
Obok jen. J. D. M. — płk. Konarzewski i płk. Paszkiewicz.

lubię naszego sposobu postępowania: „Jakoś to będzie“. Z raz obranej drogi zejść nie zamierzałem, choćby na ludziach, nie znających się na psychologii walki, skóra cierpła. Mogli mieć z tego powodu do mnie pretensje działacze polityczni, ale okazało się, że miałem rację: Lwów został uratowany ³⁾.

★

¹⁾ Załączniki nr. 114, 115, 116, 117, 118, 119 i 120.

²⁾ Załącznik nr. 121.

³⁾ Załączniki nr. 122, 123 i 124.

Pod Lwów posłałem oddział pułkownika (później generała) Konarzewskiego, w składzie I-go Wielkopolskiego pułku strzelców, trzech polowych i jednej ciężkiej baterji, oraz eskadrę lotniczą, z siedmiu aparatów złożoną. Pułkownikowi Konarzewskiemu dałem instrukcję, żeby nie dał się rozproszkować, nawet pod presją lokalnych strategów. Prosiłem o to też jen. Iwaszkiewicza ¹⁾. Rzeczywiście, próby rozciągnięcia oddziału Wielkopolskiego kompanjami i bataljonami, oraz nieumiejętnego, a nawet niesprawiedliwego wykorzystania zdarzyły się ²⁾. Był to typowy austriacki sposób działania, z którym Iwaszkiewiczowi i Konarzewskiemu trudno było walczyć. Moje wskazówki zostały jednak zastosowane i jednym uderzeniem, choć prowadzonym na szerokim froncie, Ukraińcy zostali wyrzuceni.

Lwów był wolny, ale kosztem Gdańska.

*

Przytoczony fragment walk o Lwów daje dużo do myślenia. Wszak Galicja, w porównaniu z Poznańskiem, była w daleko lepszych warunkach. Tam nie wyrzucano zaborców siłą, istniała ogromna ilość eks-austriackich żołnierzy i środków materialnych; przeciwnicy nie byli Niemcami, a nawet nie władzami austriackimi, lecz ukraińską zbieraniną; nie brakowało polityków... Słowem wszystko pozwalało na szybkie zorganizowanie obrony Galicji. Jednak nic w niej nie zrobiono. Ku wstydowi dorosłych, dzieci broniły Lwowa! A gdzie byli pp. robotnicy i włościanie? Dlaczego nie garnęli się do szeregów?

Galicja (zabór austriacki) zdobyła reputację, że tam dużo politykują, pięknie gadają, doktoryzują, parcelują i demokratyzują ³⁾, co, jak wiadomo, do wypędzenia Ukraińców nie pomogło. Musiał zrobić to Konarzewski z Wielkopolanami.

*

Jak już wyżej wspomniałem, jakiś Peowiak przeszkodził w organizowaniu Pomorskiej dywizji. Czem była organizacja P. O. W., przekonałem się dopiero później z wynurzeń w prasie. Członkowie jej więcej mieli do czynienia z polityką (czytaj obsadzanie posad), niż z wojskowością; dlatego nazywali się organizacją wojskową to jest już ich sekretem.

Pozwolę sobie zadać pytanie czy formowanie Pomorskiej dywizji szło na szkodę Polski? Czy minister nie wiedział, że Piłsudski powiedział do mnie: „jedź Pan, jako moja awangarda“, albo czy wreszcie ministerjum wojny

¹⁾ Załącznik nr. 125

²⁾ Załączniki nr. 122 i 126.

³⁾ Mamy stamtąd największą ilość polityków, wszyscy posiadają tytuły doktorów, i gotowi są do „padania do nóg i całowania rącek“.

nie mogło napisać do mnie, że moja działalność w czemś jest niedogodną. Faktycznie stało się tak, że Piłsudski mówił i polecał jedno, a P. O.W. i ministerjum drugie.

Z powodu formowania Pomorskiej dywizji wynikła zbyteczna korespondencja ¹⁾ o kompetencje między mną a Naczelnem Dowództwem, względnie ministerjum wojny. Sprawiało to takie wrażenie, jakby komuś zależało na szybkim zatarciu, albo zdyskwalifikowaniu mej pracy i zabiegów. Koniec końcem postawiłem na swoim, — dywizja pozostała.

Kadry Pomorskiej dywizji Polsce się przydały. Że jedna więcej dywizja znalazła się w r. 1920 pod Warszawą, jest moją i porucznika Majewskiego zasługą. Ocenili to i szeregi, bo pierwszy jej pułk ofiarował mi swój mundur. Ocenił to też gen. Haller ²⁾, mając tę satysfakcję, że obejmował Pomorze na czele Krechowieckich ułanów i Pomorskiej dywizji, do stworzenia których niczem się nie przyczynił, gdy jego armja była „rozsegregowaną” po całym froncie. Był to skutek... przewidującej polityki.

¹⁾ Załączniki nr. 127, 128, 129 i 130.

²⁾ Załącznik nr. 131.

WSRÓD WIELKOPOLAN

Nie zrobiłbym w Wielkopolsce połowy tego, co nazywano „doborowem wojskiem“, gdyby nie pomoc społeczeństwa, oraz (w pewnym zakresie i do pewnego czasu) lokalnych władz.

Wielkopolska dokonała w r. 1919—20 nietuzinkowego czynu. Przy niespełna 1,5 miliona ludności polskiej obojga płci, wzięto do szeregów czynnych, regularnych, wszystkie młode roczniki (od 18-tu do 28-u lat), a do Straży Ludowej wszystkich zdolnych do noszenia broni (w wieku od 29 do 42 lat). Przy warsztatach pracy pozostali tylko ludzie starsi i ułomni; na nich spadł obowiązek utrzymania zmobilizowanych, około 300 tysięcy żołnierzy, t. j. na każdego żołnierza pracowały cztery osoby, włączając w to kobiety i dzieci. Wielkopolska pomimo to długo braków nie odczuwała, ani w żywności, ani w wyrobach rękodzielniczych. Była to konsekwencja uświadomienia, ofiarności i nadzwyczajnego patryjotyzmu. Wojsko same, które w przekonaniu ogółu jest tylko „konsumentem“, nie dało się wyprzedzić ludności cywilnej: złożyło na potrzeby Śląska i mieszkańców Ziemi Wschodnich setki tysięcy ¹⁾.

Po wybuchu powstania był pewien okres rozprężenia wśród ludności, ale w krótkim czasie wszystko powróciło do normy, do porządku, do posłuchu, do rzetelnej i wydajnej pracy. Wielkopolska dokonała w roku 1919/1920 ogromnego wysiłku, daleko większego, niż Niemcy podczas wojny światowej.

Dla przedstawicieli innych dzielnic Wielkopolanie wydają się zarozumiali i nawet śmieszni. Mówią źle po polsku, zatraćając z niemiecka, a jednak nikt im zarzucić nie śmie ani braku zdrowego rozsądku, ani braku patryjotyzmu i zrozumienia, że wolność jest największą zdobyczą narodu. Najchętniej wymiewają się z nich ci panowie, którzy posiadanie czystości mowy polskiej mają za coś tak wielkiego i cennego, że nawet większego od ofiary krwi. Nie lubią też Wielkopolan pp. socjaliści, bo jakoś nauka Marksa nie bardzo trafia tu do przekonania. Stąd też głupie drwiny.

Patryjotyzm i ofiarność Wielkopolski ²⁾ wszystkim imponowała i tak była niepospolitą, że rodacy z innych dzielnic doszli do przekonania, iż Poznańskie ma niewyczerpane środki i że stamtąd można czerpać ile dusza zapagnie; w celu uzupełnienia braków, przyjeżdżali do Poznania i byli niezadowoleni, albo nawet oburzali się, gdy ich prośbom zadość nie czyniono.

¹⁾ Jako ilustracja załączniki nr. 132, 133 i 134.

²⁾ Jako dowód podaję jedną z licznych uchwał ludności: załączniki nr. 135 i 136.

Tymczasem Wielkopolska, już w lipcu 1919 r. była na zupełnem wyczerpaniu. Nietylko było skąpo w zasobach materialnych, ale i w ludzkim materiale. Brakowało dział i pocisków. Wojska wielkopolskie, nie przerywając walk z Niemcami, dwukrotnie uratowały Lwów i, czem mogły, przyczyniły się do jego obrony ¹⁾; w przeciagu prawie roku trzymały bolszewików na Berezynie i wywarły decydujący wpływ w bitwie pod Warszawą. Wszystko to nie mogło się stać bez ofiar w ludziach ²⁾, a niestety nie miano już czem uzupełniać szeregów. Musiałem stosować teorię „Tryszki” ³⁾, wyciągając żołnierzy z jednych formacji dla uzupełnienia drugich ⁴⁾. Tymczasem w innych dzielnicach materiału ludzkiego nie brakowało. Wyprosiłem więc ⁵⁾, by mi z tych dzielnic przysyłano ludzi dla wyszkolenia, abym mógł uzupełnić szeregi wielkopolskie. Rekrutami z Kongresówki i Galicji bezpośrednio uzupełniać nie chciałem, bo byli tam nieumiejętnie ćwiczeni.

*

Mógłbym osiągnąć w Poznańskim więcej, niż zrobiłem, gdyby „Warszawa” choć trochę nam pomagała ⁶⁾. Działo się jednak wręcz przeciwnie. Np. trzymano tam moich doświadczonych starszych oficerów na podrzędnych stanowiskach i, pomimo mych próśb i nalegań, nie odsyłano ich do mnie ⁷⁾. Poznańczyków i Pomorzan, przechodzących tajnie z zajętych przez Niemców obszarów, zatrzymywano i wcielano do formacji warszawskich. Na moje reklamacje otrzymywałem wykrętne wyjaśnienia, jak np. „zatrzymuje się tylko życzących sobie”, lub „pozwolono porucznikowi Majewskiemu na pobyt i skupienie przechodzących mieszkańców” ⁸⁾. Tymczasem dzielny Majewski stałe skarżył się na to, że mu przeszkadzają, przełamują ludzi ⁹⁾. Niemało było też intryg, by poprostu rozbić wielkopolskie formacje, lub zachwiać ich spójność. Brały w tem też udział i miejscowe głupty. Gdy sława o Wojskach Wielkopolskich rozeszła się, wszyscy pragnęli je mieć pod swoją wodzą. Ja, oczywiście, sceptycznie odnosiłem się do talentów wczorajszych fryzjerów i apostołskich ekscelencji. Rozumiałem, że nie chodzi tu o dobro sprawy ale o zdobycie laurów cudzym kosztem. Dzięki intrygom został zabity dowódca dywizji gen. Dubiski; 3-ci pułk chwilowo zachwiał swoją reputację. O do-

¹⁾ Załącznik nr. 137.

²⁾ Załącznik nr. 138.

³⁾ Bajka Kryłowa, w której, posiadacz krótkiego kaftana, a długich rękawów, pomógł sobie tem, że obciął rękawy, a nadsztukował poły.

⁴⁾ Załączniki nr. 139 i 140.

⁵⁾ Załącznik nr. 141.

⁶⁾ Załącznik nr. 142.

⁷⁾ Załączniki nr. 143 i 144.

⁸⁾ Załącznik nr. 145.

⁹⁾ Załączniki nr. 146 i 147.

wódcach, pochodzących z I-go Polskiego Korpusu, rozsiewano przeróżne plotki ¹⁾. Dobrze to ilustruje korespondencja, oraz raporty o sytuacji pod Lwowem ²⁾.

Wreszcie starano się wyrządzić niesprawiedliwość oficerom z I-go Polskiego Korpusu przy przeprowadzaniu t. zw. ustawy o weryfikacji. Zmuszony byłem zwrócić się w tej kwestji z raportem do p. ministra spraw wojskowych ³⁾, co mało pomogło. Z Warszawy do Poznania nic a nic nie przysyłano, mimo, że zaopatrzenie z Francji przychodziło.

Słowem Wojsko Wielkopolskie traktowane było po macoszemu, a jednak żadnej poważniejszej operacji bez udziału jego przeprowadzić nie umiano ⁴⁾.

★

W Wielkopolsce prawie wszyscy starali się dopomóc mi w robocie, nie intrygowali, nie robili przykrości, zapewne dlatego, że nie wprowadzałem innowacyj w środowisku, które posiadało swoje odrębne cechy, sposób myślenia i upodobania. Postawiłem sobie za zadanie pracować w tej atmosferze, do której przyzwyczaili się Poznańczycy, a oni pracować umieli, nauczeni przez Niemców. Byłem przekonany, że na polu walk nietylko zrobią to, co im rozkażę, ale, że zrobią to dobrze. Nie omyliłem się.

Mówię o tem, bo pewnego razu Piłsudski powiedział mi: „Legjonistami trzeba umieć kierować“. Myśl jest trafna i w zastosowaniu do każdego wojska, nawet i do Legjonistów. Jeżeli miałem zrozumieć przez to powiedzenie, że Legjoniści są wojskiem dobrem, to twierdzę, że Wojsko Wielkopolskie było lepszym, bowiem posiada świadectwo bezstronnych cudzoziemców ⁵⁾, dowódców ⁶⁾, wrogów ⁷⁾ i nawet naczelnego dowództwa ⁸⁾, wreszcie samych szeregów ⁹⁾. Jeżeli zaś było gorsze od legjonowego, to tem większej trzeba było umiejętności dowodzenia niem. Któż potrafiłby niem wtedy kierować? Wszystkie te pochwały nie były skutkiem chęci pochlebiania mnie, bo orderów nie rozdawałem i posadami nie rozporządzałem, sądzę więc, że były wyrazem uczuć szczerych. Dlatego też miałem podstawy, to Wojsko Wielkopolskie, pochwalić w rozkazie ¹⁰⁾.

¹⁾ Załącznik nr. 148.

²⁾ Załączniki nr. 122, 149, 150 i 151.

³⁾ Załącznik nr. 152.

⁴⁾ Załączniki nr. 153, 154, 155 i 156.

⁵⁾ „Jest to nie duża, ale obecnie jedyna armja na świecie“.

⁶⁾ Załącznik nr. 157.

⁷⁾ Załącznik nr. 158.

⁸⁾ Załączniki nr. 159 i 160.

⁹⁾ Załączniki nr. 161, 162 i 163.

¹⁰⁾ Załącznik nr. 164.

Historja podaje przykłady, że z dobrem wojskiem bitwy łatwo wygrywali przeciętni generałowie, ze złem mogli to zrobić tylko dobrzy wodzowie. Jeżeli powiedzenie Piłsudskiego było aluzją do mnie, to oświadczam, że jestem dobrym generałem, bo wygrałem nie jedną bitwę, prowadząc dobre wojska ¹⁾ (jakiemi były np. rosyjskie w r. 1914) i słabe, jakiemi one były w czasie rewolucji. Walki I-go Polskiego Korpusu z bolszewikami dają też dodatnie świadectwo. Oczywiście nie sięgam po sławę wielkich wodzów; rodzą się tacy rzadziej, niż raz na stulecie — w Polsce w wieku bieżącym jeszcze się taki nie zjawil! Daj Boże, być choćby takim generałem, jak np. marszałek Davoust.

*

Nie mogę pisać idylli. W czasie mojej działalności w Poznaniu zdarzały się pewne zgrzyty, oraz niesnaski ²⁾; łagodziłem je pytając: „Czego chcecie?“ ³⁾. W wyniku okazywało się, że tego samego co i ja. Intrygowały miejscowe zapoznane wielkości, którym było nie w smak, że jakiś „przybłęda ze Wschodu“ rozporządza się nami, „a my sa...“ ⁴⁾. Wykorzystali to „specyficzni“ działacze z Kongresówki i Galicji do zaszczipiania bolszewizmu lub jego odcienia, a co najmniej jakiejs mętnej ideologii.

Te, nieliczne zresztą, miejscowe elementy po mojem ustąpieniu z dowództwa wywarły zemstę na moich b. podwładnych, oraz na moich i mych współpracowników portretach. I tak — najwybitniejszemu dowódcy pułku wytoczono proces za rzekomą malwersację. Nic oczywiście dowieść mu nie mogli, ale przykrość sprawili i krzywdę wyrządzili. Portrety powyrzucano z Głównego Dowództwa. Robiono wszystko starannie i później (w dowód wdzięczności zapewne) wszystkich tych „murzynów“ usunięto z wojska. Mnie to zniewoliło do przekazania najcenniejszych pamiątek, będących w mojem posiadaniu, prezydentowi m. Poznania ⁵⁾. Oddano nawet i mnie pod sąd za „zdradę tajemnic wojskowych“. Nie anegdota to, a fakt! Stało się to wobec mego wystąpienia w obronie moich podwładnych ⁶⁾. Do rozprawy nie doszło, — zbyt naiwnie sformułowano oskarżenie.

Próbowano, też via Warszawa, robić zaburzenia w szeregach. Np. 16-7-19, wybuchł bunt w Biedrusku. Choć był prędko opanowany, a prowodyrzy zwiali, trafiło pod sąd kilku miejscowych głupców. Bunt był bardzo podobny do urządnego 21-5-18 w Bobrujsku.

Przyczyny i przebieg buntu były następujące: nie podobało się niektórym

¹⁾ Wyższych połączeń od dywizji wzwyż.

²⁾ Załącznik nr. 165.

³⁾ Załączniki nr. 74 i 166.

⁴⁾ Miejscowe przechwałki. Ilustracja — załącznik nr. 165.

⁵⁾ Załącznik nr. 167.

⁶⁾ Załącznik nr. 148.

czynnikom, że organizuję armję regularną, a nie „bractwa”; że szeregi zapelniam żołnierzami, a nie „obywatelami” lub „serwusami”; że dyscyplina w wojsku panować musi i winna ona polegać na spełnianiu prawa, posłuchu i ładzie; że chcę mieć nad sobą jedną prawowitą władzę, a nie oglądać się na autorytety przygodnych ludzi i im się wysługiwać. Postanowiono przeto mnie usunąć. Obrano drogę konspiracji, jątrzenia szeregów z powodu drobnych i nieuniknionych w każdej armji niedociągnięć. *Była to robota, którą można bez przesady nazwać „zdradą”*; *zwracałem na nią uwagę ministra wojny* (był nim jen. Leśniewski). Nie wyłączając organów wywiadu ¹⁾ tak wszyscy byli zasugerowani autorytetem rządów warszawskich i tak zastraszeni ewentualnymi rozruchami, któremi straszono i nawet mnie próbowano nastraszyć (absolutnie się tego nie obawiałem ²⁾, że nie wykryto, czy nie odkryto przedemną faktycznego stanu rzeczy. Dałbym sobie wtedy radę ³⁾.

W Biedrusku na urzędach pozostawali Niemcy, których komisarjat nieopatrzenie ⁴⁾ zatrzymał. Tamże formowały się niektóre oddziały. Oficerów i podoficerów brakowało, przy śpiesznej organizacji wojsk należytego nadzoru nad poborowymi nie było i propaganda wywrotowa miała wdzięczne pole do działania. Z powodu jakiegoś nikłego defektu (na tle zaopatrzenia w żywność) wybuchł w nocy z 16 na 17 lipca 1919 r. bunt. Część żołnierzy chciała znieważyć doskonałego pod każdym względem por. Rodziewicza (nie Poznańczyka), który niczem się nie przyczynił do nieporządku. Ratując swój honor oficerski, R. ciężko postrzelił się. Rozruchy zostały niezwłocznie stłumione przez resztę żołnierzy. Ja zaś natychmiast wyznaczyłem komisję śledczą, składającą się z płk. Kędzierskiego, płk. Szczanieckiego i audytora Żuromskiego, a po przeprowadzeniu śledztwa, 17.VII sformowałem sąd polowy, składający się z 2-ch oficerów i jednego szeregowca. Sąd ten skazał na karę śmierci dwóch, na karę więzienia sześciu, a jednego uwolnił.

Przy formowaniu sądu wychodziłem z założenia, że to przysługuje mi na mocy przepisów niemieckiego prawa wojennego, ponieważ podsądni należeli do formacyj zmobilizowanych. Takie prawo posiadał głównodowodzący (rosyjskiej, austriackiej i niemieckiej armji). Opinia prawników, która początkowo również szła w tym kierunku, doszła jednakże, po zbadaniu rozporządzeń K. N. R. L. drogą interpretacji prawnej, do przekonania, że prawo to należy (w myśl § 22 rozporządzenia K. N. R. L. dotyczącego sądownictwa wojskowego przy D. G. z 20 stycznia 1919) uważać za zniesione.

¹⁾ Załącznik nr. 168.

²⁾ Załącznik nr. 169.

³⁾ Charakterystyczne, że ci, którzy brali udział w zakonspirowanych wystąpieniach przeciw władzy, lub maczali palce w tych przedsięwzięciach, właśnie najwięcej straszili rozruchami.

⁴⁾ Załącznik nr. 170.

Dowiedziawszy się o tem, przekazałem zaraz sprawę do ponownego rozpatrzenia Głównemu Sądowi Wojennemu w Poznaniu.

Sąd ten wydał wieczorem 22 lipca około godz. 8-ej wyrok, skazujący trzech winnych na karę śmierci, trzech na karę ciężkiego więzienia, a dwóch uwolnił. Wyrok więc ten był surowszy od wyroku sądu polowego. Akt sprawy w przeciągu następnego dnia *nie przedłożono mi* ¹⁾. Obrońcy zasądzonych wnieśli tymczasem prośbę o ulaskawienie, lecz nie na moje ręce, *jak to uczynić należało*, a na ręce K. N. R. L., który, powiadamiając mnie o tem, zażądał wstrzymania wykonania wyroku ²⁾. Tu się ujawniła intryga. Jakieś czynniki postanowiły ratować lajdaków, a może nawet ukryć nie przestępczej agitacji. Puszczono wszystko w ruch w celu przestraszenia mnie, aby w wykonaniu wyroku przeszkodzić; było wszak dobrze wiadomo, że wyrok każe wykonać, jak to już dwukrotnie miało miejsce. Słowem wystąpiono z za kulis przeciwko mnie.

Żądanie o wstrzymanie wyroku wypowiedzieli zastępcy K. N. R. L., którego właściwi przedstawiciele byli w Warszawie i również telefonicznie z Warszawy to żądanie potwierdzili. Komisarjat zastępczy wysłał adwokata Jana Sławskiego do Warszawy, celem zreferowania sprawy rzeczywistym członkom Komisarjatu. Delegat ten dopiero około godz. 9-ej wieczorem 23.7, począł szukać akt i wyroku u szefa wydziału administracyjnego przy D. G., który ich nie miał. Jeszcze o godz. 10-ej wieczór, t. j. na godzinę przed odejściem pociągu do Warszawy, telefonowałem o akta do prezesa Głównego Sądu. Okazało się, że wyjechał do Puszczykowa, a żona nie umiała wskazać, gdzie wyrok i akta się znajdują. Przeto adwokat Sławski bez nich wyjechał do Warszawy.

Dnia 24.7 rano, o godzinie 9-ej, wysłałem mego adjutanta ppor. Zyg. Plucińskiego, po wyrok do sądu. W sądzie oświadczone mu, że *wyrok w tej chwili* wysłany został do wydziału II/c w D. G. Adjutant przeto udał się do D. G. i, nie zastawszy w biurze nikogo prócz stenotypistki, sam musiał wyroku szukać i wreszcie znalazł go na stole. Zostawiwszy pisemne pokwitowanie z odbioru wyroku, adjutant wręczył mi go o godz. 10-ej m. 15.

Po zbadaniu akt, wyrok zatwierdziłem, wykonanie zaś wstrzymałem i akta wysłałem przez umyślnego kurjera do Naczelnego Wodza, pociągiem pospiesznym o godz. 11-ej w nocy. Nastąpiło to, na skutek telegramu, który odebrałem w nocy z 23 na 24 t. m. Treść była następująca:

Warszawa sztab generalny 2826.23.7.20.20.

Do Dowództwa Frontu poznańskiego Poznań.

Wskutek relacji posła *Korfantego*, wstrzymać wykonanie wyroku śmierci,

¹⁾ Porównaj załącznik nr. 168.

²⁾ Załącznik nr. 171.

wydanego na trzech żołnierzach za ekscesy w Biedrusku i bezzwłocznie przysłać odnośne akta naczelnemu dowództwu.

Naczelne dowództwo nr. 26803/IV
Piłsudski

Następnie wysłałem do Naczelnego Wodza szczegółowy raport¹⁾, do czego obowiązany nie byłem; zrobiłem to w celu zwrócenia uwagi na to, co się zaczyna robić w powstającym wojsku polskim.

Byłem zdania, że zasłużona kara musi koniecznie dosięgnąć winowajców, bo nie uszanowali tak wielkiego momentu, jak odrodzenie Polski. Względy na niedoświadczenie, rozprzężenie obyczajów z powodu tylko co przeżytej wojny, wreszcie na brak świadomości nie mogły podług mnie mieć miejsca.

Z tego też powodu wynikła sprzeczka między mną, a Komisarjatem.

Wtedy to komisarz Korfanty zwrócił się do Piłsudskiego, aby ten „zabronił mi“ wykonania wyroku. Nie był to „krok dowcipny“ bo przecież Piłsudskiemu wtedy jeszcze nie podlegałem i rządowi w Warszawie nie przysięgałem. Jego rozkazy nie były dla mnie obowiązujące; przysięgałem tylko Komisarjатовi, który, gdyby rozumiał swoje stanowisko, mógł sam zabronić wykonania wyroku. Tłumaczę sobie tę ucieczkę pod skrzydła Piłsudskiego tem, iż choć szanowni Komisarze mieli przekonanie, że w wojsku ład i dyscyplina panować muszą, to jednak przewagę wzięły uczucia, że tak powiem „cywilne“, t. j. obawa przed ewentualnymi rozruchami, oraz przede mną! A nuż się ogłoszę dyktatorem i każę Komisarzy powiesić? Bojaźń ta zapewne zaczęła się od wypadku, kiedy mimo presji Komisarjatu, kazałem rozstrzelać kilkunastu Niemców za przechowywanie broni, oraz trzech Polaków za rabunek i gwałty. W obydwóch wypadkach egzekucje były jaknajdokładniej wykonane i rozruchów nie wywołały; przeciwnie, rabunki, będące na porządku dziennym (od początku powstania) ustały, a Niemcy oddawali skwapliwie ukrytą broń, (o czem wyżej). Rozruchów nie należało się obawiać, choćby z tego powodu, że w świadomości ludzkiej góruje dążność do porządku, szczególnie, jeśli władza nie boi się go utrzymywać.

O ile znałem pp. komisarzy N. R. L., to wszyscy święcie wierzyli w siłę działania perswazji na.... tłumy (wiecowanie).

W sprawie wyroku, skazani zwrócili się też do mnie z charakterystyczną prośbą²⁾. Jednocześnie otrzymałem od arcybiskupa prymasa Dalbora list³⁾ z prośbą o ulaskawienie zasądzonych.

Widząc, że rozpętano intrygę przeciw mej osobie, a ściśle mówiąc, około przysługujących mi praw, chcąc usunąć zamieszanie, karę zmniejszyłem. Za-

¹⁾ Załącznik nr. 172.

²⁾ Załącznik nr. 173.

³⁾ Załącznik nr. 174 i 175.

telegrafowałem do Belwederu ¹⁾, że na prośbę księdza Prymasa, winnych ułaskawiam. Nie miałem racji zrzucać się przysługujących mi praw. Ponieważ w grę wszedł jeden z Komisarzy (Korfanty) akta do Belwederu wysłałem, które gdzieś tam ugrzęzły, tak, że o zwrot ich musiałem się dopominać ²⁾. Charakterystyczne, że wkrótce skazanych zupełnie ułaskawiono.

*

Bunt w Biedrusku był trzecim buntem w formowanych pod moim kierownictwem wojskach polskich. Wszystkie miały to samo źródło. Pierwszy miał miejsce w Bobrujsku 21.5.18. Skończył się fiaskiem.

Drugi bunt, w małej zresztą skali, miał miejsce na Ławicy u lotników wielkopolskich 15.5.19 ³⁾. Mało orjentującym się żołnierzom, przeważnie niefrontowym, burzyciele mówili, iż lotnikami kieruje Rosjanin, jak np. Haber - Włyński, (przezwany złośliwie Wasylem Włyńskim), oraz, że oni „naprowadzają w Wielkopolsce bolszewickie porządki“, które polegały na zaszczepieniu karności wśród rozpułtanego żołnierstwa niemieckiego. Na skutek tej agitacji jedna z kompanij wypowiedziała posłuszeństwo. Szef lotnictwa jen. Macewicz, nie potrafił sprawy zlikwidować, musiałem zrobić to sam. Lotnicy spotkali mnie w szyku zwartym, co już było dowodem, że buntu we właściwym znaczeniu nie było. Wy tłumaczyłem żołnierzom, że do kierownictwa i uruchomienia lotnictwa dobieram siły, gdzie się da, ale, że są to siły polskie, znane nie tylko u nas, ale i zagranicą, jak np. tenże sam Haber — Włyński. Objasniłem, że państwo nie może zaczynać swego istnienia od nieporządków w szeregach — trzeba się dla Polski czegoś zrzec. Na ten „bunt“ się skończył.

Trzeci bunt był w Biedrusku.

Staranny wywiad wykrył, że organizują nieporządki czynniki, grawitujące ku osławionym rządóm „Lubelskim“. Zamachowcy dążyli do tego, by, przeszkadzając mi w robocie, spowodować usunięcie mnie ze stanowiska. Ta okoliczność jest godną uwagi. Jestem Polakiem, pragnąłem, by Polska z mej wiedzy i doświadczenia skorzystała! Wynikało z tego, że w Płosce niema miejsca dla mnie.

Wypadki w Biedrusku uwypukliły fakt, że moja najwyższa władza polityczna, zamiast zrozumieć sytuację i poprzeć mnie w zaprowadzaniu ładu, zwraca się do Piłsudskiego, t. j. do władzy, której sama jeszcze nie uznała, o poparcie w celu zmuszenia mnie do odstąpienia od wykonania należnych mi praw. Nie jestem zdolny do dwoistości, nie posiadam absolutnie umie-

¹⁾ Załącznik nr. 176.

²⁾ Załącznik nr. 177.

³⁾ Załącznik nr. 178.

jętności do intryg. Ponieważ w swojej działalności napotykałem na przeszkody, a zmienić swego zapatrywania nie miałem racji, podałem się do dymisji¹⁾; zawiadomiłem o tem Naczelnego Wodza²⁾, a, ponieważ odpowiedzi od Komisarjatu nie otrzymałem, powtórzyłem prośbę telegraficznie³⁾.

Naskutek mej dymisji wszczął się alarm w prasie, która wypowiedziała się za niemożliwością mego ustąpienia. Komisarjat dopiero 28.7.19. odpisał. Odpowiedź była wykrętna. Zrozumiałem ją jako osłodzenie pigułki⁴⁾. Jedynie Andrzej Niemojewski ocenił sytuację, która się koło mnie wytworzyła⁵⁾.

Agitację przeciwko mnie w Poznańskim rozwijano tak intensywnie, że już 20.7. zmuszony zostałem postawić Komisarjatowi zapytanie, czy nie czas odejść nam wszystkim „Ruskom“ z Poznańskiego?⁶⁾. Odpowiedź była negatywna.

Agitacja szła w tym kierunku, że ja i moi najbliżsi pomocnicy byliśmy z rosyjskiego zaboru⁷⁾. Rozpuszczano nawet pogłoskę, że jesteśmy „Moskale i bolszewicy“. Później, — że oficerom gażę podwyższono, a żołnierzom dają grosze. Wreszcie, że wszystkich młodzików ja awansuję na wyższe stanowiska. O wrzeniu w szeregach wiedziałem z raportów organów wywiadowczych (wyciąg z jednego podaję)⁸⁾ i motywy tego wrzenia były mi znane.

Dzięki propagandzie socjalistycznej, podniecającej chciwość, zazdrość i chęć użycia (byłe kiep mówił: „i ja potrafię być pułkownikiem“), masy nie uświadamiały sobie tego, że służba w szeregach nie jest źródłem zarobku, a tylko obowiązkiem. Ja zaś stale to wbijałem do głów, podkreślając, że między żołnierzem (regularnym), a zwyczajnym najemnikiem niema podobieństwa; co ten ostatni podejmie się wykonać za mniej, lub bardziej wysoką opłatą, to żołnierz — patriota, życia swojego za pieniądze nie sprzedaje. Tymczasem, rozczulając się nad dolą żołnierza, sejm podniósł gażę wojsku w Kongresówce. Nie jest celowym sposób kupowania sympatji szeregów, względnie osłodzenie doli żołnierza, podwyższeniem gaży. Ale jeżeli w Kongresówce podniesiono gażę, należało zrobić to i w wojskach wielkopolskich, (tak sądziła część masy żołnierskiej).

Gażę podniesiono i w Poznańskim, ale tylko młodszym oficerom, którzy pobierali rzeczywiście nędzne wynagrodzenie, będąc na własnym kompletnym utrzymaniu.

¹⁾ Załącznik nr. 180.

²⁾ Załącznik nr. 181.

³⁾ Załącznik nr. 182.

⁴⁾ Załącznik nr. 183.

⁵⁾ Załącznik nr. 184.

⁶⁾ Załącznik nr. 185.

⁷⁾ Załącznik nr. 185.

⁸⁾ Załącznik nr. 178.

Pozatem należy wyjaśnić, że w wojsku wielkopolskiem „zielonej młodzieży“ nie awansowano; nie mieliśmy tu 25-letnich pułkowników, a nawet kapitanów. W „Królestwie“ byli tacy. Żołnierze nie zdawali sobie sprawy, że w onym czasie między Poznańskiem, a Kongresówką istniała różnica.

Na wrzenie w szeregach zwracali mi uwagę starsi dowódcy; jako potwierdzenie tego, co było, mam list pisany do mnie, przez jednego z najwybitniejszych oficerów wojsk Poznańskich¹⁾.

Na to zjawisko zwrócił również uwagę jen. Haller²⁾.

*

W armji pruskiej, w ostatnich latach 19-go i w początkach 20-go wieku, było bardzo mało Polaków, zawodowych oficerów; zdarzali się tylko Niemcy, w rodzaju: von Paczensky, Grzesinsky, Obersky etc. Z tej armji, przy formowaniu wojsk wielkopolskich, otrzymałem do dyspozycji w starszych szarżach dwóch oficerów: płka Unruga i majora Raszewskiego. Płk. Unrug był dzielny i chętnym pracownikiem: za zasługi położone przy formowaniu wojsk wielkopolskich został awansowany na generała. Z wielką wdzięcznością wspominam czas współpracy z nim.

Co do majora (czy ppłka) Raszewskiego, to dano mi do zrozumienia, bym powierzył mu wybitniejsze stanowisko. W celu zaznajomienia się z nim zaprosiłem p. R. do siebie i oświadczyłem, że wysoko cenię oficerów z pruskiej armji, ale mam zasadę, że każdy, choćby był w starszej randze, musi zacząć służbę od tworzenia mniejszych taktycznych organizmów³⁾, proponuję mu więc objęcie dowództwa nad formującym się właśnie 3-cim pułkiem ułanów, poczem zobaczymy co będzie dalej.

Płk. Raszewski do pułku pojechał, ale był tam krótko.

Rada Ludowa postanowiła utworzyć coś w rodzaju ministerjum wojny. (o czem nawet jest wzmianka w umowie zawartej ze mną). Na czele właśnie tej instytucji stanął ppłk. Raszewski. Instytucja ta była zbytecznym balastem przy armji, liczącej około 60 tysięcy (bez pospolitego ruszenia); mógłby potrzebom wojska podolać nieco rozszerzony sztab, lub intendentura. Nie protestowałem jednak, żeby nie posądzono mnie o jakieś osobiste ambicje. Zresztą wkrótce okazała się zbędność, a nawet szkodliwość tego „ministerjum“, czy decernatu; mianowicie zakupiło ono od Niemców kilka aeroplanów takiego systemu, który wpadał w korkociąg. Na pierwszej próbie jeden aparat rozbił się. Oczywiście zaprotestowałem przeciwko nabywaniu takich płatowców.

¹⁾ Załącznik nr. 186.

²⁾ Załącznik nr. 187.

³⁾ Porównaj rozdział XXIV.

Niebawem zaczęły dochodzić do mnie pogłoski, że ppłk. R. „szyje mi buty“. Nie mogłem zrozumieć na czym takie postępowanie było oparte, ale wkrótce dowiedziałem się, że wynika to z przekonania o wyższości wszystkiego, co pochodzi z niemieckiej armji i z czem, rzekomo, nikt konkurować nie jest w stanie.

Rzeczywiście pruska armja była, i jest obecnie, godną naśladowania; jednak i w niej nie wszystko było doskonałością, bo nieraz musiało w czasie wojny ulec. Byłem jednym z liczby tych szczęśliwców, którzy przy spotkaniu z armją niemiecką stale mieli przewagę. Zacząłem debiuty na skórze 2-go korpusu rezerwy gwardji niemieckiej, który zmusiłem do tak szybkiej ucieczki z pod Warki, że mimo największego mego wysiłku nie mogłem go



Putki Strzelców Wielkopolskich defiiują na Ławicy w dniu 3-go maja 1919 r.

dogonić; do moich rąk wpadł tylko sztab. Drugie spotkanie było pod Szczercowem, z pod którego Niemcy spiesznie się wycofali. Przy trzecim spotkaniu dał się „zanulować“ jen. von Paczensky w okolicy miasteczka Warki.

W kilka dni później niemiecka dywizja porządnie przetrzepana, ledwie zdążyła uniknąć zagłady niedaleko Piotrkowa. W r. 1915, atakując pod Przasnyszem, zdobyłem pozycję i kilka baterij. Nigdy bity przez Niemców nie byłem i dlatego twierdzę, że jako dowódca nie ustępowałem niemieckim generałom.

Natomiast jak się okazało, nie wszyscy byli oficerowie armji niemieckiej, dobrze pojmowali, czem jest dyscyplina, o czem niżej.

★

Postanowiono w Poznaniu obchodzić uroczystie święto 3-go maja. Przy układaniu programu uroczystości powstały niemałe tarcia kto, co i jak ma zrobić. Zaproponowałem, żeby urządzić wielką rewję, chcąc pokazać Wielkopolanom,

co ich wysiłki, łącznie z moją pracą i trudem oficerów, dały konkretnego. W końcu, władze zgodziły się na moją propozycję. Pościagałem wszystko, co było można, nie ogałając frontu, gdzie Niemcy, wbrew rozejmowi, wciąż nas niepokoiли. Wydałem odpowiednie rozkazy, gdzie kto na placu rewji na Ławicy ma się znajdować. Zarządziłem też, żeby koło mnie, jako asystującemu Komisarjатовi N. R. L., nikt nie stał konno.

Oczywiście na rewji, którą urządzano dla przedstawicieli sejmu, ja miałem decydujący głos, czego Komisarjat nie kwestjonował.

Gdy się rewja zaczęła, ujrzałem, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, pośród członków Komisarjatu i tuż za mną p. „ministra wojny“ i to konno.



Defilada Wojsk Wielkopolskich w dn. 3 maja 1919 r.

Pomijam nietakt, polegający na tem, że wśród cywilnych przedstawicieli najwyższej władzy, stojących na własnych nogach, nie może się znajdować na koniu wojskowy, im podległy, nic z rewją nie mający wspólnego, a to z tego powodu, że każdy „piechur“ czuje się niejako poniżony przed jeźdźcem. A przedewszystkiem było to niewykonaniem mojego rozkazu.

Jeżeli ppłk. Raszewski uważał się za równouprawnionego członka Komisarjatu, to powinien był stanąć wyżej odemnie, a nie zajmować miejsce z cywilami. Zwróciłem się więc uprzejmie, ale stanowczo, z propozycją wycofania się. Obejrzawszy się po kilku minutach zauważyłem, że ppłk. R. rozkazu nie spełnił. Nie chciałem robić awantury wobec władz miejscowych i członków sejmu, oraz publiczności, przypatrującej się defiladzie wkrzeszonej Armji Polskiej. Dopiero po rewji ogłosiłem naganę. Zdawałoby się mogło, że incydent został wyczerpany. Tymczasem wkrótce zwrócił się do mnie komisarz Korfanty z żądaniem, bym naganę cofnął. Objaśniłem motyw mego postępowania. Później się okazało, że ppłk. R. znajdował się obok

Komisarjatu za zezwoleniem tegoż, miał więc do pewnego stopnia rację¹⁾, ale w takim razie winien był albo mi o tem zameldować na miejscu, (czego nie zrobił), albo być w gronie Komisarjatu pieszo, co nie wywołałoby incydentu. Oświadczyłem zatem, że cofnąć nagany nie mogę, a jeżeli stać się to koniecznie musi, to, nie odwołując nagany, gotów jestem podać się do dymisji. Korfanty się z mojami wywodami zgodził i na tem na razie sprawa się wyczerpała.

Po dość długiej przerwie, Komisarjat zwrócił się znowu z ponownym żądaniem cofnięcia nagany²⁾. Oczywiście ponownie odmówiłem³⁾. Ratując jednak „prestige“ Komisarjatu, zaproponowałem takie wyjście. Ponieważ ja, robiąc uwagę ppłk. R., miałem rację, jako starszy na placu rewji, on zaś



I Pułk ułanów Wielkopolskich defiluje rozwiniętymi szwadronami
w czasie uroczystości 3-ciomajowych.

mego rozkazu nie spełnił, do czego w pewnym stopniu przyczynił się Komisarjat, przeto niech Komisarjat zwróci mi uwagę za zbytnią surowość mej nagany, a pułk. R., który nie spełnił mego rozkazu, choć powinien był to uczynić, ogłosi wymówkę.

Na tem stanęło. Ja dostałem odpowiednie pismo⁴⁾; zaś ppłk. R. otrzymał prócz pisma, (którego, nie mając, nie ogłaszam) nauczkę, że *dyscyplina nie tylko jest pojęciem „międzynarodowem“, ale i subtelnem.*

*

Organizowanie wojska wielkopolskiego posuwało się w takim tempie, że już na początku marca 1919 r. było gotowych dziewięć pułków strzelców,

¹⁾ Załącznik nr. 188.

²⁾ Załącznik nr. 189.

³⁾ Załącznik nr. 190.

⁴⁾ Załącznik nr. 191.

dwa pułki ułanów, odpowiednia ilość artylerji, saperów, oraz treny i wojska sanitarne. Trzy pułki strzelców i pułk ułanów były w stadjum formowania. Od pracy stale mnie odrywano dla udziału w różnych komisjach. W początku marca przybyli przedstawiciele Ententy, z ministrem Noulens na czele, w celu przerwania walk z Niemcami. Przybyła też jednocześnie komisja niemiecka z jakimś dygnitarzem.

Od 18 stycznia 1919 r. był przy mnie, jako łącznikowy sztabu marszałka Foch'a por. armji francuskiej, Żuaw Martin. Zjawienie się tego oficera na placu Wolności w Poznaniu podczas zaprzysiężenia pierwszych regularnych wojsk wielkopolskich, wywarło silne wrażenie; zdaje się, że nie mniejsze na cudzoziemcach — wojsko wielkopolskie, wystawione w dzień przyjazdu Noulensa, jako warta honorowa. Nie spodziewano się, by powstańcy mogli być przekształceni w tak krótkim czasie w regularne oddziały. Po całym szeregu uroczystości na cześć Ententy, zaczęły się konferencje. Delegaci niemieccy nawiązali jakieś tajemnicze stosunki z miejscową ludnością niemiecką; bardzo prędko się zorientowali, że są obserwowani. Agenci moi nie byli dostatecznie wyszkoleni w pełnieniu służby wywiadowczej i nie czuli się obowiązani do uprzejmości, przeto niemiecki poseł poskarżył się Noulens'owi. Miałem z tego powodu rozmowę, podczas której oświadczyłem, że wojna z Niemcami toczy się, choć pertraktacje o zawieszenie broni trwają, i że z tego powodu przed podpisaniem rozejmu nie mogę się zgodzić, by „Bosze“ mieli się w Poznańskim za stronę równouprawnioną. Zostali wyrzuceni i muszą liczyć się z tem, że nie mają prawa porozumiewać się bez mojego pozwolenia z byłymi poddanymi, przeważnie urzędnikami, którzy z tych lub innych powodów pozostali na miejscu. P. Noulens zgodził się ze mną, prosił tylko, by inwigilacja odbywała się możliwie jaknajdelikatniej. Tem niemniej Niemcy zostali upokorzeni, co było drobną zapłatą za wyrażone nam w czasie niewoli krzywdy.

W owym czasie, kiedy toczyły się pertraktacje, byłem zaniepokojony tem, że „Grentzschutz“ wie o wojskach wielkopolskich więcej, niż to jest dopuszczalne w normalnych stosunkach wojennych. Oczywiście byliśmy szpiegowani, ale jak i przez kogo? Zupełnie przypadkowo wykryłem, że jednym z takich informatorów, był zamieszkujący poza naszym frontem niemiecki jen. Fersen. Polecilem więc kapitanowi Seydzie dokonania na miejscu rewizji; niby nic podejrzanego nie znalazł, za wyjątkiem dziennika, w którym szczegółowo opisano, co się na froncie u nas robi, np. była taka wzmianka: „wreszcie dowiedziałem się, gdzie stoją ciężkie polskie baterje“. Donoszą mi też, że niemiecki aeroplan stale krąży nad posiadłością Fersena.

Kazałem go więc aresztować i odesłać do Szczypiorny, tam gdzie odsiadali swoje legjoniści.

Ten Fersen, jeszcze za czasów okupacji Białorusi, w r. 1918, zjawił się w Bobrujsku z propozycją bym mu „sprzedał“ konie, względnie pomagał

przy zakupie ich dla niemieckiej armji. Sojusznikiem Niemców nie byłem, braterstwa im nie przysięgałem, z nimi w niczem nie współdziałałem, więc taka propozycja była conajmniej bezczelna. Postanowiłem zakpić z owego jenerała. Koni nietylko korpusowych nie dostał, ale po długich zabiegach nie mógł ich kupić nawet z wolnej ręki. Gdy się zorjentował, że zawdzięcza to mnie, poskarżył się Beselerowi; Niemcy przekonali się, że przyjaźni ni braterstwa broni z nimi nie zawrę.

Niestety znajomi Fersena zmobilizowali w Poznańskim wpływowych ludzi i Komisarjat polecił go wypuścić. Zastrzegłem jednak, że musi wyjechać do Niemiec; wkrótce też tam umarł. Jak sam oświadczył, pochodził z tych Fersenów, z których jeden przyczynił się do naszej klęski pod Maciejowicami.

*

W listopadzie 1919 r. przybył do Poznania wysłaniec ludności polskiej z Bydgoszczy z prośbą, bym odebrał Niemcom to miasto.

Oddawna zajmowałem się kwestją wyrzucenia Niemców z prawego brzegu Noteci. Mogłoby się to stać z niewielkim nakładem sił, a potrzebne było koniecznie. Po bitwie pod Kcynią¹⁾ nasze baterje wzięły pod ogień linję kolejową Toruń - Piła. Z tego powodu Niemcy oskarżyli mnie o agresywność i stałe ich krzywdzenie. O tem, że właściwie to ich baterje ostrzeliwały nasze pozycje i burzyły²⁾ wsie po naszej stronie, nic nie wspominali, choć warunki rozejmu zostały przez nich przyjęte³⁾. Ich działanie wywoływało naszą kontrakcję. O stałej agresywności Niemców świadczy cały szereg dokumentów⁴⁾ i sami się nawet do tego przyznali⁵⁾.

W sprawie, kto kogo krzywdzi, jeździł przedstawiciel Ententy, płk. Marquet; przekonał się o winie Niemców⁶⁾. Miałem jednak wrażenie, że Komisarjat dawał więcej wiary im, niż nam. Kazano mi zaprzestać działania.

Po przybyciu delegata z Bydgoszczy, zwróciłem się do płk. Marquet, jako przedstawiciela armji francuskiej, z zapytaniem czy nie wynikną jakiekolwiek komplikacje, jeżeli wyrzucę Niemców z tego miasta. Objąśniłem, że przyczyną, dlaczego chcę to zrobić jest, po pierwsze, stały przewóz materjału wojennego, który winienby się zostać na miejscu, a po drugie to, że Niemcy zatrzymują w szeregach „Grenzschutzu“ mieszkańców, zajętych jeszcze przez nich terenów. Opanowanie Bydgoszczy przeszkodziłoby im w prowokowaniu nas. Po naradzie ze swojemi władzami P. Marquet oświad-

¹⁾ Patrz rozdział XXIV.

²⁾ Załącznik nr. 192.

³⁾ Załącznik nr. 193.

⁴⁾ Załączniki nr. 194 i 195.

⁵⁾ Załączniki nr. 196 i 197.

⁶⁾ Załącznik nr. 198.

czył, że Bydgoszcz oraz Pomorze bezwzględnie będą przyznane Polsce i, że on po przyjacielsku radzi, nie wszczynać kroków zaczepnych, ponieważ misja między - aljancka oświadczyła Niemcom, że bierze odpowiedzialność na siebie za zaprzestanie jakichkolwiek kroków zaczepnych z naszej strony, zatem atak na Bydgoszcz postawiłby ją w fałszywym położeniu. Musiałem się z tem pogodzić i Bydgoszczy w walce nie zająłem ¹⁾.

*

Przy mnie stale znajdowali się „attachés militaires“ Francji, Włoch, Anglii i Ameryki. Byli to wszystko ludzie nadzwyczaj sympatyczni i dla nas



Wjazd Jen. J. Dowbor-Muśnickiego do Bydgoszczy,
podczas obejmowania przyznanego Polsce Pomorza.

przychylni, ale jak bardzo różnili się charakterami! Przedstawiciel Francji płk. Marquet był moim przyjacielem. We wszystkich ważniejszych sprawach radziłem się jego, a podczas wszystkich moich podróży na front zawsze mi towarzyszył.

Przedstawiciel Włoch jen. Romei najserdeczniej odnosił się do sprawy polskiej. Za jego wstawiennictwem bez jakichkolwiek dyplomatycznych, a więc przeciągłych pertraktacyj, Włosi wysłali pod Lwów armaty. Jedynie oni, bez ubocznych informacji, dekorowali mnie orderem Włoskiej Korony, co było uczynione z wielką okazałością i pompą na Zamku w Poznaniu.

Anglik był bardzo grzeczny i uprzejmy, ale zimny jak każdy syn Albionu. Mógłby zrobić wiele, ale jakoś nie kwapił się z tem, (coprawda o nic go nie prosiłem).

¹⁾ Bydgoszcz została zajęta po przyznaniu Polsce Pomorza. Patrz str. 330, rozdz. XXVII.

Wreszcie Amerykanin, jako przedstawiciel państwa, wyłącznie zajętego „businessami“, nietylę zajmował się sprawami wojskowymi, ile jeździł po terenach Poznańskiego, wyszukując, na czym możnaby zrobić interes. Po jednej z takich przejażdżek powiedział mi z rezygnacją: „ale przecież tu u Was, nic prócz kartofli niema“.

Z działalnością moją w Wielkopolsce pewien związek ma oderwanie Śląska od Niemiec. Myśl o tem zrodziła się na ziemi Wielkopolskiej. Nie jest mi wiadomem dokładnie, jak się myśl ta przekształciła w konkretne formy. Zrealizowanie projektu przypisują Korfantemu, a przywłaszczają sobie Legjoniści; dlaczego? — to jest ich tajemnicą. Kto był świadkiem przeżyć owej doby, ten bez wahania przyzna zasługę tylko Korfantemu¹⁾. Gdyby ten poza swoim rozumem i rzutkością, posiadał większą stanowczość, stałby się zapewne najwybitniejszym Polakiem naszych czasów.

W tajniki całej imprezy śląskiej wtajemniczony nie byłem. Wiedząc jednak, że bez walki nie obejdzie się, przystąpiłem do formowania pułku ze Ślązaków. Na dowódcę wyznaczyłem Legjonistę, (a może tylko wielbiciela Piłsudskiego). Powiedziałem „wyznaczyłem“ ale nie „wybrałem“, bo uczyniono to w Warszawie i obranego przysłało do mnie. Był on inżynierem z zawodu. Z wojskowością miał tyle wspólnego, że umiał wciągnąć na bary mundur. Nic to! Przecież historia wskazuje, że nawet z eskpedjenta można zrobić generała.

Pułk, nazwany przeze mnie Bytomski, miano formować z b. żołnierzy pruskich - Ślązaków. Sądziłem, że formowanie pójdzie gładko. Tymczasem, gdy po pewnym, a dość długim czasie, posłałem jednego ze starszych oficerów w celu dokonania rewji, okazało się, że sprawa idzie powoli, nieumiejętnie i nie w tym kierunku, którego sobie życzyłem²⁾. Prawda, że nikt się pułkiem Bytomskim po ojcowsku nie zajął. Śląsk jeszcze za broń nie chwycił, a Warszawa nic konkretnego nie zrobiła. Ja też niewiele, a to dlatego, że nie mając nadmiaru materiałów dla wojska wielkopolskiego, nie mogłem odbierać ich dla Bytomskiego pułku³⁾. Jednakże uczyniłem, co mogłem; zapoczątkowałem formację, wysyłając Ślązaków, przebywających w szeregach wielkopolskich i zaopatrując ich, w co było można.

Po wybuchu powstania, straciłem pułk Bytomski z oczu.

*

Wkrótce doszły do mnie skargi, że powstańcom brakuje artylerji. Wydo-
byłem więc cztery armaty starego typu i w dn. 19.8. 19. wysłałem je, jako
działa pozycyjne. Jakże zdziwiłem się, gdy wkrótce wróciły one do Pozna-

¹⁾ Egzystują jacyś powstańcy „Ślasy“, którzy w czasie powstania „wojowali“ w Warszawie.

²⁾ Załącznik nr. 199.

³⁾ Na Poznańskie wogóle patrzono, jak na bogatego wujaszka, który miał płacić długie
pomagać wszystkim krewnym.

nia; zrobił to jakiś strategik legjonowy; dlaczego? Pan Bóg wie. Prawdopodobnie dlatego, że nie wiedział jak je użyć. Tymczasem działa jako artylerja pozycyjna, doskonale mogły służbę pełnić; a gdyby nawet były stracone, nie należało zbytnio się martwić, tem bardziej, że posiadały ograniczoną ilość pocisków. W r. 1914 Francuzi utrzymali się tylko dzięki temu, że wyciągnęli z arsenałów wszystkie stare, prawie „przedpotopowe“ armaty i wzmocnili niemi swoje pozycje. A tu?

Powstanie winno było wybuchnąć, bo Niemcy wcale niedwuznacznie podkreślali, że Śląska nie oddadzą. Wtedy w Poznańskim zawrzało. Ludność urządziła wiece domagając się ode mnie natychmiastowego wkroczenia na te ziemie polskie ¹⁾. Tymczasem, nikt mnie nawet o niczem nie informował, żadnych dyrektyw jak mam postąpić nie przysyłał; na terenach zaś Poznańskiego pozostały tylko okruchy wojsk.

Gdy doszła wiadomość o wybuchu powstania, poruszyłem wszystkie znajdujące się w Poznaniu oddziały i kazałem przejść im przez miasto, rozpuszczając pogłoskę, że wysyłam je na Śląsk. Była to oczywiście tylko demonstracja, ale o fakcie tym Niemcy dowiedzieli się.

Na Śląsku, podczas powstania bić się — bito; sądę jednak z relacji wywiadu, że więcej tam działał Korfanty „gadaniem“, niż wojsko mieczem...

¹⁾ Załączniki nr. 200 i 201.

ZJAZD KALISKI

W dniu 1 stycznia 1920 r. otrzymałem zaproszenie z Naczelnego Dowództwa, żebym przyjechał do Kalisza, w celu omówienia z Naczelnym Wodzem, sprawy objęcia Pomorza. Zjazd ten, szumnie nazwano: „spotkaniem *potentatów Wschodniego i Zachodniego*“. Na parę dni przedtem przyszło z Jeneralnego Sztabu zapytanie, w jaki sposób należy zająć, przyznane nam przez Traktat Wersalski, Pomorze.

Zapytania, postawionego w takiej formie, nie oczekiwałem. Zakrawało na to, że czcigodny Sztab nie wiedział sam, jak tę kwestję rozwiązać, więc albo zasięgał opinii „urbis et orbis“, albo też chciał uprzednio skontrolować, czy aby jego, powiedzmy, podwładni potrafią zadanie wykonać. Normalnie Sztab Jeneralny (Sztab Naczelnego Dowódcy) opracowuje plan działań łącznie z jenerałem - wykonawcą, albo stawia obranemu wykonawcy zadanie, a do szczegółów się nie wtrąca. Tkwiła tu może różnica w systemach szkolenia wojsk w Austrii i w Rosji, lub brak właśnie tego wyszkolenia, ale wywołało to we mnie niesmak.

Przypuszczałem, że objęcie Pomorza będzie mnie zlecone, bo przecież ja, a nie kto inny i bez niczyjej pomocy lub wskazówek zacząłem formować wojska Pomorskie ¹⁾. Zbyłem więc odpowiedź byle czem, wskazując tylko na konieczność objęcia Pomorza ruchem z południa na północ, a to gwoili przecięcia, w najkrótszym czasie, linji kolejowych, a z tych najważniejszej, wiodącej z Torunia do Piły. Wszystkie te linje, szły ze wschodu na zachód. W kilka dni, najwyżej cztery, używając jazdy, linje te byłyby przerwane koło Piły, Chojnic, Sonne-walde, Kętrzyna i Wejherowa. Niemcy nie mieliby czasu dla ostatecznej ewakuacji materiału wojennego, który na mocy Traktatu Wersalskiego należał do nas.

Stało się inaczej. Niemcy mieli jakoś szczęście. Polecono mi tylko objąć tereny byłej regencji bydgoskiej, bez Torunia, oraz skrawków Poznańskiego w okolicach Leszna i Zbąszyna. Pomorze objąć miał Haller ruchem ze wschodu na zachód i wzdłuż Wisły, co wymagało dłuższego czasu, gdy w danym razie chodziło o jak najszybsze zajęcie zachodnich granic Pomorza.

Gdy w czasie zjazdu w Kaliszu, gdzie ze mną o niczem nie mówiono, zwró-

¹⁾ Dywizję piechoty z artylerją i pułk ułanów, na co środki dał Komisarjat N. R. L. t. j. Poznańskie.



„Trzech Józefów“
na Zamku w Poznaniu podczas wizyty Naczelnika Państwa.
(Prawa autorskie zastrzeżone).

ciłem w cztery oczy uwagę Piłsudskiemu na niekorzystny kierunek ruchu wojsk przy objęciu Pomorza, otrzymałem odpowiedź: „proszę Pana tej kwestji nie poruszać“. Piłsudski nie może być moim nauczycielem, względnie mentorem, jeżeli zaś pretendował do tego to, obowiązany był właśnie kwestję tę mi wyjaśnić; tego zaś nie zrobił. Może nie chciał odkrywać jakiegoś politycznego posunięcia? Pomimowoli znów przypominałem sobie jego słowa¹⁾: „jedź Pan do Wielkopolski, ale nie mów, że Pan jedziesz w moim imieniu“.

*

Nieco wcześniej przed zjazdem w Kaliszu miał miejsce następujący fakt.

Było trzech generałów poruczników, posiadających tę rangę przed przybyciem do kraju, którzy dla polskiej sprawy coś zrobili; mianowicie Szeptycki, Haller i ja. Haller w chwili wybuchu wojny światowej był tylko kapitanem rezerwy. W swoim czasie objął dowództwo nad jedną z brygad legjonowych, zdobywając tytuł brygadiera. „Brygadjer“ jest faktycznie dowódcą brygady, t. j. dwóch pułków²⁾, każdy po 2 — 4 bataljony. Ranga brygadjera istniała do drugiej połowy XIX-go wieku; później wszędzie została skasowana. W czasie wojny światowej używano tej „nomenklatury“ dla określenia, zajmowanego w armji podrzędnego stanowiska, względnie do określenia pewnej funkcji; brygadjerem mógł być tak kapitan jak i generał.

Komitet Narodowy we Francji awansował Hallera na generała dywizji, było to w jego mocy. Ale taki szybki awans, lepiej powiedzieć skok, z brygadjera na komenderującego generała przypomina nieco epokę Katarzyny, lub Ludwika XVI-go, bo nawet Napoleon nie robił takich susów. Nie zazdroścę Hallerowi; przyznaję mu dużo dodatnich cech, których nie posiadam. Chcę tylko wyjaśnić, że Haller osiągnął wyższą rangę wojskową drogą nie stosowaną w armjach regularnych; w każdym razie był młodszy od Szeptyckiego i odemnie.

Jen. Szeptycki jest zawodowym oficerem austriackim; ukończył wyższe studia wojskowe. Znałem go już w randze majora w r. 1904, gdy sam byłem tylko kapitanem. Urodziliśmy się w jednym roku Pańskim (1867). Na wojnę światową wyruszyliśmy w rangach pułkownika, przyczem Szeptycki był szefem sztabu korpusu, a ja tylko dywizji; zajmował więc wyższe stanowisko. Do Polski przybyliśmy obaj, jako generałowie porucznicy.

W dn. 19 marca 1919 r., Komisarjat N. R. L., jako najwyższa i niezależna od nikogo władza, awansował mnie na generała broni. W parę miesięcy później byli awansowani dekretem Piłsudskiego — Haller i Szeptycki, też na generałów broni. Okazało się więc, że w Polsce jest trzech takich generałów. Rozpatrując kwestję chronologicznie, najstarszy byłem ja, później Szeptycki.

¹⁾ Podczas audjencji w Warszawie dn. 7.1.19. Patrz rozdz. XXIV.

²⁾ Podczas Wielkiej Rewolucji nazwę pułk skasowano, wprowadzono wzamian półbrygady.

tycki, najmłodszy Haller. Nie mam nic przeciw przyznaniu pierwszeństwa Szeptyckiemu, jeżeli był awansowany na generała podporucznika wcześniej odemnie ¹⁾, bo w rangach jeneralskich starszeństwo liczy się nie na podstawie chronologii, lecz zależnie od zajmowanego stanowiska. Szeptycki był w Polsce ministrem wojny, stał więc hierarchicznie wyżej odemnie.

Tak, czy inaczej, trzeba było nas trzech, że tak powiem, rozstawić. Komisja Weryfikacyjna, względnie Ministerjum Spraw Wojskowych, nie mogąc rozplątać kwestji naszego starszeństwa, przedstawiło ją do rozstrzygnięcia Piłsudskiemu; przyczem na liście mnie postawiono na pierwszym miejscu, Szeptyckiego na drugim, Hallera na ostatnim, tak, jak słusznie wynikało z obliczeń lat służby. Piłsudski postawił mnie na drugim miejscu, Hallera na pierwszym, Szeptyckiego na trzecim; czem się przytem powo-



Obiad, wydany przez K.N.R.L. podczas wizyty Naczelnika Państwa w Poznaniu.
(Prawa autorskie fotografii zastrzeżone).

dował, nie wiadomo. Trudno jednak było wyzbyć się przypuszczenia, że zrobił to celowo. Mianowicie Szeptycki i ja byliśmy generałami z prawdziwego zdarzenia, Haller zaś stał się nim, dzięki okolicznościom. Stawiając Hallera na pierwszym miejscu, Piłsudski widocznie chciał podkreślić, że fachowość nie ma znaczenia, decyduje tylko przynależność do legjonów ²⁾.

*

W sierpniu 1919 r. „Front Wielkopolski“, którego dowódcą byłem wyznaczony przez Naczelnego Wodza, faktycznie już nie istniał. Wojska wielkopolskie przetransportowano na wschód. Z Armji Wielkopolskiej, liczącej około

¹⁾ Ja awansowałem 28.VIII.1915 r.

²⁾ Prawda, Szeptycki też dowodził Legjonistami, ale był tylko „żołnierzem“, a. nie „obywatелем-żołnierzem“.

75 tys. regularnego żołnierza, pozostałem tylko ja i „Oddział Likwidacyjny“, stworzony dla zakończenia i uporządkowania akt. Byłem więc dowódcą papierowego frontu. Niebawem wyrzucono mnie z gmachu Dowództwa Głównego, gdzie zainstalowało się D. O. K. z jen. Zielińskim na czele. Robiono to pod kierownictwem kpt. Stachiewicza¹⁾ tak pośpiesznie, że ledwie zdążyłem znaleźć i wynająć małe mieszkanko dla rodziny. Taki był koniec Epopei Wielkopolskiej, na który nie zasłużyłem!

Sądzę, że praca w Oddziale Likwidacyjnym nie była zajęciem dla generała broni a jednak przez przeciąg prawie całego roku, innego polecenia mi nie dano. W roku 1920 zwróciłem się do jen. Hallera, wyznaczonego wtedy Dowódcą Armji Ochotniczej, by przyjął mnie do tej Armji na jakiegokolwiek stanowisko. Jednocześnie zawiadomiłem o tem Piłsudskiego. Dziwnym zbiegiem okoliczności Haller mego telegramu nie otrzymał; taką otrzymałem odpowiedź, gdym go o los mej prośby kiedyś zapytał. Oczywiście byli tacy, którzy uważnie śledzili co robię i z kim utrzymuję stosunki, a moją korespondencję, jako „szkodliwą“ dla Polski — adresatom nie doręczano. Mówiąc wyraźnie „inwigilowano“ mnie.

Nie otrzymując na moje telegramy żadnej odpowiedzi, musiałem przyjść do wniosku, że mnie ignorują. Nie chcąc, jak wielu innych, otrzymywać gaży za bezczynność, przekazałem otrzymaną przeze mnie za ostatnie dwa miesiące²⁾ pensję na cele dobroczynne i jednocześnie złożyłem lakoniczne podanie o dymisję.

Po kilku dniach jen. Rozwadowski, potwierdziwszy otrzymanie mego podania, prosił o wyłuszczenie powodów złożenia dymisji. Oczywiście ich nie podałem. Były jasne³⁾. O nich jen. Rozwadowski musiał wiedzieć, jako szef sztabu Naczelnego Wodza.

Że z korespondencją moją działy się rzeczy niesamowite, dowodem tego są następujące fakty: w r. 1920 po złożeniu podania o dymisję, chciałem się telefonicznie porozumieć z pewną wysoko postawioną osobą. Oficer, który miał nadzór nad prawidłowem (odpowiedniem) łączeniem rozmawiających w Warszawie, do rozmowy nie dopuścił i telefon zamknął. Drugi wypadek zdarzył się bodaj w r. 1921. Późnym wieczorem zjawia się u mnie na wsi szef oddziału II-go D. O. K. Poznań, mjr. Boćkowski dla sprawdzenia na miejscu czy istotnie złożyłem podanie o dymisję? Czem taką wizytę objaśnić?

Przy tego rodzaju postępowaniu, jak chęć ośmieszenia mnie, cenzurowania i konfiskowania z czyjegoś rozkazu mojej korespondencji, „inwigilowanie“ mnie — nie mogła zrodzić się ufność — ten elementarny warunek normal-

1) Brat niefortunnego Szefa mojego Sztabu.

2) Przed podaniem się do dymisji.

3) Lekceważenie mnie.

nych stosunków w wojsku. Nie mogłem czem innem sobie tego wytłumaczyć, jak chęcią za wszelką cenę odsunięcia mnie od pracy dla Polski. Wyrzucić mnie nie było za co, może było i niebezpieczne, więc obrano drogę inną. Zrozumiałem taką taktykę. Wiedziałem jak na nią należałoby zareagować. Nie chcąc jednak robić skandali i stwarzać tarcia w powstającej Polsce, podałem się do dymisji.



1 Pułk ułanów Krechowieckich, zaopatrzony w mundury, nadesłane z Poznania przez Jen. D. M., na zdobytym pociągu pancernym, który krechowiacy nazwali „Gen. Dowbor Muśnicki“.

Jestem w tem szczęśliwem położeniu, że jedynie ja z liczby niewielu wysuniętych na czołowe miejsce przy odbudowie Polski, sam, świadomie, usunąłem się, gdy zaś inni, którym czyniono moc przykrości, gry nie rozumieli i po wielu niemiłych zajściach zostali wyeliminowani. Nawet jeden z nich, doczekał się nazwy „politycznej latawicy“. Jak na obecne czasy wyrażenie zostaje dość pochlebne.

XXVIII

PRZED INWAZJĄ BOLSZEWICKĄ

Od końca 1918 r., po przez cały rok 1919, Polska prowadziła walkę na swych Ziemiach Wschodnich. Jaki cel polityczny temu przyświecał? Może zabezpieczenie Polski od Wschodu przez stworzenie państw buforowych — Białorusi i Ukrainy? Nie można się jednak dopatrzyć sprecyzowanego planu orężnych działań; poczynanie nasze cechowała bierność. Wszystkie siły zbrojne w miarę ich formowania, rozciągano w cienką linię, zamiast skupiać je na główniejszych kierunkach operacyjnych. Jako jaskrawy przykład służyć może użycie 1-ej Wielkopolskiej dywizji, najlepszej z pośród innych, zdolnych do boju. Był czas, że dywizja ta zajmowała front od Świsłoczy, a bodaj nawet Borysowa do Owrucza.

Prawda, że bolszewicy robili to samo, ale miało to swoje usprawiedliwienie w tem, że jednocześnie walczyli z Denikinem i Kołczakiem. Pozwoliłszy im te walki zakończyć, a bezczynnością niejako nawet w tem pomagaliśmy. Zapłaciliśmy za to przeżyciami 1920 r.

Teraz zaś winniśmy zastanowić się nad możliwością i celowością tworzenia samodzielnej Ukrainy.

Rosja bierze swój początek od Rusi Kijowskiej. Pod presją sił zewnętrznych, ustąpiwszy z tych terenów, nie zrzekła się ich. Już w 17-ym wieku Ruś Kijowska łącznie z Kijowem odeszła z powrotem do Rosji. Był to moment zwrotny w rozwoju potęgi Rosji, a upadku Polski. W Moskwie dobrze rozumieli, że posiadanie Ukrainy dawało ogromną przewagę Polsce. Dlatego też Rosja dokładała wszelkich starań, by tej zdobyczy nie utracić, czy to przez powrót jej do Polski, czy przez stworzenie samodzielnej Rusi¹⁾. Rzecz godna uwagi, że dla Rosji było mniej niebezpiecznem lub dotkliwem oddanie Ukrainy Polsce, niż jej usamodzielnienie.

W 19-ym wieku Niemcy, przewidując starcie z Rosją i dobrze rozumiejąc znaczenie Ukrainy, zapoczątkowali ukraińską irredentę²⁾. Wszelkie zakusy, mające na celu stworzenie „samostijnej Ukrainy“, wywołały stanowczą kontrakcję nie tylko Rosji, jako państwa, ale całego rosyjskiego społeczeństwa. Byliśmy wszak świadkami, że w r. 1920 nawet chęć dopomożenia Ukraińcom w usamodzielnieniu się, skonsolidowała wszystkie rosyjskie, narazie poważnione, odłamy polityczne.

¹⁾ Myśl o samodzielnej Ukrainie egzystowała już w XVII wieku i trwa aż dotąd.

²⁾ Bismarkowskie „großfürstenthum Kijew“.

Należy zatem dobrze zrozumieć, że wszelkie zamiary w tym celu, lub kierunku, wywołać muszą stanowczy sprzeciw Rosji, wszystko jedno, czy przeciw Polsce, czy Niemcom, lub jak przed wojną światową, przeciw Austrii.

Wreszcie, czy naród ukraiński kiedykolwiek stał na takim poziomie, by mógł marzyć o samodzielnym istnieniu? Chyba krótkotrwałe państewko Rusi Halickiej. Można dyskutować, czy np. Rosjanie lub Polacy mało, lub dużo wnieśli do ogólno-ludzkiej cywilizacji, ale że Rusini (Ukraińcy) nic do niej nie dodali, to jest pewne. Gdy Ukraina była pod naszym panowaniem, prześląkała cywilizacją zachodnią, łacińską; do nas odeszły i z nami poszły wszystkie lepsze elementy, które się niebawem spolszczyły. Po przyłączeniu do Rosji, Ukraina prędko gubiła nawet swoje etnograficzne cechy. Mieszkaniec Ukrainy wstydził się, że jest Małorusem, a na zapytanie kim jest, odpowiadał, że Rosjaninem. Sami Rosjanie pogardliwie nazywali miejscowych patryjotów „chochłami”; było to gorzej niż dureń lub kiep. W dzielnicach o mieszanej ludności rosyjsko-rusińskiej¹⁾, nie nazywano osiedli „ukraińskimi” lub „mało-ruskimi”, lecz „czerkieskimi”. (Np. Tiszki Ruskie lub Tiszki Czerkaskie). Moskwa prowadziła taką politykę, by Rusini nawet nie przypuszczali, że mogą być samoistnym narodem. W t. zw. „południowo-zachodnim”²⁾ kraju władze łatwiej pozwalały na obchody, tyżące się historii polskiej, niż na uczczenie tak niewinnego poety, jakim był Szewczenko. Ukraińcy, to typowy, t. zw. przez Niemców, „Dünger-Volk”; nie posiada ani historii, ani inteligencji; mogła tu zakwitnąć z jednakowem powodzeniem polska czy rosyjska kultura, jak również nic nie stało na przeszkodzie do rozpowszechnienia się niemczyzny, a z nią wpływów Berlina³⁾).

Chcąc osłabić Rosję, Niemcy stworzyli kwestję ukraińską, za którą poszły ukraińskie warstwy półinteligentne, przeważnie nauczyciele ludowi. Inteligencji ukraińskiej nie było, prócz kilku osobników (Gruszewski). Ci Ukraińcy, którzy pokonczyli w Rosji wyższe studia i mogli tę inteligencję stworzyć, dobrze rozumieli, że Ukraina nie posiada danych dla usamodzielnienia się i, że tego rodzaju projekty są utopją. Woleli trzymać się Rosji. Wręcz przeciwnie, i to nie bez pewnego powodzenia, postępowała Austrija. Rezultaty tej polityki odczuwamy obecnie.

*

W dobrze obmyślonym planie wojny polityka ustala zadania, które ma wykonać strategia; ta zaś obiera sobie cel działań. Cel ten musi być *ważny* ⁴⁾);

¹⁾ Gubernje Charkowska, Woroneżska, Tambowska, częściowo Riazańska i inne.

²⁾ Kijowskie generał — gubernatorstwo.

³⁾ Egzystowały tam liczne niemieckie kolonje, które zaprowadziły t. zw. sztundę, ogromnie niebezpieczną dla wyznania wschodniego.

⁴⁾ Tak uczy strategia.

zwykle jest to armja, w gorszym razie — stolica państwa. W r. 1920 poszliśmy pomagać w budowaniu państwa ukraińskiego, którego „architektem” miał być Petlura; jako cel postawiliśmy sobie zajęcie Kijowa. Skończyło się na niepowodzeniu, bliskim katastrofie. Bo cóż Kijów przedstawiał ważnego w 20 wieku? Nie była to stolica ukraińskiego narodu, bo żadnych cech specjalnych ku temu miasto to nie posiadało, Kijów był tylko macierzą miast „rosyjskich”, nie „rusińskich”. Żadnych historycznych ukraińskich pamiątek w niem niema, a istniejące były później erygowane, jako pamiątki Rosji, a nie Rusi. Kijów nie jest fortecą, bo gdyby nawet nią był, to bez wielkiego znaczenia, jako nietrudną do obojścia. Nakoniec Kijów nie był ośrodkiem wielkiego przemysłu; był zwykłym miastem gubernjalnym, o nieco większem ekonomicznem znaczeniu i z pewną patyną historyczną, oraz abstrakcyjnymi wspomnieniami. Mało wykształcony adwokat Petlura upatrzył go na przyszłą stolicę „samostinnej Ukrainy”. Pomagać w tem, nawet na podłożu międzynarodowych teoryj i uczuć, nie było warto.

Inna rzecz, że myśl o oderwaniu Ukrainy od Rosji, jako teoretyczne założenie, jest godną uwagi polskiej racji stanu. Ale, czy Ukraińcy ¹⁾ mieli kiedykolwiek głębsze względem nas uczucia, a choćby tylko sąsiedzką, braterską przyjaźń? Czy zdawali sobie sprawę z wyższości kultury naszej, z której przecież najwięcej skorzystali, co pozwalałoby liczyć na trwałe powodzenie przy przeprowadzaniu zamierzeń? Czy, nakoniec 1920 r. był odpowiednim momentem dla ich zrealizowania? Wszak Polska była jeszcze sama nieurządzona i słaba. Gdyby się to nawet stało, to czy mogliśmy i mogli byśmy tam konkurować z wpływami rosyjskimi i niemieckimi, czy raczej nie stworzylibyśmy nowego ogniska działań nam wrogich?

*

Wtedy, kiedy armja nasza maszerowała pod Kijów, nie było tam nawet znaczniejszych sił bolszewickich; uderzyliśmy w próżnię. Zato sprofanowanie „idei” jedynej, niepodzielnej Rosji przez zajęcie nic realnie nie znaczącego, ale uczuciowo drogiego Rosjanom, Kijowa — wywołało oburzenie wszystkich. W rezultacie sami zapłaciliśmy za Petlurowskie projekty.

Bolszewicy prędko spostrzegli, że zrobiliśmy błąd i świetnie zorganizowali kontr-akcję. Zresztą plan ich działania nie był oparty na jakichś nieznanych, oryginalnych, strategicznych arkanach. Jeszcze długo przed początkiem wojny światowej, w literaturze wojskowej, rozstrząsano kwestję, jak należy prowadzić jeneralne bitwy; opracowano schemat działań i taki naszkicowano. Otóż bolszewicy akurat go zastosowali. Mianowicie: uderzenie na jedno skrzydło (na północy), pewne wzmocnienie tego uderzenia; potem jednoczesne lub krótko po sobie następujące uderzenie na skrzydło przeciwnie-

¹⁾ Od XVII wieku, kiedy Rosja zaczęła się wzmacniać.

(Budienny), wreszcie decydujące uderzenia w pierwszym kierunku. Bolszewicy, co zresztą nie było rzeczą dziwną, doskonale znali charakter teatru wojny, oraz znaczenie poszczególnych jego odcinków. Tego samego trudno dopatrzeć się ze strony naszej.

*

Że bolszewicy ostatecznie przegrali w r. 1920, jest to skutek wyolbrzymienia przez nich znaczenia Warszawy, na którą, pod presją władz politycznych, Tuchaczewski skierował główne wysiłki. Przez to bolszewicy dali nam możliwość uderzenia od strony Dębina, czem sparaliżowaliśmy akcję na Warszawę. Kto był twórcą tego właśnie uderzenia, dokładnie nie wiem. Wielu jest przypisywany: Piłsudskiemu, Rozwadowskiemu, a nawet pewnemu kapitanowi, który pracował w Sztapie Jeneralnym, którego trafność myśli potrafił jakoby ocenić Rozwadowski. Opinia publiczna przypisuje poważny udział w opracowaniu planu działań w bitwie pod Warszawą jen. Waygand'owi. Każdy radby wpleść swój listek do laurowego wieńca. Stąd niezgoda o autorstwo planu. Kwestję tę pozostawiam do rozstrzygnięcia przyszłym historykom.

*

Na gruncie ojczystym przyznano mi, choć niechętnie, że jestem niepoślednim fachowcem. Niektórzy zastrzegli, że naczelnym wodzem być nie mogę, bo „jestem z polskością luźno związany“, „źle mówię po polsku“ i posiadam inne, temu podobne, „ściśle“ z wojskowością związane „defekty“. Zarzucają mi wreszcie, że w r. 1920 nie brałem udziału w obronie Warszawy; o tem, zresztą, mało się pisało; ale za to tak, na „gębę“, rozpowszechnia się.

Nie miałem nigdy aspiracji na naczelnego wodza w Polsce; nie rozpychałem się też, by dojść do tego stanowiska. Jestem najmniej „w Polsce reklamowanym generałem“, a jednak wartość wojskową *jako taką — posiadam*.

Rzeczywiście, udziału w obronie Warszawy nie brałem. Czy było to skutkiem mojej niechęci, czy też z innych powodów? Że wtedy na froncie będzie źle, o tem domyślał się każdy, mniej więcej myślący. W czerwcu otrzymałem list od *jednego z członków Sejmu*¹⁾ z *orientancją polityczną*. Odpisałem, jak się na sprawę zapatruję²⁾.

*

Chyba bezsprzecznie, ja sformowałem Wojsko Wielkopolskie. Elementarna zasada organizacji wymagała, bym to wojsko prowadził na polu walki. Zasada ta jest dla każdego wojskowego niewzruszalna. Można jej nie stosować w armjach starych, wypróbowanych, jak np. niemiecka, lub francu-

¹⁾ Załącznik nr. 202.

²⁾ Załącznik nr. 203.

ska, lub w takiej, nad której stworzeniem pracowała jedna wola i jedna głowa.

Ale czy było coś podobnego u nas? Nikt żadnych dyrektyw nie dawał; kto mógł, ten na swoją rękę poczynił.

Polskie Wojsko w 1919 i w 1920 roku nie było jednolite; składało się z następujących formacji:

1) Wojska Wielkopolskie, zorganizowane na podstawach armji stałych, jednolite pod względem materiału ludzkiego; na ich organizację absolutnie nikt prócz mnie wpływu nie wywarł, a to dlatego, że mentorów nie potrzebowałem. Była to bezwzględnie najlepsza i najpewniejsza część naszej siły zbrojnej.

2) Legionowe dywizje, sformowane na podstawach wojsk ochotniczych. Posiadały one dobry materiał ludzki, lecz niedoświadczony, zapalny, oślepiiony miłością dla swojego twórcy, politykujący ¹⁾.

3) Armja, przybyła z Francji, z jen. Hallerem na czele, doskonale wyposażona, ale, z wyjątkiem kilku mniejszych oddziałów, niedoświadczona, a co główna, niejednolita; kadry z Francuzów, materiał ludzki — jeńcy z armji niemieckiej i austriackiej, część Polacy — ochotnicy z całego świata.

4) Nakoniec formacje polskie, swoiste, bez specjalnego pochodzenia, dla których szkielec (kadry) dali wojskowi z I K. P., armji austriackiej i rosyjskiej. I między tą ostatnią grupą wojsk istniała różnica w zależności od tego, skąd pochodziły kadry.

Że brak jednolitości istniał i że (przypuszczam) zdawał sobie z tego sprawę Piłsudski, dowodzi jego powiedzenie ²⁾: „legjonistami trzeba umieć dowodzić“.

Gdy sytuacja na wschodnich rubieżach zaczęła się wikłać, wybrano z Armji Wielkopolskiej kolejno wszystkie dywizje, zamiast użyć je, jako całość, na określonym odcinku frontu. Nawet sztab mój porozciągano; pozostałem ja jeden bez przydziału.

Pierwsza dywizja Wielkopolska utrzymała swoje dodatnie cechy do końca wojny, a to dlatego, że wysyłając ją, oświadczyłem jen. Konarzewskiemu, że usunę go z dowództwa, jeżeli pozwoli na detaszowanie jakiegokolwiek części dywizji. Konarzewski potrafił się obronić przeciw wszelkim zakusom w tym kierunku. Znacznie gorzej stało się z 3-cią dywizją Wielkopolską. Posłano ją na północny odcinek frontu; za rzekomą nieudolność odsunięto dowodzącego dywizją jen. Odyńca ³⁾, a naznaczono innego generała, który posiadał dużo zalet, ale nie znał ducha wojsk, nad któremi objął dowództwo,

¹⁾ Jednakowo gotowi bić wrogów Państwa.

²⁾ Patrz str. 342.

³⁾ Tego samego, który 21 maja w Bobrujsku nie przyłączył się do rewolty. Był dobrym generałem. Lepszego nie było.

ani też wojska go nie znały. Pochodził z austriackiej armji, co wywołało sceptyczne uwagi w szeregach, zjawisko zupełnie niepożądane ¹⁾. Nie dość tego, nieszczęśliwą tę dywizję poroziągano bataljonami i pułkami i porozidzielano pod dowództwo innych. Rezultaty były dla dywizji oplakane.

W lipcu 1920 r. zaczęły dochodzić do mnie alarmujące wiadomości o tem, co się na froncie wschodnim dzieje. Potwierdzili to ludzie, którym wierzyć musiałem. Podsekretarz stanu zwrócił się do mnie z propozycją złożenia memorjału o sytuacji, co też zrobiłem ²⁾.

Pozostając bez wojsk i bez przydziału zwróciłem się telegraficznie ³⁾ do Piłsudskiego oraz do Hallera, prosząc o przydział do Armji Ochotniczej. Telegram do Hallera nie doszedł, a czy otrzymał go Piłsudski, nie wiem. Poświadczenia o wysłaniu ich posiadam, jak również mam list ⁴⁾ ministra wojny J. Sosnkowskiego, składającego mi uznanie z powodu gotowości mojej broni Polski. Z tego wynika, że telegramy moje do Warszawy doszły, ale dalszy los ich jest pokryty tajemnicą. O moim zamiarze zawiadomiłem prasę. Wywołało to pewien oddźwięk w szeregach; wzbudziło nadzieje ⁵⁾.

Odpowiedzi na swoją prośbę nigdy nie doczekałem się. Czy nie jest to dowód lekceważenia lub umyślnego odsuwania mnie, albo może i czegoś gorszego? Przyszedłem do przekonania, że zostanę poza nawiasem; lecz gdy najmniej tego oczekiwałem, przyszedł rozkaz „niezwłocznie stawić się u Naczelnego Wodza“.

Choć nie było komu polecić umierającą żonę ⁶⁾, i małoletnie dzieci, jednak niezwłocznie wyjechałem w asyście podpor. Z. Plucińskiego, rtm. Szebeko i porucz. Janusza hr. Czarneckiego; w parę godzin byłem już w Warszawie. Na telefoniczne zapytanie, czy mogę się zameldować, odpowiedziano, że Piłsudski może przyjąć mnie dopiero na drugi dzień po południu. Za to ze Sztabu Jeneralnego przysłano mi „ordre de bataille“ ⁷⁾, z którego dowiedziałem się kto, gdzie i jakimi wojskami ma dowodzić w oczekiwanej bitwie pod Warszawą. Piłsudski, *przypuszczam*, o tem nie wiedział.

Gdy wreszcie na drugi dzień Piłsudski pod wieczór znalazł czas dla przyjęcia mnie, oświadczył mi zgóry, że przystępuje do ostatecznego zunifikowania armji; wreszcie, że opinja publiczna wysuwa dwóch generałów, którzy

¹⁾ Porównaj załączniki nr. 204 i 205.

²⁾ Załączniki nr. 179 i 206.

³⁾ Załączniki nr. 207 i 208. Podałem się do dymisji dn.

⁴⁾ Załącznik nr. 209.

⁵⁾ Porównaj załączniki nr. 204, 205, 210 i 211.

⁶⁾ Umarła 10. 8. 20 r.

⁷⁾ Jednocześnie zawiadomiono mnie, że Sztab armji mam zorganizować ze Sztabu reformowanej grupy kawalerji. To się udało! W rozumieniu Sztabu Jen. ze Sztabu naprz pułku mógł być stworzony Sztab Jeneralny. Załącznik nr. 219.

mają poprawić krytyczną sytuację na froncie, mianowicie jen. Rydz-Śmigłego i mnie, że generała Śmigłego już naznaczył na dowodzącego armją, broniącą bezpośrednio Warszawy, a to dlatego, że w skład armji weszły *legjonowe dywizje*, któremi trzeba umieć dowodzić¹⁾; że naznacza mnie na dowodzącego południową armją (pod Lwowem²⁾), a robi to dlatego, bo Iwaszkiewicz jest *do niczego*.

Rzeczywiście południową armją dowodził jen. Iwaszkiewicz. Sytuacja pod Lwowem znowu była³⁾ krytyczna i miasto to mogło paść lada chwilę, czego wogóle nawet nie ukrywano. Niezadowolenie Piłsudskiego pochodziło stąd, że „*Iwaszkiewicz dać sobie rady nie może, żąda wskazówek, gdy tymczasem łączność ze Lwowem ciągle się przerywa*“.

Takie zdanie o Iwaszkiewiczu oburzyło mnie. Przecież ten generał dwa razy uratował Lwów. Nie był złym dowódcą, lecz musiał i miał prawo żądać dobrego zorientowania; tej orjentacji nie umiano dać. Jeżeli więc nie „dawał sobie rady“, to wina spada nie na niego jednego; wszak w okolicznościach znacznie trudniejszych Iwaszkiewicz wychodził obronną ręką.

Mimo woli, Piłsudski potwierdził *swoją tezę*, którą należy brać szeroko. Jeżeli trzeba umieć kierować legionistami, to trzeba też umieć kierować Iwaszkiewiczem, jak również każdą inną grupą wojsk, z których składała się armja. *To jest treścią jego myśli i powiedzenia*. Więc Wielkopolanami musiałbym dowodzić ja, Legionistami—Legjonista, Hallerczykami—Haller, Galicjanami—Szeptycki, Lwowianami—Rozwadowski, na koniec Wilnianami—Iwaszkiewicz⁴⁾. Wtedy można było osiągnąć najlepsze rezultaty. Ale trzeba było umieć kierować wszystkimi temi grupami, które posiadały swoje cechy. Unifikacja⁵⁾ w owym czasie była więcej jak błędem; była więcej jak niebezpiecznym ryzykiem.

W skład wojsk, bezpośrednio broniących Warszawy, zgodnie z przysłanym mi „ordre de bataille“, wchodziły 3 i 4 armje, będące pod dowództwem generała Zielińskiego i Skierskiego, a pod ogólną komendą generała porucznika Rydza-Śmigłego. Do 3-ciej armji weszły trzy dywizje 1, 3, 7, (mówię tylko o dywizjach piechoty, względnie o brygadach; nie biorę pod uwagę jazdy i „grup“⁶⁾). 4 armja składała się z dwóch Wielkopolskich dywizyj (14 i 15), dwóch *numerowych* dywizyj i jednej brygady (17), bodaj z Poznańczyków złożonej, pod komendą zdaje się podpułkownika Zenkterera. Więcej chyba tylko 3-cia armja pretendować mogła na nazwę legjonowej⁷⁾. Front całej legjo-

1) Dosłownie.

2) O czem już wiedziałem z ordre de bataille.

3) Po raz trzeci w czasie wojny.

4) Sformował litewsko-białoruską dywizję.

5) To jest mechaniczna mieszanina. Załącznik nr. 206.

6) Na które Piłsudski się skarżył, choć do tworzenia ich dopuścił.

7) Do nazwy „Legjonowej“ pretendują trzy dywizje 1—3.

nowym nazwany być nie mógł, bo składał się z pięciu dywizyj numerowych i tylko dwóch legjonowych. Jenerał Rydz-Śmigły nie mógł nabyć do czasu bitwy pod Warszawą wybitniejszych kwalifikacji, bo i gdzie? Skąd pewnik, że da sobie radę, skoro w skład frontu przez niego dowodzonego wchodziły trzy gatunki, że tak powiem, wojsk, z których tylko ledwie czwarta część wymagała „legjonowej umiejętności dowodzenia“.

*

Wartość wojsk w dużej mierze zależy od ich należytej organizacji. Sztuka ¹⁾ ta zwykle jest rozumiana powierzchownie; laicy utrzymują, że można zmieszać ludzi rozmaitego pochodzenia, języka, pojęć, nawyków, gustów, ale ubrać ich tylko jednakowo i organizacja jest zakończona. Za dobrych starzych czasów (za Fryderyka Wielkiego) tak właśnie w wojsku postępowano; dezercja była zastraszająca. Trzeba było pilnować armji, by się nie rozleciała. W drugiej połowie 19 wieku udowodniono, że najlepsze oddziały są właśnie te, które są sformowane z bliskich, pokrewnych sobie elementów, więc wszystkie armje przeszły na terytorjalne uzupełnienia. Piłsudski rozumiał unifikację w ten sposób, że mieszał żołnierzy lub oddziały, pochodzące z różnych dzielnic stawiał nad nimi obranych, ale wojsku mało znanych, dowódców i przypuszczał, że armję zorganizował.

Mógłby przekonać się o złych skutkach takiego postępowania na przykładzie choćby bitwy pod Austerlitz, kiedy przyczyną przegranej było właśnie pomieszanie oddziałów rosyjskich i austriackich. Historia też daje liczne przykłady, że mechaniczna mieszanina doprowadza zwykle do katastrofy, jeżeli jest nawet stosowana w jednej i tej samej armji. Np. szturm fortecy Kars w 1877 r. dlatego się nie udał, że jakiemuś jenerałowi przyszła przed atakiem „genjalna“ myśl pomieszczenia pułków, należących do różnych dywizyj, co miało rzekomo dodatnio wpłynąć na współzawodnictwo.

Osobiście dopatruję się przyczyn wielu naszych niepowodzeń ²⁾ w 1920 r. właśnie w niefortunnej unifikacji armji. Ta unifikacja, koniec końcem, doprowadziła do tego, że prawie wszyscy wojskowi, pochodzący z armij zaborczych, zostali z szeregów wyeliminowani i zastąpieni legjonistami. Czy to nie jest początek właściwej unifikacji?

Piłsudski wyznaczył mnie na dowództwo południowego frontu, składającego się z dwóch armij: polskiej, ogółem 3 dywizje (w tem 13 — Hallerowska) i „ukraińskiej“ jakiegoś nieznanego jen. Pawlenki. W „ordre de bataille“ dziwne było rozlokowanie niepolskich oddziałów. Pawlenko był na prawem skrzydle; środek i lewe skrzydło stanowiły polskie formacje, nie

¹⁾ Ja wolałbym to nazwać nauką.

²⁾ Dezercja była u nas zjawiskiem normalnym w r. 1920. Osobiście to stwierdziłem.

pierwszorzędnej jakości, a za lewym skrzydłem byli kozacy z nad Donu. Skąd się wzięła pewność, że ja potrafię kierować takim doborowem bractwem; właśnie tam prędzej dalby sobie radę jakiś „międzynarodowy“ generał.

Rok 1920 był okresem umizgów do Ukraińców Petlurowskiego autoramentu. Można było im wierzyć, lub nie. Jednak elementarna ostrożność wymagała więcej sceptyczności. Za cóż mieli bić się Ukraińcy obok nas? Oczywiście za interesy ukraińskie! Gdyby szczęście nam nie dopisało, zapewne przeszliby na stronę bolszewicką. Z tego powodu było pewniej mieć na prawem skrzydle dobre wojsko, a w każdym razie polskie wojsko.

To samo można powiedzieć o Dońcach, którzy byli na prawem skrzydle jen. Śmigłego. Jakie przyczyny zrobiły ich naszymi sojusznikami? chyba nie odmowa moja pójścia w r. 1918 (na propozycję Krylenki), uśmierzać powstanie kozaków. Na Dońcach głównie opierał się Denikin, z którym stosunki nasze nie były rozczulające, a taka czy inna Rosja, była Dońcom bliższa, niż Polska.

Podejrzewam, że w naznaczeniu mnie na miejsce Iwaszkiewicza chodziło głównie o to, że Lwów mógł być oddany i jeśli tak, to przez kogo. Było wygodniej zwalić tę decyzję na mnie; a nuż skręcę sobie raz na zawsze kark przy udziale Ukraińców.

Gdybym stał na czele wszystkich Wojsk Wielkopolskich zrobiłbym dużo¹⁾, jak zrobiłem dużo z temi rosyjskimi wojskami, które sam zorganizowałem, oraz z I-szym Polskim Korpusem. Jednak tych wojsk nie tylko mi nie pozostawiono, ale pomieszano je z innemi, nawet je zmaltretowano (3-cia Wielkopolska dywizja). Wzamięn tych wojsk zaproponowano mi zbieranie. Wątpię czy potrafiłbym cokolwiek z nią zdziałać, tem więcej, że Ukraińcy mało do czego (prócz grabieży) są zdolni²⁾.

*

Przyznając Piłsudskiemu dużo cech dodatnich, nawet genialnych, nie miałem powodu odnosić się z ufnością, bo od chwili kiedy o jego istnieniu się dowiedziałem (bodaj w r. 1912), aż do wyżej przytoczonej rozmowy, wyczuwałem, że jest to człowiek krańcowo mi przeciwny. Pracował z socjalistami, którzy mu dopomagali do dojścia do szczytów. Ja zaś socjalistom nie wierzę. Nie miałem powodów zmieniać swoich poglądów w celu zdobycia zaufania lub przypodobania się Piłsudskiemu i wejścia w kontakt z ludźmi jego otoczenia, których działalność była wręcz skierowana przeciwko mnie; — nazywałbym takie postępowanie z mojej strony poskudztwem.

¹⁾ Porównaj załączniki nr. 204 i 205.

²⁾ Nie jest to tylko moje zdanie.

Z biegiem czasu wyświeciło się wiele rzeczy, między innemi, że Piłsudski wogóle nie zawezwałby mnie do obrony Warszawy. Zrobił to pod presją Rady Obrony Państwa, która tego żądała. Była nawet postawiona kwestja powierzenia mi naczelnego dowództwa, na co Piłsudski miał oświadczyć: „albo ja, albo Dowbor-Muśnicki“; Rada wybrała Piłsudskiego, a ten zrobił ustępstwo Radzie, co obie strony zadowoliło.

Oświadczam, że względem Piłsudskiego nie byłem zazdrosny. Polska miała prawo powierzać swoje losy komu chciała, a ja za to pretensji rościć nie miałem powodów.

Zapewne czytelnik przypomina sobie, że podczas pierwszego widzenia się z Piłsudskim powiedziałem mu, że I-szy Polski Korpus jest „do jego dyspozycji“. Pozostawało wydać dekret o poborze rekruta i 14 pułków łącznie z legjonistami. dałoby odpowiednią siłę. Wypadki potoczyłyby się na granicach Polski inaczej, a przede wszystkim nie stworzyłaby się trzykrotna krytyczna sytuacja pod Lwowem. Prócz tego istniały w Galicji kadry b. pułków polsko-austriackich, które można było wykorzystać. Tymczasem Piłsudski nigdy nawet o I-szym Korpusie ze mną nie mówił, jakby czuł się skrupowany awanturą zrobioną przez jego emisariuszy, stąd jakby bunt 21-go maja w Korpusie, a łącznie z nim rozbitcie jedności społeczeństwa na okupacji rosyjskiej było mu na rękę.

Osobiście starałem się zawsze być lojalnym względem Piłsudskiego, a robiłem to do czasu, dopóki jemu podlegałem ¹⁾.

Gdy Komisarjat N. R. L. oddał Wojsko Wielkopolskie pod rozkazy Piłsudskiego, uległem temu rozporządzeniu i nawet zmanifestowałem je. Miałem prawo żądać odpowiedniego traktowania oraz szczerości w stosunkach. Tymczasem od r. 1918, wyczuwałem, że mnie odsuwają, inwigilują, starają się ogłupić ²⁾ i zdyskredytować, pozwalając prasie lewicowej i gadzinowej ³⁾ szkalować mnie bezkarnie. W talenty strategiczne Piłsudskiego uwierzyć nie mogłem, bo na to nie było dowodów; późniejsze powiedzenie, że gdyby go jakiś fachowiec krytykował, to przeszedłby nad tem do porządku, jest bez znaczenia, bo żaden fachowiec takimi strategicznymi wypadami, jak na Kijów, specjalnie nie interesuje się.

Z tego, com powiedział wyżej, widać, że Piłsudski postępował względem mnie nie tak, jak był powinien, gdyż w sprawie nas obu obchodzącej, t. j. Polski — do lojalności był obowiązany. Rozumiem, że mógł mieć do mnie niechęć, bo przyznać mu na kredyt talentów i doświadczenia wojskowego nie mogłem. Sam podobnego kredytu nie potrzebowałem. Dlatego też zdecydo-

¹⁾ Załączniki nr. 212, 213, 214 i 215.

²⁾ Sprawa możliwości aresztowania Radka-Sobelsohna. (Patrz „Myśl Niepodległa“, 1919).

³⁾ Załącznik nr. 217.

wałem się odmówić zajęcia tego miejsca, które Iwaszkiewicz zajmował. Nie mogłem zabierać stanowisk innym w sposób krzywdzący ich. Postąpiłem racjonalnie. Iwaszkiewicz, dowodząc nadal Południową Armją, mimo niesłusznego uprzedzenia, zadaniu swemu sprostał.

Natomiast *chęci mojej* objęcia podrzędnego stanowiska w Armji Hallera nie *uwzględniono*.

Mam jednak satysfakcję, bo jeżeli Polska w r. 1920 zwyciężyła, jest to w dużej mierze zasługą wojsk, zorganizowanych przeze mnie. Było ich sześć dywizyj, a w szeregach polskich 2.500 oficerów z Korpusu ¹⁾. Temu zaprzeczć się nie da.

*

Zaraz po rozmowie z Piłsudskim (było to bodaj 7 czy 8 sierpnia) pojechałem do jen. Weygand'a, zawiadomić go, że nie przyjąłem dowództwa nad Południową Armją z tego powodu, że widzę wielki beład w prowadzeniu operacji, a udziału w katastrofie, będąc na tem stanowisku, bez należytego wpływu na operacje, brać nie mogę.

Powiedziałem też, że gotów jestem przyjąć dowództwo nad plutonem lub nawet sekcją.

Jen. Weygand oświadczył mi, że przysłany jest dla dawania rady,

Z dalszej rozmowy widziałem, że nawet niczem niezwiązany z Polską jen. Weygand tracił cierpliwość. Ja już dawno mogłem ją stracić.

*

W książce lorda d'Abernon „Osiemnasta decydująca bitwa“ powiedziane jest, że starałem się o potajemne widzenie się z jen. Weygand'em. Jest to niezgodne z prawdą. Byłby to nietakt, gdybym się o coś podobnego dobijał. Słyszałem, że niektórzy politycy życzyli sobie takiego spotkania i nawet miało być ono zainscenizowane przed moją wizytą u Piłsudskiego. Szczegółów tego projektu nie znam ²⁾.

¹⁾ W bitwie pod Warszawą Naczelný Wódz stanął na czele wojsk „grupy uderzeniowej“. Tak się jakoś stało, że grupa ta składała się z trzech dywizji: 2 Wielkopolskich i jednej numerowanej (21). Przyłączono do niej dwie dywizje legjonowe, które, płacząc się za prawem skrzydłem, spóźniły się w momencie decydującego uderzenia.

²⁾ Również w książce: „Generał Tadeusz Rozwadowski“ podane jest, że mój plan obrony Polski polegał na wycofaniu się aż nad Wartę, oddając Warszawę, ale, jako małouduszny, został odrzucony. Ciekawy jestem, komu, kiedy i gdzie ja taki plan obrony Polski przedkładałem? Sztab Jeneralny, ani Wódz Naczelný mego zdania w tej sprawie nigdy nie zasięgali, a nawet w niczem mnie nie orjentowali! Skądże się wziął mój plan? Może wydawcy tej anonimowej, czy zbiorowej książki słyszeli, że „dzwonią“, ale nie wiedzieli gdzie i z jakiego powodu. Takie „historyczne“ dane, a jest ich niestety wiele, pozostawiam bez sprostowania. Porównaj załącznik nr. 218.

Przed wojną ¹⁾ wszelkie rozmowy ze *swoimi na temat o naszym losie zwykle się tak kończyły*: „państwa zaborcze to potęgi, które zwalczyć nie tylko Polska, ale nawet Francja łącznie z Anglią nie zdołają“. Niestety pod słowem „Polska“ rozumiało się poszczególne dzielnice, a tylko rzadko cały naród. Choć dzielnice obrabiano odmiennymi systemami, ale każdy zaborca dążył do zatarcia w naszych umysłach i sercach nie tylko pojęcia o Polsce, jako całości, ale nawet świadomości, że jesteśmy czemś obcem w jego organizmie. To zwężanie przez nas samego pojęcia o całości już było dowodem, że „obróbka“ zaczynała dawać pewne rezultaty.

Najbardziej przeklinano Rosję, najmniej Austrię; tę nawet chwalono; w dyskusjach o niej głosy bywały zawsze podzielone. Większość Austrię poniekąd się zachwycała, inni, choć tego nie robili, jednak nie ganili jej polityki względem nas, gdy właśnie to państwo, z punktu widzenia obiektywnego, przedstawiało najmniej powodów zachwytu lub nawet pobłażliwości. Wszak było ono nawskroś biurokratyczne ze wszystkimi ujemnościami z tem związanymi. Mamy tego obecnie dowody z własnego doświadczenia.

Rzadko kiedy bywałem świadkiem dyskusji nad kwestją, dlaczego Niemcy lub Rosja doszły do potęgi; mówiło się zazwyczaj, że był to skutek popełnionej zbrodni rozbioru Polski. Nigdy nie słyszałem zdania o innych czynnikach, które małe państewko Brandenburgję, lub Rosję zacofaną doprowadziły do potęgi. Zapominano o tem, że ogromy tych państw wykuli rozum i wola zaledwie kilku ludzi. Niestety, myśmy nie mieli takich, nawet wśród królów. U nas jakby unikano stanowczych cięć przy budowie Polski; jeżeli się kiedykolwiek na to zanosilo, kończyło się to zwykle kompromisem między władzą a opozycją.

Literatura XIX wieku gorliwie zajęła się odnalezieniem przyczyn naszego upadku. Przyszliśmy zgodnie do wniosku: „zgubiła nas samowola i prywatna szlachty oraz magnaterji“. Jabym jeszcze dodał: zgubił brak stanowczych, silnych charakterów i szerszych światopoglądów. Rzecznikiem tych państwowo twórczych cech mógł być każdy magnat XVII wieku, *ale zamiast oprzeć się o własne siły, których było przecież dostatecznie dla zmuszenia innych do posłuszeństwa, ograniczono się do wytknięcia małego celu „wywyższenia swego rodu“, wzywano do pomocy sąsiadów, przez co sprawy przegrywano, a Polskę narażano na spustoszenie.*

*

Skoro prywatna jest sprawą zgubną, należy ją potępić w czambuł, a nie stosować w innej inscenizacji. Tak dyktował „chłopski“ rozum. Tymczasem, gdy „stał się cud“ i Polska po wojnie światowej odrodziła się, szlachta, w tem znaczeniu jak dawniej, nie istniała, ale inteligencja, która ją za-

¹⁾ Światową 1914/18 r.

stąpiła, wstydząc się rzekomo grzechów poprzedników, kontynuowała jednak ich błędy. Zamiast „stronnictw“ potworzyły się partje polityczne o dziwacznych w wolnej Polsce nazwach¹⁾. Partje obrały sposób postępowania taki, jak za dawnych czasów magnaci, t. j. rozparcelowały Polskę. Nawet obsada wyższych urzędów została podzielona wedle partyjnego klucza. Zamiast, by rządili najodpowiedniejsi ludzie z całej Polski, robili to może najodpowiedniejsi przedstawiciele partji, ale nie najlepsi Polacy. I wtedy (w w. XVII) i obecnie, dominował strach przed „absolutum dominum“, t. j. bojaźń utraty możności stosowania samowoli.

Owszem, byli ludzie rozumiejący, że Polską może rządzić tylko jeden człowiek, któremu wszyscy inni winni ulec, ale partje się na to nie godziły, bo wszak było to niebezpieczne dla „demokracji“. Ponieważ kwestja sama w sobie była jasną, szukano wielkorządcy. Obrano Piłsudskiego; były liczne głosy za Paderewskim, Dmowskim, Zamoyskim, Hallerem, a nawet za mną, jak to stwierdziła przeprowadzona przez kogoś ankieta: kto jest najpopularniejszy w Polsce?

Rzeczywiście, proponowano mi, zarówno na okupacji w Rosji jak i w Poznńskim, bym ogłosił się dyktatorem. Nie było tego potrzeba w pierwszym wypadku, bo byłem nim samo przez się. Zresztą był tam kraj Białoruski, niegdyś prowincja nasza, w której, jak oazy, znajdowały się porozrzucane polskie dwory i osiedla szlacheckie. Nie ja jeden zadecydować miałem, czy kraj ten będzie do Polski należał. Nie było celu ogłaszać dyktaturę.

Co się tyczy Poznńskiego, to zaproszono mnie tu, bym zorganizował powstanie. Tego się tylko podjąłem. Przysiągłem posłuszeństwo Komisarjadowi N. R. L., t. j. posłuszeństwo „Narodowi Polskiemu“, — narazie tylko pewnemu jego odłamowi. Nie mogłem zatem słuchać różnych podszeptów. Byłbym może zgodził się na proklamowanie dyktatury, ale był już ogłoszony dyktator w Warszawie w osobie Piłsudskiego jako Naczelnika Państwa. Podobny krok z mojej strony wywołałby tarcia, scysje, awantury; Polska przeciwnie potrzebowała zgodnych wysiłków do szybszego skonsolidowania się, a przede wszystkim potrzebowała planu i systemu działania. Niestety nikt z polityków stworzyć tego nie potrafił, a może nawet o tem nikt i nie myślał. Trzymano się recepty: „jakoś to będzie“.

W każdym razie władza już była w rękach Naczelnika Państwa, a później Sejmu. Te dwie instytucje, łącznie i z osobna, nietylko nie potrafiły ułożyć planu działań, ale zaczęły wzajemnie się zwalczać. Mojem zdaniem Piłsudski, mając przykłady z historii, nie powinien był w tym czasie zwoływać Sejmu. Zawinił też Sejm, bo, albo ogłaszając Piłsudskiego Naczelnikiem Państwa, należało uprzednio określić, jakie granice działalności obej-

¹⁾ Np. Wyzwolenie: była to nazwa do chwili wskrzeszenia Polski logiczna, ale potem od czego mieliśmy się wyzwalać?

muje ten tytuł (czy pojęcie), albo nie ogłaszać Piłsudskiego Naczelnikiem. Gdyby ci, którzy nie mieli do niego zaufania, poprostu zgłosili swoje „veto“, nie wpłynęłoby to może na fakt wyboru Piłsudskiego, ale zniewoliłoby do ostrożniejszego postępowania jego zwolenników i adoratorów.

Sejm powinien był pozwolić Piłsudskiemu rządzić, aż do opracowania konstytucji, tak jak ten chciał, a sam zająć się wyłącznie pracą ustawodawczą. Tymczasem zaczęto od różnych demagogicznych ustaw¹⁾, które cudzym kosztem pociągnęły głupich na partyjne podwórko, t. j. zdobyto głosy przy wyborach. Potem dostosowano do nich konstytucję. Jako przykład może służyć porównanie pierwszej połowy z drugą połową § 99 Konstytucji.

Sejm Ustawodawczy był obrany dla opracowania *wyłącznie konstytucji*. Jeżeli rozszerzył swoje kompetencje, stworzył stan *nieprawny* — zawiązek dalszych przekroczeń. Stan taki wytworzył się z tego powodu, że ustawa o wyborach do I-go Sejmu, jednostronnie ułożona, pozwoliła na przewagę analfabetów w decydowaniu o losach Państwa. Ludzie niesumienni, niezdolni sprostać twórczej pracy w budownictwie Państwa, zostawali posłami i zajęli uprzywilejowane stanowiska, ważniejsze niż ongiś zajmowały masy ciemnej szlachty.

Mimowoli pamięć sięga do epoki Napoleońskiej. Wtedy to kilkuset prze-mądrzałych gadułów w przeciągu kilku lat nic konkretnego nie zrobiło. Napoleon, rozpędziwszy to bractwo, z pomocą kilkunastu prawników wydał kodeks, którym się do dziś posługujemy. Mógłby to samo zrobić Piłsudski i każdy by mu przyklasnął. Na nieszczęście zbyt wielki wpływ mieli socjaliści.

¹⁾ Np. o parcelacji, Kasie Chorych i t. d., które trzeba było potem „obrzynać“. „Chwałebnie“ tu się zapisali pp. socjaliści i pokrewne im grupy.

XXIX

CZEM CHCEMY BYĆ W POLSCE

Po ukończeniu wojny o niepodległość Polski powstało pytanie, jakiego kierunku mają się trzymać żołnierze I-go Polskiego Korpusu.

Łączyliśmy się ta mna rubieżach Polski, aby walczyć o sprawę narodową i pomóc Polsce przy odbudowie. Wróciliśmy do kraju, jako zakonspirowany zespół, gotowy wystąpić czynnie przy pierwszej nadarzającej się okazji. Cel



Grób ś. p. por. J. Bukowskiego, pierwszej ofiary polskiej na ulicach m. Łodzi podczas rozbijania Niemców. Krzyż Korpusowy na grobie postawili koledzy poległego — Dowborczycy.

osiągnęliśmy. Co było dalej robić? Pozostać mniej lub więcej zamaskowaną konspiracją, dążyć do urzeczywistnienia egoistycznych celów, bałamucić opinię mas — nie pozwalało sumienie i sprzeciwiała się temu treść uchwał Walnego Zjazdu Wojskowych Polaków w Piotrogradzie. — Rozwiązać się, stracić między sobą kontakt po tylu ciężkich i tragicznych przeżyciach i poniesionych ofiarach byłoby rezygnacją z idei, która nas związała.

Jeszcze w Bobrujsku postanowiliśmy rok rocznie, 11-go marca, w dniu złożenia przysięgi na wierność Polsce, zjeżdżać się w Warszawie w celu uczczenia swoich poległych i utrzymania węzłów koleżeństwa.

Pierwszy nasz zjazd odbył się w r. 1919 w okresie rozkwitu polskich nadziei. Wierzyliśmy, że Gdańsk bez zastrzeżeń będzie naszym, że polskość Wilna nikt zaprzeczyć nie śmie, że cały Śląsk zostanie przyłączony do Macierzy. Szli wtedy wszyscy ochoczo do walki za wolność,

a w pierwszych szeregach żołnierze I-go Korpusu. Z jego szeregów padły pierwsze ofiary na naszej ziemi.

Drugi Zjazd odbył się w r. 1920 w chaosie eksperymentów, które miały przekonać analfabetów o tem, o czem już wiedzą sztabacy. Zapłaciliśmy za nie potokami krwi, spłynęła też obficie krew żołnierzy I-go Korpusu.

Trzeci Zjazd odbywał się przy zapoczątkowaniu normalnej pracy Państwa.

Dnie zmory minęły. Po latach cierpień i walk zanosilo się na pokój. Mieliśmy nadzieję, że przeżyte doświadczenie zapoczątkuje twórczą pracę, która zapewni powodzenie przy następnym egzaminie. A egzamin ten nie jest daleki i będzie decydującym na długie lata.

Choć nas osobiście nadzieje mocno zawiodły, chcieliśmy widzieć pewien postęp. Podczas tego Zjazdu 12.III.1921 r. czułem się w obowiązku wystąpić, że tak powiem, z programowem przemówieniem, odzwierciadlającym nasze nastroje, zawody i nadzieje.

*

Rok rocznie Zjazdy odbywają się, ale co rok mniej liczne. Nie doliczamy się już wielu. Większość ocalałych jest w stanie „spoczynku“, inni noszą te same szarże i gdyby nie uznanie opinii publicznej, można byłoby mniemać, że przeszliśmy bez śladu dla historii.

Rzeczywiście, o wybitnych czynach wielu oficerów z Korpusu mówiono, ale o ich oszałamiających karierach nikt nie słyszał. Nie wydaliśmy „genjuszów“, w których tak obfituje współczesność. To nas trochę „upokarza“ i jakby „upośledza“. Trzeba było więc rozejrzeć się w naszych czynach, przyznać się do „błędów“, obiecać poprawę lub trwać dalej w tych „naszych“ specjalnych grzechach.

Przedewszystkiem zaznaczam, że żadne stowarzyszenie, żaden związek, żadna grupa, gdy o nich mowa, nie wywołuje tak namiętnej polemiki jak „Dowborczycy“. Żywiły nam nieprzychylne, dążyły najprzód do zohydzenia nas w czambuł. Gdy to się nie powiodło, starano się przekonać opinię publiczną, że skład Korpusu godzien jest wyróżnienia, tylko ja jeden jestem typem ujemnym. Zapomniano, że Korpus bez dowódcy, to ciało bez głowy. Na szczęście w szerszych warstwach narodu ustaliliśmy sobie dobrą opinię. Przekonałem się o tem wielokrotnie. Niezle mówią o nas i poza granicami Polski. Oficer lub żołnierz z Korpusu, to nie konspirator, nie fanfaron, nie blagier, nie intrygant, nie polityk, lecz człowiek wiedzy, doświadczenia, czynu.

Nie mamy zato miru wśród mniejszości narodowych i politycznych; niełaska ta datuje się już od I-go Zjazdu Wojskowych w Piotrogradzie. Toczyła się wtedy walka, czy ma być na obczyźnie stworzona polska siła zbrojna, czy nie? Większość była za jej stworzeniem, wysuwając hasła: „Polakom nic do spraw wewnętrznych Rosji“, „Polska siła zbrojna ma tylko służyć Narodowi Polskiemu“. Mniejszość Zjazdu stanęła na wręcz przeciwnem stanowisku¹⁾. Większość stworzyła I-szy Polski Korpus, mniejszość zorganizowała smutnej pamięci „Biełgorodzki pułk“, a później „Warszawski rewolucyjny“, „Lubelski Czerwony“ i t. p., głośnie, ale niepolskie pułki. Większość szła do szeregów, mniejszość powędrowała na bolszewickie tyły, lub zakonspirowała się w naszym środowisku. Zamierzano z naszą pomocą stworzyć polską

¹⁾ Załącznik nr. 11.

Sowdepję, a po przez Polskę, przebudować świat na podstawach opracowanych przez Trockiego i innych żydków.

Robiono potem próby kupienia nas obietnicami; gdy to zawiodło, wybrano drogę krwawych prowokacji: rozbito część 2-ej dywizji, napadnięto na artylerję i 1-szy pułk ułanów, uśmiercono setki naszych żołnierzy, słowem zmuszono nas do walki.

Przeciwnicy nasi byli liczebnie silniejsi, lecz nie było to nawet stado baranów, a tylko stado tchórzów i aferzystów. A my stanęliśmy do walki, nie będąc na żołdzie ani państw zaborczych, ani sprzymierzonych, tylko na własnym. Nie przysięgaliśmy na wierność ani Franciszkowi, ani Wilhelmowi, ani Mikołajowi, również nie obiecywaliśmy kultywowania braterstwa broni. Zwyciężyliśmy! Walczyliśmy za Polskę silną, niezależną, pragnąc, by o Jej ustroju decydował Naród Polski, a nie poszczególne jego grupy lub koterje.



Pomnik na cmentarzu w Łodzi nad mogiłą por. Pogonowskiego, poległego na przedmieściu Warszawy.

My bezsprzecznie, my pierwsi bez czyjejkolwiek pomocy, poparcia lub aljansu, podnieśliśmy oręż przeciw jednemu z naszych ciemiężycieli i tam w Mińszczyźnie po latach niewoli odnieśliśmy *pierwsze zwycięstwo*. Nasze sukcesy w Mińszczyźnie były początkiem późniejszych powodzeń polskiego oręża, włącznie do ostatniego „Cudu nad Wisłą”.

Wróciliśmy do kraju, nic od Niego nie żądając. Wierni swym ideałom, nie poparliśmy rewolucyjnych „lubelskich rządów”, które, korzystając z zamętu, chciały narzucić całej Polsce swoje porządki. Zdobyte materialne środki oddaliśmy dopiero w pewne ręce¹⁾. Podcięliśmy tem plany o pochodzie wszechświatowej rewolucji, bo zginęły na pecuniarne suchoty. Stąd niechęć do nas i wołanie „Czem jesteście i do jakiej partji należycie”²⁾?

Nasze postępowanie było logiczne, bo Państwa polskiego jeszcze nie było, więc przeciw komu rewoltować? A urządzać rewolucję dla rewolucji byłoby non-sensem.

Nie podkreślaliśmy naszych zasług, nie wzięliśmy patentu na patryjotyzm. Daliśmy Polsce naszą wiedzę, doświadczenie i krew. Wszak najważniejsze

¹⁾ Załącznik nr. 224.

²⁾ Autentyczne.

gałęzie wojskowości zostały zorganizowane lub zapoczątkowane przez oficerów z I-go Korpusu¹⁾. Niejeden kolega zapłacił życiem lub kalectwem za wolność Polski. Wspomnę tu jen. Dubiskiego, płk. Kędzierskiego i Szyllinga, kapitana Gedroycia; Warszawa zawdzięcza swe ocalenie też w dużej mierze męstwu por. Pogonowskiego i zorganizowanym przez naszych oficerów dywizjom Wielkopolskim. Odeszli w cień bez ostentacyjnych pogrzebów, wieńców z szumnymi napisami i sążnistych nekrologów. Są to fakty historyczne. Jesteśmy więc w wyjątkowo dodatniej sytuacji, ale nie wszystkim taki stan rzeczy podobać się może.

*

Niemniej popełniliśmy szereg „błędów“. Dziś dobrze jest wiadomo, jak obecnie pewne czynniki zwalczają, niweczą, lub spaczają wszystko, co pochodzi z I-go Korpusu. Z jakiego powodu to się robi? Otóż w naszych szeregach niema miejsca dla konspiracji, — jest tylko miejsce dla Polaków. Nie trzymamy się przesądów, że sanitariusz może piastować zawód inżyniera, malarz — astronoma. Uznajemy tylko sprawdzoną wiedzę i doświadczenie.

Ta nasza prostolinijność była i jest solą w oku. Za ścisłe przestrzeganie jej postawiono nam jeszcze na obczyźnie krzyżyk. Przywędrował on przed nami do Kraju.

Drugim naszym „błędem“ było to, że na terenie powstającej Ojczyzny nie chcieliśmy uznać innej władzy, prócz Narodu. Nie wchodziliśmy w szczególności, jaki zostanie wybrany przez Naród Sejm, bo była to sprawa pana — Narodu, a nie sług jego — nas żołnierzy. Od zwołania Sejmu miała się zacząć dla nas Polska. Nie wysuwaliśmy dla przeprowadzenia naszych dążeń jednej jakiejś partji lub osoby, która miałaby rozstrzygnąć wszystkie panaceje i polskie bolączki. A przecież wiadomo, jakie się robiły wśród nas zabiegi i tam na obczyźnie i tu w kraju.

Uznaliśmy w swoim czasie nad sobą władzę Rady Regencyjnej dlatego, że przez powołanie jej Niemcy zrobili błąd, który należało wykorzystać. Rada Regencyjna przyrzekła doprowadzić Naród do Konstytuanty — o więcej nam nie chodziło.

Trzecim naszym „błędem“ było niewykorzystanie słowa drukowanego, a wiek bieżący to wiek reklamy. Brzydziliśmy się usługami płatnych „Homerów“. O nas wiedzą tylko to, co głosi ustne podanie, co napisał Ignacy Oksza Grabowski, lub Henryk Nowodworski, co podał mało znany Szkic do historii

¹⁾ Płk. Wroczyńskiego, Rodziewicza, Siestrzeńcewicz, Łempickiego i t. d.

I-go Polskiego Korpusu¹⁾. Mieliliśmy zaledwie 1—2 pracowników pióra; wysiłki ich były skierowane ku spolszczeniu dusz żołnierskich, zdeprawowanych długą tułaczką wśród obcego i wrogiego otoczenia. Takie legendarne czyny, jak przemarsz do Bobrujska 3-ciej dywizji gen. Iwaszkiewicza, oddziału płk. Freya, artylerji płk. Rodziewicza, 2-go pułku ułanów rotmistrza Waraksiewicza, szwadronu rtm. Plisowskiego, oddziału rtm. Bystrama z Rżewa — nie są dotychczas uplastycznione. Dlatego też nieprzychylni wylewają na nas beczki brudów i naumyślnie przekręcają fakty, aby zohydzić nas w oczach społeczeństwa. — Próżne to są jednak starania.



Poczet sztandarowy Stow. Dowborczyków
„Ku Chwale Ojczyzny“.

Czwartym naszym „błędem“ było to, że jednoczyliśmy się tam na obczyźnie pod presją pewnego złudzenia. Tęskno nam było do Kraju. Byliśmy osamotnieni wśród wrogiego nam środowiska. Nie było o kogo się oprzeć, gdzie zasięgnąć bezinteresownej rady. Wszyscy zwalczyli nas, poczynając od przedstawiciela carskiej Rosji, a kończąc poprzez Kiereńskich i Sawinkowych na konsorcjum żydów — bolszewików; zwalczyli również nas i nasi... Dlaczego? bo nie po-

szeliśmy na usługi żadnej partji. Znamadto wyidealizowaliśmy tę naszą „Ziemie Obiecane“.

Należało wziąć przykład z tych, którzy przekreślili wszelkie ideały i, głośno krzycząc o miłości dla Państwa, wspólnie z nimi trzeba było z aplombem sięgać po wszelkie godności, bynajmniej nie zrażając się posiadaniem jedynie fachu wojskowego.

Nie żałujmy, że się tak, a nie inaczej stało; mamy czyste sumienie i nie jesteśmy pośmiewiskiem obcych. Byliśmy i jesteśmy tylko żołnierzami i nimi pozostaniemy. Spełniliśmy nasz obowiązek, a to wystarczy.

Taka jest nasza ideologia. Tę przenieśliśmy na nasze Stowarzyszenie²⁾ Dowborczyków „Ku Chwale Ojczyzny“. Przewrotów robić nie myślimy. Bądźmy nadal wzorem, jak należy w stosunku do Polski postępować!

¹⁾ Podczas druku „Moich wspomnień“ zaczęła wychodzić „Placówka — Ilustracja Polska“, (Warszawa, Nowy Świat 40) — miesięcznik, poświęcony twórczości i myśli Dowborczyków. „Placówka“ podaje ciekawy materiał, nieznamy mi nieraz w szczegółach, a jakże dobitnie charakteryzujący „gehennę“, jaką przechodzili i przechodzą Dowborczycy.

²⁾ Zawiązane przez generałów: Jana Wroczyńskiego, Eugenjusza Rodziewicza, Zygmunta Łempickiego i mnie.

XXX

1926 ROK

Po podaniu się do dymisji w r. 1920 osiedliłem się w majątku Lusowo ¹⁾ bynajmniej nie podarowanym mi, jak to głoszą złośliwi, a nabytym w Urzędzie Osadniczym ²⁾. Z braku odpowiadającego mi zajęcia zacząłem gospodarować, co i po dziś dzień czynię; praca na roli jest pracą najszlachetniejszą. (Fama o mnie głosi, iż wśród „najlepszych” *jenerałów jestem „najlepszym” agronomem, a wśród „najlepszych” agronomów „najlepszym” — jeneralem*).

Osiadłszy na roli, niebawem przekonałem się o dobrodziejstwach rodzimych urzędów. Mimo zapłacenia przed dziesięciu laty, całej należności za majątek (b. wysoko oszacowany), oraz stempli, przewłaszczenia dotąd nie dostałem ³⁾. Na ciągle dobijanie się o to, nawet u p. ministra reform rolnych, otrzymałem odpowiedź: „będzie za dwa tygodnie, za miesiąc, za pół roku”. Dopiero w r. 1931 zaproponowano mi przewłaszczenie, ale po dopłaceniu 90 tysięcy złotych, która to suma po targach, przechodząc przez cyfry 16, 4, 8 tysięcy została ostatecznie ustalona na 10,000 zł. Za co, jakim prawem? zapewne „*jure caduco*” ⁴⁾ Nie mając przewłaszczenia, trudno się przy majątku w obecnych czasach utrzymać. Czy takie postępowanie licuje z powagą państwowej instytucji?

Bywając często w Urzędzie Ziemskim, widywałem coraz to nowych przezesów i urzędników. Prócz paru, którzy się tam potrafili zaaklimatyzować, reszta ciągle się zmieniała. Nie wpływało to oczywiście na sprawność funkcjonowania tej biurokratycznej instytucji. Mam wrażenie, że tam celowo robi się interesantom trudności, aby przewlec likwidację, bo przy dobrych chęciach, a małym wysiłku, możnaby w 13 lat całą Polskę rozparcelować i Urząd zamknąć.

Choć dotąd jeszcze nie jestem prawnym właścicielem, podatki płacić muszę regularnie i bezapelacyjnie. Za obszar 100 hektarów ornej ziemi, ściągnięto ze mnie daninę w sumie blisko *miljona marek*; potem nadszedł podatek majątkowy, który miał być spłacony w trzy lata, a faktycznie został ściągnięty w pierwszym roku *w sumie około 5 tysięcy zł. w zlocie*. Sumę tę nieba-

¹⁾ Przemianowanym później na Batorowo.

²⁾ Teraźniejszy Urząd Ziemski.

³⁾ Przewłaszczenia dokonano w 1935 r. „Moje wspomnienia” napisane zostały w 1932 r.

⁴⁾ Objasniono mi poufnie, że państwo jest w ciężkich warunkach finansowych, więc trzeba mu pomóc. Dziwne uzasadnienie.

wem powiększono przeszło czterokrotnie i kazano spłacać po przeszło 1.200 zł. rocznie. Gdzie się te pieniądze podziewają? Sądzę, że idą przeważnie na utrzymanie licznych urzędów z nieskończoną ilością funkcjonariuszów, w części niedokształconych. Wszak u nas asenizator też się do nich zalicza.

Oczywiście podatki trzeba płacić. Niktby nie protestował przeciw państwowym podatkom, ale równolegle rozrosły się różne anształty „samorządowe“ i „społeczne“, w których roi się od urzędników. Na ich utrzymanie i rozjazdy trzeba łożyć, a pożytku dopatrzeć się nie można.



Jen. J. Dowbor Muśnicki orze swój skrawek ziemi poznańskiej.

Oto przykład: starostwo. Prócz starosty, jego pomocników i mnogich urzędników, wegetuje przy każdym liczny sejmik¹⁾, składający się przeważnie z ludzi, nie płacących żadnych podatków, zatem uchwalających bez skrpułów różne świadczenia i ciężary. Za dawnych czasów istniała pańszczyzna. Teraz nieliczni właściciele i przedsiębiorcy utrzymują tysiące ludzi na różnych posadach, czyli wprowadzono pańszczyznę z powrotem, ale na wspak.

Brałem udział w prowadzeniu wyborów do sejmiku powiatowego (bodaj dwa razy) i kilkakrotnie w gminie. Osobiście przekonałem się o wartości „zdobyczy demokratycznych“, ujętych w licznych ustawach o sejmikach, kasach chorych, drogowej i t. p. (niepodobna ich wyliczyć). Wszystkie te zdo-

¹⁾ W moim powiecie jest przeszło 50 członków sejmiku.

bycze stworzyły żerowisko dla demagogów i politykujących macherów i ogłupiły szerokie masy. Pierwsi przekonywali „lud“, że na niego ktoś musi pracować, wszystko mu dawać, a ten ma jedynie korzystać. Na to trzeba tylko, by ich do sejmiku wybrano, a wszystko będzie przeprowadzone. To też do „ciał samorządowych“ trafiają nie najlepsi przedstawiciele ludności, a najkrzykliwsi wiecownicze, którzy po obraniu, zaraz przystępują do urabiania osobistych interesów i umieszczania krewnych i bliskich na posadach bez końca i potrzeby. Przy takich warunkach Państwo zamiast iść ku polepszeniu szło ku destrukcji i przewrotom, co też się niebawem stało.

Nastał 1926 rok, a z nim „nieoczekiwane“ majowe wypadki.

Nim słów kilka im poświęcę, cofnę się wspomnieniami do roku 1919.

Pierwszą i jedyną władzą odradzającą się Polski była Rada Regencyjna. Ta przynajmniej przy jej objęciu, podjęła się urządzić Polskę na prawnych podstawach; zaczęła od tego, że niezwłocznie przelała swoje pełnomocnictwo na Piłsudskiego. Bądź co bądź obie te władze, Rada i Piłsudski, były prowizoryczne i nikt nie potrzebował ich uznawać lub słuchać. Obowiązywało do tego tylko poczucie solidarności narodowej. Prawowita władza, z woli Narodu, powstała dopiero po zwołaniu, raczej od początku działalności Sejmu Ustawodawczego. Takiego zdania była ogromna większość ludności i na taki porządek był nastawiony skład osobowy I-go Korpusu.

Niestety Sejm od pierwszych dni wykazał absolutną niezdolność do twórczej pracy, oraz niezrozumienie, co to jest Państwo i czym się ono różni od prywatnego przedsiębiorstwa ³⁾.

Nadzieja na szybkie urządzenie Polski zawiodła. Mało kto myślał o ugruntowaniu porządku w Państwie. Taki „porządek“ rzeczy niezwłocznie przeszczeplił się na samorządy i inne niepaństwowe (nierządowe) instytucje. Normalne życie państwowe mogło się zacząć od uchwalenia konstytucji. To był główny i jedyny obowiązek Sejmu. A z tem się nie śpieszono.

Praca nad konstytucją, która mogła być ukończona w 3 — 4 miesiące, posuwała się żółtim krokiem: szybciej nasuwały się na Polskę z zewnątrz groźne niebezpieczeństwa. Sejm na nie słabo reagował. Gdyby się był nawet i składał z najmądrzejszych ludzi, nie byłby w stanie podjąć kierownictwa Państwa, do czego pretendował; jest to zadanie jednego człowieka, a nie kolegium ¹⁾.

Długo przyglądałem się bałaganom ²⁾, który brał początek w Sejmie, w nadziei, że instynkt samozachowawczy wprowadzi posłów ³⁾ na właściwe tory pracy. Ale gdy zaczęły dojrzywać wypadki na wschodniej granicy, a nic nie

¹⁾ Tak postąpili Czesi.

²⁾ Np. wysyłanie komisji dla zbadania rzekomych krzywd, wyrządzonych żydom przez wojskowych na froncie.

³⁾ Mowa tu o partjach, które stwarzały największy zamęt w pracach Sejmu, a kierowanych przez pp. „od międzynarodówek“.

miało się ku lepszemu, zwróciłem się osobiście (w lecie 1919 r.) do szefa sztabu jenerałnego płk. Stanisława Hallera, z propozycją skłonienia Piłsudskiego do rozwiązania Sejmu, dla położenia kresu demagogji i dezorjentacji ludności. Obiecywałem, w razie jakiejś awantury, Piłsudskiego podtrzymać. Nie było to namawianiem do robienia zamachu stanu, bo skoro Piłsudski Sejm zwołał, to nie tylko mógł, ale miał moralny obowiązek rozwiązać go, o ile źle funkcjonował. Jemu przecież było polecone Polskę urządzić i oczywiście zrobić to dobrze. Coś nawet sam wspominał o tem w swych późniejszych przemówieniach. Zwróciłem się do szefa sztabu, a nie wprost do Piłsudskiego, bo takie ważne sprawy przyzwyczaiłem się poruszać zawsze przez najbliższego współpracownika, który jest obowiązany wiedzieć tyle, co zwierzchnik, a może czasem i więcej. Zresztą Piłsudski, nie będąc jeszcze wtedy moją władzą, unikał ze mną stosunków, więc wolałem działać przez pośrednika, w sprawie, dotyczącej każdego zdrowo myślącego człowieka, więc i mnie.

Czytelnik wywnioskuje, że nie jestem zwolennikiem sejmowładztwa, skoro proponowałem zlikwidować Sejm wcześniej, niż to uczynił Piłsudski. Tak jest. W sejmach, które poczęły swoją egzystencję „od wczoraj“, posłowie ważą, mają wątpliwości, ciężko i długo myślą, gdy życie wymaga rychłych decyzji i czynów. Jeżeli zebrać stu ludzi i zaproponować im wypowiedzenie się (przypuśćmy o skorupie od jajka), to każdy będzie uważał za swój obowiązek wtrącić swoje trzy grosze, choćby pierwszy mówca wyczerpująco sprawę tej skorupy przedstawił. Chcąc przewlec, lub zaprzepaścić jaką sprawę, należy polecić ją zespołowi ludzi.

W Sejmie polskim pokładałem nadzieje, przypuszczając (nie bez podstaw), że na mentalność obranych, „najlepszych“ rodaków wpłynęła półtora wiekowa niewola i bolesne doświadczenia. Zawiodłem się. Nie winienem się być martwić, że później posłom obiecano baty. Ale wszystko ma swój czas, no i formę.

Chciałem wierzyć, że Piłsudski będąc najlepszym wśród najlepszych wybierze drogi proste; że potrafi działać rozumnie, a eksperymenty na ciele zbolelej, niepewnej swych sił Polski będą wykluczone.

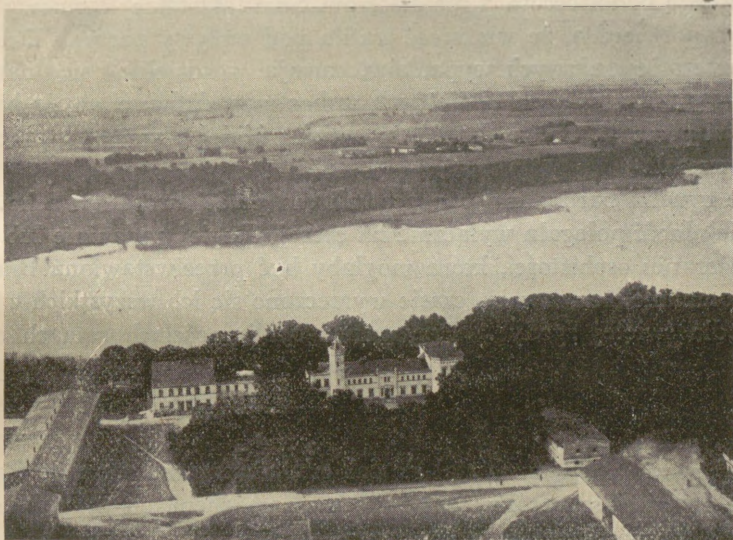
Miał Sejm rozwiązać już w 1919 r., Piłsudski sesje wielokrotnie odraczał, drażniąc tem ludzi niepotrzebnie. Od P. P. S. Piłsudski odszedł, ale kiedy? Należało to zrobić, zostawszy Naczelnikiem Państwa. Poszliby wtedy za nim ludzie rozsądni, dobrej woli; faktycznie pozostali politycznie zaangażowani. Nie byłoby nakoniec potrzeby „kurtyzować“ uchwaloną, nedorzeczną konstytucję, co stało się rzekomo powodem majowego przewrotu.

Nie wiem czy Szef Sztabu moją propozycję Naczelnikowi Państwa zameldował, ale nigdy o tem nie było wzmianki, ani rozmowy ze mną. Po wypad-

kach majowych, po zmalretowaniu Sejmu, dowiedziałem się, że jen. St Haller nawet „nie pamięta“, czy moją propozycję zameldował.

*

Nazwałem wypadki „nieoczekiwanemi“. Faktycznie przygotowania do nich były długo czynione. Mimo, że działano w wielkiej tajemnicy, były one znane wielu. Znam ludzi, którzy uprzedzali rządy p. Skrzyńskiego, p. Witośa, o owych zamierzeniach. Gabinet ministrów, posiadając „chłopski“ rozum,



Widok Batorowa, w którym zostały napisane „Moje wspomnienia“.

ostrzeżeniom nie wierzył, a jednak temu było łatwo, nawet bardzo łatwo zapobiec. Należało tylko uświadomić sobie, czym jest rząd i jakie środki oraz możliwości posiada. Pewna doza cywilnego męstwa też by nie zawadziła, choć ówczesnemu rządowi zdawało się, że autorytet jego musi być przez wszystkich na wiarę przyjęty, i że nie trzeba go oprzeć o coś konkretniejszego, realniejszego.

Że zamach się przygotowuje, i że było to sekretem poliszynela dowodzi fakt, że na długi czas przed jego wybuchem, ludzie innych przekonań, przygotowywali się do ewentualnego przeciwdziałania przewrotowi. Mało wierzyłem tej kontr-akcji, bo projekty te posiadały cechy dziecinnej konspiracji. Wszak dla każdego zamachu lub kontr-zamachu, potrzeba poświęcenia i środków. Wyczuwałem, że pierwszego zabraknie, a pieniędzy nie było. Poza tem wszyscy winni być gotowi, aby zdecydowanie bronić egzystującego po-

rządu (to winno być w świadomości każdego), a wtedy żadne „pronuncjamento“ udać się nie może. Jeżeli zaś dla obrony stanu rzeczy, stosować trzeba konspirację, to rozsądniej się w nią nie bawić, bo rację będą mieli ci, którzy oprą się o „autorytet browninga“ lub gęściej sypną pieniędzmi. Nakoniec było przecież wojsko.

Niestety, w szeregi polskie (od chwili ich powstania)¹⁾ wprowadzono politykę. Słyszałem taką pogłoskę. Posprzeczali się „endek“ z „socjalistą“, po czyjej stronie w razie zawieruchy stanie wojsko. Endek twierdził, że ponieważ skład oficerski jest państwowo usposobiony, wojsko stanie zawsze w obronie rządu. Socjalista twierdził, że oni opanowali skład podoficerski, więc szeregi usłuchają podoficerów, a nie oficerów. Sam fakt takiej rozmowy jest już wstrętny i potwierdza, że większość trafiła pod wpływy partyj. Dzięki ich robocie w czasie majowych wypadków, armja rozdzieliła się na obozy. Nie brakło i ludzi całkiem obojętnych wobec wypadków; ci swoją biernością zamachowi pomogli. Co się dziwić, że takich później z szeregów przed innymi powyrzucali.

Ludzie cywilni bardzo długo pracowali dla przeciwwagi zamachowi. Niestety, działalność polegała wyłącznie na czczej, długiej gadaninie lub sporach przy dobieraniu osobistości, która mogłaby być przeciwstawiona Piłsudskiemu. Zapomniano, że w swoim czasie wyrzeczono się ich wszystkich z lekkim sercem „dla świętej zgody“. Przy takich okolicznościach zamach udać się musiał.

*

Pewnej nocy, gdy zamach stał się faktem, zawezwano mnie do Poznania. Nie będę opisywał szczegółów związanych z zamachem, bo wszystkim są one znane. W Poznańskim poruszenie było wielkie, ale dezorientacja jeszcze większa. Zaczęła działać sugestia, uprawiana od dawna, że jedynie Piłsudski coś dla Polski uczynił, więc, jeżeli zrobił zamach, to widocznie był on konieczny.

Do Poznania przybyło dwóch ministrów: p. Piechocki, miejscowy adwokat, minister sprawiedliwości, i p. Osiecki, Galicjanin czy Krakowianin, drogerzysta, czy matematyk, zapewne „doktór“, ale minister²⁾. Pierwszy był przedstawicielem „Chrześcijańskiej demokracji“, drugi należał do stronnictwa „Piaśt“. Taka kombinacja była prognostykiem, że nic stanowczego panowie ministrowie nie zdziałają i sprawa zakończy się „świętym kompromisem“. Wszak pierwszego obowiązywała „chrześcijańska pokora“, a drugi miał z tradycji strach przed „batem“. Niemniej zjawienie się przedstawicieli rządu (przeciw któremu zamach był głównie skierowany) na terenie Poznań-

¹⁾ Załącznik nr. 206.

²⁾ Nie pamiętam jakiego resortu.

skiego, gdzie obrała sobie stałą siedzibę praworządność, pozwalało przypuszczać, że ministrowie są przysłani, by skoordynować wysiłki w kierunku przywrócenia poprzedniego stanu rzeczy, albo jak go nazywała partja przewrotu, „bezlądu“, ale wszak opartego na prawie. Możliwości dla uczynienia tego istniały. Poznańskie dałoby sobie z tem radę samo, nawet bez udziału innych dzielnic. Wojewodą tu był człowiek, cieszący się autorytetem i ogólnym szacunkiem, lubiony przez wszystkich, „gentelman“ w każdym calu ¹⁾. Stał de jure też *na straży konstytucji i praworządności*, więc musiałby ich bronić. Miejscowe organy rządowe obowiązane były wojewodę w poczynaniach podtrzymywać. Były zdyscyplinowane pułki. Istniało społeczeństwo patryotyczne, przyzwyczajone do posłuchu. Słowem istniało wszystko dla przywrócenia stanu rzeczy.

Dlatego, żeby akcja przeciw zamachowi była skuteczna, należało sprecyzować co się stało. Czy należy wracać do poprzedniego stanu rzeczy, czy uznać przewrót, jako konieczność państwową? Jeżeli zaś należało przeciwdziałać zamachowi, to należało też ustalić, kogo postawić na czele akcji i jakie pełnomocnictwo mu dać. Niestety, biorąc udział w wielu nieoficjalnych debatach, nie doczekałem się jasnej odpowiedzi na te naturalne pytania. Sam „rząd“ ²⁾ stracił głowę (jeżeli ją posiadał), bo proszę wziąć pod uwagę choć ten fakt, że zamiast trzymać się razem i decydować, Prezydent z paroma ministrami pozostaje w Warszawie, gdy inni ministrowie wyjeżdżają na prowincję bez pełnomocnictw i instrukcyj. P. Prezydent, zamiast jechać do Poznania, Krakowa lub Lwowa i swoją obecnością podtrzymać chwiejących się, pozostaje na miejscu, by później uciec, czego zrobić nie miał prawa.

Piłsudski wówczas żadnej funkcji w Państwie nie pełnił, więc nikt nie miał obowiązku słuchania go.

Mojem zdaniem, każdy funkcjonariusz państwowy obowiązany jest wystąpić przeciw wszelkim nielegalnym poczynaniom, nie oczekując rozkazu. Oczywiście kierownictwo należy do wyżej stojących hierarchicznie. Ponieważ sfery cywilne w czasie pokoju posiadają supremację, pierwszeństwo przy akcji, mającej na celu utrzymanie porządku, należało się władzy wojewódzkiej. Inne władze na terenie województwa powinny bezwzględnie jej podlegać ³⁾. Wszak każde województwo jest miniaturą Państwa. Wojewoda, to „Prezydent“ województwa. Władze wojewódzkie — to w miniaturze władze państwowe. Jeżeli organy Państwa muszą wykonywać rozporządzenia gabinetu ministrów, względnie premjera, to władze wojewódzkie obowiązane są wykonywać rozporządzenia wojewody.

¹⁾ Adolf hr. Bniński.

²⁾ W Warszawie.

³⁾ Tego np. Konstytucja nie przewidywała.

Niestety nikt w Polsce, jak długa i szeroka, nie zagłębia się w kwestje obowiązków względem Państwa.

*

Cóż się robiło dla przywrócenia stanu rzeczy? Zamiast skupienia przy jakiegokolwiek osobie, choćby Wojewody, jeżeli Prezydent ustąpił, zaczęły się zabiegi, podszepty, intrygi, rozpuszczanie głupich plotek i słuchów. Niektórzy „znani” politycy gdzieś się pochowali...

Ponieważ z Sejmem stała się „awanturka”, więc pewnego dnia zjechali do Poznania posłowie z województwa poznańskiego. Toczyły się bez końca narady między władzami, stronnictwami, posłami. Czas przechodził, a sytuacja nagliła. Radziłem powołać do szeregów dwa ostatnie zwolnione roczniki, uzupełnić nimi miejscowe formacje i przywrócić stan poprzedni, propozycja moja była wykonalną. Niestety brakło jednomyślności poglądów obydwóm panom ministrom. Co proponował, lub na co godził się p. Piechocki, to zwalczał p. Osiecki. Rozbieżność poglądów potwierdził mi w parę dni potem p. minister Piechocki. Dobry to rząd, jeżeli z dwóch ministrów, jeden ciągnie do „Sasa, drugi do Lasa”. P. Osiecki lepiejby zrobił, gdyby zamiast dzierżyć tekę ministra, kombinował nad rozwiązaniem kwadratury koła; byłoby to pożyteczniejsze dla ludzkości, a przynajmniej nieszkodliwe dla Polski. Mimo, że na oficjalne posiedzenia przeważnie mnie nie zapraszano, wyczuwałem dobrze u czynników miarodajnych niepewność, brak zrozumienia, a nawet bojaźń. Miano strach o to, po czyjej stronie stanie wojsko. Winno było podtrzymać rząd. Ale Prezydent Rzeczypospolitej, choć najwyższy zwierzchnik¹⁾ siły zbrojnej, stał od wojska daleko, a, jako cywil, był mu obcy. Piłsudski będąc natomiast Pierwszym Marszałkiem Polski, mając dobranych pomocników i wykonawców, posiadał możność to wojsko za sobą pociągnąć i na niem się oprzeć²⁾. Marazm Sejmu temu dopomógł. Dlatego też olbrzymia większość wojska i publiczności, nie zdając sobie sprawy, że stało się coś anormalnego, była przekonana, że tak powinno być, i że Piłsudski nie tylko ma prawo, ale nawet obowiązek zrobienia zamachu.

Zwolennicy zamachu rozpuszczali pogłoski, że Niemcy ogłosili mobilizację i mają wkroczyć do Polski. Gadki te podziały na nerwy tchórzów. Strach jest złym doradcą. Więc robiono same niedorzeczności, pomagając pomyślnemu zakończeniu zamachu.

¹⁾ Wedle Konstytucji. Jest to niezrozumiałe określenie. Zwierzchnikiem może być tylko jeden człowiek, stojący nad hierarchją władz.

²⁾ Przysięga głosi: rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać (porównaj rozdział XXIV). Piłsudskiemu dymisji nie udzielono, a tytuł „Pierwszy Marszałek Polski” swoje zrobił

Postanowiono z dużym opóźnieniem „iść wojną” na Warszawę, „bronić praworządności, umocnić fundament chwiejącej się Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, наконец ratować prestige Prezydenta p. Stanisława Wojciechowskiego, tego „najlepszego ¹⁾ Polaka”.

Moją propozycję, co do powołania roczników dla uzupełnienia pułków odrzucono ²⁾; postanowiono tylko powołać ochotników i z nich stworzyć specjalne oddziały. Na czele wszystkich sił, które miały wyruszyć na Warszawę, miałem stanąć ja.

Otóż takie postanowienie winno być wyjść od Prezydenta Rzeczypospolitej, lub od całokształtu rządu (gabinet ministrów), czy Sejmu, a nie od części tego Sejmu, która się w Poznaniu zebrała. Ale skoro już zeszli się posłowie dzielnicowi, to powinni byli stać się ciałem doradczym przy Wojewodzie, ogłaszając odpowiednie orędzie względnie proklamację do ludności, o ustaleniu prowizorycznego lokalnego rządu. Tego nie uczyniono. Szersze masy nie wiedziały, czego się trzymać i kogo słuchać. Jeżeli miała być zbrojna akcja, to na czele jej należało postawić jednego: czy mnie, czy dowódcę okręgu korpusu, czy наконец jen. Hallera, który był też wciągnięty w wir wypadków. Stwarzać zaś cywil-wojsko, nie posiadając ani broni, ani pieniędzy, pozostawiając jednocześnie na uboczu wojska regularne, było niedorzecznością skoro i to drugie miało być użyte dla jednego celu.

Część posłów nie chciała, czy się bała polecić sprawowanie pełni władzy jednej osobie ³⁾ — w takim razie nie było warto rozpoczynać kantrakcji.

Do Poznania zjechali się posłowie czterech stronnictw (innych tu, zdaje się, wogóle nie było): chrześcijańscy rolnicy, Nar. Dem., Chrześcijańska Demokracja i N. P. R. Miałem wrażenie, że zgoda istniała między trzema pierwszymi. Warcholili się tylko przedstawiciele N. P. R., którzy wysuwali zawsze jakieś wątpliwości i stale robili zastrzeżenia.

Żeby oblec w pewną formę wybór na dowodzącego sił zbrojnych, zaproszono mnie na posiedzenie posłów (w jakimś domu przy ulicy św. Marcina). Przewodniczący zebrania zapytał, czy posłowie godzą się na oddanie mi kierownictwa akcją zbrojną (innemi słowy na postawienie mnie na czele sił, które mają wyruszyć dla restytucji obalonego rządu). Przedstawiciele trzech stronnictw kolejno oświadczyli, że się zgadzają. Natomiast poseł Herz ⁴⁾, z N. P. R. postawił kwestję zaufania do mnie w taki sposób: „my się zgodzimy na naznaczenie, jeżeli jen. Dowbor Muśnicki oświadczy tu uroczystie, że nie użyje władzy na wprowadzenie monarchji w Polskę”. Odpowiedziałem stante pede: „tylko dzięki temu, że jest Pan posłem, nie daję Panu

¹⁾ Może być takim tylko w przeciągu 7 lat.

²⁾ Bo rzekomo były to „casus belli” w stosunku do Niemców.

³⁾ Patrz niżej.

⁴⁾ Skończył, jak i jego koledzy, Akademię Nauk Politycznych w Ryczywole.

w pysk. Wali się wszystko, a Pan jeszcze stawia jakieś warunki“. Na to p. Herz podskoczył do mnie i podając rękę, oświadczył: „zgoda, zgoda“. Dobrze to? W umyśle tego demokraty, *monarchja prześladuje wyłącznie cel polzbawienia fernali prawa udziału w demokratycznej babraninie*.

Stało się koniec końcem na poleceniu mi kierownictwa akcją zbrojną, ale tylko cywil - wojska.

*

To cywil — wojsko miało być utworzone z rozmaitych towarzystw, a ponieważ miało być ochotnicze, to każde stawiało swoje warunki i żądało przyznania pewnych przywilejów. Dobrze, sprawnie i ochotczo działali tylko studenci i harcerze. Inne towarzystwa przedstawiały się jako polityczne. Przedstawiciel oficerów rezerwy zrobił nawet awanturę w kancelarji Wojewody ¹⁾. Musiałem *tego pana osadzić na miejscu*. W każdym razie moje zadanie nie było przyjemne i wymagało wiele nerwów oraz równowagi.

Gdy tak radzono, wiecowano i gadano, a kontrakcja zamachowi szła tępo, zaproponowano mi zaareztowanie Wojewody, i wzięcie broni dla mego cywil-wojska przemocą ze składów ²⁾. Oczywiście nie było to trudne do wykonania, ani też żadnem ryzykiem, ale byłby to krok wielce niebezpieczny dla Polski, jako dla Państwa. Wszak poruszenie w Poznaniu opierało się na chęci przywrócenia poprzedniego stanu, t. j. powrotu Prezydenta, utrzymaniu gabinetu Witosa, względnie zabezpieczenia działalności Sejmu. Znaczący się instytucje państwowe, które istniały do przewrotu, a nie przyłączyły się do zamachu, więc i wojewoda poznański i D. O. K. VII., jako legalne, nie mogły być usuwane przemocą i nie można było podrywać autorytetu, inaczej stwarzałyby się nowy zamach, a co zatem szło powiększenie zamętu w Państwie. Dlatego też rady nie usłuchałem.

Wysyłkę wojsk z Wielkopolski do Warszawy na pomoc rządowi robiono arcy po szewcku: wolno—pakieczkami—z ostrożnością. Jeden z eks - austriackich „hochstaplerów“, na moją propozycję wysłania wojska na zarekwirowanych ciężarowych samochodach odparł, że tego zrobić nie może, bo się wojsko „zmęczy“. Było to typowe, a niedorzeczne (porównaj akcję wodzów francuskich pod Paryżem w 1914 r.). A tymczasem Piłsudski rósł w siłę i każdy dzień zwłoki był na jego korzyść.

Eszelonom wojsk, idącym z Poznania do Warszawy, robiono trudności, psując tory. Brali w tem udział na terenie Kongresówki strzelcy, a częściowo kolejjarze. Żeby temu kres położyć, poradziłem wysłać do Kutna bataljon mojej cywil - bandy, co, gdy się stało, przeszkody — jakby uciął.

¹⁾ Był przeciwny Wojewodzie.

²⁾ Załącznik nr. 222.

Ktoś wysunął projekt, żeby cywil - wojsko, łącznie z oddziałami regularnego wojska zostało oddane pod komendę jen. Józefa Hallera. Zapytano się mnie ¹⁾, czy zgodzę się zostać jego szefem sztabu, lub jakie ewentualnie chciałbym objąć stanowisko w przyszłości, gdy porządek zostanie przywrócony? Odpowiedziałem, że chcę być „koniowodem“ przy pierwszym dziale 7 D.A.K.‘u. Było wszak śmieszne myśleć o posadach, kiedy Piłsudski nie wykazywał chęci ustąpienia. I dlaczego to ja miałem być szefem sztabu Hallera t. j. jego mózgiem i wykonawcą jego woli, a nie on np. w moim sztabie naczelnikiem wydziału? Mimo, że Haller z naznaczenia Piłsudskiego piastował wysoki urząd inspektora artylerji armji, gdy ja byłem tylko rolnikiem, ale w dziedzinie wojskowości mogliby się u mnie wielu rzeczy nauczyć, gdy ja nie mam nic do zapożyczania od nich.

*

Cała awantura zamachowa skończyła się tak, jak było do przewidzenia. P. Prezydent Wojciechowski uciekł ze sztandarem, podkreślając, że „kawałek płótna“ więcej wart od jego mózgu i woli. Premjera P. Witosa wyrzucono. Ten czcigodny chłopak przekonał się, że odpowiedniejszym dla niego zajęciem jest siać rzepe, niż kierować Państwem. To, że siedział w austriackim parlamencie jeszcze za mało, by mógł zostać premierem. „Ersatz“ Prezydent p. Rataj skapitulował. Piłsudski zwyciężył, bo najmniej narobił błędów.

Wypadki majowe były dla mnie najprzykrzejszymi chwilami mego życia. Wzmogła się we mnie pogarda do takiego ustroju. Rządząca demokracja pokrywa się stale jakimiś rozumowaniami, że gdyby nie to, a tam to się stało, to byłoby nie to, a to. Najboleśniejszym był fakt rozdzielenia armji, u podstaw której pracowałem. — Wina za to spada na pierwszy Sejm, który podjął się budowy Państwa, nie posiadając do tego wiedzy, doświadczenia, a nawet podstaw natury etycznej.

¹⁾ Nazwisk nie podaję, bo propozycje te szły od ludzi cywilnych, którzy potracili głowy, czemu się nie dziwię.

ZAKOŃCZENIE.

Przerywam wspomnienia z moich przeżyć. Dużo faktów, ponieważ ciekawych, których byłem świadkiem lub uczestnikiem, nie podaję z obawy przeładowania książki. To co umieściłem oparte jest na dokumentach, osobistych spostrzeżeniach, lub przeżyciach. Z tego powodu nie myślę z nikim polemizować lub faktów prostować; opisałem je tak, jakbym świadczył w sądzie pod przysięgą. Jedyne pragnienie moje jest, by książka ta posłużyła jako materiał dla przyszłych obiektywnych dziejopisarzy wielkiego i pełnego sławy okresu, który przeżyliśmy.

Nie łudzę się, że książka będzie rewelacyjną; ma ona głównie na celu sprostowanie tych kłamstw, które o mnie ludzie pewnego zabarwienia rozpowszechniają, fałszując historję. Z tego powodu nawet powątpiewam, czy ona ujrzy światło dzienne w dzisiejszych „demokratycznych“ czasach.

Położyłem dla ludzkości, a przez to w pierwszym rzędzie i dla Polski pewne zasługi. Mianowicie: gdy świat cały nie poznał się na niebezpieczeństwie bolszewizmu, a później łudził się, że w płaszczyźnie ludzkich uczuć i elementarnej logiki, z jego adeptami dojść można do jakiegoś porozumienia, ja pierwszy poznałem się na tej odmianie ludzkiego zbydlęcenia — wypowiedziałem bolszewizmowi walkę na życie i śmierć. Do konieczności tejże doszli z czasem wszyscy; jesteśmy obecnie nawet świadkami upadku socjalizmu.

Martyrologja I-go Polskiego Korpusu potwierdza to, jak wielkie jest niebezpieczeństwo bolszewizmu.

Tam na brzegach Dniepru Korpus odpłacił za doznane upokorzenia, pomścił trzykrotne stłumienie powstania i dał początek zwycięstwu, pod Warszawą w r. 1920. Zatuszować tych faktów się nie da.

Niestety ducha obecnych czasów nie znałem. W Polsce doczekałem się za to miana „nikczemnika“. Jak na to zareagowałem?

Los mnie sowicie wynagrodził, dając mi możność złożenia kości w ziemi Ojczystej! Dla człowieka, który błąkał się od Jakucka do Trebizondy i od Portu Artura do Zbąszynia, i który niejednokrotnie zaglądał śmierci w oczy i wątpić zaczął, czy wolną Polskę kiedy ujrzy, jest to nagroda nie do pogardzenia!

Nielicznych moich współtowarzyszy, którzy przeżyli piekło lat 1918—1920 i pozostali wierni bezinteresownej służbie dla Polski, a wśród pokus o dobro doczesne nie spodlili się, proszę o wybaczenie mi tego wielkiego błędu, że nie narzuciłem Polsce ustroju, który odpowiadałby naszym ideałom. Realne do tego możliwości posiadałem; wtedy miałbym i ja możność nagrodzenia Was. Stało się inaczej....

SKOROWIDZ NAZWISK

- Adamski Ks. — 26, 280, 306.
 d'Abernon lord — 346.
 Agapiejew — 182, 189, 205.
 Aleksander I — 36, 37.
 Aleksander III — 32, 37, 39, 52, 76, '101, 140.
 Aleksiejew adm. — 73, 81, 85.
 Aleksiejew jen. — 59, 61, 62, 64, 114
 Aleksy ces. — 39.
 Aleksy nast. — 65.
 Alisa Heska — 65.
 Anders pułk. — 186, 287, 292, 297.
 Apuchtin — 18,
 Asnyk — 11.
 Auffenberg jen. — 116.
 Azef — 143.
 Bagiński — 215, 216, 218, 254.
 Baszko — 236.
 Bayer pułk. — 216.
 Bałujew jen. — 174—177, 180.
 Bartha (de Weydental, Borucki) — 206, 240—243, 246—252, 255.
 Baryła — 145, 204, 213.
 Baskakow — 49—51.
 Beneskuł jen. — 161.
 Berbecki — 164.
 Bereszko — 263.
 Berson — 145, 254.
 Beseler — 239, 256, 258, 264, 326.
 Bieniewska — 69.
 Biernacki — 255.
 Bilderling — 44.
 Bismarck — 15, 24, 102, 217, 286.
 Bniński hr. — 361.
 Bocian — 40.
 Bogdanowicz — 109
 B. — '186.
 Boćkowski — 334.
 Boncz Brujewicz — 201, 208.
 Branicki hr. — 99.
 Brochocki — 189.
 Brolman — 207, 208.
 Brusilow jen. — 62, 158, 162.
 Brinken von — 79.
 Brzezany — 291.
 Budienny — 339.
 Butakow — 109, 110.
 Butler — 295.
 Bylewski — 164.
 Bystram rtm. — 263, 354.
 Carnot — 154.
 Cegielski — 290
 Ciaciuch — 306.
 Chłopicki — 136.
 Chałupko — 145, 146, 218
 Chodniew — 54.
 Czarnecki hr. — 341.
 Czarnecki por. — 133.
 Czarniecki het. — '119.
 Czachowski — 17.
 Czernicka — 22.
 Czernopiatow — 30, 31.
 Dalbor arc. — 318.
 Daniłow — 42.
 Daszyński — 143, 250, 261, 275.
 Dąbrowski — 16, 22, 243, 278.
 Denikin jen. — 59, 159, 174, 210, 236 257, 336, 344.
 Ditterichs — 58, 99.
 Dobrzyński — 186.
 Dowbor — 189, 205.
 Dowbor Muśnicki — 12, 13, 26, 30, 31, 43, 71, 74, 77, 86, 89, 90, 94, 97, 99, '104, 112, 113, 115, 118, 124, 128, 134, 136, 155, 164, 168, 181, 182, 186, 189, 197, 214, 215, 217, 265, 277, 280, 285, 286, 288, 289, 305, 306, 327, 332, 345, 348, 363.
 Dmowski — 167, 191, 348.
 Dragomirow — 48, 57, 101.
 Dreyfus — 271.
 Dubiski jen. — 305, 313, 353.
 Duchonin jen. — 60, 149, 162, 175, 176, 180, 182.
 Dunin Slepść. — 186, 187.
 Dunin Wolski — 259.
 Dybowski — 192.
 Dymitr W. K. — 45.
 Dzierżyński — 144.
 Dżunkowski — 140.
 Engel — '183.
 Elżbieta car. — 39.
 Ewans — 273.
 Ewert jen. — 118, 119.
 Falkenheim jen. — 241.
 Fersen — 325, 326.
 Fiedotow — 95.
 Fijałkowski bis. — 45.
 Foch marsz. — 303, 325.
 Frey — 198, 354.
 Franciszek Józef ces. — 352.
 Fryderyk Wielki — 81, 150, 343.
 Fukiszyma jen. — 72.
 Gedroyć ppor. — 234, 353.
 Gerngros jen. — 36.
 Gielniewski — 240, 241, 242, 250.

- Glas — 252.
 Glezmer — 30.
 Godlewski — 190.
 Goldszmidt-Rotszyl — 270.
 Gołowin jen. — 48, 59.
 Gontariew — 30, 31.
 Gorbатовski jen. — 102.
 Gorczyński — 96.
 Goerdeler — 241.
 Grabski — 296.
 Grochowolski — 295.
 Grudzielski jen. — 287, 293, 294.
 Grudziński — 51.
 Gruszecki — 193.
 Gruszewski — 337.
 Gućkow — 151, 154—156.
 Gudim-Lewkowicz — 87.
 Gurb ski — 186.
 Grzesiński — 321.
 Haber Włyński — 295, 319.
 Haller Józef jen. — 213, 216, 225, 248,
 252, 258, 311, 321, 330, 332, 334, 340,
 341, 342, 346, 348, 363, 365.
 Haller Stanisław — 358, 359.
 Hertz — 363, 364.
 Heltman — 145.
 Hindenburg marsz. — 118, 123.
 Hitler — 308.
 Hofrychter — 58.
 Hołówo — 166, 242, 252.
 Hoffman jen. — 80, 122, 161, 228, 307.
 Hotzendorf — 57.
 Horodyńska — 17.
 Hozenduft — 12.
 Hubicki — 255.
 Hubicka — 242, 255.
 Hulewicz — 285.
 Idźkowski — 18.
 Ignatjew hr. — 52, 53.
 Iwanow M. — 59, 61, 62, 114.
 Iwanow — 79.
 Iwanowski — 227, 257.
 Iwaszkiewicz — 21, 186, 187, 198, 210, 262,
 263, 310, 342, 344, 346, 354.
 Jabłoczkina — 133.
 Jackiewicz — 178, '188.
 Jagiełło — 12.
 Jacyna — 189.
 Janin jen. — 180.
 Januszajtis — 164.
 Januszkiewicz — 127, 151.
 Jasiński — 166, 233.
 Jasiński Albin — 187, 263, 292, 297.
 Jastrzębski — 110.
 Jatelnicki — 290.
 Jermolow jen. — 37.
 John — 290.
 Joffre — 56.
 Joselewicz — 171, 302.
 Jurkiewicz kpt. — 207.
 Juszcak por. — 184.
 Jaźwiński — 186, '198.
 Kaledin — 59.
 Kałmanowicz — 208.
 Kałamajski — 306.
 Kamienszczykow — 176.
 Karcew — 48.
 Karnicki jen. — 78, 176, 214, 220.
 Karski — 27, 259.
 Katarzyna car. — 40, 332.
 Katkow — 28.
 Kaczyński — 182.
 Kędziński An. — 186, 258, 287, 294, 316.
 Kędziński pułk. — 353.
 Keller jen. — 116.
 Kiełczewski — 205.
 Kieniewicz — 191.
 Kiereński — 62, 63, 94, 136, 149, 151, 153,
 154, 159, 160, 173, 175, 191, 213, 240, 354.
 Kobordo — 186.
 Kojszewski — 109, 113.
 Kolubakin — 49, 50.
 Kołczak — 336.
 Konarzewski — 291, 297, 301, 305, 310, 340.
 Konowałow — 159, 161.
 Korfanty — 277—280, 286, 287, 304, 306,
 317—319, 323, 324, 328.
 Kornilow jen. — 59, 61—64, 141, 162, '175,
 180, 190, 195.
 Kortyna (Kortyn) — 246, 249.
 Kordecki ks. — 38.
 Kraszewski — 27.
 Krechowicki pułk. — 178, 179, 195, 196,
 210, 246, 258, 270, 311, 335, 352.
 Królikowski — 253.
 Kruzensztern — 65.
 Krylenko — 31, 153, '175, 177, 183, 195—
 198, 200—203, 205, 344.
 Krymow — 166.
 Krystalnick. — 113.
 Krzyżankiewicz — 299.
 Kui (Qui) jen. — 107.
 Kuryłło — 204.
 Kuroki marsz. — 61.
 Kuropatkin jen. — 77, 81—83, 85, 88, 105,
 151.
 Kutuzow — 15.
 Kwapiszówna — 14.
 Kukliński — 193.
 Lachowicz ks. — 95.
 Landsberg E. — 279, 280.
 Launitz — 65, 66.
 Leczycki — '118.
 Lednicki — 166, 173, 176, 179, 190, 191,
 204.
 Lehr jen. — 48.
 Lenin — 135.
 Lesewicki — 122.
 Lesz — 36.

Likiernik — 270.
 Liniewicz — 88.
 Lipiński — 282, 283.
 Litwinow jen. — 128, 151, 156.
 Lis Kula — 225, 240—242, 249—252, 255.
 Listowski — 102.
 Lloyd George — 98, 179, '182.
 Lossow — 292.
 Lubomirski ks. — 229.
 Lubowicki — 16.
 Ludendorf — 118, 151.
 Luśnia — 15.
 Leśniewski — 251, 316.
 Lutosławski ks. — 191.

Łachman — 204.
 Łempicki jen. — 186, 204, 353, 354.
 Łubieński dr. — 191.
 Łukomski bis. — 176, 287.
 Łosowski — 263.

Macewicz — 319.
 Maciaszek — 282.
 Maciejewski plk. — '186, 187, 198.
 Mackiewicz — 31.
 Mackensen jen. — 62.
 Malewicz plk. — 186, 204, 209, 259, 263.
 Malewicz por. — 214.
 Malinowski — 216.
 Maliszewski — 45.
 Majewski ppor. — 304, 311, 313.
 Majewsky — 40, 298.
 Małagowski — 172.
 Mannerheim — 85.
 Mańczak — 295.
 Martin — 325.
 Markow jen. — 48, 186.
 Marquet pułk. — 326, 327.
 Maruszewski — 128.
 Matuszewski — 171, 172, 242, 246, 251, 253, 255, 284, 285.
 Matuszewicz — 197.
 Masłowski — 208.
 Mazowiecki — 214.
 Meller Zakomielski — 92.
 Miasnikow — 176, 180, 183.
 Miączyński hr. — 295.
 Michaelis de Henning jen. — 165, 248, 252, 277, 278.
 Michalski Zd. — 186.
 Michalski por. — 147, 186, 189, 260, 264, 279, 280.
 Michno jen. — 110.
 Michniewicz jen. — 269.
 Michał W. K. — '150, 152.
 Mieński — 28.
 Mieszczerska ks. — 52.
 Mikołaj W. K. — 30, 102, 116, 152, 212, 226.
 Mikołaj I ces. — 16, 21, 36, 41, 64, 271.
 Mikołaj II — 52, 64, 65, 73, 152, 352.

Mikulicz Radecki — 186.
 Milewski plk. — 287, 291.
 Milewski chor. — 193.
 Milukow — 38, 153, 154.
 Minkiewicz — 306.
 Mitrofanisz Woroneński — 38.
 Miszczenko jen. — 84.
 Moltke — 57, '102, 108.
 Moraczewski — 194, 242, 253, 275.
 Mordwinow — 271.
 Mosiewicz plk. — 292, 296, 297.
 Mościcki plk. — 163, 164, 178, 183, 186, 187, 189, 191, 225, 227, 228, 237.
 Mrozowski jen. — 82.
 Murawjew — 28.

Nachamkes — 95.
 Napoleon — 23, 56, 72, 85, 106, 242, 349.
 Nadożnyj — 157.
 Nekanda Trepka — 186.
 Niemojewski — 276, 320.
 Nił Sorski — 38.
 Niewiadomski — 143.
 Norwid Kudłło — 220, 308.
 Niemira — 259.
 Naudeau — 87.
 Noulens — 307, 325.
 Nowaczyński — 273, 340.
 Nodzu — 86.
 Nowiński — 99.
 Nowodworski Henryk — 353.

Obersky — 40.
 Obruczew — '101.
 Obuch Woszczatyński — 206.
 Odyniec jen. — 292, 297, 340.
 Okoń — 267.
 Oksza Grabowski — 295, 353.
 Oraczewski — 275, 276.
 Orłow jen. — 63, 84, 85, 136.
 Osiecki — 361.
 Osiński jen. — 164, 231, 246, 247, 249, 251, 252.
 Orzechowski — 140.
 Orzewski — 24.
 Osmołowski — 164, 192, 225.
 Ostapowicz jen. — 163, 186, 198, 204.

Paczensky jen. — 24, 121, 122, 123, 321, 322.
 Paderewski — 8, 191, 306—308, 348.
 Pajewski jen. — 287, 292.
 Panajew — 38.
 Paszczenko — 82.
 Paszkiewicz G. — 124, 126, 287.
 Pawlenko — 343.
 Pawłunowski — 144.
 Pajkiert ks. — 263.
 Perzyński — 178.
 Petlura — 338, 344.
 Piechocki — 360, 362.

- Piłsudski J. — 55, 97, 98, 145, 146, 147, 163, 171, 172, 180, 219, 223, 224, 231, 240, 241, 245, 248, 251, 252, 253, 254, 255, 264, 265, 266, 270, 274, 275, 276, 277, 278, 279, 281, 282, 285, 286, 287, 298, 310, 311, 315, 318, 319, 328, 332, 333, 334, 339, 340, 341, 342, 343, 344, 345, 346, 348, 349, 357, 358, 360, 361, 362, 364, 365.
 Piotr Wielki — 37, 39, 149.
 Plater Zyberk — 102.
 Plewe jen. — 113, 120, 121.
 Plisowski rtm. — 184, 198, 354.
 Pluciński Z. — 327, 341.
 Pogorski — 233.
 Pobiedonoscew — 24, 32, 64.
 Podkówka — 191, 213.
 Pogonowski — 352, 353.
 Pol (Pohl) — 42, 44.
 P. — 45, 46, 54.
 Polewoj — 22.
 Poliwanow jen. — 155, 156.
 Poniatowski ks. — 22, 184.
 Poniatowski jen. — 186.
 Porebski adm. — 78, 129.
 Poszwiński — 26, 280, 287, 299, 306.
 Poliakow — 41.
 Pomiałowski — 33.
 Porzecki — 186, 259.
 Preuskier — 270.
 Przeździecki kap. — 206.
 Przyłęski — 246.
 Psarski — 246.
 Putiatin adm. — 132.
 Puszkina — 15, 52.
 Pytłasiński — 172.
 Raczkiewicz — 169, 172, '189, 197, 225, 232, 233.
 Radek-Sobelsohn — 345.
 Radko Dmitrijew — 133, 134.
 Radziwiłłowa ks. Mikołajowa — 167, 192.
 Radziwiłł ks. Maciej — 246.
 Radziwiłł ks. Franciszek — 256, 257.
 Radziwiłł ks. Janusz — 229.
 Rampon plk. — 160, 180, 182.
 Rasputin — 45, 66, 150.
 Raszewski jen. — 296, 321, 323, 324.
 Rataj — 365.
 Ratti mons. — 259, 260.
 Rennenkampf jen. — 56, 81, 87, 92, 93, 118, 120.
 Rittich — 44, 45.
 Rodziewicz jen. — 186, '187, 198, 258, 263, 353, 354.
 Rodziewicz por. — 316.
 Roedl — 57.
 Romanow — 42.
 Romocki — 225.
 Romei jen. — 307, 327.
 Romer jen. — 297.
 Romer rotm. — 186.
 Rosiński — 140.
 Rosset — 29.
 Rostafiński — 250.
 Rozwadowski jen. — 260, 261, 262, 306, 339, 342, 346.
 Roździeński adm. — 87.
 Ruszczewski — 186, 221.
 Rydz Smigły — 253, 260, 342, 343, 344.
 Sabler — 64.
 Sipiagin — 65.
 Samsonow — 76.
 Sawinkow — 140, 141, 158, 354.
 Scherr — 26.
 Serafin św. — 64, 65, 67.
 Sergiusz W. Ks. — 69, 101, 102.
 Seyda — 26, 122, 325.
 Sieliwanow jen. — 91, 94.
 Siestrzenciewicz jen. — 186, 209, 258, 287, 290, 353.
 Sikora — 12.
 Skarbek hr. — 305—309.
 Skarzyński — 186.
 Skąpski — 166.
 Skierski — 342.
 Skobielew — 85.
 Skrzetuski — 12.
 Skoryna — 263.
 Skrzyński plk. — 304.
 Skrzyński min. — 359.
 Skagurewski — 101.
 Sławek — 191.
 Sławski — 317.
 Sławoczyński — 164.
 Smoła — 213.
 Sokołow — 154.
 Sokołowski — 219.
 Sokownin — 156.
 Sołtyk — '194.
 Sołowjew — 39.
 Soroka — 15.
 Sosnkowski jen. — 171, 264, 287, 341.
 Spiridonowa — 69.
 Spiridonow — 81.
 Sroka ppor. — 234.
 Stano — 16.
 Stankiewicz — 65, 66, 252.
 Stachiewicz Jul. — 278, 279, 282, 283, 284, 285, 334.
 Stessel jen. — 85.
 Stołypin — 64.
 Strietenski — 18.
 Strzebiński — 263.
 Studziński Z. — 204, 296.
 Stuermer — 45.
 Suchomlinow jen. — 61, 101, 102, 104, '105, 107, 108.
 Suryn kpt. — 84.
 Swierdłow — 95.
 Szamota jen. — 146.
 Szawelski bisk. pol. — 39.

Szczaniecki płk. — 316.
 Szebeko Wit. — 186, 221, 240, 241, 274, 341.
 Szejdeman jen. — 118, 120, 121.
 Szela — 41.
 Szeptycki jen. — 82, 83, 276, 297, 332, 333, 342.

Szewczenko — 337.
 Szlagowski — 296.
 Szpręglewski — 186.
 Szołowski hr. — 296.
 Sztakelberg jen. — 79, 82, 83, 84.
 Sztorch — 40.
 Suwałow hr. — 38, 135.
 Sylling płk. — 291, 353.
 Szyrinskij Szychmatow — 28.
 Szyszko jen. — 186, 210.
 Szymon jen. — 178.
 Sykstus V — 38.
 Starczewski — 302.

Taczak płk. — 282.
 Tarlo Maziński — 234.
 Tarnowski hr. — 246.
 Timofiejew — 159.
 Togo adm. — 81.
 Tomas — 29.
 Trepko — 147.
 Tuchaczewski — 339.
 Thugut — 275.
 Turgieniew — 15.
 Trocki — 352.
 Trygar — 255.
 Trzaska — '11.

Unrug jen. — 321.

Wachtrome — 124.
 Wańkowicz Bol. — 205.
 Wańkowicz Mel. — 223, 242, 243, 251.
 Wańkowiczowa Stefanja — 197.
 Waraksiewicz rtm. — 198, 354.
 Wasiljew jen. — 134.
 Wesołowski jen. — 102, 103, 104, 133, 227.
 Weychert — 145.

Weygand jen. — 339, 346.
 Wędziagolski — 125.
 Wiaziemskij ks. — 135, 136.
 Wichirew — 31.
 Widacki — 279.
 Wierchowskij — 173, '179.
 Wierzbicki — 11, 12, 17.
 Wierzejewski jen. — 295.
 Więckowski — 176, 191, 205.
 Więckowski Stan. — 186, 213, 259.
 Wilhelm ces. — 32, 271, 352.
 Wiśniewski — 110.
 Wittman jen. — '112.
 Witos — 359, 365.
 Witte — 88, 90.
 Wojciechowski — 167, 191, 192, 361, 363, 365.
 Wojewódzki — 91.
 Wolski — 144.
 Wroczyński jen. — 186, 262, 263, 264, 353, 354.
 Wulffen von maj. — 243.
 Wyrostek — 256.

Zabłocki — 198.
 Zagórski — 246, 261, 262.
 Zakrzewska Ter. — 24.
 Zamoyski Maur. hr. — 348.
 Zaręba jen. — 116.
 Zawisza — 23.
 Zenkteler — 342.
 Zia Bej — 131.
 Zieliński jen. — 334, 342.
 Zolotariew — 37.
 Żółzikiewicz — 12.
 Zdanowicz — 110.

Żeligowski płk. — 170, 208, 215, 236.
 Żuk — 42.
 Żukowski — 214.
 Żuromski — 316.
 Zychliński — 228.
 Żymirski — 216.

SPIS ROZDZIAŁÓW

WSTĘP	str. 7
ROZDZIAŁ I. — Lata dziecinne.	str. 11
Motto. — Miejsce urodzenia. — Pochodzenie. — Wspomnienie o rodzicach. — Majątkowa katastrofa. — Narodowe cechy charakteru. — Początkowa nauka. — Résumé lat dziecięcych. — Gimnazjum. — Nauczyciele i właściciele stancij. — Nieopanowanie języka. — Wpływy apuchtinowskie. — Zaczątki bolszewizmu.	
ROZDZIAŁ II. — Ku powołaniu wojskowemu	str. 23
Pensjonat w Petersburgu. — Kobieta-polka. — Matki poległych. — Korpus kadetów. — Refleksje. — Ig. Kraszewski. — Bezsilność rusyfikatorów. — Pedagogzy i wychowawcy. — Zagadnienie polityki rosyjskiej. — Początki orientacji. — Szkoła Konstantynowska. — Zatargi. — Wyróżnienie. — Cesarz Wilhelm.	
ROZDZIAŁ III. — W środowisku rosyjskiem	str. 33
Awans na oficera. — Stosunki polsko-rosyjskie. — Popowicze. — W Rosji. — Patryjoci rosyjscy. — Kler prawosławny. — Przyczyny tarć. — Gdzie najwięcej się wynarodowiło Polaków. — Zesłańcy syberyjscy.	
ROZDZIAŁ IV. — Akademia Sztabu Jeneralnego	str. 42
Kostroma. — Wpływ wojny tureckiej. — Kwestja awansów. — Akademia. — Jedynasty pułk grenadierów. — Miłość - bodźcem do zdobycia wiedzy. — System naukowy. — Przeżycia akademickie. — Zagadnienie pierwszeństwa. — Co osiągnąłem. — Koniec idylli.	
ROZDZIAŁ V. — Współczesny Sztab Jeneralny w niektórych państwach	str. 55
Artykuły moje drukowane w Rzeczypospolitej. — Niemcy. — Francja. — Austrija. — Rosja.	
ROZDZIAŁ VI. — Rosja u zmierzchu caratu	str. 61
Jenerałowie: Iwanow, Aleksiejew, Kornilow. — Pierwszy zatarg z bolszewikami. — Ucieczka Kornilowa. — Odśrodkowe prądy w Rosji i przeciwdziałanie im. — Święty Serafin. — Amerykański anarchista. — Rasputin. — Faktyczny stan wewnętrzny Rosji. — Katorga. — Choroba „miłosierdzia“.	
ROZDZIAŁ VII. — Wojna japońska	str. 71
Wiadomości o Japonji. — Powody zatargu. — Jen. Fukiszyma. — Admirał Aleksiejew. — Katastrofa Arturska. — Austrijackie szrapnele. — Kolej syberyjska. — Towarzysze podróży. — Tjurinczen. — Daszyczao. — Stan armji czynnej. — Jen. Sztakelberg. — Japończycy. — Wafangou. — Polityka a strategia. — Major Szeptycki. — Laojan. — Kulomioty Suryna. — Upadek Portu Artura. — Kuropatkin. — Mukden. — Cuszima. — Ocena wypadków.	

ROZDZIAŁ VIII. — Ruch rewolucyjny 1904 — 1905 r. str. 89

Obawa Rosjan przed zdradą Polaków. — Proklamacje japońskie. — Reorganizacja korpusu pogranicza. — Irkuck. — Jen. Sieliwanow. — Rewolucja i bunt w szeregach. — Karne ekspedycje. — Fjasko rewolucji. — Kopalnie złota. — Amerykański projekt kolei. — Tranzlokacja do europejskiej Rosji. — 10-ty korpus. — Łuck. — Kobiety, a służba. — Ruch strzelecki w Galicji. — Ewentualność powstania. — Środki zapobiegawcze. — Kiedy organizowanie polskich wojsk miało pewne podstawy. — Parę słów o Legionach. — Prace nad planem przyszłej wojny. — Spis koni. — Wpływ na mobilizację. — Ukraińcy.

ROZDZIAŁ IX. — Armja rosyjska str. 100

W szeregach. — Stan armji i jej polepszenie. — Dowództwo. — Przykłady. — Ucieczka Polaków z szeregów. — Suchomlinow. — Reorganizacja artylerji. — Pociski. — Fortece. — Przyczyny przegranej wojny.

ROZDZIAŁ X. — Wojna światowa i pierwsze starcia str. 109

Woroneż i 7-a dywizja. — Jen. Butakow i Michno. — Stan wojsk przed wojną. — Przejazd na teatr wojny. — Bitwy pod Telatynem i wsią Hopki. — Cofnięcie się obu armji. — Bitwy pod Tomaszowem, Bełżcem i Narolem. — Wzięcie Jarosławia. — Ocena sytuacji. — Dalsza karjera.

ROZDZIAŁ XI. — Walka o Warszawę str. 116

Błąd w założeniu o dalsze prowadzenie operacji. — Rola jazdy. — Manewr Hindenburga i kontrakcja. — Bitwy pod Warką i w okolicach Łodzi. — Epizod w Pstrokoniu. — 14-y syberyjski pułk. — Na Rawce i pod Przasnyszem. — Zakończenie Wielkiej Galicyjskiej bitwy. — Tragiczny stan.

ROZDZIAŁ XII. — W Azji i pod Rygą str. 128

W I-ej armji. — 123-a dywizja. — Morzem do Małej Azji. — Akcje na wybrzeżu morza Czarnego, łącznie z flotą. — Krzyż na wierzchołkach Tawru. — Atak pod Rygą. — Nieufność. — Niepokojące objawy. — Sztab I-ej armji.

ROZDZIAŁ XIII. — Podłoże rewolucji rosyjskiej str. 138

Moja bezpartyjność. — Spostrzeżenia o partjach radykalnych. — Przykłady. — Sawinkow. — O socjalistach polskich słów kilka. — Działalność socjalistów na terenie odradzającej się i odrodzonej Polski.

ROZDZIAŁ XIV. — Wybuch rewolucji str. 149

Sytuacja na froncie rosyjskim po i przed wybuchem rewolucji. — Zmiany w rządzie i mój stosunek do niego. — Bolszewicy. — Moje ultimatum. — Zapasowe oddziały. — Błędy władz. — Kwestja przysięgi. — Kiereński. — Guczkow. — Komisja jen. Poliwanowa. — 38-y korpus. — W szeregach armji. — Komitety. — Atak jen. Brusilowa i atak pod Krewem. — Zdrada.

ROZDZIAŁ XV. — Świt niepodległości str. 162

Ogólna sytuacja po akcjach zaczepnych. — Armja czy Polski Korpus? — Intrygi. — Formacje, zwane „polskimi”. — Wermacht. — Legjony. — Władze a zagadnienie polskie. — Kiedy nasze formacje stały się polskimi. — Rola partji politycznych. — Lednicki. — Rada Ziemi Mińskiej. — Zjednoczenie Międzypartyjne. — Ks. Mikołajowa Radziwiłłowa. — Naczpól. — Gdzie powstała myśl o tworzeniu wojska polskiego. — Zjazd w Piotrogradzie. — Żydzi. — Piłsudski — honorowym prezesem. — Pogląd Piłsudskiego na kwestję formowania polskiego wojska. — Kontrakcja żydowskich socjalistów. — Moje stanowisko. — Uchwały Zjazdu. — Analiza uchwał. — Aresztowanie jen. Bałujewa. — Parę pytań.

- ROZDZIAŁ XVI. — Tworzenie Polskiego Korpusu str. 173**
 Co objąłem. — Polska dywizja, Krechowiecki pułk i pułk w Białgorodzie. — Socjaliści. — Misje cudzoziemskie. — Starszyzna. — Materjał ludzki. — Znaczenie Naczpołu oraz innych komitetów. — Komisja Likwidacyjna. — Zjednoczenie Międzypartyjne. — Polacy Ziemi Mińskiej. — Kto stworzył i utrzymywał Korpus.
- ROZDZIAŁ XVII. — Usamodzielnienie I Korpusu Polskiego. . . str. 195**
 Artylerja. — Obawy bolszewików. — Nasze siły przed zatargiem. — Koncentracja i bohaterskie czyny wojsk. — Przyczyny mego ultimatum.
- ROZDZIAŁ XVIII. — Bolszewicy i Niemcy str. 204**
 Walka o istnienie. — Wzięcie Bobrujska. — Walki pod Osipowiczami i Borysowem. — Porażka pod Żłobinem. — I-a dywizja. — Nawiazanie łączności z Niemcami i koniec walk z bolszewikami. — Nowe hasło ku skupieniu.
- ROZDZIAŁ XIX. — W rozterce str. 212**
 Stan duchowy szeregow. — List Mazowieckiego (J. Hallera). — Wpływ na moją decyzję. — Rozkaz J. Hallera. — Stan rzeczy na okupacji Korpusu. — Wrzenie w szeregach. — Co mogłem zrobić. — Bezkarność zbrodniczej agitacji. — Co to jest demokrat? — Stawiane mi zarzuty. — Rada Regencyjna. — Delegacja pułk. Mościckiego. — Tekst przysięgi Korpusu. — Stanowisko wobec Niemców.
- ROZDZIAŁ XX. — Czy wyjść za Dniepr str. 232**
 Zabiegi o wyjazd do Warszawy. — Starania Naczpoła. — Jaką drogą dowiedziałem się, co się w Kraju dzieje. — Projekt wyjścia za Dniepr. — Radjostacja. — Listy Rady Regencyjnej i zniszczenie mostu na Dnieprze.
- ROZDZIAŁ XXI. — Zamach i zamachowcy str. 239**
 Przykre refleksje. — Przysięga i skutki jej lekceważenia. — Okoliczności zamachu. — Samobójstwo Gielniewskiego. — Główni działacze. — Sąd polowy i jedyna ofiara nieudanego zamachu. — Wyzwanie na pojedynek. — Sondowanie projektów co do Polski. — Dlaczego nie walczyłem z Niemcami. — Powrót do Kraju. — Nadużywanie autorytetu Piłsudskiego. — Niedoszły pojedynek. — Jen. Osiński.
- ROZDZIAŁ XXII. — Po powrocie do kraju str. 256**
 Inwigilacja. — Co się działo w Warszawie. — Komisja wojskowa. — Projekt internowania oficerów Korpusu. — Intrygi. — Odtworzenie pułków Korpusu. — Monsignor Ratti. — Zaproszenie jen. Rozwadowskiego. — Wypadki w Lublinie. — Propozycja Rady Regencyjnej. — Przygotowania i rozbrowienie okupantów. — Kto to zrobił. — Zaproszenie Piłsudskiego. — Ujemne wyniki.
- ROZDZIAŁ XXIII. — Chaos str. 267**
 Od czego rozpoczęto pracę. — Żydzi. — Czy walczyli o Polskę. — Żydzi a wojsko: austrijackie, niemieckie, francuskie, rosyjskie. — Jak winniśmy postąpić. — Przyszłe granice Polski. — Zamach. — Czy nie prowokacja? — Wynik zamachu.
- ROZDZIAŁ XXIV. — Armja Wielkopolska str. 277**
 Zaproszenie mnie do Wielkopolski. — List Korfatego. — Wizyta w Belwederze. — Warunek. — Przysięga. — Wyjaśnienie sprzeczności. — Sytuacja w Poznańskim. — Tarcia w sztabie. — Inwigilacja. — Przyczyny nie zgodności. — Umowa z Komisarjatem. — Druga wizyta w Belwederze. — Plan działań. — Prace nad zorganizowaniem armji. — Walki na froncie. — Decydujące bitwy pod Kcynią i Żninem. — Los Wielkopolskich formacji. — Wybryki ludności niemieckiej. — Wartość wojsk ochotniczych. — Jaką powinna być armja polska.

ROZDZIAŁ XXV. — Gdańsk — Lwów str. 303

Wiadomości z Wersalu. — Gdańsk nasz, czy nie. — Projekt zajęcia Gdańska. — Lwów na przeszkodzie. — Zwrócenie się o pomoc Poznańskiego. — Interwencja Paderewskiego. — Jaką projektowano i jaką faktycznie okazać się miała pomoc. — Akcja przeciw formacjom Pomorskim.

ROZDZIAŁ XXVI. — Wśród Wielkopolan str. 312

Sekret formacji. — Czyn Wielkopolski. — Czy jej kto pomagał? — Wartość Wielkopolskich Wojsk. — Tarcia i intrygi. — Bunty na Ławicy i w Biedrusku. — Interwencja Warszawy. — Jak wyszedłem z sytuacji. — Zajęcie na rewji. — Łączność z armją koalicyjną. — Szpiegostwo. — Prośba Bydgoszczan. — Skargi Niemców. — Przedstawiciele Ententy. — Oderwanie Śląska. — Pułk Bytomski. — Armaty dla powstańców.

ROZDZIAŁ XXVII. — Zjazd Kaliski str. 330

Zaproszenie na zjazd i jego oficjalny cel. — Sztab Jeneralny. — Kwestja planu objęcia Pomorza. — Trzej polscy jenerałowie broni. — Moje zgłoszenie wstąpienia do Armji Ochotniczej i jego los. — Dymisja.

ROZDZIAŁ XXVIII. — Przed inwazją bolszewicką str. 336

Charakter wojny na Froncie Wschodnim. — Zagadnienie Ukraińskie. — Ukraińska polityka prowadzona przy pomocy państw centralnych. — Ukraińcy. — Sytuacja przed marszem na Kijów. — Wynik nie mógł być ujemny. — Dla czego nie brałem udziału w bitwie pod Warszawą. — Z czego wojsko nasze powstało. — Telegram do jen. J. Hallera. — Wezwanie do Warszawy. — Ordre de bataille. — Audjencja. — Iwaszkiewicz nie może dać sobie rady. — Teza oderwana. — Zasady organizacji. — Satysfakcja. — Jen. Weygand. — Lord d'Abernon. — Rozmowy o Polsce przed wojną. — Prywata zgubna, ale powrót do starego. — Dyktatura. — Sejm i Naczelnik Państwa. — Dyktatura.

ROZDZIAŁ XXIX. — Czem chcemy być w Polsce str. 350

Zjazdy Stowarzyszenia Dowborczyków. — Nasze plusy i minusy. — Zasługi składu osobowego I-go Polskiego Korpusu wobec Polski.

ROZDZIAŁ XXX. — Rok 1926 str. 355

Osiedlenie się moje na roli. — Urzędy i Samorządy. — Majowe wypadki. — Na kogo spada wina wykoszlawienia maszyny państwowej. — Moja wizyta w Sztacie Jeneralnym. — Czy o przygotowaniach do zamachu nic nie było wiadomem. — Przyjazd dwóch ministrów do Poznania. — Błąd za błędem. — Gadanie i wiecowanie. — Obranie mnie na dowodzącego. — Tendencyjne słuchy i plotki. — Cywil - wojsko. — Naiwne propozycje. — Strzelcy i kolejarze za zamachen.

ROZDZIAŁ XXXI. — Zakończenie str. 366

SKOROWIDZ NAZWISK str. 367

ZAŁĄCZNIKI — od 1 do 224 (oddzielnie zbroszurowane). str. 5—172

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74

104 74



OMYŁKI DOSTRZEŻONE W DRUKU

Strona	Wiersz od góry	Wydrukowano	Powinno być
62	15	...Jako żołnierz rozkaz spełnił wbrew...	<i>Jako żołnierz rozkaz spełnił; wbrew</i>
65	14	Kreuzensztern	<i>Kruzensztern</i>
77	25	jako „replie“ kawalerji; za- bezpieczenie...	<i>jako „replie“ kawalerji i zabezpiecze- nie...</i>
178	24	Winę za konduinę...	<i>Winę za konduite...</i>
191	7	, czy grawitujący ku socja- lizmowi; bez ukończonych..	<i>, czy grawitujący ku socjalizmowi, bez ukończonych...</i>
277	8	doręczono mi 7-go stycznia...	<i>doręczono mi 9-go stycznia...</i>
278	26	Dnia 7-go stycznia byłem...	<i>Dnia 9-go stycznia byłem...</i>
279	29	8 stycznia wsiadłem...	<i>10 stycznia wsiadłem...</i>
297	16	od kawalerji!).	<i>od kawalerji oraz noszenia orderów!).</i>
322	7	nieraz musiało...	<i>nieraz musiała...</i>
325	33	z takich informatorów, był	<i>z takich informatorów był</i>
335	12	zostaje dość pochlebne.	<i>dość pochlebne. (skreślić „zostaje”).</i>





40313

12